

Dickey Eric Jerome

Wyścig z przeznaczeniem

PRZEŁOŻYŁ RADOSŁAW MADEJSKI

Billie to barmanka, niespełniona piosenkarka i znakomita motocyklistka. Ładna, beztroška i pewna siebie. Jej życie zmienia się w chaos, kiedy odkrywa, że jest w ciąży, a ukochany postanawia wrócić do swojej rodziny. Żona jest obłudną prawniczką i despotyczną jędzą. Sama spotyka się z kochankiem, ale nie przebiera w środkach, by w życiu jej męża nie było innej kobiety. Córka jest przebiegłą nastolatką o niełatwym charakterze, zmagającą się z burzą własnych emocji. Ktoś śledzi, straszy i atakuje Billie. Czy zdoła ona uchronić swój rozpadający się świat i nienarodzone dziecko?



Wrogowie są tacy inspirujący.

- *Katharine Hepburn*

Przeznaczenie nie jest dziełem przypadku, jest kwestią wyboru.

Nie jest czymś, na co się czeka, ale co się zdobywa.

- *William Jennings Bryan*

Trudno uwierzyć, że mężczyzna mówi prawdę,

kiedy wiesz, że skłamałabyś, będąc na jego miejscu.

- *H.L. Mencken*

Powyższy cytat w równym stopniu dotyczy kobiet.

- *Eric Jerome Dickey*

BILLIE

- Myślałem, że bierzesz pigułki! - wrzasnął Keith.

- Nie krzycz tak.

- Billie... To pewne, że jesteś w ciąży?

- Ludzie usłyszą.

Przenikał nas nocny chłód, kiedy tak siedzieliśmy przed Starbucksem w Ladera Heights, dzielnicy nazywanej przez niektórych Czarnym Beverly Hills. Chybione porównanie. Gdyby tak wyglądało Beverly Hills, gdyby na Rodeo Drive roilo się od drobnych sklepików i barów szybkiej obsługi, gdyby nie było tam przyzwoitych miejsc do parkowania, a jedynym miejscem, gdzie można by coś zjeść, byłby główniany bar TGIF, biali zaczęliby wyć z rozpacz, aż wreszcie popodcinaliby sobie żyły. Zewsząd otaczały nas pomalowane ściany, z których Magie Johnson wyszczerzał swój nienaturalnie wielki uśmiech. Parking był pełen samochodów, ale całą uwagę przyciągała ekipa na chromowanych sportowych motocyklach.

- No to jak, brałaś te pigułki?

- Nie, patrzyłam na nie i wchłaniałam przez osmozę.

- Żarty sobie stroisz.

- Nie, Keith, jestem w ciąży.

Znaleźliśmy pretekst, by przerwać rozmowę - patrzyliśmy, jak dziewczyna na przodzie kawalkady zadziera przód swojej maszyny i toczy się na tylnym kole.

To nie była zwyczajna popisówka. Dziewczyna wiozła na kierownicy jedną ze swoich koleżanek. Jej motocykl był frymuśny niczym chromowana dziwka. Podczas gdy siostry na przodzie odstawiały swoją szopkę, dziewczyna zamykająca kawalkadę jechała, balansując na przednim kole, a tył jej ścigacza sterczał uniesiony niemal do pionu. Cała grupa zatamowała ruch, przejeżdżając pomiędzy samochodami. Było ciemno, ale reflektory motocykli lśniły.

- Zero szacunku dla bezpieczeństwa innych - odezwał się Keith.

Sportowe japońskie maszyny przetoczyły się po ulicy, unosząc krągłe zadki w opiętych biodrówkach, spod których wyglądały paski stringów. Aroganckie szczeniary. Dziesięć lat temu byłam jedną z nich. Przystanęły przed niewielkim centrum handlowym i zaczęły ściągać kaski, a jedna z dziewcząt ruszyła w moją stronę. Marcel. Była wśród nich najniższa, mogła mieć jakieś metr sześćdziesiąt pięć, dziesięć centymetrów mniej ode mnie. Piękne ciało, wyzywająca poza. Bardzo kobieca; skupiając na sobie spojrzenia, czuła się jak ryba w wodzie. Jasna cera. Tyłek zaokrąglony aż za linię bioder. Blond włosy o rudawym odcieniu. Pod obcisłą koszulką duże krągłe piersi. Zatrzymała się na wprost mnie i rozchyliwszy szeroko poły kurtki, epatowała swoim twardym brzuchem.

- No jak tam, Ducati? - posłała mi uśmiech.

- Jestem zajęta.

- Keith - roześmiała się.

- Marcel.

- Wiesz, właśnie widziałam twoją żonę w Fox Hills Mail.

- Marcel, Billie powiedziała ci, że jesteśmy zajęci.

Marcel roześmiała się i zawróciła w stronę swoich towarzyszek, przesadnie kołysząc biodrami. Podeszła do swej połyskującej od chromów hondy super hawk w kolorze indygo, ozdobionej wymyślnymi wzorami podobnie jak jej kask. W motocyklowym świecie to jest jak droga biżuteria. Chciała przyciągać uwagę i to robiła. Jej ciało wywierało druzgocące wrażenie. Wszyscy mężczyźni wchodzący do sklepu muzycznego Warehouse na zachodnim skraju placu przystawali jak wryci, spoglądając na Marcel i jej kompanię.

- Od jak dawna? - spytał Keith. Serce podjechało mi do gardła.

- Jakieś sześć tygodni.

- Jeszcze nie jest za późno.

- Co masz na myśli?

- To, że jeszcze nie jest za późno.

- Chcesz, żebym spuściła je do kibla?

- Nie mów mi, że chcesz mieć dziecko - powiedział, pocierając skroń. - Chcesz?

Rozpostarłam dłonie, a zaraz potem je splotłam. Bolały mnie palce, gdyż większą część popołudnia spędziłam, ćwicząc gitarowe solówki na mojej takamine. Czułam się świetnie i miałam nastrój do pisania piosenek, ale wszystko to już przyszło.

- Kto wie o tym, że jesteś w ciąży? - zapytał.

- W tej chwili nikt poza nami.

- A twoja współlokatorka? Viviane już wie?

- Dowie się ostatnia.

- Co ty mówisz?

- Mówię to, co mówię, i to właśnie mówię.

Mój kochanek otworzył usta, a jego zmarszczone brwi znalazły się tak blisko siebie, że przypominały rozplątany wykrzyk. Otarłam dłonie o dzinsy i poprawiłam na sobie skórzaną kurtkę o rękawach ozdobionych naszywkami Ducati. Ta sama włoska nazwa biegła w poprzek pleców. Keith był ubrany jak elegancik, miał na sobie luźne dzinsy, kremowy sweter, płytke sportowe buty i brązową skórzaną kurtkę.

- Co masz zamiar zrobić?

Jesteś w ciąży. Co masz zamiar zrobić? Ścisnęło mnie w gardle.

Zabrzęczała jego komórka. Usiłowałam dojrzeć, czyje imię pojawiło się na wyświetlaczu, ale nakrył telefon ręką, przysunął do siebie po stoliku i chwycił tak, jakby trzymał karty podczas partii pokera.

Chrząknęłam.

Zrobił wyczerpaną minę, westchnął i ostentacyjnie przyłożył słuchawkę do ucha.

- Co?... z Billie... w Starbucksie... rozmawiamy... tak... przyszła pogadać... nie... zadzwonię do ciebie... cześć.

Z trzaskiem zamknął aparat.

Trwał w milczeniu, a na jego czole pojawiły się zmarszczki. Coś jeszcze właśnie wprowadziło go w zakłopotanie.

- Kto to był? - spytałam.

Zataił dłonie i przybrał zniecierpliwiony wyraz twarzy, który oznaczał, że mam przystopować.

Nie cierpiałam tego, kiedy próbował sprawować nade mną kontrolę. Nienawidziłam, kiedy jakikolwiek mężczyzna próbował mnie kontrolować.

Przy stoliku obok nas siedziało kilku braci. Rozpoznałam jednego z nich. Raheem, egzotyczne, kakaowo-brązowe połączenie Latynosa i Afroamerykanina, szczupły mężczyzna o krótkich kręconych włosach. Jak większość z nas stanowił część grupy społeczeństwa nazywanej wielorasową przyszłością Ameryki.

Nawiązaliśmy kontakt wzrokowy i posłałam mu krótki uśmiech. Naprawdę się uśmiechałam. Ogarnęło mnie ciepło. Przez ułamek sekundy zapragnęłam, aby w moim życiu nie istniał Keith ani to dziecko rozwijające się w moim ciele.

Keith odwrócił się w stronę Raheema.

- Czemu on się na ciebie gapi?
- Powiesz mi, kto do ciebie dzwonił?
- Mógłby mi okazać trochę szacunku.

Wykonał pod jego adresem wyzywający ruch głową, który mówił: No co jest, czarnuchu? Raheem pozostał niewzruszony. Uparty facet.

- To naprawdę nie było potrzebne - powiedziałam.
- Co cię łączy z tym gościem?
- Nic. Nie znam go.

Rozmowa wróciła do naszej sytuacji.

- Cięża - powiedział, kręcąc głową.
- Co masz zamiar zrobić, Keith?

Keith był inżynierem elektrykiem. Czterdziestoletni i prawie rozwiedziony inżynier elektryk w spółce branży lotniczej. Przystojny mężczyzna o szarych oczach i niefrasobliwym usposobieniu. Zazwyczaj jego głos brzmiał miękko i hipnotycznie. Jednak tego wieczoru ton jego głosu był przykry.

- Billie, ja już mam córkę.

Przeniknął mnie dreszcz. Wiedziałam, do czego zmierza. Układał sobie tok rozumowania. Tworzył solidne podstawy. Usiłował zamienić tę chwilę emocji w czystą logikę.

Mój zmieszany dawca spermy omiół zęby językiem, po czym łagodniejszym tonem zaczął rozprawać nad swą niedolą.

- Mam związane ręce. Kiedy tylko wyprowadziłem się z domu i wniosłem pozew rozwodowy, ona pozwała mnie o alimenty. Teraz Carmen dostaje sporą część moich dochodów. Ale tak naprawdę to forma

odwet. Zatrzymała dom, a kiedy się procesowaliśmy, okazało się, że na utrzymanie dziecka nie wystarczy jej czterdzieści cholernych dolarów.

- Powiedz mi coś, czego nie wiem.

- Mam dwa fakultety, a wyciągam za ledwie pięćdziesiąt tysięcy rocznie.

- O tym też wiem - westchnęłam. Miałam nadzieję, że nie będzie opowiadał mi od nowa całej tej historii.

- Dostała dom, który kupiłam za własne pieniądze, te same pieniądze, które pomogły jej przebrnąć przez studia prawnicze, a ja utknąłem w cholernej norze z jedną sypialnią i nawet na nią nie mogę zarobić. Nie stać mnie, by tam zostać, nie stać mnie, by się wyprowadzić gdziekolwiek indziej. Przeczesałam palcami moje włosy, falistą grzywę w kolorze brązu wpadającego w kasztan z odcieniami karmelu i kilkoma blond pasemkami, która sięgała mi aż po kość ogonową. Poczułam lekkie mrowienie na skórze głowy, więc uniosłam dłonie i podrapałam się po czaszce.

- A ponieważ nie mogę domagać się praw do Destiny, moje podatki przekroczą sześć tysięcy - kontynuował Keith. - W rezultacie zostanie mi na życie dwanaście patoli rocznie. Nie wyżyję z tego. Nikt by nie wyżył.

-Keith...

- Kiedy z tego osiem tysięcy idzie na czynsz.

- Keith...

- Teraz znasz moją sytuację.

- Poradzę sobie sama.

- Billie... zastępstwa w szkole... praca za barem... ledwie zarabiasz na siebie.

- Mogę postarać się o stałą pracę.

- To kpina. Wy wszystkie tak mówicie, fanatyczki...

- Fanatyczki?

- ...a kiedy tylko sobie uzmysłowicie, że nie dacie rady same, kiedy sobie uświadomicie, że to nie takie łatwe, zaczynacie biegać i lamentować, jakie to okrutne być samotną matką...

- Daruj sobie.

- ...choć wam się wydawało, że dacie radę same, i nawet jeśli same podjęłyście tę decyzję, nie bacząc, jak bardzo partner był przeciwny,

realizujecie swój plan, który zwykle macie ułożony od samego początku, i zaczynacie nas ciągać po sądach, stajecie przed sędzią i...

- Nie wkurzaj mnie. Jak śmiesz... Jeśli tak właśnie zrobiła Carmen, nie wyładowuj się za to na mnie.

- Nie masz pracy, a ja jestem skończony. Billie, proszę cię tylko, żebyś pomyślała.

- Sądzisz, że nie myślę, odkąd tylko się dowiedziałam?

- Chodzi mi o to, żebyś wzięła głęboki oddech i pomyślała o najbliższych osiemnastu czy dwudziestu dwóch latach. Nie zastanawiasz się nad tym, ile będzie kosztować niania, opieka lekarska, ubezpieczenie, wykupienie recept, aparat korekcyjny na zęby, wyjazd na kolonie, lekcje pianina...

Przerwał w pół zdania i potarł skronie.

- Chuck E. Cheese¹ - powiedziałam.

- Co?

- Nie wspomniałeś o Chuck E. Cheese. Słyszałam, że można tam odzyskać chęć do życia.

Jego mina wyrażała prośbę o powagę i spokój.

- Billie, tu nie chodzi tylko o pieniądze. Ważny jest też czas. I tak mam go już jak na lekarstwo. Z trudem znalazłem chwilę, by teraz się z tobą spotkać. Okazuje się, że nie mam czasu, by zobaczyć się z moją córką. Ty masz dziecko... A ja nie mam czasu.

- Mówisz... Co ty mówisz?

- Mówię, że nie mogę być wszędzie dla wszystkich przez całą cholerną dobę.

- A więc masz zamiar się zmyć?

- Nie o tym mówię.

- To o czym?

- Billie, spotykamy się i brakuje mi na to czasu. Musimy się widywać późnymi wieczorami i udaje mi się to raz albo dwa razy w tygodniu. Przecież wiesz, jak jest z moim czasem. Między pracą, szukaniem pracy, między kursami, gdzie próbuję się przekwalifikować, a moją córką... Nie mam ani chwili.

Popularne w USA rodzinne centra rozrywki - wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza.

Zapadło milczenie. Patrzyłam mętnym wzrokiem w jedną stronę, on skierował swoje nerwowe spojrzenie w drugą.

- Mogę wrócić do latania - odezwałam się.
- I w ciąży zмагаć się z terrorystami?
- No dobrze, więc może powinnam skończyć z tymi zastępstwami i uczyć na pełny etat w L.A. Unified.
- Przy tych wszystkich napięciach na tle rasowym? Już narzekałaś, jakie te dzieciaki złe. One prowadzą wojnę. Czarni nie lubią Meksykanów i gówniarze są gotowi się pozabijać.
- I myślałam o tym, żeby zająć się dubbingiem.
- Dubbingiem?
- Chante Karmel, jedna z dziewczyn śpiewających w chórze Sy, załatwia mi kontakt z Kimberly Bailey i całą ekipą. Niezła fucha. Płacą ponad siedem stówek dziennie i nadgodziny. Plus tantiemy od emisji.
- To nie jest stała praca - Keith potrząsnął głową.
- Wiem. Ale praca.
- Dubbing... Możesz w jeden dzień zarobić, a potem nie widzieć pieniędzy przez kilka miesięcy. Billie, mając dziecko, potrzebujesz czegoś stałego, co by ci gwarantowało wypłatę na koniec każdego tygodnia. Jeśli sama jesteś w tarapatach i nie wiesz, skąd wziąć na kolejny obiad, to pół biedy. Ale nie mieć za co wykarmić dziecka to niedopuszczalne.
- Pomyślałam, że mogę znowu śpiewać. Jakaś praca w studiu.
- Na ile to pewne? Jesteś w stanie zarobić tyle, żeby pokryć wszystkie swoje wydatki?
- Jeśli należysz do związków, płacą ci dodatek do czynszu w przeliczeniu na godziny spędzone w pracy. Plus nadgodziny. To dokładnie skalkulowane.
- Ile dziennie?
- Jakies cztery pięćdziesiąt za osiem godzin.
- Ale to nie jest stała praca.
- No nie jest.
- Musisz mieć stałą pracę, żeby utrzymać rodzinę. - Keith kręcił głową.
- Mam co robić - zatrząsnęłam się.

- Dziecko nie jest czymś, czego możesz spróbować, a jeśli po roku czy dwóch przestaniesz ci się podobać, możesz zrezygnować. Nie ma guziczka, którym wszystko zresetujesz, żeby wrócić do punktu wyjścia. Nie mogłam patrzeć na niego, więc rozglądałam się dookoła, próbując zwalczyć uczucie, jakie wzbudzał we mnie Keith, i zrównoważyć je miłością do samej siebie i poczuciem własnej godności. Moim lękiem. Tak cholernie się wtedy bałam.

Marcel i jej przyjaciółki wyszły z Jamba Juice, niosąc w rękach kaski i koktajle mleczne.

- Cóż, mam prawie trzydzieści cztery lata - wycodziłam przez ściśnięte gardło.

- To rzecz zegara biologicznego - mrukliwie odparł Keith.

- Mam na myśli tylko to, że wchodzę właśnie w tę grupę wysokiego ryzyka, to wszystko. Może to jest sygnał od Boga, że pora zamienić mój motor na jakąś terenówkę i... i... i...

- Zejdz na ziemię, Billie. Cięża bez małżeństwa to nie palec boży. To grzech. To skutek tego, że nie zadbałaś... że nie zadaliśmy o nasze interesy we właściwy sposób. Zdziwiająca, jak wy, kobiety, zachodząc w ciążę...

- Wy, kobiety?

- ...bez ślubu, robicie z tego cholerne święto. Co? Nie podoba ci się to, co powiedziałem?

- A więc to był interes. A ja jestem grzesznicą, która zaszła w nieślubną ciążę. Coś jeszcze?

- Teraz... Billie, mam na głowie mnóstwo rzeczy. Nie wiem, co myśleć.

- Myślisz, że sobie to zaplanowałam? Biorąc pod uwagę całe twoje spaprane życie? I wszystkie te twoje dramaty?

Keith przeciągnął palcami po policzkach, zagłębiając w nich swoje krótko obcięte paznokcie. Pocierał tak twarz raz za razem na tyle mocno, że pozostawił na niej lekkie zadrapania.

- Jak sama powiedziałaś, jesteś w grupie wysokiego ryzyka. Pomyślałaś o tym, że będziesz musiała wcześniej zrezygnować z pracy? To mnóstwo straconych zarobków. Masz coś odłożone na taką okazję? - Wiesz, że nie mam.

- A co będzie, jak już urodzi się dziecko? Co będzie z tym wszystkim, co wtedy?

- Nie sprowadzaj tego do pieniędzy.
- Przestań bujać w obłokach i nie udawaj, że pieniądze nie będą stanowiły problemu. Jesteś bez grosza. Ja też. Dzieci chorują. Trzeba wtedy wziąć wolne, bo w przedszkolach nie chcą, żeby chore dzieci pozarażały inne. I co wtedy zrobisz? Mówię to, żebyś spojrzała realnie na to gówno. One mają swoje potrzeby i nigdy nie przestaną ich mieć. A wszystko, czego potrzebują, kosztuje w taki czy inny sposób.

- Już skończyłeś?
- Pytam cię tylko, czy jesteś na to przygotowana, bo wiem, że ja nie.
- Cóż, jeśli dwoje ludzi się kocha...
- Z miłości nie zapłacisz cholernych rachunków, Billie. Z miłości nie opłacisz prywatnej szkoły i nie kupisz pieluch.
- Wiesz coś o tym.
- Co masz na myśli?
- To ty masz nieudane małżeństwo i to ty czekasz na wyrok rozwodowy.

Ten cios poniżej pasa sprawił, że w jego oczach pojawił się wyraz cierpienia. Żaden facet nie lubi, żeby wywlekać jego porażki.

- Chodziłem na terapię - westchnął. - Carmen, no cóż, wszyscy chodziliśmy.

- Wszyscy? Oddzielnie?
- Razem - odchrząknął. - Taka sugestia padła w sądzie.
- W sądzie?
- Było niewesoło. Gorzej, niż ci opowiadałem. To może być potworne, kiedy masz dziecko z nieodpowiednią kobietą, kiedy musisz znosić jej złości, jej humory i to, jak robi z dziecka kartę przetargową w swoich rozgrywkach. Kiedy ciągle włącza cię po sądach, bo jest... po prostu mściwa.

- Dlaczego ona ci to wszystko robi?
- Taka właśnie jest. Odkąd tylko zobaczyła nas razem w kinie...
- Kiedy dowiedziała się o mnie.
- ...zaczęło się piekło na ziemi. Jest bezwzględna. I ani trochę się nie poprawiło. Rozmawialiśmy... Kłóciliśmy się... A kiedy opadł kurz, okazało się, że wszystkim nam potrzebna jest jakaś profesjonalna pomoc. Szczególnie mojej córce Destiny. Ją dotknęło to najbardziej. I te przejścia w szkole.

- Przejścia?
- I coraz gorsze oceny. Wiesz, że w tych prywatnych szkołach nie ma żartów.
- Ona w ten sposób odreagowuje - spuściłam z tonu. Chciałam dowiedzieć się czegoś więcej. - Nic mi o tym nie mówiłeś.
- Przestałem o tym rozmawiać... z tobą.
- Zauważyłam. Nie moja sprawa, tak?
- To nie tak. Właściwie... chodziło o ciebie... Nie chciałem, żeby całe to gówno zbrukało to, co nas łączy.
- Mogłeś ze mną porozmawiać, Keith. Mogłeś mi o tym powiedzieć. Ale w porządku. Rozumiem to.
- A zachowanie mojej córki wytrąca mnie z równowagi. Destiny zwróciła się obelżywie do matki. Carmen ją uderzyła. To jakiś obłęd. Po tym, jak to się stało, opuściła się w szkole. Bagno pod każdym względem. Carmen mówiła, że poczuła od Destiny jakieś zielsko. Podejrzewa, że coś brała. I wygląda na to, że zadaje się z jakimś chłopakiem.
- Destiny uprawia seks?
- Ona ma piętnaście lat - wziął głęboki oddech.
- To mniej więcej ten wiek, kiedy dziewczęta zaczynają zamieniać seks na miłość.
- Nie mów mi takich bzdur.
- Robimy dokładnie to samo. Szukamy miłości w jedyny głupi sposób, jaki znamy.
- Keith zrobił minę, która mówiła, że nie życzy sobie, żebym nawet myślała tak o jego córce. Potrząsnął głową, potarł kark i wziął głęboki oddech, zanim znów był w stanie coś powiedzieć.
- Wem, że masz mnóstwo kłopotów. Nie miałam zamiaru dokładać ci jeszcze tego, nic z tych rzeczy.
- Swoją drogą... Carmen... no cóż, jest w wojowniczym nastroju... gotowa walczyć zębami i pazurami.
- Wciąż walczy? Twój rozwód trwa zbyt długo. Jesteście w separacji już od roku. Jestem z tobą przez większość tego czasu. Zdawałoby się, że parę miesięcy temu powinno być po wszystkim.
- Nastąpiły komplikacje.
- Komplikacje?

Keith znów ciężko westchnął.

- Odwołała się od wyroku.
- Odwołała się? - powtórzyłam.
- Tak. Odwołała się.
- Jeśli rozwód był w toku... od tak dawna... to jak... jak mogła się odwołać?
- Znalazła kruczek. Skłamała, że nie udzielono jej wystarczająco dużo czasu, by mogła odpowiedzieć na pozew.
- To bzdura.
- A na dodatek doszukała się jakiegoś błędu w procedurze, czy czegoś tam. Koniec końców wygrała tę rundę.

Próbowałam się skupić i ogarnąć to wszystko.

- To co, musisz zaczynać od początku?
- Na to gównie potrzeba pieniędzy, których nie mam - odparł, pocierając nerwowo dłonie.
- Zwolnij tego adwokata. Weź nowego.
- Nie rozumiesz? Rozmawiam z prawnikiem przez godzinę i kosztuje mnie to tyle ile jedzenie na dwa tygodnie. To wszystko mnie... Jestem splukany. Ona wysłała ze mnie życie.

Zawiesił głos. Bardzo mu współczułam. Jego twarz zaczęła się zmieniać i pojawił się na niej wyraz bezdennej udręki.

- Posłuchaj, Billie... nie chciałbym, żeby to zabrzmiało bezduszenie... miałem dzisiaj przesrane dzień... ale muszę spojrzeć prawdzie w oczy... obydwójce musimy... dwoje zakochanych ludzi, dwoje zakochanych bankrutów może się w końcu zamienić w dwoje wrogów. Jednej nocy się pieprzą, a następna noc to Wojna Róż.

„Pieprzą się”. Powiedział „pieprzą się”. Nie nazwał tego, co robiliśmy, „kochaniem” ani „uprawianiem seksu”. „Pieprzenie”. Sprowadził naszą intymność do jej najniższej, najbardziej barbarzyńskiej postaci. Nie zrozumcie mnie źle. Pieprzenie to nic złego, a barbarzyństwo to najlepsza rzecz w erze internetu, ale bywają takie drażliwe momenty, kiedy o pieprzeniu nie powinno się mówić jak... jak o pieprzeniu.

- O czym myślisz? - zapytałam.
- O tym, jak ożeniłem się z Carmen... De fatalnych decyzji można podjąć w jednym zasranym życiu, co? Dociera do mnie, jak sami urządzamy

sobie piekło tutaj na ziemi. Myślę o tym, jak się zapędziłem w kozi róg. Mówisz mi, że jesteś w ciąży. Kurwa, nie spodziewałem się tego. Jakkolwiek bym postąpił, nie będzie różowo. Muszę wybierać między miłością a ekonomią. Każda decyzja będzie zła.

- Wiesz co? - zaczęło mnie ponosić. - Jestem już zmęczona słuchaniem tego, jak narzekasz na tę sukę. Mówię ci, że jestem w ciąży, a wszystko, na co cię stać, to pieprzona gadka, że ta suka to, ta suka tamto. Pieprzyć tę sukę.

Hormony. Moje cholerne hormony wymknęły się spod kontroli. Czułam się podminowana.

Jego oczy pociemniały, a mięśnie przeniknął skurcz. Posłał mi spojrzenie samca alfa, które napęłniłoby mnie przerażeniem, gdybyśmy byli sami. Keith był typem silnego milczka, ale w jego krwi dominował temperament Środkowego Południa. Nie miałam pojęcia, co mogłoby się wydarzyć, gdybym posunęła się za daleko w niewłaściwym kierunku. Jego zachowanie prostego chłopaka z sąsiedztwa nieodparcie przywodziło na myśl East Side. Jego twarda postawa mówiła mi, że pomimo tego, co się dzieje, jest mężczyzną, jest tym mężczyzną, i najlepiej, bym o tym pamiętała, jeśli nie chcę poznać go od tej ciemnej strony.

Mimo to nie spuszczałam z tonu.

- Skoro tak zamartwiasz się o swój budżet, to z mieszkaniowego i ekonomicznego punktu widzenia byłoby chyba najlepszym wyjściem, gdybyś wrócił do swojej byłej.

Przełknął ślinę, zmarszczył brwi, a na jego twarzy pojawiła się zboląta mina, zupełnie mi obca. Odetchnął głęboko.

- Przede wszystkim nie wiedziałem, że masz zamiar uraczyć mnie tą bombą. Są rzeczy, o których chciałem dzisiaj z tobą pomówić w cztery oczy.

Poczułam się, jakby moje serce zacisnęło się jak pięść. To nie zwiastuje niczego dobrego, kiedy mężczyzna oznajmia, że chciał z tobą porozmawiać.

- Nienawidzę mojej obecnej sytuacji. Nienawidzę się budzić. Stawiać temu czoło. Doszło do tego, że zastanawiam się nad tym, jak przeżyć. Podjąłem kilka błędnych decyzji, ale musiałem też podjąć kilka trudnych decyzji. Kilka cholernie trudnych decyzji.

Moje serce ścisnęło się jeszcze mocniej.

- Billie, wiesz, że cię kocham, prawda? - wyszeptał.
- Ten rozwód... Będziesz znów się starał, tak? - słowa zdawały się śaczyć przez skórę mojej twarzy.
- Moja córka znalazła się między młotem a kowadłem. Dopóki ciągnemy się po sądach, wszyscy przegrywają. Nie będziesz szczęśliwa, nie na dłuższą metę, i moja córka też nie będzie szczęśliwa, daję głowę, że nie będzie. Nie ma korzystnego wyjścia z tej sytuacji, nie dla wszystkich.
- W jego żagle uderzał już powiew z innej strony.
- Wiesz, jak teraz stoję finansowo - Keith wciąż mówił łagodnym tonem.
- Wniesiesz znów ten pozew? Tak czy nie, Keith? Tak czy nie?
- Najpierw spałem na podłodze w moim głównym mieszkaniu, potem spałem na dmuchanym materacu i zaczęły mnie wykańczać plecy, aż musiałem pożyczyć od ciebie pieniądze, żeby sobie kupić porządny materac.
- Keith, po prostu to powiedz - opuściłam powieki.
- I robię to dla mojej córki.
- Powiedz to.
- Wziął oddech, bardzo głęboki, a potem wyrzucił to z siebie.
- Billie, chciałem spotkać się z tobą twarzą w twarz i powiedzieć ci, że wracam do mojej żony.

Billi!

- Porzucasz mnie w Starbucksie? W Starbucksie? Żartujesz, prawda? Siedziałam tam, w ciąży, skulona, oszołomiona, a moje serce wariowało.

- Popatrz, Billie, jeśli wrócę do Carmen - tylko przez wzgląd na moją córkę - odpadają alimenty, koszty sądowe i perspektywa spotkań z dzieckiem w co drugi weekend i co drugie święta. Nie będę musiał dzwonić dwadzieścia cztery godziny wcześniej, żeby zobaczyć się z moją córką, i będzie mi wolno zabrać ją na wakacje poza miasto bez cholernej zgody sądu. Już nie wspomnę o tym, że one siedzą w domu, który to ja kupiłem, i jedzą steki, podczas gdy ja praktycznie żywię się karmą dla psów.

Chciał dotknąć mojej dłoni, ale ją cofnęłam.

- Wciąż kochasz Carmen, prawda?

- To nie ma nic wspólnego z miłością.

- Kochasz ją. Mimo tego wszystkiego, co wygadywałeś na jej temat.

- Jest matką mojej córki. Kocham moją córkę.

- Rozstajesz się ze mną w tym pieprzonym Starbucksie, przy tych wszystkich... To jakiś koszmar, Keith.

Na mojej twarzy malowała się złość i ból. Przeciągnęłam językiem po zębach. Keith odchrząknął. Wciąż się miotał.

- Powinnaś o tym wcześniej pomyśleć.

Wpatrywałam się w jego twarz, ale nie był w stanie odwzajemnić mojego spojrzenia. Nie potrafił podnieść wzroku, by popatrzeć w te oczy, które, jak zaklinał, były tak erotyczne i hipnotyzujące.

- Nie odpowiedziałeś mi na pytanie - powiedziałam.

- Jakie pytanie?

- Kochasz ją?

- Muszę kochać moje dziecko bardziej, niż pogardzam jego matką.

- Po prostu „tak” albo „nie”.

Zacisnął powieki i potrząsnął głową, jakby chciał wytrzepać z niej wszystkie problemy. Kiedy wreszcie otworzył! oczy i spojrzał na mnie, wyglądał na zaskoczonego tym, co zobaczył.

- Billie...

- Pierdol się.

Sięgnęłam do kieszeni kurtki i wyciągnęłam pieniądze, żeby zwrócić mu za moją kawę.

- Nie chcę od ciebie niczego.

Wstając, cisnęłam na stolik garść drobniaków, z których większość stoczyła się na ziemię.

Kiedy znów wypowiedział moje imię, zamarłam w bezruchu. Wstał, podszedł do mnie i dotknął moich włosów. Moje lodowate wnętrza ogarnęły płomienie. Pragnęłam go tak okrutnie, że niemalże konałam.

- Billie, nie rób tego - powiedział. - Usiądź. Musimy to przedyskutować.

- Co przedyskutować?

- Musimy jakoś... pójść na kompromis.

- Gdzie widzisz kompromis w takiej sytuacji?

Odsunęłam się od niego. Wyglądał na załamane, był kompletnie zdruzgotany.

Zacisnęłam drżące wargi. Moja twarz była rozpalona niczym powierzchnia słońca. Powstrzymywałam wzbierające strumienie łez, starając się je zatamować przynajmniej do momentu, kiedy przejdę przez parking i wsiądę na motocykl.

- Lepiej będzie, jak przerobisz to wszystko z psychologiem - powiedziałam, wyciągając w jego stronę wskazujący palec.

- Billie... - powtórzył po raz kolejny.

Znalazłam w sobie resztkę sił, która pozwoliła mi oderwać się od stolika. Byłam tak skołowana, że w pośpiechu rzuciłam się w złym kierunku, ale wstyd powstrzymywał mnie, by zawrócić. Czułam się zbyt upokorzona, by znowu stawić mu czoło. Przepychając się między ludźmi, weszłam do wnętrza baru i starałam się zniknąć w tłumie. Nie mogłam wskoczyć na motor i odjechać, nie tak rozpieprzona jak teraz. Mogłabym wylecieć z siodła i skrócić sobie kark, zanim zdążyłabym dojechać do La Brea.

Widziałam wszystko jakby zza chmur. Mój zdrowy rozsądek był cholernie nadwątlony.

Mężczyźni, którzy odprowadzali wzrokiem każdy damski tyłek, przerwali swoje intelektualne wywody o tym, jak to Lakersi zeszli na psy, i zaczęli się gapić na ponętne kształty siostry, która właśnie mijała ich, kręcąc biodrami. Te prymitywy szeptały o mnie. Znow ktoś postrzegał mnie jako zbiór budzących pożądanie części ciała. Pośladki, za które chcieliby złapać, uda, które chcieliby oblać miodem i wylizać, soczystą szparkę, która pragnie poczuć w sobie dotyk palców i języka. Nic wymyślnego, nic znaczącego, coś, co zawsze sprowadzało mnie do najniższego poziomu.

Świat nadal miał postać rozmazanych plam.

Mignął mi tylko przed oczami ciemny błękit jego kurtki. Kiedy wpadłam na niego, upuścił książkę i gazetę, zonglując kubkiem pełnym kawy. To był Raheem. Poczulałam się jeszcze bardziej zakłopotana.

- Pobrudziłam ci ubranie? - spytałam.

Spodziewałam się, że popatrzy na mnie, jakbym była ofertą tygodnia.

- Stój, Billie... pomyśl, zanim... popatrz... w porządku... spokojnie... Miał przy pasku komórkę z podłączonym zestawem słuchawkowym i mówił do tego wihajstra. Schylił się po gazetę, która zaczęła już nasiąkać rozlaną kawą. Jakiś magazyn prawny i wykazy nieruchomości. Potem upuścił książkę. Odstawiliśmy tam scenę, której nie powstydziliby się sami Three Stooges².

- Pozwolisz, że wezmę twoją książkę - powiedziałam.

Kiedy on wyłączył telefon i walczył z gazetą i kawą, odgarnęłam z twarzy kosmyk włosów i przykucnęłam, by podnieść jego książkę. Nasze spojrzenia spotkały się.

Byłam nieobecna. Nie było mnie nawet w pobliżu. Gapiłam się na niego, a w mojej głowie panował zamęt.

Zadzwoniła moja komórka. Popatrzyłam na wyświetlacz. To Keith. Był tuż za drzwiami. Stał w miejscu, z którego mógł obserwować moje upokorzenie, i dzwonił do mnie, jakby dzieliła nas wielka odległość.

- No i jak ci idzie z tym typkiem? - zapytał.

Three Stooges (dosł. Trzej Pajace) - mato znani w Polsce amerykańscy komicy, klasyki krótkich filmów komediowych z okresu międzywojennego.

Nie odpowiedziałam.

Raheem spojrział w jego stronę, zauważył, że Keith gapi się na nas, a potem spytał:

- Czy wszystko w porządku?
- Wiesz, przepraszam za... wybacz, że cię potrąciłam.
- Posłuchaj, jeśli masz chwilkę, chciałbym o czymś z tobą porozmawiać. O pracy.
- Nie jestem zainteresowana.

Odwróciłam się gwałtownie i torując sobie drogę między miłośnikami kawy, ruszyłam w stronę damskiej toalety.

Billie, chciałem spotkać się z tobą twarzą w twarz i powiedzieć ci, że wracam do mojej żony.

Słowa te rozbrzmiewały echem, a każde z nich było jak cios w podbrzusze.

Trzymając w ręku rolkę papieru toaletowego i trzy nakładki na sedes, mające chronić moje pośladki przed bakteriami, usiadłam i czekałam, aż mój pęcherz zrobi swoje.

Ścisnęło mnie w gardle.

Łzy ciążyły mi jak kowadło.

Zza drzwi dobiegł mnie ochryply kobiecy głos, w którym pobrzmiwał zadziorny styl Brendy Vaccaro³, modulacja równie szorstka jak moja. Przybierał na sile, był coraz bliżej. Mówiła do kogoś, by dotrzymał towarzystwa tacie i że zaraz będzie z powrotem, kiedy tylko skorzysta z łazienki.

Drzwi. Nie zamknęłam drzwi.

Zerwałam się, ale spodnie spętały mi nogi w kostkach. Zaczęłam drobić niczym kaczka, tak szybko jak mogłam, ale potknęłam się i musiałam przylgnąć do ściany, aby nie uderzyć głową w porcelanową umywalkę.

Drzwi otworzyły się i kobieta wparowała do środka, jakby była najprawdziwszym superbohaterem. Odjęło mi mowę.

Próbowałam z powrotem opuścić tyłek, gdyż nie miałam ochoty tak stać z intymnymi częściami mego ciała na widoku. Kobieta zastygła

Brenda Yaccaro - ur. 1939, amerykańska aktorka teatralna i filmowa włoskiego pochodzenia.

w bezruchu, stojąc w otwartych drzwiach. Jej spojrzenie było skoncentrowane, bardzo intensywne i bezpośrednie. Szerokie usta o dużych, pełnych wargach. Ciało doskonale proporcjonalne, nierozróżnione nadmiernie ani w okolicy ramion, ani w biodrach. Nie miała wysmukłej sylwetki, ale nie było widać na niej ani odrobiny tłuszczu. Była piękna. Miała bujne włosy w kolorze cynamonu, które wytwornie okalały jej twarz, opadając na plecy upięte w staromodny koński ogon. Jej garderoba była równie wysmakowana. Wcięta w taliu kurtka z wężowej skóry o bufiastych rękawach, dzinsy o ciemnym odcieniu i buty na wysokich wielobarwnych obcasach. Oszczędny makijaż w barwach ziemi. Połączenie afrykańsko-amerykańskiej dumy ze światowym szykiem.

Po raz pierwszy i ostatni widziałam tę sukę, kiedy Keith i ja wychodziliśmy z kina w Howard Hughes Center. Nasze małżeństwo Shangri-la⁴. Trzymając się za ręce i śmiejąc jak para nastolatków, wpadliśmy wprost na jego oszołomioną żonę i ich córkę.

Tego dnia dowiedziałam się, że byłam jego tajemnicą. One nie zdawały sobie wcześniej sprawy z mego istnienia.

Tego dnia, kiedy Carmen zobaczyła nas trzymających się za ręce i roześmianych, jej oczy wypełniły się łzami zazdrości. Keith musiał przystanąć, musiał odezwać się do swej córki, okazać jej uczucie i uścisnąć, podczas gdy Carmen i ja, jego przeszłość i teraźniejszość, w milczeniu taksowałyśmy się nawzajem wzrokiem i rozmyślałyśmy o tym, co będzie dalej.

- Zamknij drzwi - wrzasnęłam.

- Powiedział ci? - Jej szorstki głos miał tak władczy ton, jakby była prokuratorem okręgowym, który zwraca się do przestępcy zeznającego przed sądem. - Chcę tylko sprawdzić, czy zgadza się to, co usłyszałam od niego, i czy jesteś świadoma, że twój romans z nim jest oficjalnie zakończony.

- Zamknij te pieprzone drzwi, suko.

- Dobrze. Powiedział ci - uśmiechnęła się ironicznie. - Węc rozumiesz, że wasz układ jest...

- Zamknij te cholerne drzwi.

Odległe, nieistniejące miejsce, w którym wszystko jest piękne i przyjemne. Nazwy tej użył James Hilton w swej powieści *Zaginiony horyzont*.

- ...skończony i nie masz po co do niego dzwonić ani wysyłać mu maili. Nie masz po co wysyłać mu SMS-ów. Swoją drogą zajrzałam do jego telefonu i widziałam te zdjęcia toples, które mu...

- Drzwi, suko.

Przyglądała ubranie, a jej oczy omiotły mnie z góry na dół.

- Tak mi przykro, skarbie. - Jej wykrzywiony uśmiech zdawał się dotykać mojej twarzy, moich łez, mojego lęku. - Ale tak się dzieje, kiedy igrasz z ogniem. To już koniec. Zapamiętaj to. I uszanuj.

- Prosisz się, żeby skopać ci dupę.

- Tknij mnie. Tylko spróbuj. Tknij mnie, a zapuszczuję cię szybciej, niż zdążysz się obejrzeć. Proszę bardzo. Kiedy już podetrzesz sobie tyłek, wyjdź stąd i tylko mnie tknij na oczach ludzi.

Odeszła, pozostawiając te cholerne drzwi otwarte. Pokuśtykałam do nich i zamknęłam je z trzaskiem. Wygrzebałam z plecaka komórkę i wybrałam numer Keitha. W momencie, kiedy odebrał, właśnie spuszczałam wodę i przytrzymując telefon ramieniem, szarpałam się ze spodniami.

- Wiedziałeś, że ta suka tu przyjdzie? Umówiłeś się tu ze mną i wiedziałeś, że ona...

Przerwał połączenie.

Próbowałam się odświeżyć, doprowadzić swój wygląd do przyzwoitego stanu, po czym rzuciłam się w stronę drzwi, wybierając ponownie jego numer.

- Nie rozłączaj się - wrzasnęłam, kiedy odebrał.

- Gdzie jesteś?

Stałam obok lady z kanapkami, dzieliła nas sala wypełniona aromatem kawy. Była z nim jego córka, słodka piętnastolatka o oczach jelonka Bambi i zębach nieproporcjonalnie dużych w stosunku do reszty twarzy. Wyglądała tak niewinnie. Nie mogłam sobie wyobrazić, że mogłaby komukolwiek sprawić jakiś kłopot.

- Ładną masz córkę. Jest podobna do ciebie - powiedziałam to, aby dać mu do zrozumienia, że jestem w sali.

Przerwał i zaczął się nerwowo rozglądać, aż wreszcie mnie zauważył. Carmen stała niedaleko stojaka z płytami, w tłumie otaczającym kontuar, gdzie wydawano zamówienia. Z głośnika rozległo się wołanie. Gorące venti z cydrem i duża mokka, czy coś takiego, z bitą śmietaną. Carmen

odebrała oba kubki. Dziewczyna przyłgnęła do boku Keitha. Córeczka tatusia, ubrana w szerokie džinsy, drewniaki i jaskrawożółtą kurtkę.

Zauważyła mnie. Spojrzała na ojca, potem w stronę matki i znów na mnie. Gdzieś pierzchła jej uszczęśliwiona mina. Zaczęłam się zastanawiać, czy matka zatrula ją kalumniami na mój temat.

- I co, czy to jedna z tych duchowych wycieczek zalecanych przez sąd?

Odsunął się od dziecka, wszedł w tłum i ściszył głos tak, by nie dosłyszała go córka. Ta ruszyła za nim, skarżąc się, że nie chce spędzać tej nocy w domu swej babki. Odparł jej, by nie sprzeciwiała się decyzji matki, i powiedział to takim tonem, jak gdyby nikt w tej rodzinie nie śmiał podważać zdania Carmen. Kiedy jednak dziecko nadal nie dawało za wygraną, Keith sięgnął do kieszeni, wyjął pieniądze i powiedział jej, by poszła do Warehouse i kupiła sobie tę płytę, którą chciała mieć. Wzięła pieniądze, ale zanim wyszła, popatrzyła na mnie. Jej młoda twarz była tak jasna, emanująca niewinnością. Pomachała mi ręką, lekko i przyjaźnie, a ja odpowiedziałam jej tym samym, żałując, że nie jest moim dzieckiem.

- Keith, to już koniec. To już naprawdę, kurwa, koniec.

- Nie rób tego, Billie. Jestem z moją córką.

- A ja noszę w sobie twojego syna... albo córkę.

- Posłuchaj... do cholery... przemyśl to. Mieć dziecko... Billie, bądź realistką. Powinnaś to odpowiednio urządzić. Najpierw wyjść za mąż. Mieć partnera. Stabilne finanse. Mieć jakiś plan. Tylko o to mi chodzi.

- Uszanuj mnie, Keith. - Szanuję cię, Billie.

- Mówię ci, że jestem w ciąży, a pierwsze, co robisz, to każesz mi ją usunąć. To jest szacunek? - Billie... proszę... to nie tak...

- Rozstajesz się ze mną w Starbucksie... przy kubku jakiejś tam mokki... to ma być szacunek? Czemu nie wysłałeś mi tej wiadomości telegramem, SMS-em albo e-mailem, zamiast umawiać się ze mną tutaj? Carmen, kołysząc biodrami, szła między ludźmi, upokorzona usiłowała zapanować nad swoim wizerunkiem. Kurze łapki w kącikach jej oczu były jednak widoczne nawet spod grubej warstwy makijażu, obwieszczając, że jest zestresowana i przyjdzie tutaj wraz z dzieckiem służyć temu, by postawić na swoim. Jej przesłanie było wyraźne i oczywiste.

Jesteśmy rodziną.

Kiedy zauważyła, że trzymam przy uchu komórkę, kiedy zobaczyła, że Keith również rozmawia przez telefon, jej sztuczny uśmiezek znikł.

- Kocham cię, Billie. Choćby nie wiem co, kocham cię - usłyszałam w słuchawce.

- Jeśli mnie kochasz, nie pozwól, aby ta suka cię tyranizowała. Bądź mężczyzną i przejdź na drugi koniec sali...

W odpowiedzi przerwał połączenie.

Carmen z uśmiechem wręczyła mojemu roztrzęsionemu dawcy nasienia parujący kubek, a potem pogłaskała go po ramieniu, oglądając się przy tym w moją stronę. Jej długie palce błędziły po jego skórzanej kurtce.

Dotknęła go. Nie odsunął się ani jej nie odtrącił. Tyle lat zażyłości.

To był jakiś obłąd. To było kurewsko bolesne. Obdarzyłam go uduchowieniem na miarę Iyanli Vanzant⁵ i miłością, która wprawiłaby w zażenowanie samą Vanessę Del Rio⁶. Dałam mu wszystko, czego tylko zapragnął, i oto, co teraz otrzymywałam w zamian. Rozszalałe hormony pchnęły mnie w ich stronę.

Tknij mnie. Jej twarz miała ten zuchwały wyraz. *Tylko mnie tknij.*

Próbowała mnie podpuścić. Chciała, żebym to zrobiła, tak aby ona mogła mnie wsadzić do paki.

Pomyślałam sobie, jak zniosłabym te dziewięćdziesiąt dni za kratkami. Albo pół roku. Czy nawet rok. Ona chyba nie zdawała sobie nawet sprawy, jak niewiele brakowało, żebym chwyciła coś ostrego i zrobiła jej z tej chudej dupy garaż. Tylko dwie sekundy dzieliły mnie od pomarańczowego kostiumu, srebrzystych bransoletek i przekonania się na własnej skórze, jak doskonale funkcjonuje nasz wymiar sprawiedliwości.

Ale przecież byłam w ciąży. Przypuszczałam, że ciąża w więzieniu nie jest najlepszym pomysłem.

Ludzie spoglądali na mnie z ukosa. Cała sala szykowała się na przedstawienie, wytrzeszczając oczy i poszeptując. Nawet nienaturalnie wielki Magie Johnson wymalowany na ścianie opuścił kubek z kawą i przestał się uśmiechać.

Autorka wykładów i książek poświęconych motywacji oraz rozwojowi duchowemu. Popularna w latach 70. XX w. gwiazda filmów pornograficznych.

Poczułam wstyd przed nimi wszystkimi i wycofałam się. Niemalże wyszłam na furiaatkę.

Pragnęłam znaleźć się w domu. Opuścić to żalosne miejsce, nie przechodząc obok tego skurwiela i tej przeklętej suki. Nie potrafiłabym minąć ich i nie bluznąć jadem. Nie mogłabym spojrzeć na nich ani przez chwilę, by nie zaskowyczeć jak strzyga.

Wykonałam nagły zwrot w tył i mruczając pod nosem, ruszyłam w stronę korytarza, byle dalej od tych wszystkich spojrzeń. Odseparowałam się od tłumu flirtujących i szczęśliwych ludzi, którzy nie mogli się doczekać weekendu. Nie mogłam patrzeć, jak celebrowają swoją miłość, pożądanie i prawość wśród oparów kawy i echa przebrzmiałych słów. Stałam w tym korytarzu, jakbym była jeńcem wojennym w swoim małym Hanoi Hilton⁷.

Kiedy nareszcie wyszłam na zewnątrz, wszyscy zniknęli, rozmyli się jak UFO.

Znajdujący się w centrum Hanoi kompleks więzienny, w którym przetrzymywano amerykańskich jeńców wojennych podczas wojny w Wietnamie.

BILLIE

Szarpnięciem zapięłam zamek mojej skórzanej kurtki i naciągnęłam rękawice. Kask leżał przypięty do siedzenia. Wskoczyłam na motocykl, spychając go z widełek, i odpaliłam tę moją ślicznotkę, dodając trochę gazu. Maszyna wydała potężny, ociężały odgłos. Trzymałam ją na wysokich obrotach, tak by ryczała, a dźwięk ten odzwierciedlał moje uczucia.

Kilka głów obróciło się w moją stronę. Przyciągnęłam uwagę, na której mi nie zależało. Moje ducati było najseksowniejszym zjawiskiem na jezdni. Ta niesforna żółć, moc, połyskujące profile, włókna węglowe, rura wydechowa z tytanowym tłumikiem, dzięki któremu motor brzmiał tak niesamowicie. Ten gładki śpiew był jedyny w swoim rodzaju. Na dźwięk tej uwodzicielskiej pieśni mężczyźni gapili się na mnie z szeroko rozdziawionymi ustami, jak gdyby zobaczyli Halle Berry w stroju Kobiety Kota kroczącą dumnie przez parking z odkrytymi pośladkami. Kilku facetów ruszyło w moją stronę, nerwowo kołysząc biodrami i trzymając się za krocza, jak gdyby chcieli powstrzymać erekcję, byle tylko obejrzeć moją ślicznotkę i jej dotknąć, ale zarzuciłam plecak i uciekłam od tych napaleńców, nie zakładając kasku.

Czułam, że nie pasuję do tego świata.

Urodziłam się w Japonii. Wyjechałam stamtąd, zanim skończyłam pięć lat. Stacjonowała tam jednostka wojskowa, w której wtedy służył mój ojciec. Był czarny i miał w sobie krew Czarnych Stóp i Irokezów. Kiedy zakończył służbę w Siłach Powietrznych Stanów Zjednoczonych, moi rodzice osiedlili się w Kalifornii. Tata uwielbiał jeździć na swoim harleyu. I uwielbiał mnie na nim wozić. Mówiłam, że to jego Ledwie Ujeżdżony Rumak. Zawsze droczyłam się z nim, że kierownica jest tak wysoko, jakby miały się na niej huśtać małpy, i gdy wyciąga do niej ręce, wygląda jak Clyde z filmu *Każdy sposób jest dobry*. Oburzał się wtedy i nazywał mój motocykl japońskim złomem. Na wskroś amerykański wojskowy,

który nie przebiera w słowach, jeśli ktoś kupuje towary inne niż amerykańskie. W moim wypadku był to akt rebelii.

Ojciec nauczył mnie wszystkiego, co umiem. Wszystkiego, od jazdy na tylnym kole, przez popisy w stylu Mad Maksa, aż po obserwację horyzontu. Byłam już prawie nastolatką, kiedy trafiliśmy tutaj. Mój ojciec zmarł. Najpierw wygrał z rakiem prostaty, przeżył raka płuc, a parę lat po rozwodzie z moją matką miał atak serca. Myślę, że wykończyły go te gorące dupcie, które zarywał, jeżdżąc swoim motorem. Zawsze musiał wozić jakąś pasażerkę. Nie ułatwiało nam to życia. Mojej matki też już nie ma. Była długodystansowcem z prawdziwego zdarzenia. Zaczęła jeździć po śmierci ojca i robiła to z miłości do niego. Raz do roku wybierała się ze swoim klubem na dziesięciodniowe wakacje i przejeżdżała na harleyu półtora tysiąca kilometrów dziennie. Po śmierci taty stałyśmy się sobie bliskie i dużo razem podróżowałyśmy. Myślę, że jego śmierć zbliżyła nas do siebie, tak jak zaskoczyła nas jej choroba. Dziesięć lat temu, w kwietniu, wykryto u niej raka wątroby, który pokonał ją już w czerwcu. Tak oto zostałam sierotą.

Pewnego dnia uświadomiłam sobie ich brak, ale chyba zniosłam to lepiej niż inni. Nie był to dla mnie dobry dzień.

Odeszli, ale jakby wciąż tu byli.

Miałam wzrost ojca i ciało matki, ale nie odziedziczyłam jej wdzięku. W młodości była tancerką. W Japonii występowała w klubie, gdzie znalazł ją mój ojciec. I wykradł z tamtego świata. Mam małe oczy matki i pełne wargi ojca. Mam po matce wspaniałe włosy i grube brwi po ojcu. Po niej też odziedziczyłam karnację skóry z odcieniami brązów, czerwieni i pomarańczy.

Mam orzechowe oczy ojca. Jego dołki w policzkach. Jego wędrowniczą naturę. Jego rozgorączkowanie.

W swoim życiu kochał - to znaczy był tam zakochany - w Niemczech, Okinawie, Japonii, Rosji, Korei, Holandii, Meksyku, Irlandii, Arabii Saudyjskiej i Norwegii. Często opowiadał mi o tych miejscach.

Oprócz Hawajów. Hawaje kochał ponad wszystko.

Mam serce mojej matki, takie, które żyło, by kochać i otaczać troską. Ona odziedziczyła je po swojej matce. I po kobietach, które żyły przed nią. Pochodzę z rodziny, w której kobiety wierzyły, że ich zadaniem jest

opiekować się mężczyzną. Nie bić pokłonów czy zamienić się w służącą, ale być jego fantazją, nieprzyzwoitą dziewczynką, damą i towarzyszką zarazem. Moja matka była tym wszystkim dla taty. Bez względu na to, jak źle układało się między nimi, ona stała po jego stronie.

Był to właśnie jeden z tych dni, kiedy miałam ochotę z nimi porozmawiać.

Czasami zamykałam oczy i słyszałam ich głosy na wietrze. Oni już odeszli.

Z zadumy wytrącił mnie samochód, który podążał moim śladem. Jechał tak, jakby chciał mnie dogonić. Najpierw zamrugwały światła, potem rozległ się klakson.

Mogłam czmychnąć przed nim, ale musiałam się zatrzymać, bo prywatny parking kończył się tuż za ciągiem sklepów, gdzie zaczynał się korek uliczny na La Cienega. Kalifornijskie przepisy wymagały, bym przystanęła i nałożyła kask, zanim moje opony dotkną publicznego asfaltu. Zresztą nigdy nie wyjechałabym na główną ulicę z odkrytą głową, nawet gdyby prawo tego nie zabraniało. Za dużo tutaj wariactwa na drogach.

Zahamowałam na wprost Mail Connexion.

Samochód, który mnie śledził, zrobił to' samo.

Zakląłam i westchnęłam z rozdrażnieniem. To był Raheem.

Nie gasząc silnika, wyskoczył z samochodu i biegiem ruszył w moją stronę.

Stałam obok motocykla, odpinając kask od siedzenia.

Raheem zbliżył się do billboardu z napisem „Kto mnie zabił?”. Zdjęcie przedstawiało Lisę Wolf patrzącą na panoramę miasta. Jej zwłoki znaleziono w Playa del Rey. Ktoś ją zastrzelił. Jej ojciec był kiedyś burmistrzem Compton. Pogrążona w żałobie matka wyznaczyła za wykrycie sprawcy sporą nagrodę, o czym informowały olbrzymie plakaty. Przypominały one, że świat jest wypełniony złem, a przyzwoitym ludziom przytrafiają się straszne rzeczy.

- Jej mąż jest właścicielem wypożyczalni samochodów przy porcie lotniczym. Biały chłopak z Nowego Jorku.

- Też o tym słyszałam.

- Tak. Myślą, że to jego sprawka, tylko udało mu się wymigać. Taki biały OJ.

Raheem jeździł kruczoczarnym dwumiejscowym porsche z opuszczonym dachem.

- O co chodzi? - zapytałam.

- Co masz na myśli?

- Jedziesz za mną. Upaprałam ci ubranie i teraz będziesz mnie śledził?

- Mógłbym zaprowadzić cię do sędziego Joego Browna⁸ i domagać się odszkodowania.

- Szkoda, że nie próbujesz mnie zaskarżyć. Mógłbyś liczyć na biurokrację.

Roześmiał się.

- Chciałem zapytać, czy dałabyś się namówić, żeby nauczyć mnie jeździć.

- Już się tym nie zajmuję.

- To znaczy chciałbym cię wynająć.

- Jesteś głuchy czy po prostu głupi?

- Prywatne lekcje.

- Odpuść sobie.

- Mówię poważnie. Czysty interes. Zapłacę ci, ile sobie zażyczysz.

Odwróciłam się do niego plecami, nałożyłam kask, podniosłam osłonę i zapięłam pasek pod brodą. Miałam nadzieję, że Raheem zrozumie moją odpowiedź, wsiądzie do tego czterokołowego wabika na panienki i pogna w swoją stronę, ale on wciąż stał obok mnie. Prawo powinno zakazywać mężczyznom tak szalowego wyglądu. Jego samochód nęcił panienki, a on sam działał na lechtaczki jak magnes. Na szczęście moja została rozmagnesowana.

- Cerritos College. Zadzwoń do nich. Zapisz się na kurs MSF⁹.

- Taki kurs to dwa weekendy.

- Nie mój problem.

- Dwie sesje odbywają się wieczorem w ciągu tygodnia, a to nie pasuje mi do rozkładu zajęć.

⁸ Sędzia Joe Brown prowadzi rozprawy w serialu dokumentalno-fabularnym z gatunku court-show emitowanym przez telewizję CBS od 1998 roku.

⁹ Motorcycle Safety Foundation jest organizacją dotowaną przez amerykańskich producentów i dystrybutorów motocykli, która od 1973 roku prowadzi kursy bezpiecznej jazdy dla motocyklistów.

- Nie mój problem.
- Słuchaj, poratuj mnie. Właśnie cię błagam. Już kupiłem motor.
- Słomiany jeździec.
- Co takiego?
- Jesteś słomianym jeźdźcem. Takim, co kupuje motor, zanim nauczy się jeździć. Dopilnuj lepiej swoich nieruchomości. Nadziany głupek na motorze to martwy głupek.
- Myślałem, że mógłbym znaleźć kogoś, kto mnie nauczy. Spojrzał mi w oczy.

Westchnęłam, patrząc na przejeżdżające samochody. Centrum handlowe Ladera zajmowało niewielki obszar, do którego prowadziły cztery okropne przesmyki, koszmarnie wjeżdżających i wyjeżdżających, gdzie wszyscy byli opryskliwi i zniecierpliwieni. Parking był zapchany po brzegi. Samochody mijaly nas jeden po drugim, a w wielu z nich huczała muzyka.

Wiedziałam, że Keith mnie opuścił, ale moje serce wciąż go wypatrywało.

Zacząłam się przełamywać. Zdjęłam rękawiczkę i uderzając się nią po udzie, postanowiłam doprowadzić tę konfrontację do końca. Chciałam wreszcie zostać sama, więc postąpiłam zgodnie z klubowym zwyczajem i żeby przerwać uprzykrzoną rozmowę, powiedziałam do Raheema:

- Wiesz co, daj mi swój numer telefonu. Wyciągnął wizytówkę i wręczył mi ją.

- Numer mojej komórki jest na odwrocie. Domowy też. Spojrzałam na niego. Na kartoniku widniały trzy numery, a tusz był jeszcze wilgotny.

- A ty masz wizytówkę? - zapytał.

- Nie dla ciebie.

Pokiwał głową, ale wciąż stał w miejscu.

- I co się tak na mnie gapisz?

- Jedyne sposobem, by wiedzieć, że patrzysz na mnie, to patrzeć na ciebie. Zachichotał z cicha. Zachowałam kamienną twarz.

Kiedy przedarłam jego wizytówkę na pół, śmiech ucichł. Wpatrywaliśmy się w siebie przez chwilę.

- Wdziałem żonę Keitha - powiedział. - Minałem się z nią w drzwiach, kiedy wchodziła. Szedłem do bankomatu Wells Fargo.

- No to widziałeś - przygryzłam dolną wargę.
- Może powinniśmy porozmawiać.
- Nie chcę z tobą rozmawiać, Raheem.
- Billie...
- Jesteś głuchy czy po prostu głupi?

Raheem odszedł do swojego samochodu. Nie byłam w nastroju przyjaznym dla mężczyzn. Mógłby do mnie podejść Denzel w smokingu i z butelką szampana w ręku, a w najlepszym wypadku otrzymałby szyderczy uśmiezek.

Wsiadłam na motocykl i przegazowałam silnik, ale nie ruszałam. Kiedy tak siedziałam zatopiona w myślach, na ulicy zaczęło się przeredzać. Moja twarz zrobiła się gorąca. Ucisk w gardle. Spłycony oddech. Spojrzałam na komórkę. Keith nie dzwonił. Nie zadzwoni. Ani ja nie miałam zamiaru dzwonić do tego dupka już nigdy. Mimo to w mojej głowie miotały się myśli o nim i o Carmen. Dźwięk klaksonu gwałtownie przywołał mnie do rzeczywistości. Raheem zatrąbił jeszcze raz i pomachał do mnie, niknąc w rzedającym sznurze samochodów.

Nie odpowiedziałam mu, nawet nie poruszyłam głową.

A potem okazało się, że może być jeszcze gorzej. Z zatłoczonego wjazdu od strony La Cienega wyłoniła się Marcel ze swymi dziewczętami. Jechały w moim kierunku, słyszałam ich maszyny. Jęknęłam. Wciąż miałam łzy na twarzy, a w oczach żal i rozczarowanie.

Większość dziewcząt uniosła ręce, robiąc fałę, przyjazny gest, jakim pozdrawia się motocyklistów nadjeżdżających z naprzeciwka. Fała stawała się zanikającym rytuałem. Zawsze obdarzałam nią innych, nieważne, czego dosiadali i czy ich lubiłam.

Marcel nacisnęła klakson, zatrzymała się obok mnie i odsłoniła twarz. Jej motocykl w kolorze indygo prezentował się zjawiskowo w świetle ulicznych latarni.

- Chyba coś tu nie gra, skoro przystojniaczek poszedł z żoną i dzieckiem, no nie?

Zmierzyłam ją wzrokiem.

- Numer drugi zawsze chce być numerem pierwszym.
- Żebyś wiedziała.
- Kiedy tylko zechcesz zmienić drużynę i kulać się ze mną, to jazda!

- Nie robię takich zwrotów.
- Zagraj na dwa fronty. Daj się ściągnąć na manowce. Nie powiem nikomu, że zбочyłaś z głównej drogi.
- Jesteś obrzydliwa.
- A jeśli kiedyś zechcesz się ścigać, możemy poświęcić na to chwilę.
- Czy to uczciwe?
- Ścigaj się ze mną. Jeśli przegram, bierzesz mój motor i kask.
- Oglądasz za dużo filmów - mój śmiech był wymuszony.
- W ostatni weekend wygrałam dwa tysiące. Odsadziłam jednego typka na trasie w Lafland. Wymiękł przy ponad dwustu. Zrównałam się z nim, dałam po garach i został w tyle.
- Jego problem. Dwieście na prostym odcinku to pestka.
- Przekonajmy się na trasie.
- Myślisz, że taka z ciebie teraz zawodniczka pełną gębą?
- Zmierz się ze mną.

Było we mnie coś, co chciało podjąć to wyzwanie i odnieść druzgocące zwycięstwo.

- Załóżmy, że przegram. Co wtedy?
- Jeśli przegrasz, zabieram cię na weekend. Pokazałam jej środkowy palec.
- Nie pokazuj mi tego, jeśli to nie jest poważna propozycja - roześmiała się.

Dodała gazu, jakby ponawiała wyzwanie. Uniosła przednie koło, a jej towarzyszki zrobiły to samo. Ruszyłam z miejsca, pozwalając tej smarkuli trwać w buńczucznym nastroju. Jak idiotka, która poczuła tego wieczoru o jedno zagrożenie za wiele i zapragnęła przynajmniej raz wygrać, zadarłam przód swej maszyny, by udowodnić, kto tu jest lepszy. Nawet w tak podłym nastroju mogłam zostawić ją daleko w tyle.

Jestem samotniczką. Nie mam nikogo, kto mógłby się do mnie przyłączyć. Nikogo w moim otoczeniu, kogo mogłabym polubić. Nikogo wśród tych, którzy znają się na rzeczy. Uprawiam indywidualny sport, nigdy nie grałam w drużynie.

Wmieszałam się w szaleńczy ruch na La Cienega i popędziłam na południe, jakbym jechała po słynnym hiszpańskim torze Ricardo Tormo w Walencji. Musiałam rozjaśnić umysł, przewartościować swoje życie.

Uniosłam swoje upokorzenie na drogę międzystanową numer 405. Wjechałam na pas tranzytowy, nachyliłam się, oparłam ciało na baki i pozwoliłam sunącej gładko maszynie nabierać prędkości. Czułam się, jakby pęd powietrza chciał urwać mi głowę. W oddali dostrzegłam zjazd na drogę 605. Gnałam z prędkością blisko stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę i poczułam, jak wibruje siedzenie i podnóżki.

Przemykając obok osiemnastokółowych ciężarówek i terenówek, czułam się, jakby moja prędkość pozwalała mi zmienić obroty Ziemi, zatrzymać ją, zawrócić czas i cofnąć wszystko to, co zrobiłam źle.

Sto siedemdziesiąt. Sto osiemdziesiąt.

Chciałam dociągnąć do dwustu, rozłożyć ręce jak skrzydła i polecieć niczym Superman, sprzeciwiając się ruchowi obrotowemu Ziemi i cofając czas, co pozwoliło mu uratować Lois Lane. Tylko ja mogłam wrócić do przeszłości i ocalić samą siebie. Chciałam cofnąć się do dnia, w którym robiłam zakupy w Trader Joe i poznałam Keitha. Tym razem zignorowałabym jego uśmiech. Nie odpowiedziałabym mu uśmiechem i rumieńcem, ale obojętnie minęłabym go w przejściu. Nie roześmiałabym się, nawiązując pogawędkę, nie wzięłabym jego wizytówki. Nie umówiłabym się z nim w Tempie Bar tamtej nocy.

Wskaźówka prędkościomierza sięgnęła dwustu. Jeszcze mocniej przylgnęłam do maszyny, by uzyskać aerodynamiczną sylwetkę.

W jakiś inny dzień radiowozy już siedziałyby mi na ogonie. Moje myśli przeniosły mnie w inny wymiar. Mijałam samochody, jakby to były dzieciaki na deskorolkach. Kiedy natrafiałam na takie ślamazary, przeskakiwałam to na lewy, to na prawy pas. Węzeł zjazdowy na drogę 605 rósł przede mną w zawrotnym tempie.

Pomyślałam o tym, żeby w ogóle nie hamować, iść na całość i zobaczyć, czy rozpędzę się do dwustu dwudziestu pięciu. Pomyślałam o umieraniu bez uczucia bólu.

Ale zabiłabym nie tylko siebie.

Pomyślałam jednak, że tego właśnie chciałam. Gdybym straciła dziecko w wypadku, byłoby to co innego. Nie miałabym takiego samego poczucia winy, nie myślałabym o sobie jak o morderczynie.

Przestraszyłam się, wchodząc w zakręt ze zbyt dużą prędkością. Puściłam gaz, zredukowałam bieg, by stracić trochę prędkości, wcisnęłam

oba hamulce, poczułam, jak zakleszcza się przednie koło, więc popuściłam, by mogło się kręcić swobodnie, i po chwili zahamowałam jeszcze raz. Gnałam po zakręcie w takim przechyle, że moje lewe kolano tarło o asfalt.

Wyprowadziłam motor na prostą, moja skórzana kurtka pulsowała od mocnych uderzeń serca.

Czas nie zawrócił. Wciąż byłam tu i teraz.

Przełknęłam ślinę i spojrzałam na swoją nogę. Zauważyłam dziurę na lewym kolanie, ale nie czułam bólu. Zabrakło jeszcze paru milimetrów, żebym okulała i mogła korzystać z miejsc parkingowych dla inwalidów.

To było głupie. Lekkomyślne. Następnym razem powinnam spróbować rozpedzić się do stu sześćdziesięciu w okolicach jakiejś szkoły.

Ruch na 605 posuwał się w żółwym tempie z powodu wypadku nieco dalej. Zygzakami posuwałam się naprzód, a potem kawałek po wysepce zamalowanej białymi liniami. Zobaczył mnie jakiś palant - wiem, że to był kawał dupka, widziałam w jego lusterku, jak mnie obserwuje - i próbował odbić swoją czterokołową brykę, żeby zablokować mi drogę. Motocykliści mają na drogach wielu zdeklarowanych wrogów, którzy zawsze próbują napsuć nam krwi. Ten siedział w mercedesie, samochodzie, jakim jeździła żona Keitha. Kopnęłam z całej siły w drzwi tego cholernego mercedesa, zostawiając porządne wgniecenie, i odjechałam, ścigana wściekłym trąbieniem.

Mój środkowy palec wystrzelił wysoko. Spadaj, bucu. Nie zadzieraj ze mną i moimi hormonami.

Szlag jasny niech trafi ciebie i każdą arogancką sukę, która wozi się autem z emblematem Mercedes-Benz.

Zwiększyłam obroty i pomknęłam na północ, przecinając nocne powietrze, aż dotarłam do zjazdu na drogę numer 10 prowadzącą na zachód.

Niepokój pchał mnie w jednym kierunku.

Dodałam gazu i ruszyłam w stronę mieszkania Keitha.

BILLIE

Północ.

Zaparkowałam za ciężarówką do przewozu mebli, w połowie posesji sąsiadującej z domem, w którym mieszkał Keith. Był to otynkowany na fioletoworóżowy kolor budynek na rogu ulic Stocker i Edgehill.

Zauważyłam, że światło w sypialni na parterze było przyciemnione, by tworzyło słabą poświatę. Było to jedyne okno, w którym się świeciło.

Mercedes Carmen stał za eksplorerelem Keitha. Oba samochody dotykały się zderzakami niczym kochankowie wymieniający pocałunek pojednania. Mimo dzinsów i skórzanej kurtki czułam chłód. Szybka jazda wywołała u mnie stan hipotermii. Ciekło mi z nosa i cała się trzęsłam, podczas gdy nieopodal przejeżdżały samochody, wyły syreny, a nad moją głową przelatywały helikoptery. Drżałam tak, dopóki światło w jego mieszkaniu nie zgasło zupełnie.

Minęła godzina.

Carmen się nie pojawiała. Nie wyszła. Światło zgaszone, a ona wciąż nie wychodziła.

Przez cały czas z oddali dobiegał płacz dziecka. Płakało i płakało, i nie zamierzało przestać. Podniesiony głos młodej załamanej matki wzywał Boga i Jezusa, błagając o spokój.

Wtedy położyłam ręce na brzuchu. Wyobraziłam sobie siebie za kilka miesięcy wyczerpaną i złą z niewyspania. Zamknęłam na chwilę oczy, zacisnęłam je tak mocno, że rozboleła mnie głowa, i próbowałam przewyciężyć narastający we mnie nastrój rodem z filmu *Zagraj dla mnie, Misty*¹⁰. Pomyślałam o modlitwie, ale czy przy tych wszystkich strzelaninach, świętych wojnach, porwaniach, egzekucjach, rzeszach bezdomnych, dzieciach narkomanek i kobietach mordowanych przez własnych mężów Najwyż-

¹⁰ *Play Misty for Me*, 1971, reż. Clint Eastwood, thriller psychologiczny poruszający temat agresywnej obsesji ogarniającej porzuconą kobietę.

szy znalazłby chwilę, ignorując wszystkich naprawdę potrzebujących ludzi, by wysłuchać ciężarną kobietę? Zwłaszcza taką, która wszystko wie lepiej. Zresztą od dawna nie zaglądałam do kościoła. Moje dłonie stały się lodowate, a całe ciało zaczęło ogarniać odrętwienie.

Światło w mieszkaniu Keitha było wciąż zgaszone, a benz całował się z jego terenówką.

Na czerwonym świetle zatrzymały się samochody. W jednym z nich, stojącym na przodzie, grała muzyka, grzmoty i ryki były tak głośne, że obudziłyby umarłego. Zdjęłam kask i rękawiczki, położyłam je na siedzeniu motocykla i korzystając z tych rytmów getta, które zagłuszyły moje kroki, zakradłam się pod okno Keitha. Kiedy światła na skrzyżowaniu się zmieniły i muzyka ucichła, usłyszałam jego jęki. Zawsze wychodziło mu to świetnie. Dreszcz i fala gorąca ogarnęły mnie jednocześnie. Lampka nocna stała w korytarzu, tuż przy wyjściu z jego sypialni. Ustawiłam ją tam, bo zawsze na coś wpadałam, kiedy w środku nocy szłam do łazienki. To delikatne światło wystarczyło mi w zupełności, by rozróżnić mroczne kształty w jego miłosnym gniazdku. Keith leżał na plecach, a w okolicach jego kolan rysowała się sylwetka Carmen. Jej głowa poruszała się w górę i w dół płynnymi ruchami, jakby była oswojona z tą częścią jego ciała do tego stopnia, że wiedziała, jak znów mu dogodzić.

Zakrywając usta dłonią, wygramoliłam się z zarośli i podniosłam kamień wielkości piłki baseballowej. Otarłam oczy i spojrzałam na okno sypialni, potem na benza. Chciałam go rozwalić, ale kamień wpadający przez okno do sypialni mógł przynieść lepszy skutek. Uniosłam rękę, jednak nie potrafiłam się zmusić, by wykonać ten cholerny rzut.

Należało wymyślić coś mądrzejszego. Powinnam rozegrać to tak jak Carmen.

Przesadziłam trzy schody, przebiegłam małe podwórko i nacisnęłam dzwonek przy drzwiach wejściowych. Potem zapukałam. Zadzwoiłam. I znów zapukałam. I zadzwoniłam.

W środku zapaliło się światło. Podłoga zaskrzypiała pod ciężkimi krokami zmierzającymi w stronę drzwi. Cofnęłam się o krok, by mógł mnie zobaczyć. Wizjer w drzwiach pociemniał na chwilę.

- Billie? - zapytał Keith.

- Otwórz te drzwi. Muszę na chwilę zobaczyć się z twoją żoną.

- Co? Oszalałaś?

- Powiedz tej suce, żeby wytarła sobie twarz ze spermy i tu przysła. Za drzwiami ucichło. Potem rozległ się chrapliwy głos, a po nim jakieś mamrotanie. Rozejrzałam się po podwórku. Sąsiedzi, zarówno ci z góry, jak i z naprzeciwka, zerkali przez okna. Nie wiedziałam, czy wyklinali na helikopter krążący w poszukiwaniu przestępców, czy też czekali, aż na ich oczach zostanie popełniona zbrodnia namiętności.

- Nie odejdę stąd, Keith.

Cisza. Było tak cicho, że słyszałam moje buzujące hormony i parującą skórę.

- Albo będę dzwonić i pukać, i obudzę resztę twoich sąsiadów, i będę tu urządzić sceny aż do przyjazdu policji, albo otworzysz te drzwi, żebyśmy załatwili to jak... jak... Otwórz te cholerne drzwi, czarnuchu.

Zaczęłam pukać. Pukałam i pukałam.

Za moimi plecami światła w oknach sąsiadów zapalały się jedno po drugim.

Wtedy Keith otworzył drzwi. Był ubrany w dzinsy, a grube wybrzuszenie w kroku świadczyło o tym, że nie miał nic pod spodem.

Nie wiedziałam, czego się spodziewać, chociaż mogli wciągnąć mnie do środka i spuścić mi manto.

- No więc załatwmy to - powiedział.

- Dobra, załatwmy.

W cieniu za jego plecami pojawiła się Carmen. Jej eleganckie loki były zmierzwione i miała na sobie czarny szlafrok Keitha. Ten sam, który nosiłam jeszcze w ubiegłym tygodniu. Rozchyliła go szeroko, pozwalając, bym zobaczyła jej piersi, łono i uda składające się na wszystko to, co dawała mu jako nagrodę pocieszenia.

Była piękna i wiedziała o tym. I była zdeterminowana. Wiedziałam to.

Pot przesiąkł moje ubranie, a wilgoć pokrywająca skórę zaczęła wysychać, zostawiając placki soli na mojej twarzy. Miałam spierzchnięte usta, zatkany nos i oddychałam ciężko, a napięcie wydobywało się z moich nozdrzy jak płomień. Moje włosy wyglądały dziko, zmierzwione i zwisające w nieładzie.

Wciągnęłam powietrze i poczułam od nich woń przerwanego uniesienia miłosnego.

Carmen uśmiechnęła się z wyższością i pokręciła głową, jakby się zastanawiała, cóż takiego Keith mógł we mnie widzieć.

Stałyśmy tak naprzeciw siebie niezdecydowane, a we mnie narastał gniew wywołany tym, jak upokorzyła mnie w Starbucksie. Patrzyła tak, jakby chciała mnie sprowokować i walczyć. Mierzyła mnie wzrokiem od stóp do głów.

- Żalotne - powiedziała.

Na moim sercu znów zacisnęła się pięść zazdrości.

- Jestem w ciąży - powiedziałam niskim i zdecydowanym tonem. Cyniczna mina Carmen roztrzaskała się o podłogę. Dopiero po chwili wewnętrznych zmaganiach udało się jej odzyskać głos.

- Keith? - odezwała się z bolesnym grymasem na twarzy. Keith wydał z siebie jęk i zamknął oczy.

- Keith? - powtórzyła z większą siłą.

- Billie! - wrzasnęła na mnie. - Chcesz to załatwić w jakiś chory sposób!

- Chory? - wybuchłam. - Opowiadasz w kółko o tym, jak nienawidzisz swojej byłej i jak zostałeś wyruchany przez sąd rodzinny, i jak nie możesz powiązać końca z końcem. Ani razu nie nawiązałeś do tego, na czym mnie zależy. A jaka była twoja pierwsza reakcja, kiedy ci powiedziałam, że jestem w ciąży? Proponujesz mi zabieg, a potem porzucasz mnie, jak jakąś dziwkę z Figueroa, ale chore jest to, co ja robię, tak? Gdybyś umiał załatwić to, jak należy, nie marzyłabym tu, kręcąc się jak pieprzona lunatyczka, i nie musiałabym patrzeć, jak twoja była, której tak nienawidzisz, ociera sobie z warg twój cholerny wytrysk. Właśnie to jest chore, Keith.

Potem się rozplakałam. To nie była histeria, ale nie mogłam powstrzymać łez gniewu. Carmen przybrała nieobecny wyraz twarzy. Nienawidziła mnie, a ja nienawidziłam jej. Chciała mnie zabić, a ja marzyłam, żeby tylko spróbowała.

- Tak, jestem żalotna. Ale idę o zakład, że równie żalotna jest twoja przechodzona dupa.

Keith opuścił głowę i ciężko oparł ją o drzwi. Tkwił tak pomiędzy dwiema kobietami, z których jedna stała w jego mieszkaniu, a druga dygotała z zimna na zewnątrz, i uderzał głową o drzwi.

- Wiedziałeś o tym? - zapytała Carmen.

- Ona mi to dzisiaj powiedziała. - Keith nie przestawał walić głową. Uznał moje imię za niegodne wymówienia. Byłam jakąś „nią”. Zaimkiem. Nie „Billie”, po prostu „ona”.

Carmen wypowiadała się tak, jakby w ogóle nie było warto o mnie wspominać.

- Czy po tym, jak powiedziałaś jej, że my...

- Nie, przed. Powiedziała mi wcześniej.

- Czy to... czy jesteś pewien... że to z tobą?

- Daj spokój, Carmen - krzyknął.

- Cholera, chcę wiedzieć, czy ta twoja kurewka... Czy myślisz... Zanim skończyła, Keith rzucił się na nią i ścisnął jej ramię tak mocno, że się wystraszyłam.

- Daj spokój, Carmen - znów zawarczał.

Wyrzucał z siebie słowa, jakby był zmęczony jej gównianą osobą. Nie, nie zmęczony. Wyczerpany jej gównianą osobą.

Carmen wyrwała się z jego uścisku i zaczęła masować ramię. Przez chwilę wyglądała na zmieszaną, opuściła wzrok, usiłując zawinąć się w szlafrok, nie mogła jednak się z nim uporać. Sfrustrowana faktem, że również to wymyka się jej spod kontroli, przeczesła dłońmi zwichrzoną fryzurę i wyprężyła się, jakby była gotowa eksplodować. Westchnęła ciężko i cały czas potrząsając głową, ruszyła wąskim korytarzem w stronę małej sypialni Keitha, by zaszyć się wśród miłosnych śladów, które zostały tam jeszcze po mnie.

Szach-mat, suko. Szach i pieprzony mat.

Z hukiem zatrzasnęła za sobą drzwi sypialni. Były jednak tandetne i musiała trzasnąć nimi sześć albo siedem razy, żeby się wreszcie zamknęły, za każdym razem wydając odgłos przypominający echo wystrzału.

Zajęła pozycję po drugiej stronie drzwi. A ja wciąż stałam w chłodzie na zewnątrz.

Zziębnięty Keith stał z głową opartą o ścianę jak posąg przedstawiający alegorię rozpacz.

- Nie osaczaj mnie, Billie - warknął.

- Nie pomiataj mną - krzyknęłam. - Mówię ci, że jestem w ciąży, a ty uciekasz do tej... do niej?

- To dziadostwo, jakie teraz odstawiasz... Gdybym nie czuł do ciebie tego, co czuję, musieliby zdrapywać twój pieprzony mózg z tej cholernej ściany. Nie waż się tu więcej pokazywać, jeśli masz zamiar robić z siebie idiotkę.

- Bierzesz ją tam, na tych cholernym materacu, za który zapłaciłam.

- Oddam ci ten twój pierdolony materac.

- Nie mów do mnie w ten sposób, Keith.

- Oddam ci wszystko, co ci jestem winien. A teraz odejź. Odejź, do kurwy nędzy.

- Powiedz jej, że może już wrócić do obciążania twojego fiuta - powiedziałam.

Popatrzył na mnie z surową miną, która mówiła, że taką samą wściekłość, jaką czuje do Carmen, czuje również do mnie.

Obróciłam się i uciekłam od tego szaleństwa. Większość sąsiadów tkwiła w oknach, niektórzy trzymali w dłoniach telefony, jak gdyby zdawali relację z dramatu ludziom na całym świecie. Z wysoko uniesioną głową zesłam po schodach w stronę nieustającego hałasu i ruchu na Stocker Street. Znalazłam się między rzędami wyblakłych apartamentowców, których mroczne sylwetki omiatały światła ulicy.

Terenówka Keitha wciąż przytulała się do samochodu Carmen. Ruszyłam w stronę jej cudownego autka. Stałam przy drzwiach od strony pasażera i czułam, jak świerzbi mnie noga. Miałam ochotę powgniać jej blachę, skopać jej wóz, jakbym kopała ją w tyłek.

Ale wtedy moją uwagę przyciągnęło niekończące się zawrozenie, które wchodziło w wyższą oktawę. Gdzieś w oddali wciąż płakało dziecko, doprowadzając swoją matkę do obłędu.

Wetknęłam rękawiczki do tylnej kieszeni spodni, zasunęłam zamek kurtki gwałtownym ruchem i odpaliłam silnik motocykla. Widziałam, że Carmen stoi w oknie i gapi się na mnie. Pokazałam jej środkowy palec. Czułam się jak Mad Max i tak się zachowywałam. Wyjechałam na środek jezdni i gwałtownie obróciłam motor o 360 stopni na przednim kole. Potem przecięłam wymalowany gumą na asfalcie czarny krąg prostą linią. Puściłam sprzęgło i motocykl z rykiem zerwał się z miejsca, zostawiając za sobą obłoki dymu, i w zawrotnym tempie wpadłam na Stocker Street.

To była moja wiadomość dla Carmen.

BILLIE

Była już prawie pierwsza w nocy.

W kuchni trafiłam na nagiego mężczyznę.

Wynajmowałam część trzypoziomowego mieszkania w View Park.

Osiedle zbudowano z myślą o igrzyskach olimpijskich w Los Angeles w 1932 roku, w czasach Mary Pickford i Charliego Chaplina, w okresie Wielkiego Kryzysu i cztery lata przed tym, jak Jesse „Brazowy Cyklon” Owens obalił teorię Hitlera o wyższości rasowej. Dzielnica Baldwin Hills znajdowała się na drugim końcu Stocker Street w odległości półtora kilometra. Blisko półtora kilometra kwadratowego tego obszaru było pierwszą wioską olimpijską w dziejach igrzysk. Mieściły się tam przenośne bungalowy, szpital, poczta, biblioteka i mnóstwo miejsc, w których można było coś zjeść.

W kuchni był nagi czarny mężczyzna całkiem niezłe obdarzony przez naturę.

Dom stał na szczycie wzgórza, na wprost niewielkiego parku. Zawsze podjeżdżałam na wzniesienie i wysprzęgłałam silnik, zanim docierałam do budynku; wrzucałam na luz i siłą rozpędu toczyłam się między palmami królewskimi, wprost do garażu. Parkowałam obok czerwonego BMW F650 mojej współlokatorki. Miała też samochód, z którego korzystała, kiedy jechałyśmy kupić coś do jedzenia albo oddać ubrania do pralni chemicznej. Nie była w stanie nic załatwić, jeżdżąc na motorze, ale to on stał w garażu, auto trzymała pod chmurką.

Na parterze znajdowała się bawialnia, urządzona wciąż w taki sam sposób jak w czasach, kiedy mieszkał tu jej były mąż. Zaraz po otwarciu drzwi prowadzących do garażu wpadało się na duży stół bilardowy i konsolę do gry Ms. Pac-Man. W następnym pokoju mieścił się domowy zestaw do ćwiczeń i hantle, inny służył jako sala kinowa z gigantycznym plazmowym telewizorem przymocowanym do czarnej ściany. Była tam też pralnia o rozmiarach pieprzonej pralni samoobsługowej.

Jak zwykle rzuciłam swój plecak, kask, rękawiczki i kurtkę na stół bilardowy, ściągnęłam buty i skierowałam się ku schodom.

Szłam na górę w ciemnościach, które nie mogły pogorszyć mojego nastroju, a kiedy dotarłam na piętro, zobaczyłam go w kuchni. Nie miał na sobie nic poza ciemną skórą i rzadką kocią bródką.

Nagi czarny mężczyzna podskoczył na mój widok. Ten sam ruch wykonał jego imponujących rozmiarów penis.

Moje ciało zamarło, gotowe do ucieczki lub walki, ale moje spojrzenie błędziło między jego nogami, gdzie kołysał się w podrygach wielki penis. Utkwiłam w nim oczy tak, jak ofiary wpatrują się w broń napastnika.

- Hmm, cześć - odezwałam się.

- Hej - odpowiedział.

Nie zakrył swojej nagości. Moje oczy odzyskały spokój i przesuając się wzdłuż umięśnionego brzucha, dotarły wreszcie do jego twarzy. Przystojny. Brązowa karnacja. Zbudowany jak zawodowy piłkarz. Mocne nogi. Owłosiona klatka piersiowa.

Zamknęłam usta, przełknęłam ślinę i znów się odezwałam:

- Ty jesteś...

- Cottrell.

- Nie, nagi. Jesteś...

- Och, przyszedłem tylko napić się wody.

- Kim jesteś?

- Przyjacielem Thelmy Mae. Powiedziała, że mogę.

- Kim jest Thelma Mae?

- Miła... cycata... Chinka... Thelma Mae.

- Ona jest Koreanką, nie Chinką.

- Jesteś pewna?

Musiał nie zauważyć wypisanych pogrubionymi literami tytułów magazynów, które leżały na blacie kuchennym. „KoreAm Journal”, „The Korean American Experience”. Na okładce jednego z nich widniał autor komiksów Jim Lee, na drugiej Toby Dawson ze swoim zgrabnym tyłkiem i nartami Rossignol.

- Jest Koreanką. I ma na imię Viviane.

- Cholera. A ja przez cały wieczór mówiłem do niej Thelma Mae.

- A Viviane... gdzie ona jest?

- W swoim łóżku.
- Gdzie się poznaliście?
- W Barnes & Noble.
- Dział fantastycznonaukowy?
- Tak.
- Czytałeś Issaca Asimova.
- Trochę.
- A Philipa K. Dicka?
- Tak. A skąd ty to...
- Fajnie. Asimov jest mocny. Ale jej miłość to Dick.
- Tak. On...
- A czego z Wielkiej Piątki dosiadasz?
- Ze co?
- Harley, honda, saki, zook, yam... Jaki masz motor?
- Yamahę. -Yam.
- Tak, yam. A skąd wiesz, że mam...
- Pojemność? -Hę?
- Jak duży jest twój pieprzony silnik?
- Sześćset.
- Cholerka. Jeszcze jeden słomiany jeździec.
- Co?
- Jeździsz od niedawna, prawda?
- Jakiś miesiąc. Mam jeszcze prawko dla początkujących. Żadnych autostrad.
- Lepiej uważaj. Dziś znowu skopałam komuś drzwi, właśnie na autostradzie.
- Hę?
- Na drogach mam dużo wrogów.
- Skopałaś komuś drzwi?
- Jak zawsze, kiedy tylko mam okazję.
- Dlaczego to robisz?
- Bo męczą mnie ludzie, którzy pogrywają ze mną w chuja. Właśnie dlatego.

Mój nagły atak złości musiał go zrazić. To były moje hormony. Poczul tę zmianę, płonący we mnie ogień. Zaczął się cofać.

- Miło cię było poznać... y... e...

- Billie.

- Miło cię było poznać, Billie.

Cottrell pospiesznie ruszył korytarzem, a jego wielkie stopy plaskały o marmurową posadzkę. Potem wszedł na schody prowadzące do głównej sypialni. Podłoga z twardego drewna zaskrzypiała pod jego ciężarem. Oznaczało to, że ważył co najmniej dziewięćdziesiąt kilo. Taka waga wystarczyła, by wydobyć z podłogi jęk. Prawie nigdy nie wchodziłam na górę. Były tam dwie sypialnie i dwie dodatkowe łazienki. Mój pokój znajdował się na tym piętrze, na prawo od salonu. Tu był mój prywatny mały świat, a Viviane miała swój tam na górze, bliżej nieba.

Wzięłam z kredensu butelkę wody, pchnęłam przeszkłone drzwi i wyszłam na taras.

- Billie.

- Viviane?

Wypowiadając moje imię, stała w połowie schodów, które nie wydały pod nią żadnego skrzypnięcia. Nigdy nie wydawały. Moja gorsząca i hedonistyczna współlokatorka ważyła zaledwie jakieś pięćdziesiąt kilo, jeśli w ogóle.

- Myślałam, że spędzasz tę noc z Keithem - powiedziała, ziewając.

- Myślałam, że jest u ciebie Jacob.

- Możesz mówić trochę głośniej? W Nowym Jorku i tak cię nie usłyszą. Viviane szła w moją stronę, krocząc tak, jakby miała za sobą całkiem ostrą zaprawę w pozycji horyzontalnej. Stała obok mnie i oparła się o balustradę. Jej złocista skóra lekko połyskiwała, co nadawało jej wygląd słodkiej szesnastolatki.

Viviane miała prawie dwadzieścia siedem lat. Długie czarne włosy zaplatała w warkocze, nad jej wąskimi oczami otoczonymi przez grube rzęsy rysowały się łukowate brwi, miała pełne usta, a jej ciało było tak opalone, że powinna się nazywać Brown. Idealne miseczki D przy sześćdziesięciu centymetrach w talii. Jej stonowana karnacja i sylwetka upodabniały ją bardziej do J Lo niż do Margaret Cho. Miała wysokie wcięcie, wąskie biodra, piersi, za które warto zginąć, i zabójcze nogi, które zawdzięczała

półprofesjonalnej grze w siatkówkę plażową. Kiedy miała sześć lat, jej matka wyszła za czarnego mężczyznę. Viviane miała nastoletnią siostrę z tego związku, który pozwolił im wszystkim zintegrować się z tym całkiem nowym czarnoskórym środowiskiem.

- Czuć od ciebie seks - powiedziałam.
- Nie. Czuć ode mnie cudowny seks.
- Nie pytaj, dlaczego wyglądam jak półtora nieszczęścia.
- Co Keith wywinał?

Viviane miała na sobie krótki szlafrok i była boso. Paznokcie jej dłoni i stóp były polakierowane na czerwono z zielonymi wzorkami. Zawsze wyglądały jak małe dzieła sztuki, a ich zadaniem było przyciągnięcie uwagi. Roztaczała erotyczną woń - jakby lawenda i pot zmieszane z męskimi perfumami plus nutka zasychającej spermy.

- Ten koleś tam na górze myślał, że nazywasz się Thelma Mae.
- Bo mu powiedziałam, że tak się nazywam - roześmiała się.
- I był przekonany, że jesteś Chinką.
- Czy słowo „Koreanka” jest takie trudne do zapamiętania? Przecież ma taką samą końcówkę jak „Chinka”.

Parsknęłam śmiechem. Była to jedyna rzecz, którą czuła się dotknięta.

- Kiedy ma się takie piersi jak twoje, nie sędzę, aby obchodziło ich, skąd pochodzisz.
- Nie bądź zawistna.
- Czy drzwi na twój balkon są otwarte? - ściszyłam głos.

Viviane wychyliła się przez balustradę, obróciła głowę, spoglądając do góry, w stronę swojego piętra, i wzruszyła ramionami.

- Nie sędzę - wyszeptała. - A jeśli nawet, to co? Jestem Koreanką, do cholery. Nie wyglądam na Chinę.
- Tak samo nie wyglądasz na zaręczoną, ale jesteś.
- Ciii - szturchnęła mnie. - Nie jestem zaręczona, do cholery.
- Jeszcze nie. Ale przy tym, jak zachowuje się Jacob, niedługo będziesz.
- Mogłabyś to powiedzieć trochę głośniej?
- Jacob szaleje za tobą.
- Tak samo Kevin.
- On ma na imię Cottrell - znów ściszyłam głos.

- Cottrell? Jesteś pewna?
- Głowy nie daję. Wiem tylko, że przedstawił mi się jako Cottrell.
- A niech go... A ja mówiłam do niego Kevin.
- Trafił swój na swego.
- Podałam mu swoje klubowe imię - ziewnęła.
- Wygląda na to, że on tobie też.
- Dupa - wymierzyła mi kuksańca.
- Moją zostaw w spokoju.
- Tato Wielki Dyszel miał chrapkę na moją.
- Dałaś mu po grecku?
- Jest zbyt... obdarzony. Powiedziałam mu, że znam tylko jeden język. Nic po grecku, nic po francusku.

- Wdziałam, z czym walczyłaś. Myślałam, że trenuje skok o tyczce.
- Co z Keithem? - spytała.
- Kawał skurwiela, a jego żona to suka - wykrzywiłam usta.
- Co się stało?

Pomyślałam o tym, by zwierzyć się jej z burzliwych przeżyć ostatniego wieczoru, ale nie szukałam towarzystwa ani nie miałam ochoty na długie rozmowy. Nie wiedziała, jak do tego mogło dojść, więc nie byłam gotowa, by rozmawiać o moich błędach.

- A co się stało z Jacobem? - zapytałam. - Myślałam, że między wami to coś poważnego.

- Wciąż się z nim widuję. Chce mnie zabrać do Nowego Jorku na *Kolor purpury*. Tak swoją drogą, to był ze mną w Barnes & Noble, wcześniej zabrał mnie na kolację, ale potem musiał iść. Nagle musiał się zająć swoim synem.

- Dramaty samotnej matki?
- Grzmiała w jego telefonie. Boże, czemu ja się zadaję z dzieciami facetami? Czemu? Czemu? Czemu?
- Kolejna noc trudnych pytań? - zaśmiałam się.
- Tak. Wciąż usiłuję napisać tę cholerną powieść. Myślę, że dam jej tytuł *Błogie kobiety*.

- Zaczynasz tyle powieści. Która to?
- Koreańskie kobiety... zmuszone do seksualnego niewolnictwa przez japońskich żołnierzy podczas drugiej wojny światowej.

- Pracujesz nad nią, od kiedy pamiętam. Co najmniej od pięciu lat.
- Ponad sześć. Gdybym tylko zdołała przebrnąć przez trzeci rozdział...
- No, no...
- Siedziałam na podłodze w tej księgarni i czytałam *Ja, robot* po raz już chyba dziesiąty, uniosłam głowę i zobaczyłam, jak ten adonis wędruje wzdłuż półek. Mówię ci, dwie sekundy po tym, jak wyszedł Jacob, pojawił się ten brat, który wygląda jak Will Smith, w skórzanej kurtce, z kaskiem motocyklowym w ręku.
- Powinnaś iść na laserową operację oczu. Jeśli uważasz, że on wygląda jak Will Smith, jesteś bliska ślepoty.
- Nieważne - wzruszyła ramionami.
- No i co, Jacob wychodzi z księgarni...
- A Tatko Wielki Dyszel wchodzi - uśmiechnęła się. - Bóg istnieje i mnie kocha.
- A ty już sikasz po nogach. Ktoś tu sobie ostro pogrywa na boku.
- Miły facet. Jacob jest naprawdę miły, ale nie potrafi mnie zadowolić.
- Aha, i dojście do tego wniosku zajęło ci aż dwa lata.
- Żyłam nadzieją.
- Wszyscy żyjemy.
- Ma najmniejszego penisa, jakiego kiedykolwiek widziałam, i to nie są żarty.
- Najmniejszego?
- No, może nie najmniejszego. Ale i tak to porażka.
- Co według ciebie znaczy mały?
- Poniżej piętnastu centymetrów. Piętnaście do osiemnastu to przeciętny. Osiemnaście do dwudziestu duży, a więcej niż dwadzieścia ogromny.
- Cholera, a Jacob to co? Metr dziewięćdziesiąt, jakieś dziewięćdziesiąt kilo.
- Metr dziewięćdziesiąt trzy i sto kilo wagi.
- Obalasz mity. Nie doprowadzaj mnie do łez.
- Jacob ma wielkie dłonie i potrafi mnie nimi doprowadzić do szaleństwa. Uwielbiam jego dłonie. Gdyby nie one, już dawno bym go rzuciła. Wyszłabym za niego, rozwiodła się i przy podziale majątku zabrałabym mu jedną rękę.

- Jego dłonie dodają ci skrzydeł - zachichotałam.
- Ale ja potrzebuję czegoś więcej niż rąk - ruszyła w stronę schodów.
- Ten facet, Kevin...
- Cottrell.
- Cholera, cały czas jęczałam Kevin.
- Wątpię, czy on wtedy zważał na Thelmę Mae.
- Cottrell jest świetny. Zainspirował mnie. Przez minutę na tapecie był Asimov, a potem rozmawialiśmy o opowiadaniu Waltera S. Tevisa *The Ifth of Oofth*. Znasz je?
- Czytałam je, kiedy miałam jakieś piętnaście lat.
- Jedno z moich ulubionych. Jak często spotykasz kogoś, kto czytuje Tevisa? Jeśli on go zna, to znaczy, że jest czytany. Cóż może dzielić dwoje nieznanym, którzy ucinają sobie pogawędkę o twórczości Tevisa?
- Streszczaj się. No to rozmawialiście o Tevisie...
- I zauważyłam, że... mam mokro. Byłam w nastroju. To było dziwne. Najpierw Asimov, potem Tevis, potem Heinlein... zaczęliśmy się całować. .. i całować... i całować... ten facet całuje jak... jak... a potem... położył mnie na stole bilardowym i wylizał. Brutalnie jak Klingon.
- Zaraz, wylizał cię na stole bilardowym? Myślę, że najpierw musieliście tutaj przyjść.
- Kazałaś mi się streszczać.
- Nie do tego stopnia.
- No dobra, rozmawialiśmy o tym, jak obecny w twórczości Heinleina motyw „ja jestem Bogiem, ty jesteś Bogiem” akcentuje odpowiedzialność każdej jednostki za własne życie. Powiedziałam mu, że w latach sześćdziesiątych Heinlein był kontrowersyjny, bardzo antyreligijny. Cottrell twierdził, że nie jest to zupełnie antyreligijne, a ja mu powiedziałam, że...
- Viviane.
- Ciebie interesuje ta pikantna część, tak? - powiedziała, odgarniając włosy z twarzy.
- I to bardzo.
- No cóż, przeszliśmy od mówienia o „ja jestem Bogiem” do wykrzykiwania „o Boże, o Boże, o Boże” - zaśmiała się z własnego żartu. - Najpierw chciałam go wykorzystać, żeby swoim językiem zaprowadził mnie

do nieba, a potem poszedł sobie do domu. Ale sprawy wymknęły się spod kontroli. Zabrał się do mnie jak szalony. I pamiętam tylko, że potem zrobiłam mu najlepszą laskę w jego życiu.

- Skąd wiesz, że była najlepsza w jego życiu?

- Hmm. Nie wiem. Może to była najlepsza laska, jaką kiedykolwiek zrobiłam. On pije dużo płynów i unika napojów gazowanych. Pije dużo soków owocowych. Soki są najlepsze. To mu służy.

- To prawda. Najlepiej, jeśli nie piją nic gazowanego. Sok to podstawa.

- O wiele zdrowiej mi się odbija.

- Oszczędź mi takich szczegółów.

- Chyba prawie tak samo zdrowo jak tobie.

- Viviane.

- Pieszczoty ręką - zachichotała. - Po rosyjsku. Uwielbiają to robić po rosyjsku.

- Nie zapominaj o Grecji. Oni wszyscy chcą po grecku.

- Dlaczego faceci hetero chcą właśnie w ten sposób? A był jeden taki, co chciał to robić nosem.

- Nosem? - uniosłam brwi ze zdziwienia.

- Miał wielki nos. Jak penis z nozdrzami. Najdziwniejszy orgazm, jaki kiedykolwiek miałam - roześmiała się, potrząsając głową. - A potem chciał zrobić mi maseczkę. Boże, moje związki są zawsze takie stuknięte.

- Zawsze uprawiasz stuknięty seks.

- Mój seks jest zawsze cudowny. Kiedy umrę, pamiętaj, żeby spalić mój pamiętnik, zanim dotrze tu moja matka. Dostałaby udaru przed przeczytaniem jednej strony. Cholera, na samym początku jest o perłowym naszym życiu.

- To jest temat, który powinnaś wykorzystać w książce. Mogłabyś zostać azjatycką Zane¹¹.

- Azjatycka Zane. Brzmi nieźle. Wspaniała aliteracja.

- Tak naprawdę to bardziej konsonans niż aliteracja. Powtórzenie głoski „z” w obu słowach nadaje im harmonijne brzmienie. Każdy

Zane Grey (1872-1939) - pisarz amerykański, autor poczytnych powieści o tematyce Dzikiego Zachodu, z których wiele zostało sfilmowanych. Uważany za jednego z twórców gatunku westernu.

z wyrazów musiałby się zaczynać na „a” albo na „z”, żeby to była aliteracja.

- Suka. Zawsze mnie poprawiasz.
- Twoi skośnoocy kuzyni psują nam wszystkie krajowe statystyki i to ja jestem suką?

- I tak oto znowu wpadamy w te gówniane rasistowskie stereotypy - powiedziała, przedrzeźniając mnie.

- Lepiej ponabijajmy się z tego, jak się zabierasz do swoich facetów.

- Lepiej sobie odpuść - parsknęła śmiechem - ty japońska zołzo.

- Nie jestem Japonką.

- A gdzie się urodziłaś? - śmiała się. - Zostałaś zrobiona w Japonii. I to czyni cię Japonką.

- Niech ci będzie.

- Mój problem polega na tym...

- No, no...

- Jacob... Kiedy już odprowadzi dziecko i straci z oczu jego matkę, jest idealny. Jest w porządku jak cholera. Chce się angażować. Nasze relacje są wspaniałe. Świetnie się dogadujemy, on jest taki otwarty i uczuciowy. Inteligentny i przystojny. Obydwoje rozmawialiśmy o tym, jak cudowne jest to, że możemy gdzieś nawzajem się zabierać.

- Cały czas słucham.

- I o tym, że jestem Koreanką.

- Yhm.

- No cóż, bardziej o tym, że nie jestem Afroamerykanką.

- Yhm.

- Pod pewnym względem to zawsze prowadzi do problemu. Zawsze. Jak to, że stałam się pewnego rodzaju egzotyczną zabawką.

- Jeśli Jacob ma tyle zalet... jeśli nie traktuje cię jak swego trofeum... to w czym problem? - zapytałam.

- Wolę żyć w pojedynkę i być samotna, niż wyjść za mąż i być nieszczęśliwa.

- Skąd u ciebie taki wstręt do małżeństwa, Viviane?

- Bo już kiedyś byłam zamężna, Billie. Nie mam obowiązku popełniać więcej tego głupstwa.

Zaśmiałam się z jej szalonych poglądów.

- Psiakrew, po rozwodzie sypiałam z moim byłym częściej, niż kiedy był moim mężem. W ciągu miesiąca uprawialiśmy seks więcej razy niż przez dwa lata małżeństwa.

- Tak często się kochaliście?

- Och, proszę. Nie kochaliśmy się. Pieprzyliśmy się.

- No tak, racja.

- Hotele, parki, przymierzalnie. Niemal wszędzie. Najlepsze szybkie numerki w moim życiu.

- I jedyny rozwód w twoim życiu.

- Wystarczy ten jeden, by zmienić poglądy na świat.

- Znowu masz rację.

- Gdyby mnie tak posuwał, kiedy był moim mężem, pewnie nadal bylibyśmy małżeństwem.

- Jak cię traktował po rozwodzie?

- Tak samo jak ja jego - uśmiechnęła się. - Jak cholerną dziwkę.

- To miło.

- Bardzo miło. Próbował mnie pieprzyć bez opamiętania, myśląc, że do niego wrócę.

- Bez rezultatu.

- Och, daj spokój. Kochał mnie na osobności, ale publicznie problemem stawało się to, że jestem Koreanką.

- To dlaczego wciąż z nim sypiałaś?

- Kochałam go.

- No, no. Miłość. To słodkie uzależnienie.

- Poza przejściami emocjonalnymi i prawnymi dogadaliśmy się bez problemów. Szczęście, że nie mieliśmy dzieci.

- Myślisz, że rozwód byłby dla was trudniejszy, gdybyście mieli dzieci? - spytałam.

- Nie wiem. I nie chcę wiedzieć. Wiem tylko, że moja siostra, dziecko piękne i inteligentne, ma kłopoty z tożsamością, które sięgają bardzo głęboko. Nie wiem, jak ona kiedyś się z tym upora.

- Ona jest taka śliczna.

- Ale usiłuje dopasować się do świata, który ją kocha i który jej nienawidzi. Przesadza z tym urabianiem się na czarną. Według niej to polega na tym, żeby używać słowa „czarnuch” tak często, jak tylko się da,

być twardą i wulgarną, zawsze mieć jakiś problem i być taką, jak chcą inni.

- Twoi rodzice wciąż mają z nią problemy?

- Ona lamie serce mojej mamie. Nie chce mówić po koreańsku w miejscach publicznych, potrafi nawet nie przyznawać się do naszej matki. Na zakupach idzie kawałek przed nią albo wlecze się z tyłu, ale za to klei się do ojca. Bardziej utożsamia się z jedną połową swoich genów, a drugą odrzuca. Mamę to smuci, więc ciągle do mnie wydzwania i lamentuje, co mnie dobija. Patrząc na matkę i na siostrę, widzę te wszystkie emocje, żyję w środku ich nieustannej walki i zastanawiam się, jak mogłabym temu zaradzić. Nie wyobrażam sobie, jak sama bym to zniosła, jak bym się czuła, będąc matką, gdyby moje dziecko zrobiło mi coś takiego. Nie wyobrażam sobie, jak mogłabym wydać na świat największą przyczynę swoich smutków.

- Cholera.

- Tak, cholera. Ona stawia naszą matkę w bardzo trudnym położeniu. Tak samo mnie.

- A czy ty i twoja siostra kiedyś... Czy kiedyś rozmawiałaś z nią o tym?

- Powiedziała mi, że nie mam pojęcia, jak to jest być przez cały dzień tym, kim ona jest. Ludzie codziennie ją traktują, jakby pochodziła z innej planety, pytają ją, czym jest, nie kim, zawsze „czym”. Mówiła mi, że nienawidzi żyć w świecie, w którym jest tyle nienawiści. Koreańczycy ją odrzucają, jakby była dzieckiem wojny. Kiedy odzywa się do nich po koreańsku, patrzą na nią tak, że nie potrafi tego znieść. No cóż, jej koreański jest marny i to częściowo tłumaczy, dlaczego tak na nią patrzą. Angielski naszej matki to też porażka, więc czarni kpią z niej i przedrzeźniają ją, a to boli, jak cholera. Ale jeśli moja siostra się odezwie, jeśli wstawi się za matką, to tylko pogarsza sprawę. Powiedziała mi, że pochodzi z dwóch kultur, które nawzajem się nienawidzą, i trudno się dopasować do obu naraz, bla, bla, bla. I że z jej wyglądem łatwiej być jej czarną niż Koreanką, ale bycie czarną w ogóle nie jest łatwe. I gadała tak w kółko i gadała.

- Ona jest młoda, Viviane.

- Może ona ma rację. Co ja tam wiem, no nie? Powiedziała mi, że jest silną czarną kobietą, która kocha swoich afroamerykańskich braci, a ja tylko Koreanką, która umawia się z czarnymi facetami.

- O kurde.
- Słuchaj, jak ja się rozplakałam. To mnie dotknęło do żywego.
- Wygarnęła ci?
- I to z grubej rury. Powiedziała mi, że staram się do niej upodobnić, ale nie mam cholernego pojęcia, przez co ona przechodzi. W zasadzie chodziło jej o to, żebym pilnowała swoich spraw. Powiedziała mi, że żyję w idealnym świecie. Ze czarni mężczyźni kochają mnie bardziej, niż będą kochać ją. Ze nasi rodzice kochają mnie bardziej niż ją.
- O ja cię...
- Popsuło się między nami. Miałam ochotę złapać ją za łeb i skopać tyłek. To ja, nie moja matka, byłam od dawania jej klapsów. Matka nie miała pojęcia, jak poradzić sobie z Q. Moja siostra... Billie, nawrzeszczałam na nią. Kazałam usiąść na krześle, patrzeć mi w oczy i wtedy jej wygarnęłam. Powiedziałam jej, że moje życie nie było usłane różami. Mój ojciec odszedł na dobre, wychowywałam się z czarnym ojczymem, jej zasranym ojcem, na przeklętym South Central, więc jaki mogłam mieć wybór? Żaden koreański chłopak nie mógł odwiedzić mnie w domu. A gdybym chciała pójść do niego, nie wywołałoby to zachwyty jego koreańskich rodziców. Wszystkie te kpiny, ci małoduszni, przesądni ludzie, całe to gówno, które musiałam znosić. Jej ojciec stroił sobie takie same cholerne żarty. Wydawało mu się, że są śmieszne. Myślał, że w ten sposób mnie na coś uodporni albo co. Nienawidziłam go długo. Nie miałam do kogo się zwrócić. W klasie siedziałam cała w nerwach, bałam się udzielić prawidłowej odpowiedzi, bałam się powiedzieć A, żeby nie słuchać dowcipów o Koreańczykach. Codziennie po szkole biegłam do domu, biegłam całą drogę aż pod samą werandę w strachu, że ktoś mnie napadnie. Tata, on zawsze powtarzał, że jestem jego pasierbicą, nigdy że córką. Nie byłam jego córką, tylko dzieckiem, które już miała moja matka, kiedy ją poznał. Strasznie przez to płakałam. Płakałam w swoim pokoju albo w łazience, kiedy lała się woda, i tylko pragnęłam tego, żeby czym prędzej skończyć liceum.
- O cholera. To smutne. Zaraz się zaleję łzami.
- Nie jestem w nastroju do depresji. Olej to.
- Dobra. Olewam, olewam, olewam.
- Kiedy jej to wszystko powiedziałam, przeprosiła mnie i rozplakała się jak dziecko. To dobra dziewczyna, kocham moją siostrę, ale nie

dostało się jej tak jak mnie, kiedy dorastałam. Wybaczyłam jej, ale to ciągle boli.

- Nie zdawałam sobie z tego sprawy, Viviane.

- Też dałaś się nabrać na tę pozę szczęśliwej Koreanki, co?

- Jak to wszystko się zmieniło?

- Sport. Nikomu się nie podobało, gdy byłam zbyt inteligentna, ale kiedy zobaczyli, że jestem dobra na boisku i nie poddam się, choćby in- ni grali nie wiem jak mocno, zaczęli mnie szanować. Nawet czarne dziewczęta chciały, żebym grała z nimi w kosza w jednej drużynie. Chłopcy zwracali na mnie uwagę i rozmawiali ze mną, ale wciąż żaden nie zaprosił mnie na bal maturalny. Potem, kiedy na studiach zaczęłam jeździć na motocyklu, na którym musiałam nauczyć się jeździć, bo było to tańsze od samochodu, a na samochód nie mogłam sobie pozwolić, a nawet gdybym mogła sobie pozwolić na samochód, nie byłoby mnie stać na benzynę, okazało się, że wszyscy mężczyźni mnie zauważają, liczą się ze mną i chcą mnie poznać. Coś ich pociągało w kobiecie na motocyklu.

- Może powinnaś nauczyć Q jeździć. Mogłaby jeździć z nami, poznać nowych przyjaciół.

- Kiedy będzie gotowa. I jeśli zechce. Nie mogę jej zmusić. Motor nie jest dla każdego.

- To niemożliwe. Ty i Q, zawsze roześmiane, wyglądałyście na takie wyluzowane. Tak bliskie sobie.

- Jesteśmy siostrami aż do śmierci. Mamy tę samą matkę, wspólnych przodków. To jednak nie zmienia faktu, że żyjemy w dwóch różnych światach. Nasze doświadczenia zawsze będą inne. Ale tam, gdzie się przenikamy, na poziomie rodziny, musimy trzymać się razem. Nie możemy tego pokpić, bo gdyby tak się stało, stracimy siebie nawzajem. Kocham ją nad życie. To moja mała siostrzyczka.

- To też moja siostra, do cholery. Ty jesteś moją siostrą, więc ona też. Uśmiechnęła się, a potem zmarszczyła brwi.

- Jest więcej powodów, dla których cieszy mnie to, że ja i mój były nie mieliśmy dzieci. W istocie, pozwolę sobie wprowadzić poprawkę do mojego wcześniejszego stwierdzenia. Wolę żyć w pojedynkę i być samotna, niż wyjść za mąż i być nieszczęśliwa albo być po rozwodzie i dzielić niedolę wraz z pieprzonym zasmarkanym dzieciakiem.

- Więc mam przez to rozumieć, że Jacoba też puszczasz wolno - powiedziałam.

- Niech to szlag. Zapomniałam, że ktoś jest na górze.

- Cottrell, na wypadek, gdyby imię wyleciało ci z pamięci.

- Cottrell, Kevin, wszystko jedno.

- Kondomy?

- Nigdy nie jeżdżę na oklep. Keith ma przyjść? Potrzebujesz kilka?

- Jestem o to spokojna - prawie jej powiedziałam. Ale nie mogłam

- Dlaczego zdradzasz Jacoba?

- Coś jest ze mną nie tak. Czasem czuję, że mam ochotę uprawiać seks z inteligentnym, przystojnym mężczyzną, który nie będzie mi opowiadał o swoich problemach ani nie każe mi przygotowywać pieprzonego śniadania.

- A co jest złego w robieniu śniadań?

- Przestań się zgrywać.

- No dobra, już dobra.

- Czasami jest tego zbyt wiele. Kiedy związek trwa zbyt długo, ludzie wymagają od siebie tak wiele. Czasem miło jest pobyć z kimś, kto nie chce od ciebie więcej, niż masz ochotę dać.

- Tak właśnie postępuje Jacob? Posuwa się za daleko? Staje się twoim utrapieniem?

- A jakie ty masz podejście do spraw sercowych? - burknęła Viviane, dotykając swoich warkoczy i potrząsając głową.

- Mam takie, jakie mam, i tyle.

- To jeszcze jedno pieprzone uzależnienie - poklepała się palcami po żyłach. - Trzeba po prostu zerwać z tym nałogiem.

- Zadurzenie jest podobne do katastrofy budowlanej - westchnęłam.

- Nie powoduje szkód, dopóki się nie zawali na amen.

- Wreszcie powiedziałaś coś, co ma sens.

- Och, pocałuj mnie w dupę, Thelmo Mae.

- Miłość to magia - powiedziała. - Magia to iluzja. Z tego wynika, że miłość to iluzja.

- Jesteś zgorzkniała.

- Wcale nie. Małżeństwo i rozwód były dla mnie jak czerwona pigułka. Teraz mam oczy szeroko otwarte.

- Czyżby? Trudno zauważyć.
- Odwal się. Nie zaczynaj mi tu wyjeżdzać z tymi dowcipami o skośnych oczach.

- Zgorzkniała i paranoiczna. Jesteś zgorzkniałą paranoiczką, Thelmo Mae.

- A ty jesteś Japonką.

- Niech ci będzie. Poddaję się.

Viviane kołysała się z boku na bok, patrzyła na swoje przepiękne panokcie i robiła wszystko, co się dało, byle tylko odwlec powrót do mężczyzny, który wylegiwał się w jej gniazdku rozkoszy. Czuła się winna. Widać to było w jej uśmiechu. Rozumiałam ją. Uśmiechałam się tak samo, tylko że z innego powodu.

- No to jak? - zapytała. - Rzuciłaś pracę w Tempie Bar, żeby być z Keithem.

- Nie masz tam na górze gościa z gołym tyłkiem?

- Możesz się uśmiechać Billie, ale twoje oczy nie kłamią. Jest źle. Co się wydarzyło?

Chciałam to z siebie wyrzucić, zwierzyć się, że jestem w ciąży, że słowa Keitha wciąż tłuką mi się po głowie, że zastanawiam się, co robić i jak mam sobie sama z tym poradzić. Powstrzymałam się jednak. Była moją przyjaciółką, uwielbiałam jej skandaliczne zagrania, ale nie należała do osób, z którymi rozmawia się o takich rzeczach. Wzruszyłam ramionami i zmieniłam temat.

- Będę spławiała wszystkich, którzy do ciebie zadzwonią.

- Gdybyś chciała pogadać, wystarczy przejść czternaście schodów i kawałek korytarza.

- Dzięki.

- Ale nie przychodź za wcześnie. Odwróciła się i zniknęła wewnątrz domu. Zostałam sama.

Wpadłam w trans. Zaczęłam patrzeć na podwórko, altanę, jacuzzi, palmy, na grządkę nagietków, pomarańczowe i żółte niskie aksamitki, na czerwone, wypłowiałe od słońca celozje i goździki.

Kwiaty, księżyc, gwiazdy, gdziekolwiek bym spojrzała, widziałam Keitha.

Widziałam, jak pływamy razem w basenie, widziałam nas w ciemności, jak nadzy kochamy się na podwórku, a księżyc unosi się nad naszymi głowami niczym wielka latarnia. Słyszałam, jak spełnieni śmiejemy się i rozmawiamy.

Słyszałam, jak mówił mi, że nie mógł tego zrobić.

Zamknęłam oczy, by go nie widzieć, ale on nie zniknął. Oni nie znikali.

Widziałam klęczącą Carmen, jej twarz na biodrach Keitha, głowę opadającą rytmicznymi ruchami. To samo robiłam jeszcze w ubiegłym tygodniu. Widziałam ich. Tylko tym razem stałam obok nich w pokoju. Keith trzymał ją za tył głowy i wbijał swą twardą męskość w jej gardło. Popatrzył na mnie i powiedział: „Billie, przemyśl to. Mieć dziecko... bądź realistką. Powinnaś najpierw wyjść za męża. Mieć partnera. Stabilne finanse. Mieć jakiś plan. Tylko o to mi chodzi”.

Carmen przestała delektować się jego sokami, otarła usta i pieściła go dalej, spoglądając na mnie spode łba. Wrzasnęła: „Zamknij te pieprzone drzwi, suko”. Otrząsnęłam się z tego koszmaru, który sama na siebie ściągnęłam. Przeszedł mnie dreszcz, było mi cholernie zimno.

Kilka minut później nad moją głowę rozległy się jęki rozkoszy, przenikając przez okno sypialni i rozsuwane drzwi balkonowe. Jego basowe westchnienia, mocne i szorstkie, mieszały się z jej przenikliwym zawodzeniem przypominającym miauczenie kota. Wyteżyłam słuch. Ona, jęcząc, zwracała się do Kevina, on do Thelmy Mae.

Musiał na dobre przypaść jej do gustu. Wdać zrezygnowała już z roli samolubnej samicy.

Potrząsnęłam głową z niesmakiem i osłupieniem. Wsłuchiwałam się jednak w te odgłosy przypominające buddyjskie śpiewy tybetańskie i wyobrażałam sobie, jak smakują siebie nawzajem, przechodząc reakcję ter-monuklearną.

Viviane nawet nie wiedziała, jak się do niego zwracać, a jego niewiele obchodziło, jak ona ma na imię, ale nie przeszkadzało im to, by się bzykać. Moja przyjaciółka czuła się na tyle pewnie, że pozwoliła mu wałęsać się nago po domu.

Nie mogłam osądzać jej na tej podstawie. Sama wiele razy zachowywałam się podobnie.

Żyć jak kobieta i prowadzić się jak mężczyzna. Jedyne sposoby, żeby nie zwariować.

Boże, pobłogosław równouprawnienie. Żyjemy naprawdę w zakręconym świecie.

Weszłam do mojej sypialni i zarygnowałam za sobą drzwi.

Wlepiłam wzrok w zdjęcie przedstawiające mnie i Keitha ustawione na toalecie, w samym środku wszystkich innych fotografii, na których byłam z moimi rodzicami. Jak gdyby Keith był słońcem, wokół którego kręcił się mój zdruzgotany świat.

Chciałam spotkać się z tobą twarzą w twarz i powiedzieć ci, że wracam do mojej żony.

Miałam ochotę oderwać sobie uszy. Dokopać się do wnętrza mózgu i usunąć część pamięci.

W tym momencie potrzebowałam zimnej butelki albo ciepłego ramienia, jakiegoś pocieszenia. Chciałam zasnąć z makijażem na twarzy i odpuścić sobie mycie zębów, pozwolić sobie na wszystkie te godne pożalowania gesty, które wykonują zakochani, kiedy wszystko już skończone.

Miałam ochotę wsiąść na motocykl i uciekać przed wschodem słońca, żyć w mroku tak długo, jak tylko się da.

Rozebrałam się i weszłam pod prysznic. Włożyłam głowę pod strumień wody i rozplakałam się.

Wszyscy oni zlewali się w jedno. Dla jednego sześć tygodni. Dla drugiego jakieś trzy lata. Dla innego weekend albo dwa. Ale wszyscy tworzyli całość.

Wszyscy oni składali się na czas roztrwoniony w nieudanych związkach. Czas, którego nie mogłam już odzyskać. Ale czasu nie można mieć na własność. A dni spędzone w bezproduktywnych związkach są stracone bezpowrotnie.

Lata płynęły niepostrzeżenie, a skąpe plony okazały się jeszcze uboższe.

Nie sięgając po ręcznik, z resztkami mydła na skórze i mokrymi włosami, z których woda ściekała strumieniami na moją twarz i plecy, stanęłam przed wielkim lustrem zamontowanym w drzwiach szafy.

Przesunęłam dłonie po brzuchu i wyobraziłam sobie, że jestem w dziewiątym miesiącu ciąży i że jestem samotna.

W środku nocy rozdzwonił się telefon.

Nie obudził mnie, bo wciąż jeszcze dochodziłam do siebie. Dyszałam nienawiścią, rozmyślając o skromnej sztuce zabijania.

Najpierw na wyświetlaczu telefonu pojawił się numer Keitha, a kiedy rozbrzmiało jego imię, poczułam się, jakbym leciała na parolotni.

- Keith? - rzuciłam w słuchawkę.

- Jego żona.

Świat przestał wirować. W moim gardle utkwiał nóż.

- Jak zdobyłaś mój numer? - ogarniała mnie wściekłość. Nie musiała mi odpowiadać. Wiedziałam. Miała jego telefon.

- Spodziewasz się dziecka? - zapytała.

Warknęłam i spojrzałam na mój telefon, jakbym się spodziewała, że zabraknie jej tupetu, by do mnie zadzwonić.

- Cięża - odezwała się znowu. - To najstarsza sztuczka.

Odpowiedziałam jej przekleństwem, po czym dodałam:

- Nie waż się więcej dzwonić pod ten numer.

Wyłączyłam telefon. Usiadłam na łóżku i zaczęłam się wpatrywać w ścianę. Wstałam i poszłam do łazienki.

Kiedy tylko usiadłam na muszli, usłyszałam trzask, po którym rozległa się głośna muzyka. A potem ryk silnika i odgłos samochodu palącego opony na jezdni.

Zerwałam się na równe nogi i wbiegłam do sypialni. Okno wychodzące na ulicę było wybite, a wszędzie wałało się mnóstwo potłuczonego szkła. Na moim łóżku leżała czerwona cegła. Dokładnie w tym miejscu, gdzie ja powinnam leżeć, gdybym spała.

Ktoś wrzucił pieprzoną cegłę do mojej sypialni.

Przez roztrzaskane okno widziałam tylne światła oddalającego się samochodu.

To zrobiła ta suka.

Pobiegłam do frontowych drzwi, otworzyłam je jednym szarpnięciem i rzuciłam kilka przekleństw za nikonącą w oddali terenówką.

DESTINY

- Ile masz lat?
- Osiemnaście.
- Kłamiesz.
- Mam tyle.
- Mo, ta lalunia mówi, że ma osiemnaście lat.
- Ona kłamie, D'André. Nie może mieć osiemnastu.
- No przecież.
- Mam piętnaście.
- Można mieć więcej z taką dupcią jak twoja?

Piosenka *My Humps* grupy Black Eyed Peas cichła w sklepowych głośnikach. Wcześniej śpiewał Kanye West i coś się zepsuło, a dźwięk wrócił dopiero na Jay-Z. *Diamonds are Forever*.

- Mam prawie szesnaście - odezwała się Destiny.
- Kiedy są twoje urodziny? Powiedziała im.
- Jesteś Strzelcem jak ja. Nic dziwnego.
- Ty też jesteś Strzelcem?
- Pomyślałem, że masz co najmniej osiemnaście.
- Naprawdę? Super.
- Nie masz jeszcze szesnastu? Cholera, a lalunia jak się patrzy.
- Tylko tak mówisz - zarumieniła się Destiny.
- Masz na sobie prawdziwe dzinsy Baby Phat, czy to podróba?
- Prawdziwe. Nie noszę podróbek.
- Kurde. Musisz być nadziana.
- Och, co ty - potrząsnęła głową - nie jestem.
- Dostajesz kieszonkowe?
- Yhm.
- To twoi starzy są nadziani.
- No, matka ma forszę. Tata jest splukany jak dupek.

- No to mieszkasz z bogatą mamusią?
- Przeważnie. Czasem bywam w mieszkaniu taty.
- Dwie chaty. Nie masz aż tak przesrane. Destiny. Piętnastoletnia córka Keitha.

Tej samej nocy, parę minut po tym, jak zobaczyła przyjaciółkę ojca, dziewczynę na motocyklu.

Zostawiła w Starbucksie wkurzonych rodziców i weszła do sklepu muzycznego Warehouse. Kiedy wertowała płyty w poszukiwaniu nowego albumu Kanye Westa, zagadnęli ją dwaj bracia. Ten, który odzywał się częściej, miał ciemniejszą skórę i krótkie kręcone włosy. Wyglądał całkiem nieźle. Był ubrany w luźny dres i buty marki Timberland. Na plecach miał zdezelowany czarny plecak wypełniony pirackimi płytami z muzyką i filmami.

Drugi z chłopców miał jaśniejszą skórę, o bardziej żółtawym niż brązowym odcieniu, a jego twarz pokrywały piegi spływające kaskadami z szerokiego nosa w stronę uszu. Nosił grzywę kręconych brązowych włosów i cienki wąsik, który w połączeniu z uśmiechem a la Jamie Foxx sprawił, że Destiny zapragnęła... zostać jego dziewczyną.

Podeszło do niej dwóch przystojnych żołnierzy. Oczy utkwione w jej pięknych dziewczęcych krągłościach. Lubiła to.

- Chcesz wystąpić w teledysku? - zapytał ten z uśmiechem Jamiego Foxxa.

- Kręcicie filmy? - zapytała.
- Tak. Wdziałem, jak roztaczasz tu dokoła swój urok.
- Ja? - zarumieniła się.
- Nieźle się kiwałaś. To było rewelacyjne kręcenie zadkiem.
- Grali mój ulubiony kawałek.
- Wdzę, że nieźle się ruszasz, ale potrafisz zrobić mo?
- Co to takiego?

Chłopiec o jaśniejszej skórze zaczął prezentować konwulsyjny taniec. Jego ugięte ramiona poruszały się półkoliście w przód i w tył, jakby naśladował lokomotywę, nogi tkwiły nieruchomo, a tułów podrygiwał rytmicznie. Jego kolega przyłączył się do niego, wykonując te same gwałtowne ruchy i podśpiewując.

- Zatańcz mo, zatańcz mo, zatańcz mo...

Destiny przyłączyła się do nich i tańczyła, i tańczyła, i tańczyła.

- Zatańcz mo, zatańcz mo, zatańcz mo...

- Świetnie ci idzie, lalczko. Zajebicie tańczysz. Obaj parsknęli śmiechem.

- Założę się, że masz jędrne ciało - powiedział ten ciemnoskóry.

- Jej ciało wygląda jędrnie - dodał ten o jaśniejszej karnacji.

- Zdejmij kurtkę. Pokaż, czym tak kręcisz.

- Tak, zdejmij kurtkę, Pączuszu - powiedział ten, który się jej podobał.

Uśmiechnęła się, kiedy ją o to poprosił, i rozchyliła kurtkę, przybierając figlarną pozę. Chłopcy paradowali wokół niej, tańcząc mo i z uśmiechem wpatrując się w jej tyłek. Destiny tańczyła wraz z nimi, jakby wszyscy byli przed kamerą.

- Bomba. Ta lalunia jest świetna.

- I przy tym wszystkim ma zaledwie piętnaście lat.

- Prawie szesnaście.

- Chcesz się z nami zerwać?

- Kiedy?

- Dziś wieczór. Pracujemy nad filmem dokumentalnym.

- Dokumentalnym? Myślałam, że robicie teledyski.

- To też.

- Fajnie macie.

- Nakręcimy coś, a potem możemy wpaść do studia w Hollywood i zobaczyć nasze dzieło z podkładem. Tam całkiem szybko montują teledyski. A potem możemy zrobić małą imprezę.

- Nie mogę, jestem tu z rodzicami.

- Gdzie oni są?

- W Starbucksie - wskazała ręką. - Działają sobie na nerwy.

- Co się im dzieje?

- Jest tu też dziewczyna mojego taty.

- O w mordę.

- Tata, mama i kochanka?

- Moi rodzice się rozwodzą. Laska mojego ojca jest jedną z dziewczyn na motocyklach.

- Kurde. Zadaje się z taką zdziwą?

- Wpadli na siebie - wyjaśniła Destiny - czy coś w tym rodzaju. Mama do niego zadzwoniła i ojciec jej powiedział, że tu siedzi ze swoją panienką, więc mama rzuciła zakupy i w te pędy tutaj.

- Brzmi jak jakieś gówno w stylu Jerry'ego Springera.

- No więc jestem z dawcami.

- Dawcami?

- Dawcami nasienia i jajeczka. Roześmiali się.

- Musisz kupić od nas jakąś płytę. Jest Lii Jon, nowy album 50 Centa, mamy wszystko.

- Be?

- Pięć za jedną. Trzy za dychę. Mamy też nową płytę Maryj. Blige.

Odszedł na bok i otworzył plecak. Destiny przyjrzała się płytom. *Wypluj albo łykaj, Napaleni, Latynoski dają lepiej: Trofea niegrzecznych pańienek, Spragnione łaseczki, Krzepki ogier, Cichodajki.*

To nie były płyty z muzyką, ale filmy z potrójnym znakiem X.

- To są rzymskie trzydziestki? - powiedziała.

- Co to jest?

- Te ikсы wyglądają jak rzymska cyfra trzydzieści. Filmy dla zboków. Tata ma tego pełno.

- Och, to pomyłka - zachichotał ten z uśmiechem Jamiego Foxxa i oczyma R. Kelly'ego. - Przeglądaj dalej.

Destiny przeczytała opis z okładki *Krzepkiego ogiera*. „Obciąganie fiuta, łykanie spermy, ostre rżnięcie”.

- Przeglądaj dalej.

Czarne orgie, część jedenasta. Szalona Michelle i przyjaciółki.

- Dałem ci odpowiednią książkę?

- Po ile macie te wstrętne filmy?

- Trzy po dwadzieścia.

- Niech was piekło pochłonie - Destiny pokręciła głową.

- Wychowałem się w Compton. A miejscowi mówią, że Compton to piekło.

Parsknęli śmiechem. Destiny nie zrozumiała dowcipu, ale i tak śmiała się wraz z nimi.

- No dawaj, wspomóż brata.

Destiny przeglądała dalej. Same filmy. *Kingkong. Crash. Wyspa. Cztery bracia. Hostel. Ray. Daleko jeszcze? Z pamiętnika wścieklej zony.*

Przełożyła kolejną płytę. Dalej był Lii Jon. Mike Jones. Tweet. 50 Cent. Mario. Omarion. Kopiowane na maxellach. Tytuły napisane markerem tak czytelnie, że przypomniła sobie własne pismo, kiedy chodziła do trzeciej klasy. Chłopak wręczył jej wydrukowaną na komputerze listę wszystkich ich pirackich produktów. Przedsiębiorcy z getta.

- Mam też parę filmów Disneya - powiedział. - Na wypadek, gdybyś miała młodszego brata albo coś w tym rodzaju.

- Nie mam młodszego brata ani nic w tym rodzaju.

- Kurwa, ochrona tu idzie.

Błyskawicznie zamknął plecak i zaczął udawać, że przegląda płyty z muzyką.

- Lepiej się stąd zwijajmy, zanim nas przyskrzynią - powiedziała Destiny.

- Mogę do ciebie dzwonić?

- Jasne, dzwoni.

- Jesteśmy teraz na obchodzie. Masz jakiś numer, Pączuszk?

- Daj mi swój.

Poczuła się dumna ze sposobu, w jaki to powiedziała. Tak jak się mówi w filmach. Jakby to ona stawiała warunki.

- Mogłaby nieźle wypaść w teledysku - powiedział do swego ciemnoskórego towarzysza.

- Kopsnij laluni jedną ze swoich wizytówek. Odrobinę profesjonalizmu.

- To moja wizytówka, Pączuszk.

Spojrzała na wizytówkę. Skrawek cienkiego papieru. Domowa robota, drukarka atramentowa i nożyczki. Sam numer telefonu i to wszystko.

- Postaraj się zadzwonić do czarnucha.

- Zadzwonię. Spokojna głowa.

- Spokojna głowa?

Wzdrygnęła się. Nie ta odzywka. Niemodna. Zbyt wiele czasu spędzała z dziećmi z Bel Air. Roześmiała się nerwowo dla niepoznaki i uprościła swoje słownictwo. - Zgrywam się teraz. Spoko.

- Szkoda, że cię dzisiaj nie będzie.
- A co się jeszcze dzisiaj kroi?
- Praca nad tym seksownym dokumentem, a potem ostre chlańsko i chuj.

- I to ma być w porządku?
- Jesteś zawiedziona?
- Jeszcze jak.
- Lubisz Alize?
- Jasne.
- Nie masz numeru, żebym do ciebie zadzwonił? - uśmiechnął się.
- Ona ma dopiero piętnaście lat - odezwał się ten ciemnoskóry. Wyglądał na podenerwowanego.

- Stary, ona ma niesamowite ciało.
- Daj spokój, niech dziewczyna zadzwoni do ciebie.
- Do której szkoły chodzisz? - zapytał ten z uśmiechem Jamiego Foxxa. - Bystra z ciebie dupcia. Umiesz się wysławiać i chuj. I znasz się na rzymskich cyfrach i chuj.

I chuj. Kończyli zdania słowami „i chuj”, co jej matka nazywała interpunkcją z getta.

Powiedziała mu. Chciała skłamać i powiedzieć, że chodzi do Crenshaw w Inglewood, jednej z takich szkół, „że chuj”, ale prawda przeszła jej przez usta szybciej, niż zdążyła pomyśleć o kłamstwie.

- Nigdy nie słyszałem o takiej szkole - powiedział.
- To prywatna szkoła w Bel Air i chuj.
- O w mordę. Słodziutka księżniczka.
- Niestety.
- Mądra dziewczynka, co? Obaj parsknęli śmiechem.

Poczuła się nieswojo. Chciała być normalna. Nie być dziwolągiem chodzącym do prywatnej szkoły i żyjącym pod kloszem. Chciałaby chodzić do Crenshaw High. Albo Dorsey. Wszędzie, tylko nie do prywatnej szkoły w Bel Air.

- Macie jakieś imiona? - zapytała.
Ten o jaśniejszej skórze przedstawił się jako Mo. Jego kolega powiedział, że ma na imię D'André.

Mo i D'André ruszyli w stronę wyjścia.

Mo, ten przystojniaczek, który sprawiał, że czuła motyle w żołądku, spojrzął za siebie i posłał jej uśmiech w stylu R. Kelly'ego.

Wyszczrzyła zęby w odpowiedzi.

Wiek nie jest niczym więcej jak tylko zestawieniem cyfr.

D'André stracił dla niej zainteresowanie, kiedy powiedziała, że ma piętnaście lat. Nie przejmowała się tym. Mo był atrakcyjniejszy, ładniej się uśmiechał. Ale D'André był taki cholernie doskonały.

Destiny tańczyła taniec mo, podśpiewywała „zatańcz mo” i przeglądała płyty. Miała nadzieję, że chłopcy wciąż ją obserwują. T.I. Mario. John Legend, płyta, którą jej matka puszczała przez cały czas.

Kiedy ktoś otworzył drzwi sklepu, z zewnątrz dobiegł ryk silników. Dziewczęta na motocyklach. Zdziry na kółkach, jak mówiła o nich jej matka. Wszystkie wyglądały super. Obcisłe dzinsy, fantastyczne skórzane kurtki. Nadjeżdżały, zadzierając przednie koła swoich maszyn. Tak naprawdę to było więcej niż super. Były takie wolne, takie nieskrępowane. Jak Billie. Ta długowłosa, odziana w skórę kobieta, którą kochał jej ojciec. Kobieta znienawidzona przez jej matkę.

Drzwi sklepu muzycznego znów się otworzyły i do środka wpadła matka. Ojciec podążał za nią.

Matka wyglądała na wściekłą. Zawsze tak wyglądała.

Ojciec sprawiał wrażenie nieszczęśliwego. Jak zwykle.

Chyba że był z dala od nich. Chyba że był z Billie.

Tego dnia, kiedy zobaczyła swojego ojca wychodzącego z kina w towarzystwie tej dziewczyny, ledwie go rozpoznała. Nigdy nie widziała go tak roześmianego. Trzymali się za ręce, trzymał tę dziewczynę tak blisko. Jak gdyby była całym jego światem. Nigdy nie widziała go takiego szczęśliwego. I ten nowy tatuaż. Ten bajerancki tatuaż, którego tak nienawidziła matka.

A potem, kiedy je zauważył, miał w oczach taką konsternację... Nigdy nie widziała go takiego zaskoczonego.

- Wychodzimy - powiedziała matka.

- Tata powiedział, że mogę kupić sobie płytę.

- Wychodzimy, i to już.

Matka złapała ją za ramię, ścisnęła, aż zaboląło. Destiny próbowała się uwolnić, upuściła płytę na podłogę, wyrwała się i wybiegła.

Znalazła się na zewnątrz. Bolało ją ramię, miała w oczach łzy.

- Ona nie pozwala kupić mi płyty - poskarżyła się ojcu.
- Destiny, boli mnie głowa - jęknął.
- No i co z tego.
- Ej, co to ma znaczyć? - wydarł się na nią.
- Tato, zrób coś.
- Idź do samochodu.
- Tato... dlaczego pozwalasz jej tak mnie traktować...
- Już. Wsiadaj do samochodu, ale już.
- Tato, chcę jechać z tobą.
- Pojedziesz z mamą.
- Proszę.
- Oszczędź mi teraz tego, Destiny. Idź do samochodu matki. Odeszła zboląta i zapłakana.

Nienawidziła swojej matki. Nienawidziła swojego ojca. Nienawidziła swojego świata.

Ci dwaj, których przed chwilą poznała, rozmawiali teraz z jakimiś dziewczętami. Jedna z nich była połączeniem Murzynki i Meksykanki. Destiny mogłaby powiedzieć, że mieszka w tyglu rasowym. Dziewczyna spojrzała na nią z uśmiechem, zlustrowała ją od stóp do głów, puściła do niej oko i odwróciła się plecami. Dziwne. Destiny zignorowała ją, skupiając się znów na chłopcach, ale oni już jej nie zauważali. Przestała być dla nich wyjątkowa. Trzymali otwarte plecaki i opychali pirackie płyty. Ucieszyła się, że jej nie zauważyli. Całe towarzystwo było roześmiane i roztańczone.

Destiny obserwowała Mo, zapragnęła podejść do niego i powiedzieć mu „cześć”, ale zobaczyła, jak zaczepił dziewczynę, która szła w stronę Warehouse. Była ubrana w obcisłe džinsy i bluzkę na ramiączkach, miała długie czarne włosy i twarz, która czyniła ją podobną do piosenkarki Amerie. Bardzo wysoka, mieszanka krwi murzyńskiej i azjatyckiej. Mo rozśmieszył ją w ciągu paru sekund i obydwójce zaczęli poruszać się w tym szalonym konwulsyjnym tańcu. Jej piersi podskakiwały, kiedy wywijiała długimi ramionami, jej łokcie poruszały się niczym tłoki parowozu, a tułów podrygiwał zadziornie.

- Zatańcz mo, zatańcz mo, zatańcz mo...

Fala gorąca rozprzestrzeniła się w piersi Destiny. To ona powinna tam być i tańczyć mo.

Samochód jej matki przepełniała cisza i atmosfera zazdrości.

Matka sięgnęła do torebki i wygrzebała z niej inhalator. Astma. Miewała ataki lęku wywołujące objawy tej choroby, dolegliwości drżmiącej w niej od piętnastu lat albo dłużej. Destiny nie zważała na to. Odwróciła się od niej i siedziała z zaplecionymi ramionami. Na podłodze leżała jakaś książka w miękkiej okładce. Podniosła ją. *Alchemik*. Odrzuciła powieść na bok i wlepiła wzrok w okno. Splecione ramiona, zaciśnięte usta.

Kiedy przejeżdżały obok chłopców, z którymi rozmawiała, matka rzuciła okiem w ich stronę i pokręciła głową.

Pora na przemowę. Finałowe wystąpienie. Cała jej matka. Zawsze w roli sędziego.

- Destiny, kiedy byłam w twoim wieku, zachęcano nas, byśmy zostali lekarzami. Prawnikami. Inżynierami. Czasy się zmieniły. I to nie na lepsze. Ta muzyka, której słuchasz, jest odpychająca. Wywołuje we mnie odrazę. Nie tak cię wychowałam. Ta muzyka... Teraz taniec na rurze jest wybornym zajęciem godnym podziwu. Fajne jest rapowanie o tym, że ktoś dostał dziewięć strzałów. Ubieranie się tak jak więźniowie to ostatni krzyk mody. Obyczaje getta są teraz powszechnie akceptowane, jakby bycie ignorantem było takie wspaniałe. Nie chcę, żebyś taka była. To dlatego tak bardzo się staram. Chcę, żebyś miała świadomość swojego pochodzenia i duchowości, pozytywną tożsamość, odrobinę dojrzałości w sobie. Chcę, abyś była atrakcyjna i lubiana, ale nie w seksualny i materialistyczny sposób. I przede wszystkim chcę, abyś miała rodzinę. Matkę i ojca w domu.

- Tata powiedział, że mogę sobie kupić płytę.

- Słucham wiadomości i to mnie przeraża. Nigdy tak nie było, dopóki się nie pojawiłaś. Zmieniłaś mój świat, stałam się bardziej świadoma. Jedenastoletnia dziewczynka zginęła, kiedy ktoś ostatniej nocy ostrzelał jej mieszkanie. Jej czternastoletnia siostra została ranna. Jeszcze inna dziewczynka została zabita w Hawthorne przez kierowcę, który uciekł z miejsca wypadku. Na tyłach szpitala przy Hoover Street znaleziono martwego noworodka. Ten świat jest okropny, Destiny.

- Dlaczego nie pozwoliłaś mi kupić tej płyty?

- Słucham takich rzeczy i płaczę.

Destiny wzięła głęboki wdech i przestała słuchać, a głos jej matki zamienił się w zlepek przypadkowych dźwięków. Jej myśli odpłynęły w dal, choć ani na moment nie zapomniała o hipokryzji matki.

Destiny podsłuchiwała jej rozmowy. Ilekroć ta rozmawiała przez telefon, dziewczyna pozorowała jakiś nagły wypadek, który był pretekstem do przerwania jej pogawędki. Potem, udając, że odkłada słuchawkę, włączała tryb wyciszenia w swoim aparacie i wszystko słyszała.

- Co mam zrobić, żebyś dała mi spokój, Carmen?

- Kim jest ta dziwka, z którą widziałam cię w kinie?

- Przedstawiłem ci ją. Wiesz, kim jest.

- Twoją kochanką.

- To właśnie powiedziałem. Masz z tym jakiś problem?

- Masz pojęcie, jak się poczułam? Idę przez parking z twoją córką i wpadam na ciebie, kiedy obściskujesz się z jakąś wywłoką? Mówisz mi, że jesteś chory, że zostajesz w domu i nie możesz poświęcić czasu swojej córce, a potem widzę, jak szczebioczesz do tej suki.

Głos jej matki ociekał złością i był trochę bełkotliwy. Destiny wiedziała, że matka jest po drugiej butelce pinot noir. Wina sprowadzanego z Burgundii, nieprodukowanego w Kalifornii. Piła często i sięgała po to, co najlepsze. Destiny zauważyła, że jej matka prawie każdego wieczoru upija się winem. To był jej środek nasenny.

- A jak się miewa facet, z którym sypiasz? - krzyknął ojciec.

- Nie zdajesz sobie sprawy, jakie to było żenujące natknąć się na ciebie i na tę wywłokę.

- Gdybym miał pieniądze, spłaciłbym cię w cholerę.

- Czy to dla niej mnie zostawiłeś, Keith? Czy to jest powód, dla którego zrujnowałeś nasze małżeństwo?

Jej ojciec i matka. Bliźnięta i Baran. Destiny czytała, że Baran zawsze musi dominować. Ale jej ojciec nie był zahukany przez matkę. Nigdy jej nie ustępował.

- Carmen, gdybym wygrał na loterii, dałbym ci wszystko co do grosza, żebyś tylko zostawiła mnie w spokoju.

- Czyżby?

- Tak, psiakrew.

Parę tygodni wcześniej Destiny podsłuchiwała, że jej matka umawia się ze swoim kochankiem. Słyszała, jak sprośnie z nim rozmawia. Nigdy wcześniej nie słyszała, aby jej matka mówiła takie rzeczy. Słyszała, jak pyta go, czy chce ją wziąć od tyłu. Słyszała, jak on pytał jej matkę, czy się dotyka. Słyszała, jak mówił jej, że chce, aby zrobiła to teraz dla niego. Słyszała, jak ten dziwny mężczyzna mówił jej matce, aby wzięła wibrator i zrobiła sobie dobrze. Słuchała, jak jej matka robi to, o co ją poprosił.

Podsłuchiwała.

Wykorzystywała każdą okazję, jaka się nadarzała.

Był to jedyny sposób, w jaki mogła dowiedzieć się prawdy.

- Tak bardzo mnie nienawidzisz, Keith?

- Nie zadawaj mi takich gównianych pytań.

- Zostawiasz mnie dla tamtej zdziry?

- Gdyby nasze małżeństwo było koniem, zastrzeliłbym go pięć lat temu.

- Opuszczasz moją córkę, naszą córkę, dla jakiejś zdziry na kółkach?

- Zadzwoń do mnie, kiedy nie będziesz pijana, Carmen.

- Już ja lepiej wiem, kiedy do ciebie dzwonić.

- Czego chcesz, Carmen? - krzyknął ojciec. - Czego ty, kurwa, ode mnie chcesz?

Słyszała, jak jej matka sączy wino. Panowała nad sytuacją.

- Czy nigdy za mną nie tęsknisz, Keith?

- Nie pytaj mnie o takie rzeczy.

- Nie tęsknisz za tym, jak się z tobą pieprzyłam, Keith?

- Ty wciąż mnie pieprzysz, Carmen.

- Nie tęsknisz za tym, jak się z tobą kochałam, za tym wszystkim, co z tobą robiłam?

- Carmen, przestań.

- Nie tęsknisz za tym, jak obciągałam twojego fiuta?

- Daj z tym spokój, Carmen.

- Przez ile lat obciągałam naszego fiuta?

- Naszego?

- Prawie dwadzieścia cholernych lat. To nasz fiut, Keith. Nasz.

- Jesteś pijana, Carmen.

- Świetnie. Więc to mój fiut.

- Czyżby?
- To mój fiut i dobrze o tym wiesz.
- Nie zaczynaj tych bredni, Carmen.
- Tęsknię za obciążaniem mojego fiuta, Keith.
- Przestań.
- Tęsknię za pieprzeniem się z tobą. Wciąż czuję w sobie twojego fiuta. Czuję twoje ręce, którymi obejmujesz mnie w talii i przyciągasz do siebie. Wciąż czuję twój język na moich piersiach. Jaka szkoda, że cię tu nie ma, że nie ciągniesz mnie za włosy, nie klepiesz po tyłku. Chcesz być znów we mnie?

Cisza.

Destiny wyobraziła sobie swojego ojca, jak siedzi załamany, ze zwieszoną głową.

- Czy tęsknisz kiedykolwiek za tym, jak było, Keith?
- Nie zadawaj mi takich pytań.
- Tęsknisz?!
- Nie krzycz.
- Tęsknisz?!
- Czasami. Za tym, jak bywało. Bywało przyjemnie.
- Kiedy się pobraliśmy?
- Zanim się pobraliśmy.
- Zanim zaszłam w ciążę, co?
- Kiedy byłeś kelnerką. Zanim poszłaś na studia.
- Kiedy wynajmowaliśmy w Fox Hills to gówniane i drogie mieszkanie z jednym pokojem.
- Tak. Kiedy brałem nadgodziny, żeby zapłacić za mieszkanie, które musiałaś mieć.
- Zanim... A kiedy już byliśmy na swoim?
- To już było co innego - jej ojciec ciężko westchnął - kiedy byliśmy na swoim.
- Zdaje się, że uprawialiśmy wtedy seks pięć czy sześć razy dziennie.
- Tak, jakoś tak.
- Był taki dzień, kiedy dwanaście razy doprowadziłeś mnie do orgazmu. Pamiętasz, kiedy to było?
- W walentynki - powiedział jej ojciec.

- W nasze pierwsze walentynki.
- Nie wychodziliśmy z mieszkania.
- A sąsiedzi walili w ściany - zachichotała jej matka.
- Pamiętam.
- Mogliśmy wtedy wychodzić gdzieś razem... kino... sport... robić wszystko, czego dusza zapragnie.
- To było... przyjemnie było, kiedy... było wtedy przyjemnie.
- Dzieci zmieniają dynamikę związku - jej matka wzięła głęboki wdech.
- Tak, tak, dzieci zmieniają dynamikę małżeństwa.
- Myślisz, że byłoby inaczej, gdybyśmy nigdy nie mieli dziecka?
- Byłoby inaczej, gdybym cię nigdy nie spotkał.
- Wal się! - matka niespodziewanie eksplodowała. - Pieprzę cię, pieprzę, Keith!
- To wszystko, co robisz, odkąd cię spotkałem. Pieprzysz mnie. Pieprzysz mnie, żeby dostać to, czego chcesz. Masz dom. Masz dyplom prawnika. Położyłaś łapę na moich zarobkach. Masz to, czego chciałaś, i wciąż mnie ruchasz. Zabierz swojego fiuta z mojej dupy, Carmen. Zabierz tego francowatego fiuta z mojej dupy.
- Mówisz, jakbyś znów strzelił coś mocniejszego.
- A jeśli nawet, to ostatnia rzecz, jaka może poprawić mi nastrój. Jedyna rzecz, której nie możesz mi zabrać.
- Skurwiel.
- Nigdy nie chciałem żadnych dzieci. Zaraz, niech uściślę. Nigdy nie chciałem mieć dzieci z tobą. Mówiłem ci o tym. To były twoje plany.
- Nie kochasz swojej córki?
- Oczywiście, że kocham swoją córkę. Tylko nienawidzę... tej... tej całej sytuacji.
- Węc wróć do domu, Keith. Wróć i połóżmy kres temu szaleństwu.
- Ja cię nie kocham, Carmen.
- Kochasz ją? Kochasz się w tej wywłoce?
- A co z tym czarnuchem, który cię posuwa, Carmen? Zapomniałaś o nim?
- Na jakiej podstawie sądzisz, że jestem z kimś związana?
- Destiny mi powiedziała.
- No cóż, coś jej się pomyliło.

- Mówiła, że zastała was razem.
 - Co powiedziała?
 - Stał w kuchni, za którą ja zapłaciłem, i przyrządził ci kolację.
 - Kłamie. Wiesz, jak ona kłamie.
 - Wiem, jak ty kłamiesz, Carmen.
 - A nawet jeśli z kimś się widuję, nie paraduję z nim w miejscach, w których bywaliśmy.
 - Nie okłamuj swojej córki, Carmen.
 - Nie mam nic do ukrycia.
 - Kim on jest?
 - To nikt znaczący. Milczenie.
 - Czy to coś poważnego? Jeśli tak, to czemu się mnie czepiasz?
 - On... on nie jest tobą, Keith. Cudowne było dla mnie to, że dał mi do myślenia, co znaczył dla mnie nasz związek. On wie, co powinien zrobić, by stanąć na wysokości zadania, i nie ma nic przeciwko temu. Łącznie z chodzeniem do kościoła.
 - Alleluja. Więc bierz go do kościoła i jazda.
 - Nie mogę. Seks mnie w ogóle nie rusza. Chyba jestem czepialska. Ale kiedy miało się to, co najlepsze, trudno nie być wybredną. Chcesz znać prawdę? Dobrze, powiem ci prawdę. Spędziłam z nim ostatnią noc.
 - Wpuściłaś go do mojego domu?
 - To już nie jest twój dom. Cisza.
 - Oczywiście nie zbrukałam naszego domu - kontynuowała matka z tonem udawanego wzruszenia w głosie. - Byłam u niego. Nie potrafiłabym tu przyprowadzić innego mężczyzny, Keith. Nie sponiewierałabym tak naszych wspomnień.
 - Ale gotował w moim domu.
 - Nie uprawialiśmy seksu w tym domu, Keith. Nigdy bym tego nie zrobiła.
- Destiny pokręciła głową. Jej matka, specjalistka od kłamstw, właśnie zapędziła się w pułapkę.
- Oddech jej ojca stawał się taki ciężki. Dziewczyna czuła w słuchawce jego ciepło.

- Kiedy obudziłam się dziś rano, usiadłam na brzegu łóżka i powiedziałam mu, że nie chcę tego znowu z nim robić. On wiedział, że żałuję. Musiałam obsłużyć się sama i zdałam sobie sprawę, że być może omija mnie jakaś przyjemność, która opiera się tylko na sferze fizycznej. Ale nie mogłam go pokochać. Poczułam też, że nie chcę uciekać ani czuć się upokorzona, że nie było to takie, jak chciałam.

Destiny usłyszała, jak matka otwiera drzwi swojej sypialni i gasi światło. Przez szczelinę w drzwiach dziewczyna zobaczyła ją, jak z telefonem w ręku schodzi po schodach do kuchni.

- Ty sukinsynu - mówiła łamiącym się głosem. - Zrujnowałeś mnie, Keith. Niech cię szlag. Minęło osiemnaście lat, a ja wciąż czuję dreszcze, kiedy o tobie myślę. Nie chcę nikogo innego.

- Gdzie jest Destiny?

- Chcesz wiedzieć, gdzie jest twoja córka? - Znowu ten zgorzkniały ton. - Powiem ci, gdzie, do cholery, ona jest. Destiny jest pogrążona w cierpieniu. Rozwód wpływa na sferę emocjonalną dzieciństwa. Nasza córka sprawia kłopoty, bo musi pogodzić ze sobą dwa światy. Wewnętrzny konflikt. Tak to określił psycholog. Dzieci z rozbitych rodzin przebywają w skomplikowanym krajobrazie emocjonalnym. Żyją pomiędzy dwoma światami. Jej uczucia ulegają przewartościowaniu. Świat ma dla niej sens jedynie wtedy, gdy dorasta w domu, który ma sens.

Ojciec pozostał niewzruszony dramatyzmem tych słów.

- Gdzie jest Destiny? - powtórzył pytanie.

- Nie martw się. Śpi. - Matka perfekcyjnie wyważyła głos, który brzmiał, jakby za chwilę miała się rozplakać. - Ten rok był tak cholernie ciężki. Ciężki dla mnie. Ciężki dla naszego dziecka. Powiedziałam, że powinnam pozwolić ci odejść i jakoś z tym żyć. Próbowalam przez rok. Destiny tego nie potrafi. Ja tego nie potrafię. Nie potrafię, nie przy tym, jak cię kocham.

Destiny usiadła na łóżku. Słyszała, jak matka nalewa sobie kolejny kieliszek. Czekala, słuchając ich nierównych chrapliwych oddechów. Jej ojciec kipiał złością. Matka przeżywała swój ból.

Żałowała, że nie wynaleziono jakiegoś lekarstwa na złamane serca.

- Keith, jesteś tam? - odezwała się matka.

- Jestem. - W głosie ojca słychać było zmęczenie.

- Powiedz coś.
- Spotykałaś się z nim, kiedy byliśmy razem?
- No jasne, że nie.
- Nadal się z nim pieprzysz?
- I to jest wszystko, co usłyszałaś? Wszystko, co cię obchodzi?
- Tak czy nie? - Głos ojca był jak z kamienia.
- Jasne, że nie - odpowiedziała matka tonem lekkim jak piórko. Ojciec wydał z siebie chrapliwy śmiech.
- Jesteś takim zerem.
- Ile to jeszcze potrwa, zanim nie będę nic do ciebie czuła? Kiedy wreszcie nie będę cię już pragnęła? Próbuję jakoś iść naprzód. Wciąż jestem twoją żoną. Wciąż noszę naszą ślubną obrączkę, a próbuję kogoś poznać.
- A więc z kimś się spotykasz.
- Jestem zmęczona czekaniem na to, aż odzyskasz rozsądek.
- Przespałaś się z nim... umawiasz się na randki... dlaczego mnie prześladujesz?
- Wypiłam cztery koktajle z martini, bo chciałam poczuć się na tyle dobrze, na tyle swobodnie, żeby rzucić na wiatr rozsądek i... widziałam cię z tą suką w kinie... wyglądała tak, jakby była twoją żoną... bez obrączki na palcu... tak... upiłam się i... poszłam na całość. Nigdy nie uprawiałam z nim seksu, dopiero poprzedniej nocy.
- Poprzedniej nocy?
- Pieprz się. Potrzebowałam, by ktoś mnie objął, potrzebowałam trochę uwagi, trochę bliskości, ale nie dzwoniłam do ciebie... no dobra... zadzwoniłam... ale nie odebrałaś... wiem, że byłeś z tą suką... olałaś mnie... więc to zrobiłam... poszłam z nim do łóżka... i nic mi to nie dało. Mogłam myśleć tylko o tym, że on nie smakuje jak Keith. Cholera, że on nie robi tego jak mój mąż. Zamknęłam oczy i wyobrażałam sobie, że jestem z tobą. Ale to nie byłeś ty. Wszystko było nie tak. To nie byłeś... to nie byliśmy my. Nie ten rozmiar, nie te ruchy, nie to uczucie. Wstałam rano, ubrałam się i nie mogłam wytrzymać, aż dotrę do domu i zrobię to sobie sama.
- Więc spędziłaś z nim noc, z tym bratem, z którym, jak się zarzekasz, Destiny cię nie widziała.

- Czy to wszystko, co usłyszałeś? Nie słyszysz, przez co ja tu przechodzę?

- Obciągnęłaś mu?

- Nie zadawaj mi takich pytań.

- Doprowadził cię?

- Nie zadawaj mi takich pytań.

- Postawmy sprawę uczciwie. Billie jest moją kochanką. Uprawiam z nią seks. I jest to najlepszy seks, jakiego kiedykolwiek zaznałem.

- Sukinsynu.

- Skosztowałem jej cipki. Smakuje jak słodka brzoskwinia.

- Przestań Keith. Nie bądź podły.

- Dochodzi przy mnie jak burza.

- Tak, obciągałam mu i miałam ten cholerny orgazm. A ty tam pieprzysz... tę wywlokę... masz swoją kurewkę... i pokazujesz się z nią publicznie... moja matka i ojciec widzieli cię z nią... a ode mnie oczekujesz, żebym tu siedziała całymi nocami i czekała, aż odzyskasz rozum?

- Wiesz, najwyższy czas, żeby pokazać, co kryje się za wizerunkiem dobrej mamusi, którą udajesz. Manipulantka, pazerna materialistka, a kiedy ci pasuje, przybierasz tanią pozę wrażliwej kobiety.

- Pieprzyłam się z nim i ostro dochodziłam - odparła matka mrocznym i gorzkim tonem.

Destiny nie знаła tych ludzi. To nie była jej matka ani jej ojciec. To była dwójka dzieci usiłujących zranić się nawzajem. Zaczęła się zastanawiać, czy dorośli kiedykolwiek dojrzewają.

- Pieprzyłam się z nim i udawałam, że on to ty, Keith. Nie doprowadził mnie. Musiałam zrobić to sama. Pozwoliłam sobie na to. A kiedy skończyłam, musiałam wyjść do łazienki i płakałam, bo czułam się cholernie winna.

Z odtwarzacza matki popłynęła muzyka. Mariah Carey *We Belong Together*.

Ojciec wydał z siebie westchnienie pełne irytacji.

- Gdzie była Destiny ostatniej nocy? - zapytał.

- Nie obchodzi mnie żaden facet prócz ciebie - rozplakała się matka.

- Ile razy się z nim przespałaś?

- Keith... dlaczego? Nie mów mi, że jesteś zazdrosny.

- Skończmy już tę rozmowę - zajęcza! ojciec.
- Kochasz mnie, Keith?
- Wczoraj go przeleciałaś, a teraz pytasz, czy cię Kocham?
- Odpowiedz mi na to cholerne pytanie!
- Nie, Carmen. Nie Kocham cię. Nie tak, jak mąż powinien Kochać żonę.

Zapadła cisza. Destiny zaczęła się nawet zastanawiać, czy nie skończyli rozmowy.

- Kochasz ją? - zapytała wreszcie matka. - Bądźmy wobec siebie uczciwi, no powiedz, Keith.

Kiedy matka zadawała to pytanie, jej głos brzmiał tak staro, jakby zmagala się ze swoim wiekiem, ze swoją śmiertelnością i przegrywając tę bitwę, wciąż nie chciała się pogodzić z tym, że podlega przemijaniu.

- Kiedy jestem z Billie, niczego mi nie trzeba. Jest cudowna, taka niewymagająca. Nie wysysa ze mnie życia. Wymawia moje imię i dodaje mi sił. Potrafi mnie rozśmieszyć. I uważa, że jestem zabawny.

- Nie doprowadzaj mnie do wymiotów, Keith. Czy do tego chcesz doprowadzić, żebym zwymiotowała?

- Jesteś chciwa, Carmen. Potrafisz tylko brać.

- Czy ty ją Kochasz?

- Ona wie, jak Kochać.

- Odpowiedz mi, do cholery!

- Prawda jest taka, że nasz czas już przeminął, Carmen.

- Kochasz ją?!

- Tak, Carmen. Kocham Billie.

Wtedy rozległ się ten przerażający dźwięk. Gwałtowny wybuch płaczu matki. Zanosila się od płaczu, zawodząc jak dwuletnie dziecko. Destiny była jeszcze bardziej wstrząśnięta.

- Nie musisz mnie Kochać, Keith.

- Tego już za wiele, Carmen. Posłuchaj, porozmawiajmy jutro albo innym razem.

- Nie, nie, nie. Przyjedź do mnie, Keith.

- Zobaczymy się w poradni.

- Ja cierpię, Keith. Zadajesz mi ból. Nie odrzucaj mnie. Potrzebuję cię.

- Carmen, proszę.
- Wciąż cię pragnę... Kocham cię, Keith. Nie musisz mnie kochać, nie tak, jak ja kocham ciebie. Małżeństwo nie polega na kochaniu. Małżeństwo jest potężniejsze od miłości. Tylko wróć do domu. Będziemy się modlić. Damy sobie radę.
- Carmen, kochanie...
- Jeśli nie ze względu na mnie, to pomyśl o naszej córce.
- Jedynym powodem, dla którego zaszłaś w ciążę, była endometrioza.
- To prawda. Nie spodziewałam się, że będziemy kiedyś mieli dziecko.
- Może nie powinniśmy byli mieć.
- Może. Ale wtedy nie byłabym... nie tak wyobrażałam sobie moje życie, Keith.
- A myślisz, że ja tak sobie wyobrażałam swoje?
- Nie wyobrażałam sobie siebie jako rozwiedzionej samotnej matki.
- Ale jeśli już mowa o dziecku, to masz, czego chciałaś.
- Nienawidzę cię, Keith. Jak ja cię nienawidzę, czarnuchu. Nienawidzę dnia, w którym trafiłam na ciebie, ty żaloszny dupku.
- Dzięki temu żalosznemu dupkowi i czarnuchowi udało ci się przebrnąć przez studia prawnicze. Zapłaciłem za to, żebyś była tym, kim jesteś. Zapłaciłem za dom, w którym mieszkasz. Za ten cholerny telefon, z którego do mnie dzwonisz. Dzięki mnie to wszystko osiągnęłaś. Za mało wydałem? Dlaczego nie dasz spokoju z tym pieprzonym pozwem o alimenty, Carmen?
- Matka zachichotała. To był śmiech zwycięzcy.
- Czy robię coś niezgodnego z prawem?
- Nie ma tygodnia, żebyś nie wydzwaniała po sądach. Wszyscy tam są już zmęczeni twoją zawziętością. Dałem ci dom. Pytam, do cholery, nie masz już dosyć?
- No cóż, nie zmieniałam tu zamków.
- Czemu, do kurwy nędzy, wciąż mi to robisz? - Ojciec stracił cierpliwość.
- Przestań zachowywać się jak zboląły męczennik. Dorośnij, na rany Chrystusa.
- Dorośnij;
- Właśnie.

- Ja dorosłem. Problem w tym, że to ty wciąż jesteś dzieckiem. Rozpieszczonym bachorem w drogich ciuchach.

- Ale ten rozpieszczony bachor cię przerósł. Popatrz na swój wyciąg z konta, a potem na mój.

- Wiesz co? Możesz sobie dupę podetrzeć tym swoim dyplomem prawnika, tyle mnie to obchodzi.

- Wydymany czarnuch. Nie ma nic gorszego od wydymanego czarnucha.

- Ten czarnuch jest wydymany przez twoją ignorancję, zawziętość i psychozę.

- Pieprz się, ty sukinsynu.

- Wiesz co... - W słuchawce rozległo się ciężkie westchnienie ojca. - Dobranoc, Carmen.

- Nie skończyliśmy rozmowy.

- Na dziś wystarczy mi już pomiatania. Dobranoc.

- Co, przychodzi twoja wywłoka? Czy wybierasz się do View Park, do domu tej suki?

- Co to ma znaczyć?

- Ta lafirynda, barmanka, z którą się spotykasz, wynajmuje pokój u pewnej Koreanki, prawda?

- Śledziłaś mnie?

- Być może śledzę ją.

- Nie pogrywaj tak ze mną, Carmen.

- Znam ludzi w policji, w wydziale komunikacji, a nawet w urzędzie skarbowym. Potrafię zdobyć potrzebne mi informacje.

- Jedyne temat, na który mamy sobie coś do powiedzenia, to Destiny, zrozumiano? - wybuchnął jej ojciec. - A ona jest już w takim wieku, że może do mnie zadzwonić i porozmawiać na każdy temat, jaki trzeba poruszyć. Nie chcę więcej twoich pieprzonych telefonów. Nigdy.

- Zaczekaj, nie rozłączaj się, Keith.

- Kiedy następnym razem zadzwoni u mnie telefon i na wyświetlaczu pokaże się twój numer, lepiej, żeby to była moja córka.

- Porozmawiaj ze mną, proszę. Pięć minut. Jeszcze tylko pięć minut.

- Czego ode mnie chcesz, Carmen?

- Wróć do domu. Jeśli nie do mnie, to do swojej córki.

- Nigdy więcej nie wykorzystuj jej w ten sposób.
- Do córki, której nie chciałeś! - wrzasnęła matka.
- Nigdy więcej nie każ mi wysłuchiwać takich bredni, Carmen.
- Keith, nigdy nie zaznasz szczęścia poza tym domem.
- Dlaczego mi to robisz, Carmen? Destiny siedziała w swoim pokoju i słuchała.

- Bo cię kocham, Keith. - Z głosu jej matki zniknęła cała surowość i mówiła teraz tak łagodnie, tak szczerze, z takim bólem. - Bo jesteśmy rodziną. Bo przysięgaliśmy sobie przed Bogiem.

Oczy Destiny wypełniły się łzami.

Teraz już wiedziała.

Jej matka to kurwa.

Jej ojciec jest związany z inną kobietą.

Gdyby nie przyszła na świat, jej zakłamani rodzice wciąż byliby bezdzietni i szczęśliwi. Albo mogliby się rozejść wolni od rodzicielskich zobowiązań, tymczasem ona była dla nich jak kamień u szyi.

Nigdy nie przestała rozmyślać o tej rozmowie. Nigdy. Nie miała wyrzutów z powodu tego, że naruszyła prywatność swoich rodziców. Jedynym sposobem, by dojść w tym domu do prawdy, było wykradzenie jej.

- Destiny? - melodyjny i szorstki głos matki przywrócił ją do rzeczywistości, rozwiewając wspomnienia. Na twarzy matki malował się subtelny triumfujący uśmiech. Pędziły z prędkością co najmniej stu trzydziestu kilometrów na godzinę wzdłuż Stocker Street, czteropasmowego korytarza, który oddzielał View Park od Baldwin Hills. Podrywając z ziemi tumany kurzu i śmieci, które zalegały dzielnicę mieszkaniową, jechały w stronę Crenshaw Boulevard, gdzie był dom jej dziadków. W samochodzie grała muzyka, cholerny John Legend. Matka zawsze słuchała tej płyty. Destiny miała ochotę krzyknąć. Mieszkanie jej ojca znajdowało się o jedną przecznicę od miejsca, gdzie właśnie przejeżdżały. Z domu dziadków można tam było dojść na piechotę.

Uniosła głowę i zobaczyła, że zdezelowana terenówka ojca podążała tuż za nimi.

Skręciły w lewo, kierując się w stronę King Street, a ojciec pojechał prosto, w sam środek Leimert Park.

Destiny westchnęła, nie obejrzała się na matkę. Myślami była już gdzie indziej. Patrzyła na gejów, którzy co weekend krążyli po ulicach, szukając nowych znajomości. Crenshaw Strip. Niedaleko miejsca, gdzie Merlin Santana został zastrzelony przez piętnastoletnią siostrę. Zakłady fryzjerskie. Salony tatuażu. Drugorzędne sklepiki ulokowane w płataninie sześciu wyboistych uliczek. Przy głównej drodze stały wszędzie znaki zakazujące skrętu w lewo od wczesnych godzin wieczornych do późnej nocy. Było tam jeszcze więcej znaków informujących o „zakazie krążenia”. Pod spodem każdego z nich widniał napis definiujący to wykroczenie jako dwukrotne przejechanie tego samego miejsca w ciągu sześciu godzin. Aby ominąć to ograniczenie, ludzie szukali miejsc na wszystkich parkingach położonych między Century Street a drogą numer 10, a to oznaczało przynajmniej kilkanaście kilometrów błędzenia. Naprzeciwko Wings and Things zaparkowała swoje samochody grupa miłośników hondy, przed Chris Burgers stało kilka volkswagenów. Właściciele lowriderów zbierali się przy myjni samochodowej, paru innych tuż obok, przed barem Jack in the Box. Dziewczęta w krótkich spódniczkach i bracia zbyt wystraszeni, by do nich zagadnąć. Atmosfera pełna chłodnej rezerwy. Muzyka pohukująca na okrągło. Ulice były w niepodzielnym władaniu gangów samochodowych.

- Mamo, kiedy pozwolisz mi zrobić prawo jazdy? - spytała Destiny.
- Zapytaj ojca.
- On pozwolił mi trochę pojeździć.
- Co zrobił?
- Spokojnie, jeździłam wokół parkingu, nie po ulicach.
- No cóż, ja i twój ojciec musimy odbyć krótką pogawędkę.
- Co jest złego w tym, że pokazał mi, jak się prowadzi?
- To, że robi rzeczy, które nastawiają cię przeciwko mnie.
- A kiedy będę mogła zrobić sobie tatuaż? - westchnęła Destiny.
- Nigdy. Nawet o tym nie myśl.
- A tata sobie zrobił.
- Zmień temat.
- Jesteś wściekła, bo zrobił sobie tatuaż.
- Zamknij się, Destiny.
- No, jesteś naprawdę wściekła.

- Zamknij się albo zmień temat.
- Łaski bez.
- Ostatni raz zwracasz się do mnie w ten sposób. - Matka spojrzała na nią surowo.

Z jadącego obok nich samochodu uderzyła fala głośnej muzyki; łomot był tak mocny, że poczuła wibracje.

Pieprzyliśmy się w łóżku, pieprzyliśmy się na podłodze, pieprzyliśmy się tak długo, że zapuściliśmy pieprzone afro.

- Okropne. Destiny, ta muzyka jest okropna. Gdzie są rodzice tych dzieciaków? Co z nich za rodzice?

Matka pogłośniła swój odtwarzacz. John Legend zawodził o tym, że jesteśmy zwyczajnymi ludźmi. Destiny ściszyła muzykę.

- Mamo, czy kiedyś włóczyłaś się po ulicach?
- Lata temu. Spacerowałam po tej okolicy. Robiłam zakupy na pchlim targu, jak wszyscy.
- Tatuś też?

- Zanim jeszcze poznałam twojego tatę. Spytaj go. On wychował się w getcie. Niedobra okolica, ale udało mu się wybić. W przeciwieństwie do jego starszego brata. Twój wujek Jody dokonał zabójstwa podczas napadu na sklep alkoholowy, to było parę lat przed tym, jak się urodziłaś. Twój ojciec zapuszczał się tu z innymi. Może ci opowiedzieć, jak też włóczył się po Crenshaw.

- Jak dawno to było?
- Zanim pojawił się rap. Kiedy piosenkarze potrafili śpiewać, a tancerki nie poruszały się jak striptizerki. Hip-hop zabił rhythm & bluesa. Trafił go w samo serce.

Destiny roześmiała się, gdyż nie umiała sobie wyobrazić świata bez hip-hopu. Byłoby to dla niej jak próba przeżycia bez powietrza.

- To takie nieprawdopodobne, mamo. Były czasy, kiedy nie istniał rap?

- Ani HBO. Ani MTV. Były tylko trzy kanały. I *Soul Train*.

- Co takiego? *Soul Train*? Ten program to miernota. I tylko trzy kanały do oglądania?

- Cztery, jeśli dodać PBS. A telewizji nie było już zaraz po północy.
- To bez sensu.

- A 7-Eleven otwierali o siódmej rano i zamykali o jedenastej wieczorem.

- To dlatego nazwali to 7-Eleven?

- Crips i Bloods prowadzili wojnę gangów. Wytwórnice kokainy. Policja robiła naloty. A potem wszystko zaczynało się od nowa. Ciężko wtedy pracowałam. Twoja matka przeszła długą drogę.

- Wciąż przeżywam to, że nie miałaś HBO. Telewizja publiczna jest do niczego.

- A więc słuchałaś, co mówiłam - matka uśmiechnęła się. - Nie było kablówki. Ani teledysków. Ani internetu. Ani Michaela Jacksona śpiewającego *Thrillera*. Ani Downtown Julie Brown, która teraz zaczęła nosić modne kapelusze.

- Kto to jest?

- Była w epoce filmów wideo kimś takim jak Dick Clark.

- A kim jest Dick Clark?

- Boże, ja się starzeję - matka roześmiała się, ale bez cienia radości. - 1 nie było telefonów komórkowych. Używaliśmy tych wstrętnych automatów na monety, z których teraz korzystają bezdomni.

- Okropne.

- Boże, wydaje się, jakby to było wczoraj, a to tak dawno. Destiny próbowała poprawić matce nastrój.

- A jeździły już samochody, kiedy byłaś w moim wieku? - zażartowała.

- Tak, ale zatrzymywało się je obcasem - uśmiechnęła się matka. Przed nimi śmignął cadillac escalade. Destiny zauważyła co najmniej sześć ekranów DVD. Na każdym z nich leciało porno. W innej terenówce, która jechała obok, ktoś oglądał *Baby Boy*. Bohater grany przez Tyre-se'a najpierw kłóci się z matką swojego dziecka, a potem obydwójce uprawiają dziki seks. Ostry i bezwzględny seks, grzmocenie tyłka przez wojownika w kapturze. Destiny знаła wszystkie dialogi z tego filmu. Nawet teraz poruszała ustami. *Uwielbiam czuć, kiedy robi się wielki, uwielbiam dla niego gotować i sprzątać.*

Destiny myślała o tym, jak w ubiegłym roku po raz pierwszy uprawiała seks. Ale to wyglądało inaczej. Nie krzyczała „kocham cię, kocham cię” jak dziewczyna Tyrese'a. Nie jęczała, że zaraz dojdzie, zaraz dojdzie, zaraz dojdzie. Nie leżała na łóżku, uśmiechając się do niego. To było

grzmocenie, ale bez czułości. Chciałaby poczuć taką miłość, jaką wyrażała twarz tamtej aktorki.

Destiny przypomniała sobie. To był ten wyraz, jaki widziała na twarzy swojej matki prawie dziesięć lat temu. Kiedy była sześciolletnią dziewczynką, obudziła się pewnej nocy i usłyszała odgłosy, przerażające odgłosy, więc zeszła do salonu. Rodzice byli częściowo rozebrani, część ubrań mieli na sobie. Matka była przechylona przez sofę, a ojciec znajdował się za jej plecami. Teraz wie, że to była pozycja na pieska. Nigdy wcześniej nie widziała u swego ojca tak barbarzyńskiej miny. Sprawował władzę. Był królem. Ich ciała uderzały o siebie tak mocno, że wydawało się, jakby ją bił. Po raz pierwszy zobaczyła na twarzy swej matki ten poddańczy i bezbronny wyraz. Sofa przesuwiała się po drewnianej podłodze za każdym pchnięciem ojca. Przesuwiała się, dopóki jej nogi nie zatrzymały się na dywaniku w orientalne wzory.

Destiny była przerażona.

Miała ochotę krzyczeć.

A wtedy...

Wtedy jej matka zaskowyczała i jęczącym głosem powiedziała ojcu, żeby pieprzył jej szparkę, napierała na niego, wypinając pośladki, zawodziła, by rznął jej pieprzoną szparkę, która należy do niego, by posuwał ją właśnie w taki sposób. Powtarzała mu, jak dobrze jej robi, jęczała, jak bardzo to uwielbia. Dłonie ojca obejmowały matkę w talii, szarpiąc jej ciałem do tyłu przy każdym pchnięciu. Matka błagała go, by wbijał się w nią tak głęboko, jak tylko potrafi. Te odgłosy, ta symfonia pożądania i rozwiązłości, pomruki ojca, to klaskanie nagich ciał, które było dopełnieniem ich rapsodii...

A kiedy wreszcie zakończyli ten brutalny akt, uśmiechali się do siebie i chichotali.

Jej matka się śmiała, jakby to była zabawa. Jakby to było śmieszne. Ojciec robił to samo. Leżąc na matce, całował ją i dotykał jej włosów. Zapamiętała z tego więcej niż sam seks. Wdziąka ich szczęśliwe miny i słyszała ich śmiech. Obejmowali się. To była miłość.

Pragnęła tego. Pragnęła być kochana. Jak ta dziewczyna w filmie *Baby Boy*.

- Słyszysz mnie? - powiedziała matka.

- Co? - Destiny wyrwała się z transu.

- To był błąd zabierać cię do Starbucksa. Mama nie powinna była tego robić. Postąpiłam tak samo jak kiedyś moja matka. Zrobiłam to, czego przysięgałam nie robić moim dzieciom.

- Zamieniasz się w swoją matkę. Nikt nie chce być taki jak jego matka.

- Udam, że tego nie słyszałam.

- Tak jak udajesz, że nie słyszysz niczego, co mówię.

Matka wzięła głęboki oddech, co miało oznaczać, że jej cierpliwość została wystawiona na ciężką próbę.

- Ale... ale... Mama nie miała czasu, żeby ułożyć cię do snu. Mama powinna była najpierw położyć cię do łóżka, a potem tam jechać.

- Co się wydarzyło w Starbucksie?

- Twój ojciec podjął kilka samolubnych decyzji, które ranią nas wszystkich. - Na twarzy Carmen pojawił się niespokojny uśmiech. Ręką potarła skroń. - Przykro mi, że zostałam w to wszystko wmieszana.

- Co się wydarzyło w Starbucksie, mamo?

- Nic.

- Tam była dziewczyna taty.

- Ta suka nie jest jego dziewczyną - krzyknęła matka.

- Powiedział, że jest.

- Ale nie jest.

- Widziałam, jak się na ciebie gapi. Jakieś porachunki.

Matka zmarszczyła brwi, jakby miała ochotę wdeptać czyjąś twarz w błoto.

- Nie, żadnych porachunków.

- Coś się stało. Coś na pewno się stało. Co zrobiła ta dziewczyna na motocyklu?

- Nic. Była tam ta malowana lala. Ale na tym koniec. - Carmen wydała nieprzyjemny pomruk i ciężko westchnęła. - Mamusia cię przeprosza. Mamusia jest zestresowana. Tak cholernie zestresowana, że to nie jest śmieszne. Destiny westchnęła i spojrzała w dal. Panowała susza. Rok wcześniej Los Angeles nawiedzały ciągłe deszcze i lawiny błota. Na niektórych obszarach hrabstw Los Angeles, Orange i Kern oraz na przeważającej czę-

ści Zachodniego Wybrzeża wprowadzono stan klęski żywiołowej. Huragan o imieniu Katrina spustoszył wtedy Nowy Orlean. Kolejna klęska żywiołowa. Oto jak wyglądało jej życie. Klęska żywiołowa. Powinien interweniować gubernator albo prezydent i ogłosić jej istnienie stanem wyjątkowym. A działo się coraz gorzej. Od czasu, gdy trzęsienie ziemi wywołało tsunami, które zabiło ponad trzysta tysięcy ludzi, świat się zmienił. W internecie przeczytała, że siła tego wstrząsu była tak ogromna, iż wywarła wpływ na ruch obrotowy Ziemi. Świat zaczął wirować szybciej. Od tamtej pory opady deszczu w Los Angeles były tak mocne i długotrwałe, że na pustyni zaczęły kwitnąć kwiaty. Globalne ocieplenie roztopiło pokrywę śnieżną na szczycie Kilimandżaro. Wszystko straciło równowagę. I nikt tego nie zauważał. Doszła do wniosku, że ponieważ ludzie w głównej mierze składają się z wody, nowe obroty Ziemi zmieniły każdego. Wszystko się ze sobą łączy. I może to właśnie dlatego jej rodzice zachowują się tak, jakby obydwoje ubiegali się o główną rolę w filmie *Kwiaty dla Algemona*.

- Destiny.
- Co?
- Słuchasz, co mówię?
- Nie.
- Powiedziałam, że kiedy położę cię spać, pojedę do mieszkania twojego ojca.
- Po co?
- Żeby pomóc mu się spakować. - Matka zawahała się przez moment.
- Tata wraca do domu.
- Do domu?
- Do nas.
- Kiedy?
- Jutro.
- Jutro?
- Tak, jutro. Pozew rozwodowy twojego ojca został oddalony.
- Dlaczego został oddalony?
- Ponieważ jestem bystrzejsza od niego - uśmiechnęła się matka. -
Znów będziemy rodziną.
- Kiedy to postanowiliście?
- Nie jesteś szczęśliwa?

- Mamo, kiedy?
- Możesz nie doceniać tego, co teraz mówię, ale docenisz to później.
- Co oznacza, że nie masz czasu na wyjaśnienia. Albo chęci.
- Wszystko, co robię, robię dla ciebie, nie wiesz o tym?
- Dlaczego tak trudno uzyskać od ciebie szczerą odpowiedź? - burknęła Destiny.

- Teraz ty i twój tata będziecie mogli grać w szachy, a może nawet co piątek oglądać razem *Battlestar Galáctica*.

- A kiedy zasnę, ty i tata będziecie mogli wypróbować nową sofę.

- Co to ma znaczyć?

- Czy mogłabyś przestać mnie zlewać i chociaż raz odpowiedzieć na moje pytanie?

Matka skręciła na wąski podjazd przed posesją dziadków. Jednorodzinny dom otynkowany na zielono.

- Kiedy to postanowiliście?

- Nie jesteś szczęśliwa?

- Czy wyglądam, jakbym klaskała w dłonie?

- Na dobre i na złe, Destiny. Małżeństwa zawiera się na dobre i na złe.

- No to się pospiesz, żeby dostać to „na dobre”.

- Życie z drugą osobą jest ciężkie. Nie spiesz się, żeby zaznać tego na własnej skórze. Pozostań młoda tak długo, jak możesz.

- I widzisz, mamo, jak unikasz odpowiedzi na moje pytanie?

- Mam prawie trzydzieści siedem lat. A wydaje się, jakbym jeszcze wczoraj była w twoim wieku. Czas ucieka szybko, kiedy się bawisz. A potem wlecze się perfidnie, kiedy cierpisz. Czas. To nasz największy wróg. Bądź ostrożna ze swoimi decyzjami, Destiny. Nie sposób odwrócić tego, co się już stało.

- Zachowujesz się tak, jakbyś mnie nie słyszała - powiedziała Destiny podniesionym tonem. Głos matki drażnił jej uszy niczym brzęk tłuczonego szkła. - Wiem, że mnie słyszysz, tylko nic z tego, co powiem, nie jest dla ciebie ważne.

- Więc zostajesz dziś na noc u babci - westchnęła Carmen.

- Nie jestem już taka mała, żebym nie mogła sama zostać w domu.

- Nawet o tym nie myśl.

- Niech ci będzie.

- Wrócę po ciebie po śniadaniu.
- Skoro wybierasz się do taty, to może zostanę tu jutro na cały dzień?
- Powinnaś być ze mną i z tatusiem. Powinniśmy razem spędzać czas.

Jak rodzina.

- Mogłabyś odpuścić sobie takie teksty rodem z Disneylandu?
- Psycholog powiedział, że tego właśnie nam potrzeba. Wspólnych rodzinnych chwil. Pomyślałam, że moglibyśmy wybrać się na kręgle.

- Proszę?

- Jeśli nie kręgle, to może do kina. Powiem ci na co, zadzwonię do ciebie rano.

- Nie chcę grać w kręgle. Nie mam ochoty na kino. Chcę tu zostać.

- Dlaczego?

- Bo tu... tu jest spokojnie. Zresztą i tak muszę odrobić poważne zadanie.

- Co to za poważne zadanie?

- Ogden Nash.

- Kto to jest Ogden Nash?

- Pisarz. Muszę zrobić analizę krytyczną wiersza *Fleas* i napisać wypracowanie. To mi zajmie cały dzień.

Carmen westchnęła i potarła skroń.

- Porozmawiamy rano - powiedziała.

- Po co mamy rozmawiać, skoro mogę tu zostać?

- Bo musimy porozmawiać.

- I dlatego musimy, bo tak powiedziałaś.

- Nie dyskutuj ze mną.

- Jestem zmęczona tymi erystycznymi dyskusjami.

- Jakimi?

- Erystycznymi.

- Co to ma znaczyć?

- To ty jesteś prawnikiem.

- Co oznacza to słowo?

- Sprawdź sobie. Przecież jesteś taka bystra.

- Powąchałaś trochę słownika. Uważaj, żeby twój język nie wpędził cię w kłopoty.

- Mam to gdzieś.

- Co to było, Destiny?! - wrzasnęła matka.
- Nic. Absolutnie nic.
- Jaka szkoda, że rodzice nie mogą wybierać sobie dzieci - westchnęła Carmen, pocierając skroń.
- Tak jakby dzieci mogły wybierać sobie rodziców - odparowała Destiny.
- Ostatni raz, Destiny. Ostatni raz.
- Ty i tata macie swoje dramaty. Chcę tu jutro zostać.
- Porozmawiamy rano. Przyjmij to do wiadomości.
- Despotka - mruknęła Destiny.
- Jak mnie nazwałeś?
- Słyszałeś.

Destiny poczuła dłoń matki, która w nagłym przypiływie furii trzepnęła ją w tył głowy.

- Mam już dość twojego gadania - krzyknęła Carmen.
- Też mam dość twojego gadania. Wszyscy mają dość twojego gadania.
- Ubliż mi jeszcze raz.
- Przestań mnie bić.
- No już, ubliż mi.
- Przestań mnie bić.
- Bo co? Bo co?

Destiny patrzyła, jak matka unosi rękę do ostatecznego ciosu.

- Niewdzięczne dziecko budzi odrazę w oczach Boga! - zawyła Carmen. Zawahała się, a w jej oczach pojawił się ogrom cierpienia i frustracji.

- Nie chcę mieszkać z tobą i z tatą! - krzyknęła Destiny.
- Co? - Carmen była w szoku.
- Chcę chronić ciebie i chcę chronić tatę.
- Przed czym chronić?
- Przed wami samymi.

W tym momencie po policzkach matki stoczyły się łzy.

- Będę mieszkać z tobą albo z nim. A jeśli obydwoje chcecie być razem i doprowadzać się do wściekłości, proszę bardzo. Pozabijajcie się, jeśli to wam poprawi humor. Ale zostawcie mnie u dziadków. Dlaczego? Dlatego, że jesteś despotką. Despotka wprowadza rządy tyranii. Jesteś pieprzoną despotką.

Destiny patrzyła, jak matka odsuwa się od niej, jak opuszcza rękę, jak ociera łzy.

- A tata jest zawsze taki przybity, zawsze spięty. Staje się szczęśliwy, kiedy nie jest z tobą.

Destiny wyskoczyła z samochodu, trzaskając drzwiami. Bez pocałunku, bez pożegnania.

- Destiny - krzyknęła za nią matka. - Destiny, wiem, że mnie słyszysz.

Dziewczyna obróciła się w jej stronę. Miała ochotę krzyknąć. Zobaczyła wtedy, że oczy jej matki zalane są łzami. Była udęczona. Tak usilnie starała się stworzyć idealny świat, ponosząc przy tym druzgocące klęski.

- Kocham cię, dziecinko - powiedziała Carmen łamiącym się głosem.

Destiny też była bliska płaczu, ale nie powodowało nią wzruszenie. Matka była zawsze taka niecierpliwa. Zawsze skora do osądów. Wytrawna aktorka, zmienna, czarująca, pełna sprzeczności i okrutna. I do tego porywcza. Potrafiła tak szybko wejść na wysokie obroty, że ojciec pozostawał daleko w tyle.

- Też cię kocham - powiedziała Destiny.

Patrzyła na matkę. Na jej łzy. Delikatne rysy jej pięknej twarzy. Jej nową fryzurę. Jej nowe ubranie. Cały jej wygląd. Dzień po tym, jak obie odkryły, że w życiu jej ojca jest Billie, matka wróciła do domu z nową fryzurą i w nowych ciuchach. Zmiana wizerunku i terapia zakupowa. Destiny kochała swoją matkę, ale chętnie zamieniłaby się z każdym, byle nie być teraz we własnej skórze.

Carmen walczyła dalej.

- Chcesz iść ze mną w przyszłym tygodniu na *Monologi waginy*? - spytała. - Miejsca w łoży dla VIP-ów. Możemy zabrać babcię. Pójdziemy do fryzjera. Manikiur. Pedikiur. Taka babska wyprawa.

Destiny niemalże krzyknęła, że jej matka powinna chyba wybrać się na musical *Menopauza*. Niemalże.

Carmen otarła łzy i uśmiechnęła się.

Destiny również otarła oczy i odpowiedziała jej uśmiechem.

Prawie miała powiedzieć, że się zgadza. Już miała przypomnieć swojej matce, że jej imię znaczy przeznaczenie. A przeznaczenie to coś, czego nie sposób kontrolować. Coś, czego nie da się zmienić.

Niemalże powiedziała jej, że nie jest swoim ojcem. Że nie może jej szantażować alimentami i oddać papierów rozwodowych, aby ją złamać i zastraszyć. Już miała wrzasnąć, wpaść w szal i wykrzyknąć wszystko to, co od lałchciała z siebie wyrzucić.

Ale tego nie zrobiła. Nie dlatego, że bała się powiedzieć, co jej leży na sercu.

Matka znów trzymała inhalator przy ustach. Nerwy ścisnęły jej płuca. Wszystko wróciło w zeszłym roku, kiedy odszedł ojciec, kiedy między rodzicami zaczęło się robić naprawdę tragicznie. Jedno z nich zaczęło pić jak ryba. Drugie zaczęło się dusić z samotności. Astma. Ojciec przynajmniej odstawił alkohol. Przyglądała się, jak matka bierze głęboki oddech, wciągając sterydy. Czekwała, by się upewnić, że z matką wszystko w porządku. To nie była pora na wyrzuty.

Znała lepsze zniewagi. Inne sposoby, aby wyrazić to, co czuje do swojej matki.

- Przyjdź i zjedz dobry obiad - powiedziała i posłała matce całusa.
- Co to znaczy, Destiny?
- Znaczy to, co znaczy. - Destiny nie przestawała się uśmiechać. - Kocham cię tak, jak ty kochasz mnie.
- To takie straszne. - Matka wpatrywała się w nią, kręcąc głową. - Jesteś mną z przeszłości.
- Co to znaczy?
- Znaczy to, co znaczy - matka złapała głęboki oddech.
- Niech ci będzie.

Weszła do środka, otwierając drzwi własnym kluczem. Wciąż bolała ją głowa w miejscu, gdzie oberwała od matki. Z głębi domu dobiegały jakieś odgłosy.

- Destiny?
- To ja, babciu.
- Czekamy - odezwał się dziadek. - Carmen też tu jest?
- Tylko ja, dziadziu.

Jej dziadkowie. Obydwoje już w łóżku. W nogach łóżka spoczywała niszczarka do dokumentów. Jej dziadkowie niszczyli reklamy i listy ofertowe, które do nich przychodziły. Mieli potężną niszczarkę, która szatkowała nawet karty kredytowe i pozostawione w kopertach listy. Szatkowała wszystko. Zawsze nękały ich obawy, aby nikt się pod nich nie podszył.

Obydwoje podnieśli na nią wzrok. Właśnie siedzieli przed telewizorem. Oprah nagrana na TiVo. Terry McMillan i jej były mąż. Jej dziadkowie byli w Stanach od zawsze. Jamajczycy do szpiku kości. Destiny nie umiała sobie wyobrazić świata bez TiVo, świata, w którym byłyby tylko trzy kanały. Cztery, jeśli liczyć PBS.

- Ten tego, taki facet, męska dziwka, i to czarny - babka była rozwścieczona.

- Dość takich, ten tego, na plaży - wtrącił dziadek.

- Chłopak się sprawował i teraz mówi, że ona ma pieniądze i wszystko. A ona jego chciała. Pedzia czy nie. Ale co tam. Jak na Jamajce będzie ze stu facetów nie ten tego, to starczy. Idiota i tyle.

Ich słowa padały tak szybko, że Destiny nie rozumiała, co mówili. Podeszła do babci i przytuliła ją.

- Mama powiedziała, że tata wprowadza się do domu - oznajmiła.

- Wypadałoby - rzekła babcia. - To twój ojciec. On poślubił twoją matkę.

Destiny obeszła łóżko i uścisnęła dziadka.

- Idę się położyć - westchnęła.

- Odnieś mi niszczarkę do gabinetu, dobrze, moje dziecko? - powiedziała babka.

- Ja to zrobię - odezwał się dziadek.

- Pozwól jej, Williamie. Twoje plecy.

- Już ją biorę - w tym momencie Destiny chwyciła maszynę.

- Dobranoc - zgodnym chórem powiedzieli dziadkowie.

Destiny oddaliła się z niszczarką, pozostawiając ich przed telewizorem, który chwilę później zgasł. Ranne ptaszki. Wkrótce powinni już spać.

Sypialnia, zamknięte drzwi, włączony telewizor, piracka wersja *Baby Boy*, ściszony dźwięk. Znała wszystkie dialogi na pamięć. Bohater grany przez Tyrese'a właśnie okłamuje wzburzoną matkę swego dziecka, że sypianie

ze współpracowniczką byłoby złamaniem zasad, a on nigdy nie złamałby zasad. W odtwarzaczu CD kręciła się piracka płyta, Usher i Luda, ostra wersja *Lovers and Friends*. Destiny przyłożyła telefon do ucha. Dzwoniła pod numer z wizytówki domowej roboty, którą dostała w Warehouse od młodego człowieka interesu z getta.

- No jak tam? - powiedziała.
- Kto tam?
- Destiny.
- Co za Destiny?
- Pączuszek. Poznaliśmy się w Warehouse.
- Coś ty za jedna?
- Pączuszek, nie pamiętasz? Ej, no co ty? Tam w środku tańczyliśmy mo.
- A, jasne. No co tam, Pączuszkę?
- Ej, tańczyłeś już mo z kimś innym?
- Nie myślałem, że dzwonię do czarnucha.
- Co robicie?
- Oglądamy filmy na DVD. Napalamy się.
- Słyszę. Ale macie fazę.
- Jak skurwysyn. Dobij tu do nas. Dużo tracisz. Można by nagrać jakieś głupoty.

Grudniowe dziecko spod znaku Strzelca. Czasem zastanawiała się, dlaczego ciągle jest w niej ta dziecięca ciekawość.

- Muszę chwilę poczekać.
- Kurna, Pączuszkę, wal tu do nas.
- Nie mam czym. Piętnastka, pamiętasz?
- Gdzie jesteś?
- Niedaleko skrzyżowania Crenshaw i King Street. Prawie naprzeciwko Krispy Kreme.

Na jej pirackim filmie Tyrese trzymał właśnie głowę między nogami swojej dziewczyny i lizał ją tam.

- Koło galerii Baldwin Hills?
- Taa. Koło tej kurewskiej galerii.
- Nie mamy tam daleko. Jakies pięć minut. Zatrzymaliśmy się na małej imprezce przy Slauson Avenue.
- Super. No to wpadnijcie mnie zgarnąć.

- Już się zbieramy. Czarnuch ma na ciebie chrapkę. Spotkamy się przy Krispy Kreme.

- Nie. Będę czekać na przystanku koło skrzyżowania Stocker Street i Crenshaw. Naprzeciwko Liquor Bank.

- Nie ma problemu. Jedziemy.

- Dajcie mi jakieś trzydzieści minut.

Destiny wolnym krokiem przemierzyła korytarz i zajrzała do sypialni dziadków. Cały dom był utrzymany w jaskrawej kolorystyce typowej dla Jamajki i udekorowany pamiątkami z Barbadosu. Zbliżała się północ i staruszkowie już spali. Destiny wiedziała, że jeśli wróci przed wschodem słońca, nikt się nie dowie, że wychodziła. Mogła tak zrobić bez najmniejszego problemu. Wiele takich nocnych eskapad uszło jej na sucho.

Wróciła do sypialni, która należała kiedyś do jej matki. Ściany zdobił wciąż ten sam różowy motyw. Królewskich rozmiarów łóżko pełne pluszowych zabawek. Na ścianie plakaty. Michael Jackson i Prince. Jeden to zniewieściały mężczyzna o podmalowanych kredką oczach i gęstych lokach, drugi na wysokich obcasach i z trwałą. Mało wojownicze typy. To ciekawe. Destiny zamknęła drzwi i w pośpiechu zaczęła się przebierać. Te same džinsy marki Baby Phat, tym razem w zestawieniu z butami na ośmiocentymetrowych obcasach. Buty zwędziła z garderoby matki. Obcisłe zamszowe kozaczki od Jimmy'ego Choo. Matka nigdy nie powinna zauważyć ich braku w całej stercie swoich przechodzonych butów. Tak samo diamentowych kolczyków.

Podmalowała się szminką, zrobiła lekki makijaż i jak modelki z magazynów rozpuściła włosy.

Parsknęła śmiechem. Śmiała się z kłamstwa, jakie wcisnęła matce. Ze niby musi napisać analizę wiersza Ogdena Nasha. *Fleas*. Najkrótszy wiersz, jaki kiedykolwiek powstał. Tylko trzy słowa.

Dorośli są tacy głupi.

Okłamywała matkę tak samo, jak ona okłamywała jej ojca, nie przejawiając najmniejszej oznaki lęku czy zdenerwowania.

Włożyła krótką skórzaną kurtkę, która kończyła się tuż nad jej talią, podkreślając linię pośladków. Jak garnek złota na końcu tęczy. Stała przed lustrem i przybierając pozę modelki, poczuła dumę, że nie wygląda już na piętnastolatkę.

Miała twarz dziewczyny z college'u. Ciało kobiety. Dwa razy sprawdziła drzwi sypialni, upewniając się, że są zamknięte od wewnątrz.

Potem otworzyła okno i wyslizgnęła się na zewnątrz zwinnie jak kot, przebiegła podwórko sąsiadów, podśpiewując jak Beyonce, i spojrzała na przelatujący nieopodal policyjny helikopter. Idąc z zadartą głową, potknęła się o leżącą w trawie cegłę. Rozejrzała się, czy nikt nie widział, jak straciła płynny rytm kroków, nieomal upadając. Spiorunowała cegłę wzrokiem, po czym podniosła ją i schowała do markowej torebki, którą zwinęła z kolekcji matki. Buty. Torebki. Ubrania. Przygnębienie zmieniło jej matkę w najprawdziwszą zakupoholiczkę. Destiny nadała swojej torebce masę cegły. To na wypadek, gdyby musiała kogoś uderzyć. Przy bulwarze znajdowało się pełno ośrodków odwykowych, które nie pozwalały zapomnieć, że jest to kraj opresji i depresji, kraj pełen żebraków i ćpunów. Czasem żebrzących ćpunów. Wyobrażała sobie, że stawia kroki jak Beyonce. Ani razu nie spojrzała za siebie, kiedy dotarła do King Boulevard, i szła prosto w dźwięki syren i głośnej muzyki, zagłębiała się w połyskliwe światła i gwar panujący na Crenshaw, gdzie diabeł czyhał na nią z rozpostartymi ramionami.

Destiny właśnie dochodziła do rogu Crenshaw i Stocker, kiedy zatrzymała się przy niej czarna terenówka.

- Pączuszk, to twoja dupcia?
- Nie, Mo. Zaczarowała mnie dobra wróżka.
- Cholera, co się z tobą stało?
- Miałam wcześniej spięte włosy, tyle.
- Mówię o twojej zgrabnej dupci. Wyglądałaś wtedy nieźle, ale nie tak odjazdowo jak teraz.

Te piegi i ten uśmiech Jamiego Foxxa. Destiny roześmiała się.

- Byłam trochę zmięta, co?
- Jesteś jak... jak... jak Ciara, jak J Lo i Christina Milian połączone w jedno.
- To powinieneś sobie odpuścić - znów się zaśmiała z nutką fałszywej skromności.
- Kurde, może powinnaś zostać moją dziewczyną.
- Wszystko mi jedno.

- Zostaw tę suczkę w spokoju i puść inną muzykę, D'André - krzyknęła jakaś dziewczyna.

W samochodzie gniotło się kilka panienek otoczonych jeszcze większym gronem facetów. Dwie z nich gapiły się na Destiny. Jedna miała jasną karnację, połączenie Murzynki i Azjatki. Druga była mieszanką czarnej i Meksykanki. Te same dziewczęta, które widziała wcześniej. Chciała być taka jak one. Dziewczęta z hiphopowych teledysków. Miały na sobie opięte stroje i tandetną biżuterię, która nie umywała się do tego, co włożyła Destiny.

- Chcesz mnie obrazić? - odezwała się Destiny. Dziewczęta roześmiały się i jedna drugiej przybiła piątkę.

- Ona leci na Mo. Jakaś dziwka ugania się za twoim facetem - powiedziała ta z urodą Meksykanki.

- Chyba ją powaliło. - Jej koleżanka strzepnęła palcami i zawadiacko nachyliła głowę. - Skopię jej dupę, jeśli tylko spojrzy na mojego faceta. Nawet nie próbuj się do niego zbliżać. Nie żartuję.

- Macie ze mną jakiś problem, wy skundlone dupy? Dziewczyny znów wymieniły spojrzenia, a potem dwie pary aroganckich oczu zmierzyły Destiny z góry na dół.

- Do was mówię, suki - powiedziała Destiny.

- Kogo nazywasz suką?

- Podejdźcie bliżej, to wam pokażę kogo.

- Nie, ona nawet nie wymówiła twojego imienia - powiedziała Mek-sykanka.

- Trzeba jej spuścić łomot, Lupe - dodała ta o azjatyckiej karnacji.

- Osłaniam ci tyły, LaQuiesha. Bracia zanieśli się od śmiechu.

Murzynko-Azjatka rzuciła na podłogę swoją torebkę i zaczęła gramolić się z samochodu. Była co najmniej cztery lata starsza i wyższa o głowę. Co najmniej osiem kilo cięższa. Przy Destiny wyglądała jak goliat na wysokich obcasach.

Destiny zrobiła krok w tył; wyglądało to, jakby zamierzała uciekać. Potem cofnęła się jeszcze na tyle, by móc swobodnie chwycić tamtą za włosy, zachwiać jej równowagę, wygrzmocić między oczy pięć czy sześć razy i przewrócić na chodnik.

Taki właśnie miała plan.

I tak zrobiła. Uderzyła ją więcej razy, niż była w stanie policzyć. Już po pierwszym ciosie dziewczyna chwyciła się za twarz. Mocna w gębę, ale nie w czynach. Wystarczyło raz jej przyłożyć i miała ochotę schować się pod maminią spódnicę.

- Niech cię cholera, Pączuszk. Zgaś jej światło.

Rozciągnięta na chodniku dziewczyna wciąż stwarzała zagrożenie, usiłując dosięgnąć ją kopniakami. Torebka.

Destiny przypomniała sobie o torebce.

Rozhuśtała ją, a schowana w środku cegła nadała jej potężny impet. A potem z całej siły uderzyła dziewczynę w sam środek twarzy. Rozległ się odgłos, jakby coś pękło.

- Moja twarz... rozwaliałś mi twarz... jestem modelką... jestem aktorką... tylko nie twarz... tylko nie twarz...

Dookoła nich rozległo się radosne wycie siedzących w samochodach braci, którzy wybuchali śmiechem i postukiwali się pięściami.

Mieszanka czarnej i Azjatki dźwigała się z chodnika, zapłakana pełzła między samochodami, pokaszując i ocierając krew.

- Przyjdź i zjedz dobry obiad - warknęła Destiny.

Ściskając w ręku torebkę, spojrzała na przyjaciółkę pokonanej. Tamta miała co najmniej metr osiemdziesiąt, kruczoczarne włosy i migdałowe oczy. Destiny wyciągnęła obie ręce w jej stronę.

- I co? I co? Co teraz zrobisz, dziwko? No co? Dalej będziesz sadzić te pierdoły? Co teraz? No co? Startujesz do mnie?

Kamera była skierowana na nią. Wdziała czerwony punkcik na swojej twarzy.

Czuła się ważna. Przyciągała uwagę. Była gwiazdą. Mężczyźni patrzyli na nią, ale w ich oczach nie było niesmaku, lecz respekt.

Dopingowali ją i domagali się więcej.

Wiedziała, że mężczyźni lubią takie rzeczy. Walki dziewcząt. Podskakujące piersi i pośladki, paznokcie rozdzierające skórę na strzępy. Wiedziała, że mężczyźni pobudza patrzenie na to, jak kobiety oszpecają się nawzajem.

Walki dziewcząt. Rękodzieło w najczystszej formie. Nic nie działa lepiej na samcze ego.

Taki właśnie był Crenshaw Boulevard. Takie było Los Angeles i cała południowa Kalifornia.

Destiny skierowała groźne spojrzenie na siedzącą w samochodzie dziewczynę. Kolejny goliat.

Meksykanka zamarła w bezruchu. Szeroko otwarte oczy, rozchylone usta, drżące wargi. Mężczyźni wciąż robili wrzawę, śmiali się, pohukiwała muzyka.

Wyliz moją szparkę, wciągaj prochy...

- To moja impreza, moja impreza. Baluj z nami, to moja impreza!

- Odsunęła się, robiąc miejsce dla Destiny. Odstąpiła jej ogromną przestrzeń, najlepsze siedzenie. Tron.

Destiny nie poruszyła się. Wciąż patrzyła na dziewczynę.

- Znaczy spoko między nami, czy jak?

- Dziewczyno, wyluzuj i wsiadaj. *Wyliz moją szparkę, wciągaj prochy...*

Dziewczyny ściśnięte we wnętrzu samochodu podrygiwały, śpiewając słowa tego refrenu, jakby to był ich hymn.

Na północy rozległ się ryk silników i z mroku wyjechało około dziesięciu motocykli. Na przodzie, z zadartym wysoko przednim kołem jechała przepiękna maszyna w kolorze indygo, która prowadziła całą kawalkadę.

Te same dziewczęta, które widziała wcześniej, kiedy była z rodzicami w Ladera Center.

Destiny wsiadła do terenówki i usadowiła się obok Lupe. D'André właśnie podawał skręta jakiejś dziewczynie.

Ruszyli z miejsca, zostawiając pokonaną dziewczynę, która kuśtykając pomiędzy samochodami, starała się zniknąć.

- To skun czy gandzia? - zapytała Destiny. Luzacki język miejskich trawiarzy. Język akceptacji.

- Gandzia - odparł D'André.

- Eee, ludzie, chyba was powaliło - Destiny pokręciła głową.

- Uważałam was za poważnych gości. Myślałam, że przypalę coś szlachetnego.

Odpowiedział jej wybuch śmiechu.

- Co wiesz o skunku, Pączuszkę? - zapytał Mo.

- Ma bardziej cierpki smak, a odłot jest bardziej... bardziej... jest inny, daje lepszego kopa, wiesz, o co mi chodzi?

- Jesteś w porzo, Pączuszkę. Destiny zaciągnęła się dymem.

- Pilnujcie tego - powiedziała. - Muszę na chwilę wyskoczyć.

- Gdzie?

- Tu, za rogiem.

Powiedziała im, żeby przecięli Victoria Street i wjechali od tyłu do View Park. Jej matka pokonywała tę drogę tysiące razy. Zawsze jeździła do View Park, żeby zobaczyć, czy ojciec jest w domu Billie.

Od czasu, kiedy zobaczyły ojca i Billie na randce, matka niezliczoną liczbę razy przejeżdżała obok jego mieszkania w środku nocy ze zgaszonymi światłami i wściekała się, widząc przed domem ten żółty motocykl.

Zawsze nękała go w imię miłości.

Destiny wiedziała, jaka jest różnica między nękaniami a prawdziwą miłością.

Matka zawsze słuchała piosenki, w której Me'shell N'degeocello śpiewa, jak siedzi pod czyimiś drzwiami i błaga ukochanego, by wyszedł z nią porozmawiać. Melodia sprawiała wrażenie, że piosenka opowiada o miłości, ale tekst temu przeczył. Jeśli ktoś cię nie chce, nie ma ochoty z tobą rozmawiać, każe ci moknąć w deszczu, to już jest nękanie go.

Na miłość odpowiada się otwartymi ramionami. Na nękanie zakazem zbliżania.

W oknie sypialni Billie paliło się światło.

Kobieta, z którą jej ojciec wyglądał na tak cholernie szczęśliwego.

Kobieta, której nienawidziła jej matka.

Destiny wysiadła z samochodu. Wyciągnęła cegłę z torebki.

- Jakie szykujesz teraz wariactwo, Pączuszkę?

- Bądźcie gotowi do odjazdu, kiedy wrócę. Wszyscy parsknęli śmiechem.

Chwilę później cegła wpadła do sypialni, roztrzaskując szybę. Destiny niedbałym krokiem, bez pośpiechu wróciła do samochodu.

Na jej twarzy znów połyskiwało to czerwone światełko. Wciąż była gwiazdą. I wtedy.

Poczuła się tak, jakby ktoś ją obserwował.

Po przeciwnej stronie ulicy, na wprost domu Billie, stał zaparkowany biały samochód terenowy. Wyglądał znajomo. Próbowwała odczytać tablice rejestracyjne, ale nie mogła ich dojrzeć.

Jego szyby nie były zamglone jak w większości samochodów, które stały na ulicy przez większą część nocy. Nie mogły być. Zdawało się jej, że ktoś jest w środku, że dostrzegła czyjś ruch. Ktoś skulił się tak, jakby nie chciał zostać zauważony. Serce Destiny zaczęło uderzać szybciej. Pochyliła głowę i pędem wróciła do swoich nowych przyjaciół.

Przy salwach śmiechu ich samochód zerwał się z miejsca, paląc opony.

Wyliz moją szparkę, wciągaj prochy...

Destiny spojrzała za siebie. Zobaczyła, że w sypialni zapala się światło. Zdawało się jej, że Billie wybiega na taras, ale bardziej była zaintrygowana tamtą białą terenówką. Samochód wciąż stał na swoim miejscu. Nie zapalił świateł, nie ruszył w ślad za nimi. Może w środku nie było nikogo. Może to tylko jej wyobraźnia.

- Pączuszk, jesteś stuknięta dziwka, wiesz o tym?

- Mam to po mamie.

- To dobrze?

- Ona ma skłonność do negatywnych i mściwych zachowań.

- Co to znaczy, Pączuszk? - spytał Mo.

- Ze jest z niej suka nad suki. Rozległ się śmiech.

Wciąż myślała o bójkę. Cieszyła się ze swojego zwycięstwa, ale miała nadzieję, że z jej rywalką jest wszystko w porządku. Zastanawiała się, dlaczego tamta dziewczyna nie mogła być dla niej miłą. Dlaczego musiała być taka złośliwa. Znienawidziła ją tak jak samą siebie. Czuła, że postępuje tak samo jak jej matka z Billie. Wywalczyła sobie prawo do przebywania w towarzystwie tych facetów i prawo do bycia z Mo tak, jak jej matka walczyła o to, aby być z ojcem.

Jak gdyby to było zakodowane w jej DNA.

Zastanawiała się, czy będzie tak samo boleśnie przechodzić okres jak jej matka. Czy raz na miesiąc będzie przeżywać istne przekleństwo. Czy będzie zginać się wpół jak ugodzona nożem i przez kilka dni przykładać do brzucha poduszkę elektryczną. Czy będzie potrzebowała męskiej dłoni, która masażem uśmierzy jej ból. Czy będzie musiała mieć dziecko, żeby pozbyć się tego cierpienia.

Teraz już wiedziała, dlaczego rzuciła tą cegłą.

Nie z powodu matki. I nie dla niej.

Ale z powodu tego, jak jej ojciec patrzył na nią i na matkę, kiedy je zobaczył w tym dniu, w którym wpadły na niego, roześmianego, trzymającego Billie za rękę. Kiedy zniknął ten radosny wyraz na jego twarzy. Przez moment patrzył na nie oczyma pełnymi wyrzutu, jakby żałował, że w ogóle istnieją.

Teraz Destiny żałowała, że istnieje.

Rząd moteli przy Western Boulevard.

Kiedy weszli do ciasnego pokoju, w środku było około dwudziestu osób.

Tańczyli, gdzie tylko się dało. Całowali się. Pólnadzy. Rozpaleni. Jedna z dziewcząt i kilku facetów tańczyło improwizowany rap. Przesiąknięte mizoginią teksty mieszały się ze strumieniem wulgarnych obelg.

Muzyczne gusty Destiny rozciągały się szeroką gamą od Bacha poprzez Janis Joplin aż do Ushera.

Mieszkała w sąsiedztwie getta, chodziła do prywatnej szkoły dla białych i to sprawiło, że stała się wszechstronna.

Faceci przeważnie byli niekształtni, niezbyt atrakcyjni. Coś jak Jay-Z dla ubogich.

Wszystkie kobiety miały jasną bądź egzotyczną karnację albo wielkie tyłki.

Wszystko jak na teledysku. Niektórzy obmacywali się nawzajem. Jak na teledyskach.

- To moja impreza! To moja zajebista impreza! Cały pokój pogrążony był w amoku.

Wszystkie dziewczęta były podkreśnione, tańczyły, wykonując kroki w miejscu i podśpiewując: *Ten rytm jest automatyczny, ponaddzwiękowy, hipnotyczny, odjazdowy.*

Jeden z braci trzymał włączoną kamerę i nagrywał całe to szaleństwo. Zmieniały się piosenki i układy taneczne.

Może ona nie leci na kasę, ale nie bzyka się z byle dziadem...

Jeden z chłopaków włożył płytę do odtwarzacza DVD. Na ekranie pojawiła się część materiału dokumentalnego, jaką nakręcili na Crenshaw w ubiegłym tygodniu. Samochody. Destiny zobaczyła młodsze od siebie dziewczęta, które obciągały siedzącym za kierownicą chłopakom. Licealistki, które robiły to ukryte między samochodami. Dorosłe kobiety uprawiające seks na tylnych siedzeniach podczas jazdy. Wszystkim tym scenom towarzyszyły w tle połyskujące światła policyjnych patroli.

- Patrz na te zdziury - powiedziała Destiny.

Dziewczyna o meksykańskiej urodzie uśmiechnęła się do niej i odeszła.

Destiny ruszyła za nią, tanecznym krokiem torując sobie drogę na drugi koniec pokoju.

Dziewczyna siedziała na łóżku i przeliczała pełną garść kolorowych pigułek. Wyglądała jak kasjer w banku liczący pieniądze.

- Co to jest? - spytała Destiny. Brązowe oczy zmierzyły ją od stóp do głów.

- Coś ty za jedna? - dziewczyna naprężyła kark.

- Pączuszek.

- Z kim przysłaś? - Jej postawa była wciąż nieufna.

- Z Mo.

- Swój człowiek - rozluźniła się. - To jesteś w porzo.

- Co tam masz?

- Zależy, czego potrzebujesz. Antyhistaminy. Leki na przeziębienie. Ecstasy. A te niebieskie to viagra. To jest teraz najpopularniejsze. I mam też trochę RU-486. Też jest ekstra.

- Co to jest RU-486?

- Zabójcza pigułka. Jeśli myślisz, że jesteś w ciąży, łykasz jedną i pozbywasz się dziecka.

- Tak po prostu?

- Są super. Od razu po problemie. Bez doktora, bez niczego.

- Handlujesz tym?

- Taa. To gówno ma cholerne wzięcie. Całkiem niezły biznes. - Sztachnęła się skrętem i roześmiała. - Sprzedaję czarnuchom te niebieskie, żeby mieli twardo, a potem ich suczkom pigułkę śmierci, żeby nie miały kłopotów.

- Błędne koło.

- Kurwa. Koło biznesu. Wiesz, jak to schodzi w Crenshaw High? Albo w Audubon Middle School? Te młode głupie sunie, chętne na bzykanko lale, nadstawiają się czarnuchom z liceum.

Destiny pomyślała o chłopaku z liceum, któremu oddała się po raz pierwszy. Wymykała się przez okno, by się z nim spotkać. Teraz on poszedł na studia, a ona została sama.

- Między Audubon Middle School a Crenshaw High sprzedaję tyle tych pieprzonych tabletek, że szkoda gadać. I nawet mnie nie pytaj, ile tego schodzi w innych szkołach w mieście.

Dziewczyna mocno zaciągnęła się skrętem. Profesjonalistka w swojej branży. Wyglądała na swój wiek, ale zachowywała się jak dużo starsza. Destiny stwierdziła w myślach, że jej wiek można by obliczać w psich latach, ponieważ dorastała na ulicy.

- Sprzedaję ten syf, ale pomagam społeczeństwu. Dzięki mnie te głupie młode sunie nie zamienią się w głupie młode mamuśki.

- Mogłabyś zbić fortunę w Bel Air.

- Dziecinko, to jest spory kawałek za drogą 405.

- Mogłabyś tam zarobić więcej niż na tych wszystkich dupkach z Los Angeles.

Dziewczyna uniosła brwi, a na jej nieprzeniknionej twarzy pojawił się uśmiezek, który mówił, że Destiny musiała chyba postradać zmysły. Z jej oczu można było odczytać, że Bel Air należy do całkiem innego świata. Porozumiewawcze syknięcie i zaciśnięte usta oznaczały, że o wiele bezpieczniej jest działać na terenach o niskim wskaźniku zysków, niż w ogóle nie wypłynąć.

Destiny przyglądała się, jak dziewczyna wkłada pigułki do plastikowych buteleczek. Część powędrowała do fiolek po tylenolu, inne do buteleczek po midolu i anacinie. RU-486 przeliczyła na końcu i wsypała do buteleczki po aleve.

- Trzymasz to w zwykłych opakowaniach po lekach?
- Sprytne, co?
- Nie pomiesza ci się?
- Mają oddzielne buteleczki. W ten sposób nic mi się nie pomyli. A gdyby ktoś mnie kontrolował i zajrzał do mojej torebki, niczego by się nie domyślił. To nie wygląda podejrzanie.

Dziewczyna zaśmiała się dumna ze swego ulicznego geniuszu. Destiny zawtórowała jej z uprzejmości.

- Jak masz na imię? - zapytała.

- Goldie.

Goldie. Żłota karnacja skóry. Taki sam kolor włosów. Szczupła dziewczyna o dużych piersiach.

- Masz zajebiste buty - powiedziała Goldie.

- Dzięki.

- Wyglądasz całkiem swojsko.

- Gdzie chodzisz do szkoły? - zapytała Destiny.

- Crenshaw. A ty?

- Po drugiej stronie miasta. To dlatego mówiłam, że mogłabyś się obłowić w Bel Air.

- Bel Air? To kawał drogi stąd.

- Nie, psiakrew. Jestem z getta. Leimert Park to moja okolica.

- Leimert Park to nie getto.

- To tam, gdzie wprowadzają się czarnuchy ze Środkowego Południa. Za Martin Luther King Boulevard jest getto, jak się patrzy - próbowała nadać swojemu głosowi niski, twardy ton. - Tkwię teraz u moich dziadków, na prawo od Crenshaw. A ty gdzie przebywasz?

Przebywasz. Nie mieszkasz. Przebywasz.

Słyszała, jak jej ojciec mówił, że w Ameryce mieszkają biali ludzie. Czarni tu przebywają.

- Przez większość czasu wschodnia strona. Palmdale, kiedy się tu zapuszczam. I wszędzie pomiędzy. - Goldie zaciągnęła się skrętem. - Tak naprawdę nie mam rodziny, więc żadnego adresu ani nic.

- Dajesz sobie jakoś radę?

- No pewnie. Jest spoko. Robię swoje interesy. Chcesz zobaczyć coś, co ci się spodoba?

Destiny uśmiechnęła się. Jej świat był teraz jasny i pogodny.

Właśnie leciała jej ukochana piosenka, więc wyszła na środek pokoju i tańczyła z nieznajomymi. Kręciła tyłkiem, potrząsała nim, śmiała się wraz z innymi. Czuła się dobrze.

Zacząła rozmowę z nowymi przyjaciółmi. Opowiedziała im o swoich problemach. Trawka sprawiła, że była skora do zwierzeń.

- A niech to jasny szlag! - krzyknął ciemnoskóry chłopak, ten Jay-Z dla ubogich.

- Co jest?

- Rodzice Pączuszka się rozwodzą.

- Nie zalewasz?

- Cholera. Najpierw był ten biały, Nick, czy jak mu tam, i Jessica, też nie wiem jak dalej.

- Jeszcze Buźka i Tracey, nie zapominaj o nich.

- A teraz rodzice Pączuszka?

Wybuch śmiechu. Taki, który dowodził, że problemy zwykłych śmiertelników na nikim nie robią wrażenia.

Destiny przytaknęła. Świat stawał się odrealniony.

- Moi dawcy przeprowadzali ten pieprzony rozwód. Nie mam pojęcia, co oni chcą sobie teraz udowodnić. Przy tym, jak się zachowują, wolałabym już mieszkać z Shaq i Kobe.

- Dawcy?

- Dawcy nasienia i jajeczka.

- Dawcy. To jest super. Muszę to wykorzystać. Trzeba tego pieprzonego dawcę puścić w obieg.

- Sprzedaj to - powiedziała Destiny i zaczęła rapować, zakładając i rozrzucając ręce, prostując palce i miotając surowe spojrzenia.

- To dlatego wrzuciłaś tę cegłę przez okno?

Destiny znów zaciągnęła się trawką. To był jej trzeci odlot, mogła uważać się za specjalistkę.

- Tak mi się zdaje.

- Masz szesnaście lat, a twoi starzy wciąż są razem?

- Taa - zakrztusiła się lekko. - To znaczy nie. Teraz znów się schodzą. Ale i tak mają przesrane.

- Cholera.

- Masz szesnaście lat, a twoi starzy wciąż się bzykają? Wybuch śmiechu.

Tym razem ich nie poprawiała. W swoim mniemaniu była szesnastolatką.

- Ktoś by ich mógł zgłosić do księgi rekordów.

- Twoi rodzice rzeczywiście się pobrali?

- Dziwne, nie mam pojęcia, jak to jest mieć cholernego tatusia.

- Taa, to jakieś dziwne.

- Lepiej nie mieć obydwójga rodziców - ocknęła się Destiny. - Cały czas ze sobą walczą.

- Ale przynajmniej walczą. Moi starzy nie powiedzieli do siebie pieprzonego słowa przez ostatnie dziesięć lat.

- Dlaczego?

- Bo mój ojciec siedzi zamknięty na cztery spusty. Matka nie odbiera od niego telefonów.

Śmiech.

- Skoro nic, tylko się naporzają, to dlaczego wciąż są razem? - ktoś zapytał Destiny.

- Byli razem, dopóki... kurwa, zanim się urodziłam. - Destiny próbowała złapać oddech.

- Byli ze sobą, dopóki się nie urodziłaś?

- Wem. Odlot, no nie? Śmiech.

Rycząca muzyka. Ying Yang Twins. Pohukujące *Halftime*.

Pokój spowity mgiełką papierosowego dymu.

Spojrzenia na podrygujące tyłki i rozmowy o życiu.

Zbliżała się druga w nocy. Za trzy godziny powinna być w łóżku. Zaplanowała już sobie, że będzie symulować chorobę, aby móc przespać cały dzień. Wedziała, że to przejdzie bez trudu.

Jej świat wirował jak opętany. Mo uśmiechał się do niej. Był tak cholernie seksowny.

Czarna półkrwi Meksykanka pojawiła się z dwoma drinkami i wręczyła jej jeden z nich.

- Musiałam zadbać o moją przyjaciółkę. Przyniosłam ci coś do picia.

- Spoko.

Dziewczyna zostawiła szklankę w rękach Destiny i oddaliła się tanecznym krokiem.

Destiny pociągnęła łyk. Nie obchodziło jej, co pije. Powoli sączyła drinka.

Ktoś podał jej skręta. Zaciągnęła się.

Wydychała dym niczym magiczny smok¹², po czym przekazała skręta dalej.

Popijała ze szklanki.

Świat wokół niej stał się spokojny, bardzo łagodny. Potem zapadła się w czerń.

Fick mich in meinen Arscb! Ja! Aach! Fick mich! Destiny była naga. Prawie naga.

Spuszczone majtki wisiały na jednej nodze. Rozpięta bluzka. Zsunięty stanik. Odsłonięte piersi. Była naga.

Przewracając się na bok, wydała z siebie jęk. Łóżko, na którym leżała, skrzypiało. Tandetny mebel. Tak bardzo inny od tych, które miała jej matka. Od mebli, które kupił ojciec. Mebli, o które walczyli przez cały schyłek swojego związku. Mebli, do których matka wygrała prawo w sądzie.

Oh! Fick mich! Fick mich!

Destiny poczuła ból.

Poczuła ból między nogami.

Coś lepkiego.

Wiedziała, że to krew.

To musiała być krew.

To nie był okres.

Inny rodzaj krwi.

Podciągnęła się.

Nawiązanie do piosenki *Puff the Magic Dragon* nagranej w 1963, której treść uważana jest za pełną aluzji do palenia marihuany.

Zakasłała.

Wyrwała się ze świata, gdzie czas i przestrzeń nie mają granic. Przedzierała się w stronę wyjścia z ciemności. Otworzyła oczy. Były załzawione. Znów atak kaszlu.

Zmrużyła oczy, kiedy światło zaatakowało jej zmysły. *Fick mich in meinen Arsch! Ja! Aach! Fick mich!* Głosy dobiegały z telewizora. Czarny mężczyzna i Niemka uprawiali seks.

Destyny przesunęła się na brzeg łóżka.

Jej stopa dotknęła dywanu.

Coś plasnęło.

Guma. Wilgoć.

Plaśnięcie.

Oh! Fick mich! Fick mich! Ja! Spojrzała w dół.

Jej bosa stopa nadepnęła na prezerwatywę.

Ogarnęła wzrokiem podłogę.

Sześć.

Siedem.

Przestała liczyć kondomy, kiedy doszła do ośmiu. *Och! Fick mich! Fick mich! Ach! Fick mich!* Zapach gandzi.

Pusta butelka po mocnym alkoholu.

Piętnaście lat.

Prawie szesnaście.

Już kobieta.

Wciąż dziecko.

Naga. Prawie naga.

W pustym pokoju motelowym.

Puste pudełka z Pizzy Hut. Paczki po dorito. Opakowania po kanapkach z jakiegoś podrzędnego baru. Dziewięć. Dziesięć.

Jedenaście.

Niemal tuzin zużytych kondomów na podłodze.

Chciało jej się krzyczeć.

Ale tego nie zrobiła.

Jej matka zawsze krzyczała.

Nie chciała być jak matka, nie teraz, nigdy.

Cierpiała.

Cierpiała potwornie.

Fick mich in meinen Arsch! Ja!

Otworzyła drzwi, modląc się, by było ciemno, ale jej twarz zalały promienie słońca. Słońce.

Gorączka nowego dnia.

Promienie oślepiły ją, uparcie zalewając jej twarz.

O kurwa, o kurwa, o kurwa, o kurwa, kurwa, kurwa, kurwa, kurwa.

Serce biło jej szybko. Nie mogła zebrać myśli. Jej iloraz inteligencji przekraczał 130, a nie była w stanie myśleć.

Poobijany, spłowiwały znak stojący przy Western Boulevard głośił: Ca-sura Bay Motor Inn.

Casura Bay. Na tej samej linii co Snooty Foxx i Mustang Motel.

Raj prostytutek.

Nawet palmy stojące przy drodze wyglądały jak dziwki. Zatoczyła się z powrotem do pokoju i zamknęła drzwi. Zaczęła chodzić w kółko, z dłonią kurczowo wplecioną we włosy. Nie potrafiła zebrać myśli.

O kurwa, o kurwa, o kurwa, o kurwa, kurwa, kurwa, kurwa, kurwa.

Spojrzała w dół.

Polakierowane na różowo paznokcie u bosych stóp. Bez skarpetek. Bez butów.

Ogarnięta paniką zaczęła rozglądać się po pokoju, zrzuciła pościel z łóżka, przeszukała podłogę.

Należące do matki buty Jimmy'ego Choo przepadły.

O kurwa, o kurwa, o kurwa, o kurwa, kurwa, kurwa, kurwa, kurwa.

Do dziadków nie było aż tak daleko, ale jednocześnie zbyt daleko. Destiny weszła do łazienki, znalazła jakieś ręczniki i umyła się najdokładniej, jak potrafiła.

Czuła lepkość na twarzy, na karku, na całej skórze.

Spięła włosy w koński ogon i wyszła na schody, które zdrząły pod jej ciężarem.

Betonowe schody, których szorstka powierzchnia drapała jej bosc stopy. Rozkojarzona.

Ostatnie kilka godzin widziała jak przez mgłę.

Pamiętała, że piła drinka.

Czuła się po nim taka skołowana.

Taka beztroska.

Taka wyzwolona.

Taka dorosła.

Ale wciąż nie była w stanie sobie niczego przypomnieć. Ból spowalniał jej ruchy, ale tylko nieznacznie. Strach nadawał jej tempo. A na Western Boulevard taki duży ruch.

Zza rogu najbliższego budynku dobiegał gwar panujący na Martin Luther King Boulevard. Dom jej dziadków znajdował się jakieś trzy kilometry na zachód. Prosto wzdłuż miejskiej arterii prowadzącej do Leimert Park i promenady dziwek.

Boso pognęła w stronę King Boulevard w poszukiwaniu przystanku autobusowego. Ruch na jezdni był spory, ale ludzi chodziło niewiele. Była sobota rano, pora, kiedy w Los Angeles pojawiało się mało spacerowiczów. Poza plażą, Third Street Promenade albo Universal City Walk, miejscami przyciągającymi turystów, chodzenie bez butów było oznaką nędzy. Środki transportu publicznego postrzegano jako wymóg klasy niższej, nie zaś sposób na ocalenie środowiska.

Przystanek autobusowy pełen był Meksykanów i kilku ciemnoskórych w białych kołnierzykach dojeżdżających do pracy. Młoda Murzynka z trójką dzieci. Latynoska trzymająca niemowlę na biodrze.

Nadjechał autobus i wszyscy stłoczyli się jeszcze bliżej, aby ułatwić sobie dostęp do i tak już zatłoczonego wnętrza.

Destiny sięgnęła do torebki.

Wtedy zdała sobie sprawę, że jej nie ma.

O kurwa, o kurwa, o kurwa, o kurwa, kurwa, kurwa, kurwa, kurwa.

Pieniądze przepadły.

O kurwa, o kurwa, o kurwa, o kurwa, kurwa, kurwa, kurwa, kurwa.

Tak samo jak buty.

O kurwa o kurwa, o kurwa, o kurwa, kurwa, kurwa, kurwa, kurwa.

Spojrzała na niskiego mężczyznę o brązowawej skórze i ze srebrnymi koronkami na zębach. Uśmiechał się do niej.

- Czy mógłby mi pan dać pieniądze na autobus? Muszę wrócić do domu - zapytała.

Odpowiedział jej pusty wyraz twarzy. Jego oczy mówiły: *No hablo ingles.*

- *Dinero.* Może mi pan kupić bilet? - powiedziała zdesperowana. - Muszę się dostać do... *mi casa.*

Wyszczrzyła zęby w uśmiechu, takim samym, jaki posyłali jej dotknięci niedolą ciemnoskórzy ludzie, kiedy wraz z matką przyjechała do Tijuana. Złożyła dłonie w miseczkę. Uniwersalny język żebraków.

Niski mężczyzna przestał się uśmiechać. Pokręcił głową ze współczuciem i odsunął się od niej.

Zaklęła. Ubodzy unikają tych, którzy według nich są jeszcze biedniejsi, a może nawet nimi pogardzają.

Bieda, choroba, którą nikt nie chce się zarazić.

Nie miała do zaoferowania ani gumy do żucia, ani pomarańczy, ani kwiatów, niczego, co mogłaby dać w zamian.

Ci ludzie pracowali zbyt ciężko, by dawać pieniądze jakiejś bosej nieznajomej w markowych džinsach.

Destiny skrzyżowała ramiona na piersiach i ruszyła zwawym krokiem wzdłuż King Boulevard. Autobus przemknął obok niej.

Wystawiła kciuk, ale nikt się nie zatrzymał. Nikt by tego nie zrobił. Nie w Los Angeles.

Wal-Mart.

Największy z marketów w galerii Baldwin Hills Crenshaw Plaza.

Destiny przypominała sobie z dzieciństwa, że kiedyś był tu Macy's. Potem Macy's przestał pasować do tutejszej społeczności. Destiny pamiętała, jak matka mówiła, że zbyt wielu pracowników kradło.

Pan Macy nie zarabiał nic na tym zadupiu, wśród konsumentów o wysokim poziomie melaniny, gdzie jego staroświecki handel nie rozkwitał tak jak po drugiej stronie miasta.

Zlikwidował sklep w ciągu jednej nocy, nie zawiadamiając o tym pracowników, przez co liderzy lokalnej społeczności nie mieli czasu na zorganizowanie protestu. Spotkał się tylko z personelem w pewien piątkowy poranek, by z grobową miną rzucić jakieś pozdrowienie. Pracowników fizycznych nie wpuścił do budynku i wysłał do nich czarnoskórego przedstawiciela, który olśniewając wszystkich sfrustrowanych uśmiechem wuja Toma, oznajmił im, że już nie pracują w Macy's.

Jego miejsce zajął trypoziomowy Wal-Mart.

Supermarket, który wygryzał z rynku wszystkich czarnych sklepikarzy w okolicy.

Byli tacy, którzy jeszcze się uchowali. Tacy, którzy nie zamierzali się poddać.

Słyszała, jak ojciec o tym mówił. Pieprzyć to.

Teraz Wal-Mart miał wszystko, czego potrzebowała. Weszła boso do sali niezauważona przez nikogo i wmieszała się w tłum.

Robiła zakupy.

Wzięła z półki ręczniki. Mydło. Tenisówki.

Boże, pobłogosław Wal-Mart i jego bogaty asortyment.

Znalazła łazienkę.

Ściągnęła przesiąkniętą dymem bluzkę, obmyła skórę i włożyła świeży podkoszulek. Nową bieliznę. Nowy stanik. Tenisówki.

Opuściła sklep wraz z grupą rozmawiających po hiszpańsku dziewcząt i weszła do pasażu handlowego.

Destiny przemierzyła parking i zatrzymała się przed kinem Magie Johnson.

Była głodna.

Czuła ból między nogami. Uniosła głowę w stronę słońca. Taki piękny dzień.

Była zbyt przestraszona, by wrócić do domu. Czy nawet zadzwonić. Postanowiła uciec. Uciec daleko stąd.

Najpierw jednak musiała znaleźć coś do jedzenia. Zdobyć jakieś pieniądze. Zamknęła oczy i znów to zobaczyła. Sześć. Siedem. Osiem prezerwatyw. Widziała więcej.

Jej ciało ogarnęła fala mdłości, ale nie zwymiotowała.

Otworzyła oczy. Stała na chwiejących się nogach gotowa iść dalej.

Ale wtedy pojawili się ci mężczyźni.

Mieli takie same kurtki.

Jeden czarny, drugi Meksykanin.

Jeden chudy, drugi spasiony.

Przybiegli w pośpiechu i zatrzymali ją.

Tak naprawdę to właśnie ją znaleźli.

Ochrona Wal-Martu.

O kutwa, o kurwa, o kurwa, o kurwa, kurwa, kurwa, kurwa, kurwa.
Destiny rzuciła się do ucieczki.

BILLIE

- Twoja obłąkana żona właśnie wrzuciła cegłę przez okno mojej sypialni.

Keith z trudem złapał oddech.

- To niemożliwe.

- Niemożliwe? Właśnie patrzę na tę cholerną cegłę, Keith. - A ja patrzę na Carmen.

Kilka sekund po tym, jak cegła wleciała przez moje okno, Viviane zbiegła na dół, potykając się w ciemnościach i owijając szlafrokiem nagie ciało. Wykrzykiwała moje imię i pytała, co to był, do cholery, za hałas. Usłyszałam też ociężałe kroki jej kochanka, który człapał za nią.

Trzymałam w ręku telefon i wydzierałam się na Keitha.

- Ona próbowała mnie zabić, Keith! - krzyczałam. - Wdziałam, jak odjeżdża! Byłam na tarasie i widziałam, jak ta suka odjeżdża!

- Carmen nie wrzuciła ci cegły przez okno - powiedział z wyraźnym naciskiem.

- Węc ta suka najęła kogoś, kto to zrobił.

Potem usłyszałam jej głos. Carmen stała za nim i zaklinała się, że musiałam chyba latać nad kukułczym gniazdem. Kierowała pod moim adresem wszelkiego rodzaju obelgi, z których większości nie rozumiałam, gdyż pochodziły z Jamajki.

Przeklełam ją na tysiąc sposobów i zażądałam od niego, by podał jej słuchawkę.

Wtedy Keith przerwał połączenie.

Podczas gdy jej wciąż nagi kochanek wycofał się i wrócił na górę po skrzypiących schodach, Viviane podeszła do okna. Z szeroko otwartymi ustami, zszokowana chodziła po stłuczonym szkłe i oglądała zniszczenia. Potrząsając głową, rzucała przekleństwa będące kombinacją angielskiego, koreańskiego i murzyńskiego slangu.

- Co się, do cholery, dzieje, Billie? - zapytała.

Przełknęłam ślinę, która wydawała się taka gęsta. Podsumowałam to krótko.

- Jestem w ciąży.

Zachodnia część Los Angeles. Prawie rok wcześniej. Sklep U Joego. Połączenie wykwintnego spożywcza z międzynarodowym supermarketem. Uosobienie kultury kulinarnej Los Angeles. Błąkałam się z wózkiem między rzędami półek. Zauważyłam go, jak patrzył na mnie, kiedy wybierałam owoce. Te oczy. Uśmiechnął się. Ja również. Powtórzyło się to przy mrożonkach.

Przerwałam ten cichy flirt i podjechałam moim wózkiem do Keitha.

- Słuchaj, skoro masz tak chodzić i patrzeć na mnie, a ja mam chodzić i patrzeć na ciebie, to może lepiej się przedstawić.

Takie były moje pierwsze słowa.

Stał zaskoczony, trzymając w dłoni zamrożonego łososa. W dłoni, na której nie było obrączki.

- Jestem Billie. A ty jak masz na imię? Uśmiechnął się.

- Jestem... cholera... Nie mogę sobie teraz przypomnieć mojego imienia.

Parsknęliśmy śmiechem.

- To dlaczego nie odłożysz tej ryby, żeby sprawdzić w dokumentach?
- odparłam.

- Keith. Jestem Keith.

Ujęło mnie to, że nie mógł sobie przypomnieć swojego imienia. To było pierwsze wrażenie, najpotężniejsze. Nic, co mogłoby zmienić bieg historii Stanów Zjednoczonych, ale zdecydowanie zaważyło na moim życiorysie.

Kiedy już doszedł do siebie, następne jego słowa brzmiały:

- Wiesz, do kogo jesteś podobna?

- Powiedz mi.

- Wyglądasz jak Tyra Banks i Beyonce razem wzięte.

- Próbujesz mi dać do zrozumienia, że mam wielki tyłek i czoło mutanta?

Roześmiał się. Odniosłam wrażenie, że jest człowiekiem, którego ciężko rozśmieszyć.

Zawtórowałam mu. To był nasz pierwszy wspólny śmiech. Nasz śmiech stał się pieśnią szczęścia.

Odgarnęłam rozpuszczone włosy. Nadawały mi młodzieńczy wygląd, sięgając aż po kość ogonową. Miałam na czole moje szerokie lamparcie okulary o szklach zdobionych żółtymi cętkami. Skórzane, nisko wcięte biodrówki. Czarny obcisły podkoszulek na ramiączkach. Nie miałam stanika. Na ustach szminka Mac Lipglass. Żadnych markowych ciuchów. Nigdy takich nie nosiłam. Nie na mój budżet. Jediną markową rzeczą, jaką miałam, był zegarek z Myszką Miki. Zegarek, który dostałam w prezencie od moich rodziców i nosiłam od dwudziestu lat. Jego oczy śledziły mnie od momentu, kiedy weszłam do sklepu.

- Bijesz na głowę każdą z nich - powiedział.

- Dobra odpowiedź.

Keith i ja wciąż byliśmy dla siebie nieznajomymi. Żadnego emocjonalnego zaangażowania, tylko wzajemne zainteresowanie. Parę minut później znaleźliśmy się na parkingu. Na prawo Save On, na lewo Mervyns, a my ciągnęliśmy nasz flirt.

- Jeździsz na motorze? - zapytałam.

- Kiedyś. Dawno temu. Miałem siedemsetpięćdziesiątkę, kiedy byłem na studiach.

- Naprawdę?

- W taki sposób się przemieszczałem.

- Myślałeś kiedyś, żeby znów zacząć?

- Wątpię, czy zostanę jeszcze odrodzonym motocyklistą.

- To wielka szkoda. Potrzebuję kogoś, z kim mogłabym pojeździć w weekendy.

To było kłamstwo. Kłamstewko na podryw. Wciąż dotykałam moich włosów i twarzy. Moja matka zwykle tak się zachowywała, kiedy patrzyła na tatę. Stałam się delikatniejsza, a moje oczy zabłysły, całkiem jak u mamy. Na mojej twarzy pojawił się łagodny uśmiech, którego czar potrafił przełamać każdą nieśmiałość. Schlebiało mi to, co mówił, a jego oczy mnie urzekały. I ten szeroki uśmiech przyklejony do jego twarzy. Wszystko to mówiło mi, że cholernie mu się podobam. Uwielbiałam nosić długie włosy, bo wyglądały oszłamiająco, kiedy wsiadałam na motocykl. Powiewały jak peleryna. A te obniżone w talii skórzane spodnie były wręcz

zabójcze. Muszę przyznać, że ilekroć je wkładam do jazdy na motorze, kończy się to kilkoma poważnymi zatorami na drodze. I jedną albo dwiema stłuczkami.

- Szkoda, że nie mogę wsiąść na motor i tak sobie pojechać - powiedział. - Większość weekendów spędzam z córką.

- Znaczy to, że masz córkę?

- Tak - uśmiechnął się.

To mnie zaskoczyło. Wele można powiedzieć na temat mężczyzny czy kobiety na podstawie zakupów, jakie robi. Zawartość koszyka daje cenne informacje. Keith nie kupił zbyt wiele, trochę pojedynczych porcji do samodzielnego przygotowania. Nic, co mogłoby świadczyć o tym, że ma rodzinę. Soki. Parówki z indyka. Jajka. Owoce. Pszenny chleb. Mrożone naleśniki. Jego koszyk nie zawierał ani jednego kobiecego produktu.

- Ile... hmm... ile lat ma twoja córka?

- Piętnaście. Używa języka nie z tego świata. Czasami nie rozumiem połowy z tego, co mówi. Przygotowuje referat o globalnym ociepleniu. Wykorzystała w nim zdjęcie szczytu Kilimandżaro pozbawionego pokrywy śnieżnej jako dramatyczne wezwanie do działań przeciwko globalnemu ociepleniu.

- Dramatyczne wezwanie do działań przeciwko globalnemu ociepleniu? - powtórzyłam.

- Jej słowa, nie moje.

Okazał się dumnym tatusiem. Byłam tym zauroczona i zniesmaczona jednocześnie.

Mogłam wtedy obrócić się na pięcie i odejść. Nim słońce by zaszło, zapomniałabym o nim i tym jego czarującym uśmiechu. Zapomniałabym o jego beżowej skórze i piegowatym nosie. Zapomniałabym o jego oczach.

Mogłam. Powinnam. Ale tego nie zrobiłam.

- Ile masz lat, jeśli wolno zapytać? - odezwałam się.

- W czerwcu skończę czterdzieści.

- Rak?

- Bliźnięta. A ty?

- Lew. Ognisty znak. W tym roku będę miała trzydzieści cztery.

- Dałem ci nie więcej jak dwadzieścia parę.

Niepewność, która wypełzła gdzieś spod skóry, przez moment próbowała opanować mój uśmiech. Nikt nie lubi czuć się staro. Nikt nie lubi, patrząc w lustro, dostrzegać, jak więdnie jego młodość.

- No cóż, nie mając męża ani dzieci, mogłam zachować młody wygląd - zażartowałam.

Uśmiechnęłam się. Sytuacja nie przedstawiała się idealnie, ale też nie było najgorzej. Moje rojenia o spotkaniu z mężczyzną bez dzieci i bez byłych żon zdały się już rozwiązać. Facet po trzydziestce wręcz powinien mieć dziecko, jeśli nie dzieci. Gdyby powiedział, że nie ma, można by pomyśleć, że jest gejem albo kłamie. To część wkraczania w wiek dojrzały, część dojrzałości. Element dorastania i odnajdywania się w realnym świecie. Bywa jednak, że kwestia dziecka to bariera nie do przejścia. Gdyby jego córka była noworodkiem, nawet gdyby miała mniej niż pięć lat, byłoby kiepsko. Z nastolatką nie jest już tak źle. Związek z facetem, który ma starsze dziecko, nie pociąga za sobą konieczności wcielania się w rolę zastępczej mamy. Żadnych wycieczek do Disneylandu w towarzystwie rozwrzeszczanego gówniarza. Wystarczy być na luzie i zachowywać się przyjaźnie.

- Od dawna jesteś rozwiedziony?

- Prawie rozwiedziony.

- Co to znaczy: prawie?

- Czekam tylko, aż skończy się cała biurokracja, żeby móc wynająć jakąś salę i zrobić wielką imprezę.

Ludzie po rozwodach to całkiem inna rasa.

Moja współlokatorka i jej były przeszli okropny rozwód, mnóstwo przekleństw i wrzasków, ale nim zapadł wyrok w ich sprawie, umawiali się ze sobą na randki. Pieprzyli się w trakcie rozwodu i pieprzyli się po nim.

Mężczyźni zawsze pozostają mężczyznami. To samo zresztą dotyczy kobiet.

Tak, od razu wiedziałam, że Keith jest kandydatem na sprawcę dramatów samotnej matki.

Wprawilo mnie to w zaniepokojenie. Poczułam się niepewnie. Chciałam uwolnić się od jego hipnotycznych szarych oczu.

Tymczasem Keith szedł obok mnie, a potem pomógł mi zapakować moje zakupy do mustanga Viviane. Mustanga, który kiedyś należał do jej

męża. Ten samochód był jego oczkiem w głowie, a ona wygrała go w sądzie i złośliwie zaniedbywała.

Odstawił mój pusty koszyk na bok, a ja poszłam za nim do jego brudnej terenówki.

Keith. Urodzony w czerwcu. Kiedy Bliźnięta się zakochują, angażują całą energię. Kiedy przestają kochać, jest już pozamiatane. Wiedząc to, poczułam się dużo lepiej, zważywszy na jego sytuację.

- Mieszkasz w tej okolicy? - zapytał.

Oparłam się o jego auto, a on stał naprzeciwko mnie. Jego uśmiech był taki zaraźliwy. Taki pozytywny. Trudno było go nie odwzajemnić. Nie potrafiłam tak po prostu odejść. W moim mózgu pojawił się wspaniały obraz złożony z pierwszych wrażeń, stanowiący połączenie wszystkich sygnałów, jakie przesyłało mi to nowe doświadczenie. Bezpośredni kontakt wzrokowy. Nieśmiały, ale nie załękniiony. Mocny uścisk dłoni. Szerokie ramiona. Piękna twarz z odrobiną szorstkości, najprawdziwszy Rick Fox. Jego łagodny ton głosu. Nie nosił markowych ciuchów. Żadnej zarozumiałej gadki. Ten emocjonalny cios, który uderzył mnie tak znenacka, wywarł wrażenie silniejsze, niż mogłam sobie uświadomić.

- Od kilku lat mieszkam z moją przyjaciółką Viviane. Planowałam zostać u niej tylko na parę miesięcy, ale obu nam się to spodobało. Duży dom. Mnóstwo przestrzeni.

- A ja stoczyłem się z Baldwin Hills do Leimert Park. Wynajmuję tam jednopokojową klitkę.

Nieźle. Lokalna taryfa za telefon. A przy rosnących cenach benzyny taka geograficznie korzystna znajomość miała sens.

- Czym się zajmujesz? - spytał.

Powiedziałam mu, że trochę śpiewam. Już nie tyle co kiedyś. Mogłam być drugim sopranem, chociaż śpiewam altem. Z lekkim vibrato. Nauczyłam się tego, naśladując Whitney Houston. Moja natura zodiakalnego Lwa sprawiała, że uwielbiałam znajdować się w centrum uwagi, jednak z pewnych przyczyn występowałam w chórkach. Nie z braku zdolności. Zawsze kończyłam jako dziewczyna w obcisłych dżinsach i seksownej bluzeczce, która stoi z boku, z dala od blasku punktowców.

- A więc śpiewasz - powiedział Keith.

Nigdy tak naprawdę nie umiałam narzucić sobie dyscypliny, aby zostać prawdziwą piosenkarką. Nie podobała mi się cała ta polityka, wszystkie te bzdury i wysiadywanie w studiu z durnym producentem, który chciał mnie przelecieć, żeby pomóc mi w karierze. Nigdy nie rozumiałam, co miałyby ze sobą wspólnego pieprzenie się ze mną i pomaganie mi. Nie byłam zainteresowana obciążaniem, by dostać się na listę przebojów „Billboardu”. A teraz, niezależnie od tego, jak dobrze mi szło przy mikrofonie, byłam trochę za stara na całą tę zabawę.

- Skończyłam ze śpiewaniem - powiedziałam. - Potem przez jakieś dwa lata byłam stewardesą.

Robiłam to dla dobrych zarobków i zniżek na przeloty. Byłam zmęczona siedzeniem w miejscu i myślałam, że latanie pozwoli mi ukoić ten niepokój. Podróżowałam do Amsterdamu, do Brazylii, do Paryża i na wyspy. A kiedy nie latałam, prowadziłam kurs jazdy na motocyklu w Cerritos College.

- I brałam zastępstwa w szkole - dodałam.

- Co jeszcze robisz?

Roześmiałam się. Powiedziałam mu, że nocą jeżdżę do Tempie Bar w Santa Monica. Tam, gdzie są gorące dziewczyny i niesamowita muzyka. Niedoceniani, ale dobrze przyjmowani artyści, jak Sy Smith, Justice Leeg i Geno Young, grają tam neosoul i trzęsą tą budą. Duet Kept Secret dał tam kiedyś cholernie dobry występ. Grywają tam też inni moi ulubieńcy, Erin Anova i Rahsaan Patterson. Powiedziałam mu, że powinien posłuchać, jak Hope śpiewa *The Kain Dont hast*.

- Nigdy nie słyszałem o takich wykonawcach - powiedział Keith.

- Więc naprawdę powinieneś odwiedzić to miejsce.

Powiedział mi, że w następny wieczór ma wolną chwilę i może się ze mną umówić w Tempie Bar.

- Przy wejściu zapytaj o Ducati.

- Kto to jest?

- Motor, na którym się bujam. Moje alter ego. Moje klubowe imię. Opowiedziałam mu o tym, że kiedy pewnego wieczoru gnałam na motorze do pracy, jeden facet omal mnie nie przejechał, próbując się ze mną ścigać. Żółta skórzana kurtka na żółtym motocyklu zawsze przyciągała uwagę. Robił zdjęcia do magazynu motoryzacyjnego, w którym był

dział poświęcony dziewczynom jeżdżącym na ducati. Spodobał mu się sposób, w jaki jeżdżę. Spodobał mu się mój motocykl i mój styl. Chciał, żebym pozowała mu do zdjęć, jadąc motorem na pełnym gazie. Potem popatrzył na mnie, ubraną w opięte džinsy, w podkoszulek odsłaniający brzuch i w pełnym makijażu, i zapytał, czy mogłabym również pozować w stroju kąpielowym.

- Zgodziłaś się?

- Na jedno i drugie.

- Próbował się do ciebie dobrać?

- To ciota, więc układ był uczciwy. Potrzebowałam kasy, podpisałam kontrakt, zrobiłam zdjęcia i odebrałam wypłatę. Całe dziewięć słów. A on miał swój materiał. Wykorzystał zdjęcia, które zrobił mi na ducati 749 i 999.

- Cholera, znasz się na motocyklach - zaśmiał się Keith. - A więc jesteś również modelką.

- Za dużo powiedziane. Jedna sesja i tyle. Nie miałam swojego billboardu na Sunset Boulevard, ale byłam na okładce i rozkładówce w jednym hip-hopowym magazynie. To pomniejsza gazeta, ale zdjęcie było super. Ściągnęli artystkę od makijażu, siostrę, która pracuje w Hollywood przy kręceniu filmów. Był też fryzjer i ułożył mi włosy naprawdę porządnie. To było pierwsze wydanie dla motocyklistów z miasta. Super. Byłam zaskoczona, że dałam się namówić do pozowania na moim motorze w stringach. To ciało ma już ponad trzydziestkę, ale dzięki Bogu przez całe te lata uprawiałam jakiś sport. Wszyscy potem dokuczali mi z tego powodu, prosili o autografy.

- W stringach?

- Dobrze się czujesz?

- Właśnie cofam się do momentu, w którym mówiłaś, że byłaś w stringach.

Roześmiałam się.

- Jakiego koloru? - zapytał.

- Jasnożółty. Jak mój motor.

- Pasował do stanika.

- Nie miałam stanika. Tylko kurtkę.

- Gdzie można dostać ten magazyn?

- Nie udzielam takich informacji.

Obydwoje parsknęliśmy śmiechem.

- Jaka pora jest najlepsza, żeby przyjść i posłuchać tej muzyki?

- Od wpół do jedenastej wzwyż. Wtedy wszystko idzie na piątym biegu.

- Dość późno jak dla człowieka pracy.

- Ale nie dla pracującego na nocnej zmianie. Sy powinna już być. Jeśli nie widziałeś jej występu, będziesz tam siedział z przyjemnością. Jak lubisz rap, przyjdź wcześniej i posłuchaj Justice Leeg. Albo po prostu usiądź przy barze.

- Zobacz się.

- Nie musisz tam być długo. Wypijesz drinka i możesz wracać do domu, zanim Leno zacznie występ.

- Dlaczego nie dasz mi swojego telefonu?

- Dam ci go. W Tempie Bar.

- To jakaś gra?

- Absolutnie. Muszę tylko być pewna, że ty w nic nie grasz.

- Co masz na myśli?

- To, że mogę zrozumieć, jeśli nie dasz rady wyrwać się od żony.

- Nie ma takiej konieczności.

- No to łyknij parę tabletek z kofeiną i wpadnij po wpół do jedenastej.

- Czy jutro wieczorem będziesz miała na sobie żółte stringi? - uśmiechnął się.

- Myślę, że musisz przyjechać do Santa Monica, żeby się o tym przekonać.

Byłam tak niespokojna, że nie mogłam się doczekać, aż następnego wieczoru pójde do pracy. Włożyłam swoje najseksowniejsze skórzane spodnie i zrobiłam sobie taki makijaż, jakbym ubiegała się o główną rolę w jakiejś produkcji kina niezależnego. Ośmiocentymetrowe obcasy, seksowne buty na motor produkowane przez Harleya. Mój tyłek prezentował się odjazdowo. Włożyłam brązowy podkoszulek bez rękawów. Luzacki i stonowany. Była na nim twarz Michaela Jacksona z fryzurą afro, ukłon w stronę czasów, kiedy śpiewał w Jackson Five, a brązowy kolor skóry pozwalał mu należeć do Krajowego Stowarzyszenia Postępu Ludzi Kolorowych. Portret otoczony był napisem „Uwolnić Michaela”.

Jedna z kelnerek miała podkoszulek z twarzą Roberta Blake'a opatrzony napisem „Niewinny”. Za to na plecach widniało zdjęcie detektywa, którego grał w serialu telewizyjnym, i nadruk imitujący przestrzelinę. Obok napis „Ja ci dam baretę”¹³. Didżej miał koszulkę z wizerunkiem Scotta Petersona zakutego w kajdanki i ubranego w pomarańczowy kombinezon z San Quentin. Zamiast przyjmować zastrzyk śmierci, siedział na krześle elektrycznym, a nad jego głową widniał napis „Winny”¹⁴.

Taki był mój zespół. Nasze polityczne deklaracje i zabawna rywalizacja podkoszulków dopełniały efektu.

I jeszcze jedno. Kiedyś jeden klient przy barze zawołał do mnie: „Du-cati, możesz mi podać mimozę?”.

Byłam zachwycona. Miałam zawsze mnóstwo przezwisk, ale nigdy pseudonimu, dopóki nie kupiłam tego motoru.

Każdy chce się czuć w jakiś sposób wyjątkowy. Każdy potrzebuje jakiejś formy miłości. Nie wiem, czy kiedykolwiek czułam się tak wyjątkowo jak tej nocy, kiedy stałam za barem, tańczyłam, śpiewałam i spełniałam się jako wirtuoz shakera, przygotowując mimozy, koktajle z dzinu, wódki, tequilli i whisky, dla bezimiennych klientów. Wtedy zobaczyłam, jak wchodzi Keith. Cały był ubrany na czarno i wyglądał cholernie dobrze. Moje ciało przeszył prąd.

I to nie dlatego, że na scenie śpiewała Sy i tłum pohukiwał.

Tak działał na mnie jego uśmiech. I taki sam impuls elektryczny poczułam między nogami.

Nie spodziewałam się po nim, że przyjdzie spędzić ten wieczór wśród rozmaitych marzycieli i próżniaków. Mógł być w trakcie rozwodu, ale kiedyś tam się ożenił, miał dziecko. Podejmował życiowe decyzje. Miał swoje doświadczenia. Miał status.

A ja byłam bardzo udanym nieudacznikiem. Zawodowym dyletantem wynajmującym pokój w View Park.

¹³ Robert Blake, ur. 1933, amerykański aktor włoskiego pochodzenia. Jego pozycję filmową ugruntowała rola w serialu telewizyjnym z lat 70. *Baretta*, w którym grał detektywa policji. W 2002 został oskarżony o zabójstwo swej żony i uniewinniony przez sąd. " Scott Peterson został w 2005 uznany za winnego morderstwa swojej ciężarnej żony Lacy i skazany na karę śmierci.

Imałam się wielu zajęć, ale tak naprawdę nie dokończyłam niczego. Sy wyspiewywała sobie gardło na scenie.

A Keith prezentował się tak cholernie dobrze, że w takim miejscu było to aż zabawne.

Spojrzałam na zegarek. Dziesiąta trzydzieści co do minuty. Był punktualny i nie miał żony, przynajmniej nie tej nocy. Ani się obejrzałam, a byłam zadurzona.

Nie zważałam na to, że ma dziecko. Sprawiał wrażenie miłego faceta. I odpowiedzialnego mężczyzny.

Nie zważałam na to, że ma tam jakąś prawie byłą żonę. W tym momencie była postacią bez twarzy, nikiem ważnym.

Powiedział mi, że związek z tą kobietą jest już skończony, i uwierzyłam mu.

Mogłam zaakceptować tę sytuację, mogłam widywać go, nie spotykając się z jego dzieckiem. Ani z jego byłą żoną.

Oznaczało to, że nie będę brała udziału w żadnym dramacie samotnej matki.

A nawet jeśli nic z tego, co powiedział, nie było prawdą, coś pchało mnie prosto w ogień.

Wiedziałam, że chcę z nim być.

Nie tak, żeby na zawsze, ale tu i teraz, według maksymy *carpe diem*.

Był w odległości dwunastu sekund.

Oddech zamarł mi w piersi.

Dzieliły go ode mnie już tylko cztery sekundy.

Odzyskałam oddech, przywołałam uśmiech na twarz.

Był tak blisko mnie, że mogłam poczuć zapach jego świeżości.

Stał przy barze i się uśmiechał.

Momentalnie zrobiło mi się mokro.

Nie mogłam się temu oprzeć, nie mogłam się otrząsnąć, nie tak, jakbym chciała.

Jego Bliźnięta i mój Lew. Powietrze i ogień. Mój wewnętrzny ogień pragnął, by Keith zobaczył żółte stringi, które miałam pod skórczanymi biodrówkami. Chciałam się poczuć jak na scenie, być w centrum jego zainteresowania. Chciałam wyzwolić moje libido i przekonać się, czy jego natura Bliźniąt dotrzyma mi kroku.

Rozegrałam to z opanowaniem, naprawdę na chłodno, z nadzieją, że wzbierające myśli nie rozsądzą mi głowy.

- Widziałem twoje ducati - powiedział. - Uroczy. Elegancki. Olśniewający. Kształny. Jak ty.

Zarumieniłam się.

- Niech zgadnę. Greyhound czy koniak?

- Easy Jesus.

- E&J? A ja zaklasyfikowałam cię jako miłośnika koktajli z dżinem, ewentualnie koniaku.

- Próbujesz się spełniać również jako medium?

- A w środy jako lekarz w Szpitalu Daniela Freemana.

- To tłumaczy wszystkie błędy w sztuce.

- A w piątki jako prawnik.

- Wolalbym raczej całować się z grzechotnikiem, niż przyjąć drinka od prawnika.

- Skąd taka ponura mina?

- Moja niedługo już eks jest prawnikiem.

- Spod jakiego znaku?

- Baran.

- Pierwszy słoneczny znak w układzie. Egoistyczny i porywczy. Impulsywny i niecierpliwy.

- Nie wierzę w te zodiakalne bzdety - wzruszył ramionami. - Ale to, co mówisz, dokładnie się zgadza.

Teraz wiedziałam. Jego niedługo już eks jest prawniczką. Tyle do mnie dotarło.

Odwróciłam się, żeby nalać mu drinka, i uśmiechem zamaskowałam moją niepewność.

Pieprzona prawniczka. Słyszając to, poczułam się, jak gdyby moim życiem nie kierował żaden cel.

Od razu miałam go z głowy. Skończyłam z nim, zanim zdążyliśmy zacząć.

Kiedy jednak podawałam mu szklankę, nasze ręce się zetknęły. Skóra potarła o skórę.

Przepaść między nami zniknęła.

Znów impulsy elektryczne pojawiły się w miejscach, przez które prąd nie powinien przepływać.

Muzyka przycichła, nie słyszałam już Sy i jej kapeli, która trzęsła całym barem. Wysokie tony, pohukiwania basów i te cudowne teksty, zadziorne i śmieszne, wszystko to odpłynęło. Mój świat ogarnęła cisza. Nie widziałam nikogo dokoła. Było tak jak podczas jazdy. Miałam ograniczoną perspektywę, widziałam tylko to, co znajdowało się przede mną.

Powiedział mi, że to on podjął decyzję o ich rozstaniu.

Miałam trzydzieści trzy lata. Nie brakowało mi doświadczenia. Nie byłam nowicjuską, którą należy wprowadzić w świat romansów. Nie potrzebowałam dwóch dni na zastanowienie ani nie musiałam zapoznawać się z filozofią tej gry.

Wiedziałam, że nawet jeśli to Keith z nią zerwał, sytuacja przedstawiała się nie najlepiej. Zwykle oznaczało to, że gdzieś w tle kryje się zgorzkniała, uparta i zdesperowana jędza.

Nie zważałam jednak na to. Miałam na niego wielką chrapkę.

Keith zauważył, że moje sutki stwardniały, prężąc się po obu stronach bladej twarzy Michaela Jacksona niczym diabelskie różki. Uśmiechnął się szeroko na widok tej mojej podwójnej erekcji. Wiedziałam, że chce, bym dała mu bilecik do swojej sypialni. Psiakrew, cholera, bilecik. Miałam zamiar wystawić mu bezterminową przepustkę.

Chciałam obudzić moją kobiecość i zacisnąć się wokół niego bez opamiętania.

- No i co teraz? - zapytał.

- A co byś chciał, żeby było? - odpowiedziałam pytaniem na jego pytanie.

W kominku płonął ogień. Blask świec. Na stolyczku do kawy stały dwie szklanki do whisky i szachownica z niedokończona partią. Butelka ciemnego alkoholu była już pusta, a wraz z nią zniknęła większość naszych zahamowań.

Keith i ja siedzieliśmy w moim salonie - był to właściwie salon domu, w którym wynajmowałam pokój - na olbrzymich rozmiarów sofie, obmacując się jak dwoje licealistów. Mojej współlokatorki nie było w domu, a ten niepoprawny kominek tylko nas podkreślał. W moim odtwarzaczu kręciła się płyta Eryki Badu, zapewniając odpowiedni nastrój.

Całowaliśmy się tak długo, aż było już za późno na odwrót.

Dotknął moich piersi. Zamruczałam jak kot poruszona tym doznaniem. Podciągnął mi bluzkę i ciepłą dłonią chwycił moją prawą pierś. Dotknął sutka, zataczając językiem kręgi, potem zaczął go ssać i pochłaniać ustami. Moja dłoń znalazła się między jego nogami.

Musiałam zaspokoić to pragnienie. Moje ciało tak cholernie tego potrzebowało. Potrzebowało poczuć na sobie dotyk męskich dłoni.

- Zdejmij to - powiedziałam, walcząc z jego spodniami. - Chcę go zobaczyć.

Byłam już dość mocno podchmielona.

Rozpiął rozporek. Wydobył na zewnątrz penisa i trzymał go w dłoni. Był długi, ale jeszcze nie całkiem twardy.

Oblizalam wargi, przełknęłam ślinę i wzięłam oddech, mocno zaciskając uda. - Pomasuj go dla mnie - powiedziałam.

- Zaśpiewaj.

Z odtwarzacza płynęła *Mama's Gun*. Zaczęłam nucić, potem śpiewałam wraz z Eryką, śpiewałam cichym i spokojnym głosem, przysuwając się do Keitha w taki sposób, który mówił mu, żeby wywiązał się ze swojej części umowy.

Patrzyłam na niego, obserwowałam, jak się masuje, doprowadzając do erekcji. Patrzyłam na niego, trzymając język w kąciку ust. Mój wzrok wędrował od jego oczu do kolorów jego penisa, całego w różach i brązach.

Erykah śpiewała. I ja śpiewałam.

Keith zamknął oczy i masował się.

Zaczęłam śpiewać głośniejszym głosem, wyszłam na prowadzenie, spychając Erykę do rangi mojego chórkę.

- Masz taki piękny głos, Billie.

Uśmiechnęłam się. Uśmiechałam się i rozmyślałam o tym, jaka jest jego była. Czy ma figurę mamuśki. Ja mogłam ćwiczyć, kiedy chciałam, spać, kiedy byłam zmęczona, kochać się, kiedy miałam na to ochotę, i jeść, kiedy poczułam głód. Przy dzieciach koniec z tym wszystkim. Nie byłam gotowa, by mieć ciało mamuśki i do końca życia być kontraktową służącą.

- Billie, nie mogę uwierzyć, że robię to przy tobie.

- Jesteś szczęściarzem, skarbie.

- Nie przestawaj śpiewać.

Zahipnotyzowana jego zmysłowymi ruchami śpiewałam dalej. Keith pieścił się, tempo jego ruchów nadążało za moim rytmem, zgrywając się z muzyką.

To było podniecające. I takie piękne.

Wydał z siebie jęk. Erykah śpiewała. Wtórowała jej cichymi pomrukami.

- To jest cudowne - powiedziałam.

Znów jęknął i uśmiechnął się jak nieśmiały uczeń. Podobało mi się to.

- Pocałuj mnie - powiedział.

Zrobiłam to. Całowaliśmy się aż do końca piosenki. Wtedy chwyciłam pilota i puściłam *Mama's Gun* od początku.

Keith zajęczał ponownie i zwolnił, panował nad wszystkim. Mój śpiew stawał się coraz bardziej rozpalony.

- Pomożesz? - zapytał. - Czy lubisz tylko patrzeć?

- To zależy. Jedno i drugie.

- A dziś która opcja?

- Jeszcze nie wiem.

Śpiewałam, dopóki piosenka się nie skończyła, i wpatrywałam się w jego penisa, aż ucichł głos Badu. Potem przejechałam mu dłonią po czole i otarłam pot z jego brwi. Odsunęłam jego rękę i chwyciłam go dłonią, a potem oburącz, nie kryjąc, z jakim niepokojem go dotykam. Zaczęłam poruszać ręką w górę i w dół delikatnymi i ostrożnymi pociągnięciami, podczas gdy on ssał mój język, dotykał piersi i wsuwał mi dłoń między uda, gryzł moje wargi, a jego oddech stawał się coraz płytszy tak samo jak mój. Pieściłam go namiętnie ręką, a on masował moją łechtaczkę, dotykając jej przez majtki, co wydało mi się dziwne. Tego typu pieszczoty zdawały się przeżytkiem. Obydwoje byliśmy po trzydziestce. Za starzy, żeby robić sobie nawzajem dobrze ręką. Niemniej jednak napierałam na niego. Chciałam się przekonać, jak daleko mogę w ten sposób zajść. Chyba za bardzo nawykłam do mężczyzn, którzy od razu szli na całość.

- Keith - powiedziałam.

- No?

- Przykro mi cię wytrącać z rytmu, ale nie mam żadnych prezerwatyw.

- Ja też.
- A nie powinieneś nosić jednej w portfelu? Albo w schowku na rękawiczki?

Zaśmiał się lekko.

- Nie musiałem z nich korzystać od lat.
- Nie używasz kondomów?
- Cóż, przez pół życia byłem żonaty.
- A co, kiedy miałeś skoki w bok?
- Na jakiej podstawie twierdzisz, że miałem skoki w bok?
- Jestem realistką.
- Nie byłem z nikim poza moją eks.
- Jak długo byliście małżeństwem?
- Przez osiemnaście lat.
- Osiemnaście lat? I ona była jedyną kobietą, z którą sypiałeś?
- Przez ostatnie dziesięć.
- Teraz rozumiesz, o co mi chodzi - roześmiałam się. - Ale to i tak niezwykle.

- Tak jak mówię, nie używałem kondomów od lat.
- Niczego nie tracisz. Odbierają sporo przyjemności i psują całą imprezę.

Popatrzyłam na jego penisa i zaczęłam go masować po obwodzie, obejmując dwoma palcami.

- Mierzyłeś go kiedyś?
- Ostatnio, kiedy byłem dzieciakiem.
- Mogę?
- No pewnie.
- Tylko przyniosę miarkę.
- Weź też wibrator.
- Na jakiej podstawie twierdzisz, że mam wibrator?
- Weź wibrator. Roześmiałam się.

Zostawiłam go w salonie i wbiegłam do mojego pokoju, udając, że mam trudności ze znalezieniem mojego nocnego wyręczyciela. Kiedy w końcu wróciłam, niosąc w ręku tę zabawkę, stawiałam powoli kroki, podśpiewując i uśmiechając się jak zawstydzona dziewczynka.

Zmierzyłam jego penisa. Ciekawe, czy jego żona potrafiła ogarnąć to wszystko, co miał do zaoferowania.

Kominek wciąż napełniał salon blaskiem. Erykah Badu wciąż śpiewała i wszystko w krainie Oz było cudowne, kiedy wzięłam go do ust.

Minęło zbyt dużo czasu od chwili, kiedy ostatni raz to robiłam.

O wiele za dużo. Bardzo mi tego brakowało.

Zajączał i poruszył się. Cofnęłam głowę, nie przestając go masować i drażnić językiem.

Smakował zbyt dobrze, aby to mogła być prawda. Miał dobrą dietę. Dużo cukru. Jogurty. Może kiełki pszenicy. Pomysł z wykorzystaniem wibratora trzeba było zarzucić. Przy tym, jaka byłam mokra, potrzebowałam poczuć w sobie coś porządnego.

- Chcę cię mieć w środku - powiedziałam.

- Dobra.

- Siądę na tobie, żebym mogła kontrolować głębokość.

- Dobra.

- Ale...

- Ale co?

- Tak mi przykro - przygryzłam dolną wargę i zrobiłam przepraszająca minę. - Nie ma gumki, nie ma seksu.

- Nie masz niczego? - potrząsnął głową.

- Nie.

- Nawet folii do żywności?

- Posłuchaj, MacGyver. Musimy coś postanowić.

Siedzieliśmy tak, płonąc z podniecenia. Urywane oddechy. I narastająca frustracja.

Zaczęliśmy znów się całować i dotykać. Keith wziął wibrator, włączył go i wsunął mi między nogi. Drgania przenikały przez moje skórzane spodnie. Powstrzymałam go. Nie mogłam tego znieść. Byłam tak napalona, że czułam się, jakbym zamieniła się w inną osobę.

- Nie ma gumek - warknęłam.

- Mogę poszukać jakiegoś sklepu.

- Jest po trzeciej w nocy.

- Wiem.

Jęknęłam załamana.

- Ile by to zajęło?
 - A gdzie jest 7-Eleven?
 - Cholera... eee... przy skrzyżowaniu La Ciénega i Rodeo... nie... Angeles Vista przy Slauson jest bliżej.
 - Dwadzieścia minut.
 - Myślisz, że dasz radę tak jechać? - zapytałam, trzymając jego penisa.
 - Daj mi chwilę.
 - Nie możesz tak wejść do sklepu. Ktoś mógłby pomyśleć, że masz w kieszeni obrzyna.
- Zaśmialiśmy się chwilę, a potem chwilę się całowaliśmy. Wszystko zaszło zbyt daleko, nie mogłam poskromić namiętności.
- Pragnę cię tak strasznie, że mogę cię skosztować - zamruczałam. Nie chciałam, żeby nastrój przysł.
 - Skosztuj mnie.
 - Chcesz być w moich ustach?
 - Taa.
 - Powiedz to.
 - Weź go do ust, Billie.
 - W ten sposób?
 - Tak. Właśnie tak, Billie.
 - Chcesz być w moich ustach? Właśnie tak?
 - O Boże...
 - Chcesz?
 - O kurwa, tak.
 - W taki sposób?
 - Dokładnie.
- Wylądowaliśmy na orientalnej makatce przed kominkiem. Badu wciąż śpiewała.
- Zabierałam się do niego powoli, pozwalając rozluźnić się moim mięśniom szyi. Keith palcami rozchylił mi usta.
- Zdejmij ubranie - jęknął.
 - Nie. Nie mogę. Nie ma gumki, nie ma seksu.
 - Chcę wylizać twoją szparkę. Przeniknął mnie dreszcz.
 - Chciałabyś tak, Billie?

- To działa na mnie jak czerwony kryptonit.
- Pozwól mi wylizać twoją szparękę.
- To wyzwala moją drugą naturę.
- Chcę cię doprowadzić językiem.
- Dasz sobie radę?

Zaczął mnie rozbierać. Odrzucił na bok moje skórzane spodnie i podkoszulek apelujący do świata o uwolnienie Michaela Jacksona. Zdjęłam stanik i żółte stringi. Keith stał i zdejmował koszulę. Patrzyłam, jak się rozbiera. Przyjemne ciało. Niezręcznie było obserwować, jak zмага się ze slipami, jak zdziera je ze swej podziwu godnej nabrzmiałości. Uwolniony penis podrygiwał w górę i w dół, wskazując na mnie, jakby wybrał właśnie mnie.

To było piękne. Po prostu piękne.

Keith wsunął rękę między moje nogi, masując środkowym palcem mój punkt. Sprawił, że zaczęłam jęczeć. Muskał wargami moje usta delikatnie niczym motyl. Moje soki ściekały powoli jak miód. Pragnęłam mieć go w sobie, pragnęłam, by mnie wypełnił.

- Całuj moje ciało, Keith. Chcę czuć na skórze twoje usta. Szyja, całuj mnie w szyję. Gryź ją. Niech poczuje twoje zęby. Niech twoje zęby szarpią moją skórę. Drap mnie. O tak. Ściskaj mnie mocno.

Robił wszystko, co mu kazałam, robił to wszystko, a jego nabrzmiałość ocierała się o mnie, doprowadzając do obłędu.

- Czujesz, jaka mokra jestem dla ciebie?
- Jestem twój, Billie. Zrobię, cokolwiek chcesz.

Wziął do ust jedną z moich piersi, potem drugą, bładził językiem po sutkach. Były takie twarde, czułam, jak nabrzmiewają. Gładził je, ściskał i lizał, wydając przy tym cmoknięcia, które rozpały we mnie ogień.

- Przygotuj się - powiedziałam.
- Na co?
- Obliz wargi i się przygotuj. Okręciłam się i usadowiłam nad jego twarzą.
- Zjedz moją brzoskwinę, kochanie - powiedziałam słodkim, niemal błagalnym głosem.

Chwycił mnie za pośladki.

- W ten sposób? - zapytał śpiewnym tonem.

Ten język. Och, Boże. Ten język. Moje jęki stały się takie głośne. Mrowienie zamieniło się w żywy ogień. Unosiłam się niebezpiecznie blisko krawędzi. Chwyciłam go za głowę i napadam biodrami na jego twarz. Napierałam na niego w jednostajnym powolnym rytmie.

Nie potrafiłam się skoncentrować. Robił mi to tak cholernie dobrze.

- Dochodzę... rób mi tak... Dochodzę... - Znow zaczęłam pieścić jego członka, poruszając dłonią z taką siłą i w takim rytmie, jaki czułam. - Oooch, kochanie... tak mi rób, tak mi rób... o Boże... o mój Boże... Oooo... nie przestawaj... liź mnie... o tak... chcę, żebyś doszedł ze mną... skończ ze mną...

Masowałam go szybciej.

A potem przestałam, kiedy pochłonał mnie orgazm, a moim ciałem wstrząsnęły niekontrolowane dreszcze.

Nie powinnam była mu na to pozwalać. Nie powinnam była pozwalać, by rozpalał ten ogień.

Zapragnęłam, aby nasza bliskość zamieniła się w zespolenie.

Tak strasznie chciałam mieć go w sobie.

Tak cholernie tego pragnęłam.

Ale równocześnie nie chciałam się do tego posuwać.

Pozwoliłabym mu na wszystko, byle tylko nie kończył w moich ustach.

Nie mogłam dłużej czekać. Byłam jak obłąkana. Na nic już nie zważałam. Usiadłam na nim, ocierając się o niego cipką i pozwalając, aby główka jego członka lekko wślizgnęła się we mnie. Pod wpływem tego doznania wybałuszył oczy. Ogarniał go taki sam szal jak mnie. Poruszałam się tam i z powrotem, sprawiając, że śpiewał dla mnie, uderzając swym słodkim barytonem tak wiele nut.

- Połóż się na mnie - powiedziałam tym samym słodkim, błagalnym tonem.

- Jesteś pewna?

- Nie wchodź we mnie. Chcę poczuć na sobie twoje ciało. Znalazł się na wierzchu. Poruszał się w górę i w dół, ocierając się penisem o moją wilgoć.

Jego ruchy sprawiły, że miałam ochotę wyc i targać jego skórę pazurami.

Zacisnęłam dłonie na jego tyłku, jakby był wyłącznie mój. Chwytał moje pośladki, jakby należały tylko do niego. Obejmowaliśmy się tak i całowaliśmy, i całowaliśmy, i ocieraliśmy się o siebie.

Dyszeliśmy ciężko, wijąc się i nie mogąc przestać. Rozpętało się w nas niszczące piekło.

Byłam tak mokra, że aż to słyszałam. Te zachęcające dźwięki.

Wtedy opuściłam nogi i zacisnęłam je mocno na jego penisie, który ocierał się o moją łechtaczkę.

Jego biodra unosiły się i opadały. Poruszał się tak, jakby chciał zabrać mnie do raju, jakby był we mnie.

Czułam, jakby się ze mną kochał, delikatnie i powoli.

To był obłąd.

Czuć to podniecenie, tak płonąć żywym ogniem, czyste szaleństwo. Prąd przeniknął moje ciało, wstrząsając mną raz za razem.

- Dotykasz mojego punktu - jęknęłam.

- Podoba ci się?

- Dokładnie tam. Jak teraz. Tak, kochanie. Cholera. Znowu dochodzę.

- Jesteś niesamowita.

- Ruszaj się tak dalej.

- Cholera, jesteś niesamowita. To piekło, to cudne piekło.

Los Angeles stało w płomieniach, a ja znajdowałam się w samym środku tego pożaru.

Moje nogi rozjechały się na boki i otworzyłam się przed nim, ruchem, który oznaczał poddanie, zaproszenie do raju.

Keith cały czas ocierał się o mnie, a jego nabrzmiałość całą długością ślizgała się po mojej pochwie w górę i w dół.

Całowaliśmy się.

Ssał moje piersi, a ja ssałam jego palce.

Wtedy osunął się niżej, aż poczułam to, czego moje ciało pragnęło tak straszliwie.

Główka jego penisa szukała schronienia. Jego ruchy stały się krótsze.

Odsunęłam się. Uciekłam, kiedy poczułam, że to jest zbyt cudowne, ale zaraz wróciłam, gdyż nie potrafiłam tego przerwać. Poczułam, jak wślizguje się we mnie. Przypadkowo. Albo i nie. Nie byłam pewna. Ale byłam taka wilgotna. Taka otwarta. Poczułam, jak się wsuwa. Niezbyt głęboko. Ale za głęboko jak na jeden raz. Czułam, jak się wdziera i rozpycha w moim wnętrzu. Drgnęłam.

Chciałam go odepchnąć. Chciałam, żeby wyszedł. Spajało nas pożądanie. Jęknęłam.

Odpowiedział tym samym.

Nie potrafiłam go odepchnąć. A jego urywany oddech mówił mi, że nie zdoła się zatrzymać.

Główka jego penisa była we mnie, wsuwała się i wysuwała, poruszała się tam i z powrotem, dotykając mego czulego punktu.

Błądziłam paznokciami po jego plecach, wbijałam je w jego pośladki.

Nie skarżył się, że go drapie. Nie zważał na to, że robię mu ślady.

Był sam. Nie przejmował się kobietą, od której odchodził.

Te odgłosy brzmiały jak cudowna, słodka muzyka.

Był to moment, w którym opuściła mnie ostrożność, odchodząc pod rękę ze zdrowym rozsądkiem.

Przyciągnęłam go do siebie.

Zagarnęłam do siebie tę rozkosz.

Miałam w sobie osiem centymetrów boskiego zespolenia. Szarpnął się do tyłu, próbując wyjść.

- Jest dobrze - powiedziałam.

- Na pewno?

- Jeśli potrafisz nad tym zapanować, możemy być spokojni.

Wsunął się z powrotem, ale nie za daleko. Nie za głęboko. Zachowywał się ostrożnie. Odrobinę głębiej.

Powiedziałam sobie, że właśnie chciałam poczuć go odrobinę głębiej. Nie na długo. Tylko na chwilę.

Przekonywałam siebie, że przestanę, kiedy tylko on zaspokoi pragnienie.

Ze on przestanie.

Ze zostaniemy tak przez jedną gorącą minutę.

Aż do chwili, kiedy wrócimy do zdrowych zmysłów.

Keith drażnił się ze mną, wślizgiwał się, ale nie dość głęboko, i cofał tuż poza moje nabrzmiałe fałdki.

Chwyciłam go za tyłek i wbiłam głęboko w siebie, trzymając tak, jakbym broniła się przed odpłynięciem.

Chciałam poczuć to, co zawsze czułam.

Keith, zawodząc, wsunął się głębiej.

Trzy.

Cztery.

Dwanaście centymetrów.

A potem zaczął się cofać. Po chwili tkwił we mnie już tylko na trzy centymetry. I tak został.

Wykonywał we mnie ruchy, jakby mieszał łyżeczką w filiżance kawy. A potem znów wszedł głębiej.

Wezwał Boga, jakby się modlił, jakby potrzebował pomocy.

Aż wreszcie dał za wygraną i zagłębił się całkiem.

Stracił kontrolę i pogrążył się we mnie.

Piętnaście.

Siedemnaście.

Dziewiętnaście.

Ponad dwadzieścia centymetrów. Otwierał mnie jak nikt nigdy dotąd.

- Węcej? - zapytał.

- Nie za głęboko, kochanie, jeszcze nie tak głęboko.
- Jesteś pewna?
- Pozwól mi się do tego przyzwyczaić. Umierałam cudowną śmiercią. Taki był Keith.

Poruszał się we mnie, ale kontrolowałam to, jak był głęboko. Nie dotyczyło to wyłącznie penisa. Chciałam mieć pod kontrolą całe nasze zanurzenie. Chciałam decydować o tym, na jak wiele mu pozwolę.

Gdzieś w zakamarkach mojego umysłu zastanawiałam się, jak moja pochwa wypada w porównaniu z pochwą jego żony.

Zastanawiałam się, jak głęboko w nią wchodził.

Miała nade mną przewagę. Nie rodziłam i ścianki mojej pochwy nie były rozciągnięte.

A potem przyszło mi do głowy, że może to ja mam nad nią przewagę.

Może byłam dla niego ciaśniejsza i lepiej się poruszałam, może mój śpiew brzmiał lepiej niż muzyka, którą porzucił.

Rozmyślałam o niej w takiej chwili, i to mnie wkurzało.

Tego rodzaju poronione myślenie pojawia się instynktownie. Jest zakorzenione tak mocno, że staje się naturalne, i tylko długoletnia kuracja może mu zapobiec.

Keith pchnął mnie i wszystkie te myśli momentalnie się rozwiały.

Jego penis napawał mnie lękiem.

Nie z powodu swoich rozmiarów, ale dlatego, że tak cudownie do mnie pasował i że wydobywał ze mnie ukrytą głęboko pieśń. Drażniło mnie to uczucie.

Drażniło mnie to, że jest takie cholernie cudowne. Drażniło mnie, ponieważ czułam się jak w domu.

- Zaraz będę kończył, Billie.

- Dobrze, kochanie, biorę pigułki.

Wyrzuciłam to z siebie, a na jego twarzy odmalowała się ulga. W jego oczach dostrzegłam to, czego nie chciał. On widział to samo w moich. Teraz osiągnęliśmy kolejny poziom błogości. Osiągnęliśmy zaufanie.

- Chciałem się z tobą pieprzyć, kiedy tylko cię zobaczyłem.

- Węc pieprz mnie, Keith. Pieprz mnie. A potem się zaczęło.

Zwolnił ruchy, kontrolując swoje pragnienie wejścia na szczyt. Oparłam łydki na jego ramionach, podczas gdy on, klęcząc, wchodził we mnie i wychodził. Z pełnym napięcia królewskim wyrazem twarzy spoglądał z góry na wszystkie te głupie miny, jakie robiłam.

- Połóż się na sofie - rozkazał.

Obrócił mnie, przyciskając twarzą do poduszek, i wszedł we mnie od tyłu. Nigdy nie byłam tak brana, nie w taki sposób, jak on wbijał się we mnie i poklepywał, sprawiając, że zaczęłam kląć i tracić kontrolę. Wsadziłam sobie palce do ust i zwilżyłam je, by móc się dotykać. Robiąc to wznagałam każde doznanie, jakie czułam w moim ciele. Byłam spocona, zziębnięta i osłabiona, ale wciąż chciałam więcej.

Keith był bliski ekstazy. Czułam, jak wzbiera.

Keith wydał pomruk, jakby wyzwał całą stłumioną furję.

Dziewiętnaście.

Dwadzieścia.

Dwadzieścia jeden.

Dwadzieścia dwa.

Wezwałam Boga i Jezusa.

Rozrzuciłam ręce, próbując znaleźć cokolwiek, czego mogłabym się chwycić.

Krzyknęłam, jakbym spadała.

I spadałam.

Spadałam.

Wytarliśmy nasze ciała rękami, zgasiliśmy ogień na kominku, pozbieraliśmy ubrania i przenieśliśmy się do mojego pokoju. Dwa cudowne orgazmy sprawiły, że w moim sercu rozbrzmiewała całkiem nowa pieśń. Wyjęłam swoją wspaniałą gitarę Takamine. Keith leżał na boku i uśmiechał się do mnie.

- Opowiedz mi o sobie - powiedziałam.

- Myślałem, że mam to już za sobą.

- Opowiedz mi coś, o czym jeszcze nie mówiłeś.

- A dlaczego ty tego nie zrobisz? - mrugnął do mnie figlarnie.

Opowiedziałam mu o moich rodzicach. O tym, jak dorastałam i jak mieszkaliśmy niemalże wszędzie.

Wsunął głowę między moje nogi i lizał mnie, delikatnie i powoli, jakbym była jego przysmakiem.

- Nie myśl... nie myśl, że to cię zwalnia od opowiedzenia mi o sobie - powiedziałam.

- Co chcesz wiedzieć?

- Wszystko... ten twój język... cholera... to takie cudowne uczucie... opowiedz mi wszystko.

Doprowadził mnie po raz kolejny.

Położył się obok i pocałował mnie, a jego język smakował wybornie.

Powiedział mi, że jest chłopakiem z Los Angeles, że tu się urodził i wychował. Do podstawówki chodził w Menlo, potem do Washington Prep. Junior High w Foshe. Zadawał się z Van Ness Gangsters. Frakcja gangu Bloods. Popijali portera, ćpali, prowadzili swoje wojny. Strzelali. Strzelano do nich. Chodził tymi samymi głównymi ulicami co członkowie innych gangów na tym terenie. Znał ich wszystkich, jakby należeli do tego samego kościoła, tylko chodzili na różne nabożeństwa. Eight Trays. Piru Bloods. Hoover Crips. Miał starszego brata, który został zabity podczas napadu na bank. Wtedy Keith się opamiętał.

- Twój brat rabował banki?

- Ja też. Raz. Kiedy miałem siedemnaście lat.

- Nie złapali was?

- Nie, pojechaliśmy w stronę Riverside. Podniecało mnie to jego zepsucie.

Kiedy mówił do mnie, trzymałam jego fiuta, poruszając dłonią tam i z powrotem. On dotykał moich piersi.

- Moja była żona o tym nie wie.

- Nie wie?

- Nie. Powiedziałem jej, że mój brat zginął podczas napadu na sklep z alkoholem. Nigdy nie przyznałem jej się, że napadaliśmy na banki.

- Napadaliście?

- Byłem nastolatkiem.

- Ile banków?

- Ja byłem w dwóch.

- A potem dałeś sobie spokój, tak.

- Wyrosłem z tej mentalności. Przerosłem moją rodzinę. Mógłbym gnić w więzieniu jak większość moich krewnych - zamilkł na chwilę. - Nie można wybrać sobie rodziny, ale można zdecydować o swoim przeznaczeniu.

Nie podobał mu się świat, w którym się urodził, więc go opuścił. Zostawił narkotyki. Wojny gangów. Postanowił zniknąć z tego świata. Najpierw zapisał się na dwuletni kurs. Zdobył tytuł asystenta i poszedł na studia. Nie mógł wybrać sobie rodziny, ale mógł wpłynąć na swoje przeznaczenie. Przeznaczenie. Często używał tego słowa. Jego córka miała tak na imię. Destiny. Znikąd nie miał wsparcia. Dotacji. Pożyczek. Pracował w trzech miejscach naraz. Brał wszystko, co udało mu się znaleźć. Żadnej pomocy. Jego krewni siedzieli, ćpali albo po prostu nie było ich już wśród żywych.

Powiedział mi, że córka najbardziej zmieniła jego życie. To ona sprawiła, że nie wrócił na uczęszczane dawniej ścieżki. To ona sprawiła, że oddał dom jej matce. Wszystko, co robił, robił dla jej dobra. Gdyby miał syna, walczyliby o dom, zrobiliby wszystko, aby jego żona odeszła, pozostawiając władzę królowi i księciu.

Ale miał córkę. To zmieniało reguły walki.

Nie zmieniało jednak faktu, że nie mógł już znieść arogancji swojej żony. Że nie mógł znieść jej rodziców. Że musiał się wyprowadzić, zanim zrobi się groźniej. Zanim dojdzie do przemocy.

Jeszcze raz zdecydował o swoim przeznaczeniu. Musiał znaleźć jakieś rozwiązanie na resztę życia. Masowałam go dobrze. Próbowaliśmy sprawić, żeby zapomniał. Próbowaliśmy sprawić, żeby się zamknął. Czasami nie podobają nam się odpowiedzi na pytania, które zadajemy. Znów zaczynał twardnieć. Trzymałam się mocno tego cudownego snu. Moja ciekawość wzięła jednak górę.

- Gdzie poznałeś swoją... matkę twojej córki? - zapytałam. Prawie dwadzieścia lat temu wszedł do restauracji i zobaczył szeroki

uśmiech ciemnoskórej dziewczyny, która symbolizowała takie życie, jakiego pragnął. W pewnym momencie każdy z nas wpatruje się w oczy osoby, która reprezentuje coś, co chcemy w życiu osiągnąć. Każdy z nas przeżywa tego rodzaju miłość. On poczuł ją do dziewczyny, która chodziła do Westchester High, szkoły po tej lepszej stronie miasta. Do byłej cheerleaderki, która wychowała się tuż obok Crenshaw. Jej matka

wyrwała całą rodzinę z korzeniami i przeniosła do Stanów pieniądze z Jamajki. Pieniądze zarobione na nieruchomościach. Keith napalił się, a potem zakochał w tej pięknej wyspiarskiej dziewczynie, która pracowała na Beverly Hills.

- To był dla mnie mroczny czas - powiedział. - Potrzebowałem trochę światła. Gdyby Jody... mój brat, wtedy jeszcze żył... myślę, że potrzebowałem czegoś, co wyciągnęłoby mnie z tej dziury. Albo kogoś.

- Przykro mi z powodu twojego brata.

- Wciąż żałuję, że mu nie pomogłem. Ale on pozostał w tamtym świecie. Ożeniłem się, zostawiłem to wszystko daleko za sobą.

Zmienił temat i zapytał o mnie, o moją jazdę na motorze i o to, czy należę do jakiejś grupy. Byłam taka zadowolona, że przestał już mówić o swojej eks i o córce. Niewiele brakowało, a przestałabym go słuchać i włączyłabym ten cholerny wibrator. Temat znieawidzonej byłej odłożył do spotkania w Starbucksie.

- W ostatni weekend wybrałam się z kilkoma osobami na rajd do Fresno.

Unióśł mnie i posadził na sobie. Pocałowałam go i przyłgnęłam do jego ciała.

- Z Los Angeles do Fresno? - powiedział. - To jakieś trzy godziny drogi. Długa wyprawa na ścigaczu.

- Niewiele ponad trzysta kilometrów. Było fajnie. I szybko. I nie zajęło trzech godzin. W każdym razie nie mnie.

- Jak szybko jechałaś?

- W tamtą stronę dociągnęłam do dwustu, a chłopaki bez problemu jechali dwieście sześćdziesiąt. Z powrotem miałam za liczniku dwieście osiemdziesiąt. To jest lepsze niż paralotnia. Wrzuciłam coś na ruszt i wskoczyłam na moją ślicznotkę. To mi dobrze zrobiło.

Pocałował mnie. Ścisnął mój tyłek i czułam, że znów nabrzmięwa.

- Możesz to teraz zrobić? - wyszeptał. - Możesz dosiąść tego ściga-cza i pognać dwieście sześćdziesiąt?

Uniosłam biodra. Poczułam, jak jego twardziel ociera się o moją wilgotną pochwę.

- To zależy. - Byłam wilgotna. Mrowienie znów zamieniło się w ogień. - Zobaczmy, ile masz biegów.

Osunęłam się na niego, jęcząc, kiedy wślizgiwał się do środka. Objął moją talię i przyciągnął do siebie, wypełniając moje wnętrze. Odgarnął mi włosy z twarzy i wsunął palce do ust. Zaczęłam je ssać.

- Kotku, nie wrzuciłem jeszcze dwójki - szepnął.

- Siostra może... może... może jechać tylko... tylko... tak szybko i ostro, jak pozwala na to jej maszyna.

Ujeżdżałam go. Klepnął mnie w pośladek. Zwiększyłam tempo. Znowu poczułam uderzenie. Moje ruchy stały się ostrzejsze.

Trzymałam się wezgłowia łóżka i jechałam na nim z Los Angeles do Fresno i z powrotem. Zadzieriałam przednie koło, unosiłam się na kierownicy, pokazywałam mu wszystkie karkołomne sztuczki, jakie znałam. Doprowadziłam go do jęku, któremu wtórowało skrzypienie łóżka.

Wyprężyłam się. Przepelniało mnie to uczucie, z którym próbowałam się zмагаć, aż wreszcie opadłam z sił. Byłam na szczycie.

Keith trzymał mnie za biodra, a seria szybkich skurczów wstrząsnęła jego napiętym ciałem, kiedy dochodził.

Zanim przejazdka dobiegła końca, przeżyłam kolejny orgazm.

- Psiakrew, Keith, chcesz zagarnąć tę cipkę na własność?

- Ja? Poruszasz się jak... cholera.

- Pieprzysz mnie jak cholerny gwiazdor porno. - Znowu chciało mi się śpiewać. - Nie ruchałam się tak od... nigdy.

- Ja też. Potrzebowałem tego. Cholera, jak ja tego potrzebowałem.

- Ja też - odpowiedziałam śpiewnie. - Potrzebowałam być zerżnięta. Właśnie. Tak.

Mówiliśmy wszystkie te wulgarne i szalone rzeczy, jakie mówią ludzie, kiedy są na haju.

Spijaliśmy sobie z ust oddechy, a nasze spocone ciała lepiły się do siebie. Niedługo po tym, jak znowu wytarliśmy się ręcznikami, usłyszałam dobiegający z ulicy odgłos silnika BMW motocykla, nie samochodu. Cudowne mruczenie czerwonego F 650, muzyka dla moich spoconych uszu.

Minutę później uniosła się brama garażu i zabrzączał czujnik informujący o otwarciu drzwi na parterze. Viviane wróciła do domu. Słyszałam, jak wychodzi z garażu i idzie na górę. Zaskrzypiały schody. Słyszałam jej śmiech. Ta przebiegła dupa nie była sama.

Keith wyglądał na zakłopotanego.

- Moja współlokatorka - powiedziałam. - Właścicielka tego zamczyska. Zrobił zgorzkniałą minę. Zabawną, ale zgorzkniałą.

- Zamczyska, które zdobyła podczas rozvodu - ziewnął. Zaczęłam brzdąkać na gitarze. Grałam i nuciłam, podczas gdy Keith walczył z ogarniającą go sennością.

Nasza zmysłowa przejażdżka do Fresno i z powrotem wyeksploatowała go do reszty. A ja czułam się jak bogini.

Zamieniłam się w Sy Smith. W Simfani Blue. Zamieniłam się w tak wielką gwiazdę jak Chante Carmel.

Śpiewałam, przygrywając sobie na mojej gitarze akustycznej.

- Trochę komponowałam, zanim poszłam do pracy - powiedziałam.

- Co takiego?

Pokazałam mu zapis na sześciu liniach, które odpowiadały strunom gitary.

- Górna linia oznacza najwyżej brzmiącą strunę, górne E. Opowiedziałam mu nieco więcej. "Wpadłam w nauczycielski trans i udzieliłam mu dwuminutowej lekcji, grając *W ramionach kobiety*, wzruszającą piosenkę Amosa Lee. Zmieniłam tylko tekst, by śpiewać o męskich ramionach.

- Tremolo. Progi. Akordy - uśmiechnął się, ziewając. - To wszystko nie na moją głowę.

- Jesteś senny?

- Wiele myśli tłucze mi się po głowie.

- Jakich na przykład.

- Tak naprawdę nie muszę jutro iść do pracy... - zawiesił na moment głos - ...bo dzisiaj dostałem wypowiedzenie.

- Ojej. Przykro mi to słyszeć.

- Spokojnie. Nieraz już tak bywało. Przyzwyczajam się.

- Mogę coś dla ciebie zrobić? Śniadanie? A może loda, żeby rozładować ten stres?

- Billie... - uśmiechnął się - ...cholera, skarbie... gdzieś ty się uchowała?

Odpowiedziałam mu uśmiechem. Na chwilę zwarliśmy się w pocałunku, pieszcząc się nawzajem językami.

- Masz wodę? - zapytał.

- Przepraszam - odłożyłam gitarę. - Przyniosę ci.

- Ja to zrobię. Ty ćwicz nuty.

Powiedział to tak, jakby kłopotliwy zew natury nakazywał mu spędzić chwilę na osobności.

Powiedziałam mu, jak trafić do kuchni. Wstał i przeciągnął się. Patrzyłam na jego wysoką smukłą sylwetkę z nadzieją, że jeszcze choć raz zdoła zabrać mnie do nieba, nim poranne słońce zakradnie się do sypialni. Moja łechtaczka pulsowała, domagając się więcej, kiedy trącałam struny. Z uśmiechem patrzyłam na jego nagie ciało, kiedy okręzał moje łóżko i znikał w korytarzu.

Wtedy zdarzyło się coś, co sprawiło, że poczułam się jak cholerna idiotka.

Odezwał się dzwonek jego komórki. Na wyświetlaczu, który napełnił sypialnię blaskiem, zobaczyłam zdjęcie jego żony.

Włosy spięte w kok. Trzydzieści parę lat. Jasnobrazowa skóra. Była piękną kobietą.

I właśnie znalazła się tutaj. Jej twarz w jego telefonie, jej uśmiech w mojej sypialni, połyskujący, jakby emitował promieniowanie radioaktywne.

Przestałam śpiewać. Arcydzieło Amosa Lee ucichło, przerwane brutalnie.

Ta komórka dzwoniąca w samym środku nocy wytrąciła mnie z rytmu.

Jej dźwięk rozbrzmiewał niczym alarm przeciwpożarowy. To było ostrzeżenie, które zignorowałam.

Zanim zdążył ogarnąć mnie niepokój, zanim zdrowy rozsądek zdołał stłumić moje pragnienia i przywrócić mi rozum, zobaczyłam, jak Viviane w pośpiechu zbiega po schodach.

Uśmiechnęłam się. Miała na sobie biały szlafrok i dwa puste kieliszki do wina w dłoni. Weszła do kuchni, gdzie zobaczyła wysokiego i smukłego adonisa, który całkiem goły wyjmuje wodę z lodówki.

- Rany boskie. Ale wielki jest ten twój... Masz może brata, który gustuje w Koreankach?

Pomyślałam, że to zabawne jak cholera. Dwie kobiety, które żyją i kochają w stylu *Seksu w wielkim mieście*.

- Viviane, poznaj Keitha. Keith, to moja współlokatorka Viviane - zawołałam.

- Nie jestem twoją współlokatorką - krzyknęła Viviane w odpowiedzi.
- To ty jesteś moją współlokatorką.

- Obiecuję się poprawić.

- Żeby mi to było ostatni raz - powiedziała, po czym zwróciła się do Keitha: - Wiesz, że ona jest Japonką, prawda?

- Nie zaczynaj z tymi pierdołami - krzyknęłam.

- Nie daj się zwieść tej czarnej skórze. To Japonka.

- Mówię ostatni raz. Moi rodzice byli czarni. Służyli w armii. Urodziłam się w Japonii.

- I przez to jesteś Japonką.

- Viviane, stuknij się trzy razy w głowę i weź tylenol.

- Miło cię było poznać, Keith.

Keith wrócił w pośpiechu. Był zażenowany.

Tak więc wtedy zdarzyło się to po raz pierwszy. Czułam się rozbita. Jednak cała sytuacja była na tyle zabawna, że zignorowałam tę zapowiedź burzy.

Ale to było prawie rok temu.

Kiedy chodziło tylko o zabawę i przyjemność. Kiedy nie było ważne, że stracił pracę. Kiedy nie było ważne, czy jego niedługo już eks poczuje się upokorzona na wieść o tym, że Keith kogoś ma.

Zanim łóżko, na którym się kochaliśmy, pokryło się odłamkami stłuczonej szyby.

Zanim Carmen wdarfa się w mój świat, nim jej zazdrość cisnęła cegłą w okno mojej sypialni.

Nie zostałam ostrzeżona, że oto będę wpatrywać się w wybite okno zięjące chłodem, że rozpalona wściekłością będę miotać tysiące przekleństw, wypatrując wraz z moją współlokatorką świateł policyjnego radiowozu.

BILLIE

- A więc jest pani *związana* z żonatym mężczyzną? - zapytała policjantka.

- To nie tak. Oni są w separacji od roku.

Jedyna różnica pomiędzy nowobogackimi mieszkańcami View Park a ludźmi żyjącymi po drugiej stronie Crenshaw dotyczyła działań miejscowej policji. Po tamtej stronie miasta wskaźnik przestępczości był wyższy, co zwiększało czas oczekiwania na interwencję. Zwłaszcza odkąd na Crenshaw i na ulicy zwanej wcześniej Santa Barbara Boulevard otwarto Krispy Kreme. Na wzgórzach nie było sklepów z pączkami. A skoro ich nie było, nic nie rozpraszało uwagi stróżów prawa. To zaś oznaczało ich szybszą reakcję.

- Twierdzi więc pani, że widziała ich razem tego wieczoru, przed incydem, a ona zadzwoniła do pani tuż przed tym, jak okno zostało wybite. Ze dzwoniła z telefonu swojego męża, czyli musiała znajdować się przynajmniej kilometr stąd, a natychmiast po tej rozmowie doszło do zdarzenia. Kiedy bezpośrednio po nim oddzwoniła pani na ten numer, odebrał jej mąż, mówiąc, że ona jest cały czas z nim. Czy to się zgadza?

- Nie jestem wariatką.

- Mówiła pani, że ich sprawa rozwodowa została zawieszona? Czyli pozostają małżeństwem.

- A co to ma wspólnego z tą cholerną cegłą, którą ktoś rzucił w moje okno?

Pięć minut po tym, jak cegła dostała skrzydeł i wleciała do mojej sypialni, na podjeździe stały trzy radiowozy. Wszyscy nasi drobnomieszkańscy sąsiedzi wiedzieli, że coś się dzieje. Powiedziałam funkcjonariuszce, że to Carmen rzuciła cegłą, ale ponieważ nie widziałam, jak to robi, ponieważ uciekająca terenówka nie była jej mercedesem i ponieważ Keith oświadczył, że jego żona była z nim cały czas, policja nie mogła nic zrobić. A nawet gdyby nie była z nim i gdyby skłamał, nie mogli nakłonić męża, aby zeznawał na niekorzyść żony.

- Próbowałam to wszystko uporządkować - policjantka podsunęła mi swój raport. - Czy teraz wszystko się zgadza?

- Ta cegła omal mnie nie zabiła, a wy nie możecie nic zrobić? - wy-buchnęłam.

- Nikt niczego nie widział.

- I co w związku z tym?

- Na chwilę obecną poza wypełnieniem raportu nic więcej nie możemy zrobić.

- Nie będziecie robić zdjęć? To miejsce przestępstwa.

Policjanci wymienili spojrzenia, a potem popatrzyli na mnie z kamiennymi minami.

Zostawili mi kopię prawie nieczytelnego raportu i ruszyli w stronę drzwi. I to było wszystko z ich strony. Zaledwie rzucili okiem na wybite okno. Nie zadali sobie trudu, by sfotografować potłuczone szkło, którego było pełno w całym pokoju i na moim łóżku.

Wyszli tak szybko, jak gdyby w Krispy Kreme trwała promocyjna wyprzedaż pączków.

Zostałam ze swoją złością i tym durnym policyjnym raportem, który podarłam na kawałki.

Viviane splotła ramiona i nadęsa patrzyła na potłuczone odłamki, kręcąc głową.

Jej przyjaciel Tatko Welki Dyszel wycofał się na górę, jakby miał alergię na policję.

Viviane poprawiła swój szlafrok.

- W ciąży? - powtórzyła.

- W ciąży - głos mi się łamał.

- Ty jesteś w ciąży, a Keith wprowadza się do swojej żony - drażyła.

- Nie zaczynaj nawijać jak zdarta płyta, Viv.

- Kiedy to się stało?

Opowiedziałam o spotkaniu z Keithem w Starbucksie i o tym, jak Carmen wdarła się do łazienki. O tym, że powinnam skopać jej wtedy tyłek. Potem opowiedziałam jej o tym, jak zajrzałam przez okno do sypialni Keitha, by zobaczyć ten akt pojednania. Naprawdę powinnam była jej wtedy dokopać.

- Nie obchodzi mnie, co mówią - miotałam gromy. - To Carmen wrzuciła tę cegłę.

- Zaczekaj... Muszę coś załatwić.

Wybiegła, a ja zamknęłam za nią drzwi. Podniosłam słuchawkę, żeby zadzwonić do Keitha, i wybrałam sześć z siedmiu cyfr. Miałam zamiar nawrzeszczyć, że lepiej, aby tu obydwójce przyjechali posprzątać ten bajzel i wypisać mi czek na pokrycie szkód, ale odłożyłam słuchawkę. Naciągnęłam na siebie dżinsy, podkoszulek i wsunęłam domowe pantofle, po czym wparowałam do kuchni, skąd wzięłam mały kosz na śmieci. Zatrzymałam się w przedpokoju, by wziąć szczotkę i szufelkę, przez cały czas miotając przekleństwa i myśląc o różnych okropnościach.

Wyobraziłam sobie, że stoję pod oknem sypialni Keitha z koktajlem Mołotowa w ręku.

Nieopodal domu przejechał samochód. Zerwałam się i podbiegłam do okna. Nie zobaczyłam nikogo.

Potem zadzwonił mój telefon. Aż podskoczyłam. Na wyświetlaczu numer Keitha.

- Czego! - krzyknęłam w słuchawkę.

- To ty przysłałaś tu policję?

- Gdzie ona jest?

- Z czym masz problem, Billie? Rozłączyłam się.

Zadrżałam, kiedy z korytarza dobiegł odgłos kroków. Pomimo złości i upokorzenia cegła wpadająca przez okno sypialni w środku nocy napełniła mnie lękiem. Czułam się, jakbym żyła w świecie z powieści Deana Koontza. Serce zabiło mi szybciej, kiedy usłyszałam głosy, męski głos, którego nie potrafiłam rozpoznać.

Viviane odprowadzała swego kochasia do wyjścia, trzymając go pod rękę, a jej pantofle człapały po podłodze w szybkim i gwałtownym tempie. Bezceremonialnie wypraszała go z domu.

- Kiedy możemy znów się umówić? - zapytał.

- Zadzwoń do ciebie.

- Może umówilibyśmy się w księgarni?

- Zadzwoń do ciebie.

- To był wspaniały wieczór.

- Zadzwoń do ciebie.

Słyszałam, jak go całuje i mówi mu, że w tej chwili powinna być ze mną. Kiedy tylko zatrzasnęły się drzwi, myślałam, że przybiegnie do mnie wkurzona i będzie robić mi wyrzuty, że wezwałam policję. Tymczasem usłyszałam niecierpliwy tupot jej drobnych stóp na marmurowej podłodze korytarza, a potem na schodach. Wtem rozległ się hałas, jakby się potknęła.

- Wszystko w porządku? - zawołałam, stojąc w drzwiach mojego pokoju.

- Chyba złamałam palec u nogi - odpowiedziała i zaklęła.

- Możesz nim poruszać?

- Tak.

- To nie jest złamany.

Zamknęłam drzwi i wyjrzałam przez okno, zastanawiając się, czy Carmen rzeczywiście sobie poszła, czy wciąż tu jest ukryta w krzakach albo na drzewie i czeka, by wrzucić mi przez okno kolejną cegłę.

Wysypałam do śmietnika duże kawałki szkła i zamiotłam resztę okruchów. Viviane w pośpiechu zbiegła do piwnicy. Znałam jej zwyczaje. Rozumiałam to paniczne zachowanie. Oznaczało to, że mała rozrywkowa panienska ściągnęła przeпоczone prześcieradła ze swego łóżka i wrzuciła je do pralki. Proszek do prania i gorąca woda rozprawią się z dowodami jej występku. Pobiegnęła z powrotem na górę. Widziałam, jak się krząta, powłócząc nogą, włosy spięte w koński ogon, ubrana w granatowe spodnie od piżamy i wymięty podkoszulek z makabrycznej kolekcji Anne Rice. Kiedy założyła na łóżko świeżą pościel, zeszła znów na dół. Słyszałam, jak mówi do bezprzewodowego telefonu, nagrywając wiadomość swojemu chłopakowi.

Viviane zapukała do moich drzwi i weszła do środka, zanim zdążyłam coś powiedzieć.

- Wykopałaś Cottrella, co?

- Przepraszam, że zostawiłam cię samą z tym... no wiesz. Miałam parę innych spraw.

- Traktujesz ich wszystkich jak szmaty - powiedziałam.

- Bo nimi są.

Wpatrywałyśmy się w dziurę, która kiedyś była oknem.

- Mamy jakiś karton w piwnicy? - spytałam.

- Nie wiem.

- Taśmę klejącą?

- Zobacz w kuchni. - Wzięła głęboki oddech. - Moja komórka dzwoniła przez całą noc.

- Ktoś próbuje sprowadzić cię na ziemię.

- W ciąży? - powiedziała jeszcze raz.

- Robiłam test wczoraj rano.

Próbowałam się roześmiać. Próbowałam, ale nie byłam w stanie. Zbyt ciężko było mi teraz udawać. W moim prawym oku zakręciła się łza. Nim zdążyła dopłynąć do ust, z lewego oka wymknęła się druga.

- Dobrze się czujesz? - głos Viviane złagodniał.

Nie wiem, jak długo tak siedziałam, zaciskając usta i kiwając głową jak dziecko przy konfesjonale. Czułam się jak czternastolatka o białych kolanach i twarzy pokrytej pryszczami, z aparatem na zębach, zdradzona przez własne ciało. Jak dziewczyna rozmyślająca o jakimś głupim chłopaku, bez którego nie może żyć; próbowałam wstrzymać oddech, aż umrę.

Viviane usiadła na moim łóżku, objęła mnie ramionami i wzięła za rękę.

Żałowałam, że jej powiedziałam. Żałowałam, że jemu powiedziałam, że nie pozwoliłam, aby jako pierwszy powiedział to, co miał mi do powiedzenia.

Wpatrywałam się w ziejącą dziurę w oknie.

- Ta suka próbowała mnie zabić.

- To wariatka. Trzymaj się od niej z daleka, Billie.

- Co powinnam zrobić?

- Jeśli zdecydujesz się na aborcję, będę z tobą.

- Miałam na myśli okno - powiedziałam.

- Och, niewiele możesz zrobić, jest po północy.

Viviane trzymała mnie w objęciach. Miała wilgotne włosy. Pachniała jaśminem i szamponem Herbal Essence.

- Jak się czujesz? - zapytała.

- Czuję się taka głupia. - Przypominałam sobie to, o czym chciałam zapomnieć. - Już to kiedyś przerabiałam.

- Już dobrze, już dobrze. Jestem tutaj, czuję to co ty. No już, popłacz sobie.

- Chyba się zabiję, jeśli znów zrobiłam to samo.

Usłyszałyśmy silnik motocykla dobiegający z podjazdu przed domem. Viviane zaklęła i potrząsnęła głową. Wyglądała na cholernie zdenerwowaną.

Otarfam łzy i wydałam z siebie wymuszony chichot.

- Brzmi jak twój ulubiony model hondy - powiedziałam.

- Co się stało, że nie zadzwonił wcześniej?

- Masz swojego chłopaka w samą porę.

- Nie wyobrażam sobie, żeby Jacob się tu zwałił wtedy, gdy nie odbierałam.

Rozległ się dzwonek u drzwi. Viviane nie ruszała się z miejsca. Zgarnęła włosy i znów spięła je w koński ogon.

- Chyba jestem rozbestwiona - powiedziała.

- Dlaczego?

- Facet, z którym byłam przed Jacobem, miał trzydziestocentymetrową fujarę.

- To dlaczego z nim zerwałaś?

- Bo miał trzydziestocentymetrową fujarę.

- Wszystko jasne.

Znów dzwonek. Viviane sieknęła, zajęczała i powolnymi krokami ruszyła w stronę drzwi, mamrocząc coś pod nosem i zapalając po drodze wszystkie światła. Zaczęła mówić głośnikiem małej dziewczynki, słodkim i ugrzecznionym do wyrzygu, udając, że jest zaskoczona i wniebowzięta na widok Jacoba. Mężczyzny o wielkich dłoniach. Brata, który chciał zabierać swą azjatycką księżniczkę na egzotyczne wojaże, rzucić jej świat do stóp i uczynić z niej swoją erotyczną królową.

- Co się stało z oknem? - zapytał.

- Ciii. Pocałuj mnie.

Moje drzwi pozostały otwarte na oścież. Mieszkałam w pokoju, który wychodził wprost na ulicę, tuż obok frontowych drzwi. Słyszałam, jak się całują. Ten wilgotny odgłos, jaki wydają stykające się namiętnie wargi.

- Twoja skóra płonie - odezwał się Jacob.

- Twoje pocałunki tak mnie rozpalają. Całuj mnie.

- Pachniesz świeżością.

- Właśnie wzięłam prysznic. Byłam zestresowana po wyjściu z Barnes & Noble. Musiałam się uspokoić.

- Zrobić ci masaż? Przywiozłem olejki.
 - Nie teraz. Nie najlepsza pora.
 - Piszesz?
 - Pisałam. Potem Billie mnie potrzebowała. Pocałuj mnie jeszcze.
 - Co się stało?
 - Zonie Keitha coś odbiło i wrzuciła cegłę przez to cholerne okno.
 - Mówisz poważnie?
 - To długa historia. Tak się uwzięła na Billie, że ta musiała wezwać policję. Było tu z dziesięć radiowozów.
 - Cholera.
 - Wiem. To takie krępujące. Zdawało mi się, że słyszę telefon, ale jeszcze przed minutą był tu istny obłąd.
 - Zastanawiałem się, co się dzieje. Martwiłem się o ciebie.
 - Taa. Musiałyśmy jakoś się z tym wszystkim uporać. To dlatego nie odbierałam telefonu.
- Jeszcze więcej pocałunków i kłamstw wypowiedzianych zbyt czule, bym mogła ich słuchać.
- Viviane wetknęła głowę w moje drzwi.
- Wróć tu za sekundę - powiedziała.
 - Sprawdź kosz w swojej łazience.
 - Już go opróżniłam.
 - Opakowania po kondomach?
 - W śmietniku na zewnątrz.
 - Deska w kiblu?
 - Zadbaliśmy o to.
 - Sprawdziłaś, czy nie obsikał brzegów, zanim ją opuściłaś?
 - Wytarfam.
 - Oglądałaś swoją szyję?
 - Żadnych śladów.
 - Tatko Welki Dyszel zachodził cię od tyłu?
 - Oczywiście. A bo co?
 - Rozpuść włosy na wypadek, gdybyś miała malinkę tam, gdzie nie widzisz.
 - Dobra rada.
 - Powinnaś być spokojna - wzruszyłam ramionami.

Rozpuściła swój koński ogon, pozwalając włosom opaść na ramiona.

- Zapomniałam o czymś?

- Wygląda na to, że jesteś dobrze kryta. Nie ma dowodów, nie ma zbrodni.

- Uspokoiłś mnie.

- No to pa.

- Zajrzę tu jeszcze do ciebie.

- Nie martw się o mnie. Obiecuję nie ładować broni i nie robić żadnych głupot.

Zapadło milczenie. Przez chwilę zdawałyśmy się rozmawiać bez słów.

- Nie martw się, Viviane. Jeśli donoszę to dziecko, wyprowadzę się stąd. Na jej twarzy pojawiła się frustracja.

-Billie...

- Czeka tam na ciebie para wielkich dłoni. Zajmij się swoimi sprawami.

- Że też musiał się tu objawić - uniosła ręce ponad głowę. - Przepraszam cię, że... no wiesz.

Odchodziła do swego ukochanego, przepaszając, że zostawia mnie sam na sam z moimi problemami, i dając mi do zrozumienia, że musi udawać, że nie jest w nastroju do amorów, ale musi zgrywać potulną, nie mówiąc już o tym, ile wywołanych językiem i ręką orgazmów będzie musiała przetrwać w imię swej dwulicowości.

Nie musiała niczego tłumaczyć. Rozumiałam tę grę i jej reguły.

Zrobiła krok w tył i nim zamknęła za sobą drzwi, dostrzegłam Jacoba, który czekał na nią u podnóża schodów. Miał na sobie czarną kurtkę motocyklową, duży czerwony kask w wielkiej łapie, a w drugiej plecak. Olbrzymi facet o delikatnym usposobieniu.

- Jak leci, Billie? - rozległ się jego baryton.

- Dzięki, Jacob.

- Dobrze się czujesz?

- Świetnie. Po prostu świetnie.

- Raheem mówił, że spotkał cię w Starbucksie. Wytrąciłaś mu kawę.

- Ten irytujący gość to jeden z twoich kolegów? - jęknęłam.

- Właśnie spotkałem go na stacji Unocal przy rogu Slauson i Fairfax. Akurat tam tankowaliśmy. Opowiadał, że wpadł na ciebie w Starbucksie. Bardziej on na ciebie, niż ty na niego.

Jacob zaśmiał się ze swojego żarciku, ale moje poczucie humoru było wyłączone.

- I jaki z tego morał? - Wlepiłam wzrok w podłogę. - Do czego zmierzasz?

- To fajny gość. Wolny. Ustawiony. Chwalił mi się, że kupił motor.

- Słyszałam.

- Powinnaś go sprawdzić - roześmiał się. - Chciałbym, żebyś przeczytała mój scenariusz. *Zaginione mamuśki*. Rozbija się samolot pełen napalonych kobitek i wszystkie lądują na bezludnej wyspie. Z jednym facetem. Ale on jest gejem.

- Posłuchaj, miałam naprawdę ciężką noc.

- W porządku, rozumiem.

- Dobranoc, Jacob. I powiedz swojemu koleźce, żeby przestał się za mną uganiać.

- On tylko chce, żebyś okazała mu trochę zainteresowania. Chyba nie chcesz, żeby znowu ktoś ci wrzucił cegłę przez okno.

- Uważasz, że to jest śmieszne, tak? No to śmieję się, proszę bardzo, śmieję się.

- Daj spokój.

- Dobranoc, Jacob.

Poszli na górę. Jacob mamrotał coś o moim nastroju, a schody skrzypiały pod jego ciężarem. Piętnaście minut później, może dziesięć, kiedy wyszłam na balkon, usłyszałam, jak Viviane jęczy, wychwala jego cudowne dłonie i mówi mu, jak bardzo go kocha, sącząc kłamstwa w jego duszę.

Tak łatwo jest kłamać. Tak cholernie łatwo.

W piwnicy znalazłam rolkę folii, przycięłam ją i za pomocą taśmy klejącej zasłoniłam wybite okno. Potem usiadłam w zimnym pokoju, trzęsłam się i płakałam. Hormony. To musiały być hormony. Nigdy nie płakałam. Nigdy się tak nie czułam.

Nie potrafiłam wyrzucić Keitha z moich pieprzonych myśli. Nie mogłam pozbyć się Carmen z mojej cholernej głowy.

Przed domem zwoznił jakiś samochód. Zatrzymał się. Cofał. Krążył jak ktoś, kto się zgubił. Reflektory wymierzone prosto w moje okno przez kilka sekund oświetlały ściany. Jak gdyby ktoś chciał oświetlić ten

dom. Zadrżałam. Zaczęłam nasłuchiwać. To było dudnienie silnika jakiegoś starszego samochodu. Powolnego samochodu terenowego.

Pomyślałam, że to Keith przyjechał, aby sprawdzić, co się ze mną dzieje, i na mojej twarzy wykwitł słabiutki uśmiech. Ale zdałam sobie sprawę, że to nie on. Keith jeździł czerwonym explorerem z napędem na cztery koła.

Jasna terenówka odjechała kawałek, wróciła i zatrzymała się na wprost domu.

Stała tak przez kilka minut. Z włączonym silnikiem. Samochód był biały, może kremowy.

Po tym, jak cegła roztrzaskała moje okno, widziałam uciekający samochód w ciemnym kolorze.

Myślałam, że był ciemny, ale teraz cały świat wydawał mi się podejrzany i nie byłam pewna niczego.

Carmen nie byłaby aż tak głupia.

Ale może tu nie chodziło o głupotę. Może to była zuchwałość.

Zgasiałam lampkę na szafce nocnej i zerknęłam przez folię zasłaniającą okno. Samochód oddalał się, nie jechał szybko, ale też nie zwalniał przed żadnym innym domem.

Tu był ten dom, którego szukał.

Z sercem w gardle popędziłam w stronę drzwi wejściowych, wypadłam na zewnątrz, ale kiedy dobiegłam do krawężnika, samochodu nigdzie nie było.

Carmen drażniła się ze mną.

Biegiem wróciłam do domu i chwyciłam za telefon.

Chciałam wybrać numer Keitha.

Ale ta cholerna cegła gapiała się na mnie z podłogi. Na mnie i na moją paranoję.

Ubrałam się w pośpiechu. Lekkie dzinsy, skórzana kurtka. Żadnych wysokich obcasów. Mocne buty motocyklowe na płaskiej podeszwie. To na wypadek, gdyby doszło do bezpośredniego starcia i musiałabym podjąć walkę wręcz.

Schyliłam się po tę cegłę i wrzuciłam ją do plecaka.

A potem odpaliłam moje ducati i wytoczyłam się na ulicę.

**

Jazdę na motocyklu i bycie zakochanym łączy ograniczony sposób patrzenia.

Skupiasz się na tym, co jest przed tobą, tak naprawdę nie dostrzegając tego, co zostało w tyle, w pewnym stopniu ignorując przeszłość. A moja wzbierająca złość, ta bestia, również opanowała moje spojrzenie, przysłaniając wszystko, co znajdowało się po bokach.

Miałam niebezpiecznie zawężoną perspektywę.

To dlatego nie zauważyłam, że jestem śledzona, przynajmniej nie od razu. Samochód z wyłączonymi światłami jechał za mną wzdłuż Presidio Drive, w stronę Angeles Vista, siedząc mi na karku niczym moja rozjuszona przeszłość. Jechałam naokoło, wybierając dłuższą drogę do mieszkania Keitha. Chciałam ochłonąć z gniewu, puścić na wiatr całą moją wrogość. Chciałam mieć kilka dodatkowych minut na zastanowienie. Presidio to dwukierunkowa uliczka z miejscami do parkowania po obu stronach. Zbyt mało miejsca, aby mogły wyminąć się dwa samochody, niezbyt wiele przestrzeni, by wykonać jakiś manewr. Kiedy zerknęłam w lusterko, zobaczyłam ten biały samochód toczący się za mną. Przyspieszyłam. On tak samo. Szybko wyrównał odległość. Nawet będąc tak wściekła, wiedziałam, że motocykl nie ma się co równać z autem o napędzie na cztery koła. Zwolniłam z nadzieją, że on zrobi to samo. Ale przyspieszył. Jechał tuż za mną. Włączył długie światła, jakby chciał mnie zaskoczyć, wręcz zmylić. Zredukowałam bieg i gwałtownie przyspieszyłam, pędem mijając znak stopu przy skrzyżowaniu z Angeles Vista i modląc się, aby nikt tamtędy nie jechał. Potem zniemacka skręciłam w lewo, pochylając nisko maszynę, która przemknęła niebezpiecznie blisko krawężnika. Spodziewałam się, że śledząca mnie terenówka uderzy w moje tylne koło i polecę na chodnik. Kiedy wyszłam na prostą, strach wciąż kazał mi gnać, serce łomotało, a oczy zerkały w lusterka. Zjechałam ze wzgórza i byłam już prawie na Stocker Street, kiedy nacisnęłam hamulce i zwolniłam. Na Crenshaw Boulevard było aż tłoczno od poszukiwaczy nocnych przygód. Nikt za mną nie jechał. Kiedy zanurkowałam w lewo, musiał wybrać inną drogę. A może skręcił w West Boulevard. Zawróciłam łukiem i pognałam z powrotem tą samą drogą. Widziałam teraz wiele samochodów, ale nie było wśród nich tego, którego szukałam. Krążyłam po bocznych uliczkach, zjechałam całą okolicę w poszukiwaniu tej suki, ale jej nie znalazłam.

Dodałam gazu i wypełniając mroczną ciszę rykiem silnika, popędziłam do domu.

Pobiegłam do mojej szafy i sięgnęłam na najwyższą półkę. Ze skórzanej torby wyjęłam rewolwer. Naładowałam go garścią naboii.

Carmen zaatakowała mnie w Starbucksie, sponiewierała w toalecie. Pomyślałam też o tym, jak Keith potraktował mnie tej nocy. Potem mój wzrok zatrzymał się na wybitym oknie. To nie była zwykła cegła, to była broń. Miała przynieść śmierć. Na wargach zebrały mi się kropelki potu. Mój podkoszulek był lepki od strachu, a serce wciąż kołatało, kiedy przed oczyma stawał mi obraz samochodu, który chciał mnie staranować.

Najpierw wrzuciłam broń do plecaka, aby tam dotrzymywała towarzystwa cegle.

Potem pomyślałam o samochodzie gnającym prosto na mnie. Zmieniłam zdanie.

Wsunęłam tęponosą trzydziestkęósemkę pod kurtkę, żeby mieć ją w zasięgu ręki.

Ponownie wymknęłam się z domu w poszukiwaniu problemów, z nadzieją na problemy, czujna i gotowa na wszystko.

- Wyglądasz, jakbyś miała zamiar kogoś zabić.

- Gdzie ona jest?

Stałam przed drzwiami Keitha, ciężko dysząc. W jednej ręce trzymałam rewolwer, w drugiej kask. Keith wyszedł na zewnątrz, ubrany w dżinsy i bieleżniany podkoszulek, i usiadł na schodach. Pocierał tatuaż na ramieniu. Miałam taki sam. Nasza ślubna obrączka wykonana nieusuwalnym atramentem. Połączyło nas coś poza lędźwiami.

- Masz broń - powiedział.

- A w plecaku mam cegłę, którą mi wrzuciła przez okno. Zalaatywało on niego alkoholem, a pusta wysoka szklanka w jego ręku

świadczyła, że przed chwilą pił. W kąciku ust trzymał niezapalonego papierosa, jakby się zastanawiał, czy wrócić do nałogu, z którym zerwał przed dwudziestu laty.

- Skończyła ci obciążać? - zapytałam.

- Billie, nie zaczynaj od nowa. Sąsiedzi i tak już chcą mnie zjeść.

- Jestem zaskoczona, że właścicielka tego domu nie przyszła mnie zwizytać.

- Tej suki nie ma w mieście.

Nigdy nie slyszalam, zeby Keith mowil w ten sposob o kobiecie. Nigdy wzescniej nie slyszalam w jego gllosie takiego jadu.

- Wyjechała wczoraj, musiała zająć się swoimi krewnymi w Nowym Orleanie - powiedział. - Huragan pozbawił dachu nad głową połowę jej rodziny. Ale zanim wzejdzie słońce, dowie się o wszystkim, co się tu wydarzyło ostatniej nocy.

Popatrzyłam na ulicę. Terenówka Keitha stała na swoim miejscu. Myślałam, że może to on próbował mnie zabić, bo powiedziałam mu o ciąży, ale był zdrowo nagrany. Niemożliwe, aby prowadził w tym stanie, nie rozwalając połowy samochodów w okolicy. Zresztą nie byłoby to do niego podobne. Ale Lacy przypuszczalnie myślała to samo na temat Scotta. Carmen mogła jeździć za mną samochodem Keitha, ale maska była zimna. Sprawdziłam to, nim zaparkowałam motor. Maska była zimna, co oznaczało, że silnik jest zimny, a oszronione szyby świadczyły o tym, że auto stało tu przez całą noc. Poza tym jego samochód był czerwony.

Mercedes Carmen zniknął. Już nie dotykał zderzakiem wozu Keitha, nie całował go, nie robił mu laski. Miejsce, w którym stał zaparkowany, było puste, zatem odjechała niedawno i jeszcze nikt z mieszkańców nie zdążył go zająć.

Postawiłam tam swój motocykl. Teraz moje przednie koło całowało zderzak Keitha.

- Dlaczego nie zaparkowałeś w garażu? - spytałam.

- Nie lubię chodzić tamtym zaułkiem. Znów kręcą się tam czarnuchy z prochami. Nie mam ochoty zarobić kulki.

Nic nie miało sensu. Ale moje serce mówiło mi prawdę, nawet jeśli umysł się z nim nie zgadzał.

- Gdzie ona jest?

- Dlaczego nosisz broń, Billie?

- Kiedy stąd odjechała?

- No cóż, policja była tu niedawno. Potem się pokłóciliśmy. I wyszła. Patrzyłam na niego. Tak bardzo go w tej chwili nienawidziłam. Usiadłam obok na schodach, kładąc między nami mój kask i plecak.

- Twoja żona wrzuciła mi cegłę przez okno. Nie kryj jej.
- Carmen rzucająca cegłą? Bądź realistką. Nie zrobiłaby niczego, przy czym mogłaby złamać sobie paznokiec.

Nachylił się w moją stronę, wyjął rewolwer z mojej dłoni i odłożył go na bok. Potem ja zrobiłam to samo z pustą szklanką, którą wciąż ściskał. Wyciągnęłam mu papierosa z ust i cisnęłam w trawę.

Dotknął mojej ręki, zaczął ją głaskać.

- Przestań - powiedziałam. Nie posłuchał.

A ja go nie odepchnęłam.

Wzbierała we mnie miłość, podczas gdy złość ustępowała. Choćby na krótką chwilę.

- Posłuchaj, muszę cię przeprosić za to, jak się zachowałem.
 - Skurwiel.
 - To mnie przeraziło. Byłem już załamany. Byłem najzwyczajniejszym dupkiem.
 - Byłeś. Powiedziałeś mi tyle podłych rzeczy.
 - Ten obłąd pomiędzy mną a Carmen... ten obłąd stanął pomiędzy nami... wiesz, że cię Kocham?
 - Jesteś pijany.
 - Podchmielony, ale nie pijany. Jestem świadomy i na chodzie.
 - Jeśli to jest sposób, w jaki traktujesz kogoś, kogo Kochasz, możesz mnie znienawidzić - warknęłam.
 - Musisz spojrzeć na to z mojej perspektywy, Billie. Opuszczając cię, robiłem to dla ciebie, nie dla siebie.
 - Nie zaczynaj mnie okłamywać. Nie mam ochoty wysłuchiwać bzdur na twoje usprawiedliwienie.
 - Wpadłem w panikę, sama wiesz. Wygląda na to, że odwałem kawał dobrej roboty, komplikując sobie życie. Chciałem dać ci wolność, chciałem zrobić to dla ciebie, nie chciałem, żebyś musiała być ze mną w całym tym moim bagnie.
- Zapadło milczenie.
- Znów się to stało. Kiedy myślałem, że już wszystko jest na dobrej drodze.
 - Kiedy wszystko zaczęło być po twojej myśli, zaszłam w ciążę.

- Nie - westchnął. - Straciłem pracę.
- Co?
- Cięcia kadrowe. W pierwszej kolejności redukują tych najpóźniej zatrudnionych. Znowu dostałem wypowiedzenie.
- Kiedy?
- Trzy tygodnie temu.
- Trzy tygodnie? Codziennie chodziłeś do pracy.
- Udawałem, że chodzę do pracy.
- Wstawiałeś rano i wychodziłeś.
- Wychodziłem szukać pracy. Robiłem to, co trzeba. Nie poddawałem się. Codziennie szukałem pracy. Zalegam z płatnościami. Nie powiedziałem ci, że zostałem eksmitowany.
- Eksmitowany?
- Wczoraj rano dostałem trzydniowy termin. Juanita z uśmiechem wcisnęła mi papierek, kiedy jechała na lotnisko.
- Co za suka.
- Myślę, że chce mnie wygryźć, żeby mieć gdzie ulokować tych swoich krewnych poturbowanych przez huragan.
- Trzydniowy termin?
- Juanita i tak od dawna chciała się mnie pozbyć.
- Nie masz zamiaru o to walczyć?
- Żeby cokolwiek wywalczyć, potrzeba pieniędzy. Jakie mam wyjście? Już przyjąłem zawiadomienie. Mógłbym pójść do Biura Porad Mieszkaniowych. Oni składają wniosek o przedłużenie terminu wypowiedzenia, ale po dwóch miesiącach dostałbym uzasadnienie nakazu eksmisji. A potem i tak musiałbym się wyprowadzić, zresztą i tak nie mam dokąd pójść. Mam do wyboru zwinąć koszyk z marketu, w dzień zbierać puszki, a w nocy wziąć jakiś karton i spać na betonie w Skid Row albo... pod zjazdem z autostrady... albo...
- Albo przeprowadzić się do Carmen.
- A raczej wrócić do domu, który kupiłem. Który kosztował mnie mnóstwo krwi, potu i łez.
- Mogłabym pomóc ci znaleźć nowe mieszkanie. Potraktuj to jako pożyczkę.
- Myślałem o tym, żeby cię poprosić, myślałem.

- Męskie ego?
- Tego jest dużo więcej.
- O ile więcej?
- Skoro już otwieram przed tobą duszę i mówię ci to wszystko... trochę zalegam z alimentami. Carmen trzyma wszystko w garści. Ma układy i robi z nich użytek. Stówa zaległości i mogą zabrać mi prawo jazdy. Z powodu stu przeklętych dolarów. I zrobią to, choćbym nawet został gdzieś zatrudniony. A jeśli dopisze mi szczęście i coś znajdę, będę musiał jeździć. .. jak w tej pracy, o którą teraz się staram... albo gdybym potrzebował jakiegoś zaświadczenia... o moich finansach... paragraf dwudziesty drugi.

Nie podobało mi się to, ale przytakiwałam. Przynajmniej wiedziałam, co się dzieje. Nie poprawiało mi to nastroju, ale to, co było mętne, stawało się klarowniejsze.

- Carmen postawiła cię pod ścianą.
- Z nożem na gardle.

Parsknął śmiechem wyrażającym ogrom nieszczęścia, pokręcił głową i zmarszczył brwi.

- A jeśli wrócę... - powiedział - ..koniec z alimentami... dach nad głową.

- To załatwia wszystko.

- Wpadam z deszczu pod rynnę. Ale w tej sytuacji nie mam wielkiego wyboru, sama widzisz.

Wziął głęboki oddech i powoli wypuścił z siebie frustrację wraz z cichym i słabym strumieniem powietrza.

W mroku rozbrzmiewało wycie syren dobiegające od strony Crenshaw. Helikoptery krążyły nad jakąś odległą dzielnicą. Nieopodal przejeżdżały samochody, a w niektórych muzyka grała tak głośno, że wibracje przenikały moje ciało.

- Dlaczego mi nie powiedziałeś, że straciłeś pracę? - spytałam.

- A ty byś tak zrobiła?

- Mogłabym spróbować jakoś ci pomóc.

- Jak? - zaśmiał się cicho.

- Tak jak mówiłam. Mogłabym ci pożyczyć trochę pieniędzy.

- Nie jestem dobry w proszeniu o pomoc. Nie od kobiet.

- Przez twoje męskie ego będziesz sypiał na ulicach.

- A jak miałbym ci to zwrócić?

- Zapytałabym Viviane, czy mógłbyś tam nocować przez jakiś czas.

- Nie mógłbym tam zabierać mojej córki, wiesz o tym. Carmen dostałaby apopleksji.

- Mógłbyś coś wymyślić.

- Sama ledwie masz dach nad głową. Zresztą to nie jest twój problem. Nie chcę, żeby był. Wszelkie rozgrywki między mną a Carmen kończyłyby się u ciebie.

- No cóż, część z nich już wpadła mi przez okno.

- Ona tego nie zrobiła. Mówię poważnie.

- Węc masz zamiar zerwać ze mną dla mojego dobra?

- Wiesz, jak się czuję. Próbuję i próbuję... Jestem przegrany, Billie.

- Ciężki okres nie świadczy jeszcze o tym, że ktoś jest przegrany.

- Tak czy inaczej, zasługujesz na coś lepszego. Mój dramat stał się twoim dramatem. Nie chcę wciągać cię w to bagno. Kocham cię na tyle, by dać ci wolność, abyś była szczęśliwa. Kocham cię na tyle, że chcę, abyś miała coś lepszego niż to, co ja mam do zaoferowania, czyli niewiele - westchnął ciężko. - Muszę sobie nalać kolejnego pieprzonego drinka. - Nie. Nie musisz. - Chwyciłam go za ramię i zatrzymałam na miejscu. - A jak ci idzie szukanie pracy?

- Idzie. Mam kolejną debilną rozmowę w poniedziałek. Praca fizyczna. Mam dwa fakultety i zniżyłem się do szukania pracy fizycznej. Jestem za stary na to gówno. Nie mogę konkurować z chłopakami młodszymi o połowę. Tak, muszę włożyć ten niewolniczy garnitur i szukać innej pracy na innej plantacji. Można oszaleć, wiesz? Czterdziestka na karku, bez pracy i z dzieckiem. Podczas trzech ostatnich rozmów w sprawie pracy dowiedziałem się, że mam za wysokie kwalifikacje. I wszyscy ci ludzie, którzy ze mną wtedy rozmawiali, byli co najmniej o dziesięć lat młodszy i nie tak wykształceni jak ja. Nigdy nie spodziewałem się usłyszeć, że jestem za bystry, żeby dostać cholerną pracę. Za wysokie kwalifikacje. Nie można być bezrobotnym ze zbyt wysokimi kwalifikacjami. To jest jakieś popierdalone. Może powinienem był rzucić studia i zostać fryzjerem. Zrobić kurs projektowania ogrodów. Zdobyć jakiś fach, z którym mógłbym się spakować i ruszyć w świat. Mógłbym strzyc włosy w Brazylii albo w Amsterdamie. Za wysokie kwalifikacje. Ten system trzyma mnie

za jaja. Muszę szukać jakiegokolwiek zajęcia, zamiast móc robić to, co naprawdę chcę. To dobijające. Właśnie to podziwiam w tobie, Billie. Twoją wolność. Możesz robić, co chcesz. Mówiłem ci to kiedyś?

- Jesteś pijany. A tu jest zimno. Wejdźmy do środka.

- Kiedy ma się urodzić nasze dziecko?

Stałem jak wryta, a po plecach przeszedł mi dreszcz. Wszystkie przykrości, jakie usłyszałam od niego w Starbucksie, wróciły. Każde słowo.

- Nie graj na moich emocjach, Keith.

- Wiesz, czy to chłopiec, czy dziewczynka?

- A czy to ważne?

- Mówiłem ci, że mnie to zaskoczyło. Myślałem o tym. Byłoby świetnie, gdybym miał syna. Nie córkę. Nie chcę kolejnej kobiety w moim życiu. Kobiety wysysają energię. Chcę mieć syna.

- Skąd ci się to wszystko bierze?

- Jakkolwiek chcesz postąpić, jestem z tobą. Niewiele, ale zrobię, co się da.

- Przecież wracasz do Carmen.

- Jestem skończony. Muszę gdzieś mieszkać. A jeżeli tam wrócę, jak ci mówiłem, alimenty, nakazy sądowe... To jest jakaś przestrzeń, gdzie mogę znaleźć wytchnienie, uspokoić myśli. Moje sprawy się pokomplikowały. Muszę wszystko uporządkować. - Zakołysał się i wziął głęboki oddech. - Moglibyśmy wciąż się widywać, jeśli ci to odpowiada.

- Będiesz ją posuwał i sypiał ze mną.

- Chciałbym znaleźć sposób, by codziennie się z tobą kochać. Nawet nie myśl, że to mogłoby się skończyć.

- Jak długo miałyby to trwać?

- Aż Destiny skończy osiemnaście lat. Będę miał spokój od sądu, przynajmniej pod tym względem.

- A co ja mam robić przez te dwa lata? Samotnie donosić to dziecko, żebyś ty mógł udawać przed sądem? Urodzić je i siedzieć w domu, podczas gdy ty będziesz przytulał się do Carmen? Żyć w celibacie, kiedy ona będzie ci obciążać przed snem? Widywać się z tobą ukradkiem? Jak sobie to wyobrażasz w praktyce?

- Powiedz mi, jakie jest inne rozwiązanie, Billie.

- Nie wiem, co ci powiedzieć, Keith - potrząsnęłam głową.

- A ja nie wiem, co robić. Dotknął mojej dłoni. Nie odtrąciłam go. Nie wzięłam go za rękę, ale też nie odtrąciłam.

Podobnie jak Keith zastanawiałam się, co dalej. Zastępstwa w szkole na pół etatu, praca za barem na pół etatu. Był zimny sobotni poranek, siedziałam na schodach z cegłą po jednej stronie i załadowanym rewolwerem po drugiej, a moje hormony buzowały. Byłam w ciąży z bezrobotnym żonatym facetem, który prawie nie miał dachu nad głową.

Pragnęłam tylko kogoś bystrego i wesołego. Kogoś atrakcyjnego. Oczu, które uśmiechałyby się na mój widok. I delikatnych ust, które by mnie witały. Kogoś, kto cudownie by przytulał. Pocałunków jak miód. Kogoś twardo stąpającego po ziemi.

Nie uważam, abym chciała czegoś nadzwyczajnego. Wiedziałam, że szczęście nie zawsze oznacza radość. Nie zawsze jest łatwo. Ale jeśli uda się znaleźć kogoś, przed kim można się otworzyć, warto się starać. Trudno spotkać osobę, która zaakceptuje mnie taką, jaka jestem, ze wszystkimi moimi wadami i kompleksami. Kogoś, kto nie będzie ukrywał przede mną swoich wad i kompleksów.

Keith był dla mnie tym wszystkim.

Chwycałam jego dłoń.

Wtedy usłyszałam płaczące w oddali dziecko. To dziecko płakało i płakało, i płakało.

Słyszałam głos tej pozbawionej snu kobiety, która krzyczała na dziecko, błagając je, aby się zamknęło. Odchodziła od zmysłów.

Wzywała Boga i Jezusa, prosząc o spokój. Dla siebie i dla dziecka. A dziecko wciąż płakało i płakało, i płakało.

Ten spowodowany kolką płacz przywołał mnie do rzeczywistości i zamienił moje serce w kamień. Puściłam dłoń Keitha.

- Nie mogę uwierzyć, że właśnie mi zaproponowałeś, żebym została twoją kurewką na boku - powiedziałam.

- Nie chcę, żebyś była moją kurewką.

- A więc Carmen nią będzie? Która z nas otrzyma ten tytuł?

- Musisz zrozumieć, że to nie jest dla mnie łatwe.

- Nie mówię, że to jest łatwe.

- Moja córka dorasta. Co noc jestem z dala od niej. Powinienem z nią być, kiedy idzie spać i kiedy wstaje rano. Każdej nocy, kiedy jej nie widzę, część mnie umiera.

- Dlaczego związałeś się ze mną?

- O co ci chodzi?

- Miedzy tobą a Carmen było tak zawsze. Dlaczego wciągnąłeś mnie w swoje bagno?

- Mówiłem ci, jaka jest moja sytuacja, kiedy się spotkaliśmy.

- Mówiłeś? Naprawdę mówiłeś?

- Miałaś wybór.

- Gdybyś powiedział: „Szukam jakiejś dupci na parę miesięcy, zanim wrócę do żony”, wtedy tak, miałabym wybór. Ale ty serwowałeś mi miliony tekstów o tym, jak nie możesz z nią wytrzymać, jak jej nienawidzisz i jak bardzo mnie kochasz.

- Bo cię kocham. Tyle że życie nie jest takie proste. Odkąd tylko cię poznałem, nigdy nie przestałem cię pragnąć. Nigdy nie uświadamiamy sobie, jak daleko jesteśmy od czegoś, co kochamy, kiedy stoimy tuż obok.

- Przestań, Keith. Nie mam zamiaru wysłuchiwać takich nadętych frazesów.

- Muszę się jeszcze napić - westchnął ciężko.

- Nie rozumiem. Pomóż mi to zrozumieć. Milczał, kiwając głową.

- Słucham - powiedziałam.

- Billie, nie będę cię okłamywał. Bycie z tobą było samolubne, pomagało mi ukoić cierpienie i depresję, ale ty, choćbyś była nie wiem jak cudowna, nie potrafisz skleić tego, co we mnie pękło. Muszę być z Destiny. A to oznacza, że przez co najmniej dwa lata jestem skazany na układy z moją byłą.

- Będzie tańsza w utrzymaniu, prawda?

Z oddali wciąż dobiegał płacz dziecka. Matka krzyczała. W jej głosie było tyle nienawiści.

Keith usłyszał ją i powiódł oczami w tamtym kierunku. Potrząsał głową raz za razem.

- Znienawidzisz mnie - powiedział.
- Dlaczego tak mówisz?
- Bo twoje oczekiwania doprowadzą cię do rozczarowań.
- Moje oczekiwania?
- Rozczarowania są skutkiem oczekiwań. Nie ma oczekiwań, nie ma zawodu.
- Tak na to patrzysz?
- Obudzisz się pewnego ranka załamana i wściekła. Zobaczysz, że po uszy tkwisz w moim bagnie i w jego następstwach, które będą naszym wspólnym dziełem. I wtedy wrócisz myślami do tej chwili, wtedy przypomnisz sobie, jak ci mówiłem, że wartość mojego życia spada. I uświadomisz sobie wtedy, że powinnaś była uciekać, gdzie pieprz rośnie.
- Nie mów tak. Przestań. Zły okres w życiu nie czyni cię przegranym. Gdyby tak było, dziewięćdziesiąt procent tego kraju składałoby się z przegranych.
- Będziesz pluć sobie w brodę. Zacznesz dostawać mdłości i nienawidzić mnie. Zaczną ci puchnąć stopy i wtedy popatrzysz na swój brzuch jak na życie, które stworzyliśmy. Poczujesz w sobie kopnięcia, które przywołają cię do rzeczywistości i rozwieją wszystkie romantyczne wyobrażenia. Wtedy poczujesz, jaka jesteś uwiązana.
- Cholera, Keith. Chyba powinnam była zażyć prozac, zanim tu przyjechałam.
- Ale tak właśnie się dzieje. Nasłuchiwaaliśmy płaczów i krzyków. Kimkolwiek była ta matka, była samotna. Z wyboru czy porzucona, ale samotna. Samotna.
- A może to ty mnie znienawidzisz, Keith - powiedziałam. - Może to ty będziesz żałował, że mnie spotkałeś. Może zobaczysz mnie całą opuchniętą i poczujesz do mnie odrazę. Spójrz prawdzie w oczy. Prawie odchowaleś Destiny. Może kiedy zobaczysz mnie z zupełnie nowym dzieckiem, nie poczujesz nic poza nienawiścią. Keith, ja nie próbuję cię usidlić.
- Nie można usidlić kogoś, kto już jest w klatce - wydał z siebie zduszony śmiech.

- Nie zaczynaj biadolić, Keith. Uniósł dłonie w geście kapitulacji.
- Znów zbłądziłem.
- Nienawidzę siebie za to, że cię kocham, Keith - powiedziałam. Mówiąc to, czułam się jak smarkula, ale słowa wypływały ze mnie same.

- Kochasz mnie na tyle, by żyć ze mną w tej klitce? Ja, ty i dziecko w jednym zwykłym łóżku, a dookoła slamsy. Zniosłabyś to?

- Nie mów tak, Keith. Nie mów tak, jeśli w to nie wierzysz.

- Muszę się jeszcze napić.

- Wystarczy już alkoholu.

Nagle płacz ustał. Zamilkł jak głos telewizora odłączonego od prądu. Wrzaski też się skończyły. Nastąpiła cisza.

- Mam teraz tyle stresów - powiedział Keith. - Zbyt wiele. Bywają dni, kiedy nienawidzę się budzić. Wiesz, jak to jest? To... to... to jest takie przytłaczające. Tak inne od mojego wyobrażenia o życiu.

- Taa. Pewnie. A tak wygląda życie, które wymarzyłam sobie w moim pamiętniku jako nastolatka.

- Posłuchaj, kocham moją córkę. Zrobię wszystko, żeby jej było dobrze.

- Jesteś jej ojcem. Taka twoja rola.

- Nie mogę sobie wybaczyć, że z nią nie jestem. Codziennie mnie to prześladowuje.

- Węc będziesz sypiał z Carmen, żeby twojej córce było lepiej.

- Będę sypiał na sofie.

- Bzdura.

- Jesteś dobrą partią.

- Dlaczego tak uważasz? Zakołysał się i zatarł dłonie.

- Nie stroisz się przez pół dnia. Nie paplasz cały czas o niczym. Nigdy nie zdarzyło ci się opowiadać mi przez godzinę, jaki miałas zły dzień. Zawsze pozytywnie nastawiona do świata. Zawsze uśmiechnięta. Nie potrzebujesz środków antydepresyjnych. Nie masz kompleksów na punkcie swojego ojca. Wciąż jesteś szczęśliwa. Nie jesteś wampirem emocjonalnym. I nie musisz chodzić do terapeuty.

- I co jeszcze?
- Wiesz, jak przenieść mężczyznę z Los Angeles do Fresno.
- I znów ten seks - zaśmiałam się.
- To coś więcej niż seks. Ale ten seks jest wspaniały dzięki temu, co do ciebie czuję. Bo cię kocham.

Prawie cała moja nienawiść stopniała pod żarem jego słów. Prawie cała. Nigdy nie potrafiłam zbyt długo żywić nienawiści.

Przyjechałam tu gotowa kogoś zabić, a wstawiony Keith doprowadził mnie do śmiechu.

Zdjęłam kurtkę, by odsłonić tatuaż, a chłód nocy sprawił, że moje sutki stwardniały.

- Nie mam dużego domu - powiedziałam. - Nie mam nawet przyzwoitej pracy. Wszystko, co mam, to ten motor.

- Billie, jesteś jak mała czarna sukienka przystrojona sznurem pereł.

- Co to znaczy?

- Jesteś ponadczasowa, Billie. Jestem pod wrażeniem, odkąd tylko cię zobaczyłem. Zazdroszczę ci.

Jego szczerość działała na mnie jak zielony kryptonit, powalając mnie na kolana.

Gdyby w tym momencie spróbował mnie pocałować, pozwoliłabym mu. Mój rozum nakazywał mi, abym wróciła do domu i wszystko przemyślała, ale kierowało mną serce. Kołatało jak szalone, pragnąc, by zabrał mnie do swojego mieszkania, rzucił na materac, rozebrał i pokrył moje ciało pocałunkami, by szeptał mi słodkie obietnice, by mnie pieścił. Nie mogłam otrząsnąć się z tego uczucia. Dziwna potrzeba, by kogoś poczuć, straszliwe pragnienie akceptacji, kiedy nic się nie układa.

- Ta spluwa - powiedział. - Przyjechałaś tu, żeby mnie zabić?

-Ją- Tak bardzo chciałabyś przynieść mi jej głowę na tacy?

- Mam to zrobić dla ciebie?

- Nie mogę pozwolić, byś ją zabiła - cmoknął przez zęby i zamyślił się. - Z dwóch powodów nie mogę na to pozwolić.

- Destiny?

- Właśnie.

- A ten drugi powód?

- Zabójstwo z premedytacją. Odjechałaś stąd i wróciłaś z bronią.
- Przemawiasz teraz jak prawnik.
- Bynajmniej. Oglądam *Kryminalne zagadki Las Vegas*. Skazaliby cię na zastrzyk śmierci. Tak jak Tookiego¹⁵. Zabiliby cię z powodu Carmen.
- Wisi mi to - prychnęłam.
- Gdyby stało ci się coś złego... to by mnie zniszczyło.
- Doprawdy? - odpadam po chwili milczenia.
Keith też ucichł na moment wciąż pogrążony w myślach.
- Ale nie mogę pozwolić na to, żebyś zabiła matkę mojego dziecka.
- Wiem.
- Tak samo i ja nie mógłbym jej zabić. Gdyby Destiny była dużo młodsza, zbyt mała, by pamiętać... Ale teraz już na to za późno.
- Myślałeś o tym?
- Każdy żonaty mężczyzna przynajmniej raz myśli o zamordowaniu swojej żony.
- A nieszczęśliwie żonaci mężczyźni? - zapytałam.
- Tysiąc razy dziennie, na tysiąc różnych sposobów, czasem w porządku alfabetycznym - ziewnął. - Myślałem o wszystkim, od arszeniku aż po uduszenie. Doszedłem już do U.
- To dlaczego tego nie zrobisz? - odpowiedziałam, ziewając.
- Bo potrzeba dużo pieniędzy, żeby się wyłgać od morderstwa. A ja jestem splukanym czarnym dupkiem.
Roześmialiśmy się szczerze.
Dotknął mojej dłoni. Tym razem odwzajemniłam uścisk.
Chwilę później dotknął mojego tatuazu. Ja dotknęłam jego.
Keith przysunął się bliżej mnie. Zbyt zmęczona, by się poruszyć, oparłam głowę na jego ramieniu. Objął mnie i poczułam falę ciepła. Zamknęłam oczy. Wyobrażałam sobie, że gnam przez ciemność, wjeżdżając na ten rozjazd w okolicy San Luis Obispo, gdzie autostrada numer jeden oddziela się od międzystanowej 101. Powiała lekka bryza i widziałam oczami duszy, że wiatr omiata mi twarz, kiedy przemyskam wśród nadbrzeżnych równin i skalistych urwisk.

Stanley Tookie Williams - przywódca murzyńskiego gangu z Los Angeles skazany na karę śmierci za wielokrotne morderstwo i stracony w 2005.

Zza rogu wynurzył się samochód i gwałtownie zahamował przed budynkiem.

Nasza chwila spokoju umarła nagłą śmiercią. Ten samochód to był mercedes. Przyjechała Carmen. Wskoczyła z niedbale zaparkowanego samochodu i wbiegła na schody. Keith jęknął, potrząsnął głową i chwycił się za włosy. Carmen biegła, a jej klapki wybijały szaleńczy rytm. Usłyszałam jakieś mamrotanie, przekleństwo wypowiedziane starczym głosem i uniosłam głowę. Byli tam. Prawie w każdym oknie.

Zapyziali sąsiedzi zerkali na nas niczym tajniacy w domu schadzek.

Nie miałam pojęcia, od jak dawna nas podglądali.

Jeden z nich musiał poczłapać do telefonu i zadzwonić do Carmen.

Carmen musiała się dowiedzieć, że tu wróciłam, i właśnie przyjechała, by urządzić kolejną rozpierduchę.

Wściekłość zaczęła buzować płomieniem, tłumiąc całą miłość, jaką w sobie poczułam.

Poderwałam się z miejsca tak szybko, jak umiałam.

Na mój widok Carmen zatrzymała się w biegu.

Zaskoczyłam ją, zanim ona zdołała zaskoczyć mnie.

Miała tak surową minę, że jej twarz przypominała drewniany blat poorany tysiącami bruzd.

Prawie tak groźną jak moja.

Zostałam przez nią upokorzona w Starbucksie. Moje okno zostało wybite. Nieomal zostałam rozjechana.

Miałam ochotę cisnąć w nią tą cegłą i chwycić rewolwer. Stała w świetle i zobaczyłam wzbierające w jej oczach łzy. Keith wstał.

Carmen przemknęła obok mnie, jakbym była niezauważalna, jakby weszła na pole karne i koncentrowała się na jednym, jedynym punkcie, który jest ważniejszy ode mnie.

Minęła mnie, jakbym była jakimś odpadkiem miotanym przez wiatr.

Podbiegła do Keitha i chwyciła go za rękę.

- Destiny zaginęła - powiedziała.

**

Te dwa wymówione przez nią słowa sprawiły, że na jego twarzy pojawiła się rodzicielska troska.

Dwa słowa i Keith wytrzeźwiał. Dwa słowa i na moment zaparfo mu dech.

- Co to znaczy zaginęła?
- Nie ma jej w domu moich rodziców.
- No to gdzie jest?
- Uciekła.

Ich wymiana słów była tak szybka, jakby rozmawiali we własnym, obcym dla innych języku.

Gdzieś w oddali rozległy się syreny jak echo niebezpiecznego świata. Keith stał jak niedźwiedź, jego głos dudnił.

- Uciekła?
- Nie mam pojęcia. Wyszła, tyle wiem, Keith.
- Carmen, dlaczego ona uciekła? Co ty zrobiłaś?
- Dlaczego uważasz, że ja...
- Co jej zrobiłaś, Carmen? Carmen westchnęła ciężko.
- Klóciliśmy się... wiesz, jak to na nią działa.
- Wiem, jak działa na ciebie. - Patrzył jej przenikliwie w twarz. - Uderzyłaś ją?
- Znów mnie znieważyla, Keith. Znieważyla swoją matkę.
- Zaraz, po kolei. - Keith zaklął pod nosem. - Od jak dawna jej nie ma?
- Tego nie wie nikt.
- Jak to nikt nie wie? To co oni tam, do cholery, robią?
- Moi rodzice myśleli, że ona śpi! - krzyknęła Carmen. - Drzwi do jej pokoju były zamknięte od środka.
- Zamknięte od środka?
- Tak. I wszystkie drzwi są wciąż zamknięte na klucz.
- Czy ktoś wchodził przez okno? - Keith przygładził dłonią włosy.
- Cholera. Nie wiem... okno...
- Pomyślałaś o tym? - Keith podniósł głos. - Ze może ktoś wszedł przez okno?
- Nie drzyj się na mnie, Keith.

- Nie pomyślałaś o tym, że ktoś mógł wejść przez to cholerne okno i... i...

- O Boże. O Boże. O Boże.

Z trudem przełknęłam ślinę. Mieszkaliśmy w Los Angeles. Mieście, w którym morderstwa, porwania i zaginięcia dzieci były na porządku dziennym.

Położyłam dłoń na brzuchu, tak jakbym chciała ochronić istotę, którą nosiłam w sobie.

Keith wpadł do mieszkania po koszulę. Włożyłam kurtkę, wzięłam plecak i ruszyłam z powrotem do mojego ducati. Spojrzałam za siebie i zobaczyłam, jak Carmen ociera oczy, coś mamrocze i patrzy na mnie, kręcąc głową. Odwróciła się do mnie plecami.

- I co my teraz zrobimy, Keith? - zawołała.

- Zadzwoń na policję. Natychmiast.

- Dobrze. - Carmen wyjęła swoją komórkę.

- I zacznij dzwonić do jej przyjaciół.

- Dobrze.

- Obudź ich i dowiedz się, czy ktoś cokolwiek wie.

- Dobrze.

- Naciśnij ponowne wybieranie na telefonie w sypialni. Sprawdź, czy nie próbowała się do kogoś dodzwonić.

- Dobrze, dobrze.

W jego głosie słyszałam osiemnaście lat wspólnej historii. Widziałam je w jej reakcjach.

- Zaczynasz charczeć, Carmen.

- Wem, wiem.

- Weź lekarstwo.

- Dobra, dobra.

Carmen nie była tak silną osobą, jaką udawała. To on kierował tym stadłem.

Odeszłam, niemal biegnąc.

Kiedy stałam już przy swoim motorze, Keith i Carmen pojawili się w przejściu między budynkami. Biegli chodnikiem jak mąż i żona, którym właśnie udzielono ślubu, chociaż ich twarze wyrażały przeciwieństwo szczęścia. Keith wziął od niej kluczyki i otworzył jej drzwi, po czym

obiegł auto i usiadł za kierownicą. Otworzył przed nią drzwi. Nie przypominałam sobie, aby robił coś takiego dla mnie. Patrzyłam za jej czterodrzwiowym mercedesem, gdy Keith ostro skręcił w prawo, na Degan Street i pognął w kierunku King Boulevard.

Keith prowadził, podczas gdy Carmen rozmawiała przez telefon.

Ich dziecko zaginęło.

Przeżywali kryzys.

Byli rodziną.

Stałam się niezauważalna.

Siadłam na motor całkowicie przebudzona, a chłodne powietrze owiewało moje myśli.

Światła w oknach sąsiadów gasły jedno po drugim. Cały budynek ogarnął mrok.

Na ulicach panowała cisza.

Żadnych syren.

Ani płaczącego dziecka.

Ani krzyczącej matki.

Ten brak hałasu był upiorny.

Ogłuszająca cisza.

Ta cisza oznaczała, że wszystko jest nie tak.

Dziesięć minut później.

Kiedy skręciłam pod kątem dziewięćdziesięciu stopni i wjechałam na parking przy Jerry's Deli, powitał mnie ryk stalowych rumaków. Dźwięk sportowych maszyn oderwał moje myśli od Keitha i jego żony, od ich rodzinnego dramatu i choć na moment pozwolił mi zapomnieć o moim wzburzeniu. Chciałam zadzwonić do Keitha, zapewnić go, że jestem z nim.

Ale nie mogłam. Oni byli rodziną. A ja byłam co najwyżej jego kochanką.

Kochanką.

Nikim więcej.

To burzyło cały ich porządek. Kochanka.

Na samą myśl o tym słowie czułam się, jakbym pędziła prosto na ceglana ścianę.

Gniazdo szerszeni. Zachciało mi się przygód i wpadłam do gniazda szerszeni.

Było późno i wczesnie zarazem, jakby poza czasem.

Włączyłam się trochę po okolicy, zanim tu przyjechałam. Wdziałam trzy policyjne radiowozy przed jednym z parterowych jednorodzinnych domów na King Boulevard. Przed tym samym domem zauważyłam czterodrzwiowego mercedesa Carmen. Nie wiedziałam, że wychowała się tak blisko miejsca, w którym mieszkał Keith. Ona sama nie miała nawet pojęcia, że też jest dziewczyną z Crenshaw. Wyobrażała sobie, że jej drobnomieszczańskie zachowanie czyni ją kimś z West Side.

Zresztą nieważne.

Znalazłam się na parkingu przy Jerry's Deli.

Zjeżdżali się tu Platinum Ryders. Ruff Ryders. Steel Horses. I niezrzeszeni. Cały plac był pełen motocyklistów. Była tu również załoga Marcel. Na samym przodzie zauważyłam zgrabną sylwetkę jej hondy super hawk. Trzeba przyznać, że malowidła w kolorze indygo na jej motorze robiły oszałamiające wrażenie. Zresztą nieważne. Spodziewałam się, że będzie tu tłoczno. Prócz Denny's większość miejsc w Los Angeles, gdzie można było coś zjeść, zamykano przed północą. Ponieważ po wpół do drugiej barmani nie przyjmowali już zamówień, kiedy w klubach puszczano ostatnią piosenkę, nocne towarzystwo gromadziło się w Marina del Rey i urządzało after-party.

Wtoczyłam się na parking, jadąc za czarnym escalade'em, z którego dobiegał tak silny łomot muzyki, że wibracje przenikały moje ciało niczym elektrowstrząsy. Jego chromowane wykończenia połyskiwały w świetle latarni. Lśniące felgi wirowały jak karuzela w Disneylandzie, a całe auto było odstrzelone, jakby występowało w programie *Pimp My Ride*. W środku migotały cztery ekrany telewizyjne. Młode dziewczęta z przesadzonym makijażem migdały się z obwieszonymi złotem braćmi, którzy podawali sobie skręta, pozując na twardych gangsterów To właśnie Crenshaw. Wszystkie tutejsze zakłady fryzjerskie i sklepy ze starzyzną znałam jak własną kieszeń.

Escalade zatrzymał się, a z wnętrza wypełzło kilku młodych braci i stadko panienek w obcisłych ciuszkach.

- To moja impreza! Baluj z nami!

- To jest coś w rodzaju babskiej bójki...

Wszyscy śpiewali, śmiali się i głośno rozmawiali, a escalade trząsał się w rytm muzyki. Kiedy tylko otworzyły się jego drzwi, zapach alkoholu i gandzi zmieszał się z morską bryzą. Jedna z dziewcząt chwiejnym krokiem oddaliła się od samochodu i zwymiotowała. Jej koleżanki odsunęły się od niej i z minami pełnymi obrzydzenia robiły komentarze na temat problemów z trawieniem alkoholu. Chłopak z kamerą mierzył obiektywem w jej twarz, nagrywając całą scenę.

Jedna z pań popatrzyła w moją stronę. Szczupła młoda dziewczyna o złocistej skórze i ogromnych piersiach. Moją uwagę przykuły jej stopy. Miała zabójcze kozaczki z drogiej kolekcji. Takie, jakie czasem widuje się w filmie *Seks w wielkim mieście*. To było dosyć dziwne. Reszta jej stroju nie była tej samej klasy co buty i torebka.

Zauważyła, że patrzę na jej buty, i uśmiechnęła się.

- Jimmy Choo - powiedziała. Potem podeszła do mnie i zapytała:

- Potrzebujesz czegoś?

- Czegoś, to znaczy...?

- Czegoś znaczy czegoś.

- Nie, dzięki.

- Goldie - zawołał na nią jakiś chłopak.

Odwróciła się i odeszła, niezdarnie stawiając kroki, jakby nosiła całym nowymi butami.

Cała grupa dziewcząt ruszyła w kierunku Jerry's Deli, śpiewając i podtrzymując za rękę najbardziej pijaną z nich.

Dziewczyna o złocistej skórze szła dziwnie, jakby jej kozaczki były źle dopasowane, może o numer za ciasne. Chłopcy zostali, śmiejąc się i wykrzykując za nimi różne wyzwiska.

- Lepiej było tej dupci nie pakować się do mojego wozu.

- Ale laski są odjazd.

- Właśnie, no nie? Ten film będzie gorący. Lepszy od ostatniego.

- Wiesz, Mo, nie wiem, czy to dobrze, że zostawiłeś Pączuszkę w tym motelu.

- Oooh, aach. Ta dupeńka mogłaby ciągnąć i ciągnąć. Prawdziwa dojarka spermy.

Roześmiali się.

- Mo, ona wpadła w istny szał. Co ona wzięła, że zaczęła tak brykać?
- I tak już była walnięta, a ecstazy ma zajebistą fazę.

Bracia zwrócili na mnie uwagę. Zdjęłam kask i wciąż siedząc na motocyklu, zastanawiałam się, czy wejść do sklepu, i rozmyślałam o swoich sprawach, kiedy chłopak z kamerą odwrócił się w moją stronę. Czerwony punkcik połyskiwał na mojej twarzy. Uniosłam kask, by się zasłonić.

- Odwróć ode mnie tę kamerę - krzyknęłam.
- Wyluzuj. Kręcimy dokument...
- Odwróć ode mnie tę cholerną kamerę.

Chłopak opuścił kamerę bez słowa przeprosin. Podciągnął workowate spodnie i skierował rozkołysane kroki w stronę restauracji, filmując wszystko i wszystkich dookoła. Jeden z braci, który został na miejscu, wziął plecak i ruszył wprost na mnie. Spięłam się na widok jego szpaner-skich ruchów.

- Cycuś maszyna. Cholerka, to jest śliczne ducati.
- Powiedz temu chłoptasiowi, żeby trzymał swoją kamerę z daleka ode mnie.

- Nie ma sprawy. Jestem Mo.
- A twój koleś to Larry czy Cudy¹⁶?
- Larry czy Cudy? Masz se dowcip. Skinęłam głową w stronę jego samochodu.

- Puszczaliście ciekawy film.
- Robimy takie dokumentalne porno.
- Dokumentalne porno?
- Tak, oba gatunki w jednym. Coś w rodzaju *Cichodajek*, tylko działamy na Crenshaw Boulevard.

- Crenshaw Boulevard?
- Wykorzystujemy lokalne talenty.
- Te dziewczyny wyglądają na całkiem młode.
- To dorosłe kobiety. Jak ty, kotku.

Przyjrzałam mu się i nie zauważyłam nic atrakcyjnego, zero charyzmy.

- A skąd bierzecie te dorosłe kobiety?
- Co, chciałabyś spróbować?

Moe, Larry i Curly to imiona komików ze sh/nnego trio Three Stooges (por. przyp. 2).

- Tylko pytam, skąd macie te dziewczyny?
- Poznajemy je w klubach, na ulicy, w sklepach muzycznych, wszędzie.
- Zawsze dziewczyny z tej okolicy?
- Są chętne. Zgramy to i jutro wieczorem będziemy to mieć na DVD.
- Jutro wieczorem?
- Będzie co najmniej dwieście kopii. Może więcej. Lepiej już teraz zamów sobie jedną.
- Szybko działacie.
- Mogę ci rano dać próbki filmów, gdybyś chciała je sprawdzić. Masz moją wizytówkę.
- Nie chcę twojej wizytówki.
- A, skoro tak, to może podasz mi parę cyferek, na które ja mogę dzwonić?
- Ile masz lat?
- Dwadzieścia jeden - powiedział. - A ty?
- Dużo więcej.
- No co, możesz mieć dwadzieścia pięć czy jakoś tak.
- Dodaj do tego prawie dziesięć.
- Cholera. Nie zalewasz? Nie przejmuj się. Wiek tak naprawdę nie ma znaczenia.
- Posłuchaj, bracie. Póki jeszcze jesteś młody, wykorzystaj twórczo swój talent.
- Jestem twórczy. - Kiwnął w stronę swojego escalade'a.
- W handlowaniu piracką muzyką i kręceniu pornoli?
- Jak powiedział Jay-Z, nie jestem biznesmenem, jestem chodzącym biznesem.
- Nieważne. Słuchaj, bracie, kopiowanie płyt i wykorzystywanie kobiet nie jest twórcze.

Oddalił się, kręcąc głową, a zapach trawy i alkoholu z każdym jego krokiem stawał się coraz słabszy.

Słyszałam, jak coś mruczy pod nosem, kończąc cały akapit wulgaryzmów słowem „suka”.

Przycisnęłam kask do piersi i opadłam na motocykl. Miałam tak silny ból głowy, jakby zaraz miało mi rozsadzić czaszkę. Wyszła ze mnie hipokrytka. Trzydziestoczteroletni obibok udzielający innym rad.

Komuś, kto wozi się escalade'em, podczas gdy ja siedziałam na motorze, na który ledwie mogłam sobie pozwolić. Tak, to było zabawne.

Opadam kask na lusterku i zsunęłam z ramion szelki plecaka. Ten dodatkowy ciężar przypominał mi o przykrych rzeczach, które się wydarzyły, od kiedy zaszło słońce.

Jeszcze niedawno byłam gotowa kogoś zamordować. Siedziałabym teraz na tylnym siedzeniu policyjnego samochodu, ze łzami wściekłości w oczach, łapiąc ostatnie chwile wolności. Sięgnęłam do plecaka po broń, aby przynajmniej wyjąć naboje i je wyrzucić. Tak, nie mogłabym już popełnić żadnego głupiego, niewybaczalnego błędu.

Włożyłam rękę do środka i poczułam cegłę.

Poza nią nie było nic więcej.

Nie było tam rewolweru. Moje serce zaczęło bić szybciej. Zeskoczyłam z motoru i jeszcze raz przeszukałam plecak. Nic.

Odchodziłam od zmysłów. Miałam nadzieję, że nie wypadł w czasie jazdy. Ale przecież plecak był szczelnie zamknięty na suwak. Chwila zastanowienia. Keith go zabrał.

Nie przypominałam sobie, żebym pakowała rewolwer z powrotem. Ale nie mogłam też sobie przypomnieć, czy Keith zaniósł go do mieszkania, czy zostawił na schodach przed drzwiami. Nie pamiętałam, czy tam leżał, kiedy odchodziłam. Czy wziął go Keith.

Zupełnie nie miałam na to ochoty, ale wyciągnęłam komórkę i zadzwoniłam do niego. Nie odbierał. Nagrałam wiadomość. Najpierw wyraziłam nadzieję, że z jego córką wszystko w porządku, i zapewniłam, że może dzwonić, jeśli czegoś potrzebuje, a potem poprosiłam, aby dał mi znać, czy zostawił mój rewolwer w mieszkaniu.

Moja komórka zadzwoniła. Nie Keith. Viviane. Myślałam, że wciąż leży rozpostarta na łóżku i wydaje z siebie jęki rozkoszy. Odebrałam i spytałam, o co chodzi. Dzwoniła ze szpitala.

Zaskoczyło mnie to. Od razu przemknęło mi przez myśl, że trafiła ją kolejna cegła, która wleciała przez okno.

Ktoś został ranny, ale to nie była ona.

- To LaQuiesha - powiedziała. - Ktoś pobił Q.

Tak nazywała swoją młodszą siostrę przyrodną. Miały wspólną matkę, a ojcem Q był Afroamerykanin. Mieszkała z rodzicami na rogu Crenshaw i Century, jakieś piętnaście minut drogi od nas.

Jakaś dziewczyna napadła ją i pobiła na Crenshaw.

- Złamała jej nos - powiedziała Viviane.
- Co? Złamała jej nos?
- Tak. Ma pokiereszowaną twarz. Podbite oczy. Przynajmniej trzy zęby złamane albo wybite.
- Dobry Boże!
- To naprawdę poważne.
- Jak ona się czuje?
- Wciąż płacze. Jest załamana, bo ma rozwalony nos i nie będzie mogła wystąpić w jakimś teledysku. Boi się, że straci przez to szansę na znalezienie się w *America's Next Top Model*. Ma w poniedziałek przesłuchania do dwóch filmów i teraz wszystko przepadło.
- Co jej się stało?
- Będzie musiała poddać się operacji plastycznej.
- Mówisz poważnie?
- Cała ta krew i opuchlizna. Z trudem ją rozpoznałam.
- Co, do cholery, się stało?
- Mówi, że była na rogu Crenshaw i Stocker, kiedy...
- Co ona tam robiła?
- Kto to wie? Mówi, że siedziała na ławce i jakaś stuknięta dziewczyna napadła ją bez powodu.
- Została obrabowana?
- Przez czarną dziewczynę. Mówi, że była młodsza. Uderzyła ją czymś.
- Co? Te smarkule robią się tak brutalne jak tutejsi chłopcy.
- Ona w kółko powtarza, że czarne dziewczęta jej nienawidzą. Wiesz, jak zawsze się skarżyła. Ma tak niską samoocenę, że to mnie dobija. Teraz płacze nad tym, jak one jej nienawidzą. Ma trochę wyrwanych włosów i płacze, jak bardzo jej tych włosów zazdroszczą. Jak nie może znieść, że jest czarną i Azjatką, bo przez to wciąż jest wystawiana na próby. To mnie kosztuje tyle nerwów, że nie masz pojęcia.

- Posłuchaj. Jestem teraz w Marina del Rey. Przed Jerry's Deli. Chcesz, żebym do ciebie przyjechała?

- Spokojnie. Moja matka bez przerwy nawija po koreańsku i doprowadza mnie tym do szału. Nie tym, że mówi po koreańsku, ale tym, jak się zachowuje. A ojciec Q też nie lepszy. Jak typowy dupek z getta. Chciałam tylko wiedzieć, co u ciebie.

Porozmawialiśmy jeszcze chwilę.

Powiedziałam jej, że córka Keitha zaginęła. I że znów spotkałam Carmen.

- Cholera. Córka Keitha uciekła? - powiedziała Viviane.

- Nie mam pojęcia. Carmen przygnała tam z piskiem opon i on pojechał z nią. Tyle wiem.

- Cholera.

- Jeszcze jedno. Ktoś w białej terenówce próbował mnie rozjechać.

- Co?

Opowiedziałam jej, co się wydarzyło. Ze wróciłam do domu i wzięłam broń.

- Jakaś terenówka stała przed naszym domem - przypomniała sobie. Z przerażenia zamariam.

- Kiedy?

- Jakaś godzinę temu. Zapaliłam światło na ganku i wtedy odjechała w pośpiechu.

Spojrzałam w niebo, szukając księżycy.

- To jakaś szalona noc - stwierdziłam.

- Uważaj na siebie Billie. Najpierw ta scysja w Starbucksie. Potem ta cegła. I masz przy sobie broń.

- Wiem.

- Za mierzenie do kogoś jest dziesięć lat. A jak go postrzelisz, dostaniesz dwadzieścia.

Milczenie.

Zadzwoiła do mnie, aby powiedzieć mi o Q, ale był jeszcze jakiś inny powód.

Znałam ją. Wyczuwałam jej niepokój.

- Wiesz, że cię kocham, prawda? - przerwała ciszę. - Jesteś moją najlepszą przyjaciółką.

- Wiem.
- Mimo że jesteś Japonką.
- Daj spokój.
- Żartowałam. Ale tak naprawdę jesteś moją jedyną przyjaciółką.
- Wiem.
- Jedyną, która mnie rozumie. Jedyną czarną kobietą, która naprawdę mnie lubi.
- Przestań gadać jak paranoiczka. Musi być przynajmniej jeszcze jedna osoba, która cię lubi.
- Zaśmiała się lekko.
- Moje uczucia zostały zranione. Powstrzymuję się teraz od płaczu, Billie.
- Ja też nie chcę płakać. Powiedz to, co chcesz mi powiedzieć, Viviane,
- Ty dupo wyprodukowana w Japonii.
- Ten dowcip jest już stary, Viviane. Pora zamienić go na coś świeżego.
- Billie... chciałam zareagować w ten sposób, kiedy powiedziałaś mi, że jesteś w ciąży.
- Nie ma sprawy.
- To wybite okno... potem mi to powiedziałaś... ta policja... to wszystko mnie zaskoczyło. Chodzi mi o to, że stałam tam z tobą na tarasie i paplałam bez sensu... dlaczego mi nie powiedziałaś? Nie ufasz mi?
- Ufam ci, Viviane.
- To dlaczego mi nie powiedziałaś? Pewnie dlatego, że zareagowałam tak, jak zareagowałam.
- Powinnaś była zobaczyć, jak zareagował Keith. - Wydałam zduszony śmiech.
- Naprawdę. To boli. Ja mówię ci o wszystkich swoich problemach.
- Przepraszam. Po prostu nie byłam gotowa, żeby o tym mówić. Najpierw chciałam się zastanowić, co mam robić.
- Nie musisz się wyprowadzać, wiesz o tym.
- Viviane...
- Mówię poważnie. Nie... nie... nie podejmuj żadnych pochopnych decyzji, dobrze? Milczałam. Miałam poczucie winy.
- Zastanowię się, co zrobię.

- Billie...

- Później o tym porozmawiamy.

Nie chciałam już tego roztrząsać. Pożegnałam się z nią i poprosiłam, aby informowała mnie na bieżąco o stanie Q.

Po rozmowie z Viviane nie wiedziałam, co robić. Zamierzałam zostać sama, ale jednocześnie nie chciałam być zdana tylko na siebie. Miałam mętlik w głowie. Wtedy moją uwagę przyciągnął ryk stalowego ruma-ka. Jeszcze jeden motocyklista wjeżdżał na parking. Obejrzałam się, bo jechał na czerwonym ducati 749 testastretta. Miał na sobie kurtkę, kask i rękawice, wszystko markowe i do kompletu. Ekskluzywna kolekcja. Ducati to motocyklowa linia marki Gucci. W samą skórę musiał włądować parę tysięcy. Toczył się powoli, jakby bał się wrzucić drugi bieg, jakby zbyt szybka jazda napawała go strachem. Jechał trochę niezdarnie, nie dodając wystarczająco dużo gazu, i posuwał się zrywami, jakby za chwilę miał mu zgasnąć silnik. Przy wjeździe omal nie przewrócił swojej maszyny. Pozdrowiłam nowicjusza, unosząc kciuki. Zmieszał się. Włączył światła mijania, a potem długie, zanim znalazł klakson, żeby zatrąbić w odpowiedzi. Okrążył parking, jadąc głównie na pierwszym biegu, aż wreszcie zatrzymał się obok mnie. Zgasił silnik i ściągnął kask.

Patrzyliśmy na siebie.

Uśmiechnął się.

Zmarszczyłam brwi.

- Billie - odezwał się.

Miał egzotyczną urodę. Kakaowobrazowa skóra, piękne połączenie Latynosa i Afroamerykanina. Szczupły mężczyzna o krótkich kręconych włosach. Prototyp wielorasowej przyszłości Ameryki. Niemożliwe, żeby taki miał brzydkie dzieci.

- Raheem - wyszeptałam jego imię.

- Wszystko w porządku?

- A bo co?

Patrzyliśmy na siebie, a nocne cienie ustępowały z naszych twarzy.

- Próbujesz nauczyć się jeździć na maszynie wartej czternaście tysięcy? - zapytałam.

- Nikt nie ma ochoty mnie uczyć. Sama wiesz - wzruszył ramionami.
- Wkurza mnie to.
- Co takiego robię?
- Tacy jak ty trafiają do ziemi w ciągu sześciu miesięcy, a potem ustawodawcy szykanują poważnych motocyklistów. - Aż posiniałam ze złości.
- Zrób chociaż podstawowy kurs, zanim skończysz jako dawca organów.
- Mówiłem ci, że ten kurs nie pasuje do mojego rozkładu zajęć. Pomyślałem, że przyjadę tutaj. Słyszałem, że paru motocyklistów kręci się tu po godzinach. Postanowiłem wejść w to towarzystwo i poznać kogoś, kto dałby mi kilka lekcji.
- Zacisnęłam usta i pokręciłam głową.
- *Kobieta-Kot czy Matrix Rewolucje*?"
- Ze co?
- Po którym filmie splukałeś się na ducati i na tę skórę? Roześmiał się. Ja też zaczęłam się śmiać, ale z niego, a nie z nim. Zaczynać naukę od ducati 749 to jak szkolić młodych kierowców na pieprzonym lamborghini. Chłopcy i ich zabawki. Mężczyźni i ich kryzys wieku średniego.
- Ile razy zaliczyłeś glebę?
- Glebę?
- Przewróciłeś się. Jedną stronę masz już całą w szlifach.
- Szlifach?
- Gdzie wywróciłeś motor?
- Na podjeździe. Zdarzyło mi się już kilka razy.
- Kiedy?
- Z godzinę po tym, jak go kupiłem. Pierwszego dnia rozwalilem lusterko. Wymieniałem je już dwukrotnie.
- Na buzerach też masz pełno szlifów. Kup sobie pługi.
- Szlify? Buzery? Pługi? Co to wszystko jest?
- Tydzień i wążasz kwiatki od spodu. Musisz trzymać fason, żeby dobrze wyglądać w trumnie.
- Fason? A gdzie ten motor ma wbudowany fason? Roześmiałam się.
- Ten motor jest ostry jak cholera. Myślisz, że coś jest z nim nie tak?
- zapytał.

- Jest w porządku. Siedzisz na wyścigowej maszynie. Stworzonej do szybkiej jazdy, a nie po to, żeby turlać się w korkach.

Zrobił minę, jakby żałował, że nikt mu tego nie powiedział, zanim wypisał czek.

- Jesteś głodna? - zapytał.

Spojrzałam na niebo, gdzie ciemność miała wkrótce przegrać ze wschodzącym słońcem, i poczułam się, jakbym nie miała dokąd pójść ani do kogo się odezwać. Potem popatrzyłam na jego piękną twarz i skinęłam potakująco.

Ogarniał mnie spokój, którego od kilku godzin tak bardzo brakowało w moim życiu.

Nie chciałam, aby ten spokój mnie opuścił.

Nie byłam w nastroju do towarzystwa, ale też nie miałam ochoty zostawać sama.

- Tak - powiedziałam. - Jestem głodna.

W drzwiach powitał nas łagodny i kojący dusze głos Inobe. Płynąca z głośników piosenka *Love for All Seasons* mieszała się z rozmowami. Nim zdążyłam się zorientować, wtórowałam jej, nucąc melodię. Porwała mnie ta muzyka, ten wspaniały rytm, odtruwając moją duszę. Stałam przy wejściu, a głos Inobe opadał na mnie niczym deszcz i śpiewałam w jej chórk, jakbym odnalazła swoją drugą naturę. Ta młodsza ode mnie dziewczyna tworzyła coś cudownego, a jej druga płyta była ryzykiem, które powinnam była podjąć dziesięć lat temu.

- Twój głos... no, no - skomentował Raheem.

Przestałam śpiewać, kiedy zobaczyłam ciężarną siostrę, tuż przed rozwiązaniem, która właśnie wchodziła, trzymając pod rękę swojego chłopaka.

Odwróciłam się plecami do tej szczęśliwej pary i stanęłam przodem do Raheema. On ubrany w jaskrawą czerwień, ja w żółć, wyglądaliśmy jak postacie z sequela *Biker Boyz*, w czarnych butach motocyklowych i z kaskami w rękach. Ludzie oglądali się za nami, jakbyśmy byli członkami zbuntowanej bohemy. Wyglądaliśmy na dobraną parę, o czym nie omieszkała poinformować nas pewna starsza pani, która wraz z mężem zmierzała do wyjścia.

Podeszła do nas dziewczyna, którą spotkałam na parkingu.

- Potrzebujesz czegoś? - spytała mnie.
- Już mnie o to pytałaś - odparłam.
- Tak? Kiedy?
- Siostrzo, cokolwiek sprzedajesz, nie jest mi to potrzebne. I powinnaś się tego pozbyć.

Oddaliła się, roztaczając zapach gandzi. Wciąż miała problem z butami, kiedy szła w stronę stolika w tyle sali. Jej towarzystwo zajęło całą tylną ścianę. Dochodziły stamtąd ich rozmowy i śmiechy. Chłopak z plecakiem kręcił się wśród ludzi, usiłując sprzedawać swoje pirackie płyty.

- Doborowe towarzystwo - powiedział Raheem.
- Myślę, że zdziury i alfonsi też potrzebują coś zjeść.

Wnętrze było po remoncie. Wcześniej wisiały tu zdjęcia nieżyjących gwiazd i rekwizyty ze starych filmów. Teraz ściany były pomalowane na czerwono i wyglądały nowocześnie. Ale i tak wciąż mieli największe menu na świecie, które zawierało co najmniej dwa tysiące pozycji.

To dlatego połowa Los Angeles trafiała tutaj po godzinach.

Zanim usiedliśmy przy stoliku, obydwójce zdjęliśmy kurtki. Raheem na przedramieniu miał tatuaże. Nie pasowały do niego. Położyłam plecak na swojej kurtce.

- Chyba wyglądałam koszmarnie w Starbucksie - powiedziałam.
- Zdaje się, że ty i twój facet mieliście jakieś problemy.
- Przepraszam za garnitur. Zwrócę ci za czyszczenie.
- Daj spokój. Mam nadzieję, że z tobą wszystko w porządku.
- Dzięki.

Jego głos był kojący jak jazz o północy. Byłam rozdrażniona, i to poważnie.

Keith był ze swoją żoną. A ja czułam się winna i nie miałam pojęcia dlaczego. Przeprosiłam go i poszłam do toalety, gdzie zaczęłam pisać SMS-a do Keitha, prosząc, by informował mnie, co dzieje się z jego córką. Dodałam, że gdyby potrzebował jakiejś pomocy, czekam na jego telefon. W jednej z kabin siedziała w towarzystwie swoich koleżanek pijana dziewczyna, którą widziałam na parkingu, i pojękując, usiłowała doprowadzić się do porządku. Wyglądała, jakby puściła jeszcze kilka paw. Dziewczyny wyszły, kiedy kończyłam pisać wiadomość. A w mo-

mencie, kiedy ją wysyłałam, drzwi łazienki znów się otworzyły i stanęła w nich Marcel. Marcel, która włóczyła się za mną, śledziła mnie i nękała.

- Gotowa do wyścigu? - zapytała.

- Nie osłabiaj mnie.

- Teraz nie ma ruchu. Moje dziewczyny przyblokują samochody i możemy pojechać od Culver Boulevard do Slauson. Puściutka droga. Zobaczmy, która z nas jest lepsza.

- Marcel, jest późno, jestem zmęczona i nie mam nastroju do twoich bezsensownych pomysłów.

- Masz cykora?

Spojrzałam na nią w milczeniu. Jakbym widziała Carmen. Jedyną kobietę, jaka kiedykolwiek zmierzyła się ze mną, która mi ubliżyła, rzucając w twarz stek oszczerstw.

Zaczęłam się zastanawiać. Niewiele brakowało, a powiedziałabym jej, żeby wskakiwała na swój cholerny motor.

W moim wnętrzu coś wierzgało.

W mojej głowie rozbrzmiewał ten natarczywy dźwięk, zawodzenie dziecka dręczonego przez kolkę.

- Naprawdę starasz się stracić swojego stalowego rumaka - powiedziałam.

- Wygrasz, bierzesz motor. Nagroda jest twoja. Wygram ja, zabieram cię do siebie.

Przeczesałam dłońmi włosy.

- Powinnaś sobie odpuścić.

- Stawiam ponad dziesięć kawałków, a ciebie to nic nie kosztuje.

- Przykro mi, że tak do tego podchodzisz.

- I powinnaś zmienić drużynę. Przynajmniej zobacz, jak to jest. Zona twojego faceta chyba się dzisiaj na ciebie uwzięła. Słyszałam, jak ci obrabiała dupę w łazience. O mało ci nie dokopała.

- Cóż, jeśli słyszałaś, że miała mi dokopać, to źle słyszałaś. Stałam przed lustrem i poprawiałam sobie fryzurę. Marcel wyjęła szminkę i stanęła przy mnie.

- Kim jest brat, z którym przyszedłaś? - zapytała.

- A bo co?

- W Starbucksie też widziałam tego piękniusia. Chyba tutaj postawi ci coś więcej niż kawę.

- O co ci chodzi?

- Nie wiedziałam, że sobie tak pogrywasz.

- Jak pogrywam?

- Billie, Billie. Masz podryw we krwi.

- Dlaczego jesteś taka zainteresowana każdym facetem, z którym się pokazuję? Nie mów mi, że chciałabyś zaciągnąć go do domu.

- Ja jestem w domu, kochanie. Jestem w domu. Chciałabym, żebyś to ty mnie odwiedziła. Całkiem tam u mnie wygodnie.

- Mam swój adres. Dobrze się bawię na Heterosexual Lane 69.

- Też tam kiedyś mieszkałam. Nic poza goryczą i chorobami. Już nie pamiętam, ile razy zaraziłam się grzybicą. Ile razy byłam zdradzona. Wolę nie myśleć o wszystkich tych facetach, którym oddałam całe swoje serce, nie dostając nic w zamian. Chyba że uznamy rzeźączkę za prezent. Tu jest bezpiecznie. Też ryzykujesz złamanym sercem, ale jest bezpiecznie. Zaufaj mi, Billie. Naprawdę powinnaś. Nikt nie zrozumie cię tak jak druga kobieta.

- Przestań proponować mi drugą stronę medalu, Marcel.

- Heterosexual Lane 69 - pokręciła głową i zachichotała.

- Dokładnie tak. To mój stały adres. Więc przestań być nachalna. Nie jestem zainteresowana mieszkaniem po twojej stronie miasta.

- A mogę czasem zajrzeć?

- Pewnie. Ale kiedy pozbędziesz się cycków i wyrośnie ci penis.

Przejechała dłonią po swojej szyi. Ten zmysłowy ruch palców muskających jasną skórę przyprawił mnie o niepokój. Opuściła rękę, opierając ją na biodrze, a potem odgarnęła z twarzy jasnorude włosy. Część odrzuciła do tyłu, a reszta opadła swobodnie na bluzkę opiętą na miseczkach D.

Wydawało mi się, że ją zniechęciłam i że Panna Kochająca Inaczej zostawi mnie w spokoju.

- Mam w plecaku to, czego ci trzeba - powiedziała z uśmiechem. - Można go sobie przypiąć. I nigdy nie opada.

- Jesteś chora.

- No cóż, dziecinko. A co do twojego adresu... O ile mi wiadomo z tego, co usłyszałam w Starbucksie, pojawiła się właścicielka tego skraw-

ka terenu i właśnie dostałaś nakaz eksmisji. Kochanie, mieszkałaś w ślepej uliczce. Ale ja nie pozwolę, byś pozostała bezdomna.

Wpatrywała się we mnie, wodząc językiem po pełnych wargach wykrzywionych w pożądliwym uśmiechu. Trudno zaprzeczyć, była piękną kobietą. Ta pewność siebie, styl i uroda. Idealny łup do zaliczenia. Nie oparłoby się jej wiele heteroseksualnych kobiet. Wąskie oczy. Pomimo ostrych słów jej głos był bardzo miękki, przesycony słodyczą i bardzo kobiecy. Miała wyraziste, hipnotyczne spojrzenie.

- Całowałaś się kiedyś z dziewczyną? - zapytała.

- Zejdź mi z drogi.

- Nie mów, że te miękkie seksowne wargi nigdy nie zaznały pocałunku kobiety.

- Z drogi.

- Jeden pocałunek, Billie. Nikogo tu nie ma prócz nas. Nikt nie musi wiedzieć.

Nie zwracając na nią uwagi, przeczesalam włosy palcami. Marcel nie dawała za wygraną. Stała w miejscu, nie pozwalając mi się ruszyć ani na krok. Byłam tu pierwsza i nie pozwoliłam się jej wypłoszyć, dopóki nie skończyłam robić tego, po co tu przyszłam. Zwykła łazienka stała się scenerią osobliwej walki pozycyjnej. Wzięłam głęboki oddech i uspokoiłam nerwy, aby nie pokazać po sobie, jak bardzo wytrąciła mnie z równowagi. Popatrzyłam na nią prowokująco.

- Naprawdę powinnaś pozwolić, bym cię gdzieś wyciągnęła - szepnęła.

- Wyciągnęła? I co dalej?

- Możemy się wystroić i pojechać we wtorek do Peanuts. Wypić coś, potańczyć, zabawić się.

Mówiła tak poważnie, że nie mogłam powstrzymać śmiechu.

Powiedziałam jej, by zeszła mi z drogi. Nie ruszyła się. Czułam się, jakbym była w klubie z dupkiem, który nie wie, kiedy odpuścić.

Wyminęłam ją, ale zatrzymałam się, bo poczułam, że jej dłoń gładzi mój tyłek.

Odwrociłam się gwałtownie.

- Nigdy więcej nie pozwalaj sobie na takie numery - krzyknęłam.

- Jakie numery?

- Spróbuj, to wytrzepię ci te głupoty z twojej zboczony dupy.

Okręciła się, przybierając zawadiacką pozę.

- Kochanie, możesz ją trzepać, ile tylko zechcesz - roześmiała się. Wybiegłam z łazienki, żałując, że nie mam przy sobie rewolweru. Zaczęłam się zastanawiać, czy nie sięgnąć po cegłę.

Kiedy wracałam do stolika, zaczepiła mnie dziewczyna w drogich butach.

- Potrzebujesz czegoś? - zapytała.

Myślałam, że wybuchnę, ale tylko potrząsnęłam głową i poszłam dalej. Przy naszym stoliku siedział brat z czarnym plecakiem i nagabywał Raheema. Kiedy się zbliżyłam, Raheem właśnie dawał pieniądze chłopakowi, który na mój widok szybko się ulotnił. Na blacie leżały dwie pirackie płyty.

- Co kupiłeś od tego palanta? - spytałam.

- Wspieram młodego brata, który próbuje rozkręcić interes.

- To jest porno. Dziewczyny, które zgarnął z ulicy. Obleśne.

- Ten chłopak od pewnego czasu zaopatruje mnie w pirackie filmy - zaśmiał się Raheem.

- Kpisz sobie? Wozisz się porsche i ducati, a kupujesz od pirata? Daj spokój, człowieku.

- To Moses Jones. Kiedyś był biegaczem w szkolnej reprezentacji Long Beach Poły.

- A teraz biega za panienkami.

- Wem tylko tyle, że w liceum był biegaczem. Startował na sto, dwieście i czterysta metrów.

- Ale chyba nie biegał dość szybko albo miał za niską średnią, żeby zaliczyć cztery lata nauki.

- Spędził rok na Uniwersytecie Południowej Kalifornii.

- Nie zdał czy go wylali?

- Poszedł siedzieć. Handel narkotykami. - Raheem pokręcił głową, jakby ten zmarnowany talent lekkoatletyczny był dla wolnego świata największą stratą. - Zresztą to właśnie od niego dowiedziałem się dużo o motocyklistach, którzy tu bywają.

- I wspierasz to, że wykorzystuje czarne kobiety.

- On ma dojścia. Kupiłem od niego film porno z Eve. I ma Janet Jackson na plaży. Dlaczego robisz taką minę? To jest Janet Jackson. Gdyby Beyoncé kiedyś się rozebrała, uwierz mi, miałbym zaklepaną kopię.

Mężczyźni. Może Marcel miała rację. Może.

Raheem siedział naprzeciwko mnie i jedząc sałatkę, wyznał, że kupił motor, by podczas jazdy czuć wiatr na twarzy. Wszyscy motocykliści tak mówią. Sama wiele razy to powtarzałam. Frazes, że aż boli. Mówił, że chciał pojechać na wybrzeże i zatrzymać się w Lucia Lodge, może spędzić noc w apartamencie dla nowożeńców, nawet gdyby przyjechał sam. Robić stamtąd wypadki i jadać w Carmelu, Monterey i Davenport.

- W lecie już nieźle będę dawał sobie radę.

- Jeżeli wcześniej się nie zabijesz.

Z głośników popłynęła delikatna i spokojna piosenka Joss Stone, mieszając się z gwarem zatłoczonej restauracji. Joss śpiewała o tym, jak myślała, że potrafi się odkochać w ciągu tygodnia albo dwóch, ale nie potrafiła. Prawie wszystkie piosenki, jakie słyszałam, zabierały mnie do miejsc, których nie chciałam odwiedzać. Gdybym usłyszała *The Rain Don't Last*, wybuchnęłabym płaczem.

Rozejrzałam się dokoła.

Marcel siedziała w towarzystwie swojej paczki i wciąż wpatrywała się we mnie, oblizując wargi. Wokół niej i całej jej drużyny kręciło się pełno mężczyzn. Co najmniej trzech koszykarzy ostro do nich zarywało. Jeden z facetów przyniósł im róże i zapłacił za ich zamówienie w nadziei, że któraś umówi się z nim na randkę. Dziewczęta zaczęły się zbierać, wkładać kurtki, chwytając plecaki, kaski i rękawiczki. Dwie z nich wyjęły szminki, inna poprawiła fryzurę. Minęły nas, rozmawiając.

Kiedy przeszły, Raheem wstał i powiedział, że musi wyjść do toalety.

Po drodze zaczęła go Marcel i zaczęła z nim flirtować, a potem wymownie spojrzała na mnie. Uniosła jeden z kwiatów, który ktoś jej przyniósł, i wachając go, podeszła do mnie.

- Widziałaś? Jesteś tak blisko, a ja już mam twojego chłoptasia na widelcu.

- Zegnam cię, Marcel.

- Mam poczekać na ciebie na parkingu?

- Dlaczego nie weźmiesz swojego wibratora i nie zabawisz się sama ze sobą?

- Boże. Podniecasz mnie, kiedy tak mówisz.

Rzuciła różę na moją połowę stolika i odeszła, kołysząc tyłkiem, który kokietował wszystkich adoratorów. Strzepnęłam różę tak mocno, że poleciała na drugi koniec sali. Pokręciłam głową. Choćby nie wiem jak źle się działo, dwa cycki i łechtaczka nigdy nie skłonią mnie, bym zrezygnowała z fiuta. Miewałam napady ciekawości, ale nie byłam zainteresowana zmianą drużyny.

Raheem wrócił.

- Słyszałem, że pracujesz w Tempie Bar - zagadnął.

- Kto ci to powiedział?

- Jacob.

- Czego jeszcze dowiedziałeś się od tego plotkarza?

- Ze jesteś Japonką. «

- Jestem czarna. Urodziłam się w Japonii, ale nie jestem Japonką.

- Czy przez to jesteś czarną Japonką, czy Afrojaponką, czy coś takiego?

- Wiesz co? Żebyś czegoś nie usłyszał.

- Nie miałem zamiaru cię wkurzyć.

- Co jeszcze ci powiedział?

- Ze byłaś z facetem, z którym nie powinnaś się wiązać.

- A więc chcesz mnie oceniać?

- Sam kiedyś byłem z kobietą, z którą nie powinienem się być wiązać.

Tak jak ty. Była mężatką, w trakcie rozwodu, miała dziecko. To było kilka miesięcy temu. Ale rozumiem, przez co przechodzisz.

- Wiesz co... pora zmienić temat.

- Nie ma sprawy - przytaknął. - Zmieniamy temat.

- A kiedy tylko spotkam Jacoba, to mu się dostanie.

- Możemy pogadać o motocyklach? - westchnął. - Bezpieczny temat?

- Może być. Wątpię, żebyś wiele o tym wiedział.

- Którą trasą lubisz jeździć?

Raheem nie liczył się dla mnie. To Keith, niczym pnącze, oplatał cały mój umysł.

- Smoczy ogon - powiedziałam, sącząc oranżadę.

- Smoczy ogon. A gdzie to jest?

- U podnóża Smoky Mountains. Autostrada 129, na południe od granicy stanów Tennessee i Karoliny Północnej. Trzysta osiemnaście zakrętów na odcinku prawie dwudziestu kilometrów.

Na to byłam w stanie odłożyć pieniądze. Wziąć wolne w pracy, kiedy tylko chciałam. Wysłać motor, wskoczyć do samolotu, a potem gnać przed siebie po odludziach.

Chyba już koniec z takimi przygodami. Spojrzałam na zegar. Moje myśli wciąż krążyły wokół kogoś innego.

We mnie z każdą sekundą rosło nowe życie.

- Opowiedz mi o najpiękniejszym miejscu, w którym byłeś - zaproponowałam.

- W kraju czy poza?

- Poza.

- Amsterdam - odpowiedział i pociągnął łyk oranżady.

- Byłam tam przed paru laty.

- Naprawdę?

- Te kafejki... - uśmiechnęłam się.

- Wiem. Poprosiłem o menu i zobaczyłem jakieś... afgańskie... indyjskie... nazwy. Usiłowałem sobie przypomnieć, czy te kraje słyną z kawy... Piłem brazylijską... wietnamską... ale afgańską?

- Ziola, dziecko. Nie kawa.

- Teraz rozumiem, dlaczego wszyscy mieli tam takie rozmarzone uśmiechy.

- Oczywiście. Przy tym, co mają do zaoferowania, Starbucks może się schować.

- W Amsterdamie są też inne przyjemne miejsca - zachichotał.

- Jakie na przykład?

- Takie jak Casa Rosso i Banana Bar. Piękne kobiety z całego świata.

- Aha, dzielnica czerwonych latarni. Nawet nie będę pytać, ile kosztowała cię ta wycieczka.

Roześmiał się i puścił do mnie oko.

- Jacob powiedział, że pracowałaś kiedyś jako stewardesa - powiedział.

- Dlaczego mnie to nie dziwi?

- Mówił, że latałaś po całym świecie.

- Kiepsko płacili, ale brakuje mi tych atrakcji.
- Dlaczego przestałaś latać?
- Czyżby Jacob tego ci nie powiedział?
- Dlaczego? Wygląda na to, że masz duszę wędrowca.
- Jedenasty września. Dlatego przestałam. Kiedy zaczęli szkolić nas w walce z terrorystami na wysokości dziewięciu tysięcy metrów, nie dając przy tym żadnej podwyżki, był to znak, że pora się zwolnić. Gdybym chciała toczyć wojnę, zaciągnęłabym się do armii.
- Jacob mówił, że twoi rodzice służyli w wojsku.
- Jacob już wkrótce będzie miał skopany tyłek.
Na moment zajęliśmy się jedzeniem. Milczenie, które zapanowało między nami, zaczęło mi dokuczać.
- No dobra, panie amatorze pornosów - kiwnęłam głową. - Gdzie jeszcze byłeś?
- Całkiem miło wspominałam Stambuł.
- Nigdy nie myślałam o odwiedzeniu tego miasta. Jaka jest Turcja?
- Wspaniali ludzie. Cudowne miejsca i muzyka. Pyszne jedzenie. Piękne kobiety.
- I znowu o tych kobietach - zaśmiałam się.
- A po co się podróżuje? - odpowiedział ze śmiechem. - Chcesz słuchać dalej?
- Spróbujmy od innej strony. A najgorsze miejsce, w którym byłeś?
- Tajlandia.
- Myślałam, że mężczyźni uwielbiają podróże do Tajlandii. Słyszałam, że cały ten kraj to jeden wielki klub dżentelmena.
- Dla jednych raj, dla innych piekło - westchnął. - Tajlandia. Bangkok. Wdziałem małego chłopca, który trzymał ojca za rękę. Miał jakieś cztery, może pięć lat. Bardzo ładny. Poglaskałem go po głowie i uśmiechnąłem się do niego. I wiesz, co się stało? Jego tatuś podał mi cenę.
- Podał ci... jego cenę?
- Tak, jego cenę. Łamaną angielszczyzną. Byłem zszokowany.
- Dobry Boże. Narajał ci swojego synka?
- Stał chwilę, a kiedy zobaczył, że nie płacę, wzruszył ramionami i poszedł dalej. Nie wiem, jak długo tam tkwiłem, usiłując przetrwać to, co usłyszałem. Potem spojrzałem dookoła. Młode prostytutki. Wszędzie,

na każdej ulicy. I wielcy Europejczycy o czerwonych nosach idący pod rękę z tymi dziewczynkami.

- Ojciec, który jest alfonsiem swojego dziecka - kręciłam głową. - Świat jest naprawdę okrutnym miejscem.

- A niektóre miejsca są jeszcze okrutniejsze dla niektórych ludzi.

A jednak było coś, co go ruszało. Na stole płyty z Eve i Janet, ale miękkie serce dla dzieci.

- To nie *Matrix* zainspirował mnie do kupienia motoru - powiedział. - Tylko coś innego.

- Co to było?

- Jestem trochę zażenowany.

- Nie musisz.

Wyjął portfel, a z niego stronę wyrwaną z jakiegoś magazynu. Rozłożył ją na blacie stolika. Zobaczyłam moje zdjęcie erotyczne, do którego pozowałam na ducati 749 ubrana w żółte stringi i skąpą kurteczkę.

Opadła mi szczęka. Poczułam się naga. Byłam skrępowana tym, że pozowałam do takich zdjęć.

- Skąd to masz?

- Byłam w Atlancie. Mieszka tam paru moich krewnych. Jest tam salon firmowy Ducati, przy Piedmont Road, niedaleko centrum handlowego Buckhead. Obok klubu nocnego i Gold Spa.

- Klub nocny. Gold Spa. Ty i twoje punkty orientacyjne. Cholera.

- No cóż, na tej ulicy nie ma żadnych kościołów. Kluby ze striptizem i sklepy dla dorosłych.

- I ten magazyn znalazłeś w salonie Ducati.

- Mają tam też to zdjęcie w formie dużego plakatu, więc wiesz na ścianie.

- Na ścianie? Też coś. Wdziałeś mnie na ścianie w salonie Ducati w Atlancie?

- Nad kasą. Duży plakat. Wdać go, kiedy się wchodzi głównym wejściem.

- Żartujesz. Mój tyłek... całe zdjęcie...

- Całe.

- Mój tyłek jest...

- Tak.

- Na ścianie w salonie Ducati?
- A nie wiedziałaś o tym?
- Obok klubu nocnego i centrum odnowy biologicznej?
- Nie wiedziałaś? - śmiał się.
- Hmm, nie. - Bawiłam się kosmykiem włosów. - Wystarczyła mi świadomość, że bracia i inni, którzy siedzą w więzieniu, prawdopodobnie używają mojego wizerunku do... pomocy w rozładowywaniu napięcia... ale plakat w salonie Ducati?
- Bracia w więzieniu.
- Siostry w więzieniu też. Uwierz mi, połowa tego towarzystwa siedziała za kratkami.
- Nie mogłem znaleźć tego magazynu, więc sprzedawca pozwolił mi wziąć oryginał. Pochwaliłem mu się, że widziałem, jak jeździsz na swoim ducati wokół Los Angeles. To go ścięło z nóg. Miał na imię Ray. Tak, Ray. Myślę, że coś do ciebie czuł. Ten koleś jeździł z Michaeliem Jordanem, a większe wrażenie zrobiło na nim to, że cię znam, uwierzysz?
- No cóż, może Jordan nie prezentuje się tak dobrze w żółtych strin-gach.
- Wpadam tu czasem coś przekąsić. Pewnych rzeczy nie muszę sobie wyobrażać, wiesz, co mam na myśli?
- Przeżuwałam sałatkę, uśmiechając się i kręcąc lekko głową. Nie mogłam oderwać myśli od spraw, które wciąż mnie prześladowały. Keith. Carmen. To była tortura.
- Nosisz to zdjęcie w kieszeni? Po co? - zapytałam.
- Miałem zamiar poprosić cię o podpis.
- Chcesz mój autograf?
- Jeśli to wypada. Trochę głupio mi prosić. Możesz powiedzieć, że jestem jednym z twoich fanów.
- Masz coś do pisania?
- Pogrzebał w kieszeni i wyciągnął długopis. Robiąc śmieszoną minę, złożyłam podpis na zdjęciu i oddałam mu je.
- Masz rację.
- Z czym?
- Jordan w żółtych stringach. Jego kariera sportowa to złe posunięcie. Żółte stringi, o tak.

Roześmiałam się.

- Nie myśl, że to on zainspirował mnie do kupienia ducati. Albo stringi.

- Zaraz. To z mojego powodu wydałeś kupę kasy na motor, na którym nie potrafisz jeździć?

Przytaknął.

Przełknęłam ślinę. Raheem wyciągnął od Jacoba wszystko na mój temat. Nosił przy sobie moje zdjęcie. Zapytałam go o tatuaże. Powiedział, że robił je w różnych krajach, a pierwszy w swojej ojczyźnie.

- Skąd pochodzisz? - zapytałam.

- Urodziłem się w Tegucigalpie.

- Ameryka Południowa?

- Tak.

- Słyszałam, że jest tam ciężko.

- Tak. Wyjechałem z Hondurasu piętnaście lat temu. Byle dalej od tych wszystkich prostytutek i handlarzy narkotyków.

- Domyślam się, że tam wykorzystywanie kobiet musi być legalne.

- Wele tamtejszych kobiet chce wyjechać do Stanów. Mnie się powiodło, zważywszy na to, skąd jestem. Wychowałem się w otoczeniu prostytutek. Kobiety z mojej rodziny pracowały na ulicy. Szczęściem dla nich było dostać sto lempir od wstrętnego gringo, tak starego, że mógłby być ich dziadkiem.

- Ile to jest sto lempir?

- Jakieś siedem dolarów.

- Nic poza siedmioma dolarami za wpuszczenie do dziurki faceta, który łyka viagrę i nosi pieluchy?

Roześmialiśmy się obydwój.

- Nie słysząc, że jesteś z Ameryki Południowej.

- *Eres muy bonita. Eres casi demansiado bonita.*

- Cholera. Poprawiłeś siostrze nastrój. Ten akcent i w ogóle.

Roześmiał się i wziął głęboki oddech.

- *Huele deliciosa.*

- To ostatnie słowo chyba coś mi mówi.

- Chcesz, żebym przetłumaczył?

- Nie. Nie jestem pewna, czy powinnam wiedzieć, co powiedziałeś.

- To nie było obraźliwe. Powiedziałem, że jesteś... piękna. I że ładnie pachniesz.

Nie zarumieniłam się, ale jego słowa sprawiły, że złagodniałam.

- Czym się zajmujesz? - spytałam.

- Ubezpieczeniami.

- Ubezpieczenia... to jakby korporacyjna parapsychologia, tak?

- Nigdy nie myślałem o tym w ten sposób - roześmiał się. - To raczej szacowanie zysków i ryzyka. Kręgosłup całej gospodarki. Jestem wolnym strzelcem. Współpracuję z kilkoma spółkami z listy Fortune 500.

- A rodzina? Masz jakąś rodzinę w Los Angeles?

- Sześciu braci wciąż mieszka w Hondurasie. Każdy żonaty i z gromadką dzieci. Trzej bracia mieszkają w różnych częściach kraju. Też mają żony i dużo dzieci. Córka starszego brata mieszka tutaj, więc mam bratanicę w Los Angeles. Jest w szkole filmowej. Nie mam dzieci. A ty?

- Jestem jedynaczką.

Na zewnątrz rozległ się warkot zapalanych silników. Marcel i jej towarzyszki musiały zwrócić na siebie uwagę.

- Billie, gdybym cię gdzieś zaprosił...?

- Przecież to zrobiłeś.

- Wiesz, co mam na myśli.

- Raheem, daj sobie z tym spokój.

- Intrygujesz mnie. Ale szanuję twój związek z Keithem. Możemy umówić się tak jak teraz, pogadać, opowiem ci coś o sobie, wystarczy, że będziesz słuchać. I nie musisz mi opowiadać o sobie, wystarczy, że posłuchasz i zobaczysz, jak...

- Raheem, nie chcę się z tobą zapoznawać. Nie jestem tym zainteresowana.

- W porządku - wycofał się.

- I przestań mnie wypytywać. Nie chcę, żebyś za dużo o mnie wiedział. - Nie sądziłem, że odbierzesz to jako... nachalność.

- To nie tak - potrząsnęłam głową. - Trafiłeś na zły moment. Bardzo zły moment.

- To, jak bardzo zły, zależy tylko od ciebie.

Uśmiechnęłam się do niego, ale ten uśmiech był jak betonowa ściana zwieńczona zasiekami z drutu kolczastego.

- Chciałbym móc poznać cię lepiej - powiedział.
- Spotykam się z kimś. Dlaczego tak trudno jest ci to uszanować?
- No cóż, wnioskując z tego, jak sprawy wyglądały w Starbucksie, nawet jeśli to nie moja sprawa, stać cię na więcej.

Zabolało mnie to.

Miałam wrażenie, że cały świat obserwował mnie w Starbucksie.

- Jestem... - powiedziałam.

- Co jesteś?

Nieomal mu to powiedziałam. Nieomal powiedziałam mu, że jestem w ciąży. Wtedy miałam ten nagły przebłysk. Zobaczyłam Keitha i Carmen, zobaczyłam, jak ona do niego przybiega, a na jej twarzy maluje się paniczny strach. Żyje w separacji ze swoim mężem i pragnie jego powrotu nade wszystko. Zobaczyłam tę scenę ponownie, lecz tym razem to ja znalazłam się na miejscu Carmen, a to nasionko było naszym dzieckiem. Z upływem lat zmieniamy się w ludzi, jakimi nigdy nie spodziewaliśmy się stać. Wszystko dzieje się niespodziewanie, nagle, wszystko, co było jasne, zrobiło się mętne, i nie wiedziałam co dalej. Wiedziałam, czego nie chcę, ale nie miałam pojęcia, co robić.

Do rzeczywistości przywołała mnie piosenka MaxweOa *Lifetime*. Ra-heem zaczął wystukiwać takt na stoliku i nucić, a potem jego pomruki zamieniły się w delikatny śpiew. Miał miły głos, wyrazisty i naturalny, który przypominał mi trochę rock & soul w wykonaniu Dariusza Ruckera, głównego wokalisty Hootie & the Blowfish.

Ten brat umiał śpiewać.

Potem zaczął śpiewać po hiszpańsku.

Bogowie potrafią być tacy okrutni.

- Raheem - przerwałam mu - robi się późno, pora już na mnie.

Położyłam pieniądze na stoliku, tyle żeby wystarczyło za moje zamówienie i na napiwek. Ruszyłam w stronę drzwi z opuszczoną głową, ręką przeczesując włosy. Mój umysł i serce przenikał ból. Postąpiłam słusznie. Byłam uczciwa i zadbałam, aby nie wyglądało to jak randka. Nie wprowadziłam nikogo w błąd ani nikogo nie zdradziłam.

Zatrzymałam się dopiero przy motocyklu. Sprawdziłam komórkę. Żadnej wiadomości od Keitha. Raheem szedł za mną.

- Wszystko w porządku? - zapytał. Przytaknęłam.
- Spłacam swoje długi. Pozwól mi odpracować rachunek za pralnię.
- O co ci chodzi?
- Chodzi mi o to, że mogę nie mieć ochoty uczyć cię jeździć, ale czuję respekt do maszyny, której dosiadasz. To nie zabawka. Możesz mieć kasę na takie rozrywki, ale to nie ma znaczenia.
- W porządku.
- Chodzi mi o motor, nie o ciebie. Nie mogę uwierzyć, że dałam ci się zbałamucić.
- Nie próbuję cię bałamucić.
- A dlaczego nosisz w portfelu moje zdjęcie? Mówisz mi, że to z mojego powodu kupiłeś motor za czternaście tysięcy. Nie wiem, czy powinnam zakazać ci tego sądownie, czy skakać z radości.
- Mam to zdjęcie od jakiegoś czasu, ale brakowało mi śmiałości, żeby poprosić cię o podpis. Miałem to zrobić już wcześniej, ale wyglądało na to, że ty i twój przyjaciel... Nie wyglądało to na najlepszy moment.
- Mniejsza o to.
- A kupiłem ten motor, bo... sposób, w jaki jeździsz... no cóż... to wyglądało fajnie.
- Zły powód. Welu ludzi, którzy chcą tak wyglądać, kończy w trumnie.
- I nie zgrywam się. Powiedziałem, że zapłacę ci za każdą lekcję.
- A nie udzielam ci lekcji? Nie chcę twoich pieniędzy, Raheem.
- Dlaczego nie mogę ci zapłacić?
- Bo wymagasz więcej, niż mogę ci dać, do cholery. Nie dałam ci tego jasno do zrozumienia?
- Czegóż takiego żądam?
- Nie zgrywaj się. Nie udawaj. Wzdychając ciężko, dał za wygraną.
- To kiedy zamierzasz pokazać mi, jak się jeździ?
- Teraz.
- Teraz?
- Tak, teraz. Chcę nauczyć cię jeździć. Pokażę ci kilka rzeczy, żeby mieć pewność, że dotrzesz do domu. Potem chcę, żebyś zaparkował ten motor w garażu, na ulicy czy gdziekolwiek i trzymał się z dala od niego,

dopóki nie zaliczysz tego cholernego kursu. Odprowadzę cię do domu, a potem zostawisz mnie w spokoju. Życzę sobie, abyś przestał gapić się na mnie w taki sposób jak teraz. Nie wypytuj już Jacoba o mnie. Przestań za mną węszyć, jakbyś był z FBI.

Raheem postukał się w kaskiem w nogę i potrząsnął głową.

- Jesteś zgryźliwa, wiesz o tym? - powiedział.

- A ty jesteś głupi. Kupujesz cholerną siedemsetczterdziestkędziewiątkę, a nie umiesz nawet okrążyć parkingu.

- Cholera, ale jesteś zgryźliwa.

- Nie masz pojęcia, przez co dzisiaj przesłam.

- Co się stało? - zapytał takim tonem, jakby myślał, że losy świata leżą w moich rękach. - Powiedz mi, co?

Wargi mi drżały, ale głos pozostał spokojny.

- Nie twój... skup się teraz na swoich sprawach.

Napięcie, złość, upokorzenie i te przeklęte hormony sprawiały, że o mało nie wybuchnęłam.

Dziewczyna w ekskluzywnych kozaczkach stanęła za nami i poklepała mnie w ramię.

- Potrzebujesz czegoś? - zapytała.

- Jeśli nie odwalisz się ode mnie... - krzyknęłam. Raheem parsknął śmiechem.

Dziewczyna odeszła, podśpiewując. Kołysała się niezdarnie na chybotliwych obcasach i szybko stawiała kroki, które łomotały o asfalt.

Marcel i jej dziewczyny szykowały się do odjazdu, odstawiając jak zwykle swoje popisowe figury. Noc należała do nich. Podśluchałam, jak jedna z dziewcząt powiedziała, że szykują się do wyścigu na drodze numer 90 z Mariny aż do rogatek Culver City. Odpaliłam swój motor i mocno prze-gazowałam silnik. Marcel przejechała obok i pozdrowiła mnie uniesionym kciukiem. Odpowiedziałam jej, unosząc środkowy palec. Okrążyła parking i zatrzymała się obok mnie, unosząc się na przednim kole. Osadziła maszynę, wrzuciła luz i rozpostada ręce. Wciąż zachowywała się wyzywająco. Zostawiłam Raheema i podeszłam do niej.

- Jeśli będziemy się ścigać Marcel, układ jest taki... - rzuciłam jej w twarz.

-Jaki?

- Wygrywasz, bierzesz mój motor. Jeśli ja wygram, zostawiasz mnie, do cholery, w spokoju.

- Wiesz, kochanie, że to mi nie odpowiada.

- Chcę tylko, żebyś przestała mnie nękać i odpieprzyła się wreszcie ode mnie.

- No dobra, stawiam moją hondę i dodaję tysiąc dolarów.

- Tysiąc dolarów.

- Zaufaj mi, Billie. Na moich warunkach, nawet jeśli przegrasz, wygrywasz.

- W przyszłym tygodniu - powiedziałam. - Możemy to zrobić w przyszłym tygodniu. Na moich warunkach, nie na twoich.

- Dlaczego nie dziś. Na moich warunkach.

- Bo powiedziałam, że w przyszłym tygodniu. Na moich warunkach. Jestem zmęczona twoimi homoseksualnymi zalotami i nie chcę twojej chromoseksualnej maszyny. Jeśli wyprzedzę cię na trasie, chcę, żebyś zostawiła mnie, do kurwy nędzy, w spokoju.

- Jesteś taka piękna, kiedy się wściekasz. Wiesz o tym?

Roześmiała się, dodała gazu i ruszyła gwałtownie, jadąc na tylnym kole, dopóki nie dotarła do końca parkingu. Tak strasznie chciałam się z nią ścigać. Zostawić ją daleko w tyle i upokorzyć na oczach jej drużyny. Gdybym nie musiała zająć się Raheemem, pokazałabym jej, jak prawdziwy motocyklista nawija drogę na koła. Cała kawalkada wytoczyła się z parkingu i skierowała w stronę drogi numer 90. Chciałam nauczyć Raheema, jak trzyma się pion, z dala od tych aroganckich panienek.

- Cholera - powiedział Raheem. - One to potrafią jeździć.

- Zamknij się i wkładaj kask.

Raheem nigdy nie wyszedł ponad drugi bieg. Na swoim motorze ledwie przekraczał pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Kurczowo ścisnął sprzęgło, jakby od tego zależało jego życie. Ilekroć chciał skręcić w lewo, zataczał szeroki łuk, kiedy skręcał w prawo, znosiło go na lewą stronę. Nie rozumiał zasady przeważania skrętu ciałem i nie miał pojęcia, jak redukować gaz. Za każdym razem, kiedy przystawał, silnik dławił się i gasł. Wtedy nie potrafił znaleźć biegu jałowego, żeby znów odpalić maszynę.

Wokół nas zbierało się coraz więcej przypadkowych gapiów. Przez minutę stawiałam swój motor dęba, zadzierałam w górę tył, a nawet jeździłam, opierając się cała na kierownicy. Byłam poirytowana. Robiłam wszystkie popisowe sztuczki, czekając, aż śliczny chłopiec uruchomi swoją maszynę.

- Powinnam odholować cię do domu. - Miałam ochotę zakląć.

- Odholować?

- Skup się. Trzymaj równe obroty. Skanuj horyzont.

- Skanować horyzont?

- Kurde, miej oczy otwarte, dobra?

Ponad godzinę zajęło nam pokonanie odcinka, który mogłabym przejechać w ciągu dziesięciu minut.

Kiedy stanęliśmy przed jego domem, kipiałam złością. Zgasiłam swój silnik.

- Pokaż mi swój kask - zwróciłam się do Raheema.

Podał mi go i wyciągnął pilota z kieszeni. Drzwi garażu powędrowały do góry. Obok kabrioletu stał drugi porsche, jedna z tych najnowszych, nieprzyzwoicie drogich terenówek pożerających mnóstwo benzyny.

- Wygląda na to, że twój współlokator jest w domu - powiedziałam.

- Nie mam współlokatora.

- Dwa porsche i ducati?

- Tak.

Przypięłam jego kask do swojego motocykla.

- Co robisz? - zapytał.

- Ratuję ci życie.

- Co?

- Dopóki nie weźmiesz kilku lekcji, twój motor ma stać w garażu.

- Porywasz mi mój kask? Zignorowałam go.

- Skontaktuj się ze mną, kiedy będziesz gotów go odebrać.

- Nie zdawałam sobie sprawy, że jesteś taka złośliwa.

- Przestań mi mówić, że jestem złośliwa! - krzyknęłam.

- A niby jak mam skontaktować się z tobą, żeby go odebrać?

- Powiesz temu gadule Jacobowi, on powie mojej współlokatorce, a ona powie mnie. Zdaje się, że całą resztę będzie już wiedział.

- A dlaczego Jacob nie może powiedzieć tobie?

- Po tym, jak go zwyzywam, nie odezwę się już więcej słowem do tego palanta.

Wsiadłam z powrotem na motor. Rękawiczki leżały na baku, w dłoni trzymałam kask. Zamyśliłam się. Patrzyliśmy na siebie.

- Jesteś pewna, że nie chcesz wejść do środka? - zapytał Raheem. Wejść do środka.

Wejść. Do środka.

Moje myśli krążyły wokół Keitha. Nie odpowiedziałam Raheemowi. Wciąż siedziałam, dygocąc z zimna, i patrzyłam na niego.

- Miałaś kiedyś taki dzień, kiedy stwierdziłaś, że gorzej być nie może, a było?

- Oczywiście.

- No to właśnie coś takiego dzieje się teraz ze mną. Wszystko w ciągu paru godzin. Jestem wściekła jak nie wiem. To nie jest uczucie, z którym jestem tak całkiem oswojona, ale daje więcej siły, niż uzalanie się nad sobą.

- Mogę coś zrobić, aby ci pomóc? - zapytał.

- Proszę po raz ostatni. Mógłbyś przestać być tak cholernie miły? Założyłam kask, zapięłam go pod brodą, zapaliłam silnik i naciągnęłam rękawiczki.

- Hej, posłuchaj, może nie powinnaś jeździć, kiedy jesteś taka rozstrojona - powiedział.

- Co ty nie powiesz.

- Nie mam zbyt wielu mebli, ale zapraszam cię do siebie bardziej niż serdecznie.

- Dlaczego chcesz mnie zaciągnąć do swojego domu.

- Poradnik motocyklisty mówi, że nie należy jeździć pod wpływem alkoholu albo w stanie silnego wzburzenia. Myślę więc, że możesz to uznać za ocalenie ci życia. Próbuję się zrewanżować za przysługę. Próbuję nie być taki... głupi.

- Och, teraz ja jestem głupia - spojrzałam na niego.

- Wejdz do środka. Poczekaj, aż się uspokoisz. Napij się kawy albo gorącej czekolady.

Ogarnęłam wzrokiem jego dom. Dwie kondygnacje współczesnego przepychu w czarnej dzielnicy zamieszkiwanej przez klasę wyższą.

- Masz dzieci? - zapytałam, patrząc na jego okazały dom.

- Nie. A ty?

Jeszcze wczoraj odpowiedź na byłaby prosta. Teraz to pytanie mnie rozbroiło. Nie sposób było udzielić wymijającej odpowiedzi. Zakaszlałam i zaczęłam majstrować przy blokadzie motoru, zbywając go milczeniem.

- Jesteś żonaty? - przesłałam do kontrofensywy.

- Dwa razy rozwiedziony. Ożeniłem się jako osiemnastolatek, byłem zbyt młody, a rozwiodłem się w wieku dwudziestu jeden lat. Po raz drugi ożeniłem się, kiedy miałem dwadzieścia pięć, i rozwiodłem w tym samym roku. W obu przypadkach była to niewłaściwa kobieta albo ja byłem niewłaściwym mężczyzną, sam nie wiem. Za każdym razem po trzech miesiącach wszystko było przesądzone. Przez ostatnie dziesięć lat żyję samotnie.

Cóż za nieskazitelne referencje. Dwukrotnie rozwiedziony. Dwa razy przegrany. Ale bez dzieci. To był plus.

- Lubisz literaturę fantastycznonaukową? - zapytałam. - Asimov? Philip K. Dick?

- Niespecjalnie.

To też był plus. Nie był idealny. Żaden z nich nie jest.

- A kto jest twoim ulubionym pisarzem?

- Paulo Coelho - odpowiedział.

- Nigdy o nim nie słyszałam.

- Brazylijczyk urodzony w Rio. Napisał *Alchemika*. Znakomity pisarz z Ameryki Południowej.

- To po hiszpańsku, tak?

- W Brazylii mówi się po portugalsku. Ale jego książki są tłumaczone prawie na wszystkie języki.

- Nie jestem zbyt oblatana w literackiej czarnej magii.

Miałam ściśnięte gardło. Frustracja z całą mocą szukała ujścia w moim spojrzeniu.

- Jestem w ciąży - powiedziałam.

Na jego twarzy pojawiło się zaskoczenie.

Poczułam się taka mała, tak przytłoczona własną szczerością.

- Myślę, że Jacob nie rozpuścił na tyle swego wielkiego ozora, prawda? - dodałam.

Raheem zdawał się powracać myślami do zamieszania, jakiego świadkiem był w Starbucksie, i składał dramatyczne elementy układanki w całość, która zaczynała mieć sens. Ten dom i te samochody nie wskazywały na to, aby był to facet zainteresowany gotowym przychówkiem do wzięcia, nie wspominając już o kobiecie, która spodziewa się dziecka.

Odwiedzał dzielnicę czerwonych latarni w Amsterdamie, przypuszczalnie robił to samo w Stambule, bez wątplenia zakosztował rozkoszy w Tajlandii, a może bywał w wielu innych miejscach, gdzie kobiety chodziły z nim do łóżka dla zabawy albo pieniędzy. Cieszył się życiem, miał ochotę na szalony seks, przygody i nowe przyjemności.

Raheem stał przede mną, jakby po kolana ugrzązł w błocie.

Tak samo ja.

Zatrząś się, jakby miał dreszcze, i wydał z siebie przenikliwy odgłos.

- W ciąży - powiedział. - To super.

Zamrugał jak odurzony, rozwiewając swoje fantazje i nadzieje. Gdyby tylko poznał mnie rok wcześniej, mielibyśmy nieograniczone możliwości.

Postąpiłam słusznie, kończąc tę imprezę, zanim na dobre się zaczęła. Uruchomiłam silnik, wrzuciłam jedynekę, dodałam trochę gazu i odjechałam.

Tuż przed wschodem słońca znalazłam się w Szpitalu Daniel Freeman. Q była zdrowo pokiereszowana.

Viviane nie opowiedziała mi przez telefon o wszystkich obrażeniach, jakich doznała piękna twarz Q. Chrzątki były potrzaskane. Mnóstwo krwi. Pełno otarć i wielka opuchlizna wokół oczu i na policzkach. Wyrwane dwa kosmyki włosów. Miała problemy z oddychaniem przez nos i łapała powietrze ustami.

Kiedy na nią spojrzałam, przeszły mnie ciarki i bez zastanowienia spytałam, co się stało.

Z trudem łapiąc oddech i płacząc, Q powiedziała mi, że jakaś dziewczyna nazwała ją kundlem i napadła na nią bez powodu. Biedna dziewczyna cierpiała i płakała, powtarzając w kółko, jak bardzo czarni są uprzedzeni do swych braci skrzyżowanych z innymi rasami, jak często musiała walczyć z powodu swego wyglądu, na który nie mogła nic zaradzić, ponieważ nikt nie może wybierać, w jakiej urodzi się skórze.

Jej narzekanie, jak Viviane stwierdziła już wcześniej, stawało się nie do zniesienia.

- Dziewczyna, która ci to zrobiła - zapytała ją Viviane. - Jak ona wyglądała?

- Długie włosy... około dziewiętnastu lat... - Q wyrównała oddech. - Nie pamiętam jej twarzy.

- A co pamiętasz? - Viviane trzepnęła o dłoń swoimi motocyklowymi rękawiczkami.

- Miała całkiem ładne buty.

- Co za cholerna próżność - jęknęła Viviane. Zawtórowałam jej. Zostawiłyśmy Q z rodzicami i poszłyśmy na kawę. Rozmawiałyśmy

o Q, nie wspominając o mojej ciąży. Przy jej matce, mówiącej bez przerwy po koreańsku, i ojcu, zmartwionym i podenerwowanym, musiałam pogodzić się z tym, że mój problem jest jak różowy słoń, który stoi w kącie. Każdy udaje, że go nie widzi.

Kiedy rzuciłam plecak na stół, rozległ się głuchy odgłos.

- Nie mów, że masz tam broń - odezwała się Viviane.

- To cegła. Nie mogę uwierzyć, że Carmen wrzuciła mi ją przez okno. Wyjęłam cegłę z plecaka, zmierzyłam ją srogim spojrzeniem i schowałam z powrotem.

Opowiedziałam jej o Raheemie i o tym, jak się czułam, słysząc, że Jacob rozpuszcza plotki na mój temat.

- Pogadam z nim - obiecała. - Jest już za duży na robienie takich bzdur.

- Nie obchodzi mnie, co mu powiesz. Wciąż przeklinam tego głupka.

- Nie przeszkadzaj sobie.

- Powiedziałam Raheemowi, że jestem w ciąży.

- Dlaczego to zrobiłaś?

- Za bardzo się do mnie przystawiał.

- Raheem jest całkiem przystojny. Żebyś wiedziała, jaki ma dom.
- Widziałaś jego dom?
- Wstąpiłam tam z Jacobem. W zeszłym tygodniu. Może tydzień wcześniej.
- Masz coś wspólnego z tą akcją kojarzenia par?
- Mam prawo odmówić zeznań.
- Co gorsza, Marcel nie przestaje mnie nękać. Też była w Jerry's Deli.
- Co tym razem?
- Siedzi mnie. Weszła za mną do łazienki. Zapraszała mnie do siebie. Wciąż to samo.

- Raheem cię chce. Marcel cię chce. Cholera. Ta ciąża dodaje ci blasku. - Czy ja błyszczę?

- Jak napromieniowana.

Z windy wynurzyła się matka Viviane. Przyszła po kawę. Viviane wróciła z nią na górę. Trzymały się za ręce i rozmawiały po koreańsku.

Postanowiłam zniknąć na chwilę. Poczułam nieodparty impuls, by zakraść się na piętro, gdzie mieścił się oddział położniczy. Wdziałam nowo narodzone dzieci w inkubatorach, widziałam niemowlęta karmione piersią.

Nagle dobiegły mnie jęki kobiet, co najmniej trzech, zmagających się z bólem i nadludzkim wysiłkiem. Widziałam pielęgniarki, które kręciły się w zwyczajnym tempie, popijały kawę i żartowały, jak gdyby te krzyki nie były niczym nadzwyczajnym. Wdziałam dwie kobiety, jedną czarną i jedną Latynoskę, obie całkiem same, ściskające kurczowo uchwyty przy łózkach. Wszłam do sali, gdzie leżała Latynoska, stanęłam tuż przy wejściu i patrzyłam na jej męczarnie. Później poszłam do tej czarnej i zrobiłam to samo, stałam i gapiłam się na nią. Nie miała obrączki na palcu. Nie było mężczyzny u jej boku.

Jej twarz stała się moją twarzą, jej łzy moimi łzami.

Kobieta odwróciła się w moją stronę.

Wycofałam się przerażona.

Pognałam do windy i wróciłam na dół, do Viviane i Q.

Zastałam Viviane na korytarzu. Zjechałyśmy znów na parter. Wypiłyśmy następną kawę, oglądając wiadomości. W całym mieście ginęli ludzie. Strzały gangsterów. Narastała agresja na drogach. W ciągu trzech miesięcy postrzelono osiem osób na autostradach. Trzy z nich zmady.

Viviane pokręciła głową i powiedziała:

- Co jest nie tak z tymi ludźmi? Czy wszystkim odebrało rozum? Tyle przypadkowych aktów przemocy w tej części kraju.

- Na całym świecie.

Podrapałam się po głowie. Poczułam, jak wysuszone są moje włosy, jak bardzo potrzebują porządnego nawilżenia.

- Pracujesz dziś w nocy? - spytała Viviane.

- Tak. - Byłam wciąż wstrząśnięta i zaniepokojona. - Będę stała za barem aż do zamknięcia.

- Tak sobie myślałam... Gdybyś miała zespół, jakąś muzykę, mogłabyś się stać wielką, wiesz o tym, prawda?

- I tak będę wielką. - Poglądziłam się po brzuchu. Wymieniłyśmy czule uśmiechy. Różowy słoń deptał nam po piętach. Żadna z nas nie chciała zauważać tego, co bolesne, ani o tym rozmawiać.

Poszłyśmy do windy.

Kiedy wróciłyśmy do sali, gdzie leżała Q, był przy niej lekarz i pielęgniarka. Zaniepokoił go obrzęk na jej twarzy i trudności z oddychaniem. Zaraz po naszym wyjściu Q zemdląła z bólu i zrobiło się niebezpiecznie. Mogła potrzebować podłączenia do respiratora, w przeciwnym wypadku jej krew przedostałaby się do płuc, powodując odmę.

- Mogłoby to doprowadzić do bakteryjnego zapalenia płuc - powiedział lekarz.

Viviane płakała. Tak samo jej matka. Moje oczy również zwilgotniały. Powiedziałam Viviane, że nie będę tu dłużej siedzieć i zostawię ją wraz z jej rodziną. Wraz z jej rodziną.

Ja nie miałam żadnej. Moja rodzina właśnie rosła we mnie. Otworzyły się drzwi windy. Uścisnęłam ją na pożegnanie.

- Gdybyś czegoś ode mnie potrzebowała... - powiedziałam - ..mogę zostać... albo od razu wrócić tu rano. Czekaaj, już jest rano. Mogłabym wrócić tu później.

- Prześpij się trochę. - Viviane przetarła oczy i ziewnęła. - Dziś wieczór będzie w Tempie Bar pełno braci.

- Chyba nie masz zamiaru nigdzie dziś wychodzić?

- Po tym wszystkim mam ochotę włożyć obcisłą bluzkę, krótką spódniczkę, wysokie obcasy, żeby trochę odreagować.
- Wpiszę cię na listę gości.
- Dzięki, Billie.
- Mam nadzieję, że Q... Będę się za nią modlić.
- Przecież ty się nie modlisz.
- Dobra, no to będę w jej intencji wysyłać pozytywną energię do wszechświata.

Czasami, aby znaleźć ukojenie, wystarczy zobaczyć kogoś, kto ma poważniejsze problemy.

Było już po dziesiątej rano. Musiałam się przespać. Chciałam zająć się swoimi włosami.

Opuszczałam szpital poważnie zaniepokojona. Przyrodnia siostra Viviane mogła na długo rozstać się z urodą. Mogła porzucić wzniosłe marzenia o karierze aktorki czy modelki, dzięki której kraina snów Tyry Banks stanęłaby przed nią otworem. Przynajmniej do czasu, kiedy dorobi się poważnej fortuny i wyjdzie za cholernie dobrego chirurga plastyka.

Albo za cholernie dobrego faceta.

Miałam rozpiętą kurtkę i podniesioną osłonę twarzy, aby chłodne powietrze mogło pieścić moje ciało i pomóc zwalczyć senność. Jechałam w stronę Baldwin Hills Crenshaw Plaża, przemykając wśród porannych kierowców, jakby to był zwykły rajd na torze z przeszkodami. Musiałam kupić odżywkę do włosów przed pójściem do łóżka. Wiedziałam, że gdybym od razu przyjechała do domu po takiej nocy, nieprędko bym się ruszyła gdziekolwiek.

Był ruchliwy poranek. Zauważyłam, jak w stronę centrum handlowego jedzie Dwayne Orange ze swoją ekipą. Nacisnęłam klakson, a oni pozdrowili mnie machaniem rąk. Na zewnątrz stali sprzedawcy ciastek. Siostry, które nigdy nie mogą dotrzeć do pracy na czas, właśnie wychodziły z salonów piękności z nowymi fryzurami. Bracia handlujący kradzionymi towarami i sprzedawcy broszur *Chwalcie Jezusa* i *Chwalcie Allaha* stali wzdłuż Crenshaw Boulevard.

Szłam w stronę sklepu z kosmetykami, kiedy zadzwoniła moja komórka. Na wyświetlaczu pojawiło się zdjęcie Keitha.

- Keith? - powiedziałam do słuchawki.
- Mogłabyś przestać dzwonić do mojego męża?
To była Carmen. Jej głos przybrał formę chrapliwego szeptu, jak gdyby nie chciała, aby ktoś zauważył jej wybryk.
Cmoknęłam przez zęby, wydając urywany dźwięk.
- Dlaczego do mnie dzwonisz? - spytałam.
- Przestań się pieprzyć z moim mężem.
- Proszę?
- Czy mogłabyś przestać się pieprzyć z moim mężem? Mogłabyś zrobić dla mnie tą jedną rzecz?
- Posłuchaj, dzwoniłam, żeby się dowiedzieć, czy znaleźliście swoją córkę.
- Gówno prawda. Wychodzę od niego na piętnaście minut i od razu tam wracasz.
- Proszę?
- Czego chcesz?
- Czego chcę?
- Dlaczego nie dasz nam spokoju? Dlaczego wciąż do mego wydzwaniasz? Czego chcesz?
- Posłuchaj, dzwoniłam do niego tylko po to, żeby spytać, czy coś wiadomo o jego córce.
- Kurwasz twoja mać. Wypastuj sobie fokę.
- Ze niby co?
- O naszej córce. Cokolwiek dzieje się w tej rodzinie, to nie twoje zasrane zmartwienie.
Nerwy odmawiały jej posłuszeństwa. Słyszałam w tonie jej głosu łyzy, wściekłość i strach.
W tle rozległ się głos Keitha, który pytał Carmen, dlaczego rozmawia przez jego komórkę.
Zabrzmiało to tak, jakby rzuciła w niego telefonem. W oddali słychać było rozmowy innych osób. Może byli to jej rodzice. Może zjechała się tam cała jej rodzina. Mogłam sobie tylko wyobrazić, jaką mieli noc.
Keith niezdarnie obracał telefon w dłoni.
- Kto tam? - zapytał.

„Kochanka". To niezręczne słowo przeszło mi przez gardło, zawisło między wargami i spoczęło na języku.

Westchnęłam głęboko, ale złość zabarwiła mój głos.

- Waśnie zadzwoniła do mnie twoja rozwścieczona żona.

- Billie?

- Co to znaczy „wypastować sobie fokę"?

- Billie, przeżywamy straszny dramat.

Niemal wybuchnęłam. Znów nieodpowiedni moment. Stałam dalej od ludzi w sklepie.

- Co się dzieje, Keith?

- Słuchaj, jesteśmy u rodziców Carmen. Spędziliśmy tu całą noc. Wciąż tu jest policja...

- A twoja córka...?

- Cały czas próbują ją znaleźć. Siedzą tu policjanci i o wszystko wypytyją. Szukają wskazówek w komputerze. Dzwonili do wszystkich jej przyjaciół. W ciągu ostatnich kilku godzin obeszliliśmy całą okolicę. Od Leimert Park aż do drogi numer 10. Nikt jej nie widział ani o niej nie słyszał. Będą o niej mówić w wiadomościach.

- W wiadomościach?

- Carmen zadzwoniła do biura prokuratora okręgowego, pociągnęła za kilka sznurków. Ludzie z telewizji wciąż tu są. Właśnie filmowali nas, jak modlimy się w kręgu. Trzeba być kolejną Natalee Holloway, żeby dostać dziesięć sekund na antenie. Carmen zna kilku naprawdę wpływowych ludzi. Teraz prosi ich o przysługę, wykorzystuje układy.

- Modłę się za ciebie, Keith. Jeśli jest coś, co mogłabym zrobić...

- Rodzice Carmen już wyznaczyli pięć tysięcy dolarów nagrody dla tego, kto ją znajdzie.

W jego głosie było tyle bólu i strachu. Nigdy nie słyszałam, aby mówił tak przejmującym tonem.

- Moja córka zaginęła, a ja nie mam ani grosza, by ją odzyskać. Złamanego gorsza.

Przed oczyma przemknęły mi obrazy martwych dzieci znalezionych na mieście. Przypomniałam sobie o modelkach, które uznano za zaginione, a potem odnaleziono poćwiartowane w Los Angeles National Forest.

- Billie, to jest takie nieprawdopodobne. Oddam moje życie i wszystko, co mam... To nie może się dziać naprawdę.

Położyłam dłoń na brzuchu. Keith tak bardzo przejmował się jednym dzieckiem. Drugie nie zaznało jego miłości.

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Nie wiedziałam, co czuć.

W tle odezwała się Carmen. Jednostajnym podniesionym tonem kazała mu odłożyć telefon.

- Billie... - Keith zaczerpnął powietrza. - Pozwól mi wrócić do ciebie.

- Posłuchaj, przepraszam cię, za nieodpowiedni moment, ale kiedy siedzieliśmy na twoim ganku, chyba zostawiłam tam rewolwer...

Połączenie zostało przerwane.

Zapłaciłam za odżywkę do włosów, włożyłam ją do plecaka, obok cegły, i ruszyłam w kierunku motocykla.

Wyszłam na zewnątrz w momencie, kiedy młoda dziewczyna ubrana w obcisłe dżinsy, za duży podkoszulek i nowiutkie białe tenisówki uciekała z parkingu w okolicy kina Magie Johnson. Biegła, wymachując ramionami i wymijając młodych ludzi, starsze osoby i nastolatki pchające dzieci w wózkach. Pędziła zawzięcie z włosami rozwianymi we wszystkie strony, jakby ratowała swoje życie.

Ścigało ją dwóch ochroniarzy z Wal-Martu. Jeden z nich był Latynosem, a drugi czarny. Przerazona dziewczyna biegła ze wzrokiem utkwionym prosto przed siebie do skrzyżowania.

Pościg zmierzał w moją stronę. Tysiące razy byłam świadkiem takich scen.

Trzymałam kciuki za tę dziewczynę. Zawsze byłam po stronie biedy wygrywającej z systemem.

Rozwiązane sznurówki powiewały wokół jej kostek. Wiedziała, co się stanie. Dziewczyna nadepnęła na sznurówkę, upadła i podniosła się, robiąc minę, która wyrażała ogromny ból.

Zziębnięci i spoceni ochroniarze krzyczeli za nią, by wróciła.

- Zatrzymać ją! To ona! Szuka jej policja! Zatrzymać ją! Dziewczyna wyminęła samochód i znalazła się na wprost mnie. Popatrzyła na mój motocykl, na mój kask i kurtkę i jej ciałem wstrząsnął dreszcz, jakby mnie rozpoznała.

Usiłowała złapać oddech. Niedobór denu sprawił, że musiała zwolnić.

Miałam uniesioną osłonę twarzy, by móc łatwiej oddychać, więc mogłam lepiej się jej przyjrzeć.

Zdawało mi się, że czas zaczął płynąć wolniej. Chwila, w której ona stała naprzeciwko mnie, była oderwana od rzeczywistości.

Niewinna piętnastolatka o sarnich oczach i pięknej twarzy wyglądającej na zbyt małą przy jej dużych zębach.

Stałyśmy oko w oko. Tak jak w dniu, kiedy razem z matką wpadła na mnie i swojego ojca w Howard Hughes Center. Tak jak wtedy miała szeroko otwarte usta i zszokowany wyraz twarzy.

Wyglądała na mniej niż piętnaście lat. Na dużo młodszą. Takie niewinne dziecko.

Kiedy tylko udało się jej złapać oddech, znów zerwała się do biegu z cierpieniem wymalowanym na twarzy.

Obok mnie przebiegli ochroniarze z Wal-Martu, wciąż goniąc ją z zaciekłością w oczach.

DESTINY

Dziewczyna na żółtym motocyklu pojawiła się nie wiadomo skąd. Przyjaciółka jej ojca. Znienawidzona przez matkę.

Dziewczyna na motocyklu patrzyła na nią tak, jakby wiedziała o cegle. Destiny biegła. Czuła ból między nogami. I biegła. Ból nie pozwalał jej zapomnieć, że obudziła się w tym podrzędnym motelu.

Samotna. Zgwałcona.

Miała mdłości, oślepiało ją słońce. Gnała jak szalona. Byle dalej od mężczyzn w niebieskich kurtkach. Byle dalej od Billie.

Kiedy przebiegła na drugą stronę ulicy, potknęła się o krawężnik, ale nie upadła. Widziała, że Billie jest tuż za nią, że jedzie na motocyklu wzdłuż chodnika, obok niej, wykrzykując jej imię.

- Przestań uciekać! - zawołała Billie.

Zmęczona i przerażona Destiny biegła wzdłuż Martin Luther King Boulevard, dopóki nie uzmysłowiła sobie, że nie jest w stanie prześcignąć motocykla.

Zatrzymała się na Marlton Avenue i dyszała pochylona z dłońmi opartymi na kolanach. Patrzyła w dół, na zalegające chodnik śmieci. Zobaczyła opakowania po prezerwatywach, które zdawały się do niej uśmiechać. Ból między nogami stał się silniejszy.

Sześć. Siedem. Osiem kondomów.

Ten widok powrócił z całą jaskrawością, atakując ją jak poranne światło.

Dziewięć. Dziesięć.

- Co się z tobą dzieje? - Billie podniosła głos. - Keith szukał cię przez całą noc.

Jedenaście, dwanaście. Tak dużo kondomów.

Destiny próbowała się wyprostować, ale znów zgięła się w pół, nie mogąc złapać tchu.

Patrzyła, jak dziewczyna taty wyłącza silnik, opiera motocykl na podstawce i ściąga kask. Włosy, długie i niesforne, rozlewają się jej po plecach, kiedy wyciąga komórkę i naciska szybkie wybieranie.

- Do kogo dzwonisz? - warknęła Destiny.
- Do twojego taty. Nie odbiera. W twoim domu jest policja.
- Policja w moim domu?
- Psiakrew, nie wiem, co robić.

Znienawidzona przez matkę dziewczyna ojca była załamana. Destiny widziała jej oczy, widziała, jak waha się z podjęciem decyzji. Billie ciężko westchnęła i wręczyła jej żółty kask.

- Załóż to.
- Po co?
- Załóż to!

Destiny patrzyła, jak Billie odpina od motocykla drugi kask, odgarnia włosy do tyłu i nakłada go na głowę. Czerwony kask, o wiele za duży. Prawie nie poruszając ustami, odczytała wyryte z tyłu imię. „Raheem”.

Naśladowując ruchy Billie, Destiny odgarnęła włosy i chwyciła pasek do zapinania pod brodą, jak wtedy, gdy jeździła na skuterze śnieżnym. Kask pozostawiał trochę luzu, ale i tak czuła się w nim klaustrofobicznie.

- Nie mogę oddychać. Ciągnie mnie za włosy - powiedziała do Billie. Ziajani ochroniarze, którym przebiegnięcie niecałego kilometra zajęło całą wieczność, już prawie je doganiali.

- My. Zobaczyliśmy. Ją. Pierwsi - wykrztusił Meksykanin, zmagając się z zadyszka.

- Pięć tysięcy dolarów nagrody dla tego, kto ją znajdzie - dodał jego kolega. - Należy nam się nagroda.

- No właśnie. Pięć tysięcy. Tak mówili w wiadomościach. Pięć tysięcy.

- Podzielimy się po równo.
- Nie tym razem - Billie pokręciła głową.
- Znaleźliśmy ją pierwsi - protestował czarny ochroniarz.
- A ja ją mam. Posiadanie to dziewięć dziesiątych prawa własności.
- Co to ma znaczyć?

Destiny mocno chwyciła Billie w pasie i powiew wiatru przeniknął jej ciało, kiedy motocykl ruszył z miejsca.

- Trzymaj się, ale nie ściskaj mnie tak mocno - powiedziała Billie.

- Dobrze.

Kobieta, której nienawidziła jej matka, uratowała ją przed mężczyznami w mundurach z Wal-Martu.

Kobieta, którą kochał jej ojciec, wiozła ją do domu na motocyklu. Świat wydawał się jej taki niespójny. Wszystko było nie tak.

Nie chciała, żeby motocykl zwalniał, nie chciała, żeby zatrzymał się przed domem jej dziadków. Stało się to jednak jakiś kilometr dalej.

Na trawniku było pełno ludzi. Przyjaciele. Sąsiedzi. Przechodnie, którzy chcieli pokazać się w telewizji.

Billie nacisnęła klakson i zgasiła silnik.

Destiny usłyszała natchnione krzyki swej babki.

- Wróciła! Chwała Najwyższemu! Znaleźli ją! Jest tutaj! Dziękujemy Bogu!

Babka pojawiła się w drzwiach, długie włosy miała spięte w kucyk, a na sobie biały dres Nike'a. Przemierzyła trawnik w takim pędzie, jakby zbliżała się do mety maratonu.

Za nią wybiegł dziadek, również ubrany w biały strój do joggingu. Miał siwe włosy i wąsik cieniutki jak pasek magnetyczny na karcie kredytowej. Wykrzykiwał imię swej wnuczki i nie zważał na zeszywniałą nogę, pamiątkę po jednej z wojen. Destiny nigdy nie mogła sobie przypomnieć której.

Zdjęła kask i poczuła ból, zsiadając z motocykla.

Znowu nappełniło ją przerażeniem to, co miało jeszcze nastąpić.

Wtedy wybiegł jej ojciec. Miał zaczerwienione oczy.

Potem Destiny zobaczyła osobę, której nie chciała widzieć. Na werandzie pojawiła się matka. Zobaczyła motocykl i zastygła z rozdziawionymi ustami, ze łzami w oczach i ramionami splecionymi na piersi. Destiny czuła, jak wzrok matki wędruje z niej na Billie, która teraz z powrotem przypinała zapasowy kask do swego motoru.

Powolne kroki. Wszyscy biegli w jej stronę, a matka szła powoli.

Ojciec rozmawiał z Billie, wypytywał ją o coś.

- Natknęłam się na nią koło centrum handlowego, Keith. Próbowałam się do ciebie dodzwonić.

Destiny dostrzegła udrękę w oczach ojca.

Potem spojrzała za siebie i zobaczyła matkę, która gniewnym wzrokiem mierzyła Billie.

Wszyscy wokół biegali, tylko matka szła powoli.

Billie siedziała już na swoim żółtym motocyklu w czerwonym kasku i kopała starter.

Destiny poczuła, jak coś ściska ją w gardle. Miała oczy pełne łez. Nie mogła oddychać.

Wiedziała, że jeśli teraz się rozpłacze, nie będzie musiała z nikim rozmawiać, zyska na czasie, by wszystko przemyśleć.

Sztuka manipulacji. Nauczyła się tego, obserwując swoją matkę.

Wzdłuż ulicy stały samochody policyjne. Furgonetki telewizyjne. Ktoś już skierował na nią kamerę. Stawała się sensacją. Mnóstwo gapiów dookoła.

Wymierzone obiektywy, ludzie zadający pytania. Billie pomachała im na pożegnanie i odjechała bez słowa.

Kamerzysta nagrywał całą scenę.

Nagrywał.

Wspomnienie ostatniej nocy. Ta połyskująca czerwona plamka. *Pączusku... to, jak kręcisz dupcią... nigdy nie widziałem czegoś podobnego.*

Pączuszek. To przezwisko rozbrzmiewało echem w jej głowie. Matka stała na wprost niej. Milczała. Miała w oczach złość i wstyd. Destiny przytuliła się do ojca, opierając głowę na jego piersi.

- Chodź - powiedziała matka, wyciągając rękę w jej stronę.

Szły, przeciskając się przez tłum, weszły do domu i schroniły się przed całym tym obłędem w sypialni, tej samej, z której uciekła. Matka zamknęła drzwi.

- Keith - powiedziała.

- Co?

- Czy mógłbyś porozmawiać z policją, z dziennikarzami, ze wszystkimi, którzy byli tu przez całą noc, modlili się z nami i pomagali jej szukać? Powiedz im, że wyjdziemy do nich za moment. Chcę zostać na chwilę z moją córką.

- Tato... Nie zostawiaj mnie z nią.

- Keith, proszę.

Ojciec popatrzył na nią, potem na matkę, poczym podszedł do okna i wyrzwał na zewnątrz. Zwyczajny akt nieposłuszeństwa, który wyglądał tak ostentacyjnie.

- Widzisz, jaką cenę płacimy za twoje odejście? - powiedziała matka.

- Keith, myślisz, że coś takiego by się wydarzyło, że pozwalałaby sobie na takie wybryki, gdyby miała pełną rodzinę?

- Zamknij się, Carmen.

- No jak myślisz?

- Myślisz, że uciekłaby, gdybyś jej nie uderzyła? No jak myślisz, Carmen?

Destiny patrzyła w podłogę. Znowu rozmawiali, jak gdyby jej w ogóle nie było.

- Nie dotykaj jej, Carmen. Jeszcze raz ją uderzysz, a będziesz miała do czynienia ze mną.

- Grozisz mi, Keith?

- Dotknij jeszcze raz mojej córki, a przekonasz się, że nie żartuję.

- Jakim sposobem ta suka znalazła się tutaj z moją córką?

- Czy to jest teraz ważne? - krzyknął ojciec.

- Nie życzę sobie, aby zbliżała się do mojego dziecka. Aby wtrącała się w moje sprawy rodzinne.

- Daj spokój, na litość boską.

- Jeśli ta suka ma dziecko, nie chcę o tym wiedzieć. Nie życzę sobie, aby więcej się do nas zbliżała.

- Jakie dziecko? - Destiny uniosła głowę. Jakby nagle odjęło im mowę. Teraz ją zauważyli.

- Jakie dziecko? - powtórzyła.

Matka utkwiała wzrok gdzieś w oddali i potarfa skronie, stukając butem o podłogę.

- Idź porozmawiać z policją, Keith. Proszę.

Kiedy za ojcem zatrzasnęły się drzwi, ogarnęła ją bezradność i niesmak. Matka dotknęła ją czule, przytuliła i pocałowała w policzek.

- Nie mów policji, że cię uderzyłam, tak jak powiedziałaś ojcu - wyszeptała, przykładając usta do jej ucha.

- Dlaczego nie? Boisz się, że możesz iść do więzienia za maltretowanie dziecka? Albo zostać usunięta z palestry?

- Szantażujesz mnie?

- Powiem im, że mnie uderzyłaś.

- Dwie rzeczy, moja kochana. Nie strasz mnie. I nie waz się odgrywać męczennicy, Destiny. Mamy już w tej rodzinie jednego groteskowego męczennika. Mówiąc takie rzeczy, wyjdiesz na kłamczuchę.

- Ja nie kłamię.

- Jestem twoją matką. Znam swoje dziecko.

- Czyżby?

- A teraz, córeczko - uśmiechnęła się matka - powiedz mi, gdzie byłaś przez całą noc?

Matka przysunęła się bliżej i jeszcze bardziej obniżyła ton głosu.

- Skąd wzięłaś ten podkoszulek? I te tenisówki?

- Dostałam od dobrej wróżki.

- Nie żartuj sobie ze mnie, dziecko - wyszeptala matka, przeczesując włosy palcami. - Gdzie byłaś przez całe rano? Jak znalazłaś się na motocyklu tej suki? Dlaczego pozwoliłaś, żeby cię tu przywiozła?

- Ranisz mnie. - Destiny przełknęła ślinę.

Carmen przysunęła twarz do włosów córki i pociągnęła nosem.

- Twoje włosy czuć trawką. Założę się, że gdybym poprosiła o zbadanie próbki twojego moczu, byłaby pełna alkoholu i narkotyków. Czy to chcesz mi zrobić? Powiedz im, że cię tknęłam, a skieruję cię na badania. Każde twoje kłamstewko o tym, że cię biłam, zostanie podważone tak szybko, że nie zdążysz się obejrzeć. A potem zapewnię ci odpowiednią opiekę. Zabiorę cię z tej miłej szkoły, do której chodzisz, i umieszczę w ośrodku dla niepoprawnych smarkaczy. Moje dziecko, jeśli będziesz mnie straszyć i piśniesz policji choćby słówko, poniesiesz dotkliwe konsekwencje.

Destiny patrzyła na delikatny uśmiech matki.

- I każę im sprawdzić, czy ostatniej nocy uprawiałaś seks - dodała Carmen.

- Nie możesz tego zrobić.

- Żebyś się nie zdziwiła. Wciąż jesteś niepełnoletnia. Należysz do mnie i mogę robić, co mi się żywnie podoba.

Destiny patrzyła na swoją matkę, jak gdyby widziała ją po raz pierwszy.

- Nie zapominaj, co ci powiedziałam - dodała matka. - Jesteś mną z przeszłości.

- Co to znaczy?

- Przyjdź i zjedz dobry obiad - uśmiechnęła się. Destiny z trudem przełknęła ślinę.

- Pierwsze litery. P.I.Z.D.O. - przeliterowała matka śpiewnym tonem.

- Czy nazwałaś swoją matkę pizdą, skarbieńku?

Destiny odwróciła wzrok. Matka złamała jej szyfr.

- Nie jestem głupia, moje dziecko - mówiła przez zaciśnięte zęby. - Rozgryzłam znaczenie tego zdania, ale pozwoliłam, by uszło ci to na sucho, bo cię kocham. Sto razy dawałam ci szansę, abys przestała, ale ty ją zawsze odrzucałaś.

Dziewczyna próbowała odwrócić wzrok, ale matka chwyciła ją za twarz, zmuszając, by patrzyła jej w oczy.

- Nazwij mnie jeszcze raz pizdą, a ta despotka przetrzepie ci ten chytry tyłek. Zrozumiałaś? Jestem twoją matką. Patrz na mnie. Patrz na mnie, do cholery. Wyszłaś z tego łona. Te zwiotczałe piersi cię wykarmiły. To zranione serce przeżyło piekło, abys mogła przyjść na ten świat. Kocham cię, dałam ci życie i jeśli nadal będziesz mnie poniżać, odbiorę ci je, ty niewdzięczna...

Destiny otarła oczy i potakująco kiwała głową, pragnąc tylko, by matka się zamknęła.

- Nie kiwaj mi tu głową, dziewczynko. Odpowiedz, zrozumiałaś?

- Tak, zrozumiałam cię, mamó.

Wtedy matka przytuliła ją i jeszcze raz złożyła na jej policzku wilgotny, czuły pocałunek. Potem weszła do garderoby, skąd przyniosła grzebień i szczotkę. Posadziła Destiny przed sobą i rozczesała jej długie włosy, spinając je w dwa niewinne kucyki. Kazała jej umyć twarz i zęby, a potem zmusiła ją do włożenia kolorowego podkoszulka, na którego przodzie widniała religijna sentencja.

Rozległo się pukanie do drzwi.

Do sypialni weszła babka. Jej twarz była wykrzywiona ze złości.

- Ta dziewczyna na motocyklu...? - zapytała.

- To była ona.
- To ścierwo ma tyle tupetu, by podjeżdżać pod mój dom.
- Ma dużo tupetu.
- Nie toleruj tego.
- Nie będę. Nie toleruję.
- Keith jest twoim mężem. Przysięgaliście sobie przed Bogiem.
- Wiem, mamó.
- Pamiętaj o swoich ślubach.
- Pamiętam, mamó.
- Dopóki śmierć was nie rozłączy.
- Tak, mamó.
- Nie dopuść, żeby jakaś wywloką... Ja nie pozwoliłam twojemu ojcu... Zapytaj go, dlaczego kuleje. Powie ci, że to z wojny. Z wojny, jaką prowadziliśmy w tym domu. Wypłaszałam kobiety z hoteli, musiałam chodzić po ich domach w środku nocy...

- Mamó, już to słyszałam - krzyknęła Carmen.

- Węc rób, co do ciebie należy.

- Mamó... proszę, nie teraz.

- Broń tego, co twoje. Rób, co do ciebie należy, Carmen.

- Zamknij te drzwi po drugiej stronie, mamó.

- Jeśli Bóg do tego dopuścił, to pomoże ci to przetrwać.

- Mamó, zamknij te cholerne drzwi.

Stały przez chwilę w milczeniu, patrząc na siebie, matka i córka.

Kiedy babka wyszła, Carmen ukryła twarz w dłoniach, pocierając palcami skronie. Potem sięgnęła do torebki i wyjęła inhalator. Destiny spuściła wzrok, kiedy matka wdychała lekarstwo.

- Destiny, to jedno z najbardziej samolubnych i egocentrycznych zachowań, jakie kiedykolwiek widziałam.

- Przykład idzie z góry.

- Co to ma znaczyć?

- Znaczy to, co znaczy.

Destiny poczuła, jak matkę ogarnia gorączka tłumionej wściekłości.

- Wygląda, jakbyś znowu chciała mnie uderzyć - szepnęła. - Chcesz mnie znowu uderzyć, mamó?

Wpatrywały się w siebie przez całą wieczność.

- No już, uderz mnie.

Matka zadrżała. Jej wzburzenie szybko minęło. Schowała inhalator do torebki.

- Przyjdź i zjedz dobry obiad - powiedziała matka ze słodkim uśmiechem na twarzy.

- Jestem tobą z przeszłości - odpada Destiny z taką samą miną.

- Prowokuj mnie, Destiny. Proszę bardzo, prowokuj mnie.

- Mam tylko nadzieję, że ty nie jesteś mną z przyszłości. Kolejne rozgorączkowane spojrzenie.

Z zewnątrz dobiegał gwar. Znów rozległo się pukanie. Przez zamknięte drzwi dziadek powiedział Carmen, żeby włączyła telewizor, bo będą pokazywać relację na żywo.

- Teraz mówią o młodej dziewczynie, która ostatniej nocy została zaatakowana i pobita w Inglewood. Jakieś rasowe porachunki - powiedział. - Potem... dają nas na antenę.

- Za chwilę wyjdziemy, tato - odpada Carmen. - Rozmawiam właśnie z twoją wnuczką.

- Destiny?

Drzwi uchyliły się i Destiny zobaczyła zmartwioną twarz dziadka. Kuśtykając, wszedł do pokoju.

- Wszystko w porządku, dziadziu.

- Dziadziuś nie lubi, kiedy jego maleństwo płacze.

- Dziękuję, dziadziu.

- To samo dotyczy ciebie, Carmen.

- Dzięki, tato.

Destiny patrzyła, jak matka wstaje z łóżka i podchodzi do dziadka, w jego objęciach zamienia się w małą dziewczynkę.

- Nie lubię patrzeć, jak moja dziewczynka płacze - odezwał się dziadek.

- Nic mi nie jest, tato.

- Ruth jest zmartwiona. Moja wnuczka jest zmartwiona.

- Nie teraz tato, dobrze?

- Możesz oddychać, Carmen?

- Tak. Te nerwy... wszystko jest pod kontrolą, tato.

- Rzęzisz. Dajesz sobie jakoś radę?

- Nie martw się o mnie. Czuję się dobrze.

- Ruth... moja żona... nie podoba się jej sposób, w jaki Destiny do nas wróciła.

Destiny westchnęła ciężko, z sykiem wypuszczając powietrze.

- Masz mi wyjaśnić całą sytuację.

Akcent dziadka stał się toporny, zdradzając jego jamajskie pochodzenie. Oznaczało to, że jest zirytowany.

- Tato... ta suka na motocyklu...

- Nie przypominaj mi o niej. Nie jest tego warta - krzyknął dziadek.

- I Keith...

- On też nie jest tego wart. Obydwoje nie są warci tego wszystkiego, przez co przechodzi moja biedna wnuczka.

Dziadek wypuścił matkę z objęć i ruszył w stronę drzwi. Matka wróciła na łóżko i usiadła dokładnie w tym samym miejscu co wcześniej. Dziadek patrzył na nie, zaciskając usta. Był taki rozbity, taki bezradny. Pociągnął drzwi do siebie i wyszedł ze zwieszoną głową, która kołysała się z każdym krokiem jego zeszywniałej nogi.

Destiny podała matce pilota.

- Jakie dziecko, mamó?

- Ciii - przerwała Carmen, włączając telewizor.

Pokazywali moment, w którym Destiny została przywieziona do domu, potem kamera skupiła się na odjeżdżającej Billie. Nazwali ją świętą osobą. Matka zaklęła. Destiny zastanawiała się, jak oni mogli to wszystko tak szybko zmontować. Następnie w telewizji pojawił się ojciec, który oznajmił całemu miastu, że jego córka wróciła do domu cała i zdrowa. Wyglądał całkiem dobrze. Te dołki w policzkach, kiedy uśmiechnął się z ulgą, choć w jego oczach widać było zmartwienie.

Wszystko to działo się tuż pod oknem sypialni.

- Czy tato ma dziecko z tą dziewczyną? - zapytała ponownie Destiny. Matka milczała. Wyglądała, jakby miała się rozpaść na kawałki.

- Diabeł zawsze próbuje zatriumfować. Zawsze przynosi jakąś koronę cierniową.

- Co to znaczy?

- I czasem mu się udaje. Ale nie ze mną. Nie wtedy, gdy mogę temu zaradzić.

- O czym ty mówisz?

- Chodź, dziecko. To już nie jest twoje zmartwienie.
- Dlaczego nigdy nie możesz odpowiedzieć na żadne moje pytanie?
- Posłuchaj, do cholery. Jeśli będzie miał dziecko z tą suką, zapomni o tobie. Zwłaszcza jeśli będzie to syn. Będzie żył z nią, a my będziemy dla niego drugą rodziną. Będzie zapominał o... - matka zawiesiła głos, starając się opanować drżenie. Zza drzwi dobiegały odgłosy rozmów, ludzie kręcili się na trawniku przed domem. - Staram się ocalić naszą rodzinę, Destiny. Stoimy na rozdrożu. Potrzebuję twojego wsparcia.

Kolejne spojrzenie, tym razem krótkie i pełne napięcia.

- Zdecyduj, Destiny.
- O czym mam zdecydować?
- Będiesz moją córką i moją przyjaciółką czy staniesz się moim wrogiem? Zdecyduj teraz.
- Twoją córką. Twoją przyjaciółką - odpowiedziała przez łzy, które napłynęły jej do oczu.
- Dobry wybór. A teraz to wszystkim powiesz.
- Nie chcę z nimi rozmawiać.
- Nie pytam cię, czy chcesz. Narozrabiałaś, teraz musisz ponieść konsekwencje.

Matka powiedziała jej, co ma mówić, słowo po słowie, i kazała wszystko powtórzyć, jak gdyby to była modlitwa wielkanocna.

- Przygotowujesz mnie, jakbym miała stanąć przed sądem - powiedziała Destiny.

- Bo tak jest. Kiedy kamera idzie w ruch, jesteś jak przed sądem. To twoje piętnaście minut.

Idąc za matką, wróciła do krewnych i stanęła na wprost policji i dziennikarzy. Ze łzami w oczach zrobiła to, co kazała jej matka. Wyrecytowała jej słowa, patrząc w kamerę. Powiedziała, że uciekła, bo jej rodzice się rozwodzą. Ze chciała, aby jej matka i ojciec byli razem. Ze nie miała pojęcia o tym, iż jej rodzice zeszli się ostatniej nocy. I że jest szczęśliwa, ponieważ rodzina jest dla niej ważna. Potem przeprosiła za wszystkie kłopoty, jakie sprawiła.

Kiedy skończyła, odeszła na bok z opuszczoną głową i oczyma pełnymi łez. Nie płakała z powodu tego, co zrobiła, ale dlatego, że czuła się pionkiem w rozgrywce swojej matki, czuła się wystawiona na szachownicę, by dać jej przewagę w grze.

Od momentu, kiedy przyszła na świat, była pionkiem i tak się czuła. Spięte w kucyki włosy opadły jej na piersi. Wpatrywała się w czubki kradzionych tenisówek i miętosła brzeg białego podkoszulka z napisem „Jezus nadchodzi”, rozciągając złote litery, którymi nadrukowane zostało imię zbawiciela. W milczeniu czekała, aż matka dokończy przemowę.

Matka chwyciła ojca za rękę i stanęła przed kamerami.

To była wiadomość dla Billie. Destiny wiedziała o tym. Dla Biilie i dla każdej kobiety w Los Angeles.

Matka z patosem mówiła o osiemnastu latach swego małżeństwa. Brakowało tylko, aby sięgnęła po *Modlitewnik rodzinny* i wyznała swoje liczne grzechy i niegodziwości. Może zostawiła to sobie na ten dzień, w którym arcybiskup Rowan Williams przyleci zza oceanu, aby pobłogosławić ich pojednanie.

Doskonała prawniczka. Ojciec posłał ją na najlepsze studia prawnicze w Los Angeles.

To dlatego mogła osiągnąć wszystko. Destiny słyszała kiedyś, jak jej matka rozmawiała ze swoją koleżanką przez telefon i ze śmiechem chwaliła się, że zedrze z Keitha ostatnią koszulę.

Destiny patrzyła na reporterów, którzy filmowali przemówienie matki, ale po ich twarzach widziała, że zainteresowanie mediów zmalało, kiedy okazało się, że kryzys minął.

Nie padła żadna sensacyjna informacja o znalezieniu skarbu zakopanego na podwórzu albo ludzkiego palca pływającego w misce zupy. Nie wyszło na jaw, że odnaleziona dziewczyna jest uciekającą panną młodą, która twierdzi, iż została porwana.

Destiny dostrzegła, że temat jej zniknięcia przestał być wart uwagi tak szybko, jak został rozdmuchany.

Jeszcze jedno czarne dziecko, które uciekło z domu. Czarna dziewczynka, która chciała wyrwać się z getta.

Ojciec odsunął się od niej, stanął z dala od wszystkich. Spojrzenie jego przekrwionych oczu mówiło jej, że ma wszystkiego dosyć.

Do Destiny podeszła matka i pochwaliła ją za dobrze wykonane zadanie. Wyglądała na zadowoloną.

- Jeszcze jedno, Destiny.

- Co?
- Masz szlaban na wszystko.
- Jak długo?
- Aż nieskończoność stanie się wymierna.

Wczesnym popołudniem odjechali policjanci, a dziennikarze pognali w poszukiwaniu nowych sensacji. Ojciec poszedł na podwórko. Stał samotnie i rozmyślał.

Destiny przypatrywała mu się przez chwilę, miała ochotę z nim porozmawiać, ale zostawiła go z własnymi myślami. Dziewczyna na motocyklu była w ciąży.

Destiny uświadomiła sobie, że będzie miała małego braciszka albo siostrzyczkę.

Takie było jej przeznaczenie.

Nie można kontrolować przeznaczenia. Można tylko próbować je zmienić i dopasować do swoich pragnień.

Z początku Destiny była trochę podekscytowana. Na horyzoncie pojawiał się ktoś, kogo mogła pokochać.

Chciała mieć małą siostrzyczkę. Zawsze marzyła o siostrze.

Matka nie chciała, aby to marzenie się spełniło.

Destiny zastanawiała się, czy jej ojciec byłby szczęśliwy ze swoją drugą rodziną.

Czy kochałby tamto dziecko bardziej, niż kocha ją. Zastanawiała się, czy ojciec mógłby zacząć żyć tamtym życiem i zapomnieć o niej.

Tamte prezerwatywy. Ten ból.

Destiny weszła do łazienki dziadków i próbowała znaleźć coś, co uśmierzyłoby jej cierpienie.

Przeszukała szafkę z lekarstwami. Niebieskie pigułki. Viagra. To dziadka. Propanol. To babci. Na blacie leżała brzytwa, której dziadek używał do golenia.

Gdyby nigdy się nie narodziła, jej rodzice... sam Bóg raczy wiedzieć. Chciała się narodzić.

Ta brzytwa była taka ostra. Destiny chwyciła ją i przyłożyła sobie do nadgarstka.

Czytała, że ludzie, którzy są zdecydowani się wykrwawić, tną żyłę wzdłuż, z góry na dół. Cięcie w poprzek jest dla tych, którzy chcą zwrócić na siebie uwagę. Przyłożyła sobie ostrze równoległe do przedramienia. Zastanawiała się, jak głęboko musiałaby naciąć, ile czasu upłynęłoby, zanim...

Pukanie do drzwi. Destiny podskoczyła i upuściła brzytwę.

- Destiny?

- Wyjdę za sekundkę, babciu.

- Wszystko w porządku?

- Tak, babciu - odpowiedziała ze śpiewnym wyspiarskim akcentem. - Mam zatwardzenie.

- Nie przedrzeźniaj swoich korzeni, dziecko. Przygotuję ci owoce i wodę. Albo wypijesz koktajl z łyżeczką oleju.

Destiny odkręciła wodę i włączyła radio. Chciała, by hałas stłumił jej niezdecydowanie.

Długo patrzyła na brzytwę, zanim wreszcie znów po nią sięgnęła, złożyła i schowała do kieszeni.

Myślała o tym, jak ciężko jest przetrwać, nie próbując odebrać sobie życia.

Sobie albo komuś.

Matka kręciła się po domu, dziękowała Bogu za odzyskanie córki, ocierała łzy i obejmowała wszystkich w podzięcie za ich miłość i modlitwy.

Destiny patrzyła na te popisy matki, która była jak adwokat na rozprawie, jak gwiazda na scenie.

Dziadek stał na zewnątrz oparty o samochód babki i podniesionym głosem mówił coś do jej ojca. Destiny zakradła się jak najbliżej rogu budynku. Nasłuchiwała. Chciała się dowiedzieć, co mówią na jej temat. Słyszała gniew rozbrzmiewający w głosach tych dwóch ludzi, których kochała. - Posłuchaj, chłopcze. Przychodzi taki czas, kiedy mężczyzna głęboko żałuje niektórych swoich decyzji i wyborów. Każdy żałuje. Ale musisz z tym żyć. Tak postępuje mężczyzna.

- To Miss Ruth kazała ci zdybać mnie tutaj i przeprowadzić ze mną tę rozmowę?

- Moja żona jest zmęczona słuchaniem płaczu swojej córki. Jest zmęczona jej nieszczęściem. Moja żona martwi się o stan psychiczny i zdro-

wie naszej jedynej córki. A tamta dziewczyna wypięła na mnie tyłek przed moim domem. Mojej żonie to się nie podoba. Czy nie ma jakiegoś sposobu, żeby z tym skończyć, żeby było tak jak wcześniej? Nie możesz tego odkręcić, chłopcze?

- Przestań mnie raczyć swoją obłudą.
- Masz wszystko zostawić i trzymać się swojej żony.
- Gdybyś sam o tym pamiętał i trzymał się swojej żony zamiast innych kobiet, może byś teraz nie kulał, prawda, staruszk?
- Uważaj, co mówisz, chłopcze.

Ojciec oddalił się, potrząsając głową. Potem dziadek pokuśtykał w swoją stronę z opuszczoną głową. Wyglądał na starego i pokonanego.

Destiny z powrotem wślizgnęła się do domu. Ukrywała się przed wszystkimi. Cierpiała. Między nogami czuła pulsujący ból.

Słońce chyliło się ku zachodowi.

Na ulicy nasilał się ruch. Wieczorny sobotni tłum na Crenshaw budził się do życia.

Destiny weszła do pralni. Dostrzegła butelkę wybielacza. Rzuciła okiem na etykietę ostrzegawczą. Jej treść zalecała, aby chronić oczy. Destiny zaczęła się zastanawiać, czy coś takiego może wywołać ślepotę.

Potem przeczytała drugą część ostrzeżenia: „Niebezpieczne. Środek żrący”.

Żrący. Pokiwała głową. To było to. Planowała wojnę.

Weszła do garażu i opada się o samochód terenowy dziadków.

Planując zemstę, zastanawiając się nad sposobem ucieczki i odnalezienia ludzi, z którymi spędziła ostatnią noc, rozmyślając, jak okaleczy tych, którzy zabrali jej buty i pieniądze, pragnąc odnaleźć chłopców, którzy ją zgwałcili, Destiny zalała się rzewnymi łzami.

BILLIE

Zaparkowałam motocykl przed domem, w którym wynajmowałam pokój. Siedziałam w bezruchu przez minutę, po czym weszłam do środka. Próbowałam zasnąć. Bezskutecznie.

Moje myśli wciąż krążyły wokół Keitha. Cały czas czułam go w sobie.

Po kilku godzinach Keith stał pod moimi drzwiami frontowymi.

Serce biło mi tak szybko, tak cholernie szybko.

Po tym wszystkim, co przeszłam w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin, jak wściekła byłam na siebie za to, że kiedykolwiek się z nim związałam, myślałam, że jeśli kiedykolwiek stanie na mojej werandzie, zatrzasknę mu drzwi przed nosem.

Nie zrobiłam tego.

Miłość, ta nawałnica, z którą nie sposób się nie liczyć, miotała mną niczym tajfun.

Otworzyłam drzwi i stanęłam przed nim z mrocznym spojrzeniem i zaciśniętymi ustami.

- Dzięki za odwiezienie Destiny - powiedział.

- Nie ma za co.

- Musiało do tego dojść, prędzej czy później.

- Nie sil się na dramat, Keith. Proszę, tylko bez dramatu. Staliśmy na wprost siebie. Jego szare oczy wpatrywały się we mnie.

- Mój rewolwer? - zapytałam.

- Patrzyłem na werandzie. Nie widziałem go.

- Przecież nie rozplynął się w powietrzu.

Chciałam, żeby to on powiedział najpierw coś głupiego, zanim zrobię to sama.

- Co tu robisz? - spytałam.

- Wiesz, że cię kocham, prawda?

- Jakie złe wieści przynosisz tym razem?

- O co ci chodzi?

- Jesteś seropozytywny? Masz raka? Zaciągnąłeś się i wylatujesz do Iraku? Zawsze robisz taką szczenięcą minę i mówisz mi, że mnie kochasz, zanim oznajmisz mi coś strasznego.

- Żadnych złych wieści. Kocham cię. I tyle. Odsunęłam się, żeby mógł wejść.

Wejść.

Wchodzenie do mnie było przyczyną sytuacji, w jakiej się znalazłam. Pomyślałam o tym dniu, kiedy wyszliśmy z kina, pierwszym dniu, w którym zobaczyłam Carmen i ich dziecko. Myślałam o tym jednym jedynym momencie, kiedy padło ziarno zazdrości, które wszystko zmieniło. To było szaleństwo. Miłość to szaleństwo.

- Co robisz?

- Miałam właśnie iść pod prysznic i umyć sobie włosy. Obróciłam się i ruszyłam w stronę kuchni. Keith zamknął drzwi wejściowe i poszedł za mną.

Te oczy. Te jego powściągliwe ruchy. Wciąż działa na mnie tak jak w dniu, kiedy zobaczyłam go po raz pierwszy.

Usiedliśmy przy blacie kuchennym na wysokich stołkach.

- Twoja żona to twarda sztuka.

- Trzęsie całą swoją rodziną.

- Gdyby spojrzenie mogło zabijać. Patrzyła na mnie tak, jakbym uprowadziła twoje dziecko.

Przez chwilę obydwójce nic nie mówiliśmy. Pragnęłam go znienawidzić. Nie potrafiłam.

- Dlaczego nie postawisz się tej suce?

- Stawiam się od osiemnastu lat. Jestem tym już po prostu zmęczony. To coś więcej niż tylko pokrzykiwanie i udawanie głupiego. Czasami człowiek musi pomyśleć. Stoczyłem z Carmen więcej bojów, niż możesz sobie wyobrazić. Człowiek krzyczy tak długo, że potem już nie czuje tego, że krzyczy. Jedyne skutki są takie, że można stracić głos. Ja swój straciłem dawno temu.

- Jesteś głodny? - spytałam.

- Niespecjalnie.

- Napijesz się czegoś?

- Easy Jesus?

- Wody. Wpij przynajmniej trochę wody.
- Jasne.
Chwilę później wręczałam mu szklankę z wodą.
Jego palce dotknęły moich.
Nie cofnęłam się przed jego dotykiem.
Jego dłoń okryła moją.
Wciąż nie uciekałam przed jego dotykiem.
Odstawił szklankę na blat i przyciągnął mnie bliżej siebie.
Czułam się taka słaba.
Jego usta dotknęły moich ust.
Omdlewałam w jego ramionach jak nigdy dotąd. Miał takie miękkie wargi, taki gładki język.
Miałam oczy otwarte, a mój oddech stawał się ociężały, kiedy patrzyłam na niego. Keith spoglądał mi prosto w oczy.
Jego język ślizgał się po moim, krążył w moich ustach. Całował mnie długo.
Jego pocałunki były jak zalewanie cukru wodą.
- Czy ty masz pojęcie, jak bardzo cię kocham, Billie? Palcami zakryłam mu usta.
Moje ciało przy jego ciele.
- Nie mówmy... nic nie mów - powiedziałam.
- Zapomnij o wszystkim, co powiedziałem w Starbucksie. Zapomnij o tym. Chcę, żebyś urodziła nasze dziecko.
- Nie baw się tak ze mną, Keith.
- Billie... Nie pozbywaj się tej ciąży. Wybacz mi to, co powiedziałem. Postąpmy właściwie.
- Skąd taka zmiana?
- Najlepsze, co mnie w życiu spotkało, to ty, Billie. Nie chcę cię stracić. Znów położyłam palce na jego wargach.
- Ja postępuję właściwie - powiedziałam. - To najlepsze, co można zrobić. Dla wszystkich.
- Przesadziłem. Tuż przed tym, jak spotkałem się z tobą w Starbucksie, miałem poważne starcie z Carmen, czułem się przyparty do ściany, zagnany w pułapkę i wynikiem tego był mój nastrój. Nie myślałem jak należy, wiesz o tym, prawda?

- Nie. Miałaś rację. Powinnam najpierw wyjść za mąż. Albo mieć przynajmniej życiowego partnera. Albo chociaż normalny układ. Dlaczego miałabym pakować niewinne dziecko w sam środek tego bagna?

-Billie...

- Ożenisz się ze mną, Keith?

- Gdybym mógł... ale... Billie... wiesz, że nie mogę. Nie teraz.

- Więc możesz wracać do domu, do swojej żony, do córki, do swoich sesji terapeutycznych. Nic cię tu nie trzyma. Nie odezwę się więcej do ciebie, możesz oznajmić to swojej żonie, kiedy wrócisz do domu.

Mówiłam zdecydowanym tonem i odwróciłam się do niego plecami. Płakałam. Nie chciałam tego, ale płakałam.

Keith wziął głęboki oddech. Wciągnął mój zapach. Odgarnął moje włosy i przytknął gorące wargi do mojej szyi. Odchyliłam głowę do tyłu i pocałowałam go, podczas gdy łzy spływały mi po twarzy i ściekały do ust, zaprawiając nasze pieszczoty słonym posmakiem. Całowałam go i czułam, jak twardnieje. Położył dłonie na moich piersiach, a wtedy odsunęłam się i dotknęłam jego krocza. Jego ręce zaczęły się zsuwać w dół. Rozpiął mi spodnie na tyle, by móc wsunąć tam dłoń. Poczulałam, jak jego palce błędzą coraz dalej, i całowałam go jeszcze mocniej, gdy jeden z nich wślizgnął się we mnie.

- Lizaleś jej szparkę, Keith?

- Nie.

- Pieprzyłeś ją?

- Nie

- Pieprzyłeś się z nią, odkąd jesteśmy razem?

- Nie.

- Pozwoliłeś jej, by ci obciągnęła. Co to miało znaczyć?

- To nie była miłość, Billie.

- A co to było?

- Nienawiść. Chciałem wcisnąć jej w gardło całą moją złość. Chciałem, by zadławiła się na śmierć. Chciałem... A wtedy ty zapukałaś do drzwi. Moja nienawiść musiała się na tym skończyć.

We mnie. Pod prysznicem wziął mnie od tyłu. Przycisnęłam twarz do wykafelkowanej ściany, a ciepła woda obmywała moje ciało. Keith trzymał mnie za biodra. Wciąż powtarzał, że mnie kocha. Był tak głęboko.

Kiedy kończył, ścisnął mnie tak mocno i wydał dziki jęk, jakby uwolnił z siebie całe napięcie.

Dochodziłam tak samo, dochodziłam mocniej, głośniejsz niż zazwyczaj.

Nasz pot mieszał się z wodą, kiedy tak staliśmy przytuleni, trwając w niezręcznym milczeniu. Przerażającym milczeniu. Keith złapał oddech i pomógł mi umyć włosy. Dotyk jego dłoni był taki przyjemny. Delikatnie drapał moją głowę paznokciami. Spłukał mi włosy, wtał w nie odżywkę, po czym znów spłukał. Czułam, że temperatura mojego ciała znacznie wzrosła po tak silnym szczytowaniu.

- Próbowalesz zadławić ją na śmierć - powiedziałam.

- Chciałem wbić... wcisnąć to... w jej gardło. Chciałem zadławić ją na śmierć.

- To by nie wyszło.

- Dlaczego nie?

- Mogłaby cię naprawdę mocno ugryźć.

- Nie ma sukcesów bez poświęceń.

Owinięci ręcznikami poszliśmy do mojej sypialni.

Wchodząc, przystanęliśmy na chwilę i utkwiliśmy wzrok w rozbitym oknie, które zakrywała teraz tandetna folia. Wszystko, co dotyczyło tego związku, było rozbite. Wymagało wymiany.

Keith podszedł do okna i przyglądał się zniszczeniom.

- Siostra Viviane została napadnięta - powiedziałam.

- Napadnięta?

- Ktoś pobił Q. Wszyscy mamy ciężki weekend.

- Gdzie to się stało?

- Na Crenshaw. Niedaleko stąd. - Okręciłam głowę drugim ręcznikiem. - Wciąż jeszcze leży w szpitalu, ma poważne obrażenia. Jacyś obłąkani ludzie w tym Los Angeles.

Kiedy się wycieraliśmy, zadzwoniła komórka Keitha. Spojrzał na wyświetlacz i odłożył telefon.

- Odkąd pokazali nas w wiadomościach, wszyscy dzwonią - skomentował.

Wiedziałam, że powinien już iść. Obiecałam sobie, że nie będę go zatrzymywać, że pozwolę mu wyjść.

- Billie... - odezwał się, patrząc na mój brzuch.

- Nic nie mów, Keith. Nic nie mów. Wtedy jego usta znów dotknęły moich piersi.

Obróciłam się, a on zjadł ze mnie ręcznik i zaczął całować mnie między nogami. Pozostał tam na dłuższą chwilę, powodując, że jęczałam, wiłam się i wykrzykiwałam jego imię, a kiedy byłam już bliska orgazmu, wrócił na górę i znów we mnie wszedł. Całował mnie i całował, i całował.

Znów doprowadził mnie do ekstazy.

Potem przeszedł w ostry galop, wyprężył się i osiągnął szczyt. Leżał na mnie, ciężko dysząc.

Moja dłoń wędrowała tam i z powrotem, kreśląc list miłosny na jego spoconej skórze.

- Urodzisz nasze dziecko - wyszeptał Keith. - Poradzimy sobie.

- Kiedy ty zamieszkaż z Carmen, a ja zostanę tutaj sama? Odepchnęłam go od siebie. Usiadłam i wplotłam dłonie w mokre włosy.

Keith zaczął masować moje ramiona. Były takie spięte. To było nawet przyjemniejsze niż seks, który uprawialiśmy przed chwilą.

- Urodzisz to dziecko - powiedział.

- Jesteśmy spłukani, pamiętasz? Opiekunka do dziecka, prywatna szkoła, Chuck E. Cheese. Wszystko kosztuje fortunę.

- Urodzisz to dziecko.

- A ty wciąż jesteś żonaty. Twój pozew rozwodowy został oddalony. Nie masz zamiaru składać tych papierów od nowa. To nic przyjemnego być w ciąży... mieć dziecko z pełnoprawnie żonatym mężczyzną, wiesz?

- Urodzisz to dziecko.

- I co? Mam być twoją kochanką? I przez resztę życia mieć do czynienia z Carmen? Ona jest zdecydowana, by zniszczyć życie tobie i każdemu, kto stanie jej na drodze.

Keith przestał mnie masować. Wstał i znów podszedł do tego wybitego okna.

- Czemu ona o mnie nie wiedziała? - zapytałam.

- Co?

- Zanim wpadliśmy na nią przypadkiem. Dlaczego nie powiedziałeś jej wcześniej?

- Nie doprowadzaj mnie do obłądu.

- Dlaczego Carmen nie wiedziała o mnie? Dlaczego nie poznałam twojej córki? Wkurwia mnie to, że nigdy nie miałam odwagi, by cię zapytać. Kim ja do cholery byłam? Twoją tajemnicą? Rozrywką poza domem?

- Nie rozmawialiśmy w ten sposób. Nie pytałem jej, z kim się widuje, i vice versa.

- To dlaczego nie poznałeś mnie ze swoją córką?

- Poznałaś Carmen. Powiedz mi, czy dzięki temu poczułaś, że jest między nami lepiej?

Opadłam na łóżko. Nie podobała mi się jego odpowiedź, ale zaakceptowałam ją.

Keith położył się na mnie i zaczął całować. Wtedy zadzwonił jego telefon.

Wstał i spojrzał na wyświetlacz.

- Co się dzieje, Carmen - krzyknął.

Obróciłam się na bok, tyłem do niego i utkwiłam wzrok w rozbitym oknie.

Myślami wróciłam do dnia, w którym po raz pierwszy spotkałam jego żonę. Jego dziecko. Jego rodzinę.

Carmen. Włosy spięte w kok. Od stóp do głów odziana w czarny komplet Donny Karan. Jej buty musiały kosztować więcej niż roczny czynsz w niejednym mieście. Taka klasa w miejscu, które było takie zwyczajne. Prócz skórzanej kurtki, którą niosłam w ręku, miałam na sobie dzinsy, niezgrabne motocyklowe buty i dwa podkoszulki Old Navy, biały, a pod nim zielony. Nie włożyłam stanika, a włosy zebrałam w koński ogon. Na moim lewym ramieniu widniał wytatuowany smok, taki sam, jaki nosiła moja matka na znak zamiłowania do buddyzmu.

Była z córką, ale zaledwie ją dostrzegłam. Za bardzo skupiłam się na Carmen.

I na tym, jak zareagował Keith.

Jak się naprężył, jak zmieniła się mowa jego ciała.

W tym dniu Keith był ubrany w dzinsy Nike'a i sportowy podkoszulek bez rękawów. Wyglądał cholernie dobrze.

- Masz... tatuaż? - powiedziała jego żona.

- Tak, mam - skinął głową.

Carmen zacisnęła wargi, a jej dłoń spoczęła na ramieniu córki. Wpatrywała się w Keitha. Przez chwilę wszyscy trwaliśmy w milczeniu. Keith miał wytatuowany ornament w stylu tribal wokół prawego ramienia. Pamiątka z naszego wypadu na Venice Beach przed dwoma miesiącami.

Przekonałam się, że Carmen nie widziała go nagiego. Przynajmniej od pasa w górę. Carmen gapiała się mnie, a ja na nią.

To główniane samopoczucie. Miałam ochotę uciec. Nie byłam ubrana stosownie do takiego momentu. To był styl odpowiedni do jazdy na motocyklu, ale nie zapoznawania się z wkrótce już była żoną i dzieckiem swojego faceta. W konfrontacji z klasą Carmen potrzebowałam doraźnej interwencji stylistki.

Jednak czy mi się to podobało, czy nie, ten moment właśnie nastąpił.

Chciałam ją spotkać i poznać. Chciałam usłyszeć, jak Keith mnie przedstawi, i zobaczyć jej reakcję. Chciałam się poczuć... wyjątkowo. Wiedziałam już, że jest adwokatem. Osobą wykształconą. Ze ma dobrą posadę. Kobieta sukcesu. Ale musiałam ją spotkać. Ocenic ją. Zobaczyć, jak Keith zachowa się w jej obecności. Przekonać się, kim ona dla niego jest. Chciałam zobaczyć, jaką kobietę wybrał sobie na żonę i matkę swego dziecka, z jaką kobietą spędził ponad dziesięć lat. Nie chciałam, aby okazała się szpetna, bo oznaczałoby to, że jest pozbawiony smaku, ale też nie miałam zamiaru konkurować z olśniewającą supermodelką. Nie mogłam nic na to poradzić, ale teraz Carmen stała się zbyt realna. Bezsprzecznie panowała między nimi zażyłość. Poczulałam się jak przybłęda. Wyobrażałam sobie ich razem. Nie potrafiłam nic na to poradzić. Oczyma wyobraźni widziałam ją, jak wkłada sobie w każdy otwór wszystko to, co Keith ma do zaoferowania. Wyobraziłam sobie, jak doprowadza go do orgazmu. Jak nosi w sobie jego dziecko.

Miała gładką cerę i zgrabne ciało. Tyle widziałam. Ubrania mogą skrywać cellulit i obwisłą skórę. To, co miała na sobie, nie było zbyt seksowne, ale sprawiało korzystne wrażenie. Jak na osobę w jej wieku i mającą dziecko.

Dokonałam samooceny. Spędzałam w siłowniach naprawdę sporo czasu, by utrzymać formę. Żaden kochanek nie mógłby mieć zastrzeżeń,

ale nie byłam specjalnie przeczulona na punkcie swojego ciała. To było Los Angeles. Każdy w La-La Land miał wpojone kompleksy na punkcie własnego wyglądu.

Jego córka przyglądała się mojemu ubiorowi.

- Fajna kurtka - powiedziała.

- Ty pewnie jesteś Destiny - skinęłam głową.

Dziewczynka miała włosy spięte w kucyk. Okulary przeciwsłoneczne, dzinsy Baby Phat i opiętą bluzkę na ramiączkach. Pokolenie hip-hopu.

- To jest moja córka - powiedział Keith. - Destiny, to jest Billie. Jego córka. Dowód na to, że Keith spał z Carmen i miał orgazm. Zrobił jej dziecko.

Dziewczynka wyglądała na zaskoczoną.

- Opowiadał ci o mnie?

- Twoja córka dzwoniła do ciebie całe rano - wtrąciła się Carmen. Keith wziął głęboki oddech.

- Carmen, to jest Billie - wyrzucił z siebie bez cienia uśmiechu. Carmen odwróciła się do niego i powiedziała, udając, że mnie nie zauważa:

- A Billie to twoja...?

Ziemia przestała się kręcić, jakby to był sądny dzień. Trzy pary oczu patrzyły na Keitha.

Niewłaściwa odpowiedź i powinnam odejść z opuszczoną głową.

- Spotykamy się ze sobą - odpowiedział zdecydowanym tonem, nie okazując Carmen żadnego uczucia.

Świat pozostał w bezruchu. „Spotykamy się”. Niejasne sformułowanie. Siatka bezpieczeństwa.

- Więc, innymi słowy, tato, to jest twoja dziewczyna? - powiedziała Destiny.

- Tak, Billie jest moją dziewczyną.

To było to. Miałam imię i tytuł. Nie jakaś laska na motorze trzymająca go za rękę. To oznaczało, że jesteśmy ze sobą, że łączy nas intymność i że planujemy wspólną przyszłość, kiedy tylko Keith upora się ze swoją przeszłością.

W oczach Carmen wezbrały złowieszcze chmury burzowe. W jej źrenicach połyskiwały błyskawice.

- Nie wiedziałam, że masz dziewczynę, tato - powiedziała jego córka, nie kryjąc konsternacji.

Na moich ustach pojawił się słaby, niepewny uśmiech. Chciałam, aby ktoś zabrał mnie z tej planety, zanim sytuacja stanie się całkiem krępująca.

- Twój ojciec dużo mi o tobie opowiadał - zwróciłam się do jego córki. Między nami znów zapanowało kłopotliwe milczenie.

Wtedy pojawili się oni. Dwoje starszych ludzi na szczycie ruchomych schodów. On miał na sobie dres Nike'a i dźwigał ogromne torby z Nordstrom Rock. Jego towarzyszka trzymała duży kubek ze Starbucksa i spojrzała w naszą stronę, marszcząc brwi. Pierwsza zauważyła ich Destiny. Wskazała na nich palcem, a wtedy w oczach Keitha pojawił się taki sam wyraz niepewności jak w moich.

Zaczęłam się zastanawiać, co może być gorszego od przypadkowego spotkania z Carmen.

- Są tutaj twoi rodzice? - głos Keitha przeszedł w chrapliwy szept, a mina stała się jeszcze bardziej bolesna.

Wpadliśmy na całą rodzinę Carmen.

- Tak. Pierwsza sobota miesiąca - odpada Carmen przez zaciśnięte zęby.

- Wiem, że jest pierwsza sobota miesiąca, Carmen.

- To dzień rodzinny, Keith.

- Wem, co to za dzień.

- Dzień rodzinny się nie zmienił. Jest wciąż ten sam.

- Wem, że się nie zmienił, Carmen.

- To dlaczego nie jesteś ze swoją córką?

- Waśnie widzę się z Destiny... Posłuchaj, to jest twój rodzinny zwyczaj, nie mój.

- Czy Destiny nie jest już twoją rodziną?

- Nawet tak nie mów.

- Więc czemu nie spędzasz z nią tego dnia?

- Jestem tutaj, mam - syknęła Destiny. - Nienawidzę, kiedy mówisz o mnie, jakbym była nieobecna.

Nie wiedziałam, co robić, co powiedzieć.

- Keith, ja... skoczę zrobić sobie manikiur... tutaj niedaleko... ten salon koło fontanny - powiedziałam.

- Nie odchodź, Billie.
- Keith...
- Carmen, nie przyprawiaj mi gęby, opowiadając takie bzdury. Powiedział to twardym, zdecydowanym tonem. Tonem mężczyzny, który się nie patyczkuje.

Ale w tym samym momencie uświadomiłam sobie, jak bardzo wypaliły go lata spędzone z Carmen.

Odwróciłam się i zobaczyłam, że reszta rodziny zmierza w naszym kierunku.

Matka Carmen ze stoickim spokojem na twarzy i zaciśniętymi ustami mierzyła nas wszystkich czujnym spojrzeniem. Od razu było widać, że Keith nie jest jej ulubieńcem. Kiedy szła w naszą stronę z wysoko podniesioną głową, na ramionach poczułam gęsią skórę. Niskie obcasy, dzinsy, włosy w kolorze soli z pieprzem, torba od Gucciego, rolex. Wyglądała jak wiekowa żona ze Stepford, jak ktoś, kto mieszka w samym sercu Wsteria Lane¹⁷. Jej oczy zlustrowały mnie na wylot, zupełnie nie zauważając Keitha. Była jak Carmen z dodatkową trzydziestką na karku.

- Zajechałaś mi drogę - tak brzmiały pierwsze słowa, jakie wypowiedziała pod moim adresem.

- Proszę? - odpadam.

- Wtedy rano, na La Brea, zajechałaś mi drogę.

- Cóż, jestem raczej przytomnym kierowcą - wzruszyłam ramionami.

- Więcej niż prawdopodobne, że to pani próbowała zajechać mi drogę. Zmarszczyła brwi. Nazywała się Miss Ruth.

- A kim ty jesteś, dziecinko? - zapytała.

Jej zachowanie, jak również akcent, ciężki i toporny, bez cienia wątpliwości świadczyły o wyspiarskim pochodzeniu. Za to twarz, ten sposób, w jaki zachowywała surową minę, niemal całkowicie pozbawioną wyrazu, mówiła mi, że jej najlepszym przyjacielem jest botoks.

- Billie - powiedziałam. - Jestem Billie.

Fikcyjna ulica, główne miejsce akcji serialu *Gotowe na wszystko*. Stereotypowy wizerunek dobrobytu i perfekcji.

Potem znów zapadła niezręczna cisza.

- Billie - odezwał się Keith. - Chciałbym ci przedstawić dziadków Destiny.

Nigdy nie zapomnę tej beznamiętnej miny, jaka pojawiła się na twarzy starszej kobiety.

Carmen. Jej matka. Jej córka.

Dopiero w tym momencie zrozumiałam, jak musiał czuć się Custer¹⁸, kiedy zdał sobie sprawę, że jest otoczony.

Ojciec Carmen przedstawił się sam. Był uprzejmy, niemal uśmiechnięty.

- Jestem William.

Mówił z akcentem, który zdradzał, że w dzieciństwie karmiono go duszonymi kurczakami, grochem i ryżem, ewentualnie solonymi rybami i papają.

Jej dziadek utykał. Ta dystygowana ułomność sprawiła, że zrobiło mi się go żal. Mogła być wynikiem obrażeń odniesionych na wojnie, gdzie walczył w obronie kraju, który nigdy nie bronił jego rodaków. W/dało mi się to dziwne, że taszczył wszystkie te torby bez żadnej pomocy, podczas gdy jego żona kroczyła przodem, niosąc kubek z kawą.

Ale zaraz. Przecież pan zawsze idzie przed swoim niewolnikiem.

Miss Ruth zmierzyła mnie wzrokiem.

- I ty jesteś... ? - zapytała.

- To jest dziewczyna taty - wtrąciła Destiny.

- Dziewczyna?

Miss Ruth przybrała nową postawę, przyglądając mi się jak sędzia, którego przysłano, aby wymierzył sprawiedliwość. Gniewnym wzrokiem zmierzyła Keitha. Zauważyła jego tatuaż i potrząsnęła głową. Stałam na wprost trzech pokoleń ludzi, których oczy wyrażały zarówno szok, jak i zażenowanie.

Miss Ruth potrząsnęła głową.

- Keith jest żonaty z moją córką - skorygowała rewelację wnuczki.

¹⁸ George Custer - dowódca wojsk Północy w okresie wojny secesyjnej. Słynął z fantazji i porywczoci. Polował na bizona, przyjaźnił się z Buffalo Billem i rosyjskim następcą tronu. Zginął w 1876 w bitwie z Indianami Dakota.

Keith chrząknął i ciągnął swoją rozgrywkę, robiąc to w sposób, który świadczył, że nie pała miłością do swych teściów, a przynajmniej do matki Carmen.

- No i w czym problem, Miss Ruth?

- Jak to, w czym problem?

- Właśnie o to pytam. W czym widzisz problem?

- A co według ciebie jest problemem, chłopcze? - Miss Ruth nie dawała zbić się z tropu.

- Nie mów, że twoja córka nie powiedziała ci, że się wyprowadziłem. Ze się rozwodzimy.

- Mama wie. Wszyscy wiedzą, Keith - powiedziała Carmen, kładąc dłoń na ramieniu matki.

- Zauważyłam, że nie nosisz swojej obrączki, Keith - powiedziała Miss Ruth. - Co to ma znaczyć?

- Nie podnoś głosu, Miss Ruth - nie ustępował Keith. - Okaż mi odrobinę szacunku i wszystko będzie w porządku, dobrze?

- Chłopcze, opuszczasz swoją rodzinę i uważasz, że nie ma żadnego problemu? - krzyknęła Miss Ruth.

- Nie opuściłem swojej rodziny.

- Ostatni raz ci mówię. Nie podnoś na mnie głosu, chłopcze.

- Z całym szacunkiem, Miss Ruth, nie opowiadaj mi takich bzdur. Nie zachowuj się, jakbyś o niczym nie wiedziała.

Miss Ruth spojrzała na swoją córkę oczyma pełnymi współczucia. Patrzyła tak, jakby Carmen była trzyletnią dziewczynką, która potrzebuje jej ochrony. Potem spojrzała na Keitha, gromiąc go wzrokiem. Rodzicielska miłość Ruth sięgała tak głęboko jak wzgarda dla człowieka, który skrzywdził jej dziecko.

- Powiedziałaś mu, co zrobiła jego córka? Ja się zachowywała?

- Nie, mam - odpada Carmen.

- Co się stało? - spytał Keith.

- To bez znaczenia, Keith - Carmen potrząsnęła głową. - Ty już się nie liczysz dla Destiny.

- Co się stało, Carmen?

Ojciec Carmen, widząc, co się święci, wziął torby z zakupami żony i pokuśtykał w stronę ławki. Usiadł na wprost baru Johnny Rockets, oto-

czony tymi torbami niczym szczelną fortyfikacją, i co chwilę zerkał na zegarek, jakby pragnął znaleźć się w jakimkolwiek innym miejscu.

- Co zrobiła Destiny? - zapytał Keith.

- Ja tu jestem - dziewczyna wywróciła oczami. - Nie mów tak, jakby mnie tu nie było.

- Destiny narobiła sobie kłopotów w szkole - powiedziała Carmen.

- Mamo, jestem tutaj.

- Keith, chciałabym, żebyś z nią porozmawiał - kontynuowała Carmen.

- Co się stało, Destiny? - Keith zwrócił się do córki.

- Nieomal wdała się w bójkę.

- Biała dziewczyna drażniła się z nią - wtrąciła Miss Ruth.

- Ja tego nie zaczęłam - powiedziała Destiny. - Dyskutowałyśmy na temat teorii inteligentnego projektu i powiedziałam jej, że nie czuję tego tematu, bo nie mam do czynienia z nauką, a ona nazwała mnie wyrzutkiem. Powiedziała, że pójdę do piekła. A ja jej powiedziałam, że jeśli w niebie mają być ludzie tacy jak ona, to wolę znaleźć się w piekle. Wtedy ona znów nazwała mnie wyrzutkiem. No to uderzyłam ją w oko.

- Dała tej białej nauczce, jak trzeba - odezwała się jej babka. - Tak samo jak moja córka, kiedy była w jej wieku. Biała dziewczyna wszczęła rozróbę, a te rasistowskie świny mówią, że nie będą więcej tolerować mojej wnuczki, a przecież ona tylko się broniła.

- Miss Ruth, proszę - powiedział Keith, po czym zwrócił się do córki.

- Usunęli cię ze szkoły?

- Mieli taki zamiar - odezwała się Carmen. - Ale temu zapobiegłam.

- Jak, Carmen? Wniosłaś pozew przeciw szkole?

- Nie. - Carmen wzięła głęboki oddech. - Ten incydent wymagał dotacji w wysokości ośmiu tysięcy dolarów.

- Skąd wytrzasnęłaś osiem tysięcy? - jęknął Keith.

- Pożyczyłam od taty.

- Pieniądze wszystkiego nie rozwiążą, Carmen.

- No cóż, gdybyś był w domu ze swoim dzieckiem, Keith... może nie mielibyśmy takiego problemu.

- Jestem tu. Mamo, halo. Nie mówcie o mnie, jakbym była na Księżycu.

- Osiem tysięcy dolarów? - Keith ciągle nie mógł uwierzyć.

- Można je odliczyć od dochodu przed opodatkowaniem. Nie jestem głupia.

- Pieniądze niczego nie rozwiązują, Carmen - powtórzył Keith.

- Pieniądze niczego nie rozwiązują? To brednie - wtrąciła się babka. - Tu jest Ameryka.

- Z całym szacunkiem, nie mówiłem tego do ciebie, Miss Ruth.

Keith przytulił swoje dziecko. Ich dziecko. Pionek na ich szachownicy. Dziewczyna odwzajemniła uścisk. Objęła go niezdarnie, ale bardzo mocno. Odeszli na bok, aby przeprowadzić poważną rozmowę ojca z córką. Carmen i ja patrzyłyśmy na siebie, ćwiartowałyśmy się nawzajem spojrzeniami ostrymi jak skalpele.

Z kubkiem kawy w ręku Miss Ruth poprawiła swoją torebkę od Gucciego i opuściła nas, by stanąć obok swojego męża. Idąc, kręciła podstarzałymi biodrami, jakby była królową piękności u szczytu kariery.

Carmen cały czas stała naprzeciwko mnie. Miałam ochotę ukryć się cała za swoją twarzą.

Od miesięcy pragnęłam ją poznać. Teraz tego żałowałam. To miało wyglądać inaczej.

- Dziewczyna - powiedziała Carmen, bawiąc się swoją obrączką ślubną.

Przytaknęłam.

- Muszę przyznać, że jak dotąd jest to najbardziej upokarzający moment w moim życiu.

Nic nie odpowiedziałam. Zerknęłam na Keitha z nadzieją, że pospieszy się, nim zdążę tu skończyć.

Własne terytorium. Jej słowa, postawa, każdy jej oddech broniły własnego terytorium.

Otaksowała mnie wzrokiem i pokręciła głową. Udawałam, że mnie to nie peszy. Chciałam zaprowadzić pokojowe stosunki, zawrzeć jakieś porozumienie, które pozwoliłoby mi odnaleźć się w tej sytuacji.

- Ładny kostium - powiedziałam.

Tak zazwyczaj robią kobiety. Zawsze szukamy okazji, by prawić sobie nawzajem komplementy. Włosy, stroje, buty, nawet jeśli tak naprawdę mamy inne zdanie. Ale ona była w zupełnie innym nastroju niż ja.

- Przestań, suko - krzyknęła.

To mnie rozbroiło. Coś z tą kobietą było nie tak. To samo dostrzegłam w oczach jej matki. I ten sposób, w jaki na początku patrzyła na Destiny. W jej spojrzeniu też było to coś.

Stałam między trzema pokoleniami, z którymi było coś nie tak.

Carmen przyjrzała mi się, wodząc wzrokiem z góry na dół.

- Od jak dawna... ty i Keith jesteście... właściwie kim wy jesteście?

- Jeśli pytasz o to, czy byliśmy razem, kiedy jeszcze mieszkał z tobą, to...

- Tak, dokładnie o to pytam.

- Nie chcę poruszać z tobą tego tematu. Spytaj Keitha.

- Pytam ciebie. Od jak dawna pieprzysz się z moim mężem?

To mnie osadziło w miejscu. Nie powstrzymało. Po prostu osadziło. Nagła złość zwykle tak działa.

Doszłam do siebie i obdarzyłam ją jadowitym uśmiechem, stając się tak samo drobiazgowa jak ona.

- Przepraszam, ale życie w separacji, prawda? - powiedziałam. - Keith złożył pozew rozwodowy, tak? Myślę, że właśnie to potwierdził dwie minuty temu.

Dotknęło ją to do żywego. Jej oczy miały jeszcze więcej gromów.

- I uważasz się za jego dziewczynę?

- Czy będziemy miały ze sobą problemy, Carmen?

- Nie czuj się zbyt pewnie.

- Pewnie? Widziałaś jego nowy tatuaż?

- Tatuaż można usunąć.

- Czy to groźba?

- To jest fakt.

- No cóż, Carmen. Słyszałaś, co mówił.

- No cóż, Billie. Wsi mi, gdzie będzie miał tatuaze. Wciąż jestem jego żoną.

- No, no.

- A skoro ja jestem żoną, ty jesteś jego kochanką.

- Doprawdy?

- Wypastuj mi fokę.

- Co proszę?

- Jesteś tylko jego kurewką.

Odwróciła się i podeszła do swej matki. Wyspiarska dziewczyna, to pstrykanie palcami i cała jej postawa. Wzgardzona żona. Babka z nienawiścią w oczach. Obie rozmawiały, zerkając na mnie z ukosa.

Ojciec Carmen potrząsał głową, ze wzrokiem utkwionym w podłogę.

Matka Carmen poruszyła się, pchnęła lekko zawstydzoną córkę, nadając kierunek jej krokom.

Carmen skinęła głową i kręcąc biodrami, podeszła do Keitha. Położyła dłoń na jego ramieniu. Ten drobny gest wprowadził mnie w zakłopotanie.

Ojciec Carmen jeszcze bardziej potrząsał głową, kierując spojrzenie w dal.

Matka Carmen uśmiechnęła się. Jej uśmiech był tak szeroki jak San Francisco Lombard Street. W moim wnętrzu coś pękło.

Ta część mnie, która kierowała się logiką, rozpadła się na drobne kawałki.

A te drobne kawałki rozpadły się na jeszcze mniejsze jak mikroskopijny pył.

Otrząsnęłam się z tych kłopotliwych wspomnień i spojrzałam na Keitha.

Był nagi jak moje emocje. Wciąż rozmawiał przez telefon z Carmen. Wewnątrz mnie rozlewał się jego orgazm. Miliony plemników na bezcelowej wyprawie.

Nienawidziłam siebie. Miałam ochotę wbić sobie paznokcie w ciało i rozrywać je aż do kości.

Najwyraźniej serce domagało się swego. Serce chciało zwyciężyć.

Podeszłam do szafy i otworzyłam ją. Zobaczyłam je od razu. Moje porzucone pigułki antykoncepcyjne. Pigułki, które przestałam zażywać parę miesięcy temu. Odstawiłam je kilka dni po tym, jak wpadliśmy na Carmen i jej rodzinę. Wyglądało to tak, jakby wszystko nagle się zmieniło tego wieczoru, kiedy Keith i ja wyszliśmy z kina i spotkaliśmy jego żonę z dzieckiem. Stałam się zazdrosna. Niepewna. Przestraszona. Bałam się, że mogłabym go stracić. Chciałam, aby skoncentrował się na mnie.

Miłość odbiera rozum. Popycha do desperackich kroków. Oglupia inteligentne kobiety. Obawa przed utratą mężczyzny, którego kochamy, sprawia, że popełniamy największe kretynstwa.

Okłamałam go. Powiedziałam mu, że łykam te pigułki. A przestałam to robić, bo... bo czułam się niepewnie... obawiałam się, że mogę stracić Keitha. Ale przecież nie mogłam stracić tego, czego nigdy nie miałam.

Położyłam dłonie na brzuchu i potrząsnęłam głową. Tak bardzo było mi wstyd.

Czasem najlepszym rozwiązaniem jest wycofać się z pola walki, aby zapobiec konfliktowi.

Mój ojciec zawsze tak mówił.

Żałowałam, że powiedziałam mu o ciąży. Żałowałam, że nie pozwoliłam, aby najpierw poinformował mnie o swoim powrocie do Carmen, zanim zdążyłam otworzyć usta, by oznajmić mu, że noszę w sobie jego dziecko.

Było już za późno.

Kiedy wróciłam, Keith właśnie się ubierał. Kręcił głową, a jego twarz wyrażała gniew.

- Co się dzieje? - zapytałam.

- Muszę iść.

Moje hormony... wymykały się spod kontroli. Czułam się taka bezbronna, tak cholernie opuszczona.

- Ona dzwoni. Ty biegniesz - powiedziałam.

- Podwiezie Destiny do mojego mieszkania.

- Czy twoja córka nie może zostać jeszcze trochę u swoich dziadków?

- To moje dziecko, nie ich.

- Chodziło mi o to, że i tak już jest u nich.

- Billie - westchnął ciężko. - Teraz... po tym, co dziś się stało, chcę być z nią. Nie masz pojęcia, jak podle się czułem. Zielonego pojęcia. Stanać twarzą w twarz z całym światem, dając wszystkim do zrozumienia, że byłem... byłem... nieodpowiedzialnym ojcem. Wszyscy teraz dzwonią, wypyują. Nie masz pojęcia, jak to jest modlić się, żeby nic złego jej się nie stało. Myśleć, że może gdybym był z nią, to... Skinęłam głową, jakbym go rozumiała. Albo chciała zrozumieć. Wiedziałam jednak, że nigdy mi się to nie uda.

Łzy napłynęły mi do oczu. Coś we mnie pękło.

- Nie zniosę tego dłużej - powiedziałam łamiącym się głosem.
- Co ja takiego robię, Billie?
- Kochasz się ze mną... wchodzisz we mnie... rozbudzasz mnie... sprawiaasz, że czuję się piękna, a potem... ona dzwoni do ciebie... a ty wychodzisz sobie ot tak... nie... będę się czuła jak śmieć, kiedy to zrobisz.

Wziął głęboki oddech i zwiesił głowę.

- Muszę być w domu, kiedy ona przywiezie mi Destiny - powiedział. I wciąż tak samo, od nowa.

- Rozumiem - ocierałam łzy.

- Nie każ mi wybierać. Nie dziś.

- Nawet nie próbuję tego robić.

- Więc w czym problem?

- Powinieneś wiedzieć, gdzie w twoim świecie jest miejsce dla' mnie.

Wziął mnie na moment w objęcia.

- Ty jesteś moim światem.

Znów odezwała się ta jego cholerna komórka.

- Chyba niezbyt szybko reagujesz na wołanie swojej pani.

Jęknął. Czułam, jak frustracja krąży w jego żyłach, jak rozprzestrzenia się wraz z każdym oddechem.

- Co możemy zrobić? - zapytał. - Co mam zrobić, żeby było lepiej? Powiedz mi. Jeśli to możliwe, zrobię to.

- Zastanawiam się, czy gdybym urodziła to dziecko i zadzwoniła do ciebie, przyszedłbyś tak szybko... albo gdybym była sama. Ale tu nie chodzi o mnie. Myślę o dziecku. O tym, co powiedziałaś na temat swojego czasu... Zresztą nieważne.

- Nie chcę stawać przed koniecznością wyboru między Destiny i naszym nienarodzonym dzieckiem. A co, jeżeli... uchwaj Boże... nasze dziecko będzie chore... astma... niedokrwistość... wysypka... będzie wymagać opieki... mojej obecności... a wtedy coś stanie się Destiny... zachoruje... będzie mnie potrzebować... przy tym, jak jest między tobą a Carmen... czy przepołować swoje serce, żeby opanować taki kryzys? Dokądkolwiek bym poszedł, będzie wyglądało, jakbym mniej kochał to drugie dziecko. To jakiś koszmar.

- Destiny... jest prawie dorosła.

- Ale dla mnie wciąż jest małą dziewczynką. Nieważne, czy ma piętnaście lat, czy pięćdziesiąt, zawsze będzie moją dziewczynką. Ona ma swoje uczucia. Dziewczyna potrzebuje swojego ojca. Widziałas to dzisiaj. Widziałas dziewczynę, która potrzebuje ojca.

Moje życie było skomplikowane, ale nigdy aż tak jak teraz. Zamknęłam oczy. Tak bardzo pragnęłam, aby był ze mną mój ojciec. On znalazłby na wszystko rozwiązanie.

- Gdybym mógł przeciąć się na pół i być przy tobie bez przerwy, zrobiłbym to.

- Nie wymagam tego od ciebie.

- Owszem, wymagasz. Za każdym razem, kiedy wycinasz mi taki numer, właśnie tego ode mnie wymagasz.

- Chciałabym tylko... miałam nadzieję... myślałam, że zostaniesz trochę dłużej.

- Kiedy tylko wszystko się uspokoi, kiedy tylko przyjedzie do mnie Destiny, zadzwonię do ciebie.

Wypuścił mnie z objęć. Zrobiłam to samo, a on niemal pobiegł do drzwi. Dokonał wyboru, nie miałam co do tego wątpliwości. Kiedy był już na zewnątrz, obejrzał się na mnie. Miał poważną, zakłopotaną minę.

Zrobił krok naprzód, po czym odwrócił się.

- Wszystko będzie dobrze? - zapytał.

Czekał na odpowiedź. A moja odpowiedź była zbyt trudna do udzielenia.

Wtedy znów odezwał się jego telefon. To była nasza odpowiedź.

- Nie dzwoń do mnie. Nie wracaj tu - powiedziałam.

- Billie...

Zanim zdążył coś powiedzieć, zatrzasnęłam drzwi, przekręciłam zamek i wróciłam do siebie.

Zaciśnięte gardło. Fala gorąca zalewająca twarz. Nogi tak miękkie, że ledwie mogłam stać.

Opadam się o ścianę, opuściłam głowę i położyłam ręce na brzuchu. Nie mogłam powstrzymać łez.

BILLIE

- Ducati, wszyscy widzieli cię w wiadomościach.

Miałam rozpuszczone włosy i pełny makijaż, a na podkoszulku napis „O krok od getta”. Inni nosili podkoszulki z nową twarzą Michaela Jacksona i powtarzającym się jedenaście razy słowem „Niewinny”. Mnie najbardziej podobały się te z hasłami „Zamknąć Gitmo” i „Bush powinien umówić się z sędzią Judy”¹⁹.

Ale to na mnie skupiała się cała uwaga.

- Ducati, jesteś gwiazdą.

I tak było przez cały wieczór. Ludzie, którzy znali mnie jako Ducati, okazywali mi uwielbienie. Tkwiłam za barem i wyglądało na to, że przyszło mnie zobaczyć więcej ludzi, niż zwykle przychodziło na koncert.

Kiedy minęła północ, leciałam z nóg. Byłam cholernie zmęczona, ale musiałam wciąż być w ruchu. W ciągu ostatnich dwóch dni nie zmrużyłam oka ani na chwilę. Wątpiłam, czy i tej nocy uda mi się porządnie wyspać.

Sala była wypchana po brzegi. Ponad dwieście rozpalonych ciał, w większości stojących. Na scenie była Simfani Blue, która na akustycznej gitarze wygrywała ostatnie takty tytułowego kawałka z albumu *Love Addiction*.

Wszyscy w sali, zjednoczeni, trzymając się za ręce, podążali alejką wspomnień.

Miłość to narkotyk, każdy o tym wie. Uzależniamy się od niej jak Tyrone, postać, którą gra David Chapelle.

Mężczyźni też śpiewali. Znali tekst, a paru z nich wyglądało na poważnie uzależnionych.

Judy Sheindlin była sędzią sądu rodzinnego, która występuje w serialu dokumentalno-fabularnym z gatunku court-show *Judge Judy* (Sędzia Judy), nadawanym przez amerykańską telewizję od 1996.

Dwaj klienci wzięli swoje drinki i odeszli od baru. Wtedy ją zobaczyłam. To była ona. Stała na wprost mnie. Nie miałam pojęcia, od jak dawna tak mi się przyglądała.

Carmen.

Potknęłam się i omal nie upuściłam szklanki. Carmen przyszła do mojej pracy, nachodziła mnie, gapiała się na mnie. Była ubrana w dżinsy. Drogie buty, wytworne kolczyki, kolorowy szal. Makijaż. Bez skazy.

Wyglądała jak dziesięć kilo nienawiści w trzykilowym opakowaniu. Przez chwilę mierzyłyśmy się wzrokiem. Carmen opada się o bar.

- Mimożę poproszę.

Jej ton, protekcyjnalny i uwłaczający. Jakby miała zamiar zrobić ze mnie swoją służącą.

- Nie jestem twoją czarną posługaczką, laluniu - powiedziałam.

- Co proszę?

Moje hormony buzowały. Odwróciłam się i podeszłam do innych klientów.

Niczym wyczekująca hiena wodziła za mną oczami bez wyrazu.

- Możemy porozmawiać? - odezwała się ponownie.

- Nie ma za co.

- Nie ma za co? - sprawiała wrażenie zdumionej.

- Żółty motocykl na zewnątrz. Ten, który minęłaś, wchodząc tutaj. Na tym motocyklu siedziała dzisiaj twoja córka. Może mnie nie poznajesz, ale to ja ją znalazłam.

Jej usta wydeły się w gniewnym uśmiechu.

- Wyznaczyliśmy nagrodę za znalezienie naszego dziecka - powiedziała podniesionym głosem, przekrzykując muzykę.

Spojrzałam na nią sceptycznie, potrząsając głową.

- To dla ciebie takie trudne powiedzieć po prostu „dziękuję”?

Z ekskluzywnej torebki wyjęła kopertę i przysunęła ją w moją stronę po barze.

- To nagroda.

- Nie chcę od ciebie pieniędzy w nagrodę - pokręciłam głową.

- Więc potraktuj to jako napiwek.

Odeszła powabnym krokiem, zostawiając na barze kopertę wypchaną pieniędzmi. Zajrzałam do środka. Wewnątrz znajdował się gruby plik banknotów studolarowych. Wepchnęłam kopertę do tylnej kieszeni spodni.

Pięć tysięcy dolarów. Nigdy nie miałam w ręku tyle gotówki. Ta koperta była taka lekka i zarazem taka ciężka.

Carmen szła w stronę głównego wejścia. Chciała to załatwić na zewnątrz, z dala od hałasu.

Stała przy drzwiach, ale nie miała zamiaru wychodzić.

Nie zarabiałam tu kroci, ale była to moja praca. Miejsce, w którym dobrze się czułam. Tymczasem Carmen wniosła tu swoją negatywną energię i roztaczała ją wokół jak tumany gryzącego dymu.

Powiedziałam innym barmanom, że muszę na moment wyjść i żeby wezwali patologa i noszowych, gdybym nie wróciła za piętnaście minut, bo ktoś może być martwy albo ciężko ranny. Spięłam włosy, zdjęłam biżuterię i żałowałam, że nie mam czasu natrzeć twarzy wazeliną, tak na wszelki wypadek.

Potem wyszłam na Wilshire Boulevard. Noc była trochę chłodna.

Szłam obok niej z założonymi ramionami. Chciałam tę przykrą sprawę załatwić na uboczu.

Ośmiocentymetrowe obcasy stukały z każdym jej krokiem.

Wtórowały im moje, wysokie na dziesięć centymetrów.

Carmen zatrzymała się pierwsza. Przystanęłam jakiś metr od niej. Nie za blisko, gdyby chciała mnie zaatakować, ale też nie za daleko, gdybym uległa nieodpartemu impulsowi skopania jej dupy.

Sięgnęłam do tylnej kieszeni, wyjęłam kopertę i rzuciłam jej pod nogi.

Przykucnęła i podniosła ją, posyłając mi wykrzywiony uśmiech i kręcąc głową, jakby miała do czynienia z idiotką.

- Keith jest moim mężem - powiedziała. - A ja jego żoną. Jesteśmy rodziną. Mamy dziecko.

- Przestań się powtarzać i przejdź do rzeczy. Wzięła głęboki oddech, odchrząknęła.

- Chcę to załatwić w taki sposób. Żadnych kobiet z dziećmi na boku, żadnych innych kobiet, z którymi musiałabym mieć do czynienia na jakiegokolwiek płaszczyźnie, żadnych dodatkowych rodzin, żadnych odwiedzin. Chcę... żeby było, jak gdyby...

- Jak gdybym nie istniała.
- Dokładnie - przytaknęła.
- No cóż, ten pomysł możesz sobie odpuścić. Spodziewam się dziecka.
- W takim wypadku... - oblizała wargi i uniosła dłoń. - Jesteśmy skłonni ci to zrekompensować.
- Co chcesz przez to powiedzieć?
- Zrekompensować twoją psychiczną udrękę. Wszystkie niedogodności.
- Żadasz ode mnie... - przerwałam i odchrząknęłam. - Czego żadasz?
- Żyjemy w czasach kontroli narodzin, sprawę Roe przeciwko Wa-de'owi²⁰ mamy już za sobą. Można powiedzieć, że teraz pora na twój ruch. Mamy znacznie mniej do powiedzenia. A więc decyzja całkowicie należy do ciebie.
- Dlaczego nie skończysz z tymi uprzejmościami? Powiedz, co masz do powiedzenia, i odejdz.
- Masz rację. - Carmen przyjęła stanowczą postawę i ton. - Przestańmy wciskać sobie nawzajem te bzdury, Billie.
- Dokładnie tak, Carmen.
- Jesteś w ciąży albo z wyboru, albo dlatego, że nie zrobiłaś nic, aby temu zapobiec.
- Keith wiedział, że jest takie prawdopodobieństwo.
- Na litość boską, on jest mężczyzną.
- To znaczy?
- To znaczy, że jeśli rozłożysz szeroko nogi, jeśli jesteś na tyle pociągająca i jeszcze młoda... mężczyźni to oportunistyczne stworzenia, więc jeśli rozłożysz nogi, pośliznie się taki na skórcie od banana i już go masz. Konspirowałaś razem z nim. Zdradziłaś mnie tak samo jak on, kiedy po raz pierwszy poszliście do łóżka.
- Zdradziłam ciebie? Nie jesteśmy przyjaciółkami. Zresztą byliście w separacji.
- Separacja to nie rozwód.
- Spójrzmy prawdzie w oczy - powiedziałam. - Keith mnie kocha.

Sprawa rozpatrzona na początku lat 70. XX w. przez Sąd Najwyższy Stanów Zjednoczonych, w wyniku której aborcja została uznana za legalną w tym kraju przez cały okres ciąży.

- No dobra, spójrzmy - odpada. - Posłuchaj, skarbie, jeśli facet trzyma swego fiuta w twojej dziurce, wygaduje różne rzeczy. Rzeczy, które nie mają znaczenia. Chodzi tylko o to, że dostał się do dziurki. Cała oprawa tego, jak uprawia z tobą seks. A co mówi, kiedy jego fiut nie jest w tobie? Nie chcę tu poruszać tematu palca...

- Proszę, przestań.

- Keith i ja przechodziliśmy kryzys. Ale pracujemy nad tym, aby wszystko wróciło na właściwe tory. Jesteśmy rodziną. Przysięgaliśmy sobie przed Bogiem i respektujemy to zobowiązanie. Małżeństwo. Założę się, że jest to coś, o czym nigdy z tobą nie rozmawiał ani nawet przez myśl mu to nie przeszło. Jesteś kobietą, którą poznał w chwili słabości.

- Ach, więc jestem jego chwilą słabości? - zachichotałam.

- Właśnie tak. Musisz zmierzyć się z faktami, kochanie. Właśnie kimś takim jesteś. Panienką na pocieszenie.

- Nie to dał mi odczuć - znów się zaśmiałam.

- Ty nie pojmujesz, jaka hierarchia obowiązuje w sytuacji takiej jak ta, prawda?

- Oświeć mnie, Yodo.

- Yoda. Pięknie. Potraktuję to jako komplement, dowód na to, że uznajesz moją mądrość.

- Oświeć mnie - powtórzyłam.

- W najlepszym wypadku możesz zostać numerem trzecim. W najlepszym.

- Trzecie miejsce. Doprawdy?

- Pierwsze zawsze zajmie jego córka. A ja zawsze będę w tle. Transakcja wiązana. Zatem jak widzisz, te dwa stanowiska są już zajęte. Zależy mi, by jego córka była szczęśliwa, więc będzie uszczęśliwiał również mnie.

- Więc w najlepszym wypadku mogę liczyć na brąz.

- Nie łudź się. Trzecie miejsce w tej grze to plastik.

- Dowcipne.

- Prawdziwe.

- A to ciekawe. Nasza znajomość to nie jednorazowa przygoda. Jesteśmy ze sobą już prawie rok.

- My jesteśmy ze sobą od osiemnastu lat. Ale nie będę ulegać chęci negocjowania wszystkiego, co powiesz. Powiedział ci o mnie i o dziecku, kiedy go poznałaś. Ty byłaś jego małą tajemnicą.

- To już chyba dla ciebie jasne, co?

- Razem dorastaliśmy. Zmieniliśmy się. Po osiemnastu latach jesteśmy innymi ludźmi. Ludzie bardzo się zmieniają przez tyle lat. Nie jesteśmy już tacy sami. Wtedy nie mieliśmy tylu zobowiązań finansowych. Ale dojrzeliliśmy. Jeździsz na motocyklu. Jesteś wolnym duchem. Żadnych poważnych zobowiązań. Ani dojrzałości. Keith jest z tobą, bo kojarzysz mu się z przyjemnością. Jesteś wolna od stresów. Taka zawsze była rola numeru trzeciego. Pieprzenie i zabawa. Ucieczka. Jesteś samotna. Nie masz dzieci. No i pewnie masz ochotę na seks bez zbędnych ceregieli. Też byłam taka, kiedy poznałam Keitha. Jesteś dziełem w trakcie obróbki.

- Nie znasz mnie.

- Nie muszę cię znać. Znam ten typ.

- Czyżby?

- Masz nieustabilizowane życie, wynajmujesz pokój, żadnych inwestycji, nawet nie zdecydowałaś, co chcesz robić ze swoim życiem, a wciąż zachowujesz się, jakbyś wszystko to miała, ale gdzieś w głębi jesteś załamana, bo wiesz, że tak nie jest. Ja już coś osiągnęłam. Ale ty myślisz, że mu się podobasz. Oczywiście. Zawsze podobamy im się bardziej, kiedy jesteśmy na tym etapie. Kiedy jesteśmy mniej wygładzone, pozornie słabsze. Ale w momencie, kiedy odstawisz swój motorek i wraz z małym dzieckiem przesiądziesz się za kierownicę samochodu, kiedy zaczniesz potrzebować, wymagać, żądać, w momencie, kiedy twoje wymagania zaczną rosnać, a on będzie musiał dostosować do nich swoje życie, twoja pozycja zdecydowanie wzrośnie. Teraz jesteś jego ucieczką od rzeczywistości, i tyle. Darmowym pieprzeniem, niczym więcej. Oto czym byłaś. Keith stracił pracę. Przegrywa w sądzie. Jeśli jesteś w ciąży, będziesz kojarzyć się z kolejnym problemem. Z bólem głowy. Stracisz cały swój seksualny powab.

Owiało nas chłodne powietrze. Miałam ochotę przyłożyć jej w twarz. Niedaleko przechodziło kilkoro ludzi. Jeden z braci zwolnił i zagadnął.

- Hej, czy to ty byłaś dzisiaj w wiadomościach?

To był TJ, Erytrejczyk, który wciąż próbował ze mną się umówić.

- TJ, dam ci znać, jak wrócę do środka - powiedziałam. - Teraz rozmawiam.

TJ pozdrowił mnie, unosząc kciuk, i poszedł dalej.

- Jak już mówiłam... - odezwała się Carmen - chcemy ci zaproponować porozumienie.

- Porozumienie?

- Chcemy zlecić prawnikowi przygotowanie odpowiednich dokumentów. Wiemy, że na wychowanie dziecka potrzeba mnóstwo pieniędzy. Jesteśmy skłonni dać ci sto tysięcy dolarów.

- Co proszę?

- W momencie, kiedy urodzi się dziecko i test DNA wykaże, że mój mąż rzeczywiście jest jego ojcem.

- Keith jest ojcem.

- To ty tak mówisz.

- Bo ja to wiem.

Przełknęła ślinę, uśmiechając się nerwowo.

- Jeśli to okaże się prawdą, jesteśmy gotowi zaproponować ci ugodę finansową, pod warunkiem, że podpiszesz stosowne dokumenty, które pozwolą mojemu mężowi zrzec się praw rodzicielskich i nie ponosić dalszej odpowiedzialności za ten drobny incydent. Nazwisko mojego męża nie będzie figurować na...

- Więc za co mi płacisz? Żebym odeszła? Zniknęła?

- Skoro nie masz zamiaru usunąć skutku tego szaleństwa, liczymy się z tobą i chcemy ułatwić ci życie. Zapłacimy ci tyle, ile wyniesie koszt wychowania dziecka. Szacowany koszt. My umywamy ręce od tej sytuacji, a ty i twoje dziecko macie zabezpieczenie finansowe.

- Nasze dziecko. Moje i Keitha.

- Twoje dziecko. Keith nie chce być w to zamieszany. Skarbie, czy nie wyraziłam się jasno?

- Mam na imię Billie. Nie „skarbie”. Nie „kochanie”. Billie. Mów do mnie po imieniu.

- To jest twój wybór. I to wszystko, co mamy do powiedzenia. Nie mam zamiaru całe życie cierpieć i ponosić konsekwencji twojego wyboru. Urodzenie dziecka to egoizm. Wem o tym. I właśnie dlatego to robimy. Dla siebie samych. Nie dla dziecka. Oświadczamy, że to dla dziec-

ka, ale tak naprawdę chodzi tu o nas. Oto czego chcemy - zaczerpnęła powietrza. - Ta mała wpadka będzie kosztować moją rodzinę, ale niech tam. Chcemy zawrzeć porozumienie, uczciwe porozumienie, coś w granicach zdrowego rozsądku, żeby każde z nas mogło dalej żyć swoim życiem.

- A więc przyszedłeś do mojej pracy, żeby mnie znieważać i rzucić pieniędzmi w twarz?

- Ile czasu zajęłoby ci odłożenie takiej sumy, Billie? Sto tysięcy. Bądźmy uczciwe. Jesteś barmanką. Nie jesteś prawdziwą nauczycielką, tylko zastępcą. Wychwalaną opiekunką do dzieci. Oznacza to, że nie dostajesz żadnej przyzwoitej pensji. I co, będziesz pokątnie uczyć ludzi jazdy na motocyklu?

- Nie obrażaj mnie.

- Mam cię nie obrażać czy nie uświadamiać ci prawdy? Jeśli cię obraziłam, było to niezamierzone, za co przepraszam. A jeśli coś, co powiedziałam, nie jest prawdą, proszę, sprostuj to, abyśmy obie nie żyły w błędzie.

W milczeniu patrzyłam na przejeżdżające samochody, odwróciłam wzrok w stronę Tempie Bar, a po głowie tłukły mi się bestialskie myśli.

- Aż tak bardzo mnie nienawidzisz?

- Tak. Nienawidzę cię aż tak bardzo.

- To niemoralne.

- Niektórzy mogliby uznać to za niemoralne, ale nie jest to sprzeczne z prawami człowieka. I założę się, że gdybyś zasięgnęła opinii wśród członków jakiegoś kościoła, doradziliby ci brać pieniądze i zacząć nowe życie.

Tak bardzo jej nienawidziłam. Tak samo Keitha. Nienawidziłam ich wszystkich.

- Skąd mogę mieć pewność, że będziesz miała tyle pieniędzy? - zapytałam. Roześmiała się.

- Mam dobry zawód. Mam dobrą reputację. Własny dom. Obligacje. Nie obrażaj mnie.

- Co z ciebie za kobieta?

- Może to jest przebiegłe, ale nie haniebne. To interes. Czysty albo i nie, ale nie masz pojęcia, jak wiele kobiet marzy, aby móc zrobić to, co ja ci proponuję. A masz pojęcie, jak wiele kobiet chciałoby się znaleźć w twojej sytuacji i dostać taką ofertę?

- Dlaczego to robisz?

- Zbyt ciężko pracowałam na to, co mam, by teraz wszystko stracić. Chcę odzyskać moją rodzinę. Chcę, by moja rodzina żyła zgodnie. Chcę zamknąć tę sprawę. Oto czego chcę. Ojca mojej córki i mojego męża na wyłączność. I żeby do naszych drzwi nie dobijały się żadne przybłędy proszące o jałmużnę, emocjonalną czy finansową.

- Przybłędy?

- Żadnych cholernych przybłęd.

- Ale z ciebie podła suka.

- Jestem uczciwą suką. Inteligentną suką. Jestem suką, która nigdy nie zaszłaby w ciążę z mężem innej kobiety. Tak, kiedy się nad tym zastanowię, jestem podłą suką. Rozbijanie mojej rodziny prowadzi do tego, że jestem podłą suką. Ale nie chciałybyś się przekonać, na jaką podłość stać tę sukę.

- Carmen... chcesz mnie nastraszyć?

- Adwokaci nie bawią się w groźby, Billie. Po prostu służę ci radą.

- Jeśli jeszcze raz przyjdiesz do mnie do pracy, zostaniesz obsłużona. I to jest groźba.

Odwróciłam się gwałtownie, pozostawiając w tyle ją i jej propozycję. Szłam pewnym krokiem, ale z każdą chwilą przepęniało mnie coraz więcej obaw. Nigdy nie będzie mi dane zamknięcie tej sprawy. Z każdą sekundą czułam się coraz podłej. Chciało mi się krzyczeć. Chciało mi się płakać, ale musiałam wracać do pracy. A Carmen usiłowała mnie dopędzić, wykrzykując moje imię.

- Sto pięćdziesiąt tysięcy - powiedziała.

- Nie dajesz za wygraną, co?

- Zapłacę ci pięćdziesiąt tysięcy teraz, a sto po rozwiązaniu.

- Część teraz, część po rozwiązaniu. Co to jest, umowa o dzieło?

- To moje ostatnie słowo.

- Nie rozumiem takich podstępnych kobiet jak ty.

- Jak ja? Jesteś w ciąży z moim mężem, rozbijasz moją rodzinę i to ja jestem podstępna?

- Chciałabym wiedzieć, po jaką cholerę na siłę utrzymujesz związek z mężczyzną, który wyraźnie chce odejść, i przy okazji jesteś gotowa wszystkich unieszczęśliwić? Unieszczęśliwiasz Keitha.

- Twoja ciąża też nie wprawia go w euforię, czyżbyś tego nie widziała? Nie rozumiem kobiet, które tak usilnie pragną mieć dzieci poza układem małżeńskim. Nie rozumiem samolubnych kobiet, które rozbijają rodziny, nie rozumiem, dlaczego kobiety decydują się rodzić nieślubne dzieci, a potem chwalą imię Pana. Nie masz rodziny, nie masz wartości rodzinnych, wiesz o tym? Jesteś zwykłą latawicą, która bierze to, co się jej nawinie.

- Teraz już wiem, dlaczego twoja córka uciekła z tego chorego domu - krzyknęłam.

To zadziało, dotknęło ją do żywego. Jej oczy zrobiły się wielkie, a paznokcie przybrały kształt szponów. Miała obłąkane spojrzenie jak ta okryta niesławą uciekająca panna młoda²¹. Wyglądała, jakby była gotowa rzucić się na mnie.

- Tym razem nie jesteśmy w Starbucksie i nie siedzę na klozecie - ostrzegłam ją.

Zazgrzytała zębami. Chciała mi dokopać, ale wiedziała, że mam nad nią przewagę.

- W porządku, Billie. Sto siedemdziesiąt pięć. Pięćdziesiąt z góry, reszta po wszystkim. Kiedy urodzi się dziecko i pozytywnie wypadnie test na ojcostwo. Urodzisz czy nie, pięćdziesiąt tysięcy jest twoje.

- Sto siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów - ciężko przełknęłam ślinę.

- Sto siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów. Pięćdziesiąt z góry, czy urodzisz to dziecko, czy nie. Możesz wziąć te pięćdziesiąt tysięcy i zastanowić się, co dalej. Możesz się nimi podetrzeć, tyle mnie to obchodzi.

To było mnóstwo pieniędzy. Zbyt wiele, by nie wziąć ich pod uwagę.

- Skąd masz tyle pieniędzy?

- Sto siedemdziesiąt pięć tysięcy. W gotówce.

- Mówisz poważnie, tak? Przytaknęła.

- To jest równowartość trzystu pięćdziesięciu tysięcy dolarów przed opodatkowaniem - powiedziała.

Mowa o Jennifer Wilbanks, która w kwietniu 2005, na kilka dni przed swoim ślubem uciekła, twierdząc później, że została porwana. Kiedy sprawa nabrała rozgłosu, przyznała się do mistyfikacji. Na opublikowanych przez stacje telewizyjne zdjęciach Wilbanks ma charakterystycznie wytrzeszczone oczy.

- Dlaczego to robisz? - spytałam po chwili milczenia.
- Nie domyślasz się? Bo go kocham - powiedziała z naciskiem. - Kocham moją rodzinę. I chcę, żebyśmy żyli w spokoju.

- I nienawidzisz mnie... mojego dziecka... tak bardzo nas nienawidzisz?

- Osiemnaście lat. Ty mówisz o kilku miesiącach pieprzenia i zabawy. Ja mówię o osiemnastu latach wzlotów i upadków, krwi, potu i łez, robienia tego, co należało, aby stać się taką żoną, jakiej chciał, o zmaganiu się ze studiami prawniczymi, aby moja córka mogła mieć lepsze życie. O osiemnastu latach budowania rodziny. I nie mam zamiaru zaprzepaścić osiemnastu lat swego życia z powodu ciebie czy jakiejś innej suki.

Rozdygotana, mówiła to z takim przejęciem, że przeniknął mnie dreszcz.

- I będziesz mnie obrażać, straszyć i przekupywać, wszystko, byle tylko go odzyskać - mój głos zaczął się łamać.

- Tak, zrobię wszystko, byle tylko odzyskać moją rodzinę. Zrobiło mi się jej żal. Tego, że jest taka zdesperowana. Zastanowiłam się, jak ja bym się czuła, gdyby Keith był moim mężem,

a ona inną kobietą. Czy po kilku latach też musiałabym stawić czoło jakiejś kobiecie, drżąc z zimna i próbując chronić swoje gniazdo.

Carmen nosiła obrączkę, z którą się nie rozstawała, która miała tkwić na jej palcu do ostatniego tchu. Była jego żoną. A ja byłam panienką na pocieszenie. Numerem trzecim. W najlepszym wypadku mogłam liczyć na plastikowy medal. Przyszła mi na myśl Maria Gonzales.

- *Kodeks 46* - wymamrotałam.

- Co? - spytała Carmen.

- Nic - pokręciłam głową.

Keith. W głowie rozbrzmiewały mi jego słowa.

Nie udawaj, że pieniądze nie będą stanowić problemu. Dzieci mają swoje potrzeby i nigdy nie przestaną ich mieć. A wszystko, czego potrzebują, kosztuje.

Nie chciałam pieniędzy Carmen.

Z miłości nie zapłacisz cholernych rachunków, Billie.

Keith miał rację. Teraz potrzeby były niewielkie. Było fajnie, a nawet romantycznie żyć jak para zakochanych bankrutów, ale kiedy pojawiłoby się dziecko, nieuchronnie groziłaby nam nienawiść.

Powiedziałam sobie, że to nie dla mnie. Przekonałam siebie, że to wszystko dla dziecka.

- Załatwione - powiedziałam.

Odchrząknęła i przeczesła palcami swoje zwichrzone afro, znów gotowa przejąć władzę nad światem.

- Czy masz jakiegoś adwokata? - zapytała.

- Niby czemu miałabym mieć? - wydałam z siebie zduszony śmiech. - Jestem zwykłą barmanką i wychwalaną opiekunką do dzieci, zapomniałaś o tym?

- Wynajmij prawnika. - Uniosła dłoń w pojednawczym geście.

- Ty poniesiesz koszty operacyjne. Zapłacisz za każdy znaczek.

- Oszalałaś! Przy takiej kwocie, jaką ci proponuję! Bądź rozsądna.

- Nie. Jeśli chcesz się nas pozbyć, zapłać za to. Co do grosza. Pokręciła głową.

- Jak bardzo pragniesz, by się to już skończyło? - zapytałam. Posłała mi wykrzywiony uśmiech, z każdym oddechem przeklinając moje istnienie.

Zachowałam kamienną twarz. Trzymałam wyciągniętą rękę.

Carmen patrzyła na nią, na ciało, którego przez tyle nocy dotykał jej mąż.

- To nie do wiary - krzyknęła. - Ty popełniasz zbrodnię, a ja ponoszę karę. To ty zaszłaś w ciążę, nie będąc mężatką, na dodatek zaszłaś w ciążę z żonatym mężczyzną. Gdybyś była przestępcą, poszłabyś siedzieć bez dwóch zdań za to, co zrobiłaś.

- Jeszcze jedna obelga, jeszcze jedna próba złamania mojego charakteru, a cena nienawiści wzrośnie o kolejne sto tysięcy dolarów. A może o kolejne horrendalne dwieście tysięcy.

Zmierzyła mnie surowym, przeciągłym spojrzeniem, które potem skupiło się na mojej wyciągniętej ręce.

- Tak jak powiedziałaś, sto siedemdziesiąt pięć - potwierdziłam. - Pięćdziesiąt z góry. Reszta po rozwiązaniu. I całe honorarium mojego prawnika.

Nadal wpatrywałyśmy się w siebie, pogrążając się coraz głębiej w krainie płomiennej wrogości.

Gdyby spojrzenie to nie miało końca, jedna z nas padłaby martwa.

- Umowa stoi czy nie? - powiedziałam.

Dotknęła mojej dłoni czubkami palców i w tym momencie obie gwałtownie cofnęłyśmy ręce. Potem rzuciła kopertę z pieniędzmi, która wylądowała u moich stóp.

- Nie chcę twojej nagrody - powiedziałam.

- To nie nagroda. To zadatek. Pięć z pierwszych pięćdziesięciu. Podniosłam kopertę i zważyłam ją w dłoniach. Pięć tysięcy dolarów.

Ciężkie jak tona poczucia winy.

- Nie ma zwycięstwa bez straszliwej ceny - powiedziała. Nasze piorunujące spojrzenia powoli gasły.

Carmen odeszła pospiesznie, kręcąc głową. Wyszarpnęła z torebki telefon, bez wątpienia po to, aby zadzwonić do swojego męża.

Też chciałam zadzwonić do Keitha. Chciałam do niego zadzwonić w każdej minucie tej rozmowy. Ale wciąż widziałam Carmen, jak klęczy i jak kołysze się jej fryzura, kiedy ssie fiuta, którego poślubiła.

Nie robiła mu dobrze. To nie było romantyczne. Ona wysysała z niego życie.

Teraz wysysała życie ze mnie.

Chciałam, żeby było już po wszystkim. Chciałam wyciąć Keitha i Carmen z mojego umysłu.

Nienawidziłam kochać. Ale nie tak bardzo, jak nienawidziłam Carmen. Nie tak bardzo, jak Carmen nienawidziła mnie.

Część mojego ja chciała ją dogonić i cisnąć jej prosto w twarz tę tonę poczucia winy.

Znam ten typ... nieustabilizowana... żadnych inwestycji... nawet nie zdecydowałaś, co chcesz robić ze swoim życiem... zachowujesz się, jakbyś wszystko to miała... jesteś załamana, bo wiesz, że tak nie jest.

Nie. Chciałam owinać poczuciem winy tę cegłę i rąbnąć ją w twarz.

Billie... dwoje zakochanych ludzi, dwoje zakochanych bankrutów może się w końcu zamienić w dwoje wrogów.

Trzymając w ręku kopertę, pognałam w przeciwnym kierunku, a każdy krok był cięższy od poprzedniego.

Odeszłam, a moje myśli krążyły wokół *Kodeksu 46*.

W tym filmie science fiction Maria Gonzales zachodzi w ciążę z pewnym mężczyzną, a ich związek jest pogwałceniem prawa, kodeksu numer 46. Miała romans i została zapłodniona przez żonatego mężczyznę

należącego do innej kasty. W/sterylizowano ją i usunięto wiązkę pamięci dotyczącą tego mężczyzny i ciąży. Okaleczono jej tkanki, ale psychika pozostała nienaruszona. Mogła nadal się uśmiechać, cieszyć życiem.

Żałowałam, że nie istnieje technologia tego typu. Taki świat byłby o wiele lepszy.

Być może obudziłabym się jutro wysterylizowana. Być może mój umysł zostałby tak spreparowany, abym nie pamiętała niczego, nawet Keitha.

- Przylazła do Tempie Bar i tak po prostu wcisnęła ci łapówkę? - krzyknęła Viviane.

Kiedy tylko wróciłam do środka, weszłam do łazienki i zadzwoniłam do Viviane. Była wciąż w szpitalu ze swoją rodziną. Q nie czuła się najlepiej, jej obrażenia były poważniejsze, niż mogło się wydawać.

- To znaczy, że... żona Keitha jest jakimś wyjściem, Billie - Viviane drażyła temat mojej opresji.

- Zaproponowała mi pieniądze za zwolnienie go ze wszystkich zobowiązań rodzicielskich od tej chwili na zawsze.

- Boże, jaka szkoda, że mnie tam nie było. Z moimi nerwami i stresem... szkoda gadać, do czego mogłoby dojść.

- Rozniosłybyśmy tę jej zarozumiałą dupę po całej Wlshire.

- W moim obecnym stanie wykopałabym ją aż do Bakersfield.

- Wygląda na to, że jest porządnie nadziana - powiedziałam. - Tak rzucać pięć tysięcy, jakby to była garść ćwierćdolarówek.

- Może ta wariatka stała się bogata. Może to dlatego Keith tak nagle zmienił zdanie.

- Tak przypuszczam. Myślę, że... dla mężczyzn najważniejsze są pieniądze. Przynajmniej tak to wygląda.

- Powinnaś była ją przetrzymać, żeby dała więcej. Jeśli mogła zaproponować ci aż tyle bez zmrżenia oka...

- Czy ja dobrze robię? Mój moralny kompas w tej chwili nie działa. Dobrze robię?

- To jest kupa kasy. Weź ją. Lepiej czuć upokorzenie, mając taką forszę, niż stojąc w kolejce po zasiłek. Weźmiesz te pięćdziesiąt tysięcy i zastanowisz się, co robić dalej.

- A jak myślisz, co powinnam zrobić?
 - No cóż, kiedy masz dziecko, pięćdziesiąt tysięcy to wcale nie jest tak dużo. Wydasz to na same pampersy. I spójrzmy na to realnie, sto siedemdziesiąt pięć to też nie jest za wiele, gdy czeka cię osiemnaście lat z dzieckiem na utrzymaniu.
 - A gdybym kupiła dom?
 - Przede wszystkim musiałabyś spłacić wszystkie swoje zaległości, żeby móc ubiegać się o pożyczkę. Oznacza to, że spora część tych pieniędzy by się rozeszła. A resztę utopiłabyś w nieruchomości.
 - Ale gdybym... gdybym nie urodziła tego dziecka... gdybym wzięła tylko te pięćdziesiąt... nie ruszała ich... żyłabym dalej tak samo.
 - Mogłabyś na jakiś czas wyjść na prostą. Mogłabyś się pozbierać. Pójść za głosem marzeń.
 - Myślę, że bym mogła.
 - Mogłabyś nawet wrócić na scenę. Nagrać własne demo. Jeszcze raz spróbować szczęścia.
- Nic nie odpowiedziałam.
- Wdziąłam cię w wiadomościach - odezwała się Viviane. - Pokazali cię zaraz po wywiadzie z rodziną.
 - Starczy o mnie. Co dzieje się u ciebie?
- Powiedziała mi, że wspomniano o nich w mediach. Niewiele, krótka wzmianka. Miejsce w wiadomościach jest dla uprzywilejowanych.
- Z ręką w tylnej kieszeni, z palcami na kopercie, zostawiłam daleko wszystkie moje problemy.
- Jak się czuje Q? - zapytałam.
- Najpierw chwila milczenia, potem Viviane zająknęła się, jakby miała trudności z oddychaniem.
- Płaczesz? - zapytałam.
 - Tak. Wszystko się popieprzyło, Billie.
 - Co się stało?
 - To nie wygląda wesoło, nic a nic - powiedziała Viviane.
 - Co się stało? - powtórzyłam.
 - Zaczęło się po twoim wyjściu. Problemy z oddychaniem. Lekarz powiedział, że krew przedostała się do płuc.
 - Zapalenie?

- Tak.
- Co? Dlaczego do mnie nie zadzwoniłaś?
- Tu jest istny obłąd.
- Aż tak źle?

Wtedy dała upust swoim emocjom.

- Ktokolwiek jej to zrobił, zabiłabym... - rozplakała się.
- Czy coś wiadomo kto?
- Policja przygotowuje portret pamięciowy.
- Żeby ścigać sprawcę?
- Na wypadek, gdyby zmarła na skutek obrażeń.
- Cholera.
- Zajmę się tym sama. Pogrzebię w tym gnoju. Zobaczę, czy uda mi się znaleźć dupków, z którymi zadawała się Q. Poszukam jej przyjaciół, zobaczę, co uda mi się ustalić. Gdzie jest twój rewolwer, Billie?

- **Viv...?**

- Nie pozwolę, żeby skurwielom uszło na sucho to, co zrobili mojej siostrze.
- Nie rób nic głupiego.
- Ktoś już zrobił coś głupiego, Billie.
- Co masz zamiar zrobić?
- A jak myślisz? Skrzywdzili moją siostrę. Nie mieszaj się w moje rodzinne sprawy.
- Za mierzenie do kogoś masz dziesięć lat.
- Nie mam zamiaru poprzestać na mierzeniu - jej głos brzmiał okrutnie.
- A jak kogoś postrzelisz, skazą cię na dwadzieścia.
- Ktoś prawie zabił moją siostrę, Billie.
- Viviane...

Rozłączyła się, zanim zdążyłam wymówić drugą sylabę jej imienia. Czekał na mnie przy barze. Wyglądał, jakby właśnie przyszedł.

Wkurzyłam się. Zresztą każdy wywoływał we mnie lęk i rozjątrzał moją irytację.

- Siedzisz mnie? - naskoczyłam na niego z krzykiem.
- Nie.
- Przyszedłeś po kask?

- Nie.

- To co tu robisz, Raheem?

Czarne džinsy. Skórzana kurtka. Brązowy podkoszulek z wizerunkiem Richarda Pryora.

Wyszłam z łazienki, a w klubie był Raheem. Czekał na mnie przy barze.

- Wszystko w porządku? - zapytał - Wyglądasz, jakbyś...

- Waśnie załatwiałam sprawy osobiste.

Zjeżyłam się i odeszłam na drugą stronę baru. Ruszył za mną. Czekał, aż skończę przygotowywać drinki dla kilku pijaków, po czym spokojnie i powoli zbliżył się do mnie.

- Czego? - krzyknęłam.

- Przychodzę z pojednawczym gestem - powiedział.

- Pojednawczym gestem?

W rękę trzymał torbę na upominki z Barnes & Noble. Wręczył mi ją. Tej nocy wszyscy przynosili mi do pracy jakieś prezenty. Najpierw Carmen, teraz ten czarny brat. Ludzie patrzyli, więc przyjąłem.

Zajrzałam do środka i zobaczyłam książkę.

- Sposób, w jaki zareagowałem... kiedy powiedziałaś, że jesteś...

- W ciąży. Nie jękać się. Wymówienie tego słowa nie czyni cię ojcem.

- Zaskoczyłaś mnie ostatniej nocy - powiedział. - To jest *Alchemik*.

- Potrafię czytać.

- Świetnie. Zwłaszcza że w środku nie ma obrazków.

- To książka tego Brazylijczyka Paulo Coelho - powiedziałam, spoglądając na okładkę.

- Tak.

- Dlaczego?

- Chciałem przeprosić za to... jak... jak... zareagowałem... kiedy... mi powiedziałaś...

Cisza. Zakłopotanie. W mojej głowie krążyło tyle myśli, ale żadna z nich nie była jednolita, wszystkie rozwiewały się jak mgła.

- Niech zgadnę. Francuski Pocałunek?

- Co?

- Twoja ulubiona trucizna.

- Dobra jesteś.

Przytaknęłam.

- Alkohol o ciemnej barwie, łagodnym i wytwornym smaku, a wystarczy odrobina, by stracić głowę.

- To całkiem jak ja. Wybuchnęłam szczerym śmiechem.

- Uważaj. Tu jest kobieta ciężarna.

- Gratuluję - powiedział z uśmiechem.

- Dzięki. Tak sędzę.

Przygotowałam dla niego Francuski Pocałunek.

- Co próbujesz osiągnąć poza tym, że zmuszasz mnie, bym postarała się o nakaz sądowy? - zapytałam, podając mu szklankę.

- Próbuję zostać twoim przyjacielem.

- Nie przyjaźnię się z mężczyznami. Ani z kobietami, odkąd zaczęłam o tym myśleć. Z niezbyt wieloma kobietami. One są zbyt... są kobietami... musiałbyś być kobietą, żeby to zrozumieć. Koniec końców nie zawieram przyjaźni.

- Dlaczego?

- To wpuszczanie ludzi do własnego świata... musisz uważać, komu otwierasz drzwi i kogo zapraszasz do środka.

- Włożyłem moją wizytówkę do książki. Na wszelki wypadek.

- Na wypadek... czego?

- Na wypadek, gdybyś ją przeczytała. Mówię poważnie, to cholernie dobra książka. Moim zdaniem najlepsza, jaką kiedykolwiek napisano. Przeczytaj ją. Potem możemy o niej porozmawiać. Przez telefon albo e-mailem, albo na czacie, jakkolwiek, jeśli zechcesz.

- W klubie czytelnika też się nie udzielam.

- Tak czy inaczej, na wizytówce masz namiary. Westchnęłam ciężko i powiedziałam poważnym tonem:

- A jeśli nie zechcę zadzwonić?

- Wtedy możesz użyć mojej wizytówki jako zakładki. Albo podłubać nią w zębach.

- Nie będę uczyła cię jeździć.

- A czy ja tego oczekuję? Proszę cię tylko, żebyś przeczytała tę cholerną książkę.

- Nie, nie przekonałeś mnie.

- Nie chcę, żebyś robiła cokolwiek wbrew swej woli. Zapisuję się na kurs. Zaczynam w przyszłym tygodniu.

- Jesteś wredny, wiesz o tym? - powiedziałam.

- Ja jestem wredny? - roześmiał się. - Zabrałaś mój kask i to ja jestem wredny?

- To była tylko interwencja. Podoba ci się to, czy nie, uratowałam ci życie.

Zostawiłam go i przygotowałam kilka drinków, czując w kieszeni pięć tysięcy. Szorstkie słowa Carmen zgrzytały w moich myślach. Czułam ból, ale udawałam, że wszystko jest w porządku. Raheem patrzył w moją stronę. Westchnęłam i podeszłam do niego.

- Jaki jest twój ulubiony film? - spytał.

- Dlaczego pytasz?

- Bo mógłbym go obejrzeć.

- No dobra. A po co miałbyś to robić?

- Gdyby zdarzyło nam się jeszcze kiedyś wpaść na siebie, moglibyśmy o nim porozmawiać.

- Teraz tylko jeden przychodzi mi na myśl - wzruszyłam ramionami. -Jaki?

- Posłuchaj, dzięki za książkę, ale przestań mnie molestować, dobrze? - powiedziałam, ciężko przetykając ślinę.

Spojrzałam na scenę. Żałowałam, że sama tam nie stoję, wyśpiewując swoją duszę i otrzymując podziw i uwielbienie od sali pełnej nieznanomych. Ale nie stałam na scenie, tylko za barem.

Chciało mi się płakać. Do głosu dochodziły hormony, burząc tamy i uwalniając emocje. Musiałam znów wyjść do łazienki, żeby się pozbierać. Siedziałam tam, patrząc na pieniądze, które Carmen rzuciła mi na odczepne.

Nie powinnam była spać z Keithem tego wieczoru. Jeszcze teraz czułam go w sobie. Czułam, jak wchodzi głębiej i głębiej. Czułam ten cudowny ból, jaki zostawiał po sobie. Wiedziałam, że będę tego żałować, nie sądziłam, że aż tak szybko.

Przeklęta miłość, która jak wampir wysysa krew, odbierając siły.

Wcześniej też bywałam zakochana. Wiele razy. Wiedziałam, że ten narkotyk przestaje działać.

Wkrótce potem rozglądałam się po sali za Reheemem, by zobaczyć, czy mój prześladowca życzy sobie kolejnego drinka. Nie podobała mi się jego nachalność, ale czułam się źle z tym, jak go potraktowałam. Ten drink miał być gestem pojednania z mojej strony. Miałam zamiar oddać mu jego kask. Nie moją rolą było mu go konfiskować. Pomyślałam, że po części zrobiłam to, by go ratować, a po części, by móc jeszcze się z nim zobaczyć.

Raheem już poszedł.

Przez chwilę żałowałam, że byłam dla niego taka oschła, żałowałam, że nie został dłużej. Przez chwilę.

Ale wiedziałam, że będąc oschła, odpycham go od siebie, że tak jest najlepiej.

Może to dlatego Keith był dla mnie taki przykry w Starbucksie. Bo tak było najlepiej.

Nadeszła pora zamknięcia baru.

Kiedy doprowadziliśmy wszystko do porządku, pożegnałam się z załogą, ubrałam, założyłam plecak i wybiegłam z Temple Bar, a w głowie tłukły mi się miliony myśli. Postanowiłam wracać do domu nie autostradą, ale ulicami. Wybrałam dłuższą drogę, aby wszystko sobie przemyśleć. Albo nie myśleć.

W kieszeni miałam pięć tysięcy dolarów, a Carmen proponowała mi jeszcze więcej.

W branży muzycznej trzeba sporo zainwestować, aby zacząć zarabiać.

Trzeba wyłożyć mnóstwo pieniędzy na wynajęcie studia, muzyków, chórki, opakowania, kampanię promocyjną. Z pięćdziesięcioma tysiącami miałam szansę skompletować zespół, zebrać odpowiednich ludzi, z którymi mogłabym wprawić wszystko w ruch.

Przy tych pięciu tysiącach, które Carmen położyła na barze, przy podszeptach Viviane niemal zapomniałam, że jestem w ciąży. Może pięćdziesiąt tysięcy dolarów okazałoby się równie efektywne jak *Kodeks 46*.

Kiedy patrzyłam na koncert, wyobrażałam sobie, że stoję na scenie. Potem odegnałam tę wizję. Musiałam spychać te gwiazdorskie rojenia na samo dno mojego umysłu, tam gdzie było ich miejsce. Przypomniałam

sobie to, co było już dla mnie jasne, że moje poczynania w tej branży są jedną wielką bzdurą. To mężczyźni rządzą tym biznesem. A dziewięćdziesiąt procent z nich chce cię przelecieć, żeby pomóc ci się wybić. Już to przerabiałam. Przerabiałam to jakieś dziesięć lat temu, kiedy miałam dwadzieścia cztery lata. Zaszłam w ciążę już za pierwszym razem. Byłam na tyle głupia, by przespać się z tak zwanym producentem, który obiecał mi pomoc. Poznałam się na tej grze. Nikt nie chce ci pomóc. Bez seksu nie masz co liczyć na zainteresowanie twoim pomysłem. A jeśli nie uda im się zaciągnąć cię do łóżka, dążą do przejęcia całkowitej kontroli nad twoją karierą. Nie obchodzą ich, jeśli nie mają władzy nad twoim ciałem albo muzyką. Tak, poznałam się na mężczyznach z tej branży. Po tym, jak dasz się nabrać, facet, który podpisał z tobą umowę, zostaje nagle zwolniony, a jego następcą nie czuje tematu. Stajesz się kolejnym nazwiskiem na ich liście do odpisania od dochodu, dopóki obowiązuje twój kontrakt. Starzejesz się, czekając, aż kontrakt wygaśnie. A kiedy już do czegoś dochodzi, zero promocji i marketingu, a więc zero sprzedaży, co oznacza, że zamiast czeku dostaniesz słony rachunek za licencję. Nie kiwną palcem, ale odbiorą każdy należny grosz. Jeśli nie sprzedasz płyty, której nikt nie promował, to ty wisisz im pieniądze.

A potem ogłaszasz plajtę, aby uwolnić się od tych zobowiązań.

Kiedy nie jesteś już kurą znoszącą złote jajka, nikt na ciebie nawet nie spojrzy.

A potem poddajesz się i zostajesz stewardesą.

A potem, po zamachach jedenastego września, robisz w portki ze strachu i zaczynasz uczyć w szkole na zastępstwach.

Potem odkrywasz, że nauczyciele za mało zarabiają, i prowadzisz kurs jazdy na motocyklu.

Potem wydajesz sześć stów na kurs, po którym możesz zostać kelnerką.

Uczysz się rozpoznawać wszelkiego rodzaju szklanki, jakie kiedykolwiek wyprodukowano, i mieszać wszystkie drinki. Uśmiechasz się, stojąc z boku, podśpiewując wraz z tłumem i rozglądając się, kto znów puścił pawia.

W codziennym pośpiechu marzysz i szukasz miłości. Miłość znaczy dla ciebie więcej niż pieniądze i rzeczy materialne.

Wtedy spotykasz człowieka, który zмага się z życiem. Człowieka, którego, jak ci się wydawało, rozumiesz. Mężczyznę, z którym jesteś szczęśliwa, nawet jeżeli nie jest idealnie. Mężczyznę, któremu możesz zaufać. Mężczyznę, który cię kocha.

Mężczyznę, który, jak ci się wydawało, rozumie ciebie.

Ufasz mu. Odsłaniasz się przed nim. Zapadasz się. Miłość rośnie w tobie jak złośliwy guz. Znów zachodzisz w ciążę. Kiedy o drugiej w nocy toczysz się wzdłuż Wlshire Boulevard, zimne powietrze sprawia, że drętwieją ci palce. Próbujesz opanować dreszcze i uciec przed głosem Carmen.

Nie mogłam uciszyć echa jej chrapliwego głosu, który rozbrzmiewał w mojej głowie. Otaczał mnie zewsząd, jakby unosił się na wietrze.

Z lewą ręką opartą na biodrze jechałam nie więcej niż siedemdziesiąt kilometrów na godzinę, zgodnie z ograniczeniem prędkości, rozmyślając o tysiącu rzeczach, które mogłam jej powiedzieć, kiedy mnie obrażała. Do głowy przychodziły mi różne cięte riposty i wyobrażałam sobie, jak spuszczam jej manto, podczas gdy moje oczy pozostawały skupione na drodze.

Miała czelność rzucić mi pieniądze pod nogi, a ja głupia schyliłam się po nie.

Po raz kolejny ślepa złość i ograniczone pole widzenia sprawiły, że nie zauważyłam tego, co działo się za mną.

Nie zauważyłam świateł samochodu, który jechał w ślad za mną, dostosowując swoją prędkość do mojej.

Nie zauważyłam, że kiedy ruch się przerzedził, kierowca wyłączył światła i przyspieszył.

W moim ograniczonym polu widzenia ten szarżujący byk pozostawał niewidoczny. Nie widziałam tego samochodu aż do momentu, kiedy był tuż za mną. Poczułam na sobie to spojrzenie, tę energię. Ogarnęła mnie fala gorąca.

Zakląłam. Miałam nadzieję, że to nie policja z Santa Monica. Potem rozluźniłam się na tyle, by kątem oka dojrzeć elegancką sylwetkę i znaczek na masce. Mercedes-benz. Samochód gwałtownie odbił, uderzając w tylne koło mojego motocykla. Ona chciała czegoś więcej, niż tylko doprowadzić mnie do bliskiego kontaktu z asfaltem. Ona chciała mnie zabić.

Zaczęłam uciekać.

Pędziłam jak na wyścigach, a samochód wciąż siedział mi na ogonie. Myślałam tylko o tym, żeby wykonać szybki skręt i zgubić ją w bocznych uliczkach. Myślałam tylko o tym, by znaleźć się jak najdalej od tej opętanej suki. Wchodząc w zakręt, wiedziałam, że jadę zbyt szybko. O wiele za szybko, aby wziąć łuk w głębokim przechyle. Skręciłam za ostro. Zbyt gwałtownie nacisnęłam przedni hamulec i już wiedziałam, że to się źle skończy.

Upadłam.

DESTINY

Destiny nie cierpiała tandetnego mieszkania ojca, starego dywanu i wypłowiatałych ścian. Wiecznego zapachu stęchlizny. A do tego tuż nad nim mieszkała właścicielka domu. Ilekroć Destiny spędzała tu noc, zawsze słyszała, jak Juanita i jej kochanka hałasują i jęczą, przeżywając intensywne orgazmy. Zazwyczaj bladym świtem. Juanita, połączenie dwóch ras, mogła mieć co najmniej czterdzieści lat, za to jej najnowszą kochanką była białą studentką szkoły pielęgniarstwa, nosiła dredy i kolczyki w wardze. Szczupłą żydowską dziewczyną o wytatuowanym ciele, nie więcej niż dwudziestoletnią. Walczyły ze sobą cały czas, zupełnie jak jej rodzice. Przynajmniej trzy razy w ciągu minionego miesiąca, zawsze późną nocą. Pół okolicy mogło się przysłuchiwać ich namiętnym kłótniom. Zadawały sobie ciosy na wiele różnych sposobów. Walczyły, a potem się kochały. Zupełnie jak jej rodzice.

- Tato! - zawołała.

- Pakuję się!

- Nie warcz na mnie.

- Miałaś mi pomóc.

- Gdzie jest ta zrzędliva baba i jej anorektyczne dziwadło? - zapytała Destiny.

- W Atlancie. Tak przypuszczam.

- Na jednej z tych parad?

- Pewnie powiewają tam tęczową flagą.

Destiny nasłuchiwała. Żadnych odgłosów ekstazy dobiegających z góry, żadnych dźwięków zza okna.

- Dzisiaj nie słyszę też płaczu dziecka - powiedziała Destiny.

- Dziękujemy Bogu za małe cuda - odpad jej ojciec. Była północ.

Destiny patrzyła na ojca, który pakował swoje rzeczy tak, jakby musiał się wyprowadzić w pośpiechu. Kartony stały w salonie i w sypialni.

Nie było ich dużo, bo ojciec miał niewiele. Kiedy odchodził od matki, nie zabrał nic prócz ubrań. Nawet widelca ani łyżki.

Odezwał się telefon. Ojciec odebrał. Znow dzwonił ktoś, kto wypytywał o dramat minionego dnia. Destiny usłyszała, jak ojciec po raz setny opowiada tę samą historię. Wyszła z pokoju. Nie miała ochoty tam stać. Spojrzała na swój podkoszulek i przeczytała pierwszy wers nadruku. „Chłopcy to głupki”. A potem następny: „Obrzuć ich kamieniami”. Miała zamiar zrobić coś więcej, niż rzucić kamieniem. Chciała znaleźć tych, którzy wykorzystali ją i okradli. Chciała sprawdzić, jak zrący potrafi być wybielacz. Przekonać się, jak głęboko może wejść ostrze brzytwy. Obrabowana. Zgwałcona. Porzucona. Pragnęła zemsty. Chciała uciec tej nocy, ale wiedziała, że nie będzie w stanie tego zrobić. Nie od ojca.

Po drugiej stronie ulicy zatrzymał się mustang z opuszczonym dachem. Z odtwarzacza płynęła głośna muzyka. R. Kelly *Trapped in the Closet, Chapter One*. Czarny kierowca zaparkował i rozmawiając przez komórkę, raz za razem naciskał klakson.

- Destiny, nie stój na werandzie. Kule nie muszą pytać o drogę. Facet po drugiej stronie ulicy był wściekły.

- Davina! Wiem, że mnie słyszysz! - krzyczał do telefonu. Ojciec stanął za jej plecami.

- To jego cholerne dziecko tak wrzeszczy po nocach.

- Twoje słownictwo, tato. Czasem mówisz tak, jakbyś był z getta.

- Dziecko krzyczy, matka krzyczy. On krzyczy.

Ojciec wrócił do mieszkania, klucząc między pudłami. Na jego małym telewizorze leciał film *5 Days to Midnight*, ale wyłączył go i puścił muzykę z przenośnego odtwarzacza.

- Gdzie jest mama? - spytała Destiny.

- Nie wiem. - Keith wzruszył ramionami, jak gdyby go to nie obchodziło.

- Szykowałam się do wyjścia.

- Może pojechała na spotkanie ze swoim chłopakiem.

Czas mijał. Brat w kabriolecie wciąż naciskał klakson, a jego odtwarzacz ryczał.

- Davina! Wiem, do cholery, że mnie słyszysz! Wdziałem, jak zerkałaś przez okno.

Destiny wyszła na zewnątrz i usiadła na schodach. Podśpiewywała cicho. W jej głowie tłukło się tyle myśli.

- Kto tam u ciebie jest?! Kogo wpuściłaś do mojego dziecka?

Brat wysiadł z samochodu i zaczął rzucać kamieniami w okno na drugim piętrze. Chodził dumnym krokiem jak LL Cool J. Miał ciemną baseballową czapkę, workowate spodnie, buty fubu i bluzę z wizerunkiem Kobe'a Bryanta.

- Przestań się zgrywać i przyjdź tu z Keshawnem!

Był stary. Miał jakieś trzydzieści lat. Ubrany w dżinsy. Skórzaną kurtkę. Włosy zaplecione w drobne warkoczyki.

- Destiny! - krzyknął ojciec i dziewczyna aż podskoczyła.

- Tam jest duszno.

- To otwórz okno i zostań tam, gdzie będę cię widział.

- Stąd mam piękny widok na tę scenę rodem ze slamsów.

- Nie wychodź z domu - warknął ojciec.

- To nie jest dom. I nie uciekłabym od ciebie, tato.

- Więc usiądź tam, skąd będziesz mnie widzieć.

- Po co? Myślisz o tym, żeby znowu uciec?

- Ja nigdy nie uciekłem - powiedział ojciec.

- Mama mówiła, że to właśnie dlatego znalazłeś się w tym obleśnym mieszkaniu. Ze uciekłeś z domu.

Sięgnęła do kieszeni, szukając gumy do żucia. Za mocno wyciągnęła podszewkę i wysypała wszystkie drobniaki. Patrzyła, jak monety turlają się po werandzie, a niektóre z nich spadają prosto w krzaki.

- Wracaj do środka - powtórzył ojciec. - Usiądź tam, gdzie będę mógł cię widzieć.

Podniosła kilka monet i zmęczona nawoływaniem ojca wróciła do środka. Włożyła do ust dwa kawałki dubble bubble i wydmuchała balon. Czowała się jak w areszcie domowym.

- Jak się zabierzesz z tymi gratami? - spytała.

- Przy ulicy stoi furgonetka. Carmen wynajęła ją dla mnie. Trzy dni temu.

- Dlaczego mi nie powiedzieliście, że do nas wracasz? Nie odpowiedział.

- Chyba nie jesteś tego pewien. Chyba tak naprawdę nie chcesz znowu z nami zamieszkać.

*

Nadal nie odpowiadał.

Na zewnątrz drzewa zdawały się podrygiwać w rytm głośnej muzyki.

- Davina! Przyjdź do mnie z tym cholernym dzieckiem!

Destiny weszła do kuchni, by nalać sobie szklankę wody. Na blacie dostrzegła książkę. Miękka oprawa. *Rozwód a pieniądze. Jak podejmować najkorzystniejsze decyzje finansowe podczas rozvodu.* Pobieżnie przejrzała rozdziały mówiące o złości, cierpieniu, wyrzutach, smutku i lęku przed przyszłością. Myśl o zysku, działaj zgodnie z prawem. Obok książki leżały płyty z programami. *Twój domowy prawnik.* Destiny przeczytała tekst na opakowaniu. Dwanaście płyt, szesnaście godzin porad prawnych dla ludzi o skromnym budżecie. Jak wyrównać szkody poniesione w trakcie rozvodu. Podział majątku. Alimenty. Utrzymanie dziecka. Prawa rodzicielskie. Kontakty z dzieckiem.

- Czy w rozwodach ktoś wygrywa? - zapytała.

- Prawnicy.

- Mama jest prawnikiem.

- Nie masz jakiegoś zadania do odrobienia?

- Dlaczego nie zostałeś prawnikiem tak jak mama? Mógłbyś mieć ten dom.

- No i co z tego?

- Mogłabym wtedy zostać z tobą. Wolałabym zostać z tobą.

- Naprawdę?

- Lubię siebie, kiedy jestem z tobą. Kiedy jestem z mamą... to szaleństwo.

Ojciec milczał przez chwilę.

- Zatrzymałbym cię przy sobie, gdybym mógł - powiedział.

- Zamówiłeś w internecie te płyty i chciałeś być swoim prawnikiem?

To wszystko, co mogłeś zrobić?

Ojciec wyrwał jej opakowanie płyt i wrzucił do śmieci.

- To było grubiańskie - powiedziała Destiny.

- Nie naruszaj mojej przestrzeni. Przestań być wścibska. Wyjdź stąd.

- Nie naruszaj mojej przestrzeni. Przestań być wścibska. Wyjdź stąd - zaczęła go przedrzeźniać.

- Przestań, dobrze?

- Pod warunkiem, że wymierzysz sobie dwa policzki za swoje grubiaństwo.

- Chytra gówniara.

- Pożałujesz tej chwili, kiedy jako starzec będziesz prosił, żeby pomóc ci wstać albo zmienić pieluchę.

Spojrzała na stertę otwartych kopert. W jednej z nich znajdowało się wypowiedzenie mieszkania. Trzydniowy termin. Inna przyszła z Biura Świadczeń Socjalnych. Ten nagłówek wydrukowany pogrubionymi literami jak groźba. Rachunki z Southern California Edison, Pacific Bell, Visa, Wells Fargo.

- Co się stało? - zapytała.

- A co miało się stać?

- Tato, nie zachowuj się, jakbyś nie wiedział.

Widziała, że ojciec zrobił się jakiś nieswój. Miał minę jak chłopiec, który zorientował się, że podglądają go dziewczęta.

- Tato, odpowiedz mi - powiedziała. - Nie ignoruj mnie. Wiesz, że tak nie można.

- Nie wiem. - Wziął głęboki oddech. - To nigdy nie są wielkie rzeczy czy jedna sprawa. Cały czas drobne problemy. Psycholog powiedział, że być może nie potrafimy panować nad naszymi konfliktami. Jakieś bzdury

O tym, że nie godzimy się na niezgodności. Ze nasze więzi się rozluźniły.

- Ludzie wiążą się ze sobą, biorą ślub i oddalają się od siebie.

- Dokładnie tak się dzieje.

- I to dlatego ty i mama zaczęliście uprawiać seks z innymi parterami? Oddaliliście się od siebie, a potem zbliżyliście się z kimś innym.

- Destiny, wymierz sobie dwa policzki.

- Nie zgrywaj się. Próbuję coś zrozumieć. Wszyscy się rozwodzą. Po co się pobierają?

Ojciec wyszedł w milczeniu. Destiny z powrotem usiadła przy stole i zaczęła przeglądać stertę podań o pracę. Ojciec wypełnił ich tak dużo. Obok leżała kupka listów z odmowami. Po drugiej stronie znalazła kolejny plik formularzy. Wniosek o ogłoszenie bankructwa.

- Staraleś się o pracę w Geek Squad? - krzyknęła Destiny.

- Mówisz jak twoja matka.

- I składałeś podanie, żeby pracować jako... steward?

- Możesz odłożyć to tam, skąd wzięłaś?
- Tato. To taki pedalski zawód.
- Odłóż te papiery na miejsce.
- Wszystko, tylko nie steward. Ludzie pomyślą, że masz jakieś ukryte potrzeby albo coś.
- To jest pieprzona praca.
- To jest „piiip” praca, to jest „piiip” praca, to jest „piiip” praca - zaczęła go drażnić. - Steward?
- Dostać posadę z najwyższej półki nie jest tak łatwo, jak się wydaje
- naskoczył na nią ojciec.
- A więc jaki sens ma studiowanie? Jeżeli to się tak kończy jak... jak u ciebie.
- Co proszę?
- Wiesz, o co mi chodzi. Jesteś inżynierem elektrykiem.
- Jestem już po czterdziestce - odpowiedział z załamaniem w głosie.
- To rynek pracy dla młodych.
- No i co z tego? Jesteś stary, ale bystry.
- Dzięki, kurde.
- Wiesz, co mam na myśli. Przecież masz dwa fakultety.
- Czasami... no cóż... moje wykształcenie... to, czym się zajmowałem.. teraz to działa na moją niekorzyść.
- Nie pojmuję. Jak wykształcenie i dobrze płatny zawód mogą działać na twoją niekorzyść?
- Zbyt długo pracowałem w jednym miejscu - uśmiechnął się. - Zajmowałem się specyficznym produktem. Kiedy firma padła, nikt go już nie potrzebował. Poszedłem w odstawkę. Wszyscy musieliśmy zaczynać od nowa. A to nie jest łatwe po czterdziestce. Ciężko jest być czarnym mężczyzną, który ma rodzinę, a nie ma... Życie kosztuje, Destiny. Ciesz się swoją młodością. Nie spiesz się do małżeństwa. Do rodzenia dzieci. Ciesz się życiem. Bo kiedy przejdiesz przez tę ulicę, nie ma już powrotu do Nibylandii.
- Nibylandii? A co dom Michaela Jacksona ma wspólnego z naszą rozmową?
- Ojciec zaśmiał się. Czowała się szczęśliwa, że rozbawił go jej żart.
- Davina!

- Tylko nie dorastaj zbyt szybko - powiedział ojciec.

Między jej nogami niemal przy każdym uderzeniu serca odzywał się ból. Upokorzenie.

Ze sterty kopert wzięła tę jedną, w której przyszedł pozew o alimenty. To było coś, do czego się przyczyniła. Po raz kolejny zaczęła się zastanawiać, jak wyglądałoby życie jej ojca, gdyby nigdy się nie urodziła. Albo gdyby miała odwagę, aby to odwrócić.

- Czy twoja dziewczyna jest w ciąży, tato?

- Taa - odpad, przygryzając górną wargę. - Mówi, że jest. Tak, jest.

- Hmm... a więc uprawiałeś z nią seks bez zabezpieczenia?

- Destiny.

- Dlaczego to robiłeś?

- Przestań.

- Tato. Odpowiedz mi. Dlaczego uprawiałeś z nią seks bez zabezpieczenia?

Ojciec potad oczy.

- Dlaczego zadajesz mi takie pytania, Destiny?

- Zadaję ci takie samo pytanie, jakie ty zadawałbyś mnie.

- Przestań.

- Ani myślę. Po co te wszystkie tajemnice przede mną?

- Zawsze musisz postawić na swoim - popatrzył na nią. - Zupełnie jak matka.

To zamknęło jej usta.

- Ty też masz swoje tajemnice, Destiny.

Wszedł do kuchni, pootwierał wszystkie szafki i wyjął kilka szklanek.

- Chcesz mieć dziecko z tą dziewczyną? - spytała Destiny.

Ojciec nie odpowiadał. Nadąsana wyjrzała przez frontowe okno.

Samochód, którym przyjechał tamten hałaśliwy brat, wciąż stał zaparkowany przy ulicy. Destiny zauważyła, że wątła brama prowadząca do pobliskiego budynku jest otwarta. Wyglądało na to, że mężczyzna znalazł sposób, aby dostać się do środka.

- Tato! - zawołała. - Ten krzykacz chyba wdarł się do domu po drugiej stronie.

- Pilnuj swoich spraw, Destiny.

- A jeżeli on ją pobije albo co?

- Nie wychylaj się tak.
- I wcale nie jestem jak moja matka.

Wróciła do kuchni. Ojciec siedział na stole ze szklanką w ręku.

- Chcesz o tym porozmawiać? - zapytał.
- O czym porozmawiać?
- O ostatniej nocy.

Destiny nie odpowiedziała, tylko stanęła bliżej ojca i oderwała kawałek gazety, w który zaczęła owijać jedną ze szklanek. Szklanki były stare i nie do kompletu. Obok stało kilka poobijanych talerzy.

- Tato, dlaczego pakujesz te graty z Armii Zbawienia? - zapytała Destiny.

- Bo są moje.

Ojciec otworzył butelkę E&J i nalał odrobinę do szklanki.

- I gdzie masz zamiar to wszystko trzymać?
- W składziku.
- Po co?

Spojrzała na ojca przez szkło butelki brandy.

- Na wszelki wypadek.
- Na wypadek, gdybyś ty i mama... na wypadek, gdybyś znów musiał uciec z domu?

Nie odpowiedział. Unikał jej wzroku. Był zbyt zajęty osuszaniem szklanki.

- Nigdy od ciebie nie uciekłem, Destiny. Nigdy - tłumaczył.
- Przestałeś pić. Nie zaczynaj od nowa. Od tego twój oddech cuchnie.
- To stres. Muszę wybić klina.

Przypominała sobie, jak dużo pił, kiedy mieszkali razem. Przypominała sobie, jak przestał, kiedy się wyprowadził.

- Nic z tego nie wyjdzie, prawda? - spytała.
- Zobaczymy, co będzie - na jego twarzy pojawił się wymuszony uśmiech.

Destiny zajrzała do jednego z pudeł, w którym było pełno zdjęć. Wiedziała, że zdjęcia to coś więcej niż odbitki na papierze Kodaka. Ze to cenne wspomnienia, niezatarte obrazy minionych dni.

Matka była chudsza, miała płaski brzuch. Różne fryzury. Mogła mieć niewiele więcej lat niż obecnie Destiny.

Ojciec był szczuplejszy, jego skóra miała wyrazistszy odcień. Krata na brzuchu, mocne ramiona, wyglądał, jakby mieszkał w siłowni.

Ojciec i matka byli na tych zdjęciach znacznie młodszy i szczęśliwi.

Jak zupełnie inni ludzie. Szczęśliwi ludzie. Ludzie, których nigdy wcześniej nie widziała.

Zajrzała do kolejnego pudła. Ostatnie zdjęcia ojca i Billie. Tyle nowych wspomnień. Wyglądał przy niej na szczęśliwego, ale to było szczęście innego rodzaju, uduchowione i o wiele głębsze.

Następnie natrafiła na poskładany plakat. Rozłożyła go. Dziewczyna ojca na żółtym motocyklu. Była ubrana jedynie w buty na ośmiocentymetrowych obcasach i żółte stringi. Uśmiechała się.

Ojciec wyrwał jej zdjęcie z rąk. Schował jak cenną nagrodę. Nie padło ani jedno słowo. Zdjęcie takie jak to... warte jest dużo więcej niż tysiąc słów.

Zastanawiała się, czy to, co powiedziała jej matka, jest prawdą.

Nowa kobieta. Nowe dziecko. Nowe życie.

Zastanawiała się, czy ojciec zapomni o niej i o matce, kiedy Billie urodzi to dziecko.

- Nadal kochasz mamę? - zapytała.

- Czas płynie i wszystko się zmienia. Przeszliśmy długą drogę. W tej wędrówce ludzie się zmieniają. Miłość też się zmienia. Czasem podąża wraz z tobą, a czasem cię opuszcza.

- Nie ignoruj mnie, tato.

- A to, jak wyobrażasz sobie miłość, mając piętnaście lat, całkowicie się zmieni, kiedy będziesz miała czterdzieści.

- Kochasz mamę?

- Pojęcie miłości... ewoluuje... kiedy dorastasz, zmienia się.

- Tato.

Ojciec zamilkł.

- Kochasz mamę? - powtórzyła łagodniejszym tonem. Bez odzewu.

- Ale nie tak jak tę dziewczynę na motocyklu, prawda?

- Nie ma dwóch takich samych miłości.

- Nie rozumiem. Miłość to miłość i nic poza tym.

- Nie wiem, czy potrafię przeżyć drugą połowę swego życia w taki sam sposób, w jaki przeżyłem pierwszą.

- Co to znaczy?

- To, że chcę być szczęśliwy. To, że nie chcę zmagać się z losem aż do ostatniego tchnienia.

- To znaczy, że naprawdę kochasz swoją przyjaciółkę, tak?

- To znaczy, że się boję, Destiny. Kocham ją. Ale tak samo kochałem twoją mamę. A miłość to chyba bestia. A... wszystkie te bzdury, które przychodzą mi do głowy... to trudno wytłumaczyć. Właśnie jestem... to jest ten moment, kiedy... zastanawiam się, czy w ogóle moje życie jest w porządku... wobec ciebie... wobec wszystkich. I nie dochodzę do żadnego wniosku.

W milczeniu wrócili do pakowania przy wtórze przygnębiającego bluesa.

- Ciebie kocham bardziej niż je obie razem wzięte - odezwał się ojciec.

- Kocham cię tak jak na Księżyc i z powrotem - odpowiedziała z uśmiechem.

- Wiem.

- I zawsze będę, tato.

- Tak szybko dorostaś.

Na ulicy znów pojawił się brat, który wykrzykiwał na Davinę. Jego głos dobiegał z daleka i wszystkie słowa były niezrozumiałe. Destiny znów podeszła do frontowego okna.

- Założę się, że nakrył ją z innym facetem - mruknęła.

Wyszła na zewnątrz, żeby odszukać resztę drobniaków. Zapaliła światło na werandzie i znów zajrzała w krzaki. Znalazła dwie dziesięciocentówki i wyczuła pod palcami jakiś kształt. Nachyliła się, by zobaczyć, co to takiego, i serce zabiło jej mocniej. Rewolwer. Prawdziwy rewolwer. Leżał w zaroślach, jakby wynurzył się spod ziemi.

Jakby zesłały go jej niebiosy.

Z odtwarzacza płynęła właśnie piosenka Bobby'ego Womacka *If You Think Youre Lonely Now*.

Ojciec wrócił do salonu z małym kartonem pod pachą i nucił, fałszując. - *Masz rację, Bobby. Wymądrzaj się, chłopie, wymądrzaj* - krzyczał, machając wolną ręką.

Był w swoim świecie dysonansów zaprawionych przepitym oddechem.

Destiny wzięła swój plecak. Obejrzała rewolwer. Był prawdziwy.
- *One są jak dzieci* - ciągnął ojciec. - *Zrozum dziecko, a zrozumiesz kobietę.*

Wyszedł i wrócił z następnym pudełkiem.

Destiny wyjrzała przez okno, prosto w ciemność. Zastanawiała się. Wszystkie jej myśli krążyły wokół ponownej ucieczki i odnalezienia ludzi, z którymi spędziła ostatnią noc. Ból nie ustępował. Czasem się nasilał, czasem był słabszy, ale wciąż go czuła. I te wspomnienia, które nie chciały się rozwiać. W jej oczach wezbrały łzy.

- Tato, gdybyś zamieszkał ze swoją dziewczyną, gdybyś nie wrócił do domu, nawet gdybyś się z nią ożenił i bylibyście szczęśliwi, nie byłabym o to wściekła. Większość moich przyjaciół ma rozwiedzionych rodziców. To jest fajne, wiesz? Kiedy by wam się ułożyło, mogłabym pomieszkiwać trochę z tobą i z nią. Albo, wiesz, zostawać na weekendy czy jakoś tak. Mogłabym wtedy robić za niańkę.

- Mówisz poważnie?

- Tak.

- To dlaczego płaczesz?

Wzruszyła ramionami. Było w niej tyle sprzecznych emocji.

- Dlaczego ludzie nie mogą być mili dla siebie i żyć szczęśliwie? - zapytała, ocierając łzy.

- Życie szczęśliwie to najtrudniejsza rzecz na świecie.

Zamknęła oczy. Wdziała migawki z ostatniej nocy. Nocy, której żałowała, ale której nie da się odwrócić.

- Dlaczego ludzie się pobierają, a potem chcą uprawiać seks z innymi partnerami?

- Nie wiem.

- To znaczy dlaczego wszyscy mają romanse?

- Destiny... posłuchaj, skarbie, to jest pytanie, na które nikt nie potrafi odpowiedzieć.

- Dlaczego ludzie się pobierają, skoro potem nie są szczęśliwi?

- Bo nie wiesz, jakie będzie małżeństwo, dopóki się o tym nie przekonasz.

- Nigdy nie wyjdę za mąż.

- Poznasz jakiegoś chłopaka i zmienisz zdanie, kiedy dorośniesz.

- I nigdy nie będę chciała mieć dzieci. Nigdy. Nie chciałabym mojemu dziecku wyrządzić czegoś takiego.

Otarła oczy, ale łzy nie przestawały cieknąć.

- Nigdy nie zdecyduję się na dziecko tylko po to, żeby pozbyć się endometriozy.

- Destiny.

- Co, tato? - krzyknęła.

Czuła, jak ojciec walczy z samym sobą. Czuła jego wysiłek. Czuła jego strach.

- Czy ty... czy... zaczęłaś współżyć?

Nie odpowiedziała. Nie potrafiła sobie wyobrazić, jak mogłaby okłamać swego ojca, patrząc mu prosto w oczy.

- W porządku. Nie będę się wściekał, kochanie. Tatuś chce tylko wiedzieć, czy ty... Tak?

Destiny toczyła wewnętrzną walkę.

- Uprawiałam już seks.

Ojciec wziął głęboki haust powietrza. Wstrząsnął nim dreszcz. Z trudem przełknął ślinę.

- Ostatniej nocy? - zapytał.

Jej usta drżały. Z oczu ciekły łzy. Gdzieś z oddali dobiegał dźwięk syren. Ojciec otoczył ją ramionami. Przytuliła się do niego.

- Czy nadal byś mnie kochał, gdyby ostatniej nocy przytrafiło mi się coś naprawdę złego? - zapytała.

Czuła, że jego ciało przeszył lęk. Czuła, że ojciec nie wie, co zrobić, by naprawić świat.

Niemalże powiedziała mu: uciekła nie dlatego, że matka ją uderzyła. Ze się potem upiła. Że brała narkotyki. Prawie powiedziała, że została zgwałcona. Prawie, ponieważ te myśli trawiły ją od wewnątrz i musiała komuś się zwierzyć. Ale za bardzo zatraciła się w jego uścisku, zbyt mocno wstrząsał nią szloch.

Ojciec trzymał ją mocno w objęciach.

- Co wydarzyło się ostatniej nocy, Destiny? - jego głos się łamał.

Syreny wyły tuż za oknem, a ulicę wypełniły błyski policyjnych kogutów. Sąsiedzi wylegli na zewnątrz, by przekonać się, dlaczego czarny brat stoi na środku jezdni i macha na radiowozy, krzycząc ze łzami w oczach.

Krzyczał, jakby ktoś wydzierał mu serce z piersi. Drzwi wejściowe otworzyły się gwałtownie.

- Keith. Destiny.

W rozgorączkowanym głosie matki pobrzmiwał ton zwiastujący kłopoty. Ojciec rozluźnił uścisk. Drzwi zamknęły się za matką.

W drzwiach i oknach okolicznych budynków pojawili się ludzie. Inni zgromadzili się przy krawężniku, mamrocząc coś między sobą.

- Co się stało, mamó? - zapytała Destiny.

Matka stała, trzęsąc głową, a jej włosy poruszały się, jakby podwiewał je lekki wiatr.

- Ona utopiła swoje dziecko - wykrztusiła.

- Co? - Destiny zmrużyła oczy.

- Dziecko... dziewczyna po drugiej stronie ulicy... ona zabiła swoje dziecko.

Destiny wyszła za matką na werandę. Ojciec stanął obok nich i przyglądał się całej scenie.

Brat stał oparty o swój samochód, krzyczał i zanosił się od płaczu, policjanci próbowali go uspokoić.

Paru innych wyprowadzało w tym czasie dziewczynę zakutą w kajdanki. Destiny patrzyła na jej wygniecioną piżamę. Potargane włosy. Szła na bosaka i wyglądała, jakby nie spała od kilku dni. Chuda, wysoka, o pustych oczach, otumaniona, jakby uciekło z niej życie. Mogła mieć co najwyżej dwadzieścia lat. Ani razu nie uniosła głowy, ani nie wydała też żadnego dźwięku, kiedy wsadzono ją do policyjnego samochodu.

Brat rzucił się w stronę radiowozu, ale policjanci powstrzymali jego furję.

- Dlaczego zabiłaś mojego syna, Davino?

Destiny podeszła wraz z matką do krawężnika. Przyglądała się młodej dziewczynie, która wyglądała jak wyzuty z emocji strzęp kobiety pogrążonej we własnym świecie.

- Dlaczego, Davino? Dlaczego zabiłaś mojego syna?

Pojawili się sanitariusze niosący małe zawiniątko, które skrywało zwłoki dziecka.

Matka przeszła na drugą stronę ulicy. Zawsze wścibska. Destiny została na miejscu.

Jakiś starszy człowiek rozmawiał ze swoim młodszym sąsiadem.

- Słyszałem, jak mówili, że ona była w mieszkaniu razem z tym martwym dzieckiem, które cały czas leżało w wannie.

- Naprawdę? - powiedział młody.

- Zabiła swojego synka, zabiła to biedne dziecko zeszłej nocy. Dziecko płakało, a potem ni stąd, ni zowąd przestało płakać. Powiedziałem wtedy mojej żonie, że coś jest nie tak. Dzieci nie przestają płakać w ten sposób.

- To istny obłąd, Dag.

- A kiedy jej chłopak włamał się tam przed minutą, siedziała w kącie i mamrotała „Nie chciał przestać płakać... nie chciał przestać... zrobiłam, co mogłam, żeby przestał... nie chciał przestać”.

- Cholera.

- Chłopczyk nie miał nawet roku. W wannie, twarzą do dołu.

- Mówisz poważnie?

Destiny pomyślała o tym, że ludzie czasem rodzą się w wodzie. To dziecko straciło życie w taki sam sposób. Potem jej myśli nagle zmieniły kurs i próbowała doszukać się sensu w tym, co zrobiła ta kobieta.

Może miał to być dla niej znak. Jakieś proroctwo. Widziała, jak bardzo ten człowiek przeżywał śmierć swojego synka. Gdyby Billie urodziła dziecko, jej ojciec mógł pokochać je bardziej niż ją.

- Dziecko nie miało nawet roku - powtórzył ten młody.

- Niektórzy rodzice tracą cierpliwość szybciej niż inni - odpad stary. - Może nie miała do tego predyspozycji. Ale to chyba nie jest wymagane, żeby zrobić dziecko. Na to każdego stać.

Ludzie kręcili głowami. Płakali.

Niektórzy modlili się z zamkniętymi oczami.

Destiny stała obok i przysłuchiwała się rozmowom. Patrzyła na tych dwoje, których ogarnęło szaleństwo.

W każdym z nich zaszły nieodwracalne zmiany.

- Dlaczego zabiłaś mojego syna? - Brat upadł na kolana i raz za razem powtarzał: - Dlaczego?

Wykrzykiwał coś o swoim dziecku i pytał Boga, czemu do tego dopuścił.

Wtedy Destiny zauważyła, że młody brat, który rozmawiał ze swym starszym sąsiadem, patrzy na nią. Wpatruje się uporczywie. Zdaje

się uśmiechać. Jakby skądś ją znał. Zrobił kilka kroków i stanął obok niej.

- W/dajesz mi się znajoma - powiedział. - Wyglądasz całkiem jak jedna z dziewczyn na filmie, który właśnie widziałem.

- Jakim filmie?

- *Cichodajki*. Znaczący taki ma tytuł.

- Co to jest?

- Produkcja dla dorosłych. Kupiłem od tych czarnuchów z Western Boulevard.

Destiny przełknęła ślinę i przyglądała ręką włosy spięte w kucyk.

- Smutne, no nie? - powiedział.

- Co? - jej głos stał się chłodny. - Smutne... co?

- Że siostrze odbija palma i morduje swojego bachora. Smutne jak cholera.

- Tak - westchnęła Destiny, potrząsnęła głową i pomyślała, że to nie mogło się stać. - Smutne - powtórzyła.

Brat poszedł w swoją stronę. Obwisłe spodnie, zwieszona głowa, jakby próbował coś zrozumieć.

Western Boulevard. Uliczne kurewki i motel. Ten sam teren, który odwiedziła zeszłej nocy.

To czerwone światelko kamery. Filmowali ją.

Był jakiś film. Oni sprzedawali płyty z filmami.

Ten brat mówił, że ona wygląda jak dziewczyna z takiego filmu.

Patrzył na nią tak, jakby była dziewczyną z tego filmu.

Matka przeszła z powrotem przez ulicę, potrząsając głową. Zasłoniła usta dłońmi i płakała. Po jej twarzy spływało tyle łez. Mało kto znał ją od tej strony.

Spojrzała na Destiny przez łzy i przytuliła ją mocno.

Destiny ruszyła za matką do domu. Nerwowo, z opuszczoną głową. Bała się spojrzeć za siebie, miała wrażenie, że niektórzy zerkali na nią i szeptali zaaferowani.

- Dlaczego zabiłaś mojego syna?

Kolejny spazm niczym trzęsienie ziemi poruszył okolicę. Z samochodowego odtwarzacza wciąż płynęła muzyka. R. Kelly. Głośno i wyraźnie, tak samo ogłuszająco jak wrzaski.

Duch martwego dziecka wypełniał noc.

Kobieta po drugiej stronie ulicy postradała zmysły. Ojciec zabitego dziecka był bliski obłądu. Była druga w nocy.

Policja odjechała, a większość sąsiadów wróciła do swoich spraw. Do codziennych problemów, oczekując na kolejną rozrywkę. Destiny siedziała na werandzie i kiwając nogą, przysłuchiwała się kłótni rodziców.

- Musisz jutro pojechać ze mną do banku i podpisać kilka dokumentów w związku z pożyczką.

- Na jaką cholere potrzebna ci pożyczka?

- Niech cię o to głowa nie boli.

- Wykorzystujesz prawo własności domu, który kupiłem, żeby się zadłużyć? Otwierasz jakiś interes? Jaki?

- Posłuchaj, psiakrew, muszę mieć siedemdziesiąt pięć tysięcy.

- Ja też. Gdybym miał taką kupę forsy, nie znalazłbym się w takiej sytuacji jak teraz.

- Podpisz te papiery, Keith. Proszę. Czy mógłbyś je po prostu podpisać?

- Nie wystarczało ci czterdzieści dolarów alimentów, a teraz prosisz mnie o przysługę? Jesteś naćpana, Carmen? Ta hipoteka jest po to, by zabezpieczyć przyszłość Destiny, na jej studia. Nie dla ciebie. Nie dla mnie.

Skłóceni. Zawsze skłóceni.

- Zrobię to bez ciebie, Keith. Będę miała tę cholerną zgodę bez ciebie.

- Podrobisz mój podpis?

- Skoro mnie do tego zmuszasz. Nie jestem taka jak ty. Zrobię, co trzeba, żeby to mieć.

- Skończysz w więzieniu.

- Wsadziłbyś do więzienia matkę swojego dziecka?

- To by wszystko rozwiązało. Miałbym swój dom, opiekę nad dzieckiem. Żadnych alimentów. No już, podrób mój podpis. Postaram się, żebyś trafiła do Sybil Brand szybciej, niż zdążysz się obejrzeć.

Matka wyszła wzburzona, z hukiem zamykając za sobą drzwi.

- Nie trzaskaj moimi drzwiami - krzyknął za nią ojciec.

- Destiny, zabieraj swoje rzeczy - warknęła matka. - Jedziemy do domu.

Destiny wróciła do środka. Zastała ojca w kuchni z drinkiem w ręku.

- Tato, wychodzę - powiedziała.

Nastąpiła długa chwila milczenia. W jego oczach widać było odrazę.

- Zadzwoń do mnie, kiedy będziesz w domu.

- Nie. Prześpij się trochę. Cruella De Vil jest w parszywym nastroju, więc zagada mnie na śmierć. Uporam się z mamą i zadzwonię do ciebie rano. Przyjdę zrobić ci śniadanie.

- Naleśniki?

- Co tylko zechcesz, tato. Co tylko zechcesz. Wrr. Hau! Hau! Ojciec roześmiał się. Lubiała to.

- Nie wygłupiaj się - powiedział.

- Wiesz, mogę nawet podskakiwać na jednej nodze. Wrrr. Hau! Hau! Hau!

- Dokończymy naszą rozmowę na temat ostatniej nocy?

I znowu pomimo rozbawienia zobaczyła rozrzucone na podłodze prezerwatywy. Poczowała ból. Wszystko to wciąż w niej tkwiło.

- Dobrze - przytaknęła.

Weszła do salonu, by zabrać plecak, i jeszcze raz spojrzała na ojca. Gasił wszystkie światła, chwiejnym krokiem idąc w stronę sypialni. Destiny wyszła na zewnątrz. Matka siedziała w samochodzie wpatrzona w dal, jakby jej głowę zaprzętało mnóstwo myśli. Z odtwarzacza płynęła muzyka. Ten cholerny John Legend.

Pomyślała, że jeśli teraz wsiądzie do samochodu matki, nigdy nie uda się jej uciec.

To była jej jedyna szansa.

- Zatrzasnę drzwi. Idź do łóżka, tato - zawołała.

- Dobra.

Puściła frontowe drzwi i poczekała, aż zamek zaskoczy. Światło na werandzie było wyłączone. Destiny rzuciła plecak w trawę z nadzieją, że matka tego nie widzi. Zerknęła w stronę mieszkania ojca, by sprawdzić, czy nie stoi w oknie. Po wyjściu matki był tak zirytowany, że tym razem nie machał im na pożegnanie. Znowu popatrzyła na samochód. Matka nie zwracała na nią uwagi.

Destiny wskoczyła na siedzenie pasażera i dała matce znak, by opuściła szybę.

- Mamo, tata jest pijany.
- Matka ściszyła muzykę. Teraz John Legend szeptał.
- Gdzie są twoje rzeczy?
- Zostawiłam u niego. On nie czuje się najlepiej.
- Nikt z nas się nie czuje.
- Jest zdruzgotany. Zostanę tutaj. Zrobię mu śniadanie i dopilnuję, żeby wszystko było w porządku. Ty też sobie odpocznij. A potem wrócę do domu i przyrządzę tobie coś pysznego. Dobra?
- Destiny...
- Co, mamo?
- Pozwolę ci tu zostać, ale chciałabym, żebyś coś dla mnie zrobiła.
- O co chodzi?
- Nie jestem złą osobą. Nie jestem. Po prostu kocham. I cierpię. Chcę tego samego co wszyscy. Chcę być szczęśliwa. Czy rozumiesz, Destiny? Jedyne, czego twoja matka chce, to ocalić naszą rodzinę i być szczęśliwą. Rodziny czarnych dość się już nacierpiały. Zbyt wielu szybko się poddało. Kiedy dorośniesz, zrozumiesz, czym jest małżeństwo. Zrozumiesz, dlaczego poważnie traktuję swoje śluby. Nasi przodkowie byli silnymi ludźmi, Destiny. Silnymi kobietami i mężczyznami, którzy przetrwali podróż przez Atlantyk, którzy przerośli kraje Trzeciego Świata. Jesteśmy najlepsi z najlepszych. Nigdy o tym nie zapominaj.
- Co chcesz, żebym zrobiła, mamo?
- Gdyby dzwoniła do niego ta wywłoka, odłóż słuchawkę. Nie pozwól, aby zamieniła z twoim ojcem choćby słowo.
- Dlaczego?
- Jesteś przyjacielem czy wrogiem? - matka zmarszczyła brwi.
- Mogłabym ukradkiem wyłączyć jego telefon. Nie będą wtedy mogli rozmawiać.
- Matka przygryzła górną wargę.
- A komórka? A jeśli zadzwoni na jego komórkę? - zastanawiała się zmartwiona.
- Też mogłabym ją wyłączyć. Albo przestawić na alarm wibracyjny.
- Może zostawić mu wiadomość.
- Żaden problem. Wiem, jak ją usunąć.
- Naprawdę? - matka była zaskoczona.

- Taa. Znam jego hasło.
- Matka patrzyła na nią z niedowierzaniem w oczach.
- A moje hasło też znasz? - zapytała.
 - Ależ skąd, mamu - skłamała. - Nigdy bym ci tego nie zrobiła.
 - Jesteś taka jak twój ojciec - stwierdziła matka, marszcząc brwi.
 - Nie, jestem tobą z przeszłości. Nie zapominaj o tym.
- Zapadła cisza. Pod maską nastoletniej twarzy kryło się tyle niechęci.
- Mamu, na co potrzeba ci tak dużo pieniędzy?
 - Ta parszywa panienska twojego ojca...
 - Czy to ma coś wspólnego z tą dziewczyną na motocyklu? Twarz matki stężała.
 - Dlaczego jesteś taka milutka, Destiny? - zapytała, patrząc jej prosto w oczy.
 - Nie mam pojęcia, o co ci chodzi, mamu.
 - Nie wciskaj mi bzdur.
 - Nie mogę już patrzeć, jak cierpisz, mamu. Matka potarła skronie, przytaknęła.
 - Jestem zmęczona cierpieniem. Zmęczona bezsennymi nocami i budzeniem się na poduszce mokrej od łez. Nie chcę tego dłużej znosić. Nie chcę, żebyś teraz wycinała jakieś numery.
 - Ja tylko chcę pomóc - powiedziała Destiny.
 - Doprawdy?
 - Nie chcę stracić taty.
 - A ja nie chcę stracić ciebie. Mama chce, żebyśmy pozostali rodziną, wiesz o tym.
 - Nie chcę, żeby ta dziewczyna miała dziecko z tatą.
 - Próbuję coś z tym zrobić, kochanie. Staram się, jak mogę.
 - Czy to ma coś wspólnego z tym, gdzie byłaś dzisiaj w nocy? Matka spojrzała na nią badawczo.
 - Nie ufam ci, Destiny. Nie do końca. Destiny zacisnęła wargi.
 - Ta dziewczyna taty... Ostatniej nocy wybiłam jej okno cegłą. Matka szeroko otwierała usta ze zdziwienia.
 - Kiedy uciekłam zeszłej nocy, poszłam tam i wrzuciłam jej cegłę przez okno.

Słyszając to, matka pokręciła głową, cmoknęła, niemalże się uśmiechnęła. To było coś więcej niż najlepsza pochwała.

- Cofam karę - powiedziała.

Destiny uśmiechnęła się. Teraz zdobyła zaufanie.

- Widziałam się dzisiaj z tą jego panienką - wyszeptała matka.

- Czy ona... czy zażądała od ciebie pieniędzy? To dlatego potrzebujesz tej pożyczki?

- Sto siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów i zostawi nas w spokoju.

- Tyle pieniędzy... bo jest w ciąży?

- Właśnie dałam jej pierwsze pięć tysięcy.

- Właśnie jej dałaś... to przesrane, mamó. Normalnie przesrane.

- To jest przesrane - przyznała matka.

- Mam nadzieję, że to nie jest pyrrusowe zwycięstwo.

- Pyrrusowe zwycięstwo? O co ci chodzi, Destiny?

- Pyrrusowe to znaczy... czy było warto? Chodzi mi o to... jeśli dasz jej te pieniądze... czy będę mogła iść na studia?

- East College odpada. Harvard też. I Yale. Będziesz musiała wybrać uniwersytet stanowy.

- Nie mogę. - Destiny zacisnęła zęby. - Co my teraz zrobimy?

- Widzisz, jak jedna błędna decyzja wpływa na wszystko? Widzisz, do czego doprowadził twój ojciec?

- Pozwól mi porozmawiać z tatą.

- Nie mów mu o tym. Nie mów nikomu ani słowa na ten temat. Destiny pomyślała o ostatniej nocy, o swojej błędnej decyzji i o ludziach, których poznała w tamtym hotelu.

Pomyślała o tej opryskliwej półkrwi Azjatce, o tej bójce na Crenshaw. Znów chciała walczyć.

- A gdybym znalazła jakieś wyjście?

- To ojciec rozbił rodzinę. Pozwól mamie to naprawić.

- Ale gdybym mogła jakoś pomóc?

- Nie. Wystarczy, że będziesz robić to, co ci każę, wtedy, kiedy ci każę.

- Ale ta wywłoka chce zagarnąć pieniądze na moje studia - krzyknęła Destiny.

Studia. Jedyne rozwiązanie, aby uciec od matki. Zaplanowana droga jej ucieczki z tego świata.

Patrzyła na matkę, a matka patrzyła na nią.

Na twarzy matki pojawiła się troska. Przez chwilę Destiny dostrzegła w niej małą wystraszoną dziewczynkę. Miała takie zagubione oczy. Takie zagubione życie.

Destiny miała ochotę ją przytulić, ale atmosfera była zbyt napięta. Matka siedziała w bezruchu, jakby dotknął ją paraliż.

- Kocham twojego ojca, Destiny - powiedziała. - Kocham go.

- Wiem, mamó, wiem.

- Był pierwszym mężczyzną, jakiego pokochałam. I jedynym.

- Tata był pierwszym mężczyzną, z którym uprawiałaś seks?

- Nie to miałam na myśli - wzięła głęboki oddech. - Nie był pierwszym, ale chciałam, żeby był ostatnim.

W tonie jej głosu pobrzmiwało załamanie. Jej ciężkie spojrzenie utkwione w epicentrum własnej zgrzyoty. Kto mieczem wojuje, ten od miecza ginie. Destiny doszła do wniosku, że taki miecz mógłby zostać wykuty z miłości. A miłość zadaje najstraszniejsze rany.

- Mamó... zaraz się rozplaczę.

- Już dobrze - odpowiedziała drżącym głosem, który stał się teraz taki delikatny, taki słaby, taki stary. - Bylebyś tylko nie rozrabiała, Destiny. Wiem, że nie było ci łatwo, ale mama nie może teraz z niczym dać sobie rady.

- Nie płacz.

Matka próbowała się opierać, ale jej oczy zalśniły od łez. Tyle było piękna w jej smutku. Uśmiechała się jak bogini pozbawiona mocy.

- Jeśli kochasz, Destiny, nie kochaj na próżno.

- Co to znaczy, mamó?

- Miłość powinna być jak wstawanie o świcie i patrzenie na wschód słońca, gdy cały świat pogrążony jest we śnie. Miłość powinna być spokojem, ukojeniem. Powinna napędzać cię entuzjazmem. Ale ona przynosi lęk. Miłość jest głęboko zakorzeniona w duszy. Powinna być błogosławieństwem od Boga. Ale nie jest. Nie dla wszystkich. Nie dla mnie.

Matka stała się nieobecna, odpłynęła w swój świat, mówiąc do siebie i przytakując w odpowiedzi.

Destiny nieustannie wzdychała i ocierała oczy. Patrzyła na matkę, która rozpadała się na kawałki, a każdy z nich pozostawiał wyłom w jej

marmurowym pancerzu. Patrzyła na matkę, która płakała, jakby wciąż była małą dziewczynką. Patrzyła, jak powoli zaczyna dochodzić do siebie. Destiny nadal czuła się zaszokowana, schwyтана w sieć przyczyn i skutków, których nie potrafiła pojąć. Chciała, aby jej matka była szczęśliwa. Chciała, aby jej ojciec był szczęśliwy. Sama chciała być szczęśliwa. Była niemal pewna, że nigdy się nie zakocha. Ze nigdy nie stanie się ofiarą nędznych emocji, które okaleczają i zmuszają do desperackich czynów w imię przetrwania.

- Nigdy nie kochaj na próżno - odezwała się matka, a w jej głosie słychać było moc, która budziła respekt.

Destiny spojrzała w stronę mieszkania ojca. W oknie sypialni panowała ciemność. Nie potrafiła dostrzec, czy właśnie je obserwował. Nie wiedziała, czy jego uszy były wyczulone na ich konspirację. Zachowała zimną krew, posłała matce całusa i ruszyła z powrotem w stronę mieszkania, nie oglądając się już ani razu. Kiedy szła do frontowych drzwi, usiadła na werandzie, gdzie skrywał ją cień. Siedziała tam, dopóki nie usłyszała, że samochód matki odjeżdża. Siedziała i czekała, aby się przekonać, czy ojciec otworzy drzwi i ją zawoła. Siedziała tak przez dwadzieścia minut. Wystarczająco długo, aby jej matka zdążyła dojechać do domu, zaparkować auto i wejść do środka. Wystarczająco długo, aby zdążyła nalać sobie szklanek pinot noir i usiąść przed kominkiem, z palcami wczepionymi w gęstą fryzurę, z tysiącem łez zalewających jej twarz. Potem Destiny siedziała jeszcze przez dziesięć minut, trzęsąc się z zimna, zastanawiając się, czy matka sięgnie po telefon i w mieszkaniu ojca rozlegnie się dzwonek. Zastanawiała się, jak znaleźć ludzi, którzy zeszłej nocy wyrządzili jej krzywdę. Siedziała cicho i w bezruchu jak żołnierz na polu bitwy, planując swoją prywatną wojnę. Wreszcie wstała, weszła na trawnik, podniosła plecak i ruszyła w stronę Casura Bay.

Była przerażona. Ale przepęniał ją pulsujący ból. Serce domagało się sprawiedliwości za jej krzywdę.

Zza pleców dobiegało coś, czego nigdy nie słyszała w tej części miasta - cisza. Było tak spokojnie, że Destiny słyszała swój oddech, kiedy jej pierś unosiła się i opadała. Zerknęła z ukosa na przeciwległą stronę ulicy pogrążoną w ciemnościach. Nikt jej nie śledził poza duchem zamordowanego dziecka. Dziecka, które zakończyło życie w wodzie. Które już nigdy nie zapłacie.

DESTINY

Kiedy przechodziła koło gimnazjum Audubon, poczuła unoszący się w powietrzu zapach taco.

Przebiegała Leimert Boulevard. Na szyldach i tablicach dominował tu język hiszpański.

Graffiti, takie jak te, które zdobiły ściany przy Martin Luther King Boulevard, spełniały rolę muzeum getta. Pohukiwała muzyka. Ludzie tak głośno wykrzykiwali różne plugastwa, że można by ich dosłyszeć w Arizonie. Destiny kroczyła ulicą, jakby lawirowała między pozostałościami jakiegoś kraju Trzeciego Świata. Przystanęła obok koreańskiego sklepu spożywczego.

Oparty plecami o ścianę brat zaciągnął się papierosem i zapytał:

- Jak masz na imię?

Zignorowała go i kryjąc zdenerwowanie, odwróciła się.

- Suka - usłyszała za plecami.

Destiny weszła do środka. Kupiła litrowy kubek oranżady z automatu i małą buteleczkę wybielacza. Zapłaciła za to drobnymi, które miała w kieszeniach, i pognęła, jakby chciała prześcignąć czas.

- Suka. Wiem, że słyszysz, co do ciebie mówię. Nienawidzę tych zarozumiałych dziwek z Los Angeles.

Destiny zatrzymała się, wsunęła butelkę wybielacza pod pachę i odwróciwszy się do tego gbura, odsunęła połę kurtki.

Mężczyzna zobaczył kolbę rewolweru. Zobaczył jej groźny wyraz twarzy.

Uniół dłonie w przeproszającym geście i oddalił się pospiesznie.

Martin Luther King Boulevard. Miejsce, gdzie co roku, podczas parady z okazji Dnia Martina Luthera Kinga, dochodziło do starć między gangsterami. Nikt nie będzie szanował czarnego człowieka, jeżeli on nie będzie szanował sam siebie. Tak co roku mówił jej ojciec. Była to jedna jedyna kwestia, w której matka przyznawała mu rację. Jedna jedyna.

Destiny zapięła kurtkę i poszła dalej. Czowała na sobie spojrzenia innych mężczyzn.

Słyszała ich szepty. Słyszała, jak się jej boją.

Opuściła głowę, obawiając się, że spięte w kucyki włosy nadają jej dziecinny wygląd, który mógł zwrócić uwagę policji. Martwiła się, że może zostać zatrzymana, ale potem zobaczyła co najmniej troje dzieci, które mogły mieć nie więcej niż dziesięć lat, wałęsających się samopas po bulwarze z papierosami w ustach i rzucających przekleństwa jak dorośli.

Nikt nie zwracał na to uwagi.

Huczała muzyka i nikt nie zwracał na to uwagi.

Nad jej głową wisiał ogromny oświetlony rzęsiście niczym główna ulica w Las Vegas billboard. Zdjęcie ładnej uśmiechniętej czarnej dziewczyny na tle miasta podpisane: „Kto mnie zabił?” Lisa Wolf. Destiny zastanawiała się, kto to taki. Co taka bogata i ładna kobieta musiała zrobić, że ktoś ją zabił.

Może każdy na tym świecie chce... musi kogoś zabić.

Potem przestała się przejmować twarzą jakiejś martwej ciemnoskórej kobiety z billboardu.

Jej uwagę przyciągnął ból między nogami.

Powróciły wycinki wspomnień, które krążyły w jej głowie.

- *Mama lubi, jak ojciec wkłada jej od tyłu... robią to na sofie...*

- *Czy tak dobrze, Pączuszk?* Wspomnienia tak żywe, że aż ją przeraziły.

- *Napij się. Jak się czujesz, Pączuszk?*

- *Tak mi teraz dobrze.*

Ciężko westchnęła i pociągnęła łyk oranżady. Rozgryzła kostkę lodu i wylała resztę przesłodzonego napoju. Szła szybkim krokiem w stronę rzędu hoteli, a kiedy była już blisko Western Boulevard, przystanąła na spękanym, zasikany asfalcie i otworzyła plecak.

- *Mogę cię tutaj dotknąć?*

- *To jest przyjemne.*

Wlała wybielacz do pustego kubka. Od jej rodziny wymuszono pięć tysięcy dolarów. Jej rodzina była szantażowana i stawką była kwota dużo większa, niż mogła sobie wyobrazić.

Dziewczyna ojca była w ciąży.

Dziewczyna ojca chciała go usidlić i szantażowała jej matkę. Ta suka nie mogła urodzić jego dziecka. Destiny wiedziała, jak to załatwić.

Na parkingu w Casura Bay było tłoczno. Ruchliwa noc.

Destiny zauważyła tego samego escalade'a, którym jechała ubiegłej nocy.

Usłyszała krzyk i przystanęła. W ostatniej chwili ścisnęła mocno kubek, który omal nie wypadł jej z ręki.

Nad miastem unosiła się przyjemna, chłodna bryza. Pod rozłożystą palmą jakiś mężczyzna okładał kobietę, podczas gdy sześć jej koleżanek w najstarszym fachu świata patrzyło na tę scenę, paląc papierosy. Niektóre wyglądały na wzburzone, inne patrzyły z obrzydzeniem, a dwie z nich miały obojętne miny. Ich ciała pokrywały liczne tatuaże, a wysoko upięte włosy opadały kaskadami na plecy. Nosiły cienkie koronkowe bluzeczki i niewyobrażalnie krótkie spódniczki albo dżinsowe spodenki wycięte jak stringi, nałożone na rajstopy o wielkich oczkach. Podciągnięte wysoko piersi i odsłonięte pośladki. Piętnastocentymetrowe obcasy.

Tamten mężczyzna stał obok swojego auta, nowiutkiego kabrioletu, który zdobiło więcej chromowanych części, niż powinno być dozwolone. Z tyłu zagłówków, na desce rozdzielczej, a nawet w lusterkach wstecznych zamontowane były telewizyjne ekrany o lepszej rozdzielczości niż te, które widziała w Best Buy. Destiny rozpoznała scenę z filmu *Hustle and Flow*. Właściciel wozu był obwieszony biżuterią jak choinka. Cały w błyskotkach.

Nacisnął guzik pilota i kłapa bagażnika powędrowała w górę.

Dziewczyna krzyczała, błagała, zapewniała, że będzie bardziej się starać i przyłoży się do pracy.

Alfons wrzasnął na nią, aby przestała krzyczeć, bo jest na to za późno.

Destiny odstawiła kubek, żeby przełożyć rewolwer do przodu. Potem przykryła go kurtką, tak jak widziała w wielu filmach, i podniosła kubek. Od mieszkania ojca dzielił ją ponad kilometr, od domu matki ponad dwa. Znów znalazła się w tej części miasta, gdzie religią było stręczycielstwo.

Zobaczyła, jak alfons po raz ostatni uderza dziewczynę, chwytając ją za włosy i wlecze w stronę samochodu, po czym wpycha do bagażnika i powoli opuszcza klapę. Nie zatrzasnął jej. Drogi wóz.

Zadziwiające, jak delikatny był dla samochodu i jak brutalny dla kobiet. Zadziwiające. Potem stanął naprzeciwko pozostałych dziewcząt i mówił coś, wymachując palcem przed ich twarzami. Wszystkie posłusznie potakiwały, jakby już wcześniej to wszystko słyszały. Następnie odjechał. Z papierosem w ustach. Zerkając groźnie. Z komórką przy uchu. Muzyka na cały regulator.

Wiesz, niełatwo być tu alfonseem...

Destiny powiodła wzrokiem za dziewczętami, które z zapalonymi papierosami ruszyły, kołysząc biodrami, wzdłuż Western Boulevard i machały na każdy przejeżdżający samochód.

Śmiały się, ale Destiny wyczuwała, że był to nerwowy śmiech. Wszystkie były przerażone.

Zahartowana przez własne życie Destiny poszła dalej.

Dostrzegła ją. Dziewczynę, z którą ubiegłej nocy jechała samochodem. Mieszanka czarnej i Meksykanki właśnie przeszła obok niej, marszcząc czoło i mrużąc oczy, tak zajęta rozmową przez komórkę, że nawet nie patrzyła przed siebie. Wsiadła do samochodu i odjechała, wciąż rozmawiając przez telefon.

O ile prostytutki obsługiwały swoich klientów na parterze, o tyle bywalcy hiphopowych imprez snuli się między co najmniej trzema pokojami na najwyższym piętrze motelu. Szemrane towarzystwo. Byli niewiele starsi od Destiny. Widziała, że dziewczyna o złocistej skórze wyszła z któregoś pokoju na najwyższym piętrze. Goldie. To właśnie tam najgłośniej grała muzyka. Okna były pootwierane i dobiegał z nich gwar wymieszanych głosów, krzyki. Wszyscy znakomicie się bawili, jak gdyby ostatniej nocy nie wydarzyło się nic strasznego.

Jak gdyby ona była dla nich nikim.

Dziewczyna o złocistej skórze zeszła po betonowych schodach, trzymając w ręku skręta. Na jej prawym nadgarstku kołysała się torebka Prądy. Kierowała się ku Destiny, jakby nigdy wcześniej jej nie widziała, zbyt zajęta wdychaniem odurzającego dymu, by spojrzeć jej w oczy. Goldie. Nisko wykrojone džinsy, które odkrywały lekko obwisły brzuch. Ciasna bluzka na obwisłych piersiach. Włożyła džinsy Baby Phat.

Goldie zbliżała się do Destiny, strzepując popiół ze skręta i podśpiewując. Nagle jeden z jej obcasów przekrzywił się tak, że omal nie upadła. Destiny spojrzała na jej nogi. Jimmy Choo. Elastyczny zamsz. Zdobione plecionymi rzemykami. Ośmiocentymetrowe obcasy. Destiny przeniosła wzrok na jej uszy. Spod zaczesanych do tyłu włosów widać było diamentowe kolczyki skradzione ubiegłej nocy. Następnie Destiny przyjrzała się ustom Goldie. Były pomalowane jej szminką. Rozpoznała wszystkie rzeczy, które straciła zeszłej nocy.

Goldie zatrzymała się jakiś metr od niej, ruchami pełnymi galanterii zapaliła papierosa i odrzuciła zapalną, a na jej twarzy pojawił się uśmiech gwiazdy getta.

- Czego potrzebujesz? - zapytała, wydmuchując dym kącikiem ust.

- Co?

- Mam antyhistaminy. Leki na przeziębienie. Ecstasy. Viagrę. Czego potrzebujesz?

- A jak działa ecstasy?

- Sprawia, że czujesz się wolna.

- Naprawdę?

- Ale musisz uważać. Może spowodować zmiany w mózgu i szkodzi na serce.

- Zażywasz to?

- Już nie tyle co kiedyś. - Goldie strzepnęła popiół. - Odzwyczajam się od tego gówna.

Ten ból, to poczucie poniżenia między jej nogami narastały.

Destiny starała się być kimś innym niż wczoraj. Goldie patrzyła jej prosto w oczy i nawet jej nie rozpoznała. Po tamtej dziewczynie ani śladu. Destiny wiedziała, że nigdy już nie będzie taka sama.

- A jeśli... jeśli uprawiałam seks ostatniej nocy i nie chcę być w ciąży... - zapytała stłumionym głosem.

- RU-486. Chodzą po dwadzieścia za pigułkę.

- A co, jeżeli... powiedzmy, jestem w ciąży już trochę dłużej. Czy jedna z tych... wystarczy, żeby pozbyć się dziecka.

- Powinna. Ale bądź ostrożna. Słyszałam o co najmniej czterech kobietach, które się przekęciły, zażywając to świństwo.

- A więc... gdyby zażyć trzy albo cztery naraz...

- Weźmiesz trzy albo cztery, to pozbędziesz się czegoś więcej niż ciąży.

- Zeszłej nocy... Potrzebna mi co najmniej jedna. Muszę mieć pewność, że nie jestem... no wiesz, jak to jest.

- Seks bez zabezpieczenia, co?

- O to właśnie chodzi. Jedną dla mnie. I... i... może osiem... albo dziesięć... dla... masz tyle?

- To jest... zaczekaj... dziesięć razy dwadzieścia... dziesięć razy dziesięć to jest sto... więc to jest jakieś...

- Dwieście dolarów.

- Jesteś pewna?

- Jestem pewna. Dziesięć razy dwadzieścia równa się dwieście.

- Robisz zapasy? - dziewczyna roześmiała się i pokręciła głową.

- Masz tyle? - powtórzyła Destiny.

- I mogłabyś zażyć jakieś antybiotyki. To nie moja sprawa, ale skoro jesteś w ciąży, to bzykałaś się na żywioł. Lepiej uważać. Ci faceci tutaj mają wszystkie możliwe choroby i syfy. Mam tu coś na problemy, z którymi można sobie poradzić. Żeby wyleczyć wszystko inne trzeba mieć tyle kasy co Magie Johnson.

- Więc jeśli jestem w ciąży... - powiedziała Destiny - RU-486 i problem rozwiązany od ręki?

- Od ręki. - Goldie pstryknęła palcami.

- „Sprzedaję czarnuchom niebieskie pigułki, żeby mieli twardo, a potem ich suczkom pigułkę śmierci, która uwalnia je od problemu. Założę się, że masz niezłe wzięcie w Crenshaw High. I w Audubon Middle School. Wszystkie te głupie sunie, chętne na bzykanko lale, nadstawiają się czarnuchom z liceum. Pewnie sprzedajesz tyle tego gówna, że szkoda gadać. Smarkule zachodzą w ciążę, no i fajnie. Handlując tym syfem, pomagasz społeczeństwu. Dzięki tobie te głupie młode sunie nie zamieniają się w głupie młode mamuśki”.

Destiny powtórzyła większą część ich rozmowy z ubiegłej nocy. Tę część, którą pamiętała.

Jej iloraz inteligencji sięgał 130. Serce biło jej szybko pełne rozjątrzonego wstrętu.

Goldie ucichła. Zaszklity się jej oczy

- Pączuszkę? To ty? - wykrztusiła.

- To ja. - Destiny miała serce w gardle.
Goldie zmierzyła ją wzrokiem pełnym niedowierzania. Obie milczały, podczas gdy obok przemknął radiowóz z wyjąca syreną.

- Chyba ecstasy uszkodziła ci mózg, skoro tak szybko mnie zapomniałaś - powiedziała Destiny.

- A gdzie twoje kucyki i całe to gówno? Zdawało mi się wczoraj, że jesteś wyższa.

- Byłam wyższa, zanim ukradłaś mi buty.

- Nikt cię nie okradł, wariatko. Dałaś mi te buty.

- Dałam ci parę butów za dziewięć stów?

- Lepiej uważaj, co mówisz. Dałaś mi te buty.

- Chyba dałam ci też diamentowe kolczyki mojej matki.

- Nie rób ze mnie idiotki.

- I moją cholerną torebkę z całą forszą w środku chyba też ci dałam.

- Nikt ci niczego nie zabrał. Lepiej przestań się czepiać.

- Tę truciznę, jaką dostałam od tych czarnuchów ostatniej nocy... - wycodziła Destiny przez zęby - ..mieli ją od ciebie.

- Bierz te francowate buty. Chcesz sobie wziąć te cholerne buty, to zdejmij mi je z nóg.

- Pozwoliłaś, żeby mi dali... cokolwiek to było. Jak mogłaś coś takiego zrobić?

- Czyś ty zwariowała? Zeszłej nocy doiłaś spermę na naszej orgii.

- Na orgii?

- Jesteś pełnoprawną gwiazdą porno, skarbie.

- Czy oni... co oni ze mną robili? Goldie parsknęła śmiechem. Destiny była wciąż poważna.

- Kompletnie ci odbiło. Zeszłej nocy naśladowałaś swoją szurniętą mamuszkę i obciągałaś jednemu za drugim. I jeszcze mi się tu rzucasz? Grzeczna panienka z Bel Air, która używa tylu mądrych słów. Zgrywałaś taką cholerną mądralę. Nikt nie wciska takich kitów o mamusi i tatusiu, którzy się rozwodzą. Jojczyłaś, jakbyś miała poważne problemy. Próbowalaś strugać twardziela. Nie wypadłaś autentycznie. To ja jestem prawdziwą dziwką. Na ulicy nie masz co się ze mną równać. Wszyscy śmiali się przez całą noc z twojej cikliwej gadki. Co? Zostaw moją twarz, gnido. Co ty robisz?

Rozległ się plusk.

Goldie przestała się śmiać, upuściła kradzioną torebkę.

Destiny spojrzała dookoła. Obok przejeżdżały samochody, ale nikt ich nie zauważył. Albo nikogo to nie obchodziło.

Goldie kaszłała, dławiła się, krzyczała i podskakiwała, jakby trawiły ją płomienie. Destiny stała obok z rozdziawionymi ustami i patrzyła, jak Goldie się miota, a żrący płyn spływa po jej twarzy, jak wsiąka we włosy. Słyszała, jak walczy o każdy haust powietrza, potrzebny jej, by krzyknąć.

- O Boże, o Boże.

Destiny powiodła wzrokiem za pustym kubkiem, który wypadł jej z dłoni i turlał się po chodniku.

- Ty suko, co mi wylałaś na twarz?

W powietrzu unosił się smród stężonego wybielacza.

- To świństwo wypala mi oczy!

Destiny patrzyła, ja Goldie bezładnymi ruchami próbuje ocierać mocno zaciśnięte oczy, jak dotyka palcami twarzy, na której maluje się wyraz agonii, jak zatacza się i potyka na spękany asfalcie, jak zanosi się od kaszlu i stawiając chwiejne kroki w kradzionych butach, objija się o zaparkowane auta, a potem upada i leżąc, przebiera nogami, jakby chciała uciec przed bólem.

- Czym chlusnęłaś mi w oczy?

Destiny podniosła torebkę Goldie, tę samą, którą wcześniej sama ukradła matce. Torebkę pełną pigułek. Regularna uliczna apteka w kradzionych butach. Zajrzała do środka. Buteleczki po tylenolu, po midolu. Przypominała sobie, jak Goldie wkładała RU-486 do fiolki po aleve. Znalazła ją i otworzyła. Pełna pigułek. Oto wybawienie, wystarczy dodać wody. Teraz miała pod dostatkiem tego, czego potrzebowała, by uporządkować swój świat. Wyjęła wszystkie fiolki i upchnęła po kieszeniach, a pustą torebkę rzuciła Goldie pod nogi. Nie chciała jej już. Była splamiona. Zbezczeszczona.

Z oczu Goldie płynęły łzy. Podzwaniała zębami.

- No, poznaj prawdziwy smak getta, suko.

- Nie mogę oddychać... pomóż mi... dlaczego... dlaczego to zrobiłaś... dlaczego...

Destiny wyjęła brzytwę i mocno ścisnęła ją w dłoni.

Porzucona w obskurnym motelu. Okradziona z ubrania. Tuzin zużytych kondomów na podłodze.

Echo ubiegłej nocy pulsowało jej między nogami.

Przypomniała sobie tamten billboard. Lisa Wolf. Była ciekawa, co Lisa Wolf zrobiła, że ją zabiło.

Zastanawiała się, ile jeszcze ludzi przed wschodem słońca podzieli los tej dziewczyny z billboardu.

Goldie czołgała się po asfalcie, kaszłąc i wymiotując. Oczy miała wciąż mocno zaciśnięte.

- Pomóż mi - mówiła przerażonym głosem. - Pączuszk... miałaś rację... przepraszam... pomóż mi. Błagam.

- Przestań się drzeć, bo cię chlasnę.

Goldie skamlała, zasłaniając oczy dłońmi, a jej ciało skręcał ból. Destiny myślała nerwowo.

- Teraz wyjeżdżam - powiedziała. - Z moim chłopakiem. On jest alfensem. I nie próbuj wzywać policji.

Z brzytwą w zaciśniętej dłoni i rewolwerem zatknętym za pasek od spodni Destiny przekroczyła leżącą dziewczynę i weszła na schody. Spięte w kucyk włosy kołysały się z każdym jej ruchem.

- Co mi wylałaś na twarz?! Destiny nawet się nie obejrzała.

Podążając za tłumem, weszła do pokoju hotelowego, w samo serce rozbuchanej imprezy. Tej nocy była ubrana w zwyczajne dżinsy i podkoszulek zachęcający do obrzucania chłopców kamieniami. Nie miała wysokich obcasów, dzięki którym wyglądała na wyższą, a niewyszukana fryzura nadawała jej wygląd szarej myszki, więc nikt nie skupił na niej wzroku ani nie przerwał tańca czy rozmowy, kiedy weszła do zadymionego wnętrza. Z odtwarzacza leciały różne kawałki, Fat Joe, 50 Cent, Jada-kiss. Obnażeni do pasa bracia w rozsznurowanych butach, kilka sióstr w stanikach, bracia w obszernych skórzanych kurtkach i czapeczkach baseballowych, wszyscy złani potem. Dwóch chłopców i dziewczyna mieli na twarzach makijaże klaunów. Wszyscy tręcali się i wpadali na siebie, a ich ciała wykonywały w tańcu mnóstwo szybkich, gwałtownych ruchów. Z twarzami pełnymi napięcia rozpychali się, szturchali i prowokowali

nawzajem, jakby byli najprawdziwszymi roztańczonymi wojownikami, którzy walczą o miejsce na parkiecie.

Destiny z trudem łapała oddech. Poczwała się oszołomiona. Wzbierała w niej nowa odmiana złości.

Żrąca furia.

Zastanawiała się, czy któryś z tych chłopców zostawił ubiegłej nocy zużyte prezerwatywy na podłodze. A jeśli tak, to który.

W rewolwerze, który zesłały jej niebiosy, nie było aż tylu naboju, ile zdołała naliczyć kondomów. Chciała znaleźć tych braci, których poznała w sklepie muzycznym.

Dla nich były przeznaczone pierwsze dwa strzały.

Wysoka dziewczyna o szklistych oczach odepchnęła muskularnego brata i kręcąc tyłkiem, rzuciła się w sam środek kłębowiska stłoczonych ciał. Wpadła w amok, przeplatając konwulsyjne ruchy seriami wyrafinowanych kroków. Jej ciało trzęsło się jak w napadzie epilepsji, a piersi rytmicznie podrygiwały.

Niska i gruba dziewczyna zepchnęła wysoką na bok, opanowując środek pokoju. Miała na twarzy wymalowaną maskę uśmiechniętego klauna, jej zwaliste ciało poruszało się zwinnie i energicznie, a piersi podskakiwały jak skrzydła ptaka.

Rozpalone ciała wydzielały tyle potu. Destiny niemal słyszała przyspieszone uderzenia serc i czuła ogrom energii wyzwalanej przez każdy dotyk podczas tej zbiorowej schadzki.

Otworzyły się drzwi i gwałtownym krokiem weszła jakaś Azjatka ubrana w czerwony strój motocyklowy. Jej twarz była tak samo zaciśnięta jak dłoń trzymająca kask. Była za stara jak na to towarzystwo. Przeciskała się przez tłum, a jej długie czarne włosy kołysały się wraz z jej nerwowymi ruchami. Przyglądała się badawczo każdemu po kolei niczym drapieżny sokół podczas polowania na upatrzoną ofiarę.

Zadała jakieś pytanie jednemu z braci, który coś odpowiedział, śmiejąc się. Azjatka obrzuciła go przekleństwami. Brat wstrząśnięty jej reakcją wycofał się do innego pokoju.

Z twarzą ściągniętą ze złości kobieta w motocyklowym stroju pospiesznie wyszła.

Destiny zauważyła, że dziewczyna stojąca obok niej trzyma w ręku wydruk listy płyt z filmami i muzyką, taki sam, jaki pokazywano jej ubiegłej nocy.

- Gdzie są ci bracia, którzy sprzedają pirackie płyty? - zapytała Destiny.

- Mo jest chyba w pokoju obok. - Siostra zapaliła skręta i wskazała ręką w tym samym kierunku, w którym właśnie poszła rozjuszona Azjatka. - Pewnie teraz robią kopie.

- Kopie. - Destiny poczuła, jak coś ściska ją w środku. - Ilu ich tam jest?

- Kilku na pewno ogląda ten nowy film. - Dziewczyna zaciągnęła się skrętem, aż zaskwierczało.

- Gdzie jest ten pokój?

- Trzecie drzwi. - Dziewczyna wyciągnęła palec. - Na samym końcu. To ich mały pokój dla VLP-ów.

Dziewczyna zalotnym ruchem dotknęła dłoni Destiny. Po jej oczach było widać, że jest pod wpływem ekstazy.

W powietrzu unosił się zapach francuskiego koniaku i wódki. Wszyscy pijani i naćpani. Odloty z ekstazy. Dwadzieścia cztery godziny temu przyłączyłaby się do nich. Zapragnęłaby wtedy rozpalić w sobie tę pasję i zostać ich królową. Chciałaby do nich pasować. Chciałaby być normalna.

Dziewczyna wyciągnęła w jej stronę zapalonego skręta.

Destiny pokręciła głową.

- Twoja twarz wygląda mi znajomo. Crenshaw High? Jesteś striptizerką? Barbary Coast?

Destiny znów zaprzeczyła. Już miała powiedzieć, że jest piętnastolatką z liceum.

- Masz ładne cycki i dupcię - nie dawała spokoju tamta. - Jak szukasz opiekuna, to znam paru gości.

- Będę to miała na uwadze, jeśli nie wypalą mi studia - mruknęła Destiny.

- Ciekawe, gdzie poniosło Goldie. Pewnie jest z jakimś czarnuchem.

- Chcesz zarwać jakiegoś faceta? - Destiny zacisnęła usta. - Potrzebujesz zabójczej pigułki albo czegoś?

- Nie. To moja przyjaciółka. Miałam ją podrzucić do Palmdale, żeby zabrać jej dziecko.

- Ona... Goldie... ona ma dziecko?

- Nasze dzieciaki były przez cały tydzień w Palmdale u babki. Jedziemy tam, żeby jutro zabrać je na widzenie z tatusiami. Dzień odwiedzin. Mój piękny siedzi z artykułu cztery pięć dziewięć²². Coś mu nie wyszło.

Zacząła się piosenka w wykonaniu TI. i Nelly. Cały pokój ogarnął szal, wszyscy śpiewali, potrząsając pięściami, a dziewczyny tańczyły jak na teledysku do *Tip Drill*. Dziewczyna, która stała obok Destiny, wrzasnęła, jakby stanęła w płomieniach, płomieniach, którymi zajęła się jej dusza. Potem rzuciła się w tłum i zaczęła kręcić tyłkiem, jakby była to rzecz, do której została stworzona.

Chcę zobaczyć, jak tracisz kontrolę... jak tracisz kontrolę...

Destiny pomyślała o swojej reputacji. Zszargana na zawsze. Wystąpiła w filmie porno. Jej twarz może znaleźć się w internecie. Wystarczy jedno kliknięcie i będą mogli zobaczyć ją rodzice, jedno kliknięcie i zobaczą ją dziadkowie, jedno kliknięcie i film trafi do kolegów z prywatnej szkoły.

Jedno kliknięcie i będzie mógł ją oglądać cały świat.

Jedno kliknięcie dzieliło ją od totalnego upokorzenia.

Jedno kliknięcie.

Klik, klik, klik.

Odgłos, jaki wydaje iglica rewolweru trafiająca w pustą komorę naboju.

Destiny ruszyła do wyjścia, torując sobie drogę przez tłum, nad którego głowami unosiła się chmura dymu z marihuany. Nie wypuszczając brzytwy z dłoni, poszła w stronę pokoju na końcu korytarza. Rewolwer wciąż tkwił za jej paskiem. Jej złość zamieniła się teraz w rozszalałą bestię.

W dole Destiny zobaczyła sylwetkę Goldie między samochodami.

Ważnie zbierali się wokół niej ludzie, którzy dosłyszeli krzyki.

- Coś się stało Goldie! - *u* . legło się czyjeś wołanie.

Artykuł 459 Kodeksu Karnego Stanu Kalifornia mówi o kradzieży z włamaniem.

BILLIE

Psiakrew. Psiakrew. Psiakrew.

Druga w nocy. Uciekając przed tą psychopatką, za bardzo się rozpędziłam.

Wpadłam w poślizg.

Oddech zamad mi w piersi, serce biło trzy razy szybciej i całe ciało spięło się, czekając na uderzenie. Opony straciły przyczepność i poczułam, jak motocykl usuwa się spode mnie. Asfalt pędził wprost na mnie. Czas zdawał się wydłużać. Poruszałam się jak w zwolnionym tempie. Wszystko poruszało się w zwolnionym tempie.

Serce podeszło mi do gardła.

Nie daj się wyrzucić w powietrze. Połóż ten cholerny motor. Nie ściskaj przedniego hamulca. Nie zabij się. Połóż to ściervo na bok. Nie wywiń pieprzonego koziołka. Spadnij na plecy, nie na twarz, nie wejdź w ślizg na cyckach.

Twardo uderzyłam w asfalt... jęknęłam... zaparło mi dech.

Wylądowałam najpierw na plecach, z impetem ślizgałam się, turlałam, koziokowałam.

Rzeczywistość nabrała rozpędu i teraz wszystko toczyło się zbyt szybko.

W najdalszym zakątku umysłu, którym nie zawładnął strach, modliłam się, by nie wpaść na coś twardego. Nie chciałam na nic się nabić ani przełamać na pół.

Nie chciałam stracić dziecka.

Nie potrzebowałam niczyich pieniędzy.

Pragnęłam tylko mojego dziecka.

Zapisały opony i samochód w coś uderzył. Też straciła panowanie nad kierownicą. Otarła się o coś.

Potem usłyszałam, jak cofa. Myślałam, że chce uciec z miejsca wypadku, ale ten jazgot opon desperacko wirujących po asfalcie mówił mi, że

jeszcze ze mną nie skończyła. Rozległ się ryk rozpędzonej maszyny skręcającej w ulicę, na której leżałam. Wróciła, żeby mnie dobić. Dosięgną! mnie blask reflektorów. Czułam gorąco rozgrzanego silnika, słyszałam jego warkot.

Silnik zawył na wysokich obrotach. Przeciągły, niski huk co najmniej dwustu koni, który wywołał we mnie paraliżujący strach. Ruszył gwałtownie, by rozsmarować mnie na asfalcie.

Tuż przede mną samochód ostro zahamował. Na wprost mojej twarzy zobaczyłam wysoki zderzak.

Otworzyły się drzwi i zapiszczał sygnalizator włączonych świateł. Usłyszałam odgłos szybkich kroków zbliżających się w moją stronę.

Próbowałam się podnieść, ale nie mogłam wykonać żadnego ruchu. Zacisnęłam tylko oczy.

Nie powinnam się ruszać. Wiedziałyby wtedy, że przeżyłam.

Żałowałam, że nie mam przy sobie broni. Posłałabym tę wściekłą dupę do Hadesu.

Ogarnęła mnie ciemność. Moje ciało zapadło w odrętwienie. Słyszałam odgłos zatrząskiwanych drzwi.

Silnik znowu zawył, jakby trzysta koni było gotowych, by mnie stratować. Steżałam w oczekiwaniu na ból. Samochód przemknął obok mnie.

Po prostu odjechał.

Jęknęłam. Próbowałam złapać oddech. Pot zalewał mi twarz. Z trudem przełknęłam ślinę.

Słyszałam, jak silnik mojego motoru dudni, krztusi się i przygasa.

Przewrócony motocykl, sunąc po asfalcie, nie trafił w żaden z zaparkowanych samochodów, nie uderzył nikogo ani nie uszkodził żadnego mienia publicznego. To łaska boża w czasach wysokich stawek ubezpieczeń komunikacyjnych i chaosu na drogach. Wiedziałam już, że jest mocno poobcierany, ma pękniętą owiewkę, rozbity kierunkowskaz i manetkę.

Miałam nadzieję, że będę mogła wskoczyć na motor i pogonić tę sukę aż na samo dno piekieł.

Nagle poczułam benzynę. Trujący odór zaczął utrudniać mi oddychanie.

Leżałam poturbowana na jezdni, w popękany kasku, a moje skórzane spodnie i kurtka były całe poobcierane.

Silnik motoru wciąż dudnił, wzywając pomocy, jakby cierpiał.

Nie mogłam oddychać, krztusiłam się. Z wysiłkiem uniosłam osłonę twarzy, by zaczerpnąć powietrza. Wtedy uderzył mnie silny zapach benzyny, jej opary wdzierały mi się do płuc.

Zakaszłam. Kombinezon i kask krępowwały mi ruchy, doprowadzając mnie do wściekłości, ale to dzięki nim nie roztrzaskałam sobie głowy i nie poharatałam całego ciała, trąc o asfalt. Czulałam ból, ale był on stłumiony przez zaskoczenie i ośpienie.

Piekły mnie oczy zalane słonym potem i nic nie widziałam. Minęła chwila, nim uświadomiłam sobie, że mogę poruszać wszystkimi kończynami, że nie jestem połamana i że wciąż żyję.

Ta suka Carmen próbowała mnie zabić.

Z wielkim trudem zaczęłam się podnosić.

Był środek nocy, a ja leżałam na ulicy w Santa Monica, leżałam, a po Wilshire Boulevard w normalnym tempie przejeżdżały samochody pełne ludzi, którzy rano obudzą się z ciężkim kacem albo obcą panienką u boku, albo z jednym i drugim. Kilka aut skręciło w boczną uliczkę. Świadkowie, którzy niczego nie mogliby poświadczyć. Omiatały mnie światła samochodów, a zaabsorbowani sobą kierowcy zwalniali na moment, by mi się przyjrzeć, po czym znów podkręcali muzykę do oporu i śmigali obok mnie.

Boże, miej w opiece ludzkie samouwielbienie.

Carmen znieważyla mnie w Starbucksie, a ja pozwoliłam, by uszło jej to na sucho.

Wrzuciła mi cegłę przez okno.

Chciała mnie staranować na drodze ubiegłej nocy.

Przyszła za mną do mojej pracy. Wtargnęła w mój świat jak Bush do Iraku.

Teraz znowu ta terrorystka zaatakowała, próbując mnie zabić.

Nie. Ta terrorystka próbowała zabić moje dziecko.

W Starbucksie chodziło jej o mnie. Ale wszystko, co wydarzyło się później, miało na celu unicestwienie mojego dziecka.

Po raz trzeci w ciągu dwóch dni psychopatyczna żona Keitha usiłowała zabić moje dziecko.

Świat zawirował, kiedy podniosłam się na nogi. Poczułam zawroty głowy i z powrotem usiadłam.

Sięgnęłam po komórkę, żeby wybrać 911, ale ramię zabolowało mnie tak, jakby było wybite ze stawu. Musiałam zapanować nad bólem i pozbierać myśli. Wyjęcie telefonu było znakomitym rozwiązaniem, ale wciąż miałam na sobie kask i rękawiczki. Nie byłam w stanie myśleć. Panikowałam. Pławiłam się w złości i błędziłam w szoku.

Śmierć przeszła bardzo blisko. Ale żyłam. Nadal żyłam.

Zdołałam tak przechylić przód motocykla, by się wyślizgnął, nie przygniatając mnie i nie wlokąc po asfalcie. Dzięki Bogu nie ścisnęłam hamulców i nie wyrzuciło mnie w powietrze. Upadek nie wyszedł mi najlepiej, ale był to najbezpieczniejszy sposób na przeżycie tej kraksy. Miałabym nie najlepszy dzień w wyścigu o motocyklowy puchar świata, skoro odpadłam w wyścigach ulicznych.

Obok mnie zatrzymał się samochód terenowy.

- Dobrze się czujesz? - spytał kierowca.

Z wysiłkiem stanęłam na nogach, zdjęłam pęknięty kask i upuściłam go. Opadłam na moment o jeden z zaparkowanych samochodów, a potem pokuśtykałam w stronę leżącego motoru.

Nie musiałam dokładnie go oglądać, by już wiedzieć, że kierownica jest połamana, że szlag trafił podnóżki. Że mój motocykl jest rozwalony. Że nie da się na nim jechać.

Oznaczało to, że nie będę mogła jej dogonić. Pragnęłam ją dopaść i stłuc do nieprzytomności.

- Dobrze się czujesz?

- Czy ja wyglądam, jakbym się dobrze czuła? - krzyknęłam. Zatroškany kierowca odjechał. Boże, miej w opiece Los Angeles i całe jego samouwielbienie.

Poczułam się opuszczona.

Samotna.

Bez przyjaciół.

Bolały mnie ręce, czułam ból w prawej nodze, a pot zalewał mi twarz. Udało mi się wreszcie wydobyć telefon. Zerwałam rękawiczki i poruszyłam palcami. Żaden nie był złamany. Rozmawiając przez telefon, kuśtykałam w kółko i dotykałam całego ciała w poszukiwaniu obrażeń.

Miałam nadzieję, że wystarczy mi siła, by postawić do pionu ważącą prawie dwieście kilo maszynę.

Znów poczułam smród benzyny. Ogarnął mnie strach.

Zabójcze opary unosiły się w rześkim morskim powietrzu.

O Boże. Zbiornik z paliwem był uszkodzony. Z otwartego baku benzyna lała się na jezdnię jak woda.

Wtem...

Ogień.

Płomienie rosły.

Krzyknęłam. Modliłam się, aby tylko nie dosięgnęły mojej Księżniczki.

Pożar rozprzestrzenił się jednak szybko i pochłonął mój motor jak koszmar wyrastający spod ziemi.

Ten dźwięk i smród, widok płonącego motocykla, topiącej się owiewki...

Krzyczałam.

Obejmując rękoma brzuch, potrząsałam głową z wściekłością na twarzy, po której spływała rzeka łez. Krzyczałam.

Ona próbowała zabić mnie i moje dziecko. Krzyczałam.

W moich oczach pojawił się piekielny ogień, płomienie trawiące mnie od środka.

Po raz kolejny znalazłam się w otoczeniu policjantów. Byli przekonani, że sama rozbiłam mój motocykl, i nie dowierzali, iż zostałam staranowana. Skupili się na wypisywaniu wezwania na komisariat. Sanitariusze postanowili mnie zbadać. Chcieli przypiąć mnie do noszy i zawieźć na izbę przyjęć, ale nie pozwoliłam się dotknąć. Gdybym zgodziła się na badanie, musiałabym za wszystko zapłacić. Kelnerki i nauczycielki na zastępstwa nie mają tego w ubezpieczeniu. Zresztą nie miałam na to czasu. Wiedziałam, że nie połamałam sobie kości, że przez kilka dni będę obolała, a z szoku nie otrząsnę się przez długie tygodnie. Policyjne koguty tamowały ruch na drodze. Do spektaklu dołączyły się światła samochodu strażackiego. Odrażający swąd spalonego motoru, odór stopionego plastiku stawały się prawie nie do wytrzymania.

Nie mogłam powstrzymać się od płaczu. Te cholerne hormony miały mną gwałtownie i bezlitośnie. Podszedł do mnie Raheem.

- Wszystko w porządku? - zapytał.
- Dzięki, że przyjechałeś... mnie ratować.
- Żaden problem.
- Mogłam wezwać taksówkę.
- Widziałaś kiedyś taksówkę w Los Angeles?
- Poza lotniskiem raczej nie.

Próbowałam dodzwonić się do Viviane, ale nie odbierała. Nagrałam jej pełną emocji wiadomość, że Carmen naszła mnie w pracy, a potem próbowała rozjechać, że miałam wypadek, a mój motor jest całkowicie zniszczony.

Zadzwoiłam do Keitha. Nie odbierał. Byłam strasznie rozstrojona. Jemu zostawiłam wiadomość pełną cierpienia.

Kiedy siedząc na ulicy, zastanawiałam się, czy wszystkie możliwości już wyczerpałam, dostrzegłam leżącego nieopodal *Alchemika*. Podczas upadku książka musiała wysunąć się z mojej kieszeni i leżała otwarta, a obok niej wizytówka Raheema.

Zadzwoiłam do niego. Przyjechał.

- Trzeba cię będzie zawieźć do szpitala - stwierdził Raheem.
- Będę musiała kupić ci nowy kask.
- Przestanieś mówić o tym kasku?

Byłam wściekła, że wiedział o mojej ciąży, i zbyt wystraszona. Nie chciałam jechać do szpitala.

- A jeżeli... no wiesz - powiedział.
- Nie chcę wiedzieć.
- Jasne. Rozumiem. Ale i tak... powinnaś znaleźć się w szpitalu.
- Chciałabym, żebyś pomógł mi znaleźć się w domu.
- W porządku.
- Jeżeli ci to odpowiada.

Mój motocykl został załadowany na lawetę. Roztopiona owiewka. Rozerwany bak. Zwęglone okablowanie. Same uszkodzenia instalacji elektrycznej kwalifikowały moją Księżniczkę do kasacji. Z jedną dłonią na brzuchu, drugą zaciśniętą w bezsilnym gniewie patrzyłam na szczątki

mojego motoru i wyobrażałam sobie, że robię komuś straszną krzywdę. Potrząsnęłam głową, kiedy ogarnęła mnie kolejna fala smutku. Czułam się, jakbym stała nad martwym ciałem serdecznego przyjaciela. Jedyne, na którym mogłam polegać. A ja i mój motor byliśmy sobie znacznie bliżsi.

Zza rogu wybiegło kilka rozhisteryzowanych kobiet. Właśnie wyszły z baru i okazało się, że należące do jednej z nich czerwone BMW ma zarysowany bok. Kobieta krzyczała, podskakiwała i wymachiwała torebką od Prądy, jakby nastąpił koniec świata. To tłumaczyło, skąd wziął się odgłos, który słyszałam po upadku. Dobrze się składało. Policjanci mogli się przekonać, że nie kłamię.

Powiedziałam, że ten sam idiota, który zarysował jej samochód, próbował mnie rozjechać.

Potem zza rogu wyłonił się jakiś mężczyzna. Właśnie wyszedł z tego samego baru i zobaczył rozharatany bok swojej zielonej mazdy.

Poszłam za nimi, żeby zobaczyć uszkodzone auta. Musiał w nie uderzyć ktoś, kto jechał czarnym samochodem. Szkody były duże. Na ulicy leżało rozbite szkło i kawałki zderzaków.

Czerwony samochód. Zielony samochód. To oznaczało, że na czarnym samochodzie powinny się znajdować ślady czerwonego i zielonego lakieru.

Na asfalcie były plamy płynu chłodniczego. Niczym ślady krwi pozostawione przez ranny samochód.

Policjant zapytał mnie, czy widziałam, jakiej marki był tamten wóz.

Odpadam, że wydawał mi się czarny. Nie powiedziałam nic więcej.

Podczas gdy kilku policjantów próbowało uspokoić rozhisteryzowaną kobietę, inny znalazł kilka metrów dalej boczne lustro. Skoro zostało oderwane, pojazd, który mnie zaatakował, musiał mieć jakieś uszkodzenia od strony pasażera.

Policjant położył lustro na dachu swojego samochodu. Pochodziło z czarnego mercedesa. Na jezdni leżały kawałki szkła ze stłuczonego reflektora, a więc czarny benz zamienił się teraz w jednookiego potwora.

Policjant zapytał, czy widziałam coś jeszcze.

Zawahałam się. Wciągnęłam swąd mojego spalonego ducati i poczułam nazwisko Carmen na końcu języka, ale przełknęłam ślinę, potrząsnęłam głową i skłamałam, że nic więcej nie wiem.

Policja nie miała jaj, by zająć się tą sprawą w taki sposób, jak bym tego chciała.

Jechaliśmy w stronę Wilshire. Raheem zmieniał biegi z wprawą zawodowca.

- To żona Keitha chciała mnie staranować - powiedziałam.

- Carmen chciała cię staranować?

- Ta suka jeździ czarnym benzem.

- Jesteś pewna?

- Właśnie była u mnie w Tempie Bar. Miałyśmy małe starcie.

- Dzisiejszej nocy? Carmen była dziś w Tempie Bar?

- Tak. I to ona jeździ czarnym mercedesem.

- No cóż. To jest Santa Monica. Połowa ludzi, którzy tu mieszkają, ma czarne mercedesy.

- Myślisz, że oszalałam? Myślisz, że to wszystko zmyśliłam?

- Tego nie powiedziałem. Dlaczego nie powiedziałaś policji, że ją o to podejrzewasz?

Nie zapanowałam nad sobą. Złość sprawiła, że wyrzucałam z siebie słowa na oślep i bez wyczucia. Moje pole widzenia znów było ograniczone. Przeoczyłam fakt, że Raheem znał już imię żony Keitha.

- Zeszłej nocy wrzuciła mi cegłę przez okno. Wyśmiali mnie. Tej samej nocy próbowała mnie przejechać. Powiedzieli, że nie mogę tego udowodnić. Miała alibi. Przypuszczalnie teraz też ma. Wszystko, co mogliby ustalić, to... nic. Muszę rozwiązać to po mojemu. Nie powinnam była pozwolić jej posunąć się tak daleko.

- A więc Carmen, próbując cię rozjechać, uszkodziła swój samochód - podsumował Raheem i westchnął ciężko.

Powiedziałam mu, że zaproponowała mi pieniądze, abym tylko nie urodziła dziecka.

- Żartujesz?

Sięgnęłam do kieszeni, by pokazać mu te pięć tysięcy, które rzuciła mi w twarz tej nocy.

Wtedy zrozumiałam, jak *Alchemik* wydostał się z mojej kieszeni na ulicę.

Nie wskutek mojego upadku.

Moja kieszka była wywrócona na lewą stronę. Zostałam obrabowana. Raheem zawiózł mnie do swojego domu. Całą drogę namawiał, bym zgodziła się pojechać do szpitala. Powiedziałam mu, że potrzebuję usiąść, wszystko przemyśleć i uporządkować sobie w głowie. Kiedy tylko otworzyły się drzwi garażu, zobaczyłam go. Jego ducati 749. Kluczyk tkwił w stacyjce. Zarzuciłam plecak i nałożyłam kask. Zanim Raheem zdążył cokolwiek powiedzieć, odjechałam na jego motorze.

DESTINY

Mo. Czarny brat o uśmiechu Jamiego Foxxa i oczach R. Kelly'ego. Tej nocy miał na sobie za duży komplet dżinsowy Marithé François Girbaud, czarną czapkę zsuniętą na tył głowy i czarne buty. Destiny zauważyła go, kiedy tylko wszedł do tego drugiego pokoju. Stała po drugiej stronie kłębowiska roztańczonych ciał ocierających się o siebie lubieżnie. Ci odurzeni erotyzmem ludzie o szklistych oczach powstrzymywali ją przed tym, co zamierzała zrobić. Zbyt wielu świadków. Mo przeciskał się przez tłum i wykonywał ręką gest przypominający sikanie, klóćąc się z Azjatką ubraną w strój do jazdy na motorze. W kąciку ust trzymał wykałaczkę.

- Ostatni raz mówię, nie znam nikogo o imieniu Q - powiedział. Opalona Azjatka odgarnęła z twarzy długie czarne włosy i złapała za ramię brata, który chciał się oddalić od niej dumnym krokiem.

- LaQuiesha Frierson.

Destiny słyszała, jak kobieta akcentuje każde słowo.

- Wyluzuj, Yoko Ono.

- Mówią na nią Q.

- Lepiej zabierz ode mnie te cholerne łapy.

- A tak na przyszłość, na imię mam Viviane...

- Weź te pieprzone łapy...

- ...a nie Yoko Ono. Nigdy więcej nie obrażaj mnie w ten sposób.

- Lepiej odwal się odè mnie, zanim wyślę twoją żółtą dupę na spotkanie z Johnem Lennonem.

- Nie odwracaj się, kiedy do ciebie mówię. - Cofnęła rękę. - Moja siostra ma na imię LaQuiesha.

- Mówiłem ci już, że nie znam żadnej Chinki o imieniu LaQuiesha. - Odsunął ją na bok i odszedł. - Zejdź mi z oczu. Muszę coś przekąsić. Kiedy na ciebie patrzę, nabieram ochoty na smażony ryż z krewetkami.

- Koreanki, ty rasistowski ćwoku. - Azjatka szła za nim. - Jestem Koreanką, do jasnej cholery.

- Pomyłka. Nie znam żadnej Koreanki o imieniu LaQuinta Frajerska.

- LaQuiesha Frierson, dupku.

- LaQuinta Frajerska.

- Dlaczego musisz być takim gnojem?

- A nie tak powiedziałaś, smażona krewetko? Szukasz jakiejś Frajerki?

- Posłuchaj, gnojku. Moja siostra powiedziała mi, że była tam z tobą i twoimi przyjaciółmi i jakąś dziewczyną, którą zabraliście z Crenshaw. Uderzyła ją w twarz, a wy zostawiliście ją leżącą na ulicy.

- Mówię po raz ostatni, Yoko Ono. Mnie tam nie było.

- Posłuchaj, moja siostra leży w szpitalu, ma pokancerowaną twarz i jest w stanie krytycznym. Walczy o życie. Chcę tylko wiedzieć, kim jest ta dziewczyna, która jej to zrobiła. Pokaż mi ją. To wszystko, czego chcę.

Mo odwrócił się od niej i od jej załamania. Kobieta stała z zaciśniętymi ustami i uderzała się kaskiem po prawej nodze, a z oczu popłynęły jej łzy. Wyciągnęła komórkę. Miała pomalowane paznokcie. Destiny pomyślała, że paznokcie tej Azjatki wyglądają bombowo.

- Jacob, tu Viviane - mówiła zapłakana przez zaciśnięte zęby. - Chcę, żebyś w czymś mi pomógł. Jestem w Casura Bay, przy skrzyżowaniu Western i King, naprzeciwko Snooty Foxx. Myślę, że znalazłam tych gnojków, którzy porzucili Q na ulicy. Jakieś gnojki z getta pozujące na gangsterów. Nie, nie chcę, żeby zajmowała się tym policja. Nie mam zamiaru puścić im tego płazem. Pospiesz się.

Rozłączyła się.

Destiny stała tuż obok Azjatki. Ta zmierzyła ją wzrokiem. Miała śmierć w oczach.

- Co jest? - zapytała Destiny.

- Ile masz lat? Dwanaście, trzynaście?

- A bo co?

- Idź do domu, zanim będzie za późno. Tu zaraz robi się gorąco. Naprawdę gorąco.

Potem Azjatka pokręciła głową i ruszyła w stronę schodów. Z opuszczoną głową Destiny poszła śladem chłopca o uśmiechu Jamiego Foxxa i oczach R. Kelly'ego.

Idź do domu, zanim będzie za późno. Już jest za późno.

W ciasnym motelowym pokoju było około pięćdziesięciu osób. Wmieszała się w tłum, ściskając w dłoni brzytwę. Było tak samo jak poprzedniej nocy. Tłok. Hucząca muzyka. Ludzie tańczący, gdzie popadnie. Całujący się, gdzie popadnie. Pórnagie dziewczyny. Wszędzie butelki z alkoholem. Wszyscy rozpaleni.

Jedna z dziewcząt i kilku facetów próbowało improwizować.

Potem wszyscy nagle zaczęli wznosić okrzyki i podskakiwać.

Na stole leżał stos pirackich płyt. Wszystkie były opisane czarnym markerem. Co najmniej pięćdziesiąt sztuk. Zauważyła, że nie wszystkie płyty były takie same.

W głębi pokoju stał włączony telewizor z odtwarzaczem DVD.

Zobaczyła na ekranie siebie rzucającą cegłą w okno Billie.

W pokoju rozległ się śmiech przeplatany wyrazami uznania dla jej złośliwości.

Potem zobaczyła scenę swojej bójki z czarną półkrwi Azjatką. Znowu wybuchy śmiechu i potrząsanie pięściami. Potem na ekranie... pojawiło się wnętrze motelowego pokoju... i ona otoczona przez...

- *Mówisz, że widziałaś, jak twoja mama i jej facet to robili?* Jej twarz, taka wyraźna. Wszyscy inni jakby za mgłą.

- *Ona i ten jej latynoski facio... nigdy nie zapomnę tego gówna.*

- *Tego ich bzykania?*

- *Było super. Mama na klęczkach przyjmowała od niego depozyt, jakby miała w ustach bank spermy.*

- *Przyjmowała depozyt?*

- *Robiła mu laskę. To jest eufemizm.*

- *Eufe co?*

- *Inne określenie na obciążanie druta.*

- *Tak?*

- *No.*

- *Twoja mama klęczała i mówiła do mikrofonu?*

- *Mówiła do mikrofonu?*

- *To też jest eufe coś tam na obciążanie druta.*

- *To jej specjalność. Mówienie do mikrofonu. Robienie lodu. Ciągnięcie druta. Słyszałam, jak kiedyś rozmawiała przez telefon ze swoją koleżanką i śmiejąc się, wyjaśniała jej, jak należy to robić we właściwy sposób. Wszystko na temat techniki. One chyba uważają się za panienki z „Seksu w wielkim mieście”. Przez całą noc popijają wino i czytają książki o tym, jak robić sobie dobrze. Kupują wibratory o dziwnym kształcie i wszystkie te zakręcone wynalazki.*

- *Naprawdę?*

- *Słyszałam, jak mama mówiła, że udało się jej kupić taki jeden, który wygląda jak fiut taty.*

- *Nie ściemniasz?*

- *Stare kobiety są takie okropne.*

W tle bracia rozdzielają między sobą prezerwatywy.

- *A jaka jest twoja specjalność, Pączuszk?*

- *A twoja?*

- *Chcesz się przekonać?*

- *Może.*

Popija drinka, chichoce.

- *Myślę, że mogłabyś wziąć do buzi i obciągnąć tak jak twoja mamuska ?*

- *Co ty nie powiesz.*

- *jesteś ładna jak cholera. I bystra też. Podobasz mi się, Pączuszk.*

- *Tak cudownie się czuję.*

- *Naprawdę, Pączuszk? Podobasz mi się.*

- *Ty mnie też.*

Ręce dotykają jej ciała. Najazd na twarz. Zbliżenie ust.

Na jej twarzy pojawił się grymas bólu. Ciało zaczęło się kołysać szybko i gwałtownie. Potem jęczała. Jej głos był taki dziwny, taki odległy, jakby należał do kogoś innego.

To takie cudowne.

Potem zaczęła grać muzyka, zbyt głośna, by cokolwiek usłyszeć. Głuchy rytmiczny łomot. To takie cudowne.

Jej słowa zmiksowane na kształt piosenki.

*To takie cudowne... obciąganie druta... takie cudowne... takie... takie..
.. takie cudowne... takie... takie... takie cudowne.*

I tak w kółko. Dotykały ją różne dłonie, a jej słowa wydawały się takie poetyckie i takie zachęcające.

To takie cudowne.

Destiny stała skulona i patrzyła. Na ekranie włosy opadały jej na twarz, wyglądała dziko, niechlujnie, skóra lepka od potu, pewnie to przez ten taniec, a może na skutek gorączki wywołanej przez mieszaninę ekstazy i alkoholu. Zamroczone trawką spojrzenie jej jasnobrązowych oczu. Była taka inna, taka wyuzdana, wulgarna, taka nierealna, że poznawała jedynie swoją twarz. Patrząc na swoje występki zarejestrowane przez kamerę, na rzeczy, które mówiła i robiła w pokoju pełnym nieznajomych, na rzeczy, które ci bezwstydni nieznajomi robili z nią, kiedy omdlewała, patrząc na to wszystko, Destiny czuła, że ogarnia ją żądza mordy. Nie była jedyną dziewczyną na filmie. Były tam inne panienki, które również wyczyniały okropne rzeczy, niektóre wyglądały nawet na młodsze od niej, ale one się nie liczyły. Zdawały się świadome. Chętne. Skore do popisów przed kamerą i przed dumem. Ekshibicjonistki o niskim poczuciu własnej wartości, młode dziewczęta, które potrzebowały zwrócić w ten sposób na siebie uwagę, by się dowartościować. Na ekranie pojawiły się inne sceny, akty oralnej kopulacji, dziewczęta na tylnych siedzeniach samochodów, młode kobiety z Crenshaw klęczące między zaparkowanymi autami i „mówiące do mikrofonów”, dziewczęta kręcące tyłkami i tańczące na rurze. Kiedy na ekranie znów ukazała się Destiny. Była tak odurzona, jakby wkroczyła w inny wymiar, spragniona uczucia, spragniona miłości. Jej wstyd narastał, kiedy widziała siebie leżącą na zaplamionym łóżku, wykorzystaną, okradzioną z butów, torebki i biżuterii, częściowo ubraną, częściowo nagą. W tym pokoju pełnym obcych ludzi była jedyną nieświadomą pośród tej zbieraniny dziewcząt pozujących przed kamerą. Nakryła kiedyś swoich rodziców, nakryła matkę z jej kochankiem, widziała urywki filmów z kolekcji dziadka, oglądała nawet niecenzuralne hip-hopowe teledyski w nocnym programie kablówki, ale to było coś zupełnie innego. To była ona. To ona jęczała na ekranie. Była obmacywana. Uprawiała seks;

Nie, została wykorzystana do uprawiania seksu. Wmawiała sobie, że to nie mogła być ona. Ta otumaniona dziewczyna o rozmarzonych oczach to nie była ona. Stała wśród tańczących rozwrzeszczanych ludzi i ze wstydem patrzyła na swoje poniżenie. Zmuszona do pornografii. Mogli to zobaczyć jej rodzice. Jej dziadkowie. Wszyscy z prywatnej szkoły w Bel Air. Ludzie ze wspólnoty Faithful Central. Ta stacja radiowa, której rodzice słuchali co rano, KJLH. O Boże. Cliff Winston może o tym opowiadać w swoim porannym programie, a Janinę w wieczornym. Wyobraziła sobie, jak znajomi dzwonią do jej domu, podczas gdy na antenie Rodney Perry opowiada dowcipy, naigrawając się z jej upokorzenia. Zmuszona do pornografii.

Pulsowanie, które czuła między nogami, zaczęło palić ją żywym ogniem.

Zmuszona do pornografii.

Teraz już nic nie mogło powstrzymać jej przed tym desperackim krokiem.

Zmuszona do pornografii. Nic.

Narastała w niej złość i łzy płynęły z oczu.

Położyła dłoń na kolbie rewolweru zesłanego jej przez niebiosa i zaczęła powoli go wyciągać.

Drzwi pokoju otworzyły się gwałtownie, uderzając z hukiem o ścianę. Jakiś mężczyzna wrzasnął, jakby był gliną, a motel został otoczony przez kompanię policji. Brnął między ludźmi, roztrącając wszystkich na boki. Destiny patrzyła na niego, zaciskając palce na kolbie rewolweru. Był jak rozwścieczony goliat. Ubrany w czarną skórę. Szeroki w ramionach. Umięśniony jak superbohater. Jak Czarna Pantera. W zeszłym tygodniu Destiny oglądała w szkole ten komiks. Ten człowiek mógł być właśnie takim bohaterem, postacią, która wyskoczyła prosto z jakiejś mitycznej opowieści. To był wielki ciemnoskóry mężczyzna obdarzony najpotężniejszymi dłońmi, jakie Destiny kiedykolwiek widziała. Dłońmi, z których każda mogła objąć melona. Wszedł do pokoju, krzycząc i z furią spychając ludzi ze swej drogi. Destiny nawinęła mu się pod rękę i straciła równowagę, nieomal upuszczając broń, ale oparła się o ludzi, których

tak bardzo pragnęła pociąć i podziurawić kulami, co uchroniło ją przed upadkiem.

Czarna Pantera był rozjuszony, brutalnie ją znieważył jak wszystkich innych. Destiny miała ochotę pobiec za nim i zastrzelić go pierwszego. Albo przynajmniej wyciągnąć brzytwę, którą miała w swym arsenale, i porządnie go zaciąć. Ale ten facet był tak cholernie wielki i przerażający.

- Pokaż mi go, Viviane - warknął wściekle brutal.

Azjatka, ta sama, która awanturowała się tu przed kilkoma minutami, szła tuż za nim. Ubrana w skórę, ze zwichrzonymi dziko włosami i motocyklowym kaskiem w rękę, poruszała się jak w amoku. Tak samo rozjuszona i tak samo agresywna jak mężczyzna, który kroczył przed nią.

- Pokaż mi tego śmiecia, który cię znieważył - powiedział morderczym tonem Czarna Pantera.

Azjatka zacisnęła usta i wyciągnęła rękę.

Przed nią stał piegowaty chłopiec o jasnej skórze i uśmiechu R. Kelyego. Mo.

- Ej, chłoptasiu - mężczyzna podszedł do niego. - Nazwałeś moją kobietę dziwką?

- Nie, nie nazwałem jej dziwką. - Mo uśmiechnął się szyderczo, lustrując wzrokiem mężczyznę o wielkich dłoniach. - Nazwałem tę skośnooką, podobną do Yoko Ono dziwkę pizdą. A teraz podaj mi smażone krewetki z ryżem.

Jego koledzy parsknęli śmiechem.

Azjatka chwyciła swego faceta za ramię, potężne ramię, które torowało jej drogę. Powstrzymała go z wysiłkiem.

- Teraz to jest nieważne, Jacob, posłuchaj... chcę tylko znaleźć dziewczynę, która skrzywdziła moją siostrę.

Mężczyzna rozluźnił się, a kiedy Azjatka puściła jego ramię, wszedł w sam środek tłumu i wymierzył palec w twarz Mo.

- Przepróś moją kobietę - powiedział.

- Czarnuchu, zabierajcie się obydwójce z tej prywatnej imprezy.

Mo był otoczony przez swoich koleśków. Miał poczucie bezpieczeństwa, jakie daje przynależność do gangu, nawet jeśli żaden z nich nie miał

gangsterskich powiązań. Mo pozostał na miejscu, a reszta chłopców wystąpiła naprzód. Wszyscy byli wstawieni, sącyli zielone drinki, najprawdopodobniej była to mikstura Niesamowity Hulk, nazwana tak dlatego, gdyż po zmieszaniu składników, hennessy i hypnotią, napój przybierał zielony kolor... jak Niesamowity Hulk.

Czarna Pantera i te jego wielkie łapska.

Destiny nie wiedziała, co robić, w którą stronę iść.

Banda podpitych chłopaków napierała na mężczyznę odzianego w skórę, rzucając groźby i przekleństwa, zawadiacko wypinając piersi i wykonując obelżywe gesty.

Potężna dłoń ciemnoskórego mężczyzny zamieniła się w potężną pięść... pięść o rozmiarach kuli do kręgli... wielkiej kuli do kręgli w motocyklowej rękawicy... a dźwięk, jaki wydała, uderzając pierwszego z chłopców... Destiny mogła ten grzmot porównać do odgłosu, jaki wydaje metalowa kula do wyburzania gruchocąca ścianę budynku.

Zgruchotany. W taki właśnie sposób zawył z bólu tamten chłopak, tak właśnie się poczuł. Zgruchotany.

Pokój napełniły histeryczne piski dziewcząt mieszające się z wrzaskami chłopców.

Rozwścieczony mężczyzna szarżował wprost na tłum. Azjatka szła za nim, wymachując kaskiem.

W powietrzu unosiły się szklanki z alkoholem i zaciśnięte pięści.

Jeszcze więcej wrzasków dobiegało od strony drzwi, gdzie w popłochu tłoczyli się ludzie.

Chłopcy, którzy popijali zielone drinki, leżeli rozrzućeni po podłodze jak szmaciane lalki.

Niemal wszyscy przepychali się, próbując opuścić pokój. Przeskakiwali przez żelazną poręcz, skręcając kostki, łamiąc nogi i ześlizgując się ze stojących przed wyjściem samochodów. Nagle niestabilna poręcz przewróciła się pod ciężarem napierających na nią ciał. Kilka osób spadło z krzykiem na dachy zaparkowanych na dole aut. prostytutki i ich klienci wybiegli z innych pokoi, zasłaniając rękami twarze niczym karaluchy bojące się światła. Chłopcy zostawiali swoje rozwrzeszczane dziewczyny. Dziewczyny zostawiały swoich krzyczących chłopców.

Każdy usiłował ratować się na własną rękę.

Destiny wiedziała, że zaraz pojawi się policja i zrobi porządek. Wiedziała, że musi uciekać. Ale nie mogła odejść.

Nawet kiedy rozpętało się to pandemonium, na ekranie wciąż leciał film z odtwarzacza.

Chłopiec o uśmiechu R. Kelly'ego z opuchniętymi od ciosów oczyma uwijał się po pokoju, próbując ratować sprzęt. Chwycił przenośny odtwarzacz DVD i z workiem marynarskim w drugiej ręce utorował sobie drogę do wyjścia i zbiegł po schodach. Z ciężkim pakunkiem na plecach przeskakiwał leżące ciała pobitych, kierując się w stronę parkingu w Ca-sura Bay.

Destiny przecisnęła się przez ogarnięty paniką tłum i pobiegła za nim.

Piski i krzyki. Ludzie biegający po ulicach. Masowy popłoch. Samochody ruszające z piskiem opon.

Leżące na ziemi ciała pijanych i pobitych.

Destiny zobaczyła, jak chłopiec o uśmiechu R. Kelly'ego w pośpiechu ładuje sprzęt do bagażnika swojego escalade'a. Kiedy okrążył samochód, by sięść za kierownicą, Destiny stała po stronie pasażera z ręką na klamce. Odblokowały się zamki i dziewczyna otworzyła drzwi, po czym wskoczyła do środka.

Mo zajął swoje miejsce i spojrzał na nią.

- Lepiej, suko, jak wysiądziesz z mojego pieprzonego wozu.

- A więc to tak?

- Pączuszek? - zawiesił głos. Skinęła głową.

Mo nacisnął guzik i zaryczała muzyka. *Wyruchaj tę szparkę, wyruchaj tę szparkę.*

- Co to... kiedy... skąd do cholery się tu wzięłaś?

- Policja będzie tu lada chwila - powiedziała. - Posterunek jest parę budynków stąd.

Nie zadając więcej pytań, uruchomił silnik, minął miotających się w panice ludzi, którzy próbowali go zatrzymać, włączył się do ruchu i przyspieszył, oddalając się od Casura Bay tak szybko, jak mógł.

Przemknęli obok eleganckiego cadillaca. Obok stał zakuty w kajdanki kierowca, a z otwartego bagażnika policjanci wyciągali młodą prostytutkę. Destiny nie zwracała już na nic uwagi.

- Człowieku, dlaczego? - zapytała.

Zachichotał, jakby wiedział, o co chodzi, ale udał zdziwienie.

- Co dlaczego?

- Dlaczego ty i D'André... dlaczego mi to zrobiliście? Jego chichot przerodził się w śmiech.

- Nie zrobiliśmy nic złego. *Wyruchaj tę szparkę, wyruchaj tę szparkę.*

Destiny warknęła, sięgnęła do odtwarzacza i wyłączyła muzykę.

- Suko, jesteś za głupia, żeby dotykać mojego radia! - krzyknął.

- Co ci zrobiłam? - krzyknęła. - Myślałam, że jesteście w porządku.

Dlaczego mnie zgwałciliście...?

- Nikt cię nie zgwałcił, wariatko.

- Tam były... obudziłam się w tym obrzydliwym pokoju... na podłodze pełno kondomów...

- Sama się o to prosiłaś. Wszystko jest na filmie. Oryginalna wersja reżyserska.

- Co?

- W każdym razie mówiłaś, że chcesz być jak twoja mama.

- Moja mama...?

- Sofa. Zapomniałaś? Zaczęłaś się wygłupiać, odgrywać sceny z *Baby Boy*, kręcić tyłkiem i mówić, że uwielbiasz jego fiuta i jak bardzo go pragniesz.

- Człowiek interesu. Nazywasz siebie człowiekiem interesu?

- Tak. To ja.

Nad ich głowami unosiły się helikoptery lecące do miejsca, które oni właśnie opuścili.

Destiny chciała znaleźć się w domu.

- Dla pieniędzy - powiedziała. - Zrobiłeś mi to dla pieprzonej forsy?

- A co, kurwa, myślisz, że ten wóz dostałem za darmo? Ze wirujące kołpaki rozdają w prezencie?

- Jak mogłeś zrobić coś takiego?

- Wiesz, jakie są ceny benzyny? Napełnienie tej suki kosztuje prawie sto dolarów. Sto dolarów za bak benzyny i niech mi ktoś powie, że rząd nie robi mnie w buca.

- Ile razy zrobiłeś coś takiego?

- Każdy pieprzy się z każdym. Albo pieprzysz kogoś, albo ktoś ciebie.

- Mówię ci, że zostałam zgwałcona, i to wszystko, co masz do powiedzenia?

- Biznes jest biznes. Zostałaś wyruchana, musisz się z tym pogodzić.

- Pogodzić się?

- Musisz się z tym, kurwa, pogodzić.

Mo skręcił kilka razy i wyjechał na Slauson Avenue, kierując się w stronę La Brea.

- Co... ty... ty nawet nie przejmujesz się tym, co mi zrobiłeś? - powiedziała Destiny.

- Zamknij się.

- Nie waż się mówić, żebyś się zamknęła.

- Nie zmuszałem cię do tego. Wszystko, co zrobiłem, to nagranie i montaż.

- Wykorzystałeś mnie, oto co zrobiłeś. A teraz to sprzedajesz.

- Chcesz darmowy egzemplarz?

Destiny zanurzyła dłoń we włosach i potrząsnęła głową.

- Ponieważ jesteś gwiazdą, dostaniesz jedną płytę za darmo. Na koszt firmy.

- Chcę je wszystkie. Co do jednej.

- Odbiło ci. Jedna za darmo. Reszta dziesięć za sztukę. Za pół ceny.

Odpowiada?

Dotknęła rewolweru.

To było nieuniknione. Pomyślała o Goldie. Zastanawiała się, czy pozbawiła ją wzroku. Może została tak oślepią, by móc tylko odróżniać światło od ciemności.

- Masz jakiegoś dzieciaka? - zapytała.

- Dlaczego pytasz mnie, czy mam dzieciaka? Chcesz mnie w coś wrobić?

- Bo gdybyś miał dzieci... albo dziecko... bo kocham moją tatę... potrzebuję go... bo to straszne, gdy dziecko nie ma ojca... gdybyś miał dziecko... może zmieniałabym zdanie...

- Ej! Ty masz spluwę?
- Może gdybyś miał dziecko... jesteś podłym człowiekiem... byłbyś okropnym ojcem...
- Pączusku... ej... spokojnie z tą spluwą... porozmawiajmy...
- Zatrzymaj się.
- Dobra, dobra. Jak tylko przejadę przez Crenshaw, to stanę.
- Teraz masz się zatrzymać, teraz, do cholery.
- Wyluzuj. Widzisz, już się zatrzymuję.
- Stań w tej alejce za pocztą.
- Ciemno tam. Pewnie roi się od ćpunów i innego gówna.
- Nie obchodzi mnie to. Stawaj.
- Stoję.
- Wrzuć na luz.
- Jest na luzie.
- Wyłącz silnik.
- W porządku, wyłączam.
- Światła też.
- Zgaszone. Co teraz?

Znalazła się w obskurnym zaułku i przerażona próbowała zebrać myśli, wdychając odrażający fetor odpadków i moczu. Zapachy typowe dla tej części Los Angeles.

Za ich plecami rozbłyskiwały światła samochodów przemykających po Slauson Avenue. Przed sobą widziała tylne wejście poczty i szereg trzeciorzędnych sklepików.

- Dlaczego mi to zrobiłeś?
- Zaraz... spokojnie... nie mierz do mnie... proszę... odłóż tę spluwę...
- Dlaczego?
- Zaraz, poczekaj. Nie wyżywaj się na mnie. To nie ja cię wystawiłem.
- Wystawiłeś?
- To ona, do kurwy nędzy, cię wystawiła.
- Jak to wystawiła mnie? Co to za ona?
- Opuść broń i będziemy rozmawiać.
- Nie mów mi, co mam robić. Teraz ja wydaję polecenia. Ja tu rządę.
- W porządku, cholera.

- Kto mnie wystawił?
- Ciężko mi się mówi, kiedy trzymasz mnie na muszce.
- Myślisz, że będzie ci łatwiej mówić z kulą w głowie?
- Blefujesz.
- Przestań pierdolić.
- Zaraz, zaraz. Nie powinnaś teraz liczyć do trzech albo coś w tym guście?
- To dla ciebie zabawa? Myślisz, że się z tobą bawię?
- No dobra, to była ta Meksykanka.
- Jaka Meksykanka?
- Dziewczyna, która przyjechała ze mną, kiedy zabieraliśmy cię z Crenshaw. Siedziała obok tej, którą pobiłaś. Najnormalniej cię wystawiła. - Dlaczego... dlaczego?
- Wszyscy przyjechali, żeby cię przelecieć.
- Wiedziałeś, że chcą mnie przelecieć?
- To było jasne dla wszystkich, że chcą ci przynitować dupę. To dlatego przyjechaliśmy cię zgarnąć. Chcieli nakręcić dziewczęcą bójkę, a potem orgię. To dlatego bzykali cię wszyscy naraz.
- Kiedy przyjechaliście po mnie... to dlatego kamera była już włączona?
- Wszystko się nagrywało. To dlatego wyjechały do ciebie z takimi tekstami, kiedy tylko otworzyły drzwi. Miały zamiar ci dokopać, ale to ty dobrałaś się Q do dupy.
- Chciały mnie zaatakować, a wy mieliście na to patrzeć i filmować całą scenę?
- To ta Meksykanka, była mocna w gębie, ale wcale nie rwała się do bicia. Podpuszczała tylko Q, nawcisła jej bzdur i dziewczyna się nabuzowała. Ustawiła walkę jak Don King. Promotorka.
- Dlaczego robicie ludziom takie rzeczy?
- Jestem człowiekiem interesu.
- Wystawiłaś mnie.
- Sama się napaliłaś. A tak swoją drogą ja nie mam nic wspólnego ze stroną organizacyjną. Jestem tylko reżyserem.
- Co ty opowiadasz?
- To Lupe kieruje całym przedsięwzięciem. To ona vyhacza dziewczęta. Kręcimy się po Crenshaw, zaglądamy do Slauson Swap Meet, do

Baldwin Hills Crenshaw Plaża i w inne strategiczne punkty. To ona kieruje naborem i decyduje, kto jej zdaniem będzie się nadawał do projektu, a potem my zagadujemy panienkę i badamy sprawę.

- Tak jak wtedy, gdy byłam w sklepie płytowym?

- Tak. Widziała cię, jak idziesz, ona ma do tego oko, i posłała nas, żebyśmy cię wybadali.

- To dlatego weszliście do sklepu? Śledziliście mnie?

- Badaliśmy grunt.

Destiny z niedowierzaniem potrząsnęła głową.

- Dlaczego jedna dziewczyna miałaby robić coś takiego drugiej?

- Jest podła, to fakt.

- Nie kłam. Jeszcze przed minutą próbowałeś się ze mną targować.

- Jeszcze przed minutą nie trzymałaś mi rewolweru przed nosem.

- Nie podoba mi się, że wszystko na nią zwalasz.

- A mnie się nie podoba, że do mnie celujesz.

- Nie ufam ci, nie wiesz o tym?

- Ona zawsze szuka nowej suczki do zabawy.

- Dlaczego robisz takie... takie gówno? Dlaczego?

- Taka już moja natura, skarbie. Nic na to nie poradzę. Wiesz, jak to działa. Albo jesteś graczem, albo inni grają tobą. Ciebie spotkało to drugie i jesteś teraz mądrzejsza, więc potraktuj to jako nauczkę i odpieprz się ode mnie.

- Potraktować to jako nauczkę i żyć dalej - powtórzyła z niedowierzaniem.

- Nie zwalaj tego na mnie.

- I nie zwalać tego na ciebie. Dałeś mi swój numer telefonu. Przyjechałeś po mnie.

- Zadzwoiłaś po mnie. Nikt cię do tego nie zmuszał.

- To mój błąd.

- Na pewno nie mój. To Q miała dać dupy w tym filmie, ale spuściłaś jej łomot. Pokiereszowałaś jej twarz i już nie była taka ładna. Wtedy sprawy przybrały inny obrót. Sama widzisz. Nie wiedziałem, że posunie się z tobą tak daleko. To ta Meksykanka, to do niej powinnaś się dobrać.

- Gdybym do ciebie nie zadzwoniła... nie poszła na spotkanie... mówisz, że na tym filmie byłaby...

- Dziewczyna, której dokopałaś. Światła, kamera, akcja. Straciła ostatnią szansę.

- Nie wierzę ci.

- W co mi nie wierzysz? Włącz DVD.

- Co?

- W moim odtwarzaczu jest płyta. Wersja reżyserska. Puść ją. Przekonaj się.

Destiny rozpoznała ten głos. Ten akcent. Intonację, którą słyszała ubiegłej nocy. Twarz właścicielki tego głosu była poza ujęciem albo pojawiała się na ułamki sekund. Mówiła szeptem, ale każde słowo wypowiadała mocno i zdecydowanie.

- Ta młoda kretynka uszkodziła mi dziewczynę... oto jak można na tobie polegać... zmontujesz mi ten kawałek, jak pali skręta w aucie... zrób tej dupci jeszcze jednego drinka... Goldie... sygnij mi parę ecstazy...

- Najpierw zapłać.

- Daj spokój. Wiesz, że nie nawalam.

- Najpierw mi zapiać.

- Masz. Myślałam, że jestem twoją dziewczyną.

- Moim jedynym przyjacielem jest pieniądz. A to nie kosztuje dychę, tylko dwie.

- Cholera. Dałabyś siostrze jakiś upust.

- Chcę buty tej dziwki. A widziałaś jej torebkę? To nie jest żadna gówniana podróba.

- Ta suka jest nikim. Zedrzyj z niej, co ci się podoba. Oslaniam cię. Goldie i czarna półkrwi Meksykanka zaczęły się śmiać.

Kamera skupiła się teraz na Lupe, ukazując jej ciało, pośladki, piersi, ale nie twarz. Pokazała jej rękę podającą drinka Destiny. Pokazała Destiny, która z uśmiechem wzięła szklankę i tańczyła, popijając.

Lupe odeszła tanecznym krokiem, kamera podążyła za nią.

- A więc tak nakręcasz te kurewki, Lupe. Męski głos. To mówił operator kamery.

- Jestem kobietą interesu. Chcecie poznać tajniki tej branży? Odslonę przed wami kilka sekretów. Mamy tu cztery kategorie. Czarni mężczyźni. Czarne kobiety. Biali mężczyźni. I kobiety, które nie są czarne. Jest dla cie-

bie problemem pieprzyć się z białym facetem? To pożegnaj się z kasą, bo takie gówno właśnie najlepiej się sprzedaje. Czy to robiłam? Robię to, co trzeba robić. A teraz uwaga. Zdradzę wam podstawową zasadę. Czarni mężczyźni mogą zarobić więcej niż czarne kobiety. Ameryka uwielbia hojnie obdarzonych Murzynów. Ale czarna suka ściągnie więcej kasy niż biała, bo mamy już za dużo białych kurewek. Czarne dziwki to jest to, co się sprzedaje. Jest na nie popyt. Czujecie, o co mi chodzi? Gotowi na prawdziwy odłot? To patrzcie.

- *Jaki masz wybór tych kurewek?*

- *Białe suki, Azjatki, Latynoski, czarne suki, mieszane. Mam wszystko.*

Destiny była przejęta grozą. Po Slauson przemykało coraz więcej policyjnych radiowozów na sygnale. Miała już dosyć oglądania. Wyłączyła odtwarzacz i znów ogarnął ich mrok panujący w obskurnej alejce.

- Ten film... - Destiny kręciła głową. - Po co robicie takie rzeczy?

- Biznes. Rozrywki dla dorosłych.

- Dla pieniędzy?

- No jasne. *Napalone cichodajki.* To gówno schodzi jak świeże bułeczki.

- Ty dalej nie rozumiesz, o co mi chodzi, prawda?

- Przestań wreszcie do mnie mierzyć i powiedz mi, ile chcesz.

- Zostałam zgwałcona.

- Czego ode mnie chcesz? Czego? Chcesz płyty... wiesz... posłuchaj.. . bierz je... możesz je zabrać...

- Nie mogę pozwolić, aby ludzie, którzy mnie znają... moi rodzice... moi dziadkowie... oni nie mogą tego zobaczyć.

- Zaraz, spokojnie. Rozumiem twój problem. Wszystkie płyty są zapakowane w worku.

- Co?

- Wszystko, co mi zostało, trzymam w moim worku Nike'a. Weź je sobie. A teraz schowaj tę spluwę.

- He już sprzedałeś?

- Niewiele.

- Co oznacza niewiele? Ile?

- Dwadzieścia. Może.

- Dwadzieścia?
- Przestań do mnie mierzyć.
- Dwadzieścia. To o dwadzieścia za dużo. -Ej!
- Podnieś ręce.
- Co... chcesz mnie zrewidować?
- Podnieś te cholerne ręce.

Jak na filmie. Powiedziała to w taki sposób, jak mówią na filmach. Ale wciąż bała się tego chłopaka.

- Albo nie... usiądź na rękach. No już, siadaj na rękach.
 - Dobra, dobra.
 - Zamknij oczy. Przestań na mnie patrzeć. Powiedziałam, zamknij te cholerne oczy.
 - Dobra. Posłuchaj... pozwól mi zadzwonić do mojego wujka... on jest bogaty... mogę dać ci trochę kasy...
 - Czujesz to? Czujesz to pomiędzy nogami?
 - Zabierz spluwę od mojego... O Boże, tobie naprawdę odbiło.
 - Nie waż się używać imienia Boga. Nawet się nie waż.
 - Dobra... dobra... przepraszam... nie wiedziałem, że jesteś z tych kościółkowych.
 - Chcę znać tych wszystkich, którzy... - jęknęła - ...którzy się ze mną pieprzyli.
 - Mówisz poważnie? Nie znam wszystkich, którzy tam byli.
 - Muszę znać każdego, kto... Muszę.
 - Nie wiem, kto tam był. Wiesz, jak wyglądają takie imprezy. Nie znam połowy towarzystwa. Ludzie dowiadują się z internetu, gdzie ma być impreza, skrzykują ekipę i przychodzą. Połowa z nich zalewa ryja albo migdali się po kątach.
- Za ich plecami przemknął policyjny samochód na sygnale.
- Pączuszk, co to za odgłosy? Ty płaczesz? No co jest?
 - Uważasz mnie za zdzirę?! - wrzasnęła. - Za napaloną cichodajkę?! Za imprezową razówkę?!
- Krzyczała, wydała z siebie odgłos zranionego zwierzęcia. Po twarzy płynęły jej łzy.
- Spokojnie - powiedział. - Wiem, jak się czujesz.

- Ty wiesz, jak ja się czuję? Kiedy strzelę ci tutaj, o tu, wtedy będziesz wiedział, jak się czuję.

- Proszę, nie świruj tak z tą nabitą spluwą, Pączuszk.

- Zamknij oczy i siedź na rękach, do cholery, powiedziałam, siedź na rękach.

- Dobra, w porządku. Zamykam oczy. Siedzę na rękach. Już dobrze? Złapała oddech i przetarła oczy dłonią.

Zmuszona do pornografii.

W jej sercu Mo zasłużył na swój billboard. Destiny zastanawiała się, czy koledzy położyliby kwiaty na jego grobie i odtanńczyli zwariowany konwulsyjny taniec, wywijając łokciami jak lokomotywy.

- Ej, Pączuszk... co się dzieje?

- Cicho. Pan przemawia do mnie.

- Niczego nie słyszę.

- Ciii.

Na ulicach panowała cisza. Nie przejeżdżały żadne samochody. Zdarzało się to rzadko, nawet w niedzielę przed świtem. Destiny rozmyślała, ile innych kobiet zostało odurzonych. Zgwałconych. Zmuszonych do pornografii. Zastanawiała się, ilu jeszcze takich jak Mo odpowiada za jej hańbę.

Zastanawiała się, jak to rozwiązać.

- Pączuszk?

- Ciii. Bóg do mnie mówi.

- No... no... i co takiego Bóg ci powiedział?

Opierając palec na spuście, wcisnęła głębiej lufę w jego krocze.

- Bóg powiedział - wyszeptała Destiny - że to tylko biznes. Pociągnęła za spust.

BILLIE

- Przestań dzwonić.

Naciskałam dzwonek u drzwi raz za razem.

Okrywała mnie noc. Przytłaczał mnie mrok panujący w moim wnętrzu.

Rozdygotana i wkurzona chwyciłam w lewą rękę mój uszkodzony kask. Prawą dłoń mocno zacisnęłam w pięść.

Miałam na dłoniach rękawice. Motocyklowe rękawice poharatane na asfalcie w trakcie upadku. Wystające spod rozdartej skóry metalowe ochraniacze kostek wyglądały teraz jak kastet. Byłam gotowa zaatakować Carmen, kiedy tylko otworzy drzwi. W plecaku wciąż miałam cegłę. Mogłam roztrzaskać okno. Albo staranować drzwi, gdyby była taka konieczność. Uderzyłabym ją w twarz kaskiem, a potem torowałabym sobie nim drogę jak młotem. A kiedy Carmen próbowałaby odpelznąć, kiedy by krzyczała, siadłabym na niej, chwyciłabym za jej afro i tłukłabym stalowymi knykциями aż do utraty tchu.

Czułam w ramieniu ból, kiedy naciskałam dzwonek. Wciąż dzwoniłam i dzwoniłam. Ból przypominał mi, że żyję. Przyjrzałam się dwupiętrowemu, pokrytemu sdukami domowi, który kupił Keith. I który miał stracić. Zawsze chciałam zobaczyć, z czego rezygnuje, by zamieszkać w ciasnej kawalerce.

Usłyszałam ją. Usłyszałam nierówny stukot obcasów dobiegający z ciemności. Rozległ się odgłos, jakby na coś wpadła. Wymamrotała coś niezrozumiale zdezorientowana i ruch ustał.

Zignorowałam ból przeszywający moje ciało. Powtarzałam sobie, że z dzieckiem jest wszystko w porządku. Ponownie nacisnęłam dzwonek.

- Chwileczkę, do cholery - jej głos był ospały. - Powiedziałam, przestań dzwonić.

Zazgrzytałam zębami i znów nacisnęłam dzwonek.

- Powiedziałam, puść ten cholerny dzwonek. Nie przestawałam dzwonić.

- Idę, psiakrew. Nie słyszysz, jak mówię, że idę?

Odchyliłam do tyłu rękę trzymającą kask gotowa wyróżnić ją między oczy. Przypomniała mi się Q i jej pokiereszowana twarz. Za moment to samo miało stać się z Carmen. Otworzyły się drzwi.

To, co zobaczyłam, zahamowało mój impet i sprawiło, że opuściłam kask.

Oto stała przede mną. Jej fryzura kiwała się z boku na bok. Miała na sobie ślubną suknię. Nie była to typowa suknia, ale taka, jaką pragnęłaby włożyć każda mała dziewczynka, kiedy marzy o dniu, w którym poślubi księcia z bajki.

Rozchyliła wargi pomalowane na wiśniowo-czerwony kolor.

- O Boże, to ty - powiedziała, kręcąc głową.

W jednej ręce trzymała kieliszek wina, w drugiej bukiet róż i była ubrana w wytworną suknię ślubną. Olśniewająco białą, ekskluzywną suknię z dwumetrowym welonem. Szykowna dama umazana szminką. We wnętrzu jej domu panował chłód, poczułam powiew zimnego powietrza, jakby klimatyzacja pracowała na najwyższych obrotach, ale Carmen była spocona i zapłakana. Rozmazany tusz do rzęs spływał po jej twarzy jak strumień błota, sięgając aż do szyi i opadając czarnymi kroplami na perłową biel sukni. Płynące godzinami łzy zostawiły brudne ślady aż po rowek między piersiami. Jej oczy były tak ciemne, że wyglądały jak dwie bezdenne otchłanie. Carmen zamieniła się w smutnego pijanego demona w kreacji od Very Wang.

Ten widok powstrzymał mój zamiar, ale nie zadawałam pytań. WP^{e^}" niałam swoją misję. Miałam ograniczone pole widzenia.

Opuściła rękę, w której trzymała bukiet.

- Czego chcesz? Przyszłaś po resztę pieniędzy? Nie mam ich. I równie dobrze mogłabym ci powiedzieć, że nie jestem w stanie ich zdobyć. Więc nasz układ jest nieważny.

Jej przepojony winem oddech uderzył mnie w twarz. Skręciło mnie w żołądku.

- Pokaż mi swój samochód - krzyknęłam.

- Mój samochód? Po co?

- Wiesz po co.

- Gdybym wiedziała, nie pytałabym cię o to.

- Uszkodziłaś go, kiedy próbowałaś mnie rozjechać.
- O Boże, nie zaczynaj znowu tych nonsensów.
- I ukradłaś pięć tysięcy dolarów z mojej kieszeni.
- Co? Jesteś stuknięta, wiesz?
- Ja jestem stuknięta? Ubierasz się w suknię ślubną, wyglądasz jak gnijąca panna młoda i to ja jestem stuknięta?

Zakasłała. Miała trudności z oddychaniem. Nie dawałam za wygraną. Żadnego współczucia.

- Chodźmy do twojego samochodu - krzyknęłam.

Zaklęła i ryknęła jak niedźwiedź, po czym opada stopę o drzwi i usiłowała zatrzaskać mi je przed nosem. Wsunęłam kask w szczelinę i drzwi odbiły się od niego, tracąc rozpęd. Potem z całych sił napadam na nie ramieniem.

Carmen zatoczyła się do tyłu i uderzyła o ścianę, upuszczając róże i szklankę, która roztrzaskała się na podłodze. Próbowwała uciekać. Ruszyłam za nią.

- To jest napaść! - wrzeszczała. - Włamanie z wtargnięciem. Popełniłaś przestępstwo, wchodząc na teren prywatny z użyciem siły. Jesteś tu bezprawnie. Opuść mój dom.

Rzuciłam w nią kaskiem. Uniosłam go nad głowę i cisnęłam tak mocno, jak umiałam, trafiając tę wariatkę w tył głowy. Zatoczyła się, stęknęła głucho i upadła.

Od rzutu rozbolało mnie ramię, ale nie zwracałam na to uwagi, zostawiając na potem rozczulanie się nad sobą.

- Myślałaś, że możesz ot tak przyjść do mojej pracy i traktować mnie, jakbym była śmieciem, co?

Złapała kilka płytkich oddechów i próbowała się zaśmiać.

- Teraz mogę oskarżyć cię o czynną napaść.

- Co?

- Czynna napaść to przestępstwo, za które wylądujesz w więzieniu stanowym. Wygląda na to, że urodzisz swojego bękarta za kratkami. Odbiorą ci dziecko i oddadzą do sierocińca.

- Powinnam się tego wystraszyć?

- Natychmiast opuść mój dom.

- Po tym wszystkim, co mi zrobiłaś? Złapała się za głowę i wrzasnęła:

- Skarbie, właśnie doigrałaś się sprawy karnej i powództwa cywilnego. Zaskarżę cię i jesteś skończona. Zabiorę ci wszystko, co masz. Każdą przeklętą rzecz. Oskarżę cię o wyrządzenie szkód emocjonalnych. Wsadzę cię na długie lata.

- Ale wcześniej ja pošlę cię do piekła.

Z trudem uniosła się na nogi, podtrzymując zburzoną fryzurę.

- Nie zbliżaj się do telefonu - ostrzegłam ją.

- To jest mój dom. Mój dom - zadławiła się własną śliną. - Nie mów mi, co mam robić.

- I nie próbuj przechodzić obok włącznika alarmu.

- Cudownie. Jestem zakładniczką. Zostałam zdradziecko uwięziona. Ograniczenie wolności poprzez przetrzymywanie w zamkniętym pomieszczeniu. .. Twoje dziecko zdąży dorosnąć, zanim wyjdiesz z więzienia.

Znów chwyciłam kask i uniosłam wysoko, robiąc taką minę, jakbym chciała ją uderzyć.

Jęknęła ze strachu i zasłoniła twarz dłońmi.

- Nie... przestań...

- Twój samochód. Chcę zobaczyć twój samochód.

- Nie chcę wsiadać z tobą do żadnego samochodu. -Co?

- Chyba nie chcesz wywieźć mnie na pustynię i... wariatka... dzwonię po policję...

Zatoczyła się w kierunku telefonu. Znów rzuciłam kaskiem, który tym razem trafił ją w kolana. Zaplątała się w welon i runęła na dywan jak podcięty manekin.

- Mówię po raz ostatni - krzyczałam, stojąc nad nią z zaciśniętymi pięściami. - Pokaż mi swój samochód.

Nagle usłyszałam głosy dobiegające z wnętrza domu.

Moje serce zamarło i lęk sparaliżował całą moją furię i hardość.

Zapomniałam o jej córce. Byłam tak wzburzona, że nie przyszło mi do głowy, żeby sprawdzić, czy jest w środku.

Uniosłam wzrok przekonana, że zobaczę Destiny patrzącą na mnie z przerażeniem.

Destiny. Na ścianach wisiały dziesiątki jej zdjęć. Wpatrywały się we mnie dziesiątki par oczu.

Ale to nie była ona, tylko jej zdjęcia. Zdjęcia niemowlaka. Zdjęcia przedstawiające ją w każdym wieku, obejmujące okres piętnastu lat. Ich dziecko. Ich Destiny. Głos, który usłyszałam, nie należał do jej córki.

Nasłuchiwałam w milczeniu. Keith.

Usłyszałam głos Keitha.

Posłałam Carmen groźne spojrzenie.

- Nie... proszę... wyjdź... po prostu wyjdź... - mówiła, z trudem łapiąc oddech.

- Keith tu jest?

- Wyjdź... opuść mój dom.

Ruszyłam pędem w stronę, z której dobiegał głos. Ostry ból przeszył lewą stronę mojego ciała, sprawiając, że zaczęłam utykać.

- Nie... nie wchodź... tam... - krzyknęła Carmen. - Cholera... proszę... nie wchodź do mojej sypialni.

Jego śmiech wskazywał mi drogę. Kuśtykałam z grymasem bólu na twarzy. Carmen, słaniając się, szła za mną.

- Wyjdź... wyjdź... z mojego pieprzonego... domu, ty suko. Każdy jej wdech wygrywał chrapliwą melodię.

Kiedy dotarłam do drzwi sypialni, mój kask trafił mnie z impetem w plecy.

- Suko... powiedziałaś, nie... nie... wchodź... do mojej sypialni.

Odwróciłam się do niej przodem. Stała zgrabiona, trzymając się kurczowo za gardło. Jej twarz zmieniała barwy, a na skórze pojawiły się krople potu. Chwytała powietrze haustami, jakby się topiła. Ledwie trzymała się na nogach. Chwycała pilota do telewizora i zamierzyła się, jakby chciała nim we mnie rzucić.

- Jesteś pewna, że tego chcesz? - zapytałam.

Wzięła zamach i z zaciętą miną rzuciła we mnie pilotem. Chybiła, ale rozjuszyło mnie to jeszcze bardziej. Kuśtykając, podeszłam do niej tak szybko, jak mogłam.

- Jeszcze raz nazwij mnie suką - wycodziłam jej prosto w twarz.

- Nie wchodź do mojej sypialni, psiakrew - odepchnęła mnie i potykając się na dziesięciocentymetrowych szpilkach, ruszyła w stronę drzwi

sypialni, jakby chciała znaleźć się tam przede mną. Idąc, rzucała we mnie wszystkim, co nawinęło się jej pod rękę.

- Nie naruszaj mojej prywatności.

- Rzuciłaś cegłą w moje okno. Przez dwie noce z rzędu próbowałaś mnie rozjechać.

- Masz jakieś urojenia.

- Urojenia. To ty pierwsza naruszyłaś moją prywatność.

- A ty wtargnęłaś do mojego domu, zaatakowałaś mnie, rzucasz we mnie różnymi przedmiotami i wszystko demolujesz.

Wszystkie te szaleństwa, które wyczyniała, dewastowanie własnego domu, miały zostać przypisane mnie.

Zdjęłam plecak, otworzyłam go i wyjęłam cegłę.

- Od przodu czy z tyłu głowy? - zapytałam.

- Co?

- Ponieważ rzucam w ciebie różnymi przedmiotami, chcesz dostać cegłą w przód czy w tył głowy?

- Grozisz mi niebezpiecznym narzędziem? To jest zaplanowane działanie na moją szkodę i to bez prawnego uzasadnienia. W takich okolicznościach kwalifikuje się jako usiłowanie morderstwa pierwszego stopnia.

- A próba staranowania mojego motocykla stawia cię na równi ze Scottem Petersonem.

Zaniósła się kaszlem, zacharczała i otarła usta wierzchem dłoni, rozmazując sobie po twarzy czerwoną szminkę.

- Czemu do cholery masz na sobie suknię ślubną? - zapytałam.

- Nie... nie... nie twój zaszraniony interes.

- Wyglądasz żałośnie, wiesz?

Carmen opada się plecami o ścianę i osunęła. Kaszłała, wytrzeszczając oczy, szarpała się za włosy i płakała.

Trzymając cegłę, przeszłam obok niej. Wyciągnęła rękę w moją stronę, ale nie zdołała mnie dosięgnąć.

- Nienawidzę cię. Nienawidzę, nienawidzę ciebie i wszystkiego, co sobą reprezentujesz.

- Nawzajem.

Położyłam dłoń na klamce gotowa pchnąć drzwi.

- Nie... proszę nie... nie... nie... błagam cię... nie... naruszaj... mojej prywatności.

Keith.

Otworzyłam drzwi i napotkałam spojrzenie pięknych oczu Keitha. Cegła wypadła mi z ręki i uderzyła o podłogę z głuchym łoskotem. Śmiał się.

Otoczony świecami, ubrany w czarny smoking śmiał się, szczerząc zęby. Patrzyłam na jego twarz na czterdziestodwucalowym ekranie plazmowego telewizora zawieszzonego na ścianie. To było nagranie z ich ślubu. Carmen siedziała tu ubrana w swoją suknię ślubną i patrzyła, jak się pobierają.

- Kurwa... Boże... nie... Billie... czekaj... nie... Billie...

Mówiła bełkotliwym głosem, z urywanym świstem przy każdym wdechu.

- Billie... nie mogę oddychać... pomóż mi...

Na łóżku był rozłożony czarny smoking, jakby w środku znajdował się niewidzialny wysoki mężczyzna. Był to ten sam smoking, który Keith miał na ekranie. Podłoga była zarzucona zdjęciami ze ślubu, a na stoliku nocnym stała pusta butelka po winie. Klimatyzacja była włączona na pełny regulator, gdyż na sam widok tyłu zapalonych świec robiło się gorąco jak na powierzchni słońca. Podeszłam do łóżka. Łóżka, na którym kiedyś Keith uprawiał seks ze swoją żoną. Wpatrywałam się w to łóżko i w inne rzeczy, które kiedyś były ich wspólną własnością. Potem dostrzegłam coś jeszcze. Rozgrzewające nawilżacze. Chińskie kulki. Silikonową nasadkę w kształcie króliczka służącą do stymulacji lechtaczki. Jednak w osłupienie wprowadził mnie jeden z wibratorów. Gruby, w kolorze głębokiego brązu, o imponującym obwodzie i długości. Był wyposażony w jądra, a wzdłuż całej jego powierzchni biegły zgrubienia imitujące żyły. Wyglądał dokładnie tak jak penis Keitha. Wdać wspomnienia napępniały ją takim pożądaniem, że musiała postarać się o dublera.

Znów spojrzałam na ekran. Patrzyłam na ich ślub. Stali na skale wiszącej nad oceanem. To było piękne. Po prostu piękne.

Pocałowali się. Całowali się długo. Jego język błędził w jej ustach.

Powiedziała mu, że go kocha. Na jego twarzy pojawił się najpiękniejszy uśmiech wszech czasów. Powiedział jej to samo.

Objęli się i złączyli usta w pocałunku.

Ten widok rozrywał mi serce. Czułam się, jakbym stała nago na szczycie Mount Everestu. Znalazłam się w samym środku ich bezcennych wspomnień sprzed osiemnastu lat.

Z czasów, kiedy prezydentem był Reagan, a na ekranach kin pojawił się *Rain Man* i *Bull Durham*.

Kiedy moi rodzice żyli, a ja miałam piętnaście lat. Kiedy byłam jeszcze dziewicą i ukradkiem podkochiwałam się w Stephanie Mitchellu, chłopcu, który nigdy nie zwracał na mnie uwagi. Kiedy jeszcze miałam rodzinę.

Carmen śpiewała dla Keitha. Fałszowała, ale śpiewała z pasją i ze szczerego serca, a melodia płynęła z głębi jej duszy. Niemal płacząc ze wzruszenia, patrzyła mu w oczy i śpiewała *Anything For You*, piosenkę Glorii Estefan i Miami Sound Machine. Potem Keith wpatrzony w nią zaśpiewał *Caribbean Queen*. Następnie, fałszując, zaśpiewali w duecie *I Knew You Were Waiting For Me*. Ona była Arethą Franklin, a on Geor-ge'em Michael'em. Ten duet brzmiał okropnie i pięknie zarazem. A potem didżej puścił płytę Bobby'ego McFerrina. Na ekranie ukazała się sala pełna roztańczonych Jamajczyków. *Don't worry. Be happy*.

Carmen. Keith. Było między nimi tyle żaru. Smutne, co czas zrobił z nami wszystkimi.

Potem całą salę ożywiła dyskotekowa muzyka z Kingston. Keith i Carmen tańczyli z dziką werwą.

Wtedy jeszcze nie mieli dziecka. To było widać. Z czasem obydwójce stali się tacy inni. To było coś więcej niż upływ lat. Jako rodzice byli już odpowiedzialni, a nie egoistyczni.

Carmen miała wtedy długie włosy. Wyglądała tak sympatycznie. Tak naturalnie. Tak inaczej niż ta suka, która teraz leżała w korytarzu. Keith wyglądał wtedy o wiele młodziej. Zawsze przystojny jak cholera. Promieniał szczęściem, kiedy razem kroili tort i karmili się nim nawzajem. Zupełnie inny Keith. Mógłby uchodzić za swego młodszego brata. Całował Carmen w taki sam sposób, jak całował mnie. Całował ją tak, jakby już na wieki mieli być razem.

Nie myśląc o tym, co dzieje się z Carmen, zaciskając pięści, wróciłam do korytarza. Za plecami zostawiłam radosne odgłosy wesela. Chris De Burgh śpiewał *Lady in Red*. Carmen wciąż leżała na podłodze. Zgubiła jeden but, a welon oplótł jej nogi. Rozpadający się podstarzały manekin.

- Inhalator... - wykrztusiła.
- Potrzebujesz swojego inhalatora?
- Pomóż mi...

Podeszłam bliżej i pochyliłam się na nią.

- Prosisz wywlokę o pomoc? - wyszeptałam jej do ucha.

Zacisnęła powieki. Jej klatka piersiowa wykonywała płytkie ruchy. Nagromadzony w gardle śluz rzeził przy każdym oddechu. Pokasływała. Charczenie nasilało się, było coraz gwałtowniejsze, kiedy walczyła o każdy haust powietrza, wykrzywiając groteskowo twarz. Nieustający grymas, prawie jakby przeżywała wielokrotny orgazm. Miny wyrażające cierpienie i rozkosz są do siebie takie podobne. Męczyła się strasznie, aż pobladła jej twarz.

- Przecież nazwałaś mnie suką i straszylaś, że zabierzesz mi wszystko, co mam. Zgadza się, Carmen?

Odgarnęłam włosy i patrzyłam jej głęboko w oczy. Próbowałam dostrzec, jaki demon w niej siedzi. Po jej czole spływał strumień potu, ale nawet nie uniosła ręki, by go obetrzeć. Cierpiała na niewydolność oddechową. Była taka krucha.

- A teraz mam się nad tobą zlitować? Wiem, że nie życzyłabyś sobie, abym cię ratowała.

Uniosła rękę w moją stronę, a w jej oczach pojawiło się błaganie o pomoc. Te oczy mówiły, że to nie żarty. Ja też nie żartowałam.

- Pamiętasz, kiedy spotkałyśmy się po raz pierwszy? Jaka byłam dla ciebie uprzejma? A ty nazwałaś mnie kurwą. Co to było za jamajskie gówno, które mi wtedy powiedziałaś? Wypastuj mi fokę? No, Carmen, złap teraz oddech i wypastuj mi fokę.

Próbowała się podnieść, ale upadła.

- To jest karma, Carmen. To jest karma - wycedziłam. Usiłowała coś powiedzieć. Nie była w stanie.

Bała się. Zrzuciła wężową skórę i oto miałam przed sobą bezbronny tchórza.

Pokręciłam głową, dając do zrozumienia, że nie mam zamiaru jej pomóc. Nie w tym życiu.

- Czynna napaść. Zdradzieckie uwięzienie. Wtargnięcie - krzyczałam, powtarzając jej słowa.

Chwyciłam kask, jedyny dowód mojej obecności w tym domu, i ruszyłam w stronę przejścia do garażu.

- To ty wszystko zaczęłaś. Ty zaczęłaś. Próbowowałaś mnie zabić. Próbowowałaś zabić moje dziecko.

Odeszłam, kulejąc. Z każdym moim krokiem nasilało się charczenie i kaszel.

- Zdychaj, suko.

Charczenie niosło się echem po całym domu. Słyszałam je, przechodząc przez kuchnię, a kiedy dotadałam do pralni, nagle ucichło. Zaczęłam się zastanawiać, czy Carmen już umada. Wyobrażałam sobie jej przekręcone na bok ciało o twarzy sinej jak błękit nieba. Poczułam ostry ból. Byłam mocno poturbowana. Położyłam rękę na brzuchu i masując go, próbowałam pokonać strach. Dotadałam wreszcie do sieni i zatrzymałam się przed drzwiami ich garażu.

Ich garażu. Nie jej garażu. Ich garażu.

Ich domu.

Ich świata.

Musiałam się upewnić. Czułam się, jakby ogarniał mnie obłąd, ale wiedziałam, że tak nie jest.

Byłam ścigana, miałam wypadek i zostałam porzucona na drodze, potraktowana gorzej niż zwierzę.

Otworzyłam drzwi, które prowadziły do garażu na dwa samochody. Ze środka powiało chłodem. Zobaczyłam sylwetkę jej wozu zaparkowanego w głębi, tuż przy ścianie. To było sprytne posunięcie. W ten sposób ukryła uszkodzenia po stronie pasażera. Nikt nie mógł zauważyć zadrapań, rozbitych kierunkowskazów, braku lusterka, wgniecionego błotnika ani śladów czerwonego i zielonego lakieru na zderzaku.

Nikt nie mógł zauważyć, że próbowała mnie zabić.

Zasłużyła na konanie w długich męczarniach.

Znalazłam kontakt i zapaliłam światło.

Czułam rwący ból w nodze, kiedy utykając, obchodziłam samochód dookoła.

Rozdziawiłam szeroko usta i potrząsnęłam głową, a serce chciało wyskoczyć mi z piersi.

BILLIE

Stałam nad Carmen, trzymając kask w zaciśniętych dłoniach.

Miała zburzoną fryzurę, a jej twarz była zlana potem i umazana szminką. Ledwie mogła unieść głowę, by na mnie spojrzeć. Jej oczy zaszyły mgłą, a nogi miała spętane dwumetrowym welonem, była uwięziona we własnej sukni ślubnej.

- Dzwonię na dziewięćset jedenście - powiedziałam.

- Nie - wycharczała. - Sąsiedzi.

- Chcesz, żebym zawołała któregoś z sąsiadów?

- Nie. Dość już zamieszania. Proszę. Tylko nie pogotowie.

- To co?

- Przynieś mi inhalator...

- Gdzie jest? Zaczęła rzeźić.

- Gdzie on jest? - krzyknęłam.

- W kuchni... na blacie...

Pognałam do kuchni. Przeszukałam stół, sprawdziłam w lodówce, aż wreszcie znalazłam inhalator na blacie. W pierwszej chwili nie zauważyłam go.

Wróciłam pędem do Carmen i przyłożyłam jej inhalator do ust. Chwyła mnie za rękę i wcisnęła tłok rozpylacza. Wciągnęła lekarstwo z całych sił, a potem zaaplikowała sobie kolejną dawkę.

- Już dobrze? - zapytałam. - Powiedz coś, do cholery.

- Zabierz mnie do szpitala - wycharczała.

- Co?

- Zawieź mnie.

- Przyjechałam tu na motorze - krzyknęłam. - Weź...

- Posłuchaj, do cholery, ty suko, nie rób mi tego.

- ...mój samochód - charczała. - Zawieź mnie moim samochodem.

- Nie rób mi tego - złapałam się za włosy. - Twój rodzice... daj mi numer do twoich rodziców.

- Nie, nie, nie.

- Tak, tak, tak. Daj mi ich numer.

- Nie. Nie chcę, żeby Keith... żeby moi rodzice... i moi rodzice... widzieli mnie w takim stanie... proszę... Keith zaraz się zjawi... a Destiny jest u niego... nie... oni nie mogą mnie teraz zobaczyć.

Spojrzałam na nią. Na jej ślubną suknię. Część mnie pragnęła, by pokazać ją wszystkim w tej sukni, wraz z jej filmem, zdjęciami, wibratorami i tym wszystkim. Ale nigdy nie potrafiłam zachowywać się w taki sposób.

Pobiegłam do garderoby. Patrzyłam na jej zagracone półki. Wdychałam jej zapachy. Dotykałam jej rzeczy. Znalazłam jakiś dres. Biegiem wróciłam do niej i rozebrałam ją, jakby była dzieckiem. Nie było to łatwe. Wciąż bolało mnie ramię, a ta osiemnastoletnia suknia była o cztery numery za mała. Namęczyłam się, ale w końcu dokonałam czegoś, co przypominało zdzieranie skóry z węża bez użycia noża. Leżała przede mną nago na podłodze, a ja patrzyłam na jej obwisłe piersi, fałdy na brzuchu i ordynarne włosy łonowe. Pomagałam się jej poruszać, unosiłam ją i prostowałam nogi, naciągając na nią złoto-czerwony uniwersytecki dres.

- Nie umieraj przy mnie, Carmen.

- Świece... zgaś świece.

- Zostawię cię w takim stanie, jeśli teraz umrzesz.

- Świece... zdmuchnij... dom może się zapalić...

W pośpiechu zgasłam wszystkie te pieprzone świece i pędem wróciłam do niej.

- Carmen... otwórz oczy... popatrz na mnie... oprzyj się na moim ramieniu.

Dźwignęłam ją, stękając z bólu i wysiłku. Carmen stała oparta o ścianę. Spojrzałam w dół, na jej białe stopy. Cholera. Znowu pobiegłam do garderoby, z której wygrzebałam parę sandałów.

Kiedy wróciłam do niej, zobaczyłam, że ześlizgnęła się po ścianie i siedziała znów na podłodze. Zaklęłam, otarłam pot z czoła i ponownie postawiłam ją na nogi.

- Czekał... - powiedziała.

- Co znowu?

- Sukienka... schowaj ją w szafie... Destiny przyjdzie do domu... albo moja mama... proszę... proszę...

Zwinęłam w rulon jej ślubną suknię i upchnęłam w garderobie. Było tam więcej ubrań i butów, niż niejedna kobieta zdołałaby znieść przez całe życie. Nie wyłączając mnie. Wibrator. Chwyciłam go przez ręcznik i wrzuciłam do szafy. Wtedy zauważyłam leżącą na podłodze cegłę. Podniosłam ją i schowałam do plecaka.

Carmen znów siedziała na podłodze. Musiałam jeszcze raz zebrać siły, by postawić ją na nogi.

- Billie... - zajęczała.

- Co, Carmen? - straciłam cierpliwość. - No co? Co? Co? Co? Co?

- Makijaż. Podaj mi torebkę... mój makijaż... grzebień... Zaczęłam krzyczeć.

Byłam cała spocona i z trudem łapałam oddech. To była istna walka, ale udało mi się przeholować Carmen przez cały dom i wsadzić do samochodu. Do ciemnego samochodu, w którym pachniało kokosem. Na jego lśniącej karoserii nie było najmniejszego wgniecenia czy zadrapania.

To nie Carmen chciała staranować mnie na Wilshire Boulevard.

To nie Carmen stała nade mną, kiedy mój motocykl dogorywał.

To nie ona próbowała zabić mnie i moje dziecko.

Carmen siedziała sama w domu, upijała się i odstawiała brandzlującą się pannę młodą.

Gdyby jej samochód był uszkodzony, leżałaby teraz w korytarzu, czekając na ostatnie namaszczenie.

Byłam na skraju wytrzymałości nerwowej, mój umysł zatruwały pretensje, lęki i paranoja.

Ktoś wybił mi okno cegłą. Jakiś samochód próbował mnie rozjechać. Zresztą to też był benz.

Zastanawiałam się, czy ten wypadek był moją karmą. Czy nie wgniotłam kopniakiem zbyt wielu drzwi. Zastanawiałam się, czy mógł to być jeden z tych kierowców. Mógł zobaczyć mnie w okolicy, rzucił mi w okno cegłą i próbował mnie staranować. A potem jeszcze jakiś inny przyuważył mnie na Wilshire, jak śmigam na jasnożółtym ducati, i postanowił się zemścić.

Nie byłam już pewna niczego.

Karma. Nie Carmen. To była moja karma, która właśnie do mnie powracała.

Nieunikniona karma zawsze powraca z siłą huraganu.

Czułam ból. Tak bardzo mnie bolało, ale mogłam to znieść. Zdarzało się, że byłam w gorszym stanie.

Byłam pewna jedynie tego, że na samochodzie Carmen nie było ani jednego zadrapania.

Wolałabym raczej zmierzyć się z ognistym demonem z samego dna piekieł, aniżeli jej pomóc.

Nie mogłam jednak pozwolić, by cierpiała i umierała za zbrodnię, której nie popełniła.

W samochodzie Carmen było chłodniej niż w garażu.

Na przednim siedzeniu leżała wyświechtana książka w miękkiej oprawie. To był *Alchemik*. Odruchowo pomyślałam, że to moja, ale przecież miałam ją w kieszeni. Bez zastanowienia złapałam książkę i cisnęłam na tylne siedzenie.

Słyszałam tylko mój ciężki oddech i jej charczenie.

Carmen przyssała się do inhalatora i zaczęła oddychać szybciej.

- Nigdy nie chciałam być prawniczką - powiedziała. Uruchomiłam silnik, dopasowałam sobie fotel i ustawiłam lusterka.

- Co? - krzyknęłam.

- Mówiłam... - wycharczała - że nigdy... nigdy nie chciałam być prawniczką.

- Ten garaż się jakoś otwiera? Czy mam wrzucić wsteczny i staranować bramę?

Nachyliła się do przodu i nacisnęła guzik pod lusterkiem. Wyjechałam szybko na zewnątrz i dotknęłam przycisku jeszcze raz. Kiedy drzwi garażu zjeżdżały w dół, ruszyłam z piskiem opon i pomknęłam w ciemność.

- Nigdy nie chciałam być cholerną prawniczką. Byłam szczęśliwa, kiedy pracowałam jako kelnerka.

- Zamknij się.

- To były najszcześniejsze dni w moim życiu. Nie można przenosić do domu problemów z pracy, tych wszystkich dodatkowych zmartwień.

Pracowałam na Sunset Boulevard. To było cudowne życie. Nie wiedziałam o tym wtedy ani potem, aż do tej chwili. Zacharczała.

- Studia prawnicze, ta zachłanna bestia, to one wszystko zmieniły. Zmieniły moje małżeństwo. Zmieniły mnie. I to tak niespodziewanie. Byłam zbyt zajęta. Zbyt zaślepiona. Nie miałam czasu, żeby być z moją córką. Najwięcej był z nią Keith. Odwoził ją do szkoły. Odbierał ją od niańki. Prał. Gotował. Zabierał ją na spacer, kiedy ja chodziłam na zajęcia. Chciałam z nimi być, ale studia... Zawsze zbyt zajęta albo zbyt niecierpliwa. Zbyt zestresowana. Teraz to wszystko zamieniło się w przepaść między mną a moim dzieckiem. Między mną a...

Zawiesiła głos. Jej charczenie drażniło mnie i przerażało zarazem. Opanowałam drżenie rąk i zapytałam:

- Ej... ty... wszystko w porządku? Milczenie.

- Carmen, mów do mnie. Powiedz coś. Wszystko z tobą w porządku?

- Moje życie... mój świat stał się taki... pokręcony - kontynuowała. - Bardziej podobało mi się to, jak było dawniej. Kiedy mieszkałam w Hyde Park. Było ciasno, ale to mieszkanko tak mnie cieszyło.

- Myślę, że powinnaś oszczędzać oddech - powiedziałam. Zaniósł się mocnym kaszlem i usłyszałam, że dławi się flegmą.

- Możesz to odkrztusić? - zapytałam.

Opuściła szybę i próbowała splunąć. To, czego podmuch nie zniósł na tylne drzwi, oblepiało jej twarz. Otarła usta ręką i wyczerpana opadła na fotel ze łzami w oczach.

- Już dobrze? - upewniłam się.

Wydała odgłos przypominający kwilenie dziecka.

- Nie - odpada łamiącym się głosem.

- Jesteśmy prawie na miejscu. Jeszcze pięć minut.

- Nienawidzę tej pracy - wycharczała. - Nienawidzę sądu rodzinnego. Mówił ci, że pracuję w sądzie rodzinnym?

- Nie... - wzięłam głęboki oddech. - Keith... twój mąż powiedział mi tylko, że jesteś adwokatem.

- Mówił ci coś o mnie?

- Nic, co mogłabyś chcieć ode mnie usłyszeć.

- Pracuję w sądzie rodzinnym. Najbardziej odrażające miejsce na tej planecie. A teraz sama stoję przed takim sądem. Stoję się jedną z tamtych osób. Ironiczne, co? Ten dom... mój dom, został zbudowany z nienawiści i złości innych, zbudowany za stawkę zaczynającą się od trzystu dolarów za godzinę.

- Dlaczego ty się nie zamkniesz? Oszczędzaj oddech, póki nie dojedziemy na izbę przyjęć.

- Tyle w mojej firmie kosztuje nienawiść. Trzysta za godzinę. Czasem płaci się w dobrych intencjach, ale stawka wynosi trzy stówy za godzinę. Kiedy byłam kelnerką, nie posiadałam się ze szczęścia, zarabiając trzysta tygodniowo. Zdziwiające, co?

Znów ciężko westchnęłam. Chciałam, żeby wreszcie przestała rzeźzić i skończyła tę paplaninę.

- Zeruję na ludzkim cierpieniu i udręczkach. Na okrucieństwie. Na zawziętości. Na mściwości. To odrażające. Moja praca polega na ścieraniu ludzi w proch. To może człowieka zmienić.

Zamknęła oczy. Jej pierś naprężała się, a twarz wyrażała cierpienie, ilekroć wdychała powietrze.

- Dobrze się czujesz? - zapytałam ją trzy razy.

- Nie - wyszeptała udręczonym głosem. - Ruby Dee i Ossie pobrali się pięćdziesiąt sześć lat temu. To ponad pół wieku. Kłócili się. Mieli różne romanse na boku. Przez pewien czas byli nawet wyzwolonym małżeństwem.

- Do czego zmierzasz?

- Nie wiem. Nie wiem. Po prostu... nie wiem.

- To zamknij się i oddychaj. Otaria łzy z oczu.

- Byłam zenujająca w Starbucksie w piątek wieczorem.

- Oddychaj.

- Zrobiłam z siebie idiotkę, przychodząc dziś do twojej pracy.

- Jeśli to twoja spowiedź na łożu śmierci... to może powinnam notować?

- Nieważne. I tak wszystkiego się wyprę.

Zacharczała i rozplakała się. Nie wiedziałam, czy powodem jej łez były emocje, czy cierpienie. Uniosła dłonie do ust i zagryzła palce jak dziecko. Jej nogi drżały. Była przerażona.

- Nie tylko Keith ma problemy.
- Co chcesz przez to powiedzieć?
- Uwikłałam się w ten dom. W obciążoną hipotekę. Moje dziecko. Keith. Wszystko to mnie trzyma. Jestem uwiązana przez długi... odpowiedzialność... i własne uczucia. Tyle więzów, że nie mogę się poruszyć.

Zacisnęłam usta. W moim sercu było tyle nienawiści do tej kobiety. Wtedy powiedziała coś, przez co omal nie spowodowałam wypadku.

- Zazdroszczę ci - wyszeptała chrapliwym głosem, który brzmiał jak jej ostatnie tchnienie.

Udałam, że tego nie słyszę.

- Czy potrafimy znaleźć jakiś sposób, by to rozwiązać? - powiedziała.

- Co masz na myśli?

- Keith zakochał się... we mnie... w momencie, kiedy mnie zobaczył. Miłość od pierwszego wejrzenia... Wprowadziłam się do niego... dwa tygodnie... po tym, jak go poznałam. Po sześciu tygodniach... poprosił mnie... bym za niego wyszła. I był taki... taki szczęśliwy... kiedy zaszłam w ciążę. Był przy mnie... przez cały ten czas... kiedy byłam w ciąży. Od momentu... kiedy się dowiedzieliśmy... był ze mną... na każdych zajęciach szkoły rodzenia... był przy tym... jak Destiny przyszła na świat. Przytulił ją... wcześniej niż ja. Tulił nasze dziecko i płakał... dziękując mi, że mu ją dałam. Powiedział, że było nam... pisane się spotkać. Że jesteśmy... bratnimi duszami. Nasze dziecko... było wyrazem... naszego przeznaczenia. Nadaliśmy jej imię... na cześć naszej miłości. Osiemnaście lat. Dojrzewaliśmy razem... z zakochanych dzieciaków... staliśmy się rodzicami... i nie mam zamiaru... pozwolić... by to wszystko... przepadło.

- Zamknij się, Carmen. Proszę, zamknij się.

- Potrzebuję Keitha, bo sama... sama nie dam sobie rady. Nie dam sobie rady... z tym domem. Nie dam sobie rady z moim dzieckiem. Nie dam sobie rady... z tym wszystkim... sama. Nie chcę... być sama. Boję się tego. To mnie przeraża.

- Przestań się znowu tak wysilać.

- Myślałam, że może... może potrafię się dostosować... być jak Ruby Dee... stworzyć małżeństwo wyzwolone. Na jakiś czas. Dopóki wracałby na noc do domu... może potrafiłabym znaleźć w sobie tyle siły, by

nie pytać go, gdzie był. Może potrafiłabym... wytrzymać... nie zadawać pytań.... aż starczyłoby mi siły, by odejść.

Niewiele brakowało, bym pękła i wybuchnęła płaczem. Byłam wściekła na siebie za to, że zrobiło mi się jej żal.

- Jesteśmy już prawie w szpitalu - powiedziałam. Tym razem to mnie łamał się głos.

- W Cedars-Sinai? - wycharczała.

Dopiero w tym momencie zdałam sobie sprawę, że przez większość drogi, o ile nie przez cały czas, miała zamknięte oczy. Zresztą nawet gdyby je otworzyła, i tak nic by nie widziała z powodu łez, strachu i walki o każdy haust powietrza.

- Daniel Freeman - odpadam. - Jesteśmy w Ingelwood.

- O Boże, nie. Chciałam... jechać... do Cedars-Sinai.

- No cóż, mieszkasz w pobliżu Freemana. Witaj w domu.

- Tam naprzeciwno... naprzeciwno... - rzęziła, nie mogąc wydobyć słowa - naprzeciwno... po drugiej... stronie ulicy... jest cmentarz.

Kiedy parkowałam, nachyliła się w moją stronę i dotknęła mnie spocną ręką. Jej dotyk był bardzo słaby. Spojrzałam na nasze złączone dłonie, potem na nią. Chciałam spiorunować ją wzrokiem, gwałtownie wyrwać rękę, ale nie potrafiłam tego zrobić. Patrzyła na mnie z takim smutkiem.

- Dzisiejszej nocy... pachniałaś jak Keith - wyszeptała z lekkim uśmiechem.

Nic nie odpowiedziałam.

- Był u ciebie.

Z jej oczu popłynęły łzy.

- Jestem jego kurwą - powiedziałam. - Można się było po nim tego spodziewać, tak?

- Nie... nie jesteś... jego kurwą.

- To był pożegnalny seks.

- O Boże.

- Między nami skończone. Powiedziałam mu to. Szczęśliwa? Zerwaliśmy ze sobą, zanim pojawiłaś się u mnie w pracy. Powiedziałam mu, że jego dziecko... żeby się nie martwił... i że ja... ja - przestałam mówić, kiedy poczułam ten ból. Bolało mnie tam, gdzie stykają się nogi. Byłam

przeżrana. Miałam ochotę się rozplakać. Ale nie przy niej. Tylko nie przy niej.

- On... cię... kocha. Widzę to.

- Jest twoim mężem.

- Kocha ciebie... tak bardzo... że mnie to przeraża.

Znowu nie zareagowałam na tę jej szczerość. Wolałam ją w innym wydaniu.

Carmen rzeziła.

- To straszne kochać tak bardzo... i nie być kochanym... Jej oddech stawał się znów coraz bardziej chrapliwy.

- Weź moją kartę ubezpieczeniową - powiedziała. -1 daj im mój inhalator. Będą chcieli wiedzieć, jakie leki...

Byłam zadowolona, że zmieniła temat rozmowy.

- Możemy iść? - zapytałam.

Pokręciła głową i wyglądało, jakby zemdląca.

Kilka razy powtórzyłam jej imię. Bez odpowiedzi.

Nachyliłam się nad nią i przytknęłam rękę do jej piersi. Oddychała.

Pędem wpadłam na izbę przyjęć, wzywając pomocy. W mieście musiała się wydarzyć jakaś tragedia. Przywieziono kilku nastolatków. Ktoś mówił coś o imprezie w zachodniej stronie, która wymknęła się spod kontroli. O złamanej poręczy i osobach, które spadły z drugiego piętra. Wystarczyło jedno spojrzenie na to pandemonium, by się przekonać, że szpital był przeciążony pracą i miał za mało personelu. Porwałam wózek inwalidzki i biegiem wróciłam do samochodu. Próbowałam nie utykać, ale czułam ból w nodze i między nogami. Miałam tak zbolaną minę, jakbym sama powinna siedzieć na tym wózku. Dotarłam na parking i zaczęłam wyciągać Carmen z samochodu. Byłam tak obolała, że dźwiganie jej bezwładnego ciała było dla mnie jak podnoszenie buicka. Potem, spocona i zasapana, odgarnęłam włosy z twarzy i pchając wózek tak szybko, jak mogłam, usiłowałam złapać oddech i przywołać jakiegoś lekarza albo pielęgniarkę.

Carmen zamknęła oczy porażona jaskrawym światłem. Chwyciła mnie za rękę.

- Jesteśmy na miejscu - powiedziałam. - Wytrzymaj, jesteśmy na miejscu.

- Mamo... tato... wezwij tu moich rodziców.

- Jaki jest ich numer?

- W torebce... moja komórka... znajdź w spisie... pod babcia...

Pielęgniarka rzuciła okiem na Carmen, po czym spiorunowała mnie wzrokiem, jakbym była idiotką, i nie mogąc powstrzymać się od krzyku, spytała, czemu nie wezwałam ambulansu. Nim zdołałam cokolwiek odpowiedzieć, pędem odwieziono ją w głąb szpitala.

Zostałam na środku korytarza z kluczykami do samochodu Carmen w jednej dłoni i z jej komórką w drugiej. Wyszłam na zewnątrz i zadzwoniłam do jej rodziców. Odebrała Miss Ruth, którą, wnioskuje z opryskliwego tonu, wyrwałam z głębokiego snu. Nie powiedziałam jej, kim jestem, tylko że Carmen miała silny atak astmy i poprosiła mnie, bym zadzwoniła do niej, i żeby przyjechała do szpitala tak szybko, jak to możliwe.

Zaczepiła mnie szczupła pielęgniarka z sięgającymi pośladków rudymi warkoczami.

- Czy to ty byłaś w wiadomościach wczoraj rano? - zapytała. Skinęłam głową. Nie byłam w nastroju do rozmowy.

- A mówiłam im, że to ty. Nie mogę uwierzyć, że cię spotkałam. Chciałabym dostać od ciebie autograf.

Odeszła, poprawiając swój tęczy uniform. Nerwowo chodziłam tam i z powrotem.

Zadzwoniłam do Keitha. Musiałam to zrobić. Carmen była jego żoną. Mieli dziecko. Musiał się dowiedzieć. Ich córka też. Powinni tu być. Wybierałam jego numer sześć razy, zanim podniósł słuchawkę.

- Co jest, Carmen?

Dopiero wtedy zrozumiałam, dlaczego nie odbierał. Dzwoniłam z jej komórki.

- To nie Carmen, Keith.

Kiedy przyjechał Keith, wokół rozlegało się ogłuszające wycie ambulansów. Jego przesiąknięty alkoholem oddech i zaczerwienione oczy mówiły mi, że wkrótce czeka go kac. Dotarł na miejsce przed rodzicami Carmen i wysiadł z taksówki, kiedy cztery karetki zatrzymały się właśnie przed izbą przyjęć. Kolejna partia poturbowanych smarkaczy z imprezy w zachodniej stronie miasta. Na kilka minut przed przyjazdem Keitha

dowiedziałam się, że miejscem incydentu był motel w Casura Bay, w samym sercu dzielnicy czerwonych latarni. Zdaniem pielęgniarki, która mi o tym powiedziała, rozróżba zaczęła się, gdy ktoś chlusnął młodej dziewczynie w twarz wybielaczem. Cała sytuacja była bardzo niejasna.

Przywitałam się z Keithem i rozmawiając, ruszyliśmy w stronę kawiarni.

- Nie pójdziesz do niej? - zapytałam.

- Później. Powiedz mi, co ci się stało. Przyjechałem tu, żeby sprawdzić, czy wszystko z tobą w porządku.

- W porządku.

- Na pewno?

- Zbadał mnie lekarz - skłamałam. - Poza otarciami na kombinezonie wszystko jest dobrze.

Podczas jazdy windą powiedziałam mu o tym, że ścigał mnie jakiś psychopata.

- Może był to jakiś pijany kierowca - powiedział.

- Nie sądzę. Była druga w nocy. Akurat wtedy zamykają wszystkie bary w Santa Monica.

Wyjaśniłam mu, że gdyby to pijany kierowca szarżował na mnie, objając przy tym dwa zaparkowane samochody, ostatnią rzeczą, jaką odważyłby się zrobić, byłby powrót na miejsce zbrodni, aby mnie okraść i porzucić.

- Okraść?

- Zginęło mi pięć tysięcy dolarów.

- Skąd wzięłaś tyle pieniędzy?

- Na pewno jeszcze nic o tym nie wiesz?

- Nie mów do mnie zagadkami, Billie. Nie mam nastroju do zabawy.

- A czy ja wyglądam, jakbym miała? Zostałam okradziona.

- Może pieniądze wyleciały ci, kiedy upadłaś, a on to zobaczył i je zabrał. Keith nie próbował mnie zabić. Zresztą i tak nie miał o niczym pojęcia. To nie była Carmen. Byłam zupełnie dezorientowana.

- Może wypadek spowodował jakiś pijak, który odjechał, a ktoś inny się zatrzymał, żeby sprawdzić, czy nic ci nie jest, zobaczył pieniądze, zwinął je i zmył się, żeby nikt go nie zobaczył.

- A może to przylecieli Marsjanie, zabrali ludzkie pieniądze i odjechali mercedesem.

Kiedy wyszliśmy z windy, głowa bolała mnie tak bardzo, że musiałam dać sobie spokój z domysłami. Żaden z nich nie miał sensu. Ponad wszelką wątpliwość wiedziałam jedynie to, że mój motor został skasowany. Rozbity i spalony podczas próby zabójstwa z premedytacją. Mogłam być już martwa i stygnąć w kostnicy.

Keith potrzebował zastrzyku kofeiny. Siedzieliśmy przy stoliku i przecierając oczy, popijaliśmy kawę z papierowych kubków. Opowiedziałam mu, co się stało Carmen. Słuchał, cały czas potrząsając głową.

- Carmen była u ciebie w pracy? Przytaknęłam.

- Myślę, że to była ta sprawa, którą miała do załatwienia - stwierdził.

Powiedziałam mu, że kimkolwiek była osoba, która chciała mnie staranować, zrobiła to wkrótce po wyjściu Carmen, że mój motor został doszczętnie zniszczony, a ja miałam dużo szczęścia, że przeżyłam. Tak samo Carmen.

- Byłaś w tym domu? - zapytał.

Kiedy to powiedział, przed oczyma stanął mi obraz Carmen ubranej w suknię ślubną.

- Keith... jeszcze jedno... Twoja żona przyjechała do Tempie Bar, żeby złożyć mi propozycję.

- Propozycję? Jaką?

- Wartą pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Zmarszczył brwi i zastygł w bezruchu.

- Pięćdziesiąt tysięcy - słowa zdawały się wypadać z jego ust.

- I powiedziała, że ty i ona możecie zapłacić mi więcej po urodzeniu dziecka.

- Mam nadzieję, że nie sądzisz, abym miał z tym cokolwiek wspólnego.

- Mówiła za was dwoje. Jesteśmy gotowi zaproponować ci ugodę finansową. Liczymy się z tobą i chcemy ułatwić ci życie. Zapłacimy ci tyle, ile wyniesie koszt wychowania dziecka. My umywamy ręce od tej sytuacji, a ty i twoje dziecko macie zabezpieczenie finansowe. Cały czas mówiła w liczbie mnogiej.

- Ale ja nie jestem częścią tego układu - odpad zszokowany. - Ile jeszcze ci zaproponowała?

Nie miał o tym pojęcia, widziałam to w jego oczach. To nie byli oni. To tylko ona.

To ona chciała, by Keith wrócił do domu, i była gotowa wydać fortunę, aby do tego doprowadzić.

Pociągnęłam łyk kawy i powiedziałam mu o obiecanych stu siedemdziesięciu pięciu tysiącach.

- Taka jest cena jej nienawiści - dodałam. - Cóż, to cała nienawiść, na jaką ją stać.

- To dlatego chciała zastawić dom.

- Co?

- Hipoteka domu.... Pieniądze na studia Destiny... Miała zamiar dać je tobie.

- Nie pytałam, skąd chce wziąć te pieniądze. To nie moja sprawa.

- Zgodziłaś się je przyjąć? - zapytał, kręcąc głową.

- Przyszła do mnie do pracy i dała mi pięć tysięcy zaliczki. Miała gotówkę.

- Przyjęłaś je?

- A co ty byś zrobił? Cóż, sam mówiłeś, że utrzymanie dziecka kosztuje majątek. Ze jestem zrujnowana. A tu nadarza się szansa, żebym dała sobie radę sama. Musiałam odłożyć uczucia na bok, myśleć praktycznie. Postąpiłeś tak samo, prawda? Odłożyłeś na bok uczucia, jeżeli chodzi o mnie, o ciebie i o ciążę. Wszystkie twoje decyzje były do głębi logiczne, prawda? Widzisz? Uczę się, rozumię jak mężczyzna.

Keith milczał, cały czas kręcąc głową.

- Kiedy leżałam na ulicy, ktoś sięgnął do mojej kieszeni i zabrał pięć tysięcy dolarów.

- Skąd Carmen mogła wytrzasnąć pięć tysięcy w gotówce?

Nie byłam przekonana, czy uwierzył we wszystko, co ode mnie usłyszał. To było dla niego zbyt wiele.

- Gdzie byłeś przez całą noc, Keith? - zapytałam.

- Myślisz, że mam z tym coś wspólnego?

- Gdzie byłeś?

- Najpierw się pakowałem. Potem piłem i zastanawiałem się, jak całą tę sytuację obrócić na naszą korzyść.

- Daj spokój, Keith. To nierealne. Sam tak powiedziałeś, tak myślałeś i miałeś rację.

- Chcesz przytłoczyć mnie moimi argumentami.

- Te argumenty najpierw mnie ścięły z nóg.

Sięgnął po kubek i pociągnął łyk kawy. Zrobiłam to samo.

- Kocham cię, Billie. I to ty miałaś rację. Kiedy ludzie się kochają, potrafią wszystko przezwyciężyć.

Przygryzłam dolną wargę. Całe moje ciało było tak strasznie obolałe.

- W jaki sposób, Keith?

- Destiny pójdzie na uczelnię. Złożę pozew o rozwód. Nie będę miał niczego, wszystko weźmie Carmen, więc sytuacja się odwróci. Jeśli nie będę miał pracy, to ona zostanie żywicielem. Wtedy to mnie będą się należały alimenty. Utrzymanie dziecka przestanie być problemem. Będzie musiała oddać mi za te wszystkie lata, kiedy opłacałam jej studia.

- A co zrobisz, zanim to nastąpi? Destiny ma piętnaście lat. Co ze mną przez te trzy lata?

- Pozwiesz mnie o alimenty. Nie mam pracy, ale sąd będzie patrzył na wspólny dochód i obciąży konto Carmen. Rozegraj tę partię tak, jakby ona ją rozegrała. Obydwoje na tym skorzystamy.

- A więc chcesz, żebym wzięła pieniądze od Carmen?

- Na utrzymanie mojego dziecka. Tak.

- Śmierdzący interes.

- O co ci chodzi, Billie? O co ci chodzi? Każdy grosz, jaki ona ma, pochodzi z mojej kieszeni - wycedził Keith przez zęby, zaciskając pięści. - Pieniądze, którymi próbuje cię przekupić, to moje pieniądze. Chciała zadłużyć dom, który ja kupiłam. Musimy więc to odwrócić i pokonać ją jej metodą. Najpierw ściągniemy z niej pieniądze na utrzymanie dziecka. Potem, kiedy Destiny pójdzie na studia, będę mógł się rozwieść. Posłużę się tymi bzdurami o przyzwyczajeniu do standardu życiowego i wyciągnę od niej, ile się da. Wycyckam tę sukę do czysta.

- Cholera, Keith.

- Będziemy mogli być razem, a ona nie stanie nam na przeszkodzie. Będę mógł zostać z tobą. I z moim dzieckiem.

Poczułam niepokój.

- Jesteś mściwy i tak samo wyrachowany jak ona.

- Chyba uczę się od najlepszych.
To straszne, jakie brudy wypływają na wierzch, kiedy skończy się miłość.

- Ty tego nie widzisz, naprawdę nie widzisz? - nie wytrzymałam.

- Czego?

- To się nigdy nie skończy.

- Co się nigdy nie skończy?

- Pomiedzy tobą i Carmen. Jeśli zacznę grać na zwłokę, twoje piekło stanie się moim piekłem.

- Nie stanie się - potrząsnął głową.

- Ależ owszem.

- Destiny pójdzie na studia. Carmen będzie przeszłością. Będziemy mogli wychowywać nasze dziecko i być szczęśliwi.

- Myślisz, że to będzie takie łatwe?

- Jakie masz obawy? - zapytał.

- Za piętnaście lat... jeśli nie wcześniej... będę taką drugą Carmen. Nie taką samą Carmen, jaką poślubiłeś, ale wypaloną, nieczułą i zgorzkniałą. Nie mogę tego zrobić. Nie mogę tak żyć.

- Nie staniesz się taka jak Carmen. W niczym nie jesteś do niej podobna.

- To daje wiele do myślenia, Keith. Widzę, jak zrywasz z kimś, z kim masz dziecko, z kim łączy cię tyle wspomnień, które po prostu przekreślasz.. . i cały ten czas, jaki jej poświęciłeś. Widząc to, zastanawiam się, czy mnie porzuciłbyś tak samo. Zawsze jest takie prawdopodobieństwo. I zawsze będzie to we mnie siedziało.

- Upłynęło osiemnaście lat. Nie przekreślam wszystkiego, ale właśnie przyszedł czas, by iść dalej.

- To okrutne.

- Prawda jest przykra. Chcesz, by ją polukrować? Nie wiem, jak to zrobić. Nie umiem.

- Jesteś mężczyzną, a ja jestem kobietą.

- To już był koniec. Mój koniec. I nie myśl, że to z powodu ciebie, Biliie. Czy doszłoby do rozwodu, czy nie, moje małżeństwo było skończone, zanim się poznaliśmy.

Prześladował mnie obraz Carmen w takim stanie, w jakim ją zastałam.

- Nigdy nie będzie tak samo.
 - Nie chodzi o to, żeby tak było. Nic nie zostaje takie samo. Wszystko się zmienia. Nigdy nie będzie tak jak wtedy, gdy ożeniłeś się po raz pierwszy, ale może być tak dobrze, jak pozwolisz, aby było.
 - Ona nie jest tą dziewczyną, w której się zakochałem.
 - Ale jest kobietą, która była przy tobie przez cały ten czas.
 - Co, zostałeś teraz jej adwokatem?
 - Nie. Jestem tylko... skołowana. Stawiam się w jej sytuacji. Wyobrażam sobie, jakie to musi być uczucie po tylu latach małżeństwa... gdybym to ja była nią, gdybym kochała swego męża... miała dziecko... psiakrew, boję się.
 - Nie masz powodów do obaw.
 - Kiedy żeniłeś się z Carmen, wiedziałeś, że twoje małżeństwo ma ograniczony termin ważności?
 - Wiesz, że nie. Nikt tego nie wie.
 - No właśnie. Dlatego też nie wiem, gdzie ja będę za pięć lat. Zapanowała cisza. Kilka piętér wyżej jego żona być może wydawała swoje ostatnie tchnienie, a on był ze mną. To nie był plastik. Zdobyłam platynę. Wczoraj poczułabym jeszcze smak zwycięstwa. Wczoraj. Ale wczoraj już minęło, było dzisiaj.
 - Billie, staram się jak mogę, by uporządkować bałagan, którego narobiłem. Po prostu dążę do tego, żeby tobie było dobrze, nie widzisz tego? Jeśli będę musiał tam wrócić i żyć z Carmen, żeby tobie było dobrze, zrobię to.
- Keith siedział naprzeciwko mnie, kiwał się, a w oczach miał łzy. Nerwowo zaczerpnęłam powietrza.
- Keith, przestałam brać pigułkę kilka miesięcy temu - powiedziałam.
 - Co?
 - To nie ty narobiłeś bałaganu - przełknęłam ślinę. - Celowo zaszłam w ciążę.
 - Dlaczego? - westchnął ciężko.
 - Bo... chciałam mieć z tobą dziecko... być rodziną... człowiek popełnia szaleństwa z miłości.
 - Dlaczego to zrobiłaś, Billie? Dziecko to nie zabawka.
- Nie potrafiłam spojrzeć mu w oczy. Nie potrafiłam odpowiedzieć.

- Okłamałam cię, Keith. Teraz znasz prawdę. Zrobiłam coś głupiego, coś okropnego.

Niemal opowiedziałam mu o tym, jak po raz pierwszy zaszłam w ciążę, kiedy byłam młoda i nie zbywało mi na mądrości. Teraz byłam starsza, ale nie mądrzejsza. Dwa razy popełniłam ten sam błąd.

Nie opowiadałam mu o tym. Ten etap mojego życia był dla mnie jak krzyż, który dźwigałam.

- To dlatego moja karma jest taka zła - powiedziałam. - Z powodu tego, co zrobiłam. Jestem wściekła na siebie, że byłam... taka nierozważna.

W moich oczach pojawiły się łzy. Nasze zbrodnie namiętności pochłaniają tyle niewinnych ofiar. Nigdy nie widzimy nic poza naszymi pragnieniami. Widzimy jedynie to, co naszym zdaniem jest możliwe, nawet jeżeli jest niemożliwe.

- Serce domaga się swego - wyszeptałam.

Powiedziałam mu prawdę, ulżyłam swojej duszy i spodziewałam się, że teraz mnie zaatakuje, że mnie odtrąci, ale tego nie zrobił.

- To przeze mnie - powiedziałam. - Nie musisz już czuć się winny. To wszystko przeze mnie.

- Carmen poczuła się zagrożona, więc wpadła w szal i oddaliła mój pozew. A ty też poczułaś się zagrożona i postanowiłaś zająć w ciążę.

Mój wewnętrzny głos podpowiadał mi, że nie mogę stać się kimś takim jak Carmen. Już stałam się typem kobiety, do której czułam obrzydzenie. Musiałam przypomnieć sobie, kim jestem, przypomnieć sobie dziecko, jakie wychowali moi rodzice, musiałam odnaleźć drogę powrotną do samej siebie. Nie wiedziałam tylko, jak odzyskać spokój.

- Powinniśmy chcieć tego dziecka - odezwał się Keith. - Nie roztrzaskajmy już tego, dopóki się nie urodzi.

- Wem... na to, co zrobiłam... nie ma wytłumaczenia... to było egoistyczne.

Z jego oczu popłynęły łzy niczym rzeka łaski i mądrości. Moje łzy obmywały mnie tak samo.

- Nienawiść między mną a Carmen zagnieździła się również między tobą a nią - powiedział. - Próbowałem odgradzić cię od tej nienawiści, ale nie było to łatwe. To jak życie w dwóch światach. Jednym dobrym, a drugim wypełnionym cierpieniem.

Nachyli! się ku mnie i pogładzi! po dłoni.

- Przez przypadek czy celowo, to i tak moje dziecko - dodał.

- Dlaczego teraz, Keith? - otadam oczy. - Dlaczego nie mogłeś powiedzieć mi tego w Starbucksie?

- To wszystko nie było jeszcze wtedy dla mnie jasne. Może... może nigdy nie używałem prezerwatywy, bo podświadomie chciałem, abyś zaszła w ciążę. Bo chciałem, żebyś dała mi dziecko. Nasze dziecko.

- Bo chciałeś syna.

- Zanim zeszywnięją mi kolana i nie będę w stanie wykopać piłki.

- A jeśli będzie dziewczynka?

- O Boże. Lepiej, żeby okazała się chłopczycą i miała dobre podanie - uśmiechnął się. Odpowiedziałam mu tym samym.

- A więc, Billie, możemy teraz rozmawiać otwarcie. Zawsze chciałaś mieć dziecko.

- Tu chodzi o coś więcej, Keith. To coś głębszego. Moje serce pragnie być do czegoś przywiązane. Mieć jakiś cel. Mogłabym zawsze wyglądać na dwadzieścia lat, ale nie będę żyć wiecznie. Nie mam nikogo. Nie mam nawet ciebie. Nigdy cię nie miałam. Mam przyjaciół, ale żaden z nich tak naprawdę mnie nie zna. Jestem wiecznym samotnikiem.

- Czy syn, czy córka, już nigdy nie będziesz sama, przynajmniej dopóki pozwolisz mi być przy tobie.

- Myślałam, że nie masz czasu.

- Znajdzie się czas na to, co najbardziej się liczy. Wychowałem się w South Central, więc wiem, jak wycisnąć najwięcej, nie mając prawie nic. Jak sprawić, by spełniło się wszystko, czego zapragniemy.

W takim momencie wiedziałam, co w nim kocham. Nie było ważne, czy ma spółkę z listy pięciuset najbogatszych przedsiębiorstw, czy sprzedaje kawę w kiosku. Nie chodziło o pieniądze. Ani o seks. Cóż, był niesamowitym kochankiem, ale najbardziej kochałam w nim szczerłość i prostotę. Starał się z całych sił. I był dobrym facetem. Wszyscy dobrzy ludzie mają w sobie coś złego, tak jak ludzie źli mają coś dobrego. Dostrzegłam w nim to, co złe, i zwierzyłam się z tego, co było złe we mnie.

- Carmen... matka twojego dziecka... ona cię kocha... ma na twoim punkcie obsesję.

Spodziewałam się, że zaprotestuje, ale delikatnie skinął głową.

- Bądź dla niej dobry - powiedziałam. - Pomyśl o waszej córce.
- Wygląda na to, że naprawdę ją polubiłaś.
- O nie. Mówiłeś, że jest spod znaku Barana. Jesteśmy urodzone po to, by ze sobą walczyć.

Zaczęłam się zastanawiać, czy było coś dobrego w Carmen. Miała w sobie coś dobrego, ale było to głęboko ukryte. Czasami myślę, że trzeba drążyć głębiej. Tak, by przekopać się na drugą stronę Ziemi.

- Miłość... ten narkotyk doprowadza nas do szaleństw - powiedziałam. - Każe nam walczyć. Sprawia, że pragniemy wszystko wiedzieć.

Milczeliśmy przez chwilę, słuchając, jak szumią automaty z napojami.

- Twoja żona... znaczy... Carmen... omal nie umarła.
- Skoro już o tym mowa... - przetad oczy. - Myślę, że powinienem pójść zobaczyć, co u niej.
- Też tak myślę. - Znow poczułam się, jakby pozostał mi tylko plastik.
- Viviane jest tu u swojej siostry na intensywnej terapii.
- Napadli ją jacyś chuligani?
- Nie wiadomo, co tak naprawdę się wydarzyło - westchnęłam - ale naprawdę poważnie pokancerowali jej twarz.
- Żyjemy w obłąkanym świecie.
- To nie świat jest obłąkany. Tylko ludzie. Keith wstał.
- Gdyby coś takiego stało się Destiny... mój Boże - powiedział.

Z opuszczoną głową i z rękami w kieszeniach ruszył w stronę windy. Szedł w tempie, które nie wskazywało na pośpiech. Nagle przystanął i zawrócił.

- Billie... - coś go tknęło. - A gdzie jest Destiny?
- Hmm - wzruszyłam ramionami - nie widziałam jej od czasu, jak zsiadła z mojego motoru przed tłumem dziennikarzy.
- Wyszła z mojego mieszkania razem z Carmen. Nie było jej w domu?
- Carmen była... - Zastanawiałam się, czy Carmen była sama. Ślubna suknia... film... wibrator... te obrazy zdawały się rozpraszać wszelkie wątpliwości. - Keith, ona mówiła, że Destiny jest z tobą. Jestem tego pewna.
- Nie, nie, nie - potrząsnął głową, próbując trochę otrzeźwieć. - Wyszła ode mnie z matką.

- Uwierz mi... Carmen była sama - wzruszyłam ramionami - a Destiny... może jest u swoich dziadków.

- Carmen by jej tam nie zostawiła. Nie po tym wszystkim, co przeszliśmy zeszłej nocy.

Znów ogarnęła go panika. Wyciągnął komórkę i wybrał numer. Po chwili rozłączył się i zaklął.

- Nie odbierają.

- Może są już tutaj, u Carmen.

Keith poszedł do windy, tym razem w pośpiechu.

Podniosłam się z krzesła. Znów czułam napięcie, znów czekałam, aż wszystko się wyjaśni, i zastanawiałam się, czy Keith mnie znienawidzi.

Potem zaczęłam rozmyślać, czy Bóg mnie znienawidził. Czy jest po stronie Carmen. Czy ześle na mnie szarańczę i apokaliptyczne bestie, a może na moją wioskę przeklętych spadnie szereg plag biblijnych.

Znów odezwały się hormony. Ścisnęłam wargi, zamknęłam oczy i kręciłam głową. Pokuśtykałam w stronę windy gotowa odejść, gdy wtem zdałam sobie sprawę, że nie mam jak dotrzeć do domu.

Porwałam motocykl Raheema, który teraz stał zaparkowany przed domem Carmen. Miałam nadzieję, że Raheem nie stracił cierpliwości i nie zadzwonił na policję. Zresztą nieważne. Nie obchodziło mnie tak naprawdę, czy to zrobił.

Wróciłam do stolika i dopiłam wystygłą kawę. Siedziałam, zwijając się z bólu, płacząc, rozmyślając i kipiąc złością. Powinnam była pozwolić, by sanitariusze zbadali mnie zaraz po wypadku. Powinnam była pójść do izby przyjęć i zająć miejsce w kolejce. Byłam zbyt przerażona, by iść do lekarza. Nie chciałam niczego wiedzieć. Za bardzo przyzwyczaiłam się do uników. Chciałam być w domu. Zamknąć drzwi na klucz. Zgasić światło i skulić się w pozycji embrionalnej. Płakać. Krzyczeć.

W kieszeni miałam kluczyki do samochodu Carmen. Na kurtce poczułam jej zapach. Przesiąknęłam jej perfumami, kiedy ją przenosiłam. Cholera. Wciąż miałam przy sobie jej telefon. Oba te przedmioty znajdowały się w mojej poszarpanej kurtce. A pęknięty kask został w samochodzie.

Nie mogłam już więcej z niego korzystać, ale chciałam go zabrać, a potem oddać kluczyki i telefon. Może zostawić w dyżurce pielęgniarek. Nie miałam zamiaru widzieć jej i Keitha, nie teraz.

Kiedy stanęłam w drzwiach wejściowych, zobaczyłam krążący po parkingu samochód terenowy, który szukał miejsca. Innym razem nawet nie zwróciłabym uwagi na tego pożeracza benzyny. Po ulicach jeździły tysiące takich aut.

Za kierownicą siedziała matka Carmen. Jeździła białą terenówką. Białą. Taką jak ta, która śledziła mnie za pierwszym razem i próbowała staranować.

Wydawało mi się to nierealne.

Śledził mnie biały samochód terenowy. Potem szarżował na mnie czarny benz.

W myślach słyszałam, jak Carmen wypowiada jedno słowo. My.

BILLIE

Z przerażoną miną, trzymając torebkę pod pachą, Miss Ruth pognęła sprintem, jakby miała do pokonania ostatnie sto metrów biegu na czas. Wpadła do szpitala, nie zwracając na mnie uwagi. Nigdy nie wzbudzała moich podejrzeń. Przemknęła obok mnie i zatrzymała się przy biurku ochrony, dysząc i wyrzucając z siebie słowa w zawrotnym tempie, a jej akcent wprawiał strażnika w zakłopotanie. Musiała mówić wolniej. Dostała plaketkę i pobiegła do windy.

Wyszłam ze szpitala, marszcząc czoło z bólu. Musiałam obejrzeć ten biały samochód.

Przystanęłam przy aucie Carmen i opadam się o nie cała obolała.

Ukradłam motocykl. Dokonałam poważnego rabunku. Miałam już na koncie pierwsze wykroczenie.

Nacisnęłam pilota przy kluczykach. Błysnęły światła i odblokował się zamek bagażnika. Zakłęłam i nacisnęłam drugi guzik. Znów błysnęły światła i puściły zamki w drzwiach. Pociągnęłam za klamkę gotowa popełnić coś, co mogłoby być moim drugim wykroczeniem. Gdyby to, co myślałam, okazało się prawdą, jeszcze przed zachodem słońca popełniłabym trzecie.

Nagle ktoś wybiegi ze szpitala, wołając za mną.

Zamadam w bezruchu, jakbym była przestępcą.

To była ta sama pielęgniarka, którą wcześniej spotkałam przed izbą przyjęć, ta z długimi rudymi warkoczami. Gonila mnie z długopisem i kartką w ręku. Chciała dostać mój autograf, szukała mnie wszędzie i zauważyła, jak wychodzę, więc rzuciła się w pogoń.

- Istny obłęd tej nocy - powiedziała.

- Nie dziwię się.

- Kiedy tylko przyszedłam do pracy, przywieźli dziewczynę, która omal nie straciła wzroku. Ktoś oblał jej oczy żrącym płynem. Nie spłukała go na czas. Do tego jest naćpana, że aż miło, a w torebce miała pełno leków.

Musieliśmy to zgłosić. Teraz dobierze się do niej policja. Nie możemy jej niczego podać, dopóki nie dostaniemy wyników badania krwi. Potem te dzieciaki z Casura Bay, gdzie złamała się poręcz. Niektórzy naprawdę mocno poturbowani. A teraz, parę minut temu, przyjechał jakiś młody brat ze swoimi klejnotami... oderwane jądra... penis prawie całkiem odstrzelony. Taka jatka, że chłopak będzie miał szczęście, jeżeli uda mu się wysikać tym, co zostało. Marne szanse, by przydał mu się do czegoś więcej. Mówią, że jego samochód uprowadziła jakaś dziewczyna, która postrzeliła go w genitalia i porzuciła w alejce przy Crenshaw i Slauson.

- Makabra.

- A całkiem ładny z niego chłopak - podrapała się po kolorowym tatuażu na nadgarstku. - Najgorsze, że nie ma żadnego ubezpieczenia.

Ból przeniknął moje ciało i wykrzywiłam twarz.

- Wszystko w porządku? - pytała. - Wyglądasz, jakby cię coś bolało.

- Nie ma znaczenia - potrząsnęłam głową. - Nie jestem ubezpieczona. Spojrzała na mercedesa i zacisnęła usta, robiąc taką minę, jakby była przekonana, że wciskam jej kit.

Nagryzmoliłam mój klubowy pseudonim na wygniecionej kartce z brulionu. Pielęgniarka uśmiechnęła się i zapaliła newporta, a smród rakotwórczego dymu unosił się wokół jej głowy, kiedy wracała pomagać rannym i chorym albo przynajmniej tym, których było na to stać.

Moje oczy powędrowały w stronę cmentarza po drugiej stronie ulicy. Tego, który przerażał Carmen.

Musiałam jechać, póki nagrobki skrywał mrok.

Skręciłam z Prairie Boulevard na Florence Avenue. Na ulicach Los Angeles zaczynał się ruch. Nie cierpiałam jeździć samochodem. Żadnego wyprzedzania poboczem. I to czekanie, aż inni kierowcy zbiorą się na światłach. Wyjęłam komórkę i próbowałam zadzwonić się do Viviane. Potrzebowałam jej teraz, kiedy byłam taka przerażona. Mknąc w stronę Crenshaw, wciąż sprawdzałam w lusterku, czy nie goni mnie policja. Opuściłam szybę, by mieć czym oddychać, i ponownie wybrałam numer Viviane. Skręciłam czterokołową bryką na Martin Luther King Boulevard. Kiedy minęłam ten dom, zjechałam w prawo, na Degnan Boulevard, którym wróciłam na Crenshaw, a potem znów na Martin Luther King Bou

levard. Robiłam to celowo. Wmieszałam się w ruch i krążyłam wokół zabudowań, dwukrotnie mijając ten dom, nim zebrałam w sobie dość odwagi, by się zatrzymać.

Nie rób tego, Billie - tłućło mi się w głowie. - Wezwij policję. Albo zaczekaj, aż oddzwoni Viviane. Nie rób tego sama.

Ale musiałam zrobić to już, natychmiast. Czułam, że jeżeli nie uspokoję swoich myśli po tym wszystkim, co przeszłam, zaraz zwariuję.

A może już zwariowałam. Może.

Zwolniłam i zatrzymałam się dokładnie w tym samym miejscu, w którym wysadziłam Destiny. Zgasiłam światła i wtoczyłam się na podjazd. Dom, w którym dorastała Carmen. Przyjechałam o tej najmroczniejszej porze, tuż przed świtem. W środku paliło się światło. Wsiadłam z samochodu. Nachylając się, poczułam przenikliwy ból, ale musiałam to zrobić, musiałam się upewnić. Przykucnęłam. Betonowy podjazd był wilgotny. Dostrzegłam cienką strużkę płynu prowadzącą do garażu. Jeździłam od ponad dwudziestu lat i nawet gdybym oślepla, potrafiłabym rozpoznać smak i zapach każdej cieczy używanej w samochodach, tak jak po smaku i zapachu odróżniałam jabłkowe martini od Toma Collinsa.

To był płyn chłodniczy.

Spojrzałam na dom i Wróciłam do samochodu Carmen. Te trzy guziczki pod lusterkiem wstecznym. Programowany pilot do otwierania drzwi garażowych. Nacisnęłam pierwszy z guziczków. Nic. Nacisnęłam drugi. Nic. Nacisnęłam trzeci i brama garażu zaczęła wędrować do góry. Pograżone w ciemności wewnątrz wydawało się puste. Tak, oszalałam. Nic tam nie było.

Wrzuciłam wsteczny i chciałam już odjechać, by nikt mnie nie zauważył. Jeszcze raz powąchałam opuszkę palca. To był ten zapach. Rozlany płyn do układu chłodniczego. Wycofałam samochód.

W parterowym budynku paliło się światło, ale nikogo nie powinno tam być. Nie wtedy, kiedy Carmen, ich jedyne dziecko, leży w szpitalu. Zostali poinformowani, że ich córka jest w stanie agonalnym, więc powinni w pizamach pognać do szpitala.

Ponownie zwróciłam uwagę na betonowy podjazd. Powiodłam wzrokiem za strużką wilgoci. Prowadziła prosto do garażu. Wączyłam długie

światła, które niczym błyskawica napełniły ciemność blaskiem, wydobywając z niej wszystkie sylwetki. W garażu był samochód. Stał. Zaparkowany w kącie, nienaturalnie przechylony na jedną stronę jak ranny słoń opadający na kolano. Samochód był nakryty szarą plandeką, a na niej widniało czarne logo Mercedes-Benz.

Plandeka mogła kryć cokolwiek. Starego mustanga albo zdezelowanego pinto. Nie sądziłam jednak, by rodzina, która może pozwolić sobie na botoks i roleksy, przetrzymywała jakiegoś unieruchomionego grata. Zapaliło się światło na tyłach domu. Otworzyły się tylne drzwi, a potem brama.

Stary człowiek, utykając, wyszedł w pośpiechu przed dom i zasłonił oczy rękami oślepiiony przez mocne reflektory.

Ojciec Carmen. Ubrany w czarne spodnie i sweter, jakby szykował się do wyjścia.

Gdybym tylko poczekała dziesięć minut.

Kuśtykał w stronę samochodu Carmen, w moją stronę, wykrzykując imię córki.

Cieężko przełknęłam ślinę.

- Carmen? Jesteś tam? Ruth... to ty? - wołał drżącym głosem. - Co się, do cholery, dzieje? W kółko wydzwaniam do szpitala i wewnętrzny do sali jest...

Kulawy człowiek zorientował się, że nie ma przed sobą Carmen. Ani Ruth. Zrobił zdziwioną minę. Grymas oszołomienia, który zdążył już zagościć na mojej twarzy, teraz jego objął we władanie. Potem strach zamienił się w złość. Złość, która narastała do niepohamowanego wzburzenia.

Podszedł bliżej. Miał usta rozdziawione ze zdumienia i zmarszczone brwi.

- To ty? Co robisz w aucie mojego dziecka?

Siedziałam w jej samochodzie. W klatce z blachy i szkła. Cierpiąca i niezdolna poruszać się tak, jak chciałam. Poczułam się jak schwytna w pułapkę. Wygramoliłam się na zewnątrz, pozostawiając włączone światła i pracujący silnik.

Stałam na wprost niego.

- Co, u diabła, robisz w aucie mojego dziecka?

- Muszę zobaczyć samochód w pana garażu - powiedziałam opanowanym tonem.

- Odpowiadaj. Co robisz w aucie mojego dziecka?

Poruszyłam się, ale zaszedł mi drogę. Robił, co tylko mógł, aby mnie powstrzymać, a jego złość kipiała niczym wulkan.

- Proszę zadzwonić do szpitala i spytać - odpadam.

- Co zrobiłaś mojej córce?

Znów spróbowałam zrobić krok, ale będąc w takim stanie, nie mogłam się poruszać szybciej niż on.

- Tylko... proszę pozwolić mi zajrzeć do garażu, a pójdę w swoją stronę - powiedziałam.

- Precz od samochodu mojej żony! Wynocha stąd! To jest wtargnięcie na teren prywatny!

Stary człowiek stanął mi na drodze z wypiętą piersią i uniesionymi pięściami, dając mi do zrozumienia, że nie ma zamiaru się cofnąć.

- Racja. To jest wtargnięcie - przytaknęłam. - Proszę wrócić do domu i wezwać policję.

- Oszalałaś? Wara od auta mojego dziecka. Precz z mojej posiadłości.

Trwał w miejscu niewzruszony. Było to dla niego coś więcej niż wtargnięcie. Wdziałam to w jego wzburzonym spojrzeniu, w którym za gwałtowną złością krył się również niepokój. Był śmiertelnie wystraszony i bronił swego gniazda za wszelką cenę.

Mój poziom adrenaliny wciąż wzrastał. Było już za późno.

Zostałam zaatakowana, obrabowana i porzucona, by skonać tam na drodze. Nie wiedziałam, czy moje dziecko żyje, czy nie. Nagle uderzyło mnie to z całą mocą... Świadomość, że właśnie mogę nosić w sobie... że moje nienarodzone dziecko... może być martwe.

Ten ślad płynu chłodniczego ciągnący się tuż przede mną.

Ten przykryty samochód w garażu.

I ten stary kaleki skurwiel stojący pomiędzy mną a prawdą.

Rzuciłam się w stronę garażu, warcząc i próbując opanować ból. Utykając, ruszył za mną. Szedł tak szybko, że zdołał mnie wyprzedzić i zastąpić drogę. Kiedy próbowałam go wyminąć, rozłożył ręce, a potem napad na mnie ramieniem i odepchnął. Ból spowalniał moje ruchy.

Pieprzony ból, który przenikał całe moje ciało. Miałam ochotę upaść na kolana i płakać. Byłam tak cholernie znużona płaczem. Zmartwiona tym, co zrobiłam. Kiedy zmagalam się z emocjonalnym przesileniem, złapał mnie za kurtkę i wywlókł z powrotem na ulicę.

- Zabierz łapy ode mnie.

- Jestem zmęczony słuchaniem, jak moja córka płacze przez ciebie i twoje podłości. Precz od mojego domu! - krzyczał. - Jesteś pomiotem dziwki samego diabła, takim samym, jakim okazał się Keith.

Szarpał się ze mną, a jego twarz miała zacięty, surowy wyraz. Pchnął mnie mocniej niż przedtem. Nie cofnęłam się, a wtedy zaszedł mnie od tyłu i szarpał tak mocno, że straciłam grunt pod nogami. Przed oczami zamigotały mi gwiazdy, kiedy upadłam na wyciągnięte ręce. Rozharatałam skórę na ostrym betonie. Nadgarstki zamortyzowały upadek, ale przy takiej sile, z jaką uderzyłam, kości mogły mi popękać tak samo jak paznokcie.

- Ohydne bydlę. Niszczycielka rodziny. Doprowadzasz mnie do szału. Ostatni raz mówię... Precz od mojego domu!

Ból był zbyt mocny, abym miała siłę krzyzczeć. Żałowałam, że nie założyłam rękawic. Stał nade mną z zaciśniętymi pięściami i przeklinał z tak topornym akcentem, że nie miałam pojęcia, co wykrzykuje. Dzwoniło mi w uszach. Kolejna fala bólu sprawiła, że nagle pot zalał mi oczy. Odgarnęłam z twarzy zwichrzone włosy i spojrzałam w górę. Jego mina wyrażała to samo co moja. Żywy ogień.

- Nierządniczo babilońska. Dobry Pan Jehowa poprowadzi moją karzącą rękę.

W dniu, kiedy go poznałam, wydawało mi się, że jest miłym, pokojowo nastawionym człowiekiem. Pantoflarzem, a może nawet rogaczem, ale o pokojowym usposobieniu. Teraz zrzucił owczą skórę i spoglądał na mnie niczym drapieżny wilk.

I wtedy zobaczyłam to w jego oczach.

My.

Ten człowiek czuł do swojego dziecka to samo, co Keith czuł do Destiny. My.

To samo, co mój ojciec czuł do mnie.

- Powiniennem poderżnąć ci gardło i zrobić drugie usta - warknęła. Wiąż między ojcem a córką jest silna. Ojcowie bywają zdolni zabić dla swoich córek. My.

Stary kaleki człowiek stał nade mną, kiedy usiłowałam się podnieść. Kulłam się przy każdym jego ruchu w obawie, że chce kopnąć mnie w brzuch. Bolały mnie ręce. Bolało mnie całe ciało. Ciężko było mi wstać, ale kiedy wreszcie zdołałam tego dokonać, część mojego DNA odpowiedzialna za walkę bądź odwrót dodała mi sił do ucieczki. Ruszył za mną, wygrażając, że zadzwoni na policję.

Moje rękawice wciśnięte do kasku zostały w bagażniku samochodu Carmen. Tak samo jak i plecak. Bagażnik był uchylony, nie zatrzasnęłam go, jadąc tu ze szpitala.

- Trzymaj się z dala od samochodu mojego dziecka! - krzyknęła. Zanim zdążył do mnie podejść, uniosłam klapę. W plecaku wciąż miałam cegłę.

Zamachnęłam się plecakiem tak mocno, jak mogłam, trzymając tego kalekiego skurwiela na dystans.

- Też mnie doprowadzasz do szału, śmieciu! - wrzasnęłam. - Wszyscy doprowadzacie mnie do szału.

Ból rozsadzał mi ręce, ale ruszyłam na niego z furją, wykonując kolejny zamach plecakiem. Wymachiwałam nim, dopóki nie zaczął się cofać, wymachiwałam, aż się potknął i skulił, a wtedy uderzyłam go, powalając na ziemię. Okładałam go dalej, nie bacząc na to, że zasłania się rękami.

Nagle przeszył mnie straszliwy skurcz, którego epicentrum mieściło się w moim brzuchu. Zgięłam się wpół, a plecak wypadł mi z rąk.

Coś przemieściło się w moich wnętrznościach. Albo puchło. Działo się ze mną coś złego. Jechałam na adrenalinie, która przez całą noc tłumila ból, ale nie starczało jej, bym była cały czas aktywna. Nie mogłam złapać oddechu. Tak jak Carmen zaczęłam walczyć o przeżycie.

Stary skurwielił dźwigał się na nogi, jeszcze bardziej rozjuszony tym, że kobieta sprowadziła go do parteru. Wiedziałam, że zaraz zaatakuje. Próbowалам uciekać, ale kolejny spazm osadził mnie w miejscu. Nie mogłam znieść bólu, który przełamywał mnie na pół, stając się nie do wytrzymania.

Byłam spętana przez własne cierpienie, unieruchomiona. Ciężko dysząc, opadam się o bagażnik samochodu Carmen.

Na ziemi leżały zęby. Sztuczna szczeka ze złotą gwiazdką na jednym z kłów.

Staruch zdążył już wstać i oparty o ścianę domu dochodził do siebie. Ze zdeformowanych ust płynęła mu krew. Jeden z moich dzikich ciosów musiał dosięgnąć jego twarzy, pozbawiając protezy. Był jak zranione zwierzę.

A zranione zwierzę to śmiertelne niebezpieczeństwo. Wiedziałam o tym, bo sama byłam zraniona.

Na ulicy, tuż za moimi placami, rozległo się wycie klaksonów. To ostudziło moją furję. Piractwo drogowe i wystrzeliwujące w niebo środkowe palce w niedzielę nad ranem. Jakaś terenówka skręciła gwałtownie w lewo i wpadła na wąską drogę prowadzącą do domu, kierując jaskrawe światła wprost na mnie. Kierowca gnał tak, jakby chciał dotrzeć na miejsce tak szybko, jak się da. To wracała Miss Ruth. Zamadam w bezruchu. Samochód zatrzymał się gwałtownie i z piskiem opon. Nie na tyle blisko, by mnie rozgnieść, ale i tak zbyt blisko.

Poczułam bijącą od tej przerośniętej bryki falę gorąca, która omiotła mnie jak oddech dzikiego bizona.

Rozległ się odgłos otwieranych drzwi. Spodziewałam się usłyszeć piskliwy głos Miss Ruth. Wyteżyłam wzrok. Samochód był ogromny, ale nie biały. Nie taki, jakim jeździła matka Carmen. Miał ciemny kolor, tak samo jak mój nastrój.

Obok auta zamajaczyła jakaś sylwetka. Z bólem zamknęłam i otworzyłam oczy, by spojrzeć jeszcze raz. Wszystko było zamazane. Najpierw wyraźniej zobaczyłam kucyki. Potem sarnie oczy i zęby, które wydawały się odrobinę za duże na tle młodej twarzy.

To była Destiny.

Na prawym ramieniu niosła ciemny worek marynarski, którego ciężar przeważał jej ciało na jedną stronę.

W jej zachowaniu było coś niezwykłego. Nie zareagowała, widząc swego dziadka z zakrwawioną twarzą i mnie zgiętą wpół. Kroczyła powoli, zataczając się. Stała w świetle reflektorów i zobaczyłam jej drżące wargi i szeroko otwarte oczy.

Otworzyła usta, ale nie wydała żadnego dźwięku, kiedy wpadła na mnie, jakby nic nie widziała.

Kurtkę, spodnie i podkoszulek miała umazane krwią, jakby właśnie zaszlachtowała świnie.

Wyglądała jak Carrie na końcu balu maturalnego²³.

Z palców jej prawej ręki zwisała brzytwa o zakrwawionym ostrzu.

23 Mowa o Carrie, tytułowej bohaterce powieści Stephena Kinga oraz filmu będącego jego adaptacją. Carrie White to nękana przez rówieśników nastolatka, obdarzona telekinetycznymi zdolnościami, która podczas balu maturalnego dokonuje zemsty na swych prześladowcach.

DESTINY

Przed godziną w jej uszach ożył huk.

W dłoni trzymała rewolwer wymierzony w krocze chłopaka, który mówił o sobie Mo.

Właśnie pociągnęła za spust.

Mo wydal z siebie wrzask, który zdawał się nie mieć końca. Wył tak głośno, że wystraszył cienie błakające się w głębi alei. Chciała, by przestał krzyczeć. Jej serce kołatało jak szalone. Wciąż trzymając palec na spuście, zdesperowana patrzyła przez łzy na drania, który nie zasługiwał na to, by żyć.

Na podłodze leżało tyle prezerwatyw.

Destiny zacisnęła zęby i znów pociągnęła za spust. Rewolwer szarpnął się w jej rękę, ale tym razem było łatwiej. Strzeliła bez wahania. Zaledwie podskoczyła, gdy pocisk roztrzaskał szybę w drzwiach po stronie kierowcy.

Wyszła z samochodu, obiegła go dookoła i szarpnęła za klamkę. Mo, który napierał całym ciałem na drzwi, próbując wymknąć się śmierci, wypadł. Wylądował twarzą na asfalcie zasypanym odłamkami szkła, ani na moment nie puszczając świętego miejsca, w które został zraniony. Krew. Tak dużo krwi, jakby miał okres. Ponad dwa razy więcej, niż gdyby obficie krwawił. Endometrioza. Destiny zastanawiała się, czy tak właśnie wyglądają kobiety cierpiące na endometriozę. Czy to samo czują. Czy krzyczą tak samo głośno, rodząc dzieci bez znieczulenia.

- Zamknij się, Mo - powiedziała.

- Wariatko... odstrzeliłaś mi fiuta... odstrzeliłaś mojego pieprzonego fiuta... o Boże, o Boże.

- Przestań wymawiać imię Boga albo znów do ciebie strzelę. Zamknij się. Cicho bądź.

Mo przygryzł wargę, tłumiąc wszystkie jęki i bluźnierstwa.

Destiny zyskała respekt. Wzbudziła respekt u Goldie. Mo był jej posłuszny. A jeśli nie respekt, to przynajmniej strach. Tak czy inaczej, wiedziała, że będą ją pamiętać.

Płyty z filmami. Sprzęt. Musiała wszystko to mieć.

Obeszła leżącego w kałuży moczu i krwi Mo, który płakał, cicho pojękując, i podbiegła do bagażnika, aby pozbierać wszystkie płyty. Może wrzucić je do kontenera na śmieci. Nie, pokręciła głową. Powinna je zniszczyć albo one zniszczą ją. Powinna pomyśleć, jak pozbyć się ich w inny sposób. Musiała zrobić to sama. I to nie w tym miejscu. Nie na ulicy. Powinna zabrać do domu cały worek płyt.

Cały ten ciężki worek. Worek, który Mo bez trudu mógł udźwignąć i wynieść z Casura Bay, ale który dla niej był za ciężki. Nie przeszłaby z nim nawet stu metrów, a co dopiero kilometra czy półtora, jaki dzielił ją od... od...

Nie miała pojęcia, dokąd pójść. Nie miała kluczy do mieszkania ojca. Nie mogła wślizgnąć się do domu matki. Poczula, że wpadła w pułapkę. To było szaleństwo, że niczego sobie nie zaplanowała.

Wiedziała, że pewnego dnia znajdzie tę dziewczynę, która ją wystawiła, że pewnego dnia spojrzy jej w oczy.

Rozległa się melodia. Destiny drgnęła z przestachu. Snoop Dogg *Beautiful*.

Na ziemi obok Mo świeciła i wibrowała jego komórka. Destiny podniosła ją, otworzyła i na wyświetlaczu zobaczyła zdjęcie czarnej półkrwi Meksykanki. Jej twarz była piękna i surowa zarazem. Dziewczyna unosiła środkowy palec, w drugiej ręce trzymając butelkę hypnodq.

Najpierw Bóg zesłał jej broń. Teraz Verizon dawał jej to, czego potrzebowała.

Jej babka mawiała, że wystarczy tylko poprosić. Ze to wszystko, co trzeba zrobić.

Destiny odebrała, ale nie powiedziała ani słowa.

- Mo, gdzie ty się, u diabła, podziewasz z całym moim głównem? Kobięcy głos. Hiszpański akcent. W tle wycie syren. Gdzieś w getcie. Destiny musiała mieć pewność.

- Lupe? - powiedziała.

- Goldie?

- Nie. Nie Goldie.

- To kto, do cholery, odbiera telefon Mo?

- Nikt. Jestem nikim.

- No dobra, Nikt, daj Mo do telefonu.
- Mo teraz nie może rozmawiać.
- Powiedz mu, że nie mam czasu na zabawę.
- Mo chce wiedzieć, czy zdążyłaś się zmyć, zanim przyjechała policja.
- Głupia suko, myślisz, że bym teraz z tobą rozmawiała, gdybym nie zdążyła?
- Tylko pytam.
- Daj mu ten cholerny telefon.
- Mo chce wiedzieć, gdzie może się z tobą spotkać.
- On wie gdzie.
- Kazał zapytać, żeby się upewnić. - Co?
- Gdzie, suko? On mówi, żebyś przestała zasuwać pierdoły i powiedziała, gdzie, do kurwy nędzy, jesteś.

Lupe powiedziała Destiny, gdzie jest. Wystarczyło tylko użyć ich języka. - Mo jest już w drodze - powiedziała Destiny.

- Powiedz temu czarnuchowi, żeby się pospieszył.

Destiny skończyła rozmowę i z pogardą spojrzała na Mo, który bezgłośnie poruszał wargami. Cierpienie odebrało mu głos. Tyle krwi, jakby miał okres. Kurczył się, jakby miał endometriozę.

Patrzył na nią z błagalnym wyrazem twarzy. Prosił o litość, o pomoc.

- Musisz się z tym pogodzić - warknęła Destiny, odchodząc. - Musisz się z tym, kurwa, pogodzić.

Wróciła do samochodu i uruchomiła silnik. Naciskała wszystko po kolei, by zapalić światła. Jednym z przycisków włączyła odtwarzacz DVD. Zobaczyła to, czego już nigdy więcej nie chciała słyszeć ani widzieć. Jęki, pomruki i rozpalająca muzyka. Na ekranie pokazała się dziewczyna, która miała jej twarz, i zamglonym wzrokiem patrzyła w kamerę, podczas gdy ktoś brał ją od tyłu. Pokój był pełen nagich mężczyzn, ale ich twarze były zamazane. Potem zbliżenie jej twarzy. I ta obrzydliwa scena. Młodzi mężczyźni ryczeli zgodnym chórem *Strzelaj, strzelaj kutasie, strzelaj, strzelaj* i dziewczyna o tępych wzroku uśmiechnęła się, kiedy jej twarz załśniła od białka. Obłąd. Destiny wyłączyła odtwarzacz. Upłynęła minuta, nim udało się jej włączyć światła. Zaczęła niezdarnie szamotać się z przekładnią biegów. Pchnęła lewarek do przodu i dodała gazu. Samochód gwałtownie ze

rwał się z miejsca i otarł o kosz na śmieci. Destiny usłyszała dziki wrzask. Nadepnęła hamulec i wyjrzała przez wybite okno. Przejechała po nodze Mo, która teraz sprawiała wrażenie nienaturalnie powykręcanej. Zaklęła. Żałowała, że nie ma prawa jazdy albo że nie chodzi przynajmniej na kurs. Ale miała dopiero piętnaście lat. I worek pełen płyt, których nikt nie mógł zobaczyć. Spróbowała jeszcze raz. Powiedziała sobie, że potrafi. Ręce na za dziesięć druga, tak jak zawsze prowadziła jej babcia. Delikatnie nacisnęła gaz. Może drugą nogę trzeba trzymać na hamulcu, na wypadek, gdyby musiała się bardzo szybko zatrzymać. Ta terenówka wydawała się jej taka ogromna. Powtarzała sobie, że umie prowadzić. Musiała umieć.

Dodała lekko gazu i poczuła, jakby przejechała po progu zwalniającym. Mo znów wrzasnął.

Destiny jechała na wschód, wzdłuż Slauson Avenue, potem skręciła na północ, w stronę Figueroa.

Zatrzymując się na światłach, widziała ich wszystkich. Nocne zjawy.

Stojący w cieniu mężczyźni, którzy czekali, aż ktoś się zatrzyma i coś od nich kupi.

Kobiety czekające w cieniu, aż ktoś udzieli im wsparcia. Ulica wyglądała jak tragiczna wieść. Wtem Destiny zauważyła połyskujące światła. Policja.

Mnóstwo migających świateł, które nadciągały z obu stron.

Obok niej leżał rewolwer. Żałowała, że go nie wyrzuciła.

Zwolniła. Poruszyła się na fotelu i poczuła lepkość. Dotknęła tapiceria i spojrzała na rękę. Krew. Całe siedzenie było we krwi Mo. Miała krew na palcach. Otada ręce o ubranie.

Teraz jej podkoszulek był uwalany krwią. Siedziała w kałuży krwi.

Samochód odbił gwałtownie w bok, ale zanim Destiny zdążyła krzyknąć, udało się jej odzyskać panowanie nad kierownicą.

Zdjęła prawą nogę z pedału gazu, a lewą nacisnęła mocno hamulec.

Zatrzymała się tak raptownie, że wszystko poleciało do przodu.

Miała krew na rękach. Miała zakrwawione ubranie.

Policja była tuż za nią.

Połyskujące radiowozy przemknęły obok i zatrzymały się kawałek dalej.

Destiny poczuła przerażenie, widząc przed sobą tyle samochodów policyjnych.

Z tyłu nadjeżdżały inne auta, więc nie mogła zawrócić. Nie sądziła zresztą, że umie prowadzić na tyle dobrze, by wykonać taki manewr. Jeździła tylko wokół parkingu samochodem ojca. W sobotę, w dzień. Wiedziała, że potrafi jechać prosto, skręcać w lewo, jeżeli nie jedzie nic z przeciwka, skręcać w prawo i tyle.

Na ulicy migotało mnóstwo świateł.

Stał tam również ambulans.

I motocykliści. Gromadzili się po obu stronach ulicy. Kilku stało na jezdni i zachowując się jak policjanci, kierowało ruchem. Mnóstwo motocyklistów. Mężczyźni. Kobiety. Większość na chodniku. Płakali. Niektórzy rozmawiali przez komórki, inni stali przy automatach ulicznych. Wszyscy krzyczeli, a na ich twarzach malowało się cierpienie.

- Wypadek na motorze - wykrzykiwały udręczone głosy. - Jesteśmy na Figueroa.

Jeszcze inni padali sobie w objęcia, pocieszali się nawzajem i płakali.

Destiny rozpoznała kilka zmartwionych twarzy. Wdziąka je ubiegłej nocy w Starbucksie. Wyluzowane dziewczyny w seksownych ciuchach, które wyczyniały karkołomne ewolucje na swoich maszynach.

Jeden z motocykli leżał na środku ulicy. Poważnie roztrzaskany. Już nie taki piękny. Tuż obok stało BMW uszkodzone od strony pasażera. Na asfalcie ciągnęły się ślady hamowania.

Zderzenie musiało być silne i gwałtowne.

Policjanci rozmawiali z białą kobietą, jak domyśliła się Destiny, właścicielką BMW. Kobieta miotła się jak opętana, wskazując palcem na motocyklistów w oskarżycielski sposób, potem na swoje auto i wymachując rękami we wszystkie strony.

Histeryczka.

Sanitariusze klęczeli przy rannej ofierze wypadku. Destiny zauważyła rozrzucone długie dziewczęce włosy. Spojrzała na jej na motocykl. Był piękny, w kolorze indygo. Wszystkie inne części połyskiwały srebrzystym chromem. Najpiękniejszy motocykl, jaki kiedykolwiek widziała. Destiny przyglądała się całej scenie na tyle długo, by zauważyć, że dziewczyna się nie porusza.

Położyła roztrzęsione dłonie na za dziesięć druga i ruszyła dalej. Udało się jej opanować sytuację. Była z siebie dumna, że zdołała sama dojechać tak daleko.

Widziała wszystko, co potrzebowała zobaczyć.

Dziewczyna, która miała wypadek na motocyklu, prawdopodobnie nie żyła.

To nie była Billie.

Destiny żałowała, że to nie ona.

Kierowcy mrugali na nią długimi światłami. Co chwilę ktoś ją wyprzedzał, pokazując środkowy palec, rzucając przekleństwa i naciskając klakson. Jechała zbyt wolno, przestrzegając ograniczeń prędkości, albo zbyt często zmieniała pasy, by ustąpić innym drogi. Złośliwcy. Los Angeles było pełne złośliwych ludzi. I policji. Kiedy jeździła z matką, nigdy nie widziała tylu policyjnych samochodów. Teraz były wszędzie. Śmigwały w tym samym kierunku co ona, przecinały jej drogę. Jej podróż trwała wieczność. Jechała powoli, trzymając się prawego pasa i łapały ją światła na wszystkich skrzyżowaniach. Albo też wystraszona zwalniała przed światłami.

Zastanawiała się, jak dotrzeć do domu. Nie mogła jechać do matki. To nie wchodziło w rachubę.

Może powinna usiąść na werandzie przed mieszkaniem ojca i poczekać do rana, a potem powiedzieć mu, że zatrzasnęła drzwi, że pukała, ale on jej nie słyszał, bo był pijany, więc zasnęła na schodach. Mogłaby wziąć cały sprzęt i płyty i zniszczyć to wszystko w alejce za domem, wśród garaży, z których korzystało niewielu mieszkańców. Takie alejki w Los Angeles były zbyt niebezpieczne.

W takich miejscach rabowano ludzi. Gwałcono. Zabijano.

Gwałcono dla rozrywki. Filmowano dla zysku.

Wciąż czuła ten ból, który przypominał jej, że jeszcze wszystkiego nie załatwiła.

Zrobiła to. Postrzeliła człowieka. Bezduznego dzieciaka, który starał się udawać mężczyznę.

On odebrał jej godność. Ona odebrała mu jego escalade'a. Ładny samochód. Za duży jak na jej gust, ale ładny. Tylu wrogów. I ta dziewczyna ojca. Kieszeń Destiny była pełna tabletek.

Pigułka śmierci sprawi, że Billie będzie musiała pogrzebać marzenia o szantażu. Pigułka śmierci ocali jej rodzinie życie.

Matka ją zrozumie. Ojciec powinien wybaczyć. A dziadkowie będą szczęśliwi.

Musiała tylko wymyślić sposób, jak przekonać Billie do zażycia tych pigułek.

Destiny przejechała obok uniwersytetu stanowego. Uczelnia jej matki. Ręce zaciśnięte na kierownicy, krótkie spojrzenia w lusterko. Radziła sobie naprawdę dobrze. Jechała równolegle do drogi numer 110 i dotarła do obrzeży centrum miasta. Stąd dzielił ją tylko rzut kamieniem od East Side, gdzie dorastał jej ojciec. Gdzie jej wujek Jody został zastrzelony podczas napadu na bank. Wujek, którego nigdy nie poznała. Ojciec byłby z niej dumny. Gdyby się dowiedział. Gdyby mogła mu powiedzieć. Skręciła w lewo i jechała wzdłuż Jefferson Street, z jedną nogą na gazie, a drugą trzymając zawieszoną nad pedałem hamulca. Wciąż ścisnęła kierownicę na za dziesięć drugą, bojąc się oderwać rękę, by otrzeć łzy. Dotada do North University Park i skręciła w prawo, mijając rząd domów i barów szybkiej obsługi. Starbucks. Wendy's. Bar Denny's mieścił się na rogu Jefferson i Figueroa Street. Tuż obok multipleksu Flagship.

Miasteczko studenckie spowijał mrok. Destiny nie była w stanie rozróżnić, czy lokal jest otwarty.

Niemal wpadła w panikę, gdy przyszło jej na myśl, że przyjechała nie do tego Denny's. Zwolniła przed Jewish Center i zerkając na drugą stronę ulicy, usiłowała wypatrzeć kogoś na parkingu.

Była tam. Lupe. Wybiegła z baru z komórką przy uchu, paląc papierosa. Chodziła w kółko, wydychając chmury dymu, zbyt zajęta odgarnianiem włosów z twarzy i wykrzykiwaniem do telefonu, by ją zobaczyć. Być może zbyt zajęta opowiadaniem komuś o tym, jakie piekło rozpętało się w Casura Bay.

Zbyt zajęta, by zauważyć, że jej osobiste piekło właśnie nadjechało na dwudziestodwucalowych kołach.

Lupe. Dziewczyna, na którą Destiny ledwie zwróciła uwagę piątkowej nocy. Dziewczyna, która tak zachęcała tę drugą do walki. Lupe. Taka przyjazna i spokojna, kiedy Destiny wsiadła już do escalade'a. Taka opanowana.

To ona wszystkim kierowała. Taka szczupła. Na ośmiocentymetrowych obcasach mogła mieć jakieś metr osiemdziesiąt. Długie włosy opadały jej na ramiona. Gdyby nie kilka krost na twarzy, też mogłaby uchodzić za modelkę. Nosila nisko wycięte dzinsy, które opinały pośladki, i poruszała się tak, jakby miała nadzieję, że kiedy zauważy ją Nelly, natychmiast zatrzyma się z piskiem opon i da jej rolę w swoim nowym teledysku. Mimo nocnego chłodu trzymała w ręku różowy pikowany żakiet, jakby chciała zwrócić uwagę na swoją posagową figurę. Była ubrana w obcisły czarny podkoszulek na ramiączkach odsłaniający brzuch. Podkoszulek był obcięty tuż pod jej wielkimi piersiami, w poprzek których biegł srebrny napis „Kanye miał rację”¹.

Destiny poczuła się, jakby Lupe ją widziała. Nie, niemożliwe. Szyby były przyciemniane jak w limuzynie. Rozpoznała samochód, widziała wirujące kołpaki i pomachała w jego stronę. Machała na Mo, by się zatrzymał.

W Destiny odezwało się coś, co kazało jej jechać dalej i wracać do domu.

Przejechała obok Lupe, minęła kino i skierowała się w stronę parkingu, przy którym mieścił się bar Wendy's. W komórce Mo zaczął śpiewać Snoop Dogg, a na wyświetlaczu pojawiła się pijana twarz Lupe. *Beautiful*. Jej dzwonek. Mo musiał uważać ją za piękną.

Destiny nacisnęła zielony guzik i przyłożyła aparat do ucha.

- Mo, dlaczego tak koło mnie przejechałeś? - krzyczała Lupe.
- Mo powiedział, że to miejsce jest zbyt ruchliwe. Wszędzie roi się od glin, odkąd wyjechaliśmy z Casura Bay.
- Kto mówi?
- Nikt. Jestem nikim.
- Słuchaj, powiedz Mo, żeby zawrócił i przywiózł mi mój sprzęt, bo chcę już wracać do akademika.
- Mo powiedział, żebyś ruszyła tutaj swoją meksykańską dupę.
- Co powiedział? - wrzasnęła.
- Powiedział, żebyś ruszyła tutaj swoją meksykańską dupę. Nastąpiła cisza. Destiny czuła, że powiedziała coś nie tak.
- Nie jestem żadnym kundlem! - krzyknęła Lupe.
- Mój błąd.

Nawiązanie do wypowiedzi rapera Kanye Westa, który oskarżył prezydenta George'a Busha o brak zainteresowania czarnoskórymi ofiarami huraganu Katrina w 2005.

- Mo wie, że nie jestem pieprzoną Meksykanką! - darła się rozjuszona. - Pochodzę z Tegucigalpy.

- A to nie jest w Meksyku?

- W Hondurasie, głupia dupo.

A więc nie była to mieszanka rasy czarnej i meksykańskiej. O krajach Trzeciego Świata Destiny nie miała pojęcia.

- Dlaczego wszyscy myślą, że każdy, kto mówi po hiszpańsku, jest cholernym Meksykaninem - perorowała Lupe.

Destiny przypomniała sobie, w jaką furię wpadła jej babka, gdy jakaś kobieta zapytała ją, czy pochodzi z Haiti. Przypomniała sobie Koreankę, która kłóciła się z Mo w Casura Bay.

- Dopilnuję, żeby Mo skopał ci dupę - Lupe kipiała z wściekłości.

- A więc... jesteś z Ameryki Środkowej i teraz uczysz się na uniwersytecie stanowym? Co, studentka z wymiany?

Zapadło lodowate milczenie.

- Kto, do jasnej cholery, zajmuje się moimi interesami? - krzyknęła Lupe. Destiny nie odpowiedziała. Zbyt głęboko zapadła się w cierpienie,

ocierając z oczu Izy.

- Gdzie, do kurwy nędzy, jest Mo? - wściekała się Lupe.

- Posłuchaj, suko. Mo powiedział, że benzyna nie jest za darmo. Tak samo jak te jego bajeranckie kołpaki. To on zabrał cały sprzęt i wszystkie płyty, zanim pojawiły się gliny, a ty zabrałaś stamtąd swoją leniwą dupę i ukryłaś się w bezpiecznym miejscu.

Destiny przerwała połączenie.

Była skołowana i przerażona. Ogarniały ją fale wściekłości i nie mogła przestać płakać. Nie mogła się uspokoić.

Po części miała nadzieję, że Lupe sobie poszła, że wyczuła, co się święci, i uciekła.

Lupe szła jednak w jej stronę, kołysząc biodrami, z żakietem w ręce. Znów rozmawiała z kimś przez komórkę i zapalała papierosa.

Jej krok był taki zwyczajny. Tak cholernie zwyczajny, jakby nikomu nie stało się nic złego tej nocy. Jakby nic złego nie stało się Destiny w piątkową noc. Jakby jej samej nigdy nie przytrafiło się nic złego.

Studentka Uniwersytetu Stanowego Kalifornii. Uczelni, na którą jej mogło nie być stać z powodu chciwości Billie.

To jeszcze bardziej ją rozjuszyło. Billie szantażowała jej rodzinę. Zazdrość Billie mogła zmienić jej życie na gorsze. Destiny zastanawiała się, czy możliwa jest prawdziwa przyjaźń między dziewczynami.

Chłopcom zależy na pieprzeniu. Dziewczynom zależy na wszystkim, co mogą wykorzystać.

Destiny powiedziała sobie, że pora się zbierać. Ze trzeba zostawić w cholerę cały ten ich świat. Ze trzeba skończyć z tym szaleństwem.

Powiedziała sobie, że nie jest taka jak jej matka. Matka nie potrafiła odpuścić nawet wtedy, gdy wiedziała, że powinna. Destiny mówiła sobie, że ona jest inna.

Lupe podchodziła coraz bliżej. Rozmawiała przez komórkę, wkładając pikowany żakiet.

Nawet zimnokrwiste istoty odczuwają chłód. Dziwny był ten widok gada ubranego w markowe ciuchy.

Kondomy porzucone na podłodze. I to, w jaki sposób ona została porzucona.

Była dla nich nikim. Nikim.

I ten ból, który bez przerwy pulsował między jej nogami.

Destiny zobaczyła swoje odbicie w lusterku. Opuchnięte i zaczerwienione oczy. Łzy, które spłynęły z jej twarzy i wsiąkły w podkoszulek z napisem zachęcającym do obrzucania chłopców kamieniami. Destiny zaczęła się zastanawiać, czym należałoby obrzucić dziewczęta. Na świecie jest tyle podłych dziewcząt. Tyle fałszywych, zawistnych i bezwzględnych dziewcząt.

Lupe była coraz bliżej. Destiny obserwowała ją, jak przechodzi przez skrzyżowanie. Miała taką ciemną i seksowną skórę. Jej opadające na ramiona włosy połyskiwały w świetle latarni. Z każdym krokiem była coraz bliżej swego przeznaczenia.

U boku Destiny drzemał rewolwer. Odgłos wystrzału był głośny jak grzmot. Ta broń przerażała ją, wprawiała jej serce w kołatanie, drżały jej ręce. Brzytwa. Destiny przypomniała sobie o brzytwie. Wyjęła ją z plecaka i przeciągnęła ostrzem po skórzanym siedzeniu. Ekskluzywna tapicerka ustąpiła niemal bez oporu, bez jęków i westchnień.

Destiny zostawiła silnik na chodzie. Czujnik zapiszczał, kiedy wychodziła z wozu. Zatrzasnęła drzwi i poszła w stronę bagażnika. Była teraz

niewidoczna z ulicy, ukryta za tym wielkim czarnym słoniem o wirujących kołpakach. Teraz cieszyło ją, że ta przerośnięta terenówka jest mroczna jak noc, tak pasuje do koloru zdrady.

Zło, jakie ludzie wyrządzają sobie nawzajem... Destiny nie potrafiła pojąć, dlaczego tak trudno być dobrym.

Usłyszała stukot obcasów, który zbliżał się do niej w równym tempie jak tykanie zegara.

Ze łzami w oczach Destiny ukryła twarz w cieniu. W dłoni ścisnęła brzytwę.

Drżała jej ręka. Drżała tak mocno, że omal nie wypuściła swej broni.

Goldie dopuszczała się występku bez wyrzutów sumienia. Była socjo-patką. Tak samo jak Mo.

Teraz dziewczyna z Tegucigalpy, socjopatka, którą zwano Lupe, stała o krok od niej.

Zatrzymała się i zaczęła tańczyć, podkurczając ramiona i wykonując konwulsyjne ruchy.

- Zatańcz mo, zatańcz mo, zatańcz mo - podśpiewywała. Oczy Destiny spoczęły na ostrzu brzytwy.

Pulsujący ból przypominał jej, czego została pozbawiona, z czego ją obrabowano bez wahania.

Goldie. Mo. Co się stało, już się nie odstanie.

Nieważne, jak wielki jest żal, niczego nie można odwrócić.

Stukot obcasów ustał tuż obok niej. Zegar się zatrzymał. Nadszedł czas, by podjąć decyzję.

Poczuła energię Lupe. Tuż za plecami. Paliła papierosa.

- Gdzie jest Mo?

Lupe poklepała ją po ramieniu.

Destiny odskoczyła. Lupe miała czelność tknąć ją palcem.

Ten dotyk przypominał jej o tym, jak została zbezczeszczona ubiegłej nocy. Czowała na całym ciele ich ręce. Czowała, jak nieznajomi wdzierają się do jej wnętrza.

Taki zwyczajny kontakt. Jak iskra i dynamit. Jak upuszczona nitrogliceryna.

Destiny odwróciła się bez słowa i z wyrazem furii na twarzy zamachnęła się ostrzem.

BILLIE

Oślepił mnie blask samochodowych reflektorów. Wewnątrz tego pokrytego szlachetnym tynkiem siedliska zła rozległ się dzwonek telefonu.

Twarz miałam mokrą od potu, który zalewał mi oczy.

W kieszeni poczułam wibracje. Moja komórka.

A Destiny stała między swym dziadkiem a mną, trzymając zakrwawioną brzytwę.

Spojrzała na niego, potem na mnie, znów na niego i znów na mnie jakby w zwolnionym tempie.

Jej wzrok spoczął na tym starym obłąkanym skurwielu.

Dziadek Destiny ślaniał się i próbował złapać równowagę oparty o ścianę domu. Robiłam to samo, przytrzymując się samochodu Carmen; okręciłam pasek plecaka wokół opuchniętych palców.

Patrzył na mnie gotowy do ataku. Czekałam, obserwując, z której strony podejdzie. Nie chciałam z nim walczyć, nie na oczach córki Keitha, ale też nie miałam zamiaru pozwolić, by mnie pobił.

Wpatrywaliśmy się w siebie. Oblewał nas blask reflektorów, a my patrzyliśmy.

Destiny obserwowała nas zdezorientowana.

Starzec pokuśtykał w kierunku wnuczki. Miał opuchniętą i zakrwawioną twarz po naszej bójce, ale nie myślał teraz o mnie ani o swoich obrażeniach. Skierował swoją uwagę w zupełnie inną stronę.

W stronę dziewczynki, której ubranie było całe we krwi. W stronę piętnastoletniego dziecka, które ścisnęło w dłoni brzytwę.

W stronę rodziny.

My.

- Co ci się stało, dziecko?

- Dziadku... co... gdzie twoje zęby?

Stary skurwiel pochylił się, podniósł sztuczną szczękę i wytarł o koszulę.

- Co ty robisz, że jeździsz tym... ?

- Dziewczyna taty... ona tu jest.

- Czy to krew? Jesteś ranna, dziecko?

Patrzył na jej spięte w kucyki włosy i ubranie zbryzgane krwią. Destiny zrobiła krok w moją stronę. Brzytwa wciąż kołysała się w jej dłoni.

- Billie. Ty tutaj - odezwała się słodkim głosem pełnym zaskoczenia. Ton, jakim wypowiedziała moje imię, przeraził mnie bardziej niż wściekłość jej dziadka. Spojrzała na moją obolałą i wystraszoną minę, a potem opuściła wzrok na swą rękę. Jej oczy rozszerzyły się, najwyraźniej coś sobie przypominała.

Skurczyła się gwałtownie, jakby poraził ją prąd, i upuściła brzytwę. Znowu popatrzyła na mnie, a potem na dziadka.

Stary przyskoczył do niej, schylił się i podniósł to, co wypadło jej z ręki, przyjrzał się temu i popatrzył wnuczce prosto w oczy. Sprawiała wrażenie nieobecnej. Kiedy jej dotknął, wyglądało to, jakby powracała do rzeczywistości.

Chwycił ją za rękę i rozmawiając szeptem, ruszyli pospiesznie w stronę domu.

- Billie tu jest - powiedziała Destiny, oglądając się na mnie. Zaskrzypiała furтка, a po chwili tylne drzwi domu otworzyły się i zatrzasnęły z hukiem.

Dobiegły mnie krzyki. Krzyczał na nią tonem, który wznosił się ponad rejestry hysterii. Miał zbyt toporny akcent i mówił zbyt szybko, bym cokolwiek zrozumiała.

Mogłam być jedynie pewna tego, że ten stary szaleniec nie jest uszczęśliwiony.

Powinłam była zabierać się stamtąd tak szybko, jak tylko mogłam. Ale nie mogłam. Nie mogłam oderwać wzroku od garażu.

Drzwi z tyłu domu ponownie otworzyły się i zatrzasnęły z hukiem, który zabrzmiał, jakby ktoś wypalił ze strzelby. Stary szaleniec wracał pospiesznie przez skrzypiącą furtkę z żółtym wiadrem w ręku. Potknął się i upuścił je, a na ziemię wypadła rolka papierowych ręczników i coś, co wyglądało na płyn do mycia. Kiedy się schylał, zobaczyłam, że z tylnej kieszeni spodni wystaje mu para gumowych rękawic. Pozbierał rozsypane przedmioty i zatrzymał się na moment, by zmierzyć mnie surowym spojrzeniem. Widział, że go obserwuję.

- Precz z mojego domu, ale to już.

- Jestem za bardzo wkurwiona - odpadam, kręcąc głową.

Stał, a jego twarz przybrała taki grymas, jakby zmagał się z podjęciem trudnej decyzji. Ruszył w moją stronę. Nagle usłyszał wycie syren w oddali i przystanął, patrząc w stronę ulicy.

Oddalał się ode mnie z wiaderkiem. Celem w jego ograniczonym polu widzenia był escalade. To nie miało sensu. Nie widziałam w tym logiki. Za bardzo pochłaniała mnie walka z cierpieniem i rozmyślanie o własnych problemach. Nie widziałam nic poza oślepiającym światłem wymierzonym prosto w moje oczy.

Starzec wgramolił się do escalade'a, uruchomił silnik i przegazował. Wyłączył reflektory. Złowieszcze posunięcie. Oznaczało to, że ma zamiar mnie rozjechać, rozgnieść pomiędzy maską tego kolosa a samochodem Carmen. Wrzuci! bieg. Zaczął cofać, zataczając zbyt szeroki łuk i zawadzając bokiem o ścianę domu. Przejechał kawałek do przodu i znów wycofał, ledwie mieszcząc się na podjeździe. Nie miałam pojęcia, dokąd wybiera się w takim pośpiechu, ale wiedziałam, że nie jedzie do szpitala odwiedzić chorą córkę. Nie z tym żółtym wiadrem i butelką detergentu. Nie ze zgaszonymi reflektorami. Nie bez Destiny.

Nie pojechałby, zostawiając mnie na środku swojego podjazdu.

Niemniej odjechał.

Świat znów stał się spokojny. Słyszałam ruch na Martin Luther King Boulevard. Czułam zapach pączków z Krispy Kreme.

Garaż. Teraz nikt nie stał pomiędzy mną a tym, co chciałam zobaczyć.

Zrobiłam krok i ból rzucił mnie na kolana. Musiałam usiąść.

Usłyszałam zgrzyt. A potem chrobot.

Miałam ochotę położyć się i zwinąć w kłębek.

Ten metaliczny odgłos, po którym rozlegało się echo zniszczenia, powtarzał się raz za razem.

Przez minutę. Może przez dwie.

Zgrzyt i chrobot.

Wydawało mi się, że minęła wieczność, nim ból w moich wnętrznościach ustał. Próbowałam się podnieść, ale przez cały czas musiałam o coś się opierać.

Zgrzyt i chrobot.

Kiedy wstałam, sięgnęłam po plecak.

Dzwoniły mi zęby, a pot zalewał twarz, kiedy postawiłam kilka niepewnych kroków. Bolało mnie niemal wszystko. Zanim dowlokłam się do końca podjazdu, plecak wypadł mi z rąk. Z trudem się zgięłam, by go podnieść. Miałam tak poobcierane dłonie, że sięgałam po niego w żółwym tempie.

Zgrzyt i chrobot.

Miałam połamane paznokcie. W każdym palcu czułam taki ból, jakby pękało mi serce. Zgrzyt. Chrobot.

Płacz. Zdawało mi się, że słyszałam płacz. Wszystkie te odgłosy dobiegały do mnie raz za razem. Metaliczny zgrzyt.

A zaraz potem chroboczący dźwięk. I coraz mocniejszy szloch.

Niekończący się cykl odgłosów zniszczenia i rozpachy dobiegał z tyłu domu.

Ten zgrzyt wytrącał mnie z równowagi. Nie od razu, ale jego tempo i częstotliwość działały mi na nerwy.

Zakłócał moją wędrówkę, której celem było odkrycie prawdy. Ten straszliwy chrobot sprawiał, że miałam ochotę uciekać. Powstrzymywał mnie jednak przed tym odgłos płaczu.

- Destiny? - zawołałam zbolalym głosem.

Zgrzyt. I przerażający chrobot. I nasilające się zawrodozenie. Szloch wznosił się i opadał, a potem rozlegał się bulgot, jakby Destiny rozpaczliwie chwyciła powietrze, tonąc we własnych łzach.

- Destiny? - zawołałam ponownie.

Zgrzyt. I jego straszliwe chrzęszczące echo. Płacz przybierał na sile.

Dotarłam do furtki, otworzyłam ją, a potem dowlokłam się do drzwi.

Destiny była w kuchni. Siedziała na krześle w kuchni o ścianach w tonacji jasnej żółci i zieleni.

Zgrzyt i jego chrobotliwe echo. I coraz mocniejszy płacz.

U jej stóp leżał worek marynarski. Stałam na szczycie schodów i oparta o drzwi patrzyłam, jak sięga do worka i wyciąga stamtąd stos płyt i rzu-

ca je na kuchenny stół. Nie widziała mnie, bez reszty pogrążona we własnym świetle. Świecie, którego nie potrafiłam pojąć. Miotła się niespokojnie, wyszarpując płyty z opakowań, których mnóstwo walało się po podłodze, i z pasją wpychając je do przemysłowej niszczarki dokumentów. Musiał to być model wyposażony w noże z solidnej hartowanej stali. Niszczarka pożerała płyty bez protestów i wahania.

Kolejna porcja płyt i kolejna sterta rozdeptanych opakowań na podłodze.

Zgrzyt ustał. Skończył się chrobot.

Pozostał tylko szloch.

Wzięłam głęboki oddech.

- Destiny? - powiedziałam.

Odskoczyła od stołu, szeroko otwierając oczy i zaciskając pięści. Rozpoznała mnie. Rozluźniła dłonie i spojrzała na siebie, a potem na cały otaczający ją bałagan. Przyglądała ubranie i otarła oczy.

- Co się dzieje? - zapytałam. ' - Nic.

Odwróciłam się i ruszyłam w stronę garażu. Zdążyłam zrobić parę kroków, kiedy dopadł mnie skurcz. Upadłam. Destiny wybiegła na zewnątrz.

- Nie odjeżdżaj stąd - powiedziała.

- Nigdzie nie jadę.

Jeden z jej kucyków był rozplątany. Zmieniła ubranie. Miała teraz na sobie białą spódniczkę i klapki. Na wymiętym podkoszulku widniał napis „Ze niby jaka Katrina?”. Podeszła do mnie, stawiając równe kroki. Uśmiechała się delikatnie.

- Pozwól, że ci pomogę.

Popatrzyłam na nią niepewnie i wtedy dostrzegłam w jej dziecinnych oczach to samo, co widziałam w ciepłym spojrzeniu Keitha. Miłość i dobroć. Wcielenie czułości. Dostrzegłam chromosomy, które dał jej ojciec.

Te same chromosomy, które połączyły się z moim jajeczkiem i moimi chromosomami.

Destiny pomogła mi wstać. Odżyła we mnie furia i znów spojrzałam w stronę garażu.

- Dokąd idziesz? - zapytała, ocierając łzy.

Pojękując, wróciłam do mojej pierwotnej misji. Słyszałam za sobą stukot kłapek. Destiny wciąż szła w dziwnie miarowym tempie. Nie próbowała mnie zatrzymać. Nikt nie zastępował mi drogi i dotarłam wreszcie do przykrytego samochodu. Silnik był jeszcze ciepły. Właśnie do tego silnika prowadził ślad płynu chłodniczego, tak jak ślady krwi wskazują trop rannej zwierzyny. Tyle zwierząt zostało zranionych tej nocy.

Destiny podeszła, nadal stawiając odmierzone kroki. Wdziałam, jak zaciska zęby i wykrzywia twarz.

Jej chód był nienaturalny. Musiało ją coś boleć. Rozpoznałam w jej ruchach cierpienie, bo sama czułam się podobnie.

Mój mózg próbował podsumować wszystko to, co widziałam, ale ostateczny wynik nie trzymał się kupy.

- Co ci się stało? - zapytałam.

- Nic.

- Jesteś ranna?

- A czemu o to pytasz?

- Miałaś krew na ubraniu.

- Nie, nie miałam.

- To dlaczego wbiegłaś do domu i się przebrałaś?

- Często zmieniam ubrania.

- Kiedy wysiadłaś z auta... zdaje mi się, że widziałam... czy ty trzymałaś nóż?

- Pilniczek do paznokci.

- Dlaczego płakałaś w kuchni?

- Nie płakałam.

- Wdziałam cię. Posłuchaj... jeszcze nie zwariowałam, do cholery. Przecież widziałam, że płaczesz.

- Płakałam, bo... - głos jej zadrżał - dziadek powiedział, że mama jest w szpitalu.

Tego się nie spodziewałam. W myślach zobaczyłam siebie i jej matkę w tamtym korytarzu.

- Twój ojciec cię szukał, wiesz o tym? Myślał, że jesteś z matką, a twoja matka myślała, że...

- Myślała, że jestem z tatą. Wiem.

- Powinnaś zadzwonić na jego komórkę, żeby wiedział, że wszystko z tobą w porządku. Żeby wiedział, gdzie jesteś.

Nic nie odpowiedziała. Na jej twarzy pojawił się smutek.

Opuchniętymi palcami chwyciłam plandekę okrywającą samochód i szarpnęłam. To nie było łatwe. Nie potrafiłam podnieść jej ponad poziom kół. Miałam już zrezygnować, kiedy z pomocą przyszła mi Destiny. Zaskoczyło mnie to.

Miałam ochotę krzyczeć. Chciało mi się płakać, ale wzięłam tylko głęboki oddech. Moje ciało przeniknął dreszcz.

- Twoje palce krwawią - powiedziała Destiny.

To był benz. Ciemnego koloru. Kulejąc, obeszłam samochód i zobaczyłam, że prawa strona jest rozbita. Brakowało prawego reflektora i lusterka, a na uszkodzonej karoserii było pełno śladów czerwonego i zielonego lakieru. Wciąż czułam ciepło silnika i nienawiść bijącą od tego jednookiego potwora. Otaczała mnie woń wyciekającego płynu chłodniczego. Opary wrogości.

Nie byłam obłąkana, ale czułam, że prawda mnie przytłacza.

Destiny zobaczyła uszkodzenia i w jej delikatnym głosie pojawiła się nuta paniki.

- Co się stało z samochodem?

- Destiny... Chcę, żebyś zadzwoniła na dziewięćset jednaście.

- Co się stało? Powiedz mi tylko, co...

- Posłuchaj mnie. Chcę, żebyś weszła do domu i wezwała policję. Zrób to w tej chwili.

Oddaliła się biegiem. Wróciła do domu.

Najpierw zapaliło się światło. Rozbłysło w matowym oknie na rogu budynku. Potem zgasło i znów rozległ się zgrzyt. A po nim chrobot.

Wpatrywałam się w koniec podjazdu, czekając, aż pojawi się stary człowiek.

Zgrzyty i chrzęsty ucichły.

Destiny wróciła, ocierając oczy. Jej kroki znów sprawiały wrażenie odmierzonych. Każdy z nich był jak echo cierpienia. Przyniosła ze sobą rolkę papierowych ręczników i butelkę wody utlenionej.

- Wyciągnij ręce - powiedziała nerwowo przełykając ślinę.

- Wezwałaś policję?

- Tak, zadzwoniłam. Już tu jadą.

- Dzięki. Przykro mi, że wciągam cię w sam środek tego gówna.
- Co się dzieje?
- Muszę iść. Muszę stać przed domem, kiedy przyjedzie tu policja.
- W/ciągnij ręce. Możesz dostać zakażenia.

Zrobiłam, co mi kazała. Nie chciałam, żeby coś stało mi się w ręce. Musiałam być w stanie grać na mojej takamine. Wyjść na scenę wraz z Sy, Sim-fani, Chante Carmel, Inobe i Hope oraz wszystkimi siostrami, które się tym zajmowały. Musiałam. Destiny połała wodą utlenioną moje rozharatane ciało i patrzyła, jak musujący płyn ścieka mi po zakrwawionych palcach. Potem delikatnie otarła mi dłonie papierowym ręcznikiem. Każde muśnięcie piekielnie mnie bolało, ale starałam się nie zwracać na to uwagi. Zacisnęłam mocno szczęki i próbowałam przedostać się na drugą stronę tej udręki. Nie byłabym w stanie zagrać na gitarze niczego przyzwoitego. Na pewno nie od razu, na pewno nie tymi dłońmi i palcami, które tak bolą.

Zniszczyli mi ducati. Teraz odbierali mi moją muzykę.

Moje dziecko.

Kiedy coś stracisz, dociera do ciebie, jak bardzo tego pragniesz i jak było to dla ciebie oczywiste.

Destiny otworzyła małe blaszane pudełeczko. W środku były opaski elastyczne, gaza i bandaże.

Poczułam ból w dole brzucha. Ogarnął mnie strach. Nie chciałam sprawdzać, czy krwawię albo płamię. Nie tutaj.

- Posłuchaj mnie, Destiny - powiedziałam. - Policja będzie tu za minutę.

- Yhm - zadygotała.

- Twój dziadek mnie zaatakował.

- On... dziadek... powiedział, że ty go napadłaś.

- Widzisz ten samochód? Są na nim ślady czerwonego i zielonego lakieru. Lakieru dwóch innych samochodów. A oderwane lustro zostało w Santa Monica.

- Powiedział, że przyjechałaś tu i na niego napadłaś.

- Destiny... ten samochód w waszym garażu... on wszystko wyjaśni.

- Bądź spokojna.

Odłożyła wodę utlenioną i rolkę ręczników na bok, po czym zaczęła owijać mi dłonie gazą. Niezbyt dokładnie, ale lepsze to niż nic. Kiedy

skończyła, włożyła rękę do kieszeni i wyjęła plastikową buteleczkę aleve. Spojrzała na nią i potrząsnęła, grzechocząc.

- Billie... - powiedziała - może... może powinnaś zażyć jedną.
- Co ty robiłaś z tymi płytami?
- Nic. Takie tam stare filmy i tyle.
- Twoja matka jest w szpitalu, a ty siedzisz sobie w kuchni i szatkujesz jakieś stare filmy?
- Ludzie robią dziwne rzeczy, kiedy są... kiedy są...
- W stresie?
- Tak. Kiedy są w wielkim stresie, robią dziwne rzeczy.
- Twoja matka... ona miała atak astmy. Bardzo poważny atak.
- A ty byś nie płakała, gdyby twoją matkę odwieziono do szpitala z atakiem astmy?

- Ja...? Tak. Płakałabym.
 - Więc mi też wypada płakać.
- Jej logika. Przytaknęłam. To był przewrotny argument.
- Muszę stąd wyjść - powiedziałam.
 - Kiedy tu przyjadą... co masz zamiar powiedzieć policji?
 - Prawdę.
 - Muszę wiedzieć, co się stało.

- Kiedy zobaczą ten rozbity samochód... to więcej niż słowa. Spojrzała na samochód, potem na mnie bardzo zmieszana, przerażona, cholernie niespokojna.

W jej oczach dostrzegłam spojrzenie Carmen. Patrzyła tak samo jak Miss Ruth. Widziałam w jej oczach błyski, które nie wróżyły niczego dobrego. Przeniknął mnie dreszcz, kiedy pomyślałam sobie, że ten obłąkany stary skurwiel kazał Destiny zatrzymać mnie tutaj aż do jego powrotu. Ze być może pojechał po coś, czym mógłby mnie załatwić. Albo po dywan, w który zamierzał owinać moje ciało. Znajdowałam się w samym środku rodzinnej konspiracji.

Zostać tam było głupotą, ale wciąż kierował mną bezgraniczny ból, niepohamowana wściekłość i dzikie hormony.

Po części chciałam, aby ten starzec wrócił, zanim zjawi się policja. Chciałam spojrzeć mu w twarz, kiedy zobaczy, że odkryłam jego sekret. Chciałam dokończyć to, co zaczął. Chciałam oddać mu swój ból.

Ale mój ból był tak wielki, że mogłam przegrać i tę bitwę, i całą wojnę.

Musiałam wstać. Musiałam się podnieść i dojść do końca podjazdu. Chciałam być tam, by móc pomachać na nadjeżdżający radiowóz. Chciałam dokładnie przemyśleć sobie moją wersję wydarzeń. Ze odstawiłam tylko samochód Carmen do domu jej rodziców, a wtedy ten stary skurwiel mnie zaatakował. A ja przypadkowo zobaczyłam ten rozbity samochód w jego garażu. Pieprzyć to. Napadł na mnie. Przyjechałam tu autem jego córki, a ten szaleniec mnie napadł. Rozsądek mówił mi, że powinnam znaleźć się z dala od tego domu, może spróbować dotrzeć na drugą stronę bulwaru i tam czekać. Ale ból odpowiadał, że będę miała szczęście, jeśli uda mi się dowlec do drogi.

Ból zwyciężył w tej dyskusji, przygwożdżając mnie do miejsca, w którym siedziałam. Byłam uwięziona na podjeździe przed domem człowieka, który próbował mnie zabić. Palce bolały mnie potwornie.

- Może... powinnaś... jedną taką... poczujesz się lepiej - powiedziała roztrzęsiona Destiny.

- Trzeba by więcej niż jedną taką, żebyś poczuła się lepiej - odparłam, pokazując na buteleczkę aleve.

Destiny otada oczy.

- Nie jestem pewna, czy powinnam zażywać leki - dodałam.

- Tata powiedział mi, że jesteś w ciąży.

- Tak.

Staralam się myśleć pozytywnie. Podtrzymywać to, co chciałam, aby było prawdą, nawet gdyby miało okazać się tylko snem.

Destiny spojrzała na fiolkę, pomyślała przez chwilę i wyjęła dwie tabletki. Nie zwracałam na nic uwagi. Mój umysł był zaprzątnięty faktem, że miałam wypadek, że mój motor został całkowicie zniszczony, a skurwiel, który próbował mnie zabić, właśnie uciekł dużą czarną terenówką. To wszystko nie miało sensu.

- Więcej niż jedna - wyszeptała Destiny.

- Co mówisz? - zapytałam.

- Miałaś rację. Powinnaś zażyć więcej niż jedną.

Aleve. Destiny potrzasała dłonią, na której leżały pigułki, i przygryzając dolną wargę, wpatrywała się w ziemię. Połknęłam obie na sucho. Wytrząsnęła z buteleczki dwie następne i podała mi je.

Na jej twarzy pojawił się zbolący uśmiech. Odpowiedziałam jej takim samym grymasem. Nawet uśmiech wywoływał ból.

Powinłam była zostać w szpitalu. Powinłam była pozwolić, żeby mnie zbadano zaraz po wypadku.

- Słyszałaś, że ona zabiła swoje dziecko? - odezwała się.

- Jakie dziecko?

- Dziewczyna, która mieszka po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko mojego ojca. Ta, której dziecko cały czas płakało. Ma na imię Davina. Miała małego chłopczyka. I zabiła go. Utopiła to dziecko w wannie. Wariatka. To się stało tej nocy. Policja zabrała ją w kajdankach. Ojciec jej dziecka dostał szału. To on znalazł je utopione w wannie.

- Tej nocy?

- Kilka godzin temu - jej wargi drżały. - Myślisz, że to jakiś znak?

- To musiała być depresja poporodowa. Siostra była w stresie.

- Nie wierzysz w Boga?

- Wstydziałabym się nawet pomyśleć, że kobieta mordująca bezbronne dziecko to jakiś znak.

- Dlaczego?

- Bo każde życie ludzkie jest... święte. Życie to coś... wyjątkowego. Kurwa. Jej dziecko nie żyje? To potworne.

Położyłam na brzuchu poranione ręce, obejmując tę istotę, którą nosiłam w sobie żywą albo i nie.

Desdny siedziała obok i zakłopotana kręciła głową.

Zdawało mi się, że przejechał wóz policyjny, ale z wyłączonym sygnałem. Tylko przemknął.

Chciałam wstać i dojść na koniec podjazdu. Spróbowałam, ale skurcze w dole brzucha znów osadziły mnie w miejscu.

Wzięłam kolejne tabletki w obolałą dłoń, trzymając je na rozprostowanych palcach. Nie chciałam brać żadnych lekarstw, ale musiałam zrobić coś, by stępić ból. Przenikliwy ból pulsujący w każdym zakątku mego ciała, które domagało się natychmiastowej ulgi. Moje obrzmiałe palce potrzebowały czegoś, co położy kres ich udreć. Uniosłam dłoń do ust.

- Dzięki - powiedziałam.

Destiny wpatrywała się w swoje stopy i potrzasała głową. Zdawało mi się, że słyszę jej cichy szloch.

Połknęłam tabletki i spytałam:

- Dobrze się czujesz?

- Mama zrozumie - powiedziała, ocierając łzy. - Tata mi wybaczy.

Wszyscy będą szczęśliwi.

Owiało nas chłodne poranne powietrze. Powietrze tak zimne, jak zimny stał się ton jej głosu. Drżały jej usta, dziecięca twarz była rozpalona, a oczy mocno zaczerwienione. Zdawała się unosić i opadać jak w transie. Zostawiłam własny lęk i gniew, a skupiłam się na niej. Kołysała się, potrząsała głową, mamrotała coś i szarpała się za włosy, jakby chciała je wszystkie wyskubać.

- Ten świat jest... zły - głos jej się łamał.

- Co masz na myśli?

- Trzęsienia ziemi. Huragany. To martwe dziecko.

Niszczenie płyt. Nieustanny płacz. Dreszcze. Załamanie. To dziecko przechodziło załamanie.

- Wdziałam tamtą dziewczynę - powiedziała, zaciskając powieki. - Była martwa. To też był znak.

- Jaką martwą dziewczynę?

- Miała wypadek samochodowy. Zginęła na ulicy. - Kołysała się i płakała. - To też był znak.

Najpierw Carmen omal nie skonała na moich rękach, potem palma odbiła jej dziadkowi, a teraz to.

Destiny wciąż majaczyła o zabitych dzieciach i martwych kobietach. Chciałam od niej uciec.

Uniosłam się na nogi. Ból był prawie pod kontrolą. Prawie. Zrobiłam dwa kroki i z kieszeni wypadła mi książka. *Alchemik*. Próbowałam się schylić, ale nie byłam w stanie. Sięgnęła po nią Destiny.

- Zwinęłaś książkę mojej matce? - zapytała.

- Ta jest moja. Jej książka leży w samochodzie.

- Ty kradniesz, Billie?

- Sprawdź w samochodzie. Niezależnie od tego, co sobie o mnie myślisz albo co słyszałaś na mój temat, nic nikomu nie zabieram. Nie jestem złodziejką.

- Matka powiedziała, że chcesz odebrać nam pieniądze. Mroczny ton jej głosu wprowadził mnie w osłupienie.

- Co?
- Powiedziała, że kradniesz pieniądze przeznaczone na moje studia.
- Co?
- Ze nas szantażujesz - otada oczy - dlatego, że jesteś w ciąży.
- Nie chcę pieniędzy twojej matki. To ona przyszła do mojej pracy i sama zaproponowała mi pieniądze.
- Nie oczerniaj mojej matki - podniosła głos.
- Proponowała mi te pieniądze.
- Kłamiesz.
- Przyszła do mnie do pracy... sama mi zaproponowała...
- Kłamiesz.
- To szaleństwo.

Destiny znów zadygotała. Biedne dziecko, znów wyglądała na zdezorientowaną. Jakby chmury zasnuły mrokiem krajobraz jej umysłu.

- A teraz kradniesz mojej matce książkę - powiedziała z naciskiem.
- Czy wyglądam, jakby zależało mi na tej książce? Chcesz ją? Weź sobie.
- Ktoś podarował jej tę książkę na urodziny, a ty ją kradniesz.
- Policja powinna już tu być.
- Dość mi zabrano. To jest jak... gwałt. Nie pozwolę, aby ktoś nas... gwałcił. Nie możesz nas gwałcić.
- O co chodzi?
- To jest książka mojej matki.
- Powiedziałam ci, że książka twojej matki leży w samochodzie.
- A ty przez przypadek masz taką samą?

Wymierzonymi krokami podeszła do samochodu Carmen i zajrzała przez okno. Wyraz jej twarzy zmienił się, gdy odkryła, że nie jestem złodziejką.

- Przepraszam - powiedziała.
 - Nie jestem złodziejką, dziecko.
 - Proszę, wybacz mi. Pozwól, że ci pomogę.
- Jej słowa przeleciały mi koło uszu, kiedy upychałam z powrotem książkę w kieszeni. Miała przepraszającą minę. Utykając, oddaliłam się od niej. Ruszyła za mną.
- To będzie chłopczyk czy dziewczynka? Będę miała brata czy siostrę?

Jej głos stał się szczery.

- Nie wiem - odparłam łamiącym się głosem. - Za wcześnie, by to rozpoznać.

Dotarłszy do samochodu jej matki przypomniałam sobie, że w bagażniku wciąż leży mój kask. Podniosłam klapę, wyciągnęłam go i odwróciłam się w stronę Destiny.

Wpatrywałyśmy się w siebie. Córka Carmen. Wnuczka tego starego szaleńca.

- Wezwałaś policję? - spytałam.

- Przepraszam - pokręciła głową.

- Nie ma sprawy.

- Zadzwoiłam do babci. We, że tu jesteś.

- Jasne.

- Nie mogłam zadzwonić po policję. Nie zrozumiesz tego.

- Nie, nie ma sprawy. Rozumiem. Nie wiem, co mi strzeliło do głowy, że cię o to poprosiłam. Też bym nie zaszkodziła własnej rodzinie, niezależnie co by zrobiła. Przepraszam cię, że do tego wszystkiego musiało dojść.

Jedyne, co liczyło się w tym momencie, to uciekać, zanim wróci jej dziadek.

Ale było już na to za późno. Starzec pojawił się na końcu podjazdu, a wschodzące słońce oświetlało jego udręczoną twarz. Miał podwinięte rękawy i z trudem łapał oddech, a jego utykający chód brzmiał tak złowieszczo, jakby nadchodziła jakaś dziwna istota.

Normalny krok, sztywna noga, normalny krok, sztywna noga.

Chwycałam mocniej kask. Stary człowiek przede mną. Destiny za moimi plecami.

Przettrzymała mnie tu. Kłamała, zagadywała, robiła wszystko, aby mnie zatrzymać.

Starzec szedł prosto na mnie. Miał opuchniętą wargę i krew na twarzy. Kuśtykał wzdłuż podjazdu tak szybko, jak tylko mógł. Ścisnęłam kask gotowa wywinąć nim z całej siły i posłać jego sztuczną szczękę z powrotem na chodnik. Dostrzegł ten błysk w moich oczach. Zamachał rękoma w geście kapitulacji i ominął mnie szerokim łukiem. W jego oczach nie było furii. Szedł pośpiesznie w stronę Destiny.

Normalny krok, sztywna noga, normalny krok, sztywna noga. Patrzyłam, jak stąpa mozolnie, przez co odgłos jego kroków był taki nierówny.

- Co to za potworność się wydarzyła, dziecko? - zapytał.

- Co zrobiłeś, dziadku?

- Nie martw się, dziecko. Zrobiłem, co w mojej mocy. Opowiedz mi teraz wszystko, żebyśmy mogli załatwić resztę.

Znów polały się łzy.

- Nie mogę o tym mówić - kręciła głową. - Nie mogę. Przeszedł obok Destiny i stanął na wprost garażu.

- Moje nowiutkie auto... rozbite... dobry Boże.

Nie widziałam, jaką zrobił minę, mogłam jedynie czytać z jego gestów, słyszałam tylko jego zawodzący głos. Stał w miejscu i potrząsając głową, targał się za włosy.

Potem odwrócił się do mnie. Był przerażony. Dygotał. Składał i rozkładał ręce, a w jego oczach pojawiły się łzy. Ten stary człowiek wyglądał na kompletnie zdruzgotanego.

Ruszył w moją stronę.

Normalny krok, sztywna noga, normalny krok, sztywna noga.

Zatrzymał się o krok przede mną i wyciągnął z tylnej kieszeni spodni zmiętą kopertę. Grubą kopertę, wypchaną pięcioma tysiącami dolarów. Trzymał te pieniądze w wyciągniętej dłoni.

Pokręciłam głową. Na to nie starczyłoby wszystkich pieniędzy świata. Cofnął rękę i złapał się za włosy.

- Kobieto, powiedz mi... jest jakiś sposób, żebyśmy... co mam zrobić, żeby to naprawić? Powiedz mi.

- To ty chciałeś mnie przejechać samochodem swojej żony w piątek, prawda?

- Przepraszam... to nie było... moja córka... taka nieszczęśliwa... aż bolało patrzeć, jak cierpi.

Zrobiło mi się niemal żal tego starego człowieka. Niemal.

- Ile trzeba, żeby to załatwić? Powiedz mi? Ile? - zapytał. Zostałam upokorzona, próbowano mnie przekupić i zabić. Zostałam obrabowana. A teraz ten diabeł chciał wchodzić ze mną w układy.

Udało mi się wyjąć komórkę. Miałam mnóstwo nieodebranych połączeń i wiadomości tekstowych. Raheem próbował się do mnie dodzwonić co najmniej dziesięć razy. Tyle samo Viviane. Keith dzwonił i wysyłał SMS-y.

Dostałam też SMS-a od jednego z zaprzyjaźnionych motocyklistów. Informował mnie, że ktoś z naszego bractwa miał kilka godzin temu wypadek na Figueroa, ale nie napisał kto i jak do tego doszło.

Miałam ochotę zadzwonić do Keitha, ale nie chciałam, aby próbował mnie odwieść od tego, co musiałam zrobić.

To był trudny telefon, i fizycznie, i emocjonalnie, ale wybrałam 911. Powiedziałam im o usiłowaniu morderstwa i kazałam natychmiast przyjechać.

Starzec słyszał moją rozmowę. Słyszał mój gniew. Odwrócił się i pokuśtykał do domu.

Ruszyłam w stronę ulicy.

Destiny podbiegła do mnie i chwyciła za rękaw kurtki. Wyrwałam się gwałtownie. Paranoja podszeptowała mi, że chce mnie zaatakować. Ale nie chciała.

- Billie... Nie mogę tego zrobić. Nie mogę tego zrobić mojemu braciškowi. Albo mojej siostrzyczce.

- Czego zrobić?

- Nie wiem, jak... można być podłym wobec ludzi tak samo, jak oni są podli wobec mnie.

- Zostaw mnie, Destiny. Odejdź ode mnie.

- Wyrzygaj się, Billie.

- O czym ty mówisz?

- Proszę... tylko... tylko... Billie... wyrzygaj te tabletki.

BILLIE

Spojrzałam na jej twarz. Płakała. Jej prośba, abym zwymiotowała, niosła się echem w rześkim porannym powietrzu.

Destiny wciąż trzymała mnie za rękaw. Podeszliśmy do ściany budynku.

- Co mi podałaś? - warknęłam.

. - Zażyłam to samo. To powinno wszystko rozwiązać.

- Próbowalaś mnie otruć?

- Proszę, wyrzycaj to.

Odwróciłam się od niej i ruszyłam w stronę ulicy.

- Zaczekaj, Billie. Proszę, zaczekaj. Wysłuchaj mnie. Muszę ci to powiedzieć. Muszę.

Wciąż trzymała mnie kurczowo za ramię.

- Cokolwiek masz mi do powiedzenia, zrób to szybko i z sensem.

- Zostałam zgwałcona, Billie - powiedziała.

- Co?

- Zostałam zgwałcona.

- Dlaczego miałabyś opowiadać mi takie rzeczy, Destiny?

- Przez tych chłopaków, których poznałam... ta dziewczyna... oni dali mi te pigułki. Zrobili to ze mną.

- Niezła z ciebie aktorka, wiesz?

- Nie, mówię prawdę - zadygotała. - Zostałam zgwałcona. Patrzyłam na nią i miałam ochotę ją udusić, jeżeli nie powie czegoś, co będzie miało sens.

- Tabletki, które wzięłaś... - powiedziała. - Dostałam je od kogoś... proszę, wyrzycaj się.

- Ty też je wzięłaś.

- Wiem, wiem. Też je wzięłam. Musiałam.

- To dlaczego ty nie próbujesz rzygać?

- Dlatego, że... nie chcę być w ciąży. Nie chcę mieć dziecka... z gwałtu.

- Daruj sobie - wyrwałam się z jej uścisku. - To, co mi dałaś... to było aleve?

- Nie.

- To co, do kurwy nędzy, mi dałaś?

- To było... RU-486.

- Tabletki na poronienie?

- Tak... tak... tak bardzo mi przykro.

- Żartujesz sobie, prawda?

- RU-486.

- Po tych tabletkach... kobiety dostają infekcji bakteryjnych i umierają, wiesz o tym? Te tabletki mogą zabić mnie i moje dziecko. Chciałaś zabić mnie i moje dziecko?

- Nie, nie, nie - szlochała. - Wyrzygaj je, tylko je wyrzygaj. Rozchyliłam dłoń, którą zaciskałam przez cały czas. Destiny otworzyła szeroko załzawione oczy.

W mojej poharatanej ręce otulone w gazę tkwiły pigułki, które mi podała. Nie zażyłam ani jednej. Udawałam, że je łykam, aby nie robić jej przykrości. Wciąż miałam nadzieję, choć ból w dole brzucha mówił, że jest ona płonna. Nie chciałam zażywać żadnych leków, dopóki nie pozwoli na to lekarz.

Zbolały wyraz jej twarzy zamienił się w minę głupka, który powiedział zbyt wiele.

- Jak mogłaś zrobić coś takiego? - zapytałam.

- Zostałam zgwałcona - odpada.

- Przestań kłamać.

- Zostałam zgwałcona.

- Chciałaś zabić swojego brata albo siostrę.

- Wysłuchaj mnie, proszę wysłuchaj. Billie, ja zostałam zgwałcona w nocy z piątku na sobotę.

- A ty wysłuchaj mnie. Próbowalaś mnie zabić.

- Mama powiedziała, że nas szantażujesz, że chcesz zabrać nam wszystkie pieniądze, że będziemy biedni przez twoją chciwość, że mój tata będzie z tobą i zapomni o mnie, kiedy urodzisz to dziecko.

- Wy wszyscy próbowaliście mnie zabić.

- Ja... ja... chciałam to jakoś rozwiązać.

- Jesteście bandą chorych skurwieli.

- Nie jesteśmy chorzy.

- Jesteście chorzy.

- My tylko... się kochamy. Jesteśmy rodziną.

Sięgnęła po moje pigułki. Zaciśnięłam dłoń i cofnęłam ją gwałtownie.

- Naprawdę, Billie. Zostałam zgwałcona. Ale nawet jeżeli powiesz mojemu ojcu o tych tabletkach, nie mów mu o gwałcie. Proszę... nie mów mojemu tacie. Boję się. Jest mi wstyd. On mnie znienawidzi, kiedy się dowie.

Ta paranoja, upokorzenie i groza, które żyły w jej oczach, były nie do opisanania.

- Masz nieźle nasrane, dziewczyno. Odwróciła się ode mnie.

Gdyby moje ręce nie były poranione, gdybym nie była obolała, zadusiłabym ją na śmierć.

Sprawiała wrażenie, jakby chciała się zapaść pod ziemię.

- Nie wiesz, przez co przeszłam, Billie.

- Ty? - krzyknęłam. - A masz pojęcie, przez co, do cholery, ja przeszłam?

Przed domem zamigotały światła policyjnego radiowozu. Nareszcie przyjechali.

Teraz nikt już nie mógł mnie napaść. Nikt nie mógł próbować mnie rozjechać. Nikt teraz nie mógł mnie zaatakować.

Po raz pierwszy od dawna, a może po raz pierwszy w życiu poczułam się bezpiecznie na widok policji.

Dotarli na miejsce bardzo szybko, ale i tak po drugiej stronie ulicy mieli Krispy Kreme.

Destiny uciekła przed moją złością. Jej szloch zamienił się w niekontrolowany skowyt rozdieranego zwierzęcia. Chodziła, jak gdyby ból zagnieździł się między jej nogami. To były kroki przerażonego i zranionego dziecka.

Zaskrzypiała furтка, potem otworzyły się drzwi z tyłu domu i głośno trzasnęły.

Nie wiedziałam, w co wierzyć. Wiedziałam tylko, że muszę dowlec się do policjantów.

Nadjechały dwa kolejne radiowozy, które dołączyły do pierwszego. Przed domem pojawiło się pięciu policjantów. Odgłos ich kroków zbliżał się w moją stronę.

Wpatrywałam się w truciznę na mojej dłoni. Próbowwała mnie zabić.

Zacisnęłam z powrotem obolałe palce. Śmierć drzemała w moich opuchniętych rękach.

To była jedyna rzecz, którą wiedziałam na pewno.

Zanim dotarłam na środek podjazdu, przed domem zatrzymały się trzy kolejne samochody policyjne.

Ruch w alei stał się wolniejszy, a w kilku pobliskich domach zabłyśły światła. Inni sąsiedzi zerkali przez okna po ciemku. Każdy chciał patrzeć, ale nikt nie miał ochoty się mieszać.

Wkrótce potem pojawił się samochód Miss Ruth. Jechała bardzo szybko, a na miejscu pasażera siedział Keith. Usłyszałam jej podniesiony głos. Najpierw wydzierała się na policjantów, że blokują jej podjazd, krzyczała, że stoją na jej trawniku, a potem zasypała ich tysiącem pytań, nim wyłączyła silnik.

Stałam przed domem, próbując wytłumaczyć funkcjonariuszom coś, co nie miało dla mnie sensu, i pokazując palcem na stojącego w garażu jednookiego potwora, który mnie zaatakował.

Odezwały się skrzekliwe głosy krótkofalówek, a policjanci weszli do garażu, by zbadać rozbity wóz.

Albo Miss Ruth nie wiedziała, że jej mąż uszkodził mercedesa, albo była najlepszą aktorką, jaką kiedykolwiek widziałam.

- Williamie, co ty zrobiłeś? - zawodziła. - Co ty zrobiłeś? Wyjęłam z plecaka raport policyjny, jaki dostałam w Santa Monica,

i pokazałam go dowódcy patrolu. Powiedziałam, że kiedy znalazłam się przed domem, zostałam zaatakowana przez tego starego skurwiela. Dowodem były moje obrażenia. Były dowodem na to, że planował morderstwo dużo wcześniej.

- Jestem w ciąży - powiedziałam.

- Proszę się uspokoić.

- On wie, że jestem w ciąży.

- Proszę...

- On próbował zabić moje dziecko.

Drżącym od emocji głosem mówiłam, jak córka tego łajdaka naszła mnie w pracy. Opowiedziałam wszystko o Carmen, o jej groźbach i przekupstwie. O tym, jak cisnęła mi pieniądze w twarz. Jak staranował mnie ten samochód. Jak zostałam okradziona.

Dziadek Destiny, ojciec Carmen, ten stary człowiek, nie wymówił ani jednego słowa. Miss Ruth zaczęła krzyczeć, kiedy zakładano mu kajdanki.

W jego życiu zaczynał się etap liczenia karaluchów w miejscu, w którym jedni mężczyźni wyrządzają drugim okropne rzeczy. Po tym, co mi zrobił, miałam nadzieję, że będzie konał w powolnych męczarniach.

Keith próbował do mnie podejść i porozmawiać, ale puściły mi nerwy i krzyczałam, żeby trzymali go z dala ode mnie.

Nie ufałam już nikomu.

Miss Ruth wykrzykiwała coś z tak topornym akcentem, że nie mogłam zrozumieć ani jednego jej słowa. Keith stał z boku, odcinając się od teściów, i zaszokowany kręcił głową z niedowierzaniem. Stary skurwieli z rozciętą wargą i obrzmiałą twarzą siedział zakuty w kajdanki na tylnym siedzeniu radiowozu, patrząc tępo w dal i nie odzywając się słowem ani do policjantów, ani do swej żony. I ja, obolała, z rękami owiniętymi gazą i włosami w totalnym nieładzie, zapłakana i rozdygotana po tym wszystkim, przez co przeszłam. Przejeżdżające bulwarem samochody zwalniały, jakbyśmy wszyscy byli główną atrakcją z okazji parady w Dniu Martina Luthera Kinga.

Carmen leżała w szpitalu. Zostawili ją tam, gnając od jednej katastrofy do drugiej.

Brakowało tylko jednej osoby. Destiny. Córki Keitha. Wcielenia samego zła.

Rozejrzałam się za tym Antychrystem ubranym w anielskie barwy, z włosami spiętymi w kucyki. Nie zauważyłam jej nigdzie.

Ten wyraz rozpacz, który widziałam w jej wielkich oczach. Jej słowa „zostałam zgwałcona”.

Przedmiotem, który widziałam w jej ręku, była zakrwawiona brzytwa. Widziałam krew na jej ubraniu.

I ten jej dziwny chód, kroki odmierzane przez ból.

Była zbyt młoda, by prowadzić, a przyjechała dużą czarną terenówką.

Przeniknął mnie kolejny dreszcz, tak głęboki, że zmroził mnie aż do szpiku kości.

Kiedy ubiegłej nocy przez okno mej sypialni wleciała cegła, widziałam oddalający się szybko czarny samochód.

Potem próbowała mnie staranować terenówka w jasnym kolorze jak ta należąca do Miss Ruth.

I wyciekający z tego jednookiego potwora płyn chłodniczy... To mówiło samo za siebie.

Rozejrzałam się, wypatrując Destiny.

Nie było jej nigdzie. Przy tym wszystkim, co tu się rozgrywało, nie zjawiała się, by nieść pocieszenie, pomoc czy udzielić wyjaśnień. Uciekła do tego pokrytego sdukami siedliska zła i odizolowała się od całego dramatu.

Ale gdzieś z oddali dobiegały powtarzające się raz za razem zgrzyty i chrzęsty.

Dźwięki te nie ustawały, kiedy przyjechał ambulans.

- Jesteś motocyklistką? - zapytał sanitariusz.

- Skąd wiesz?

- Twoja kurtka.

- Ach tak. Zdążyłam już rozwalić swój motor.

- I tak masz szczęście. Właśnie przed paroma godzinami wieźliśmy dziewczynę. Miała wypadek na motorze. Bardzo poważny. Na Figueroa.

- Dziewczynę?

- Tak. Dziewczynę.

Zgrzyt i chrobot. Wciąż, raz za razem, w obłąkanym rytmie.

- Co to była za jedna? - zapytałam sanitariusza.

- Co proszę?

- Ta dziewczyna, która miała wypadek na Figueroa. Kto to był?

- Nie mam pojęcia.

- Czy to była Koreanka?

- Czarna. Uspokój się.

- Jestem zbyt obolała, by się uspokoić. Zgrzyt. Chrobot.

Kiedy wnoszono mnie do karetki, słyszałam te odgłosy, które niosły się echem po okolicy.

- Co tam trzymasz w ręce? - zaciekawił się sanitariusz.

Rozprostowałam palce i tabletki wysypały się na jego dłoń.

- Nie chcę tego - powiedziałam.
- Co to jest?
- W tym domu jest dziewczynka... ona mówiła, że... że to RU-486.
- Mifeprex? Zażywałaś Mifeprex?
- Nie, ale... powiedz policji... ta dziewczynka tam w środku... tam stoi jej ojciec... ta dziewczynka... ona ma piętnaście lat... widziałam, jak zażyła dwie takie. Zrobiła to kilka minut temu. Trzyma je w fiolce po aleve.
- Najpierw musimy odwieźć cię na izbę przyjęć.
- Teraz. Powiedz im teraz. Posłuchaj mnie. Ona może kłamać, mówić, że mi ich nie podała, ale to zrobiła. Powiedz, żeby zabrali ją do szpitala. Powiedz jej ojcu. Nie chcę, żeby umada.

BILLIE

Syreny wyły na moją cześć, a czerwone błyski wirowały, oznajmiając moje przybycie. Wraz z dręczącym mnie bólem i strachem znalazłam się w samym środku pandemonium. Izba przyjęć w Szpitalu Daniela Freemana była wypchana po brzegi.

Byłabym szczęśliwa, gdybym już nigdy nie musiała oglądać tego szpitala i już nigdy nie musiała wdychać smrodu chorych i rannych. Trzy razy. Byłam w tym miejscu trzy razy w ciągu ostatnich kilku godzin. Raz, żeby odwiedzić Q, piękną młodą dziewczynę, która została bez powodu napadnięta na Crenshaw. Za drugim razem nie miałam wyboru, musiałam przywieźć tu konającą żonę Keitha, a teraz wróciłam w to nieszczęsne miejsce jako pacjentka. Tym razem zrozumiałam, o co chodziło Carmen, kiedy mówiła o cmentarzu Inglewood Park po drugiej stronie ulicy. Rzut oka na nieuniknione wcale nie poprawił mi samopoczucia. Zastanawiałam się, czy moje bezimienne dziecko zasłużyło sobie na grób. Czy bezimiennym dzieciom wykuwa się nagrobki.

Być może byłam w malignie, ale odnosiłam wrażenie, jakbym się znalazła w ponurym surrealistycznym filmie, w którym wszystkie ruchy są spowolnione, wszystkie słowa mroczne i ociążałe, a światła zbyt jaskrawe, w którym widzę obojętne twarze i mijam nieznanymi mi ludzi, wciąż słyszę moje imię i wędruję niekończącymi się korytarzami.

Na moment zamknęłam oczy. Zobaczyłam tego starego szaleńca, który kuśtykał prosto na mnie.

Normalny krok, sztywna noga, normalny krok, sztywna noga.

Moim ciałem wstrząsnął nagły skurcz. Z jękiem otworzyłam oczy.

Po korytarzach snuło się ze zwieszonymi głowami kilku motocyklistów. Większość ze łzami w oczach.

Byli wstrząśnięci, widząc mnie w takim stanie. Szpital pracował na pełnych obrotach dzięki nocnym strzelaninom odbywającym się tradycyj-

nie co sobotę i jakiejś bijatyce w Casura Bay, z której przywieziono około trzydziestu ofiar.

Nie obchodziły mnie tragedie poturbowanych i postrzelonych. Odwróciłam głowę w stronę motocyklistów, posyłając im pytające spojrzenie.

Podeszła do mnie jedna z grupy dziewcząt ścigających się na sportowych maszynach. Powiedziała mi.

Śmierć okazała się gotowa sięgnąć po jedną z nas.

- Marcel? - zapytałam.

Skinęła głową. Zbyt przejęta, by mówić dalej.

- Niemożliwe. Tylko nie Marcel. Była jedną z najlepszych... jeżeli nie najlepszą... cholera.

Rozpłakałabym się, ale ocean łez w moich oczach był już suchy.

Słońce zaglądało przez okno. Leżałam z włosami rozrzuconymi na poduszce. Byłam ubrana w przechodnią szpitalną koszulę, a do ramienia miałam podłączoną kroplówkę. Opuchnięte oczy piekły mnie z niewyspania. W ustach czułam jakiś przykry smak. Palce pulsowały. Rwało mnie ramię i bolał dół pleców. Ledwie mogłam się poruszyć. Potrzebowałam pomocy, by dotrzeć do łazienki i z powrotem. Położono mnie w pokoju przeznaczonym dla dwóch osób, ale jak na razie miałam go wyłącznie dla siebie.

Przez okno miałam doskonały widok na położoną po drugiej stronie Prairie Boulevard sypialnię śmierci. Mogliby przynajmniej położyć mnie w pokoju z oknem wychodzącym na Sizzler albo Great Western Forum.

Najpierw usłyszałam niespokojne głosy. Słyszałam, jak pytają pielęgniarki o mój pokój i o to, czy mogą wejść. Potem otworzyły się drzwi i podbiegła do mnie Viviane. Jej kurtka z czerwonej skóry skrzypiała, a ciężkie buciory stukały po sterylnych kafelkach. Kask i plecak w ręku, rozkołysane długie warkocze. Moja przyjaciółka w całej krasie.

- Zaliczyłam glebę - powiedziałam na powitanie i poczułam się głupio. - Cholera, nie można cię zostawić samej ani na chwilę.

„Zaliczyłam glebę”. Dwa słowa, których motocyklista nie cierpi wypowiadać. To przyznanie się do nieostrożności, nawet jeśli wypadek nie był niczyją winą.

„Zaliczyłam glebę” to tak, jakby powiedzieć „dałam dupy”.

To rytualne przejście do kolejnego etapu, o którym wielu z nas już nigdy nie opowie.

Jacob stał tuż za Viviane. Cały ubrany w czarną skórę, w olbrzymich dłoniach trzymał kask i plecak, a na porośniętej szorstkimi włosami głowie miał zawiązaną czarną bandanę. Kiedy szedł, każdy krok jego wielkich stóp dudnił niczym grzmot.

- Jak się miewa mój ulubiony produkt japoński? - odezwał się Jacob.

- Masz za długi ozór, wiesz?

- Co się stało?

- I nie jestem produktem japońskim.

- Ale co się stało?

- Trzymaj się ode mnie z daleka, Jacob.

- Co ci zrobiłem?

- Gdyby palce nie bolały mnie tak cholernie, pokazałabym ci, co o tobie myślę.

Viviane usiadła w nogach łóżka, a cienki materac ugiął się pod jej lekkim ciałem. Patrzyła na mnie z wyrazem szczerzej troski i zakłopotania w oczach. Miałam jej tyle do opowiedzenia, ale starałam się zrobić to po kolei.

Opowiedziałam jej o tym, jak byłam ścigana po Wilshire Boulevard i o moim wypadku.

- Położyłam motor i pozwoliłam, żeby wysunął się spode mnie - powiedziałam.

- Jak zawodowiec - odezwał się Jacob. Viviane spojrzała na moje ręce.

- Ojciec Carmen? - zapytała.

- Tak.

- Usiłowanie zabójstwa?

- Usiłowanie zabójstwa. Ucieczka z miejsca wypadku. I wiele innych zarzutów.

- A co z dzieckiem? - zapytała Viviane.

- Jakim dzieckiem? - znów wtrącił się Jacob.

Długi Ozór nie wiedział. Albo też był cholernie dobrym aktorem.

- Ona jest... Hmm... Billie? - zmieszała się Viviane.

- Jestem w ciąży - powiedziałam.

Jacobowi szczęka opadła ze zdumienia.

Jestem w ciąży". Nigdy nie zdawałam sobie sprawy, jaką moc mają w sobie te słowa.

- Albo byłam. Muszę czekać i wszystkiego się dowiem - zwróciłam się do Viviane. - Jestem dopiero w szóstym tygodniu. O ile wiem, to bardzo krótko. Mówią, że wcześniej. Muszę czekać i będę pod obserwacją.

- Nie pozwól się przeświecać.

- Mówią, że prześwieceni są bezpieczne.

- Gadanie. Twoje dziecko może urodzić się z naroślami na skórze i dodatkowymi palcami. Powiedz im, żeby zamiast rentgena zrobili ci ultrasonografię. Nie stwierdzono, żeby takie badania były szkodliwe dla nienarodzonych dzieci. I żadnego rezonansu magnetycznego. To jest bezpieczne dopiero w drugim trymestrze.

- Viviane - musiałam ją przystopować. - Ja już to wszystko wiem. Jestem pod kontrolą.

- Jak się czujesz? - zapytała, wzdychając nerwowo.

- Mam skurcze.

- Krwawisz?

- Tak, krwawię - powiedziałam łamiącym się głosem. - I plamię. Obie wiedziałyśmy, co to oznacza. Promienie rentgena i fale dźwiękowe nie miały tu nic do rzeczy.

Moja koreańska przyjaciółka zaczęła płakać.

- Tak mi przykro, Billie.

- Nie mów tak, jakbym pragnęła tego dziecka. Sama wiesz. Nie przy moich dochodach i stylu życia.

- Czy mogą oskarżyć tego gnoja o morderstwo pierwszego stopnia? Usiadłam, słysząc to pytanie. Łzy wzbierające w jej oczach budziły we mnie cierpienie. Nie chciałam teraz być smutna, nie chciałam się denerwować, nie chciałam już wylewać ani jednej cholernej łzy. Chciałam zmienić temat.

Odchrząknęłam, ale mój głos wciąż drżał.

- Jak się miewa Q?

- Nie siadaj, Billie.

Nie zwracając na nią uwagi, podniosłam zagłówek łóżka do pozycji siedzącej.

- Czuje się już lepiej?
- Jej stan się ustabilizował. Trudno powiedzieć, że jest z nią lepiej.
- Policja domyśla się, kto mógł to zrobić?
- Daj spokój. Myślisz, że policja kogoś szuka? Nie umarła, więc to dla nich sprawa małego kalibru.
- Mówisz, jakby było w tym coś złego.
- To pojebane, co mówię. Pierdoły. Zwyczajne pierdoły.
- Słownictwo, Viviane - odezwał się Jacob. Machnęła na niego ręką.
- To dlatego musiałam wkroczyć do akcji i wziąć sprawiedliwość w swoje ręce - powiedziała.
- Co to ma oznaczać? - zapytałam.

Viviane i Jacob popatrzyli po sobie, wymieniając niespokojne konspiracyjne spojrzenia. Jacob, rozcierając nadgarstek, przyglądał się swojej ręce, a Viviane najpierw uniosła dłoń ku twarzy, a potem zaczęła nerwowo bawić się włosami. Rumieniec oblał jej policzki.

- Ujmę to tak - powiedziała. - Gdyby policja zadawała jakieś pytania, byłam przez całą noc z tobą.
- Zaraz. Ty? A gdzie ja byłem do cholery? - krzyknął Jacob.
- Obydwoje byliśmy z tobą przez całą noc - poprawiła się Viviane. Po raz kolejny zapytałam, co się stało, i po raz kolejny wymienili ukradkowe spojrzenia.
- Zadzwoił ten chłopak i chciał się czegoś dowiedzieć o Q. Jakiś chłopak, który przedstawił się D'André. Odebrałam telefon. Martwił się o nią. Powiedział, że z nią był, kiedy została napadnięta.
- Co?
- I powiedział, dokąd pojechali ludzie, którzy z nią byli.
- Ludzie? Było ich więcej?
- Nie wiem dokładnie. Ale powiedział mi, kto prowadził. Kto porzucił moją siostrę na ulicy. Skurwiel widział, że jest ranna, i ot tak sobie odjechał.
- Gdzie byli?
- W Casura Bay. Pojechaliśmy tam.
- Nie - przerwał jej Jacob - ty tam pojechałaś. Nie chciałaś poczekać na wsparcie.

- Q jest moją siostrą - zachnęła się. - Tylko to się dla mnie liczyło.
- Rodzina - przytaknęłam. - Ona jest twoją rodziną.
- Tak - odpada Viviane, próbując się uspokoić. - Jest moją rodziną.

Wychowywała się przy mnie.

- I zrobiłabyś dla niej wszystko.
- Wszystko, co w mojej mocy.

W telewizyjnych wiadomościach spiker relacjonował wszystkie sensacyjne wypadki minionej nocy. Typowe wiadomości dla ludzi żyjących w kraju pełnym autostrad, gdzie panuje piękna pogoda i rosną palmy.

Tego ranka, nawet po tym wszystkim, co przeszłam, nie okazałam się warta zainteresowania mediów.

- Nikt z nich nie jest ranny tak ciężko jak moja siostra - Viviane zmarszczyła czoło. - Nikt nie walczy o życie, nikt nie został oszpecony. Nikt nie został napadnięty z powodu głupoty i uprzedzeń.

Przez chwilę uśmiechałyśmy się do siebie ze współczuciem. Bo kobiety porozumiewają się w milczeniu.

- Przerażasz mnie, Viviane - powiedziałam.

Jej zirytowana twarz mówiła mi, że jest gotowa zmienić zarówno kanał w telewizji, jak i temat rozmowy.

- Jesteś pewna, że to zrobił ojciec Carmen? - spytała z dociekliwą miną.

- Znalazłam tego mercedesa u nich w garażu.

- W jego garażu?

- Myślę, że nie zdążył go ukryć. Prawdopodobnie atak astmy Carmen pokrzyżował mu plany.

Viviane nie miała pojęcia, o czym mówię. Opowiedziałam jej o moim wtargnięciu do domu Carmen. O tej sukni ślubnej, wibratorze, filmie i astmatycznej rozmowie w drodze do szpitala.

- Zazdrość? - zdziwiła się Viviane. - Ta suka naprawdę użyła tego słowa?

- Zapropozowała, że Keith może być ze mną w dzień, pod warunkiem, że będzie wracał do domu na noc.

- To musi być niezłe - odezwał się Jacob.

- Zamknij się - powiedziałyśmy obie jednocześnie. Jacob roześmiał się chrapliwie.

- Cholera. - Viviane przeczesła palcami włosy, odgarniając je z twarzy po to, by za chwilę znów opadły jej na oczy. - Opowiedz mi o wszystkim, co się stało, Billie.

- Kiedy ty i Jacob zerkacie na siebie tak nerwowo, mam ochotę zadać wam to samo pytanie.

Położyła kask w nogach łóżka i usiadła obok mnie. Zauważyłam, że skorupa kasku jest popękana i brakuje osłony. Viviane miała zaczerwienioną twarz i kilka drobnych siniaków.

- Nie mów, że też się wywaliałaś na motorze - powiedziałam.

- Nie wywaliałam się, ale zrobiliśmy małą rozwałkę.

- Jak Bonnie i Clyde - wtrącił Jacob, wyglądając przez okno. - Pieprzone kurestwo.

- Słownictwo, Jacob - Viviane zgromiła go wzrokiem.

Widać było po niej, że wdała się w jakąś bijatykę. Miała opuchniętą szczękę, a Jacob zapamiętał rozcierał prawy nadgarstek.

- Długa historia - westchnęła Viviane. - Nie jestem pewna, czy powinnaś teraz tego wszystkiego słuchać.

Puściła oko do Jacoba, jakby był jej wielkorękiem czarnym rycerzem w motocyklowych butach.

Jacob parzył na nią jak mężczyzna, który jest gotów dla swej kobiety zrobić wszystko. Wszystko.

- Wdziałam przy wejściu, że koło izby przyjęć kręci się pełno motocyklistów - zaniepokoiła się Viviane.

Nie wiedziała o Marcel. Powiedziałam jej, co usłyszałam. W oczach Viviane znów zakręciły się łzy.

- Raheem też tu jest - powiedziała.

- Hej, plotkarzu, zdążyłeś już zadzwonić po swojego wkurzającego koleżkę?

Jacob pokręcił głową.

- Ktoś napadł jego bratanicę - odpad.

- Niemożliwe.

- Możliwe.

- Cholera, co się stało?

- Była niedaleko swojego akademika przy uniwersytecie stanowym - wzruszył ramionami. - To wszystko, co wiem.

BILLIE

Lekarz przyszedł mnie zbadać. W pokoju zrobiło się trochę za ciasno, więc moi goście wyszli. Viviane powiedziała, że zajrzy do swojej siostry i pojedzie do domu, aby przywieźć mi czyste ubranie.

Jacob musiał iść załatwiać sprawy ze swoim synem. Ze swoją rodziną.

Po drugiej stronie Prairie Boulevard ciemnoskórzy mężczyźni kopali dwumetrowe doły w ziemi.

Powiedziałam lekarzowi, że chcę wrócić do domu. Uspokoił mnie i obiecał, że zobaczy, co da się zrobić, ale że wszystko zależy od mojego stanu i wyników badań. Kiedy poszedł, usiadłam na łóżku i włączyłam lokalne wiadomości.

Przyszli policjanci. Znow z mną rozmawiali. Chcieli, żebym potwierdziła to, co mówiłam o wypadku. Potem poszli.

Spacerowałam po korytarzach. Minęli mnie rozhisteryzowani dziadkowie, którzy pędzili, by zobaczyć, czy ich wnuczka została oślepią. Minęły mnie kobiety spieszące w odwiedzinach do swego przyjaciela, któremu przestrelono penisa. Przyjaciółki dziewczyny, której ktoś okaleczył twarz i piersi. Rodzice dzieciaków, które połamały sobie ręce i nogi, upadając z drugiego piętra w motelu. Z kroplówką u boku torowałam sobie drogę przez to pandemonium jęków, łez i dramatów, które pomogło mi przemknąć niepostrzeżenie obok dyżurki pielęgniarek. Moje myśli i uczucia zabierały mnie na wyprawę, kierując w stronę windy. Niemowlęta. Wybrałam się, by popatrzeć przez szybę na niemowlęta. Tyle przepięknych śpiących dzieci. Stałam przy oknie i wpatrywałam się w nie. Machałam do nich.

- Które jest twoje? - zapytała przechodząca pielęgniarka.

Uśmiechnęłam się. Poszła dalej.

Jakaś kobieta jęczała. Jej zmęczony głos niósł się echem po całym korytarzu. Pielęgniarki chodziły tam i z powrotem obojętne na te odgłosy cierpienia. Poszłam śladem tych jęków i stanęłam w drzwiach jednej

z sal. Samotna. Nie miała na palcu obrączki. Nikogo przy niej nie było. Zmagła się z gwałtownymi skurczami.

Tym razem nie uciekłam. Poprzednio się wystraszyłam. Teraz bez pytania, bez lęku, weszłam do sali, usiadłam obok niej, wzięłam ją za rękę i powiedziałam, że wszystko będzie dobrze.

- Oddychaj - powiedziałam.

Ścisnęłam jej dłoń i razem robiłyśmy wdęchy i wydechy.

Siedziałam przy niej, dopóki nie przysza pielęgniarka. Wtedy pocałowałam dłoń tej nieznanym, wstałam i wyszłam, trzymając statyw kroplówki.

Może pewnego dnia ktoś zrobi to samo dla mnie.

Kiedy wróciłam do swego pokoju, przyszedł do mnie lekarz. Tym razem miał złe wieści. Już wiedziałam. Znałam moje ciało. Wysłuchanie jego słów było tylko oficjalnym potwierdzeniem.

- Przykro mi - powiedział.

- Dam sobie radę - otarłam łzy.

Ścisnął moją dłoń, potrzymał przez chwilę i wyszedł. Czekają na niego inne pacjentki.

Wyszłam z pokoju i ocierając łzy, kroczyłam korytarzem.

Byłam wściekła.

Tak cholernie wściekła.

I smutna.

Nie byłam już mamą.

BILLIE

Keith stał w korytarzu przed moimi drzwiami. Miał wymięte ubranie i zaczerwienione oczy. Oznaki życia pełnego udręk. Zobaczył mnie i ruszył pędem w moją stronę. W jego ruchach było tyle niezdarności. Jakby nie potrafił się ze mną przywitać.

Coś było nie tak. Widziałam to w jego twarzy. Może nie byłam z nim od osiemnastu lat, ale znałam tego mężczyznę całkiem nieźle.

Ponieważ się wahał, odezwałam się pierwsza. Z gniewnym uśmiechem spojrzałam mu prosto w oczy.

- Już nie jestem w ciąży, Keith.

- Jak to...?

- Kiedy miałam wypadek. Mocno uderzyłam o ziemię. Nie pozwoliłam się zbadać, kiedy przyjechałam tu z Carmen. Ironiczne, co? Uratowałam twoją żonę. Uratowałam twoją córkę. I straciłam dziecko. Straciłam moje dziecko.

- Nie.

- Powiedz swojej żonie, że może zatrzeć ręce. I niech powie swojej mamie i tatusiowi, żeby zrobili to samo. Nie jesteśmy już w ciąży, Keith. Dziecko poszło do nieba. Koniec zmartwień o koszty utrzymania. O wydatki na przedszkole. O Chuck E. Cheese. Ale na tym nie koniec. Teraz będzie proces. Będzie wyrok, przy którym koszty utrzymania dziecka to drobnostka. Powiedz temu staremu skurwielowi i jego żonie, aby szykowali się do sprzedaży domu.

Wyminęłam go i ruszyłam w stronę mojego pokoju. Keith dogonił mnie i szedł obok w kłopotliwym milczeniu. Otworzył mi drzwi, a potem wszedł za mną do pokoju.

- Jak ona się czuje? - zapytałam. - Jak się czuje Mała Panna Destiny?

- Jest w Cedars-Sinai. Ma płukanie żołądka.

- Lepiej, że to ona, nie ja.

- Nie tylko z powodu tych pigułek. Nie wiemy, co jest w jej organizmie.

Jeszcze wczoraj bym się tym przejęła. Ale nie było wczoraj. W moim życiu wzeszło nowe słońce. Podeszłam do okna i patrzyłam, jak ciemnoskórzy mężczyźni przygotowywali kolejne mieszkania dla umarłych.

Opadam dłoń na brzuchu. Na moim niespełnionym marzeniu.

Doświadczylam śmierci, po której miało nie być pogrzebu. Żadnego nagrobka, gdzie mogłabym przyjść i rozpaczać.

- Wciąż próbuję zrozumieć wszystko, co się dzieje. - Keith był spięty.
- Jak do tego wszystkiego doszło.

- No cóż, musisz zrozumieć jedno. Twoja słodka dziewczynka usiłowała mnie otruć.

- Ale jej się nie udało.

Zamadam. Patrzyłam na niego, nie mogąc uwierzyć, że coś takiego powiedział.

- Keith, gdybym przyłożyła załadowany rewolwer do twojej głowy, ale nie pociągnęła za spust, potrafiłbyś o tym zapomnieć?

-Billie...

- Potrafiłbyś?

- Billie...

- Podała mi te cholerne tabletki wywołujące poronienie. Chciała zabić moje dziecko. Powiedziała mi, że chciała je zabić. Możesz więc powiedzieć swojej ukochanej córeczce, żeby też zatada ręce.

- Powiedziała ci, żebyś je zwymiotowała, prawda? Mówiła mi, że tak zrobiła. A ty nie zażyłaś tych cholernych tabletek.

- Bronisz jej? Mogła mnie zabić, a ty odwiedzasz mnie w szpitalu, żeby jej bronić?

- Ona nie próbowała zabić ciebie, Billie.

- Próbowała zabić swojego nienarodzonego brata lub siostrę. Ledwie trzymam się na nogach, trafiam do szpitala, a ty jej bronisz? Masz czelność przychodzić do mnie po tym wszystkim, co przeszłam, i bronić tego potwora?

Keith stał przede mną, trzymając się kurczowo za włosy. Wzbierał w nim gniew. Jeśli kiedykolwiek miałam utwierdzić się w przekonaniu, że między nami nie może się wydarzyć już nic dobrego, że ten związek, o ile to, co pozostało z tego trupa, można nazwać związkiem, należałoby przenieść na drugą stronę ulicy i złożyć w ziemi, nastąpiło to właśnie teraz.

- Po co tu przyszedłeś, Keith? - zapytałam.
 - Nie potrafię wyjaśnić, dlaczego Destiny to zrobiła. Mogę jedynie powiedzieć, że to było złe. Ze popełniła błąd.
 - Jesteś jej ojcem. Pomagałeś ją wychowywać. A teraz ona próbuje mnie otruć, a ty nazywasz to błędem. Błędem jest, kiedy sięgasz po rybę, a powinieneś wziąć kurczaka. Gdzie jest jej kodeks moralny?
 - Masz rację. Nie mogę usprawiedliwiać tego, co próbowała zrobić, ale weź pod uwagę to, że ci powiedziała. Może i dała ci te tabletki, ale powiedziała ci o tym. Ona ma serce. Czuje coś. Ma sumienie. Ona nie jest potworem. Jej czyny tego dowiodły. To nie jest złe dziecko.
 - A gdybym umarła, czy ten potwór nadal byłby dobrym dzieckiem?
 - Ona nie jest potworem.
 - Potwór, potwór, potwór.
 - Zrzucić winę na prawdziwe źródło naszych cierpień. Na Carmen. Na jej ojca.
 - Kiedy się pojawiła, widziałam krew na jej ubraniu. Trzymała w ręku brzytwę. Widziałam dokładnie. Twój teść zniknął wraz z samochodem, którym ona przyjechała, i wrócił na piechotę. Co to wszystko miało znaczyć?
 - Billie... muszę z tobą o tym porozmawiać. Potrzebuję twojej pomocy.
 - Mojej pomocy?
 - Opowiadałaś policji o tym, co widziałaś? - zapytał ściszym głosem.
 - Co?
 - Co powiedziałaś policji? Muszę wiedzieć, co im powiedziałaś.
- I to był powód, dla którego przyszedł Keith. Przynajmniej takie odnosiłam wrażenie. Nie chodziło mu o mnie. Chodziło mu o jego piętnastoletnią córkę. O jego aniołka. Przyszedł do mnie, by zdobyć informacje, które pomogłyby mu ochronić ją od odpowiedzialności za wszystko, co popełniła.
- Boisz się, że powiem im o tych tabletkach, Keith? - zapytałam. - Czy o to ci chodzi? - Nie. Nie o to.
 - Opowiem policji o tym, co widziałam, Keith. Kiedy znowu przyjdą ze mną rozmawiać, a przyjdą, opowiem im o tym, co widziałam. O krwi. O brzytwie. O tym, jak twoje dziecko ruszczyło w domu jakieś płyty. Opowiem.

Keith płakał. Dygotał.

Wydawał słabe, stłumione dźwięki. Dławił się tym, co usiłował powiedzieć, i zmagał się z sobą, poruszając językiem, jakby miał usta wypełnione żyletkami. Próbował odzyskać spokój, a jego oddech stał się wytężony, jakby miał zamiar wraz Tomem Cruise'em pogrążyć się w obłędzie. Zmagał się z każdym słowem i przegrywał tę walkę.

- Destiny... została... zgwałcona - wykrztusił.

Upłynęła chwila, zanim dotarło do mnie to, co powiedział. Dostrzegłam jego napięcie, niepohamowane emocje, całe jego cierpienie, ale potrząsnęłam głową. Ból, który czułam, przypominał mi, że to ja mam krew pomiędzy nogami. Zaciśnęłam zęby i cedziłam słowa pełne gniewu, który zasnuł mrokiem moje serce.

- Nie rób mi tego, Keith. Nie baw się ze mną.

- Powiedziała mi, że mówiła ci o tym.

- To kłamczucha i wiesz o tym dobrze. Zerwała się z domu, została przyłapana, a teraz taka historyjka. A może gwałtem było to, jak przyznała się, że próbowała mnie otruć? Daj spokój, człowieku.

- Wiem, że to kłamczucha, wiem, że robi złe rzeczy, ale teraz mówi prawdę.

- Skąd wiesz?

- Bo... wiem, że ona teraz nie kłamie. Po prostu wiem. Musisz mi pomóc.

- Wżeniłeś się w rodzinę psychopatów i kłamców, ot co.

- Moje dziecko zostało odurzone narkotykami i zgwałcone - jego głos przybrał na sile. - Ci skurwiele nagrali to na DVD.

- To wszystko jest na DVD? Skinął głową.

Znów usłyszałam te metaliczne dźwięki.

Zgrzyt. Chrobot. Zgrzyt. Chrobot. Zgrzyt. Chrobot.

Kiedy jej dziadek był zakuwany w kajdanki.

Kiedy wkładano mnie do ambulansu.

Zgrzyt. Chrobot. Zgrzyt. Chrobot. Zgrzyt. Chrobot.

- Bóg wie, ile zrobili kopii... z moją córką... i sprzedawali to gównem na ulicach. To, co wyrządzili mojemu dziecku... Ona może kłamać, ale ja nigdy nie okłamałbym ciebie. Oni sprzedawali to na płytach. To są po--

twory, Billie. To właśnie stamtąd wracała, kiedy spotkałaś ją na parkingu. Właśnie została zgwałcona. Bała się wrócić do domu. Zgwałcili ją i porzucili, jakby była jakimś śmieciem. To dlatego uciekła ostatniej nocy. Wróciła do tego... żeby znaleźć tych ludzi. Żeby dostać te tabletki. Żeby mieć pewność, że nie zajdzie w ciążę z żadnym z tych skurwieli. Byłam kompletnie zbita z tropu. Odjęło mi mowę.

- Myślisz, że kłamię? Robią jej płukanie żołądka. I badania, czy nie jest czymś zarażona.

- O psiakrew.

- Wiem, że to nieodpowiedni moment. Ale moja córka nie jest potworem. Moja córka jest ofiarą. To oni są potworami. Nie żądam od ciebie, byś kłamała. Nie żądam, abyś kładła na szali swoją wolność. Tylko nie poruszaj tego tematu. Powiedz policji o wszystkim, co stało się tobie i naszemu dziecku. Powiedz im prawdę. Albo nieprawdę. Nie obchodzą mnie wszyscy inni. Rodzice Carmen zapłacą za to, co zrobili. Ale moja córka... wyrządzono jej coś strasznego... zgwałcono ją... proszę cię tylko, byś nie wspominała o niczym, co widziałaś. Nie wiem, co widziałaś, ale po prostu o niczym nie mów. Mają samochód, którym zostałaś zaatakowana, mają zeznanie Wiliama. To wystarczy. Możesz ich pozwać, pozwać Carmen, pozwać mnie, zrobić, co tylko zechcesz... ale jeśli w twoim sercu tlą się jeszcze resztki miłości do mnie... próbuję jakoś pomóc Destiny... nie mam czasu, by dociekać, gdzie jest wina... więc... proszę, jeśli masz trochę współczucia...

- Współczucia? - krzyknęłam.

- Nie proszę o to dla siebie. Próbuję chronić Destiny. To wszystko.

- Waśnie straciłam moje dziecko. Czy masz pojęcie, przez co przeszłam? Nawet jeśli twoja ukochana dziewczynka powiedziała mi, żebym zwymiotowała, najpierw podała mi te cholerne pigułki. Zmieniła zdanie, ale miała zamiar uśmiercić moje dziecko. Nie mam pojęcia, co jeszcze zrobił ten potwór, ale... Destiny powinna zostać pociągnięta do odpowiedzialności za swoje czyny.

- Wiem. Zgadzam się. Ale weź pod uwagę okoliczności... Kurwa. Co ja do cholery mam robić, Billie?

- Odwodzić mnie od powiedzenia o wszystkim policji? Nic nie możesz zrobić. Straciłam moje dziecko, Keith. Stoję przed tobą w szpitalnej

koszuli, a jedyne, co ciebie teraz obchodzi, to Destiny? Moje dziecko nie żyje, a ty przychodzisz do mnie z czymś takim. Żadnych kwiatów. Żadnej kartki. Przynosisz mi kolejną porcję bzdur? Nie przyszedłeś tutaj nawet z powodu naszego dziecka. Naszego dziecka. Myślisz, że zasłużyłam na to, co mnie spotkało? Tak myślisz? Myślisz, że obchodzi mnie teraz Destiny albo Carmen, albo któreś z tych...

- Czy słuchasz tego, co do ciebie mówię? Moje dziecko zostało zgwałcone.

- Moje dziecko zostało zamordowane.

- Nie mogę zmienić tego, co zrobił ojciec Carmen. - Keith próbował zebrać myśli. - Gdybym mógł to odwrócić, zrobiłbym to. Wszystko to... jest ciężkie dla mnie, Billie.

- Destiny żyje.

- Myślisz, że ja nie cierpię tak samo jak ty?

- Wiem tylko, że Destiny żyje, a moje dziecko jest martwe.

- Nasze dziecko jest martwe.

- Nasze dziecko? - wybuchnęłam. - Wiesz co? Nigdy więcej nie mów, że to było twoje dziecko. Nigdy więcej nie obrażaj mnie, mówiąc w ten sposób. Jeśli sobie roisz, że to było twoje dziecko, to obudzę cię i skopię ci tyłek. Zabiję cię, jeśli będziesz rościł sobie prawa do mojego dziecka. Zabiję cię i przysięgam na Boga, że... jesteś cholernym potworem. Wiesz co? Jesteś cholernym potworem, Keith. Przychodzisz do mnie do szpitala, kiedy krwawię, i prosisz mnie o pomoc? Nie zasługujesz nawet, żeby na ciebie splunąć.

Ktoś zapukał do drzwi, które po chwili się otworzyły. Stała w nich jedna z pielęgniarek. Robiliśmy za duży hałas. Keith przeprosił i odwrócił zalaną łzami, zaczerwienioną twarz do okna. Podeszłam do pielęgniarki. Zobaczyła ogień w moich oczach. Zapytała, czy wszystko jest pod kontrolą. Odpowiedziałam jej, że nie dzieje się nic, nad czym nie mogłabym zapanować. Powiedziała mi, że lekarz robi obchód i prawdopodobnie zajrzy do mnie w ciągu godziny i że mogą już wypisać mnie do domu, gdybym chciała zostać wypisana. Zapewniłam ją, że bardzo chcę opuścić to miejsce.

- Jesteś pewna, że wszystko w porządku? - zapytała.

- Powiedz lekarzowi, żeby podpisał, co trzeba, i mnie wypuścił.

Kiedy wyszła, stanęłam za plecami Keitha. Jego odbicie w szybie wyrażało więcej cierpienia, niż sama w tym momencie czułam. Psychicznego cierpienia. Ale nie udało mu się nawet zbliżyć do emocjonalnej udręki, którą przeżywałam. Ominął mnie i usiadł.

Podniósł na mnie wzrok. Jego otoczone czerwonymi obwódkami oczy wciąż błagały mnie o odpowiedź.

Otaczało go więcej skał i niebezpieczeństw niż Odyseusza, kiedy płynął między Scyllą i Charybdą. Kiedyś byłam skłonna towarzyszyć mu w tej straszliwej podróży. Ale to było kiedyś.

Znów rozległo się pukanie do drzwi. To była Viviane. Tym razem przyszła sama. Zamieniła swój skórzany uniform na dżinsy i sandały. Rozplotła warkocze i jej długie włosy spadały kaskadami na plecy. Na twarzy miała makijaż i ciemne okulary. Przyjechała swoją czterokołową bryką, a w rękę trzymała plecak wypchany moimi ubraniami. Wchodząc, zobaczyła Keitha i zrobiła zaskoczoną minę.

Keith płakał, w milczeniu błagając o łaskę dla swej córki.

- Zapomnij, że kiedykolwiek mnie znałeś. Wymaż z pamięci moje imię. A gdybyś mnie kiedyś zobaczył, przejdź na drugą stronę.

Nie zwracając uwagi na Viviane, Keith ze zwieszoną głową wyszedł ociężałym krokiem z mojego życia.

Miał rację. W pewnym momencie był zmuszony dokonać wyboru.

Ja również.

BILLIE

Słońce podsycalo mój gniew. Ten sam gniew, który kipiał we mnie, kiedy zapaliły się pierwsze promienie świtu. Ten gniew był wszystkim, co miałam.

Viviane wiozła mnie do domu. Za oknem przesuwał się cmentarz Inglewood Park. Potem widziałam to miejsce wiecznego spoczynku w lusterku wstecznym, dopóki nie rozplynęło się całkowicie w miejskim krajobrazie.

Viviane milczała od chwili, kiedy wybuchnęłam w szpitalu. Po tej żalostnej rozmowie potrzebowałam zmierzyć się ze swoją rozpaczą w samotności. Wyszła na moment i wróciła, kiedy ją zawołałam.

Chciałam rozmawiać, ale nie o moich problemach. Czulałam się jak rekin, który musi się poruszać albo umiera.

- Czy wiadomo już, kto napadł Q? - spytałam.

- Ci gnoje rozpierzchli się jak karaluchy. Tchórze. Wątpię, żeby wrócili do Casura Bay.

- Koniec poszukiwań?

- Nie, dopóki nie znajdę dziewczyny, która pobiła moją siostrę. Brat, którego szukaliśmy, dupek, który wiozł całe towarzystwo i porzucił moją siostrę na ulicy, przepadł, kiedy ja i Jacob... Przepadł.

- I co teraz?

Wzięła ciężki i nierówny wdech.

- Muszę skupić się na Q. Pomóc jej dojść do siebie - powiedziała.

- Biedaczka.

- Jeśli kiedyś dowiem się, kto to zrobił...

- Uspokój się.

- ..to będzie jak w Donkey Kong. O tak. To będzie jeden wielki łomot.

Los Angeles żyło całą pełnią. Ruch na ulicach był agresywny jak nastolatki z getta. Środkowy palec wciąż wędrował w górę, kiedy ludzie zajeżdżali nam drogę. Zatrzymałyśmy się przed przejazdem kolejowym. Za opuszczonym szlabanem przetaczał się pociąg, jadąc równolegle do Flo-

rence Avenue. Przed nami zarzył się rój czerwonych świateł. Kilku motocyklistów przemknęło między samochodami, zostawiając nas w tyle tkwiących w blaszanych klatkach. W myślach byłam razem z nimi, przeciskałam się poboczem na sam przód. Nigdy nie zaznałam tego, jak nieznośny potrafi być ruch, kiedy jeździłam na swoim ducati. Kiedy dosiadałam swojego motocykla, świat zamieniał się w wielki tor przeszkód. - Jak się czuje twoja mama i ojciec Q? - zapytałam. - Jak oni to znoszą?

- Nawet mnie nie wkurzaj. Jej ojciec jest, jaki jest. Cóż mogę powiedzieć o tym durnym...

- Brzmi nieciekawie.

- Nie mam pojęcia, co moja matka w nim widzi. Bo ja kompletnie nic.

- Twoja matka była zdruzgotana. Postaraj się jej pomóc.

- Postaram się. Zawsze to robię. Nie jestem pewna, czy sama da sobie z tym radę. To jej dziecko. Czuje się winna, że nie potrafi do niej dotrzeć. Jest przekonana, że cokolwiek dzieje się z Q, to jej wina. Do tego ciągle musi pracować. Tak samo ojciec Q. Więc to wygląda tak, jakby Q wpadała do nas tylko na moment.

- Spokojnie. Może liczyć na mnie. Dla mnie też jest młodszą siostrą. Viviane wzruszyła się, a kiedy jej emocje sięgały szczytu, nie potrafiła utrzymać języka za zębami. Przełamała się i opowiedziała mi wszystko. Opowiedziała mi dokładnie o tym, jak odebrała telefon od chłopca, który przedstawił się jako D'André i którego ruszyło sumienie. I jak od razu zbiegła na dół, wskoczyła na motor i pojechała do Casura Bay w poszukiwaniu dziewczyny, która napadła Q. Opowiedziała mi o tym, jak jeden z napotkanych tam chłopców jej ubliżał.

- W życiu nie widziałam tylu wykolejonych i okrutnych dzieciaków naraz. Ci chłopcy... ich poglądy na to, co znaczy mężczyzna... to wszystko wyglądało jak koszmarny hipopowy teledysk. I te dziewczyny, takie naćpane. Pozwalały prawie na wszystko, i to na oczach innych. Wszędzie pełno ecstazy.

- I to są ci ludzie, z którymi zadawała się Q.

- Jacob... zadzwoniłam po niego... a on wszystko zostawił... wezwał niańkę i przyjechał do mnie od razu... musiałabyś go zobaczyć... nie zdawałam sobie sprawy, że potrafi tak za mną stanąć. Rozpędził całe to parszywe towarzystwo. Tłukł tych gnoi jak Mike Tyson.

- Jak Mikę Tyson?

- Jak Mike Tyson za starych dobrych czasów, nie ten mięczak, który teraz nie potrafi ustać na ringu. Mówię o tym Tysonie, który w ciągu dwóch minut posyłał Leona Spinksa na deski.

Słuchając jej słów, zdałam sobie sprawę, że Keith nigdy nie zostawił dla mnie wszystkiego.

Keith mówił mi, że mnie kocha, ale ostatecznie nigdy o mnie nie walczył.

Nie dawałam tego po sobie poznać, ale cieszyłam się razem z Viviane. Nieważne, przez co przeszłam, ale cieszyłam się jej szczęściem. Każdy pragnie być szczęśliwy, a ona na to zasługiwała.

- Mówisz, jakby cię to podkreśliło - powiedziałam.

- Nawet nie wiesz jak. Powiedział mi, że jestem jego kobietą i że mnie kocha i nie pozwoli, żeby ktokolwiek mi ubliżał. Miałam ochotę go wtedy przelecieć. Na szczęście obydwójce siedzieliśmy na motocyklach. Obciągnęłabym temu szaleńcowi jak stąd do Daniela Freemana i z powrotem.

- Daj spokój.

- Mówię serio. Wiem, że to nie jest najlepszy moment, by o tym opowiadać, ale przysięgam na Boga, że bym mu obciągnęła.

- No cóż, z tego, co opowiadałaś, nie byłoby to wielkim wyzwaniem.

- Cholera. Wem, że przeżywasz teraz ciężki okres, Billie. Jest mi trochę głupio. Opowiadam o Jacobie. Ale on jest taki cudowny. Nigdy nie spotkałam faceta, który by mnie tak kochał. Nigdy. Ale jeśli chodzi o seks... Cholera. To jest naprawdę kłopotliwe, wiesz? Jak myślisz, co powinnam zrobić?

- Szczerze?

- Szczerze.

- Porozmawiaj z nim. Jacob to w porządku facet. Namów go, żeby kupił parę tych pompek do powiększania penisa.

- Żartujesz sobie, nie?

- Mówię poważnie. Tu chodzi o mięsień.

- Nie jest miło powiedzieć facetowi, że ma za małego, żeby cię ujeździć, nie sądzisz?

- Nie musisz mu tego mówić. Jestem pewna, że on o tym wie. Zrób z tego grę. Grę erotyczną. Musisz mu go wygimnastykować. Jest tyle różnych technik. Może się przydać Kamasutra.

- Żartujesz?
 - Tam jest o tym, jak mężczyzna może powiększyć i wydłużyć penisa.
I różne takie rzeczy.
 - Te bzdury pomagają?
 - To normalne ćwiczenie. My pracujemy mięśniami Kegla, żeby się zacisnąć, a oni, żebyśmy miały je na czym zaciskać.
 - Czy to działa?
 - Widziałaś Keitha nago, prawda?
 - O cholera.
 - No właśnie.
 - Dlaczego mi nie powiedziałaś?
 - Myślałam, że wiesz.
 - Skąd miałabym coś takiego wiedzieć? Bo jestem Koreanką?
 - Bo jesteś rąbnięta. Naszyjnik z pereł, po grecku, po rosyjsku.
Myślałam, że wiesz wszystko.
 - Nienawidzę cię, Billie. Ależ ja cię teraz nienawidzę.
 - Och, przestań marudzić. Jeśli jesteś zainteresowana, mogę wypisać ci wszystkie ćwiczenia, które robił.
 - Dać ci długopis?
- Parsknęłyśmy śmiechem. Pociąg przejechał i ruch znów ożył.
- Be czasu coś takiego zajmuje? - spytała.
 - Koło roku. Tak myślę.
 - Psiakrew.
 - Może mniej.
 - Fajnie. Będzie gotowy akurat na ślub.
 - Jaki ślub?
 - Poprosił mnie, żebym za niego wyszła.
 - Kiedy?
 - Jakąś godzinę temu. Myślę, że ostatniej nocy zobaczył też moje drugie oblicze. Nie jestem taka grzeczna, za jaką mnie uważał. To go podkręciło. Powiedział mi, że był zachwycony, kiedy wymachiwałam kaskiem.
 - Zaraz. Poczekaj. Poprosił cię o rękę godzinę temu?
 - Tak.
 - I co powiedziałaś?
 - Nie odpowiedziałam mu.

- Dlaczego?
- Byłam zajęta. Nie mogłam rozmawiać.
- Co robiłaś?
- Nie myśl o mnie źle - roześmiała się - właśnie... Hmm... robiłam mu najlepszego loda, jakiego kiedykolwiek zaznał.
- Zaraz. Godzinę temu byliście w szpitalu. Uśmiechnęła się.
- A jak tam Cottrell?
- Kto?
- Kevin. Koleś, którego spotkałaś w Barnes & Noble dwa dni temu. Co z nim?
- Ale o kim mówisz? Roześmiałyśmy się.
- Mężczyzna ci się oświadcza... - powiedziałam.
- Yhm...
- .. kiedy to ty jesteś na kolanach. To się nie liczy. Śmiałyśmy się jeszcze bardziej.

Viviane ostrym łukiem skręciła w La Brea. Książka, którą podarował mi Raheem, spadła z deski rozdzielczej i wylądowała mi na kolanach. Nie byłam w nastroju do czytania, ale przyjrzałam się okładce. To była baśniowa opowieść o wędrowce śladem własnych marzeń. Byłam ciekawa, czy Raheem celowo dał mi akurat tę książkę. Przewracanie stron sprawiało mi ból, ale potrzebowałam czymś zająć myśli. Kiedy otworzyłam książkę, zobaczyłam na stronie tytułowej czarny ślad grubego markera. Ta książka była już podpisana. W pierwszym momencie pomyślałam, że może Raheem ofiarował mi cenny egzemplarz z dedykacją brazylijskiego pisarza. Jeszcze raz się myliłam. Książka była podpisana, ale nie przez Paulo Coelho.

- Viviane... spójrz na to - powiedziałam.

Rzuciła okiem na to, co właśnie zdążyłam przeczytać. *Dla Carmen. Od Raheema. Z miłością.*

BILLIE

Pięć dni później umówiłam się z Raheemem w Starbucksie. Obydwoje mieliśmy na sobie dzinsy i podkoszulki.

Siedziałam przy tym samym stoliku, przy którym zaledwie parę dni temu rozmawiałam z Keithem.

Na czterech palcach miałam opatrunki, a zadrapania na dłoniach nie dawały mi się już tak bardzo we znaki.

Było wczesne popołudnie, kilka godzin po nabożeństwie żałobnym za Marcel. Na parkingu zebrało się całkiem sporo motocyklistów, ale nikt nie miał ochoty na popisy.

Śmierć jednej z nich sprawiła, że przynajmniej przez jakiś czas inni byli ostrożniejsi.

Raheem i ja, popijając kawę, wymieniliśmy kilka słów na temat tej tragedii. Nie wspomniałam o propozycjach Marcel, ale uzmysłowiłam Raheemowi, że nawet najlepsi z najlepszych w mgnieniu oka trafiają do ziemi.

Po części żałowałam, że nie przyjąłam wtedy jej wyzwania. Gdybyśmy ścigały się tamtej nocy, kiedy spotkałam ją w Jerry's Deli, wszystko potoczyłoby się inaczej dla każdej z nas. Czasem mój mózg pozwalał sobie na takie fantastyczne spekulacje.

Nie poruszaliśmy tematu mojego poronienia. Ta rana była zbyt świeża. Rozmawialiśmy za to o jego bratanicy. Jej stan był stabilny, ale po napadzie zostały jej dość poważne obrażenia.

- Dwieście szwów - powiedział Raheem.
- Wiadomo, o co w tym wszystkim chodziło?
- Powiedziała, że właśnie wyszła z Denny's. Uczyła się przez całą noc - wzruszył ramionami. - Stała na parkingu, obok swojego samochodu. Nie ma pojęcia, kto ją zaatakował.

- Obrabowali ją?
- Nic nie zginęło.
- Napadł ją mężczyzna czy kobieta?

- Zdawało się jej, że to była kobieta. Ale nie widziała twarzy.
- Są tam jakieś kamery?
- Żadnych. I ani jednego świadka.
- To paskudnie - powiedziałam.
- Ma pociętą twarz.
- To było przestępstwo w afekcie.
- Jaka to różnica? - zmarszczył brwi.
- To zmienia postać rzeczy. Oznacza, że to były porachunki osobiste.
- Skąd wiesz?
- *Prawo i porządek. Kryminalne zagadki Las Vegas.* Oglądam wszystkie odcinki. Przestępstwo w afekcie. Uwierz mi.
- Moja bratanica nie ma wrogów.
- Każdy z nas ich ma.
- Ona nie ma wrogów. Wszyscy ją lubią.
- Możemy nie wiedzieć, kim oni są, możemy nie być świadomi ich istnienia, ale każdy z nas ma wrogów.

Na stole leżała książka, którą mi podarował. *Alchemik*. Otworzyłam ją na stronie tytułowej.

- Skoro już mowa o wrogach. Zdaje się, że dostałam od ciebie nie ten egzemplarz - powiedziałam.

Uśmiechnął się do mnie. To był ciepły, szczery uśmiech. Wypił łyk kawy i zaczął mówić.

Raheem, egzotyczny mężczyzna z Ameryki Południowej, urodzony w Tegucigalpie.

Carmen, piękna kobieta o wyspiarskich korzeniach.

Kochankowie.

Nie.

Byli kochankowie.

Siedzieliśmy przy stoliku. Do Starbucksa wracało życie. Niektórzy motocykliści zbierali się do wyjścia, przyszło kilku nowych. Ulicę przystrojoną palmami wypełniała delikatna bryza. Od strony parkingu pod ścianą budynku mieszczącego bar TGLF zbierali się szachiści. W swoim wydzielonym zakątku siedzieli Etiopczycy, uśmiechali się i rozmawiali.

Alchemik leżał na środku stolika, oddzielając nas niczym mur.

Dla Carmen. Od Raheema. Z miłością.

- Jakież sześć miesięcy temu wszystko gwałtownie się skończyło - powiedział.

- Tak właśnie się skończyło? Z miłością?

- Tak. Z miłością.

- Kochałeś ją?

- Takim już jestem mężczyzną, Billie. Nie boję się kochać.

- Jeśli byłeś w stanie zakochać się w takiej suce jak ona, to z twoją moralnością musi być coś nie tak.

- „Miłość nie zaczyna się i nie kończy w taki sposób, jak mogłoby się nam wydawać”.

- Paulo Coelho?

- James Baldwin. Napisał to dawno temu, ale jego słowa wciąż są prawdziwe. Nie można kochać na własnych warunkach. Miłość nie przychodzi ot tak. Baldwin powiedział, że miłość to bitwa. Ze miłość to wojna.

- A jak potoczyła się twoja wojna?

- Waśnie ci powiedziałem. Moja wojna skończyła się ponad pół roku temu. Na polach bitew zdążył już opaść kurz.

Wyglądało na to, że ich związek rozpadł się mniej więcej w tym samym czasie, kiedy natknęłam się na Carmen i jej rodzinę. Nie, nie natknęłam się na Carmen i jej rodzinę. Natknęłam się na Carmen i jej sforę. Ten dzień w Manhattan Beach był jednym z tych zwrotnych momentów, które zmieniły życie każdego z nas. Byłam tajemnicą Keitha. Raheem był sekretnym kochankiem Carmen. Spotkanie ze mną wszystko zmieniło.

- Kiedy spotkałeś się z nią po raz ostatni? - zapytałam.

- Nie widziałem Carmen od prawie sześciu miesięcy. A potem zobaczyłem ją w ostatni piątek, w dniu, kiedy kłóciłaś się tutaj z jej mężem. Tuż po tym, jak oblałaś kawę mój garnitur. Ty sobie poszłaś, a ja zbierałem się do wyjścia i wtedy właśnie ona pojawiła się w drzwiach. Spojrzeliśmy na siebie, a potem przeszła obok mnie, jakbym nigdy nie istniał. Obejrzałem się i widziałem ją, jak wchodzi za tobą do damskiej toalety.

Nie chciałam tego już słuchać. Ale chciałam się dowiedzieć więcej.

- Jak długo się spotykaliście?

- Niedługo.

- Co znaczy niedługo?
 - Krócej niż trzy miesiące.
 - Faza romantyczna.
 - Być może.
 - A potem próbowałeś mnie poderwać?
 - Próbowałem się z tobą zaprzyjaźnić.
 - Bzdura. Dlaczego wybrałeś... dlaczego akurat ja? Trzeba naprawdę nie lada odwagi, żeby się na to porwać.
 - Daj spokój. Między mną i Carmen było już po wszystkim, kiedy się do ciebie odezwałem.
 - Byłeś z nią blisko?
 - Tak. Przez chwilę.
 - Gdzie się poznaliście?
 - W Starbucksie.
 - No proszę...
 - Wszyscy w Los Angeles poznają się w Starbucksie. Tak samo w Atlancie.
 - Zaczepiłeś ją?
 - To było obustronne. Staliśmy w kolejce. Myślałem, że stoję przed nią. Potem usiedliśmy, zaczęliśmy rozmawiać.
 - Kto to przerwał?
 - Ona. Powiedziała, że mąż nie chce dać jej rozwodu.
 - No cóż, to kłamstwo - zachichotałam.
 - Teraz już wiem. Wtedy nie wiedziałem.
 - A jak... Dlaczego próbowałeś do mnie zagadać?
- Powiedział mi, że jakieś sześć miesięcy temu przyszedł na spotkanie z Keithem. Chciał z nim odbyć męską rozmowę, żeby oczyścić atmosferę i wszystko wyjaśnić. Znalazł go. Keith siedział w Starbucksie i czekał na mnie.
- Przyjechałaś na motocyklu... pojawiłaś się tuż przede mną i pode-szłaś do niego, zanim ja zdążyłem to zrobić - opowiadał Raheem.
 - Miałaś wysokie obcasy. Skórę. Trudno nie obejrzeć się za kobietą, która nosi żółty skórzany kostium. I miałaś taki piękny chód. Jak prawdziwa kobieta. Nie mogłem od ciebie oderwać wzroku.
 - Powinnam to potraktować jako komplement.

- Ale tego nie robisz.
- Nie, kiedy słyszę takie rzeczy od zbrojnego.
- Jestem po prostu szczery.
- Nie, Raheem - pokręciłam głową. - To nie jest komplement. Nie.
- Obserwowałem cię przez kilka miesięcy. Wypytywałem o ciebie. Widziałem cię wszędzie, gdzie poszedłem. Nawet kiedy wstąpiłem do sklepu Ducati oddalonego stąd o ponad trzy tysiące kilometrów, zobaczyłem cię na ścianie. Byłaś tak blisko mnie, a zarazem tak daleko. Od początku martwiłem się o ciebie, bo byłem przekonany, że Keith wciąż kocha Carmen. Martwiłem się, że to się dla ciebie przykro skończy. Im częściej cię widywałem... tym bardziej się tobą zachwycałem.

Przyznał się, że chciał, że próbował mi powiedzieć o swoim romansie z Carmen. Ze miał zamiar mi to powiedzieć po tym, jak pomogłam mu dojechać do domu z Jerry's Deli. Ale tamtej nocy byłam taka niedostępna. Taka opryskliwa. A potem powiedziałam mu, że jestem w ciąży. Ze noszę w sobie dziecko Keitha. Wtedy dał sobie spokój. Opuścił.

Sięgnęłam po książkę.

Powiedział, że kupił *Alchemika* w prezencie dla Carmen, a potem go zgubił. Myślał, że książka przepadła już na dobre, więc kupił jej następną. A potem znalazł tę i dał ją mnie, zapominając o wpisanej dedykacji.

- Tak bardzo znienawidziłeś Keitha? - spytałam.
- O co ci chodzi?
- Tak bardzo go znienawidziłeś, że chciałeś mu mnie odbić?
- Możesz przestać opowiadać takie rzeczy? Po tym, co usłyszałem od Carmen, nie zwracałem na niego uwagi.
- Co takiego zrobił ci Keith?

Raheem kołysał się na krześle. Nie potrafił odpowiedzieć.

- Wygląda to tak, jakby miał wszystko, czego chciałeś.
- Tu nie chodzi o niego.
- Czy po prostu zapragnąłeś mieć wszystko to co on?
- Nieważne, jak chcesz to rozumieć. Moje słowa chyba się nie liczą, więc po co mam cokolwiek wyjaśniać.
- No cóż...
- Jak mnie postrzegasz, Billie? Powiedz szczerze. Co widzisz, kiedy na mnie patrzysz?

- Postrzegam cię jako bardzo nadzianego, bardzo znudzonego i bardzo żalosego faceta.

Roześmiał się.

- Moja jedyna zbrodnia jest taka, że ci współczuję, Billie.

- Och, proszę, nie bądź melodramatyczny.

- Racja.

- Zadurzyłeś się w Carmen. Ona puściła cię w trąbę. Chciałeś się odegrać.

- Kupując sobie motor za czternaście tysięcy?

- Mówiłam ci, że to była głupota.

- Jeśli to, że mi się spodobałaś, oznacza głupotę, to fakt, byłem głupi. Zainteresowałem się tobą. Chciałem to wyrazić. Zachwyciłem się tobą w taki sposób... tak jak dzieciaki zachwycają się Jordanem. Kupiłem to cholerne ducati. Czy to zbrodnia?

- A ja widzę to tak. Masz dwa drogie samochody i szalony motocykl. Nie potrafisz się zdecydować, co ci się podoba, więc kupujesz wszystko. I wciąż nie masz dość. Przypuszczalnie tak samo podchodzisz do kobiet.

- Nie porównuj samochodów do kobiet.

- Dlaczego?

- To nieuczciwe w stosunku do samochodów.

- Ktoś tu sobie raczy żartować.

- To miało być śmieszne.

- Odrobinę było.

Chichocząc, sięgnęliśmy po kubki z kawą.

- Byłem dwa razy żonaty, Billie. Dwa razy rozwiedziony. Wiem, że to nie jest atrakcyjne dla kobiety, która...

Miał zamiar dokończyć, ale jego telefon zaczął wygrywać jakąś hiszpańską piosenkę.

- Muszę jechać na lotnisko, a potem do szpitala - powiedział.

- Twoja bratanica?

- Tak. Przylatują moi rodzice, żeby zobaczyć się z Lupe. Kupiłem im bilety.

- Z Tegucigalpy?

- Zapamiętałaś.

- A reszta twojego rodzeństwa?

- Niektórzy są w drodze. Mój starszy brat, jej ojciec, przyleciał już z Nowego Jorku. Jej matka przyleciała z Hondurasu. Poza tym nikt więcej. Podróż z Ameryki Południowej nie jest tania. A do tego nie wszyscy moi krewni mają wize. Tylko kilku z nas tutaj dotarło. W pogoni za amerykańskim snem.

- Przykro mi z powodu tego, co się stało... ma na imię Lupe, tak?

- Tak. Guadalupe. Patronka obu Ameryk.

- Nosi imię na cześć świętej.

- Lupe to dobra dziewczyna. Studiowała w szkole filmowej. Była prymuską. Nigdy nie zrobiła nikomu nic złego. Nigdy.

Wyrzuciliśmy opróżnione do połowy kubki z kawą do blaszanego kubła, który stał między Starbucksem a Warehouse. W lewej dłoni trzymałam *Alchemika*.

- Możesz teraz przekazać ten prezent swojej przyjaciółce - powiedziałam, podając mu książkę. Wziął ją ode mnie i wrzucił do śmietnika.

- Co to, do cholery, było? - zapytałam podniesionym głosem.

- Symboliczny gest.

- A nie mogłeś po prostu wyrwać tej strony?

- Przyjmij moje przeprosiny. I pozwól, że kupię ci nową.

- Wyrzucasz do kosza całkiem nową książkę? To tak szanujesz książki? Co z ciebie za człowiek? A co będzie potem? Wysypiesz wszystkie książki na podwórko i zabawisz się w *451 stopni Fahrenheita*. - Stać mnie na nową książkę.

- Masz za dużo pieniędzy, wiesz?

- Nie musisz już więcej ze mną rozmawiać. Ale ta książka... to jest dobra książka. Chcę, żebyś ją przeczytała. Dam ci nową. Całkiem nową. Jacob mówił mi, że masz marzenia, których nigdy nie spełniłaś.

Sięgnęłam do kubła i wyciągnęłam książkę z powrotem, po czym wyrwałam zapisaną stronę.

- Widzisz, jak łatwo można było rozwiązać ten problem?

- Wyrwałaś kartkę? Cholera, Billie. Co z ciebie za człowiek?

- Zapytaj o to Jacoba. Myślę, że jestem kobietą o niespełnionych marzeniach. Ale nie wierz w to, co o mnie opowiada. Plotkarz. A mówił ci też, że jestem nieudacznikiem?

- Nie, nie nazwał cię w ten sposób. Powiedział, że masz niewykorzystany talent.

- Nie wierzę w te bzdury. Na pewno nazwał mnie nieudacznikiem.

- Nie jesteś nieudacznikiem. Może ta książka cię zainspiruje.

- Jacob Długi Ozór. Kurczę, kiedyś naprawdę mu wygramę.

Z Warehouse wyszła grupa chłopców, którzy kręcili się po okolicy, handlując pirackimi płytami z muzyką i filmami. Było z nimi kilka dziewcząt o ładnym, egzotycznym wyglądzie. Wszyscy podrygiwali w jakimś zwariowanym tańcu, przez co wyglądali, jakby należało zaaplikować im jakieś leki na epilepsję.

- Zatańcz mo, zatańcz mo, zatańcz mo. Szliśmy w stronę parkingu.

- Jesteś wkurzona? - spytał.

- Książki. Dowcipy. Kobiety. Co jeszcze oddajesz na przemiał, ko-chasiu?

- Jesteś wkurzona.

- Tak naprawdę w porównaniu z całym tym gównem, przez które przeszłam, to jest nawet śmieszne.

- Często przeklinasz, wiesz o tym?

- Pieprz się.

- Sama widzisz.

Dzieciaki za naszymi plecami szalały coraz bardziej.

- Zatańcz mo, zatańcz mo, zatańcz mo.

- Moja bratanica uwielbia odstawiać taki sam głupkowaty taniec

- powiedział Raheem.

Obserwowaliśmy ich przez chwilę. Kilka razy zdarzyło mi się tańczyć mo. Sam taniec mi się nie podobał, ale był śmieszny i zaraźliwy.

- Wszystkie tańce tych dzieciaków wyglądają tak cholernie głupio

- powiedziałam.

- Faktycznie.

- Cabbage patch, to był taniec.

- Nie. Nie ma to jak electric slide.

- Ależ gdzie tam! Najlepszy był prep.

- A właśnie, że butterfly.

- Przestań mnie wyprowadzać z równowagi.

- Moonwalk, dziecinko. Moonwalk to jest to!

- Jesteś szalony, Raheem.

- No dobra, mning man. I koniec! Po licytacji!
- A do tego głupi. Nie miałam pojęcia, że jesteś taki głupi. Jesteś dziecinny, wiesz o tym?

- Na ile jeszcze sposobów masz zamiar mi ubliżyć? Parsknęliśmy śmiechem.

W połowie drogi przez parking Raheem zaczął śpiewać *Hero* Enrique Iglesiasa. Śpiewał po hiszpańsku i szło mu całkiem nieźle. Tym razem się przyłączyłam. Po angielsku. To było przyjemne. To był naprawdę przyjemny moment.

- Myślisz, że mogłabyś kiedyś wybaczyć mi to, że jestem taki głupi, i wsłuchać się we mnie sercem? - zapytał.

- Nigdy.
- Nie ten rytm?
- Otóż to.
- Skoro tak mówisz. Szkoda, że nie poznałem cię wcześniej.
- Całe szczęście.
- Dlaczego?
- Bo nie moglibyśmy zostać przyjaciółmi.
- Przyjaciółmi?
- Tak. Przyjaciółmi. Skorzystasz albo nie. Wybór należy do ciebie.
- Koleżeński układ.
- Stary dobry koleżeński układ. W Ameryce Południowej też to występuje, prawda?
- Czy to twoje ostatnie słowo?
- To najlepsze, na co dzisiaj mnie stać. Jak na razie. Ciesz się albo spadaj.

Uśmiechnął się. Odpowiedziałam mu tym samym.

Odezwała się moja komórka. Dzwonił mój prawnik. Musiałam się z nim spotkać, żeby omówić szczegóły pozwu.

Ale niezależnie od tego, czy świeciło słońce, czy padał deszcz, życie toczyło się dalej. W moim świecie nie było niczego, co mogłoby zastąpić *Kodeks 46*. Musiałam zmierzyć się z decyzjami, które podjęłam. Musiałam pogodzić się życiem. Musiałam wziąć się za siebie.

- Nauczysz mnie jeździć? - zapytał Raheem.
- Stracisz swój status.

- Myślałem, że nie przyjaźnisz się z mężczyznami.
- Pieprz się.
- Cóż za plugawa buzia.
- Wal się.
- To już lepiej. Roześmialiśmy się.
- Twój motocykl stoi zaparkowany przed domem Carmen. Na pewno tam trafisz.
- Jacob już mi o tym powiedział. Miał tę informację od Viviane. -Aha.
- To dlatego tam z nim pojechałem. Odstawił mi go do domu. Milczałam przez chwilę.
- Kiedy tam byłeś... czy przed domem stała ciężarówka firmy przeprowadzkowej?
- Tak - kiwnął głową.
- Poczułam, jak przenika mnie fala ulgi i smutku. Bardziej ulgi niż smutku.
- Przykro mi z tego powodu, Billie. Ze nie powiedziałem ci o Carmen. Naprawdę mi przykro.
- Raheem... jedź zaopiekować się swoją bratanicą. Skinął potakująco.
- Jacob przekazał Viviane, żeby mi powiedziała, że zapisałeś się na ten kurs jazdy.
- Jesteś okropna, wiesz?
- Nie mów mi, że jestem okropna. Bardziej mi się podoba, jak nazywasz mnie wredną. Z tym hiszpańskim akcentem to brzmi całkiem fajnie.
- Jesteś zbyt wredna, by być okropna.
- Nieważne, panie specjalisto od ubezpieczeń. Czy jak tam, u diabła, nazywa się ten walnięty zawód.
- Tylko czemu, na litość boską, musiałem prosić Jacoba, żeby powiedział Viviane, żeby powiedziała tobie?
- Pomyślałam sobie, że moglibyśmy zaliczyć parę niezłych odcinków w kanionie. Wszyscy razem. Szykuj się na wyprawę z Los Angeles do Fresno. Musisz się podszkolić, żeby dać sobie radę z zakrętami na Smoczym Ogonie.

- Smoky Mountains - powiedział. - Trzysta osiemnaście zakrętów na odcinku prawie dwudziestu kilometrów.

- Zapamiętałeś?

- A więc będziemy przyjaciółmi na tyle długo, aby pewnego dnia polecieć razem do Tennessee i tam wybrać się na szlak?

Spojrzałam się na niego. Moja twarz była jak wykuta z kamienia.

- Przestań się uśmiechać, bo zmienię zdanie - powiedziałam.

- W porządku, Ducati.

- I pamiętaj, czyje to imię. To ja jestem Ducati.

- Och nie. Nie wykupiłaś praw do tej nazwy.

- Nie myśl sobie, że skoro masz siedemsetczterdziestkędziewiątkę, to...

- Wredna. Po prostu wredna.

- Głupi. Po prostu głupi.

Pożegnaliśmy się z uśmiechem i każde z nas poszło w swoją stronę.

Szukałam cierpień, które przeżywałam kilka dni temu. Szukałam i znalazłam. Nie wszystkie, ale większość. Czułam, że te, które zostały, powoli zanikały niczym złe wspomnienie.

- Miłość to bitwa. Miłość to wojna - wyszeptałam. Moja wojna była skończona.

Parę minut później wsiadałam do czterokołowej gabloty Viviane. Nie mogłam już się doczekać nowego motocykla. Obok przejechał Raheem swoją terenówką. Pomachał mi. Uniosłam dłoń i pozdrowiłam go tak samo.

Miły facet. Z tych, których trudno nie polubić. Całkiem przystojny. I ten jego cholerny akcent.

Wyjeżdżając z parkingu, zatrzymałam się na światłach przy La Ciénega. Uniosłam wzrok i zobaczyłam ten billboard. „Kto mnie zamordował?”. Lisa Wolf spoglądała z góry na miasto niczym anioł stróż.

Świat okazał się dla niej okrutny. Pomyślałam, że moja twarz też mogła znaleźć się na podobnym plakacie. Mogła. Ale nie byłam bogata. Nie miałam wpływowych rodziców. Nie było na billboardach miejsca dla takich kobiet jak ja.

Zresztą nieważne. Przeżyłam.

Za rok miałam znaleźć się na scenie. Wciąż trzymając się wszystkich innych fuch, ale miałam stanąć na scenie z moim nowym zespołem,

w blasku reflektorów, z moją takamine w ręku, zaczynając nowy koncert w Temple Bar.

Obok mnie zatrzymał się samochód. Mustang z opuszczonym dachem. Nowiutki.

- Zatańcz mo, zatańcz mo, zatańcz mo.

Wypełniony był smarkaczami, których wcześniej widziałam przed Warehouse, handlujących pirackimi płytami. Chłopcy wznosili okrzyki, a wszystkie te ładne dziewczęta, z którymi flirtowali, siedziały ściśnięte na tylnym siedzeniu. Wybierali się na jakąś odjazdową imprezę jak wszyscy młodzi ludzie gotowi wcisnąć gaz do dechy i świetnie się bawić.

Czasami żałuję, że nie mogę wpaść w czarną dziurę i cofnąć się w czasie. Ze nie mogę cofnąć się w czasie i naprawić pewnych spraw.

To nie byłoby wiele spraw, zaledwie kilka.

A gdybym nie była w stanie ich naprawić, mogłabym przynajmniej ostrzec samą siebie.

Nie. Po prostu spędziłabym trochę więcej czasu z moimi rodzicami.

Czasem moje życie podoba mi się takie, jakie jest. Takie spieprzone, ale to moje życie.

Obiecywałam sobie, że zadzwonię do Sy Smith i zapytam, czy nie potrzebuje jakiegoś głosu do chóru. Słyszałam, że Chante Carmel przeprowadziła się do Nowego Jorku i przygotowuje tam spektakl *Rent*. Mogłabym na jakiś czas ją zastąpić. Ino wracała do miasta, więc też mogłabym się do niej odezwać. Pewnie już dawno skontaktowałabym się z Hope.

Dziecięce buciki. Ruszyłabym dupę, żeby kupić dziecięce buciki. Dla mojego dziecka.

Wszystko to, co przeszłam, nie wydarzyłoby się na próżno. Gdyby zaczęło się dziać po raz kolejny, byłabym gotowa.

Nie mogłam pozwolić, aby ciężkie przeżycia odebrały mi głos. Albo uczyniły mnie zgorzkniałą. Wszystko po to, by wynieść jakąś mądrość.

Napisałabym kilka piosenek. Nagrałabym kilka klasycznych kawałków w swojej wersji. Zrobiłabym to z miłości do śpiewu. Może nawet wzięłabym gitarę i, tak jak robiła Hope, siadłabym na Venice Beach albo na Third Street Promenade w Santa Monica i śpiewałabym swoje piosenki.

Wyrwałam się z tego snu na jawie, kiedy usłyszałam salwy śmiechu. Kiedy dzieciaki w mustangu zbierały się do odjazdu, zobaczyłam czerwony połyskujący punkcik. Jeden z chłopaków trzymał kamerę.

- Zatańcz mo, zatańcz mo, zatańcz mo.

Roześmiane dziewczyny odstawiały ten głupkowaty taniec, przepychając się w samochodzie, a każda chciała znaleźć się w centrum zainteresowania.

- Widzieliśmy cię tam, jak tańczyłaś mo - powiedział chłopak za kierownicą.

- Próbowałam - uśmiechnęłam się.

- Byłaś super, kochanie.

- Dzięki.

- Dam ci coś.

- O co chodzi?

Przez otwarte okno mojego auta wleciała płyta.

- Co to jest? - spytałam.

- Trochę tego i owego dla frajdy. Trochę naszej pracy. Dla ciebie, kochanie.

- Za darmo?

- Wesołych świąt. Ale to nie są świąteczne klimaty. Pozdrowiłam ich, unosząc kciuk, kiedy odjeżdżali z muzyką na cały regulator, odstawiając ten szalony taniec.

Wyciągnęłam płytę z pudełka i włożyłam do odtwarzacza, gotowa usłyszeć coś ostrego. Akurat coś takiego pasowałoby do mojego nastroju. Płyta wysunęła się z powrotem. Zerknęłam na etykietkę domowej roboty. *Napalone cichodajki*. Jeden z tych filmów, w których gustował Raheem.

Schowałam pornosą z powrotem do opakowania i rzuciłam na tylne siedzenie.

Viviane też lubiła takie filmy.

Byłabym zakłamaną hipokrytką, twierdząc, że sama nie obejrzałam kilku takich.

Ale ten postanowiłam dać mojej współlokatorce.

W prezencie dla niej i dla Jacoba.

Cena nienawiści.

Na zawsze zapamiętam te słowa, wypowiedziane astmatycznym szeptem.

Za rok o tej porze ojciec Carmen miał umrzeć w więzieniu, a Ruth miała wrócić na Jamajkę okryta hańbą. Keith wciąż miał tu być, gdzieś w pobliżu, pracując na dwa albo trzy etaty. Do rozwodu nigdy nie doszło. Wrócił do domu, który kupił.

Śniłam o tym, jak ostatecznie zakończyło się to małżeństwo. Albo raczej, jak nie mogło się zakończyć.

Widziałam Carmen wciśniętą w tę osiemnastoletnią suknię ślubną i z wibratorem w ręku, jak ze zwichrzoną fryzurą, charcząc i przeklinając, idzie za Keithem wzdłuż korytarza, tłukąc po drodze różne przedmioty. Keith nie zwraca uwagi ani na jej astmę, ani na furię.

- Keith... dwoje ludzi, którzy sobie ufają i są gotowi razem iść przez życie, choćby rozstępowała się ziemia. Jeśli nie czujesz tego do mnie... Keith... to poślubiłam niewłaściwą osobę. Żałuję tylko, że upłynęło tyle czasu, zanim zdałam sobie z tego sprawę. Kobieta tylko wtedy może być żoną, jeżeli mężczyzna chce być jej mężem. Przyznaję, popełniałam błędy, myliłam się w osądach tak samo jak ty, ale stać mnie na ten wysiłek. Jestem skłonna porozmawiać z psychologiem i podjąć się tego, ale sama nie dam rady. Nie mogę cię zatrzymać tam, gdzie nie chcesz być. Starania o to są dla mnie zabójcze. Więc jeśli tego pragniesz z głębi serca, podpiszę każdy papier, jaki mi podsuniesz. Bez dyskusji. A potem spakuję wszystkie wspomnienia i się wyniosę.

Wypowiadając te słowa, charczała i przetykała łzy, wlokąc za sobą ten dwumetrowy tren niczym koszmarnie wspomnienie. Wracała na swoją stronę domu, do swojej sypialni, do swoich zabawek i wspomnień. Siadała przed telewizorem i na okrągło oglądała film ze swego ślubu.

Wygłaszała mu tę samą mowę dzień w dzień.

Keith szedł na swoją stronę domu, zamykał się w swoim pokoju i siadał na krześle. Wpatrywał się w swoją ścianę. W swoją ulubioną ścianę. Uśmiechał się z ciężkim sercem.

Miał moje zdjęcie z tamtego magazynu, to erotyczne ujęcie na ducati 749 powiększone do takich rozmiarów, że zakrywało całą ścianę. W jego pokoju, po jego stronie domu siedziałam na motorze i uśmiechałam się

ubrana w żółte stringi. Właśnie tam spędzał wieczory. Czasami w weekendy wybierał się na spotkanie z Destiny. Razem z żoną jechał w milczeniu na odwiedziny do zakładu poprawczego.

Ale co wieczór, kiedy tylko wracał z pracy, zasiadał właśnie tam.

A jeżeli chodzi o mnie, wszystko to, co przeżyłam w ciągu ostatnich kilku dni, cichnie jak echo przerwane snu. Z każdym dniem będę płakać coraz mniej. Gniew będzie słabnąć. Będę się uśmiechać. Będę kochać. Znowu będę jeździć.

Podziękowania

Ale najpierw muszę ci to powiedzieć. Tobie. Osobie, która to czyta. Przestań się rozglądać. Mówię do ciebie.

Och, daj spokój z tym uśmiechem.

Przyleciałem do Nowego Jorku, skończyłem pracę nad pierwszym szkicem tej powieści i nareszcie zrobiłem sobie przerwę. Miałem okazję się wyrwać i obejrzałem nowy musical *Kolor purpury* w Broadway Theater. Na rogu Broadway Street i Pięćdziesiątej Trzeciej, w samym sercu Times Square. To było wstrząsające. Człowieku, musisz to zobaczyć, kiedy tylko wybierzesz się do starego dobrego New York City. To jest, mój przyjacielu, prawdziwy teatr. Pojawiłem się tu, żeby dokończyć tę książkę i... no tak... racja... miałem mówić o tej powieści, którą właśnie trzymasz... ojej... ale jestem tak podekscytowany *Kolorem purpury*... no cóż, to było dla mnie coś wielkiego, ponieważ gonił mnie termin i byłem przykuty do komputera jak ten brat z *Gotowych na wszystko*.

Jestem oszołomiony. Wyszedłem z teatru i nie mogę się otrząsnąć z podziwu dla poruszającej gry LeChanze, wciąż rozprawiam o tym, jak Felicia P Fields i Kingsley Leggs, i Elisabeth Withers-Mendes... Brandon Victor Dixon... Krisha Marcano... Renee Elise Goldsberry... psia krew, cała obsada była tak wstrząsająca, że kiedy opadła kurtyna, przez Nowy Jork powinien chyba przejść wstrząs o sile dziewięciu stopni. Byli niesamowici. Publiczność obdarzyła ich zachwytem, a oni dali miastu tyle energii, że wystarczyłoby, aby napędzać metro przez najbliższe pół roku. To był prawdziwy musical, przyjacielu. Nie mogłem po nim zasnąć. Zjadłem kolację na Pięćdziesiątej Siódmej i siedziałem do czwartej nad ranem, oglądając na DVD *Never 2 Big*. Teraz jest dziewiąta rano, a Keyshia Cole idzie u mnie na cały regulator, jakbym tu prowadził jakiś klub. Jej płyta *The Way It Is* trzęsie tym hotelem. Jest tak gorąca, że za moim oknem topnieje śnieg.

A poza tym... muszę się pospieszyć, żeby zbiec na dół do siłowni i trochę poćwiczyć. (Wybuch śmiechu).

To jest wytwór wyobraźni.

Pomysł napisania *Wyścigu z przeznaczeniem* narodził się podczas kursu kreatywnego pisania, w którym brałem udział na Uniwersytecie Kalifornijskim w Los Angeles. IBWA² dało mi możliwość doskonalenia warsztatu w ramach stypendium SEED³. Zresztą zadanie było proste. Należało stworzyć pięć wyjściowych wątków, coś, co mogłoby przykuć uwagę czytelnika. Wątek wyjściowy wyrażony w pierwszych słowach, jakie wypowiada Keith, znalazł głęboki oddźwięk u bardzo zróżnicowanej grupy uczestników kursu.

„Kolorpurpury” był wolny od ograniczeń. Chodzi mi o to, że aktorzy byli wolni od ograniczeń. Scenariusz... cholera. Muzyka... po dwakroć cholera. Struktura akcji... jak powiedziałaaby nieżyjąca wielka Eshter Rolle... cholera, cholera, cholera! No i nigdy nie widziałem tylu uśmiechniętych twarzy, tylu łez i śmiechu i tylu zachwyconych ludzi z chusteczkami w dłoniach. Ii... aha... miało być o mojej książce. Powiedziałem, że jestem oszołomiony. Z przyjemnością zobaczyłem inteligentny spektakl w dobrze napisanej i wiernej oryginałowi adaptacji, nieskażony tanimi sztuczkami i głupią gadaniną. Był wart pieniędzy, jakie zapłaciłem za bilet.

Kurs, w którym brałem udział na Uniwersytecie Kalifornijskim, odbył się siedem, może osiem lat temu. Podążając za wyjściowym wątkiem, napisałem około stu stron, ale nie czułem rozwoju akcji. Uważałem, że jest zbyt... zbyt... piękna... A przez to może się okazać nudna. Wyrzuciłem więc przynajmniej siedemdziesiąt stron. Potrzebuję determinacji, wsparcia i zawziętości, które trzymają mój tyłek na krześle. Muszę postawić sobie wyzwanie. Tamta wyjściowa scena, która rozgrywa się w Starbucksie, zawsze stanowiła punkt wyjścia. Billie zmieniała się z biegiem lat. Zmieniał się jej charakter, kiedy szukałem odpowiedniej temperatury dla tej postaci. Było wiele wersji Billie. Ta wspaniała bohaterka ewoluowała od

pielęgniarki, która pracowała z Debrą DuBois, do jeżdżącej na ducati piosenkarki, barmanki, stewardesy i nauczycielki. Na początku była częścią historii, która miała być opowiadana z kilku różnych punktów widzenia, i miała dwie siostry, Frankie i Tommie. (O ile dobrze pamiętam, postać Billie została usunięta z powieści *Naughty or Nice*, ponieważ jej wątek był zbyt skomplikowany i zbyt mroczny jak na książkę utrzymaną w tak świątecznym klimacie. Powstała postać Liwy, która zajęła miejsce Billie i znakomicie się wywiązała). W pewnym momencie Billie była właścicielką niewielkiego domu, ale zmieniłem to, kazałem jej wynajmować pokój. W pierwotnym stustronicowym szkicu pojawiła się piętnastoletnia dziewczynka imieniem Melanie, która mieszkała tuż obok Billie. Postać ta ewoluowała, stając się córką jej ukochanego, i ostatecznie przeobraziła się w obdarzoną niełatwym charakterem Destiny.

Śpiewaj, Keyshia! Śpiewaj! Moment... muszę wstać i potaćzyć sobie przez minutę cabbage patch.

Pracując nad tą powieścią, zrobiłem sobie krótką przerwę. Właściwie nie nazwałbym tego przerwą. Pozostawiłem historię gotującą się na wolnym ogniu - Billie właśnie ma wypadek i kasuje swoje ducati - a w tym czasie przestawiłem się na inne tory, dokonując czegoś wspaniałego. Stworzyłem sześć komiksów dla Marvel Enterprises, sześć miniserii ze Stormem („X-Men”) oraz Czarną Panterą. To przedsięwzięcie było gotowe w lutym, a kiedy czytasz te słowa, w księgarniach powinna być (już co najmniej) trzecia seria.

No to właśnie zaprezentowałem siebie. Pięknie, że strach. Teraz pozwolę sobie zaprezentować mój zespół.

Dziękuję mojej agentce, która towarzyszy mi od samego początku. Sarze Camilli. No dobra, przy ostatniej powieści *Genevieve* obiecałem osiemdziesiąt dziewięć kolejnych, tak? No cóż, komiksy to sześć, ta jest siódma, to zostało jeszcze... hmm... kurde... Nie cierpię zadań tekstowych. Parafrazując komandora Bonesa ze *Star Treka*, powiem: *Jestem pisarzem, a nie matematykiem!* (Wbuch śmiechu). Dziękuję, że stałaś obok mnie, zwłaszcza w ciągu ostatniego roku, który był okrutnie stresujący. Nigdy w życiu nie spotkałem tylu prawników!

Dziękuję mojej zapracowanej rodzinie z Dutton/NAL. Przeszedłem z wami długą drogę.

Dziękuję mojej redaktorce Julie Doughty. Jesteś najlepsza. Mówię to poważnie. Praca nad ostatnimi dwiema książkami była czystą przyjemnością dzięki twojej cierpliwości i wyrozumiałości.

A dla Lisy Johnson, Kathleen Schmidt (gratuluje nowej posady, będzie mi ciebie brakowało) i całej reszty zajmującej się promocją wielkie całusy! Jestem wypoczęty i gotów do dalszej drogi. Co z tym tournée promującym moją książkę? Londyn... Filipiny... Nicea, Francja... Hawaje... Brazylia... Amsterdam... Australia... Proszę. Wiecie, że mam w kilku liniach zniżki za częste przeloty... proszę... ślicznie proszę. Będę miał swoje kanapki na drogę.

Brianie Tart. Jeszcze raz ci dziękuję! Wczoraj dostałem ten oprawiony w skórę prezent gwiazdkowy.

A teraz mówię do wszystkich z Dutton/NAL. Jesteście wspaniałym zespołem. Pomagacie mi w robieniu kariery i osiągnięciu radości. Mamy już na koncie dwanaście książek. Tuzin Dickeya. (Tarzamy się po podłodze ze śmiechu). Banalne, wiem, ale ja tak lubię.

Dziękuję też tym, którzy odbierali ode mnie maile i czytali tę powieść w trakcie jej powstawania, wykazując się cierpliwością i wsparciem, gdy po drodze nanosiłem tysiące poprawek.

Eloise Chambers, Andrea Hamilton, Jackie Berkley, Vanelle Smith, Jennifer Law, Hyacinth Colbert, Bridget Mason i Crystal Dexter - moja wierna załoga zawsze na pierwszej linii frontu. Dzięki za przeczytanie pierwszego szkicu. Istota powieści pozostała taka sama, ale zdążyłem ją oblec w inne ciało. Mam nadzieję, że wam się spodoba.

Lolita Files! Dzięki za przeczytanie nowej wersji. Trzęsiemy tym biznesem od połowy lat osiemdziesiątych. Jesteś w tym najlepsza, o tak, Królowo Błoga. Nie mogę się doczekać twojej nowej książki. Bo sex.lies.murder.fame jest świetna! (Poznajcie Lolitę na www.thelozone.blogspot.com i www.lolitafiles.com)

Yvette Hayward, moja bystrooka dziewczyno z Harlemu, dzięki ci za to, co robisz!

Chante Carmel, świetna pisarka, piosenkarka, królowa sceny w Spectrum i wydm na Manhattan Beach, obecnie występująca jako Joanne w objazdowej wersji musicalu *Kent* - dzięki ci za cały twój wkład w świat muzyki. Niech twoje następne 525 600 minut wyniesie cię na szczyt...

Musical „Rent” również widziałem! To była bomba! Mayumi, Matt, Frenchie, Ava, Keena oraz cała reszta ekipy, dzięki wam odżyła moja miłość do teatru. Frenchie... jesteś mistrzynią.

Dziękuję ci, Simfani Blue. Pisząc, na okrągło zdzierałem twoją debiutancką płytę. Wybacz, że przegapiłem twój występ w Temple Bar. Mam nadzieję niedługo znów zobaczyć cię na scenie. Twoje informacje na temat branży były bezcenne. Dużo serca dla ciebie i twojej rodziny.

Audrey Cooper, Danny Fine, Grayland, Bobby Laird, Stevie Jefferson, Dwayne Orange i obecna ekipa, Scotty, Johnie Marshallu i Lady Evelyn Orange - dziękuję wam, przyjaciele, za lata wsparcia!

A na wypadek, gdybym kogoś pominął...

Chciałbym podziękować za całą jego/jej pomoc, kiedy zmagalem się z tym przedsięwzięciem. Bez ciebie... © ..nie miałbym szans tego dokonać.

Virginia, Lila & Vardaman... tęsknię za wami!

Nowy Jork

17 grudnia 2005 r.

godz. 9.27

Hotel Le Parker Meridien, pokój 1504

Pora złożyć podpis, a potem zażyć trochę ruchu i dźwignąć kilka ciężarków na siłowni.

Eric Jerome Dickey